

POWIĘŚĆ KRYMINALNA

# POSZUKIWACZ ZWŁOK



MIECZYŚLAW GORZKA



CZARNA OWCA

**MIECZYSLAW  
GORZKA  
POSZUKIWACZ  
ZWŁOK**



POWIĘŚĆ KRYMINALNA

WYDAWNICTWO  
CZARNA OWCA



Copyright © by Mieczysław Gorzka, 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

All rights reserved

Wydawca: Marek Korczak

Redakcja: Małgorzata Starosta

Korekta: Maciej Korbaśiński, Ida Świerkocka

Projekt okładki i stron tytułowych: © Plakiat, Maks Bereski

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-271-6

WYDAWNICTWO

**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czar-naowca.pl](http://www.czar-naowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)  
[Karta redakcyjna](#)

## Część I. POLTERGEIST

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)  
[9](#)  
[10](#)

## Część II. ARIEL

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)  
[9](#)  
[10](#)  
[11](#)

## Część III. ZAGINIONA

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)  
[9](#)  
[10](#)  
[11](#)  
[12](#)  
[13](#)

14

15

Część IV. POLOWANIE

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Część V. PRAWDZIWY POLTERGEIST

1

2

3

4

5

6

7

8

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **POLTERGEIST**

**G**dzie jest ten Poszukiwacz Zwłok?

Śledczy z Jeleniej Góry popatrzył na mundurowego. Wydał przy tym usta i skrzywił się, jakby pytał o paskudnego insekta, który włożył mu właśnie za kołnierz kurtki. Trudno było przyznać się do tego, że cywil, zwykły student, odwalił część roboty operacyjnej należącej do policji. Tę część, w której zblazowanym śledczym nie chciało się grzebać. Bo szkoda czasu, bo statystyki, bo są pilniejsze sprawy, a dziewczyna i tak się znajdzie. No i się znalazła, do tego w stanie i w miejscu najgorszym z możliwych.

Sosnowy las z wolna się przerzedzał, pojawiały się coraz większe głazy i skały, a po kolejnych kilkudziesięciu metrach kończył się pionowym urwiskiem, z którego rozciągał się cudowny widok na podgórze Karkonoszy. Można było tu stanąć i cieszyć się panoramą. Można, gdyby nie skaza, błądy kleks odciągający uwagę od piękna natury. Nagie martwe ciało dziewczyny kilkanaście metrów poniżej.

– Tam siedzi. – Funkcjonariusz wskazał do tyłu.

Mężczyzna mógł mieć góra dwadzieścia dwa lata. Oparł się pośladkami o jeden z głazów, splótł ręce na piersiach i wystawił twarz na promienie słońca przenikające przez rzadkie korony drzew. Wyglądał, jakby był na relaksującej górskiej eskapadzie, a nie jak człowiek, który znalazł przed chwilą zwłoki zaginionej przed kilkoma dniami koleżanki.

– On jest jakiś dziwny – dodał policjant.

Śledczy jeszcze raz zmierzył faceta wzrokiem. Nie podobała mu się jego postawa: rozluźniona, jakby beztroska, i ten dziwny uśmiezek błakający się po jego wargach. Z czego on się, cholera, cieszy? Tak zazwyczaj nie wygląda ktoś, kto znalazł zakrwawione zwłoki. Do tego kogoś sobie znanego, z kim jeszcze trzy dni temu szlajał się po górskich szlakach, pił wino i kto wie, co jeszcze robił? Już on przycisnie tego pieprzonego detektywa amatora i miłośnika poszukiwań na własną rękę.

W tym momencie od strony drogi nadeszli technicy kryminalistyczni ze sprzętem. Śledczy mimowolnie obrzucił spojrzeniem zachowującego się dziwnie młodego człowieka i przez głowę przeleciała mu jeszcze jedna myśl.

Chyba mieli pierwszego podejrzanego.



ienawidził liczby trzynastcie. Przynosiła pecha, sprowadzała nieszczęścia, pakowała w kłopoty. Ariel miał trzynastcie lat i nic nie mógł na to poradzić. **N**Mógł tylko przeczekać. Do tego mieszkał pod numerem trzynastym, przypisaną do jego nazwiska liczbą porządkową w dzienniku była paskudna i złowieszcza trzynastka. Na to też nie mógł nic poradzić. Był przekonany, że to właśnie ta przeklęta liczba ciągle złośliwie sprowadzała na niego kłopoty. Tak jak teraz.

Odgłosy pogoni zostawiał na chwilę z tyłu. Zatrzymał się na moment, żeby złapać oddech. Stał ukryty za pnem dużego drzewa, gdzieś w środku zaniedbanego i zarosniętego krzakami parku. Dał się tu zapędzić, bo nie miał już dokąd uciec.

Gonili go we czterech. Znienawidzeni koledzy z klasy, którzy ciągle go prześladowali i wyśmiewali się z jego imienia. No bo „jak można mieć na imię Ariel?”. Jak proszek do prania. Tylko tym tumanom nie przyszło nawet do głowy, że imię Ariel nosił duszek powietrzny z dzieła wielkiego zagranicznego dramaturga, pomagający szlachetnemu Prosperowi dokonać zemsty na złych ludziach. Ariel wszystkim to tłumaczył, ale nikt go nie słuchał. Dla większości był tylko proszkiem do prania. I czasem tak się czuł. Był nieistotny, banalny, niedostrzegalny, ignorowany. Tak, jakby był niczym, nikim, proszkiem albo po prostu prochem. Czasami zastanawiał się przed snem, czy gdyby kiedyś rozwiązał się na wietrze, ktoś by to w ogóle zauważył. Pewnie nikt.

Koledzy ze szkoły prześladowali go nie tylko za imię, ale także za to, że był inny. Inteligentny, delikatny, wrażliwy. Ale chyba głównie z tego powodu, że był od nich mądrzejszy. Doskonale się uczył, dużo czytał, pięknie się wysławiał, był grzeczny, szanował starszych, nie sprawiał kłopotów, nie pił taniego wina i nie palił papierosów za szkołą. Pewnie niektórzy z tych ścigających go teraz tumanów nigdy w życiu nie osiągną swoją inteligencją poziomów, na których on był już od dawna. Był totalnie inny, nie pasował do tego miejsca. Mała wieś nieopodal wielkiego miasta nie tolerowała takich odmieńców. Wybryki natury odstające od mocno zaniżonej średniej zawsze były prześladowane. Tak naprawdę polowania na czarownice nigdy się nie skończyły, przybrały tylko inną formę, bo gdyby żył w tamtych czasach, pewnie niechybnie spłonąłby na stosie.

Gdzieś niedaleko usłyszał trzask łamanych gałęzi. Zerwał się do biegu.

– Tu jest! – rozległ się za nim radosny okrzyk jednego z prześladowców.

Uciekał na oślep, czując, jak rani sobie ramiona i nogi o ostre krzaki, uchylając się przed gałęziami złośliwie smagającymi go po twarzy. Nawet one były przeciw niemu. Bo przecież wszyscy są przeciw słabszym i „innym”. Nawet Bóg.

Wybiegł nagle na małą łączkę i już wiedział, gdzie jest. Około stu metrów dalej zobaczył zrujnowany pałac należący niegdyś do właściciela ziemskiego, posiadającego też kilka położonych blisko wiosek. Jednak każda potęga przemija, historyczne zawieruchy wywracają i niszczą wszystko. W taki sposób pałac popadł w ruinę, otaczający go park przypominał teraz raczej puszcę niż miejsce do spacerów i spędzania miłych chwil w upalne dni. Staw przed pałacem też zmienił się w bagno porośnięte wodną roślinnością.

Ariel biegł resztkami sił, grzęznąąc w wysokiej trawie. Pogoń się zbliżała. Na łączkę z czterech stron wypadło czterech napastników, wydając radosne okrzyki na jego widok. Ruiny były dla niego ostatnim ratunkiem. Tylko czy zdoła dobiec do nich przed tamtymi? Oni porzucili gdzieś swoje plecaki. On swój, na dodatek pełen książek wypożyczonych dzisiaj z biblioteki, miał na ramieniu.

Udało się. Podciągnął się i wskoczył do środka przez pozbawione okiennic boczne okno znajdujące się tuż nad samą ziemią. Od razu pobiegł w kierunku schodów, wbiegł na górę po dziurawych kamiennych stopniach, przebiegł przez jedno pomieszczenie, potem drugie, aż wreszcie znalazł schronienie we wnęce w murze jednego z korytarzy. Przykucnął, ciężko dysząc, zlany potem. Serce tłukło mu się w piersiach jak przestraszony ptak w klatce. Bał się. Cholernie się bał. Zakrył dłonią usta, żeby tamci nie usłyszeli jego chrapliwego oddechu. Po chwili się uspokoił i nasłuchiwał.

Na dole rozległy się głosy. Znowu się rozdzielili, żeby go szybciej odszukać. Słyszał kroki na schodach, potem chrzęst gruzu i śmieci pod ich butami, kiedy go szukali. Jeden blisko, inny dalej, jeden na górze, kolejny na dole. Nikogo nie było na jego piętrze. Oddychał głęboko i zaczął w myślach powtarzać te kilka wersów mantry, którą stworzył któregoś wieczoru po powrocie do domu z podbitym okiem. Słowa przynosiły mu otuchę, mobilizowały do działania, dodawały odwagi. Bo przecież nie ma sytuacji bez wyjścia.

– Nie błagaj o litość, ponieważ nie ma żadnego Boga. Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych...

Usłyszał ciche kroki na schodach. Któryś z nich się zbliżał. Zaciśnął mocno powieki, zbierając się w sobie. Mocniej chwycił ciężki plecak wypchany książkami.

– Pomóc możesz sobie tylko sam...

Tak, musi to zrobić sam. Nieważne, ilu ich jest. Liczą się determinacja, hart ducha i spryt. Ich przewaga liczebna jest nieistotna. Przecież on jest od nich cztery razy inteligentniejszy. Może nawet szesnaście razy.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie...

Kroki na korytarzu się zbliżyły. Napastnik był już tylko kilka metrów od jego kryjówki. Zebrał się w sobie.

– Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić...

Zamachnął się teczka, kiedy jeden z chłopców był już o krok. To był Michał, ten o ciągle złośliwym uśmiechu, największy wazeliniarz, który na każde słowo szefa bandy, Romka, reagował gromkim śmiechem, nawet jeśli ten mówił rzeczy – obiektywnie patrząc – nieśmieszne.

Chłopak dostał w twarz. Zachwiał się i z jękiem gruchnął na plecy, wzniciając obłoczek kurzu. Był tak zaskoczony, że nawet nie zareagował. Przez chwilę nie wiedział, co się stało, a potem złapał się rękami za rozbity i krwawiący nos. Już nie był bohaterem o choczko bijącym słabszych. Teraz po prostu się rozpłakał, próbując zatamować krwawienie. Ariel podbiegł do niego i kopnął go w bok.

Potem od razu ruszył w kierunku, z którego dochodziły odgłosy kroków innego z napastników. Poczul się cudownie lekko. Już się nie bał. Teraz on był

myśliwym.

– Nie błagaj o litość, ponieważ nie ma żadnego Boga – szeptał do siebie bezgłośnie. – Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych.

Zostawił plecak na korytarzu i zbiegł szybko na dół.

– Pomóc możesz sobie tylko sam – powtarzał, bo to mu dodawało odwagi.

Drugiego dopadł w kącie jednego z pomieszczeń. Zasypał go gradem ciosów i kopnięć, tak że tamten nie zdążył nawet zareagować. Upadł na kolana i zasłonił głowę ramionami. Mimo to Ariel kopnął go jeszcze dwa razy, po czym zniknął tak szybko, jak się pojawił. Zostawił jęczącego chłopaka, plującego krwią rozbitych warg. To był Janusz, kolejny przydupas Romka.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.

Spotkał ich na parterze. Jarek prowadził utykającego Michała. Krew nadal obficie płynęła mu z nosa. Na jego widok Jarek stracił chęć do walki, puścił kolegę i po prostu zwiął bez słowa. Michał, mimo opłakanego stanu, też rzucił się do ucieczki w ślad za kolegą. Już nie byli tacy mocni, jak im się to na początku wydawało.

– Pomóc możesz sobie tylko sam – powiedział głośniejszym głosem, rozejrzał się po podłodze i podniósł ciężką połówkę czerwonej cegły.

– Gdzie wy jesteście?! – dobiegł go z góry głos Romka. – Macie zasańca?!

Odpowiedziała mu cisza, więc zawołał jeszcze raz głośniejszym głosem i z wyraźnym niepokojem w głosie:

– Michał, Jarek?! Co z wami? Gdzie wy poleźliście?!

Ariel ruszył schodami na górę, z cegłówką w dłoni. Szedł cicho jak złośliwy duch, a przynajmniej na tyle bezszelestnie, żeby Romek go nie usłyszał. Przywódca bandy chodził po poddaszu i pomstował głośno na nieobecnych kolegów, coraz bardziej zły i zniecierpliwiony. Wreszcie szarpnęła za zabite płytą pilśniową drzwi balkonowe. Stare gwoździe tkwiące w zbutwiałych futrynach puściły i wyszedł na częściowo zniszczony przez czas balkon. Barierek z jednej strony była zerwana i nierozsądnie było tam wchodzić. Romek jednak poszedł, omijając ten fragment balkonu. Pewnie chciał się rozejrzeć po okolicy, podejrzewając, że jego koledzy dostrzegli gdzieś uciekającego Ariela i pobiegli za nim. Stąd był doskonały widok na łąkę, zarośnięty staw i część parku. Romek wychylił się odrobinę przez barierę z desek, którą ktoś przed laty tu postawił dla bezpieczeństwa. Tylko nie wiadomo czyjego, bo nikt przecież tu nie wchodził.

– Pomóc możesz sobie tylko sam.

To dobrze, że Romek tam stał. Nie słyszał, jak w jego kierunku idzie Ariel. Usłyszał dopiero wtedy, kiedy ten stanął na progu drzwi na balkon.

Romek odwrócił się gwałtownie. W postawie Ariela musiało być coś takiego, że na jego twarzy pojawił się przestach. Tak właśnie działali nieletni szkolni bandyci. Tracili cały rezon, kiedy brakowało hordy popleczników i trzeba było samemu spojrzeć osobie prześladowanej w twarz. A to wymagało szczególnej odwagi, jeśli osoba gnębiona miała w rękę cegłówkę. Romek zbladł i nie potrafił nic powiedzieć. To dobrze; i tak nic mądrego nie popłynęłoby z jego ust.

W środku był pusty jak dzban. Nie miał nic do zaoferowania światu prócz psucia i niszczenia. Był jednostką zbędną. To on był teraz proszkiem, a Ariel zmienił się w głaz.

Jeśli są sytuacje, w których w ludziach budzi się uśpiona bestia, to właśnie była jedna z nich.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznajomymi, tylko oni mogą cię zasmucić – powiedział Ariel i postąpił krok w kierunku Romka.

# 1

**D**ziewczyna miała około szesnastu lat, długie ciemne włosy po matce, które zawsze nosiła rozpuszczone, jakby chciała się nimi pochwalić całemu światu. Ubierała się jak większość nastolatek – modnie, czasem wyzywająco, czasem bezwstydnie. Jezu, dlaczego w czasach, kiedy on był nastolatkiem, jego rówieśnice tak się nie ubierały? Wtedy wszyscy byli zakuci w szkolne mundurki, tylko dyskoteki albo prywatki dawały pewną odmianę, no ale dziewczyny nie były tak odważne, jak obecne pokolenie, nie pokazywały na ulicy pępka w za krótkiej koszulce. No, cóż, musiał się z tym pogodzić.

I oczywiście telefon komórkowy w zaciśniętej dłoni, z białymi kabelkami prowadzącymi do słuchawek w uszach. Czy dzisiaj jakikolwiek nastolatek, idąc do szkoły, zwraca uwagę na otaczającą go rzeczywistość? Nie, bo idzie jak lunatyk, z nosem w ekranie, i nawet gdyby przez noc życie na Ziemi się skończyło, a wytwory cywilizacji obróciły się w perzynę, pewnie nie dostrzegłby tego od razu. No chyba że nie byłoby połączenia z netem. Zresztą czy teraz są jeszcze normalne telefony? Przecież oni nawet do siebie nie telefonują, tylko piszą na komunikatorach. Jaka przyszłość czeka ludzkość, kiedy dzisiejsze dzieci przejmą jej stery? Marna.

Pogrążony w niewesołych myślach, siedział w samochodzie zaparkowanym przy chodniku, którym nastolatka szła do szkoły, i obserwował, jak się zbliża. Mimo wszystkich gorzkich refleksji, jakie go nawiedziły, czuł dziwne ciepło pod sercem, gdy na nią patrzył. Była wysoka, szczupła i bardzo ładna. Kiedy podnosiła wzrok znad ekranu, żeby nie wpaść na żywoplot, słup albo zaparkowany kołami na chodniku samochód, dostrzegał to bardzo wyraźnie. I te ciemne oczy patrzące spod ciemnych brwi. Cudowne!

Tak, zdecydowanie była podobna do matki, która kiedyś z powodzeniem brała udział w konkursach piękności. Przez jakiś czas była nawet prezenterką pogody w jednej z lokalnych stacji telewizyjnych, zanim nie zakochała się jak idiotka w tym wytatuowanym kretynie. Pewnie w życiu nie przeczytała żadnej książki z wyjątkiem książki serwisowej bardzo drogiego auta, którym aktualnie rozbijał się po mieście. A i to niekoniecznie. Przecież syn właściciela ogólnokrajowej sieci marketów spożywczych nie mógł jeździć byle czym. Miał też inną wadę. Musiał mieć ciągle nowe i coraz młodsze dziewczyny, więc była prezenterka pogody szybko straciła miejsce na piedestale i odeszła w zapomnienie. Nigdy się z tego upadku nie podniosła. Z tego, co się dowiedział, od lat samotnie wychowy-

wała córkę i pracowała w butik w centrum. Kariera modelki czasem kończy się dość boleśnie. I tak mogło być gorzej.

Nastolatka minęła go, nie odrywając wzroku od telefonu. Patrzył, jak się oddala. Miała długie nogi, skrywane teraz przez czarne podkolanówki, krótka spódniczka falowała na boki przy każdym kroku, na odkrytych plecach z dumą prezentował się tatuaż w kształcie rozłożonych skrzydeł. Jezu, kto nastolatce pozwolił na taki tatuaż? Chociaż z drugiej strony podobał mu się. Był nawet podniecający. Pobudzał wyobraźnię. Prowokował do rozważań, czy czasem inne takie niespodzianki nie czają się w miejscach intymnych, przez większość czasu ukryte przed światem i odsłaniane tylko tym najbardziej zaufanym. Ciekawa myśl, ale chyba nieodpowiednia w tej chwili i w tym kontekście. Przywołał się do porządku.

Zastanawiał się, czy ją kochał. Przecież w ogóle jej nie znał. Chyba tak, takie uczucie jest silniejsze niż wszystko inne. Trwa mimo czasu i odległości, na przekór wszystkiemu, nawet absolutnemu brakowi kontaktu, nawet wśród nieznajomych. Jezu, świat jest zbyt skomplikowany. Wolałby, żeby był mniej złożony, może wtedy można by zapanować nad narastającymi gdzieś w środku pierwotnymi, przerażającymi, zwierzęcymi żądzami. Najgorsze było to, że on nie potrafił nad nimi zapanować. Teraz nawet nie próbował. Po prostu kiedyś eksploduje z niszczycielską siłą. Znowu w jego życiu nastąpią gwałtowne i bardzo emocjonujące zmiany i na jakiś czas będzie spokój. Jezu, czy to się kiedyś skończy?

Dziewczyna oddaliła się i zniknęła za rogiem budynku. Westchnął, przekręcił kluczyk w stacyjce i kiedy tylko silnik zawarczał, włączył się do ruchu. Po chwili wahania też skręcił za róg, w ślad za nastolatką. Popatrzył na nią jeszcze, zanim doszła do budynku szkoły.

Potem, ruszając wolno, myślał. Jezu, jaki ona ma charakter? To, że fizycznie była podobna do matki, nie budziło żadnych wątpliwości. I bardzo dobrze. Miałyby w życiu o wiele trudniej, gdyby odziedziczyła urodę po ojcu. Ale jaka naprawdę jest? Może jest lekkomyślna, porywcza, łatwo się zakochuje i pod wpływem bliżej nieokreślonych impulsów podejmuje zazwyczaj błędne decyzje, jak matka? A może jest taka jak ojciec? Jezu, jeśli zмага się z tyloma osobistymi problemami co ojciec, to jej przyszłość jawi się dość ponuro.

Zamyślony nie zauważył mężczyzny na pasach przed szkołą. W ostatniej chwili nacisnęła na pedał hamulca, opony jęknęły na asfalcie, auto zatrzymało się, a przeciążenie rzuciło nim o kierownicę. Jezu, o mało nie przejechał przechodnia. Kiedyś miasto zatrudniało bezrobotnych, żeby pomagali przechodzić dzieciakom przez ulice przed szkołami. Ubrani w odblaskowe kamizelki, z wielkimi transparentami w dłoniach byli widoczni z daleka. Teraz chyba ten zwyczaj już zniknął, bo przed tą szkołą nikogo takiego nie było i właśnie doszłoby do nieprzyjemnego zdarzenia. Co prawda jechał wolno, ale jednak.

Mężczyzna powstał chwilę przed maską jego auta, patrząc mu prosto w oczy. Był wysoki, miał krótkie zafarbowane na czarno włosy i coś takiego w oczach, że aż człowieka przechodziły ciarki, kiedy tamten świdrował go spojrzeniem. Bar-

dzo nieprzyjemny typ, specyficzny i dość mroczny. Na szczęście pokazał tylko środkowy palec i poszedł dalej, znikając mu z oczu.

## 2

**P**ieprzone poniedziałki! Czy ktoś w ogóle lubił poniedziałek? We krwi krążyły pewnie jeszcze jakieś ostatnie promile z sobotniej popijawy i z leczenia kaca piwem w dzień świąty. Trzeba było jeszcze kilku godzin, żeby dojść do siebie i zacząć w miarę normalnie myśleć i funkcjonować. W związku z tym wyprawa autem za miasto do jakiejś pipidówki w ten przekłęty pierwszy dzień tygodnia była największą katorgą, jakiej człowiek mógł doświadczyć. Choć z drugiej strony cios pałką w głowę na początku tygodnia mógł zwiastować, że potem będzie już tylko lepiej. Jedyne okoliczności, dla jakich trzeba było się telepać w to odludne miejsce, nie zapowiadały na później łatwej i przyjemnej pracy. Raczej były preludium do prawdziwego trzęsienia ziemi, połączonego z gradobiciem i powodzią.

Takie było przynajmniej zdanie komisarza Piotra Żołnierza, kiedy jego służbowe auto podskakiwało na wybojach polnej drogi między polami. Na każdy taki podskok kac odpowiadał tęym łupaniem w czaszce. Dobrze, że przynajmniej już widział cel wyprawy – małą kępę drzew przy autostradzie A4 w kierunku na Opolo. Promienie porannego słońca odbijały się w szybach kilku stojących tam policyjnych radiowozów.

Że też ten skurwysyn wybierał takie miejsca na swoje zboczone zabawy – przemknęło mu przez zbolałą głowę. Podmiot tej uwagi specjalnie działał w taki sposób. Dlatego od pięciu lat pozostawał nieuchwytny. Zabójca nastolatek, który zawsze uderza znienacka, maltretuje, gwałci, zabija i znika. Jak złośliwy duch z samego piekła. Taki cholerny poltergeist. I tak właśnie ochrzciła go prasa, kiedy jakiś policyjny gnojek puścił farbę i do mediów dotarło, że w okolicach Wrocławia od lat grasuje seryjny zabójca. Żołnierz pamiętał chryję, jaka się zrobiła, kiedy opublikowano artykuł, w którym znalazło się wyjątkowo dużo szczegółów z dotychczasowych zabójstw, znanych tylko prokuratorom i policjantom zajmującym się ściganiem Poltergeista. Komendant wojewódzki wpadł wtedy we wściekłość i koniecznie chciał dopaść kreta. To był jakiś gnojek, niepotrafiący po pijaku trzymać gęby na kłódkę, albo sprzedajna menda, albo jeszcze większy skurwysyn, któremu zależało wyłącznie na udupieniu kolegów. I oczywiście nie znaleźli wtedy kreta. Dla komendanta sprawa była jasna. Jeśli śledczy nie potrafią wytropić źródła przecieku we własnych szeregach, to z nich są gówniani śledczy i na pewno nie znajdą zabójcy.



Poszła w ruch gilotyna i poleciały głowy, jak w pewnym kraju, podczas trójkolorowej rewolucji. Poleciał prokurator, mimo że był jednym z najlepszych, odwołany został szef grupy śledczej, a jego miejsce zajął komisarz Piotr Żołnierz.

Wtedy się cieszył, bo mógł wreszcie pokazać, ile jest wart. Tylko że od tamtego czasu minęły dwa lata i nie pokazał wiele, a ciało kolejnej nastolatki, do którego właśnie się zbliżał, spowoduje, że i on w najbliższym czasie zostanie usunięty ze stanowiska szefa grupy dochodzeniowo-śledczej. No i dobrze. Na tej sprawie wszyscy łamią sobie zęby, więc chyba nie ma już wielu chętnych. Niech komendant wojewódzki sam stanie na czele śledczych, zobaczy, co mu się wydaje, że można, a co jest naprawdę wykonalne..

Nie chciał oglądać widoków, które na niego czekały przy tej kępie drzew. Jeszcze bardziej zwolnił, otworzył szerzej okna w aucie i zapalił, mimo że nigdy tego nie robił wewnątrz wozu.

Wstawał kolejny upalny dzień, jaki natura fundowała ludziom w drugiej połowie maja. Temperatury były nienormalne jak na tę porę roku, więc można było przypuszczać, że robiła to raczej specjalnie, aby ich pognębić, a nie sprawić przyjemność. Zresztą czy miała za co ludziom sprawić przyjemność? Raczej nie.

Żołnierz wyrzucił papierosa po kilku pociągnięciach i już za moment parkował za ostatnim policyjnym radiowozem w szeregu. Wysiadł z ociąganiem i poszedł wolno przez wysokie trawy w kierunku drzew. Zatrzymał się na moment, nie zwracając uwagi na innych. Miejsce zbrodni było już ogrodzone taśmami z napisem „policja”, mundurowi stali na zewnątrz kręgu, w środku kręciło się tylko dwóch techników w białych uniformach, zasłaniających nawet twarz, obok nich tak samo ubrany fotograf na przemian robił zdjęcia i filmował zabezpieczone przez nich ślady. Ulżyło mu na chwilę, gdy zobaczył, że na razie przysłaniają mu makabryczny widok na zwłoki.

Pomyślał, że zdąży jeszcze wypalić papierosa, zanim zobaczy go komisarz Góralski, który jako jedyny, poza technikami, znajdował się na terenie odgrodzonym taśmami. Nagle papieros zemdlił Żołnierza. Co z tego, że był skorumpowanym starym gliniarzem, co z tego, że za pieniądze krył przestępców, co z tego, że na zlecenie zaufanych adwokatów i prokuratorów – tak samo umoczonych w kontakty z półświatkiem jak on – usuwał lub podmieniał dowody w magazynie albo wymuszał na świadkach zmianę zeznań. Teraz zupełnie się nie liczyło, że miał na sumieniu jeszcze gorsze czyny, dzięki którym było go stać na wszystko, czego sobie tylko zażyczył, i jak mało kto potrafił używać życia. Teraz, przez te kilka minut, znowu stał się takim policjantem, jakim był zaraz na początku służby. Pełnym ideałów, wierzącym w sens walki ze złem i ścigania przestępców.

Gdyby teraz dorwał skurwysyna, który w taki sposób okalecza, gwałci i morduje nastolatki od kilku lat i wciąż pozostaje na wolności, pewnie mógłby go nawet zabić. Na pewno by go nie zastrzelił. Biłby gołymi rękami, powoli, metodycznie, złamałby mu palce, jeden po drugim, żeby ten wrzód na zdrowym społeczeństwie czuł, że umiera. Skopałby go po jajach, żeby już nigdy nie miał czego wyciągnąć z rozporka. Dopiero gdyby uznał, że cierpienie, jakie mu zadał, w niewielkiej części wynagrodziło krzywdę, którą wyrządził, przestrzeliłby mu kolana

i zadzwonił po karetkę. Nie obchodziłoby go, co by z nim później zrobili. Mogliby go nawet oskarżyć i zamknąć w pierdlu. Choć raczej by tego nie zrobili. Dlaczego? Bo każdy by mu zazdrościł, że się odważył i sam wymierzył sprawiedliwość, nie licząc się z sądami, które nieraz już swoimi łagodnymi wyrokami niweczyły pracę śledczych i pozwalały sadystom wrócić do normalnego życia albo decydowały o umieszczeniu ich w zakładach psychiatrycznych, na leczenie. A przecież, do jasnej cholery, wszyscy wiedzieli, że nie można zresocjalizować takiego psychopaty jak ten, ani tym bardziej go wyleczyć. Bestia już na zawsze pozostanie bestią i w normalnych warunkach należałby się jej strychezek. Tylko że żyjemy w jakichś dziwnych czasach, kiedy zamiast karać z pełną surowością, kierujemy się źle pojmowanym humanitaryzmem. Czy ten psychol, mordując niewinne nastolatki, wykazywał się jakimiś ludzkimi uczuciami? Nie, dlatego nie był człowiekiem; był agresywnym i śmiertelnie niebezpiecznym zwierzęciem, a do takich po prostu się strzela. I nie ma wtedy mowy o humanitaryzmie.

Tak, był za karą śmierci dla takich potworów.

– Piotr!

Wołanie Górala dobiegło do jego uszu dopiero po dłuższej chwili. Kolega jednak go wypatrzył. Żołnierz niechętnie zdusił peta pod butem i przekroczył magiczny krąg wyznaczany przez taśmę. Uścisnęli sobie dłonie. Komisarz Góralski, niezbyt odkrywczo nazywany w wydziale Góralem, był jego całkowitym przeciwieństwem. Niższy o głowę, zamiast po robocie chodzić na siłownię i rzeźbić sylwetkę, wolał skoczyć na kebab i zatroszczyć się o krągłości na brzuchu, nie golił głowy na zero, tylko starannie pielęgnował swoje czarne, kręcone włosy, odwiedzając fryzjera co najmniej raz w tygodniu. Chodził do barbera, który pielęgnował jego krótką, czarną brodę, podczas gdy Piotr golił się sam, a że tego nie lubił, jego golenie też wypadło raz w tygodniu. W tym przynajmniej była zgodność. No i jeszcze w jednym: obaj tak samo lubili przytulać brudną kasę i bawili się równie dobrze, wydając ją na dziwki. Kiedy szli w sobotę do klubu, Góral potrafił wyrwać równie ładną dupę jak Piotr, mimo że nie mógł poszczycić się wielkimi bicepsami, rzeźbioną klatą, sześciopakiem na brzuchu i sylwetką w kształcie litery V. Za to jego portfel był tak samo wypchany pieniędzmi, co w tym wypadku miało decydujące znaczenie.

– Mamy kolejną ofiarę. – Po minie Górala można było wywnioskować, że i on tego poranka wrócił do poglądów idealnego stróża prawa.

– Coś już wiadomo?

– Nastolatka, ten sam schemat, podobne obrażenia. Nie ma wątpliwości.

– Kurwa mać!

Zapytał najbliższego technika, czy może zbliżyć się do zwłok. Ten na migi pokazał mu, którędy ma iść. Poszedł, ale zaraz stanął, przelękając głośno ślinę. Widział niejedno, nic go nie ruszało, żołądek miał zawsze stalowy. Częściej rzygał po wódce niż na widok zmasakrowanych czy rozkładających się zwłok. Tylko że tym razem było inaczej. Może to świadomość totalnej porażki jako szefa grupy śledczej spowodowała u niego aż tak daleko idący dyskomfort.

Odetchnął głęboko i podszedł tak blisko, jak pozwolił mu technik. Z tyłu jednostajnie szumiała autostrada, po której w obie strony pędziły auta. To go trochę rozpraszało i musiało minąć nieco czasu, zanim odgonił od siebie wszystkie zbędne myśli i dźwięki. Skupił się jedynie na zwłokach i miejscu zbrodni. Tylko czy to było miejsce zbrodni, czy jedynie miejsce porzucenia ciała?

Rozejrzał się. Kilkanaście starych drzew z opadającymi ciężko gałęziami rośło jak wysepka na skraju pól uprawnych, należących do jakiegoś rolnika. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się łany młodego zboża, poprzecinane śladami maszyn rolniczych dokonujących oprysków i dziurawą polną drogą, którą tu przyjechali.

Spojrzał pod nogi i rozejrzał się po najbliższej okolicy. Tu kiedyś musiało być jakieś bajoro i pewnie drzewa rośły na jego skraju, skoro teren nie został nigdy zagospodarowany pod uprawy. Tyle że ostatnie lata były suche i woda, a potem błoto, wyschły, roślinność wodną z wolna zastępowała ta porastająca zwykłe łąki. Na razie jednak była niska i rachityczna.

Zwłoki leżały na brzuchu, w miejscu, gdzie wyraźnie rysował się prawie zupełnie pozbawiony roślinności łach zaschniętej gliny. Jasne, długie włosy, posklejane krwią, okalały szczelnie głowę, jak wełniana czapka w zimę. Twarzy nie było widać, z czego komisarz Żołnierz akurat był zadowolony. Ręce ofiary rozrzucone na boki – zdaniem policjanta trochę nienaturalnie, lecz nie potrafił z całą pewnością stwierdzić, czy są połamane, czy powykręcane w stawach barkowych. Plecy podrapane ze strużkami zaschniętej krwi, pośladki posiniaczone, zakrzepła krew między nogami, długie nogi pocięte, jedna stopa na pewno złamana i posiniała. Nie patrzył dłużej, tylko ostrożnie się wycofał do Górala.

– I co o tym myślisz? – zapytał go kolega.

– Nasz złośliwy duch wrócił.

Żołnierz starał się, żeby jego głos zabrzmiał w miarę naturalnie, chociaż nie do końca mu się to udało. Może na skutek ostatnich obrazów, a może był to jednak wyrzut sumienia, że się nie sprawdził jako szef grupy śledczej. Gdyby mu się udało, ta dziewczyna na pewno by żyła. Ale się nie udało. Trudno jest złapać ducha, kiedy nie ma się pojęcia, kim jest i gdzie straszy. Z tym seryjniakiem tak właśnie było. Czekał, aż zamieszanie minie, a potem mordował, uderzając zniechęta, praktycznie zawsze tak samo. Nastolatka zniknęła z ulicy po zmroku i po jakimś czasie policja odnajdywała jej okaleczone ciało. Mordowana była gdzie indziej, więc śladów w miejscu porzucenia ciała było bardzo niewiele. Do tego zabójca za każdym razem starannie to miejsce wybierał. Totalne odludzia, twardy grunt, trudny dojazd – taki był standard.

– Już wiesz o decyzji szefa? – zapytał Góral, nie patrząc na Piotra.

– Jakiej decyzji?

– Nie jesteś już szefem grupy śledczej.

Mimo że Żołnierz się tego spodziewał, poczuł się zraniony do żywego. Nikt do niego nie zatelefonował, nikt go nie ostrzegł; dowiedział się przypadkiem od jednego ze śledczych. Tak się nie postępuje z gliniarzem, który na tej robocie zjadł zęby. To było uwłaczające jego godności. Wściekłość zapaliła się i zgasła jak siarka w zapałce. No i po co mu te nerwy?

– Jak to się stało? – zapytał przez zaciśnięte szczęki.

– Ja tam nie wiem. – Góralski wzruszył ramionami, śledząc ptaki gnieźdzące się w koronach drzew. – Patryk dowiedział się na porannej naradzie u naczelnika i przekazał mi w tajemnicy. To jeszcze nic oficjalnego.

– No ja myślę – rzucił Żołnierz.

– Nie mów, że się nie spodziewałeś.

– Coś wisiało w powietrzu, ale żeby, cholera, tak od rana w poniedziałek i z tajniaka? Tego akurat się nie spodziewałem. Nie pozwolili mi nawet obejrzeć trupa w spokoju.

– Nie przesadzaj. – Góral zapalił papierosa, nie częstując kolegi. – Zwłoki obejrzałeś w spokoju, może trochę na kacu, ale wierzę, że twój policyjny nos nie jest aż tak zamroczony, żeby czegoś nie zwąchać.

Komisarz Żołnierz spojrział na niego ze złością, ale nic nie odpowiedział. Cholera, niby sami koledzy, po tych samych pieniądzach, a tylko się odwróć do nich plecami i zaraz któryś zmieni się w Brutusa z nożem. Do tego nie sposób przewidzieć który.

Może już powinien zmienić środowisko i zająć się czymś innym? Tylko czym? Nie chciał skończyć jako jeden ze współpracowników gangsterów w białych kołnierzykach. Przecież oni tylko czekali, aż odejdzie z policji. Mieli na niego tyle haków, że nawet przez myśl by mu nie przeszło, żeby odrzucić propozycję nie do odrzucenia, którą by mu przedstawili następnego dnia. Kiedyś myślał, że odłoży sporą sumkę w zielonych, wyjedzie na kraniec świata i stamtąd pokaże im cztery litery. Niestety, pieniądze przepieprzył i teraz sam znajduje się w czterech literach. Niech to szlag trafi!

– Wiadomo już, kto przejmie kierowanie grupą? – zapytał, rezygnując z zapalenia papierosa. W międzyczasie go zemdlilo.

– Prokurator też będzie nowy. – Góral miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Kto?

– Sobociński.

– No i co?

– Co ty, kurwa, masz dzisiaj kłopoty z myśleniem? Czyim przydupasem jest Sobociński?

Piotr przeklął głośno i jednak zapalił.

– Wilczyca nadchodzi i będzie kąsać – podsumował z krzywym uśmiechem komisarz Góralski.

### 3

**K**omisarz Laura Wilk, przez kolegów złośliwie zwana Wilczycą, skręcała właśnie z głównej drogi i wolno toczyła auto po wertepach między polami obsianymi zbożem, jadąc w kierunku kępy drzew znajdującej się niedaleko autostrady. Kiedyś wkurzało ją to, że koledzy z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu nazywają ją Wilczycą. Szybko jednak przeszła nad tym do porządku dziennego. Potem nawet zaczęło jej to sprawiać przyjemność. Męski szowinizm w policji miał się dobrze i jako młoda policjantka wielokrotnie spotykała się z niewybrednymi komentarzami albo propozycjami, za które chętnie dałaby rozmówcy w mordę. I raz czy dwa nawet dała, z szybkim i bardzo dobrym skutkiem.

Chyba właśnie dlatego zaczęli ją nazywać Wilczycą. Od tego momentu wszelkie seksualne aluzje się skończyły. Wilczyca – to brzmiało mocno, dumnie i niebezpiecznie. Koledzy sami wpadli w swoją pułapkę, nadali jej groźną ksywkę i dzięki niej zaczęli ją nareszcie traktować z szacunkiem, jak partnera, a nie jak twardogłową feministkę, która postanowiła zrealizować się w supermęskim zawodzie, chociaż kompletnie się do tego nie nadaje. Tylko że Laura się nadawała. Nadawała jak jasna cholera, co niejednokrotnie udowodniła, posyłając za kraty psycholi. Większość śledczych z wydziału kryminalnego o wiele mniej nadawała się do bycia funkcjonariuszem niż ona. Co chwilę im to pokazywała i ponosiła konsekwencje w postaci złych spojrzeń, złośliwych uwag za plecami, a czasem kopania zdradliwych dołków na ścieżce jej kariery.

Zresztą było już tego coraz mniej. Zostało jeszcze tylko paru skorumpowanych drani, którzy ciągle patrzyli na nią, jakby nadawała się tylko do garów, dawania dupy i zarabiania coraz większej kasy na zasiłkach porodowych i pięćset plusach. Ale z nimi też sobie w końcu poradzi. Nie znosiła zdrajców w fabryce i na pewno już dawno sprowadziłaby ich do parteru, gdyby miała twarde dowody. Było trudno, ale to tylko kwestia czasu. Poradzi sobie i z nimi.

Jednym z takich zatwardziałych oficerów, nieustających w podkopywaniu jej na wszystkie sposoby, był komisarz Żołnierz. Teraz, kiedy wreszcie ma zająć jego miejsce na czele grupy śledczej ścigającej Poltergeista, liczyła się z wybuchem wojny totalnej. I miała to w dupie.

Laura Wilk miała trzydzieści sześć lat i alergię na dzieci, stałe związki, miłość i inne cholerne kłątwy, które mogą człowiekowi zamącić w głowie. Ona była odporna. W całym jej życiu pojawił się tylko jeden facet, do którego czuła sła-

bość, jednak nie aż tak wielką, żeby planować z nim wspólne życie. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby dzielić mieszkanie z przedstawicielem płci przeciwnej, chodzić do tej samej toalety, używać tej samej wanny, wreszcie spać w tym samym łóżku. Po co ludzie robią sobie taką krzywdę? Poza tym związki ograniczają wolność. Zamiast robić to, na co akurat ma ochotę, musiałaby liczyć się ze zdaniem kogoś innego, kto miałby w tym czasie zupełnie inne pomysły. O seksie nie wspominając. Preferowała niczym nieskrępowaną wolność w tym zakresie i chodziła do łóżka, z kim chciała i wtedy, kiedy miała ochotę. Wbrew plotkom, które na jej temat krążyły po komendzie, była jak najbardziej heteroseksualna. Kobiety jej nie interesowały, nie miały do zaoferowania tego czegoś, co ją najbardziej w seksie kręciło, a wszelkie imitacje budziły tylko wstręt.

Nosiła się jak mężczyzna już od wczesnych lat szkolnych. Znajomi zawsze jej powtarzali, że w boskim systemie dystrybucji ciała i ducha musiał nastąpić błąd i Laura powinna była urodzić się chłopakiem, a nie dziewczyną. Nie zgadzała się z takim twierdzeniem. Była stuprocentową kobietą, a to, że nigdy nie ubierała się jak kobieta, niczego nie zmieniało. Nawet jasne włosy ścięła na krótko, ponieważ zbyt długie loki ją denerwowały. Na złośliwe uwagi, że zamiast do kosmetyczki chodzi do golibrody, reagowała pełnymi politowaniami uśmiezkami.

Nie miała pojęcia, kim by została, gdyby na bardzo wczesnym etapie swojego życia nie zdecydowała się na pracę w policji. Zresztą takie rozważania nie miały najmniejszego sensu. Ona urodziła się po to, żeby ścigać popaprańców, zboczeńców i zabójców. I to tych najgorszych. To był jej główny życiowy cel.

Zawsze uważała, że jest jedyną osobą w wydziale, która jest w stanie złapać Poltergeista, jednak szansę dostała dopiero teraz, kiedy znaleziono już ósme zwłoki w ciągu pięciu lat. Szef wreszcie poszedł po rozum do głowy, przestał ulegać naciskom kolegów i podjął jedyną słuszną, męską decyzję i zlecił kobiecie audyt dotychczasowego śledztwa. Dogadał się przy tym z prokuraturą i prokurator też się zmienił. Sobociński był jej przyjacielem, pracowali razem od zawsze i świetnie się dogadywali. Mimo że w powszechnej opinii uważany był za miękkiego, miał otwarty umysł i nie bał się podejmowania wyzwań. Razem z Laurą zawsze odnosili sukcesy.

Tak się złożyło, że dzień wcześniej spotkała się nieformalnie z naczelnikiem wydziału i komendantem wojewódzkim, przedstawiając im wyniki audytu. Po półgodzinie zapadła decyzja o odwołaniu Żołnierza i mianowaniu jej na szefową grupy. Na nieszczęście o poranku przyszła wiadomość o znalezieniu kolejnych zwłok. Poltergeist wrócił.

Zaparkowała na końcu szeregu aut, wysiadła i zlustrowała otoczenie. Słońce zaczynało przypiekać, autostrada szumiała, tak samo jak korony drzew w porwach wiatru. Popatrzyła, co robią technicy, a potem skierowała się bezpośrednio do stojących w pewnym oddaleniu Góralskiego i Żołnierza. Nie miała zamiaru niczego im odpuszczać. Spierdolili, więc powinni dostać po łbie.

Góral patrzył na nią z lekkim uśmiechem, kiedy się zbliżała, za to ta wielka, łysa, zarośnięta i niesympatyczna góra mięśni, w centralnej ewidencji ludności zarejestrowana jako Piotr Żołnierz, nawet na nią nie spojrzała. W ostatnim

momencie, ku zdumieniu Górala, Laura skręciła i wdała się w rozmowę z technikami. Po chwili mundurowi zabezpieczali taśmami cały teren od drogi do miejsca położenia ciała i przestawiali samochody trochę dalej, żeby nie stały w miejscu, gdzie potencjalnie mógł się zatrzymać zabójca, przywożąc tu zwłoki. Takie zmiany trwały kilkanaście minut, które spędziła na rozmowach z technikami i na sprawdzeniu terenu od strony lasu. Wkrótce i tam rozciągnęły się taśmy.

Kiedy wróciła do dwóch kolegów z wydziału, Góralski już się nie uśmiechał, a jego kolega wyglądał, jakby ładował akumulatory w laserach zamontowanych w oczach, żeby zwiększyć ich moc i spalić ją pierwszym spojrzeniem.

– Przyjechaliście tu, kurwa, na wycieczkę czy leczyć kaca? – warknęła, kiedy stanęła przed nimi z rękami w kieszeniach dżinsów.

Na szczęście Żołnierz nie dysponował żadnymi ukrytymi supermocami, ponieważ przeżyła jego pierwsze spojrzenie. Pewnie był bardzo zawiedziony.

– O co ci chodzi? – mruknął.

– Nie zabezpieczyliście w należyty sposób miejsca znalezienia zwłok – powiedziała twardo.

– Daj spokój. – Góral chciał zbagatelizować jej zarzut. – Nie padało od miesiąca, droga jest twarda jak skała, żadnych śladów.

– Sprawdziliście, którądy przeniósł tu ciało? Na pewno zostały odciski w trawie, jeśli już ktoś ich nie zdeptał.

– Na tych łachach zaschniętej gliny z suchą trawą i tak nic nie zobaczysz...

– Gównu mnie to obchodzi! – warknęła, podnosząc głos, aż stojący nieopodal mundurowi spojrzeli w ich kierunku z ciekawością. – Chcę mieć ten teren przeszukany i obfotografowany. On nie zjawiał się na środku tego wyschniętego bajora znikąd. Był obciążony ciałem dziewczyny, musiał zostawić głębsze ślady.

– Technicy tam patrzyli. – Żołnierz mierzył ją coraz bardziej wściekłym spojrzeniem.

– Nie wiesz, gdzie patrzyli, bo cię tu jeszcze nie było – odpowiedziała. – Góral, widziałeś tę ścieżkę od strony drzew? Kto ją wydeptał?

– Zwierzęta.

– A jesteś tego pewien? Może on przyszedł stamtąd i coś znajdziemy?

Nikt nie lubi, kiedy zarzuca mu się niekompetencję.

– Odczep się, Laura! – rzucił ostrzej. – Działalem tak, jak uznałem za stosowne w tej sytuacji. W ten sposób do każdego można się przyczepić.

– Zajęłaś moje miejsce i dlatego teraz będziesz po nas jeździć? – odezwał się dziwnie spokojnym głosem komisarz Żołnierz.

Laura zerknęła na niego zaskoczona. Spodziewała się eskalacji tej awantury, tymczasem on zachowywał się wyjątkowo spokojnie.

– Nie zamierzam, chociaż mam prawo być wkurzona – odpowiedziała. – Przez ostatnie dwa tygodnie przeglądałam akta ze śledztwa...

Specjalnie zawiesiła głos, żeby zarejestrować ich reakcje. Z zadowoleniem zauważyła zaniepokojenie. Wcale im się nie dziwiła. Jeśli szef w tajemnicy zleca komuś audyt prowadzonego przez ciebie śledztwa, świadczy to co najmniej o nadszarpniętym zaufaniu.

– Pamiętacie, że przy drugich i trzecich zwłokach znaleziono wióry? – zapytała.

Komisarz Góralski się trochę rozluźnił.

– W pierwszym przypadku piwnica była zanieczyszczona, więc trudno było traktować te wióry jako ważny ślad – powiedział. – W drugim zachodziło poważne podejrzenie zanieczyszczenia miejsca znalezienia ciała przez jednego z policjantów. Miał te wióry na spodniach.

Laura popatrzyła mu w oczy i pokiwała głową.

– Tylko nikt wtedy nie sprawdził, że wióry znalezione na miejscu pochodziły z drzewa sosnowego, a te na spodniach policjanta to były pozostałości po wierceniu w płycie wiórowej.

Góral zagryzł wargi i spojrzał na Piotra. Ten wzruszył ramionami.

– Wtedy nie byłem jeszcze szefem grupy – powiedział.

– Ale miałeś obowiązek jeszcze raz przeanalizować wszystko, co zostało zgromadzone w aktach.

– I to zrobiłem – odpowiedział twardo. – Nie uznałem tych wiórów za istotny szczegół. Nie przypniesz mi tego.

Laura milczała przez moment.

– Nie mam zamiaru – powiedziała wreszcie. – Nie jesteś w tej chwili na dywaniku u szefa, więc odpuściłam ci te wióry. Chciałam tylko zakomunikować, że od teraz ja dowodzę i u mnie nie będzie pobłażania za zbytnią rutynę i bylejakość. Każde miejsce znalezienia zwłok ma być sprawdzone tak, jak was uczyli w szkole i na szkoleniach. – Spuściła wzrok na leżące pod ich nogami niedopałki papierosów. – Jeśli ktoś coś zaniedba, zgłoszę to naczelnikowi i gównu mnie będzie obchodziło, kto ile lat pracuje już w psiarni. Jak się znudziło, można zmienić zawód i nie denerwować tych, którzy naprawdę chcą coś zrobić.

Ich spojrzenia były jak stukilogramowe odważniki, ale ona nie dała się przynieść. Trochę spuściła z tonu.

– Musimy znaleźć psychola, zanim zginie kolejna nastolatka. Może gdyby ktoś zwrócił wcześniej uwagę na te wióry, już byśmy go mieli.

Obróciła się na pięcie i odeszła do techników.

Żołnierz splunął za nią i wykrzywił twarz w złym grymasie.

– Jeszcze kiedyś ją załatwię – szepnął tak, żeby tylko Góral mógł go usłyszeć. – Wyjątkowo mi, larwa, działa na nerwy.

– Tylko nie mów, że taka ostra babka nie działa na twoją wyobraźnię – zakpił kolega.

– Odpieprz się ode mnie. Ona nie jest w moim typie. To słabi faceci znajdują sobie ostre laski. Prawdziwi mężczyźni nie potrzebują takich ekstremalnych podniet. To oni rządzą.

– Filozof się, kurwa, znalazł.

Kilka minut później technik przy drodze zawołał komisarz Laurę Wilk. Podeszła i przykucnęła przy nim. Wskazywał na drobinki w trawie.

– Co to jest? – zapytała, czując miły dreszcz ekscytacji na plecach.

– Wygląda na wióry – powiedział ostrożnie.



Dreszcz zmienił się w falę przyjemnego gorąca na policzkach. Miała przecucie. Po raz kolejny jej wilczy nos nie zawiódł. Przyjemnie było znowu się przekonać, że wśród rasowych policyjnych psów suki mają o wiele lepszy węch i instynkt.

– Skąd mogły się tu wziąć? – rzuciła szybko.

– Być może miał je na butach – wyraził swoje przypuszczenie technik. – Są tylko tu, dalej ich nie ma.

– Zabezpiecz mi to.

– Oczywiście.

Komisarz Wilk odeszła kilka kroków w bok i odetchnęła głęboko. Gromada ptaków zatoczyła nad jej głową łuk i wylądowała w koronach drzew. Było coraz cieplej. Jak w dziecięcej zabawie w poszukiwanie ukrytych przedmiotów. Mróz, zimno, ciepło, gorąco.

## 4

Wykład dobiegał końca. Maciej Lesiecki z zadowoleniem spojrzął na zegarek i skreślił ostatni punkt z planu wykładu. Zostały mu jeszcze cztery minuty do regulaminowego końca. Będzie czas na pytania z sali. Pomyślał o nich niechętnie. Znowu będą pytać go o głupoty, jakby w ogóle nie zrozumieli, o czym mówił do nich przez ostatnie osiemdziesiąt sześć minut. Wielokrotnie czytał, że policja coraz bardziej obniża kryteria podczas naboru. Jak dotąd takie doniesienia traktował z przymrużeniem oka. W ostatnich latach utwierdzał się jednak w przekonaniu, że coś musi być na rzeczy. Między nim a młodymi policjantami rosła coraz większa bariera niezrozumienia. A może po prostu on był coraz starszy i coraz trudniej było mu nawiązać kontakt z młodymi funkcjonariuszami? Dopuszczał taką możliwość, ale ją ignorował.

Zamknął notes z planem wykładu, wyłączył rzutnik i obrzucił wzrokiem audytorium. Ponad dwadzieścia osób na sali wykładowej i tylko kilka spojrzeń utkwionych w wykładowcy. Czy to oznaczało, że jego wykład był nudny? Nie-możliwe, ostatnio był w wyjątkowo dobrej formie.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – powiedział, spoglądając znacząco na zegarek.

Nie lubił pytań, ponieważ zawsze były takie same. Dlatego zostawiał niewiele czasu na koniec. Nawet gdyby komuś przyszło jakieś pytanie do głowy, nie zdążyłby na nie odpowiedzieć. Do końca wykładu zostały trzy minuty i trzydzieści sekund. I wtedy padło pytanie, którego nie chciał usłyszeć. Co prawda na początku umówił się z uczestnikami, że mogą o to zapytać, lecz w gruncie rzeczy miał nadzieję, że zapomną. Może nawet inni już zapomnieli, ale nie brunetka o bystrym spojrzeniu ciemnych oczu, siedząca w pierwszym rzędzie.

– Panie Macieju, obiecał nam pan ocenę niektórych osób z naszej grupy po wykładzie – powiedziała i uśmiechnęła się sympatycznie.

Takiemu uśmiechowi nie sposób było odmówić. Przynajmniej Maciej takim uśmiechom nigdy nie odmawiał.

– Jesteście pewni?

Po raz pierwszy równocześnie patrzyła na niego większość słuchaczy.

– Tak – rozległo się unisono z sali.

– No dobrze. – Postanowił zrobić to szybko i bez owijania w bawełnę. Miał niewiele czasu. – Pan w trzecim rzędzie pod oknem.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na chudego blondyna, który teraz dopiero zainteresował się wykładem.

– Pana mój wykład nudził. Podejrzewam, że nawet nie potrafi pan bez błędów powtórzyć tytułu wykładu. Przez cały czas zaglądał pan do telefonu. Stawiam, że korespondował pan z dziewczyną. Poznał ją pan niedawno, przez internet, i wiele pan sobie obiecuje po tej znajomości.

Po minie blondyna od razu można było poznać, że Lesiecki się nie pomylił. Po sali przemknęły ciche śmiechy i zaraz umilkły, ponieważ psycholog mówił bez przerwy i był już przy kolejnym uczestniku.

– Pani z warkoczem, w ostatnim rządzie. Sądząc po ilości notatek, które pani sporządziła, można by było wywieść wniosek, że była pani najpilniejszym słuchaczem w tym gronie. Niestety notatki nie dotyczyły wykładu. Pewnie zaległe raporty, prawda?

Kobieta z warkoczem zarumieniała się i posłała mu przepaszające spojrzenie.

– Pani w środku. Kilka razy chciała mi pani zadać pytanie dotyczące syndromu sztokholmskiego i za każdym razem pani rezygnowała.

– To prawda – potwierdziła natychmiast.

– Na drugi raz więcej odwagi – poradził Maciej i kontynuował: – Pan na końcu obok pani z notatkami. Proszę mi powiedzieć: o której skończyła się ta impreza? Stawiam na okolice trzeciej nad ranem.

– Trzecia piętnaście – przyznał tamten, uśmiechając się blade.

Tym razem śmiech był głośniejszy i trwał dłużej.

– Pan przy drzwiach. Warto teraz kupić forda? – Maciej udał zainteresowanie.

Mężczyzna, zdziwiony, wytrzeszczył na niego oczy.

– Chyba tak... – wyjąkał zawstydzony, chowając do kieszeni kluczyki do auta, którymi bawił się przez cały wykład.

– Pan dawno kupił?

– W sobotę.

– No właśnie. – Lesiecki pokiwał głową, podczas gdy jedna część uczestników wykładu śmiała się coraz głośniej, druga otwierała szeroko usta, zaskoczona jego spostrzeżeniami. Wreszcie wszyscy aktywnie uczestniczyli.

– Pan obok szczęśliwego właściciela nowego auta ma pewnie jakieś inne doświadczenia zawodowe, jeśli chodzi o ogólną teorię syndromu ofiary, ponieważ nie zgadza się pan z moimi spostrzeżeniami.

– Tak.

– Pani w ostatnim rządzie. – Zmierzył uważnym spojrzeniem kobietę z krótkimi brązowymi włosami wyglądającą na dużo starszą niż reszta audytorium. –

Pani jest tu przypadkowo, nie pracuje pani w policji. Być może pisze pani artykuł do prasy.

W odpowiedzi kobieta wyszczerzyła do niego białe równe zęby i podniosła kciuk na znak, że wykładowca się nie myli.

– A pani o ciemnych włosach w pierwszym rządzie koniecznie chciałaby mnie jeszcze o coś zapytać.

Zanim brunetka zdążyła otworzyć usta, rozległ się sygnał jego telefonu komórkowego.

– Niestety, czas wykładu dobiegł końca – powiedział, wstając, i spakował notatki do torby. – Dziękuję i do widzenia.

Jako pierwszy wyszedł na korytarz i ruszył szybko w kierunku toalety na jego końcu. Wszedł do środka, stanął przed najbliższą umywalką, odkręcił zimną wodę i włożył dłonie pod silny strumień. Poczuł ulgę, jeszcze chwila i by nie wytrzymał. Przez cały wykład widział przecież te wszystkie bakterie i wirusy, które z wolna wpełzały mu na dłonie z blatu biurka. Dopóki mówił, nie myślał o tym i mógł wytrzymać. Kiedy jednak skończył wykład, czuł nieprzyjemne mrowienie i drapanie na skórze. Zimna woda przyniosła ulgę.

Stał tak kilkanaście sekund, rozkoszując się poczuciem ulgi, a potem chłodem. Wreszcie wytarł dłonie w papierowy ręcznik, z teczki wyciągnął płyn dezynfekujący i dokładnie spryskał sobie ręce aż do nadgarstków. Ułga była pełna. Wreszcie mógł pomyśleć o czymś innym. Znowu rozległ się sygnał w jego telefonie. Czas na wyjście z budynku komendy policji upłynął. Za kilkanaście minut miał zaplanowany obiad w centrum i nie mógł się spóźnić. Spojrzał jeszcze krytycznie na siebie w lustrze, zmierzył dłonią czarne włosy sterzące mu we wszystkie strony, przyglądał brwi i wyszedł na korytarz.

Brunetka czekała na niego przy wejściu.

– Zrobił to pan specjalnie. – Obdarzyła go ślicznym uśmiechem.

Prawdopodobnie mógłby skłamać bez żadnych negatywnych konsekwencji, jednak kłamstwo nie leżało w jego naturze. Uważał, że do kłamstwa uciekają się tylko ludzie słabi, którzy boją się stawić czoła prawdziwemu życiu, lub ludzie perfidni, za wszelką cenę dążący do osiągnięcia własnych korzyści.

– To prawda – przyznał, nie zatrzymując się.

I tak stracił już prawie dwie minuty w łazience. Nie chciał znowu zawalić ustalonego przez siebie szczegółowego planu dnia. Niestety poszła za nim.

– Próbowałam o to zapytać już kilka razy, ale pan wciąż wykręcał się brakiem czasu – nie dawała za wygraną.

– To prawda – potaknęła, mając nadzieję, że sama się domyśli.

Nie miał czasu ani ochoty na niezaplanowane rozmowy. Nie zrozumiała albo nie chciała zrozumieć.

– Dlaczego nazywają pana Poszukiwaczem Zwłok? Jeśli nie chce pan powiedzieć przy wszystkich, proszę powiedzieć tylko mnie – nalegała.

Zatrzymał się z ręką na klamce drzwi wyjściowych.

– Droga pani. – Zirytowała go jej ciekawość, dlatego zabrzmiał szorstko i odpychająco. – A nie przyszło pani do głowy, że skoro nie mówię tego publicznie, to znaczy, że wiąże się to dla mnie z czymś przykrym, do czego nie lubię wracać?

Już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz on w tej chwili pchnął drzwi.

– Do widzenia – rzucił jeszcze i wyszedł na zalaną słońcem ulicę Sołtysovicką przed budynek komendy.

Kiedy wsiadał do rozgrzanego auta, pomyślał, że zyskuje coraz więcej dowodów na to, że młode pokolenie jest jakieś inne. Nie dość, że większość życia spędzają z nosem w telefonie, to jeszcze nie chwytają pewnych delikatnych niuansów istotnych dla relacji międzyludzkich. Gdy tylko przekreślił kluczyk w stacyjce, przyszła kolejna refleksja. Może nie jest jednak tak źle? Może to tak wygląda wyłącznie z jego perspektywy, bo on sam ma problemy z relacjami i podstawową komunikacją. Przecież od dzieciństwa uciekał przed realnym światem w świat wyobraźni. I tak miał lepiej niż ci teraz. Nie było smartfonów, więc jego wewnętrzny świat był o wiele bogatszy od tego, do którego ucieka się dzisiaj.

Sygnał telefonu oznajmił mu, że już dawno powinien ruszyć, a on jak dotąd tylko uruchomił silnik. Zapiął pasy, umieścił komórkę w uchwycie pod wstecznym lusterkiem, wycofał i ruszył z piskiem opon. Nerwowo zerkał na zegar, kontrolując upływający czas. Szybko policzył, że załapał jakieś trzy minuty spóźnienia w stosunku do planu. Przeklął pod nosem. O tej porze będą korki i nie zdoła nadrobić. Pewnie zgubi jeszcze kilka minut.

Przez najbliższe chwile rozmyślał nad zmianami w sposobie planowania dnia. Gdzie, do jasnej cholery, popełnia błąd? Przecież od wielu lat na planowaniu następnego dnia spędza prawie godzinę przed snem. I wciąż nie potrafi przewidzieć wszystkich okoliczności negatywnie wpływających na realizację planu? Kiedyś chyba nie miał aż tak wielkich problemów z poślizgami w czasie. Doszedł do wniosku, że poprzedniego wieczoru wypił o jedną szklaneczkę woodsmana za dużo, co wpłynęło na zwiększenie poziomu jego optymizmu. Zaplanował następny dzień, jakby nie miało zdarzyć się nic niezwykłego. Musi nad tym popracować, uznał, kiedy rozległ się sygnał telefonu. Natężony przez zestaw głośnomówiący, zabrzmiał jak sygnał alarmu przeciwpożarowego.

Spojrzał na panel auta. Dzwoniła Joanna, jego eks. Westchnął. Ta kobieta zatruwała mu życie nawet długo po rozwodzie. Pewnie znowu dzwoni z jakimiś pretensjami i już do końca dnia będą go gnębić wyrzuty sumienia, że znowu coś zaniedbał albo zapomniał o czymś ważnym.

Zaraz się jednak zreflektował. Przecież to już nie jest jego żona, nie może ciągle wpieprzać się w jego życie. Właściwie był tylko jeden dopuszczalny jeszcze temat, z jakim mogła do niego zatelefonować. I właśnie o to chodziło.

– Kiedy ostatnio kontaktowałeś się ze swoim synem? – zapytała prosto z mostu po chłodnym przywitaniu.

Maciej Lesiecki się strapił. No tak, już dawno nie dzwonił do Kuby, a jeszcze dawniej go widział. Musi to szybko nadrobić. Zawsze był złym ojcem, co jego eks wytykała mu przez całe małżeństwo i długo po jego zakończeniu, ale nie chciał, żeby tak było. Starał się, ale mu nie wychodziło. Problemy z samym sobą wszystko niszczyły. Zawsze był dla siebie na pierwszym miejscu. Przecież musiał jakoś normalnie funkcjonować. To pochłaniało całą jego energię i dla innych nie było już miejsca. Jego była żona nigdy nie potrafiła tego zrozumieć.

– Dawno – rzucił zdawkowo i dla świętego spokoju dodał: – Zaraz do niego zadzwonię, dzięki za przypomnienie.

Rozłączył się, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Nie musiał już wysłuchiwać jej przydługich oskarżycielskich monologów. Szybko wybrał numer do syna. Kuba odezwał się po kilku sygnałach.

– Cześć, syn! – przywitał go, udając bez troskę. – Co u ciebie?

– Cześć, tato! Mama kazała ci zadzwonić?

No tak, Kuba miał dwadzieścia jeden lat, pracował, studiował, mieszkał z dziewczyną w wynajętym mieszkaniu i znał ojca na wylot.

– Tak jakby – przyznał niechętnie. – Ale i tak bym zatelefonował. Zbierałem się od kilku dni, tylko wiesz: praca, brak czasu.

Przyhamował trochę przed korkiem na Mostach Warszawskich. Kuba roześmiał się wesoło.

– Przecież cię znam, tato – powiedział. – Nie musisz mnie bajerować.

– No tak. – Cmoknął i zamilkł zakłopotany.

– Posłuchaj, ojciec – zaczął Kuba. – Wiem, że mnie kochasz, wiem, że się o mnie martwisz, i wiem, jak ciężko ci jest do mnie zatelefonować. Mama nie ma racji. Nie mam do ciebie o to żalu. Przecież równie dobrze ja też mogę się do ciebie odezwać. Skoro się nie odzywam, to znaczy, że wszystko u mnie w porządku. Skoro ty nie dzwonicz, wiem, że z tobą też jest wszystko okej.

Maciej Lesiecki uśmiechnął się pod nosem z rozrzewnieniem. Miał mądrego syna, który do tego był inny niż on. I za to dziękował Bogu, jeśli ten istniał w niebiosach. Zawsze drżał, czy Kuba nie przejmie w genach jego najgorszych cech. Wtedy byłoby mu bardzo ciężko w życiu. Tak jak jemu teraz i od zawsze. Praktycznie od dzieciństwa, kiedy poszedł do szkoły i musiał walczyć nie tylko z własnymi demonami.

– Tak czy inaczej, może wyskoczmy niedługo na pizzę? – zapytał.

– Chętnie – ucieszył się Kuba. – Ale ja to zorganizuję, ty możesz jak zwykle zapomnieć.

– Dzięki! Może weźmiesz ze sobą Karolinę?

– O nie! – roześmiał się Lesiecki junior. – Znam twoją słabość do młodych dziewczyn, a Karolinka jest idealnie w twoim typie.

– Nie zrobiłbym ci tego – zaprotestował Maciej i razem śmiali się przez chwilę z dowcipu.

Wreszcie pożegnali się i rozłączyli. Może i był kiepskim ojcem, ale potrafił utrzymać dobre stosunki z synem i rozumieli się prawie bez słów.

W międzyczasie przejechał mosty i toczył się w sznurze aut ulicą Jedności Narodowej. Telefon piknął, oznajmiając mu, że według planu już powinien być na miejscu, a miał jeszcze kawał. Jak zwykle w takich sytuacjach zaczynał się denerwować. W skrajnych przypadkach zdarzały mu się nawet ataki paniki.

Odetchnął głęboko. Tylko spokojnie, sam sobie tak zaplanował dzień, więc po co się denerwować? Niby tak, ale nerwy były. On po prostu musiał mieć wszystko zaplanowane, inaczej nie potrafił funkcjonować i się rozpadał.

## 5

Komisarz Piotr Żołnierz stał oparty o maskę służbowego auta i palił nerwowo papierosa. Ze zdziwieniem obserwował, jak działa nienawiść. Na pewno była podstępna i zaborcza. Kilka minut rozmowy z Laurą Wilk na miejscu znalezienia ciała kolejnej zamordowanej dziewczyny spowodowało, że nagle jego niechęć do niej eksplodowała z siłą bomby atomowej rzuconej na Hiroszimę. Szybko poczyniła straszne spustoszenia w jego sposobie myślenia, przewartościowała priorytety i dokonała zmian w jego funkcjonowaniu. Przez chwilę znowu stał się prawdziwym gliniarzem, dla którego jedynym celem było złapanie zabójcy, ale nienawiść wszystko zmieniała. Zadziałała jak toksyna i zabiła w nim wszystkie dobre myśli i ludzkie uczucia. Zastąpiła ją fala złych myśli.

Już się nie zastanawiał, co by zrobił zwyrodniałcowi mordującemu dziewczyny, to nagle stało się nieistotne. W zamian zaczął myśleć, co zrobiliby Wilczycy, gdyby mógł dorwać ją w swoje ręce. Tragedia zamordowanych też stała się nieistotna i daleka. Nieoczekiwanie zabójca był mu w tym momencie bliższy. Pragnął, żeby jak najdłużej był nieuchwytny, żeby dalej mordował. Nie było istotne, ile jeszcze będzie ofiar, krwi i cierpienia. Liczyło się tylko to, żeby Wilczyca też się przejechała na tej sprawie, żeby ją też w najbliższej przyszłości zdimisjonowali i żeby chociaż przez chwilę poczuła to samo co komisarz Żołnierz, kiedy nagle dowiedział się o decyzji naczelnika. Powinna cierpieć, suka. Powinna boleśnie odczuć swoją porażkę.

Tymczasem było zupełnie inaczej. Zazgrzytał zębami z bezsilnej wściekłości. Trop z wiórami był bardzo dobry. Jeszcze tego samego dnia sprawdzili wszystkie zakłady stolarskie w mieście, które zajmowały się obróbką drzewa sosnowego. Wbrew pozorom takich firm nie było zbyt wiele. Trudniej było później. Z każdego zakładu brali listę obecnych i byłych pracowników, każdego trzeba było prześwietlić. Skoro wióry pojawiły się na butach mordercy przy najnowszym zabójstwie, ciągle musiał pracować przy drzewie albo prowadzić własną działalność gospodarczą. I na tym właśnie się skupili. Cały wydział śledczy zbierał dane. W jeden dzień wiedzieli wszystko. Szybko wytypowali pięciu podejrzanych, potem lista zawężyła się do trzech. Nigdy wcześniej nie byli tak blisko Poltergeista. Dzięki spostrzegawczości Wilczycy. I to najbardziej bolało.

Decyzję o wejściu siłą do stolarni autoryzował naczelnik wydziału kryminalnego, gdy tylko lista podejrzanych skurczyła się do jednego nazwiska. Miłosz Sobczak, lat czterdzieści trzy, samotny, niekarany, nieutrzymujący kontaktów

z rodziną, stroniący od znajomych, do bólu poukładany pedant, który całe swoje życie odmierzał z zegarkiem w rękę. Idealny kandydat na psychopatę i seryjnego zabójcę. Im dłużej go obserwowali, tym większą mieli pewność. Facet nie używał telefonów komórkowych i nie było po nim śladu w sieci. Miał tylko telefon stacjonarny. We współczesnym popierdolonym świecie trudno jest znaleźć teraz taką zjawę, która nigdzie nie zostawia śladów. No chyba że przez niedopatrzenie albo zbytnią nonszalancję przynosi wióry w miejsce, gdzie porzuca zwłoki.

Zadzwoiła komórka.

– Słucham – powiedział do słuchawki i nie poznał swojego głosu.

– Góral z tej strony – rozległ się głos kolegi. – Gdzie ty jesteś? Szykujemy się na akcję.

– Utknąłem na mieście – skłamał. – Jeszcze coś sprawdzam.

– Co sprawdzasz? – W głosie Górala pojawiły się nuty zaskoczenia.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – rzucił opryskliwie Żołnierz.

– Może nie chcę.

– Będę na czas, bez obaw.

Piotr schował telefon do kieszeni i zapatrzył się w budynek po drugiej stronie ulicy. Parterowy, trochę zaniedbany, brudne szyby w oknach pewnie nie wzbudzały zaufania potencjalnych klientów, ponieważ od godziny nie zawitał tu pies z kulawą nogą. Nawet szyld nad szerokim wejściem oznajmiający światu, że oto w tym miejscu znajduje się zakład stolarski, nie spełniał swojej funkcji w naganianiu klientów. Brama na posesję była otwarta, po obu stronach podwórza leżały deski i płyty ułożone w stosy zabezpieczone plandekami przed deszczem. Gdzieś niedaleko wały się resztki wyglądające jak odpady z produkcji albo efekty niedołności stolarza.

Policjant zaparkował auto z dala od drogi, na małym parkingu przy sklepie spożywczym. Nie chciał, żeby namierzyli go koledzy, bo przecież zakład od co najmniej dwóch dni był pod stałą obserwacją. Czytał raporty. Właściciel czasem wyjeżdżał bussem do hurtowni po materiały, jednak nigdy na długo. Jeden z policyjnych wywiadowców twierdził, że mieszka w zakładzie.

Samochód tajniaków namierzył po dłuższej chwili. Niezłe się zakamuflowali na skrzyżowaniu z boczną uliczką za zdezelowanym oplem vectrą, który musiał tu stać już kilka lat i oczekiwał na ostatnią przejażdżkę na szrot. Nie mógł wejść od frontu, ponieważ zaraz go zauważą. Nie mógł także udać klienta o tak wczesnej porze, ponieważ wzbudziłby ich ciekawość. Musiał wejść od tyłu. Już wcześniej sprawdził, że zakład stolarski graniczy z prywatnym domem. Wysoki żywopłot wystający sporo ponad siatkę ogrodzeniową dobrze strzegł prywatności mieszkańców domu i pewnie po części tłumił odgłosy maszyn.

Ostatni raz sprawdził pistolet, wysiadł, wypalił w pośpiechu papierosa, obserwując teren, wreszcie wyszedł na chodnik. Oddalał się od tajniaków przy zardzewiałym gruchocie. Miał na głowie czapkę z daszkiem, założył ciemne okulary, trochę się zgarbił i zaczął lekko utykać na prawą nogę. Nawet jeśli go zobaczą – co było mało prawdopodobne – taki kamuflaż oddali od niego wszelkie podejrzenia. Najprostsze metody są najbardziej skuteczne.



Przeszedł do najbliższego przejścia dla pieszych. Przystanął, czekając, aż ktoś z aut go przepuści. Nie trwało to długo. Świadomość, że pieszy ma na pasach absolutne pierwszeństwo, powoli zadomawiała się w głowach kierowców. Poza tym to była kiedyś wioska, która na skutek miejskiej ekspansji trafiła w granice Wrocławia. Ruch był niewielki, okolica cicha i senna. Obszedł kilka ulic i znalazł się na tyłach parterowego budynku wynajmowanego na zakład.

Dookoła panowała cisza, jakby nikogo nie było w środku, co sugerowały też opuszczone żaluzje we wszystkich oknach. Tylko uchylone tylne drzwi świadczyły, że jest inaczej.

Żołnierz stał chwilę przy ogrodzeniu, nasłuchując i rozglądając się. Tyły domu też powinny być obstawione przez policję. Fuszerka – pomyślał złośliwie o Wilczycy. Ona też nie panuje nad tym całym bałaganem. Pewnie operacyjni się nie dogadali i tył pozostał bez zabezpieczenia. Będzie z tego potem niezła chryja, ale jego to teraz nie obchodziło. Taka wpadka kolegów była mu wyjątkowo na rękę.

O ile w zasięgu wzroku nie dostrzegł nikogo, o tyle z budynku dobiegły go nagle odgłosy. Wkrętarka, młotek, przesuwanie czegoś po podłodze i po chwili podobny zestaw dźwięków. Czyli podejrzany był w środku.

Policjant już się nie wahał. Jednym skokiem przesadził ogrodzenie, wyszarpanął z kabury pistolet i zatrzymał się przy drzwiach. Znowu nasłuchiwał. Odgłosy dobiegały z głębi pomieszczeń. Pchnął lufą drzwi i wślizgnął się do zakładu. Znalazł się w krótkim korytarzu. Po prawej stronie dostrzegł pomieszczenie biurowe, w którym znajdowały się biurko, krzesło, komputer, szafa z opisanymi równo czarnymi segregatorami, umywalka i naczynia na półce. Panował tu idealny porządek. Nikt nie jest w stanie zachować takiego ładu w miejscu, gdzie przecież ciągle unosi się kurz i lecą wióry. Jakby ktoś, kto dbał o ten porządek, cierpiał na zaburzenia psychiczne pchające go do kompulsywnego sprzątanania i ścierania kurzu.

Żołnierz poszedł dalej w kierunku dźwięków. Tu też było coś nie tak. W miejscu, gdzie tnie się drewno wielkimi piłami, a następnie z wyciętych elementów składa meble, powinno być dużo światła. Tymczasem w pomieszczeniu panował półmrok. Zaciągnięte żaluzje nie wpuszczały promieni słonecznych, lampy na suficie były wyłączone. Na tle lampki oświetlającej ustawiony w głębi stół widział tylko zarys mężczyzny odwróconego do niego tyłem. Żołnierz postąpił dwa kroki do przodu i wyciągnął przed siebie broń.

– Policja! Nie ruszaj się! – powiedział ostro.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Odłóż narzędzia i wyżej ręce! – zakomenderował policjant.

Bez reakcji.

– Liczę do pięciu i strzelam!

Tamten wolno odłożył wkrętarkę i wyprostował się. Był wysoki i postawny, choć nie tak wysoki jak Piotr i nieco mniej masywny.

– Ręce do góry! Chcę widzieć twoje ręce!

Facet w cieniu spełnił jego polecenie. Ręce płynnym ruchem powędrowały do góry.

– A teraz się odwróć!

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. To była dziwna sytuacja. Żołnierz nie mógł dostrzec wyraźnie jego twarzy. Tylko oczy błyszczały, jak dwa diamenty jarzące się zimnym blaskiem.

– Co mnie zdradziło?

Miał zaskakująco przyjemny tembr głosu; nie wykazywał nawet cienia zdenerwowania. Pewnie liczył się z tym, że kiedyś policja wpadnie na jego trop i zostanie złapany. Mimo to jego opanowanie zaskoczyło policjanta.

– Wióry – rzucił w odpowiedzi.

Poltergeist analizował coś w milczeniu, wreszcie pokręcił głową i Piotrowi wydało się, że przez jego twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– Wióry – westchnął. – No tak, to możliwe.

Znowu zapadła przedłużająca się cisza.

– I co teraz? – Zdawał się naprawdę zaciekawiony tym, co go czeka. – Jestem aresztowany? Skujesz mnie?

Jednak Żołnierz miał w stosunku do niego inne plany.

– Za kilka minut okolica zaroi się od policjantów – powiedział. – Obserwujemy cię od kilkunastu godzin. Zbieraj się, masz mało czasu.

Znowu minęła chwila, zanim zabójca zrozumiał sens tych słów. Komisarz go zaskoczył, dlatego cisza trwała tak długo.

– Nie rozumiem – powiedział wreszcie. – Chcesz mnie zastrzelić przy próbie ucieczki?

– Nie, chcę cię wypuścić.

– Nie wierzę ci. – Pokręcił głową. – Strzał w plecy? Naprawdę aż tak się mnie boisz?

Policjant poczuł narastającą wściekłość.

– Nie boję się ciebie. Spierdalaj, bo zaraz będą tu gliny.

Zabójca wciąż stał bez ruchu. Atmosfera gęstniała coraz bardziej.

Żołnierz poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach, który spłynął w dół kręgosłupa wraz z kroplą potu z karku. Poltergeist samą swoją obecnością roztaczał wokół atmosferę lęku i niepewności. Może gdyby widział jego twarz, mógłby rozszyfrować uczucia, jakie nim targają, i odgadnąć, co mu w tej chwili chodzi po głowie. Jednak mimo upływu czasu jego oczy wciąż nie mogły przeniknąć mroku. Uniósł broń wyżej.

– Spierdalaj! – powtórzył.

– Naprawdę mnie puszczasz? Dlaczego?

– Powiedzmy, że mam ważny powód.

Poltergeist zastanawiał się jeszcze przez moment, aż wreszcie zaryzykował. Postąpił dwa kroki do przodu i nagle stanął, jakby się rozmyślił.

– Ale wiesz, że będę dalej zabijał? – zapytał.

Żołnierz starał się, aby jego głos zabrzmiał poważnie i zdecydowanie, lecz w mężczyźnie przed nim było coś takiego, co odbierało pewność siebie i wysysało energię. Dlatego musiał odchrząknąć, zanim zdołał coś powiedzieć.

– Nie zdążysz. Następnym razem cię zabiję.

– Nie będzie żadnego następnego razu. – Znowu to lekceważenie w tonie głosu.

Mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, zabójca był bardzo pewny siebie.

– Nie boisz się, że to ja kiedyś przyjdę do ciebie?

Słowa nieoczekiwanie zmroziły Żołnierza. Przez chwilę się zawahał. Czy na pewno aż tak nienawidził komisarz Laury Wilk? Aż tak, żeby teraz wypuścić seryjnego mordercę? Tylko po to, aby jej zaszkodzić? Korciło go, by nacisnąć na spust i zakończyć tę sprawę tu i teraz. Tylko że gdyby zabił zabójcę, poważnie by sobie zaszkodził. Kto wie, czy to nie byłby jego koniec w policji. Przecież wszyscy by zrozumieli, że zrobił to tylko z nienawiści do Wilczycy, chcąc jej zaszkodzić. Czy jest w stanie aż tyle zaryzykować? Nie. Teraz nie było już odwrotu.

– To by było głupie. – Z trudem przywołał uśmiech na twarz. – Jeśli będziesz próbował, to cię zabiję.

– Zrozumiałem ostrzeżenie.

– Ja twoje też – rzucił komisarz. – Tracisz czas. Oni zaraz tu będą.

Poltergeist ruszył w kierunku drzwi. Nie obejrzał się, nic nie powiedział, jakby nagle się zdematerializował. Zostały po nim tylko jakiś nienaturalny mrok oraz lęk i niepewność wiszące w powietrzu, jak po wizycie demona z samego dna piekła.

Komisarz Żołnierz opuścił broń, odetchnął głęboko i wytarł wierzchem dłoni pokrytą potem łysą czaszkę. Kurwa mać, to chyba naprawdę była zjawa. Nagle poczuł, że jest cały roztrzęsiony. Z trudem zapanował nad drżeniem rąk, nogi miał dziwnie słabe, jakby godzinę spędził na siłowni, dźwigając ciężary. Kim naprawdę był ten facet? Człowiekiem czy złym duchem, jak go nazywali?

Szybko wziął się w garść. Jego też już dawno nie powinno tu być. Poszedł w kierunku drzwi, szurając nogami, żeby technicy nie mogli znaleźć jego śladów na pokrytej włórami podłodze. Przy drzwiach wydawało mu się, że z prawej strony dobiegł go jakiś odgłos. Zmartwił. Czyżby zabójca jednak nie uciekł? Jeśli tak jest i da się tu złapać ekipie Wilczycy, on też będzie udupiony. Może nawet bardziej, niż gdyby go zastrzelił. Musiał działać.

Na końcu krótkiego korytarzyka dostrzegł uchylone drzwi. Poszedł tam z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Krople potu znowu zgromadziły mu się na głowie, ale teraz nie miał już czasu, żeby je wytrzeć. Pchnął lufą walthera drzwi, poczekał, aż otworzą się z lekkim skrzypieniem. Tak, to był ten dźwięk, który go zaniepokoił. To skrzypnięcie. Zajrzał szybko do środka i natychmiast się wycofał. To był rzut okiem, jak flesz migawki aparatu fotograficznego.

Zanalizował obraz, jaki został mu przed oczami. Małe pomieszczenie bez mebli, okno zasłonięte dyktą i coś dziwnego na ścianie naprzeciw drzwi. Jakiś kształt przypominający... no właśnie, co? Jeszcze raz wyjrzał i znowu nie potrafił powiedzieć, co widzi.

Wślizgnął się do środka i przyklęknął przy bocznej ścianie, omiatając bronią niewielką przestrzeń. Pusto. Spojrzał na ścianę i nagle jego palec sam zaczął napierać na spust broni w obronnym odruchu.

Kościół był pełen ludzi. Ksiądz przemawiał takim tonem jak wszyscy kapłani. Trochę ściszym, uduchowionym, udającym żal i cierpienie.

– Kochani! Spotkaliśmy się dzisiaj, żeby pożegnać świętej pamięci Romana Książyka. – Zrobił pauzę, czekając, aż echo jego głosu płynącego z głośników wybrzmi w całej świątyni. – Kiedy odchodzi ktoś tak młody i pełen życia jak Romek, to straszny cios dla rodziców, rodziny, przyjaciół, znajomych i nas wszystkich. Kochani, nie rozumiemy, dlaczego Pan Bóg przyzwał do siebie chłopca, który miał przecież całe życie przed sobą. W takiej chwili może pojawić się nawet bunt przeciw Najwyższemu, może się pojawić bluźnierstwo, złorzeczenie, a nawet obraza i odejście od Boga. I ja was teraz przed tym przestrzegam! Powtarzam: ostrzegam was przed takim rozumieniem tego tragicznego zdarzenia! Nie nam, maluczkim, wtrącać się w boskie plany, potępiać je i krytykować. Każde działanie Boga ma swój ukryty cel. Krótkie życie Romka, a potem jego tragiczna śmierć, miały swój cel! – Zamilkł wymownie i omiół wzrokiem kilka rzędów ławek. – Pan Bóg nas wszystkich kocha i chce dla nas jak najlepiej. Bardzo zależy mu na tym, żebyśmy byli silni i odporni na działania Szatana. Dlatego poddaje nas próbom, które mają nas wzmocnić, mają nas do niego przybliżyć, a wreszcie mają nas ostrzec przed grzechem. Bo, jak powiada Pismo, „nie znasz dnia ani godziny”, dlatego musisz być przygotowany na spotkanie z Panem w każdej chwili. I o tym nam właśnie mówi śmierć Romka!

Ariel dalej nie słuchał. Nie był już proszkciem do prania, przełamał się sam. Bóg, który kazał rówieśnikom chłopca bez przerwy go prześladować, nie miał z tym nic wspólnego. To on tego dokonał, nie jakiś niedostępny starzec w niebiosach. Zresztą nie ma żadnego Boga, jest tylko człowiek i jego psychika. Liczenie na boską pomoc, modlitwy dziękczynne, bicie pokłonów nieistniejącym bóstwom, które gównem mogą, jest przejawem słabości. Ludzkie miernoty bojące się własnego cienia czekają na pomoc od Boga, zamiast samemu podejmować decyzje. Kiedy układa się im w życiu, to znaczy, że Bóg jest dla nich łaskawy. Kiedy zaś cierpią, to znaczy, że Bóg tak chciał i poddaje ich próbie. Gdzie tu jest wolna wola? Bóg – jeśli oczywiście wierzyć dogmatom – obdarzył ludzi wolną wolą, a to znaczy, że sami mają kierować swoim życiem. On się w nie wtrąca. A słabi, głupi ludzie we wszystkim upatrują jego interwencji. Osiągają sukcesy nie dzięki własnej pracy, mądrości i wytrwałości, tylko mówią, że Bóg im pomaga. A kiedy spierdolą sobie życie i taplają się w gównie, to przecież nie jest ich wina, Bóg ich karze albo doświadcza. Nieważne, że w życiu podejmowali głupie decyzje, które spowodowały ich upadek; oni nie są winni, to Bóg za nich decydował. Bóg odpowiada za wszystko. To może lepiej jest nic nie robić i czekać na to, co Bóg nam da, albo nie wiedzieć, czemu zabierze. Bóg zapłać, dzięki Bogu, chwała Bogu, kara boska – pieprzenie ludzi słabych i głupich.

Ariel czuł mdłości, kiedy rozglądał się po uduchowionych i pełnych cierpienia twarzach uczestników mszy. Cholerna hipokryzja. Teraz zginają karki przed ołta-

rzem, żeby za chwilę stąd wyjść i dalej chlać wódkę, bić żonę, obmacywać własne dzieci, pieprzyć sąsiadkę w stodole za chałupą, obgadywać innych, przeklinać, kraść i oszukiwać. Gdyby Bóg naprawdę istniał, już dawno wypaliłby świat ogniem, jak kiedyś Sodomę i Gomorę. Skoro świat istnieje i jest, jaki jest, to znaczy, że Boga nie ma. Trzeba radzić sobie samemu.

*Nie błagaj o litość, ponieważ nie ma żadnego Boga.*

*Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych.*

*Pomóc możesz sobie tylko sam.*

*Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie.*

*Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.*

Nieświadomie wyszeptał swoją mantrę, która sprawiała, że z każdym dniem był silniejszy.

Nagle poczuł bolesne szturchnięcie w ramię i jego myśli wróciły z wędrówki po zaświatach do „tu i teraz”. Ojciec patrzył na niego gniewnie.

– Zamknij się! – szepnął.

Ariel nic nie odpowiedział, ale posłusznie się zamknął. Nie chciał tego mówić na głos, nie chciał, żeby świat wiedział, co w nim siedzi. Jeszcze nie teraz. Dopiero gdy ojciec odwrócił od niego wzrok, on spojrzął na niego. Cholerny, zakłamany skurwysyn. Codziennie po powrocie z pracy chleje wódkę i znęca się nad nim, potem wstaje rano do pracy, ale żeby w ogóle móc dojść do łazienki, najpierw wali setę na kaca. I tak w kółko, od lat. Ale w kościele jest pierwszy. Klasyczny przykład człowieka miłującego Boga i bliźnich.

Ksiądz ciągle pierdolił, jakim to dobrym młodzieńcem był „świętej pamięci Roman”, a Ariela ogarniał śmiech, kiedy tego słuchał. Romek był miernotą, niewiele inteligentniejszą od kija od szczotki, jego najlepszą rozrywką było dręczenie słabszych, a wieczorami popijał tanie wina ze swoimi przydupasami na szkolnym boisku. Idealny kandydat na bandytę i wiecznego lokatora zakładów penitencjarnych. Świat bez niego będzie o wiele lepszy.

Ariel był z siebie dumny, bo przecież on też trochę przyczynił się do tego, że dawny prześladowca leży teraz w trumnie, otoczony wianuszkami rozpaczających. Piękny widok, taki budujący i nawet podniecający. Sam jest sobie winien. Po co pchał się do zrujnowanego pałacu? Przecież to było niebezpieczne miejsce, w każdej chwili budynek groził zawaleniem. Nie na darmo wszędzie rozwieszono tabliczki zakazujące wstępu do środka. A ten przyglup poszedł tam ze swoimi jeszcze mniej inteligentnymi kolegami. Może naprawdę nie umiał czytać, o co podejrzewała go nauczycielka języka polskiego?

Potem kondukt żałobny, zawodząc niemilosiernie jakieś pogrzebowe pieśni, od których Arielowi więdły uszy i drętwiały dżiąsła, ruszył na cmentarz. Został trochę z tyłu za ojcem i szedł wśród ubranych na czarno koleżanek z klasy. One przynajmniej nie udawały, że są zrozpaczone po śmierci Romka. Im też dał się we znaki.

Ariel lubił towarzystwo dziewczyn bardziej niż chłopców. A dziewczyny lubiły jego, bo był grzeczny, poukładany, sympatyczny, nigdy nie przeklinał i nawet na swój trochę szczeniacki sposób je adorował. Tak, lubił dziewczyny. A jeszcze bardziej, odkąd odkrył tajemnice masturbacji. Fantazjował o nagich, młodych dziewczęcych ciałach i było to dla niego największą podniętą.

Kiedy wreszcie tego debila Romka zakopali tam, gdzie od zawsze było jego miejsce, a potem przysypali górą kwiatów, ludzie zaczęli się rozchodzić. Ariel chciał wracać z dziewczynami, ale twarda dłoń ojca zacisnęła się na jego ramieniu. Nawet nie próbował się przeciwstawić, żeby nie sprowokować awantury, która zapewne by wybuchła, kiedy już stary nasączy się wódką jak gąbka wodą.

Ojcu zebrało się na rozmowę uświadamiającą.

– Ty też chodziłeś do pałacu? – zapytał ochryple.

– Nie, tato.

Pewność w głosie syna najwidoczniej zbiła go z tropu.

Ariel uświadomił sobie nagle, że ojciec zupełnie go nie zna. Pewnie myślał, że kolegował się z Romkiem i jego przybocznymi troglodytami, włóczył się razem z nimi, popijał wino i palił papierosy.

– No to pamiętaj, że nie wolno chodzić w takie miejsca – odezwał się stary, gdy przeszli kilkanaście kroków. – Widzisz, jak to się może skończyć.

– Tak, tato.

– No, to chodź do sklepu. Kupię ci lody na pocieszenie.

Ariel dostał lody, a ojciec ukrył flaszkę wódki pod połą marynarki. Lód wcale mu nie smakował, ale lizał go cierpliwie. Nienawidził starego. Ojciec ukończył polonistykę i był dobrze zapowiadającym się dziennikarzem, zanim zaprzyjaźnił się z Panią Flaszka i spierdolił życie sobie i najbliższemu. Matka Ariela wiele lat temu popełniła samobójstwo, skacząc z dziewiątego piętra jakiegoś wieżowca. No i ojciec popełnił jeszcze jeden niewybaczalny błąd w swoim życiu. Nazwał go Arielem. Pewnie jeszcze wtedy mniej pił, czytał Szekspira ze zrozumieniem, a matka nie chorowała na depresję. Podobno kiedyś był też aktorem i grał na scenie w sztuce Szekspira. Minęły lata i romans z Panią Flaszka zamienił ich życie w gówno. Ciekawe, jak teraz wyglądałaby *Burza*, gdyby Szekspir pisał ją na podstawie ich przeżyć. Wyobraził to sobie:

**prospero:** Przybywaj, Arielu, mój duszku powietrzny.

**ariel:** Słucham Cię, mój panie.

**prospero:** Mam do ciebie wielką prośbę, przyjacielu. Zawołaj Panią Flaszka z lodówki, gdyż słyszę nadciągający nieuchronnie sztorm, a spragnionym okrutnie.

**ariel:** Ależ oczywiście, mój panie.

*(Ariel odchodzi, po chwili wraca)*

**ariel:** Pani Flaszka już tu zmierza.

**prospero:** Dzięki ci wielkie, jestem zobowiązany. Czy kazała mi coś rzec?

**ariel:** Oczywiście, mój panie. Już przybywa na skrzydłach burzy i gwarantuje ci czterdzieści procent rozkoszy. Ja od siebie życzę ci, abyś jak zwykle się zakrzuszył i zrzygał co najmniej trzy razy, a potem niech odwiedzi cię pijacka czkawka.

**prosepro:** Dziękuję, przyjacielu.

*(Wchodzi roześmiana Pani Flaszka. Kurtyna. Koniec aktu 1834)*

– O czym tak rozmyślasz? – Szturchnięcie w ramię wyrwało Ariela z zamyślenia.

– O niczym. – Skończył jeść lody i wyrzucił papierek do zarośniętego rowu przy domu.

– Nie śmieć – pouczył go ojciec.

– To tylko ten jeden raz, tato.

– Mhm... – Stary najwidoczniej usilnie próbował znaleźć jakiś temat do rozmowy, ale już paliła go butelka pod marynarką i miał pustkę w głowie. – Ale pamiętaj, nie chodź do starego pałacu.

– Pamiętam, tato.

– No!

Ojciec wszedł do domu i już nie interesował się synem. Ariel wspiął się po drewnianych schodach na poddasze do swojego pokoju. Po drodze słyszał skrzypienie otwieranej szafki i brzęk szkła. Uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze nie teraz. Kiedyś tym też się zajmie. Na razie musi ćwiczyć, bo chce być coraz silniejszy.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić – powiedział do siebie i zatrasnął drzwi.

## 6

- **G**dzie jest Żołnierz? – zapytała komisarz Laura Wilk, patrząc na Góral-  
skiego takim wzrokiem, jakby podejrzewała ich o knucie czegoś za jej plecami.

Góral trochę się zmieszał i nie odpowiedział od razu.

Siedzieli w nieoznakowanym policyjnym radiowozie zaparkowanym za rogiem na skrzyżowaniu z ulicą, na której kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się interesujący ich zakład stolarski. Grupa interwencyjna szykowała się do wejścia do środka. Kilku ubranych na czarno, zamaskowanych i uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy zajmowało właśnie pozycje na tyłach małego parterowego budynku. Następni ulokowali się od frontu, dwóch z taranem szykowało się do wyważenia drzwi. Czekali tylko na rozkaz dowódcy, żeby wyłamać zamki i wejść do środka w akompaniamencie granatów hukowych i głośnych okrzyków. Taka taktyka jest najskuteczniejsza. Szok spowodowany wybuchami, krzykiem i zamieszaniem nawet największego twardziela paraliżuje na kilka sekund. Tyle wystarczy, żeby delikwent leżał na glebie z rękami skutymi za plecami i twarzą wciśniętą w deski podłogowe. Albo wióry, jak w tym przypadku.

– Nie wiem, gdzie jest Piotr – odburknął Góral, z trudem tłumiąc poczucie winy wywołane słowami Wilczycy.

Cholera, nie opuszczało go wrażenie, że ona prześwieśla go wzrokiem na wylot, odczytuje myśli i wie o wszystkich złych rzeczach, jakie przez lata robił za pieniądze dla ludzi z miasta. Nie dziwiłby się, gdyby któregoś pięknego poranka wpadli do niego ci sami funkcjonariusze z łomem i granatami. Im byłoby obojętne, kogo obezwładniają. Jeśli gliniarza, to być może mieliby nawet większą satysfakcję i byłoby o czym opowiadać przy wódce jeszcze przez długie miesiące.

W tym samym momencie otworzyły się tylne drzwi ich auta i do środka wślizgnął się komisarz Żołnierz. Góral odetchnął z ulgą. Teraz cały wkurw Wilczycy skupi się na nim.

– Gdzie byłeś? – warknęła, patrząc na komisarza we wstecznym lusterku.

– Nieważne, już jestem – odwarknął Piotr.

Chyba chciała coś jeszcze powiedzieć, ale już się nie odezwała. Wpatrywała się jedynie w odbicie Żołnierza. Góralski przesunął się trochę w stronę miejsca kierowcy i też spojrzął w lusterko. Z trudem rozpoznał kolegę. Żołnierz wyglądał



jak śmierć na chorągwi. Był chorobliwie blady, spocony, oczy błyszcząły mu niezdrowo i ciężko oddychał.

– Co ci się stało? – zapytał zaniepokojony.

– Nic, biegłem – zbył go Piotr, trochę bardziej zachrypniętym głosem niż zwykle.

– Słaba kondycja? – zakpiła Laura. – Zanedbujesz mięśnie nóg na siłowni.

Nic nie odrzekł. To także było alarmujące. W normalnej sytuacji nie odmówiłby sobie złośliwej odpowiedzi na zaczepkę. Góral pociągnął nosem. Nie wyczuwał woni alkoholu ani nawet zapachu podłych papierosów wypalonych w nadmiarze. Coś więc musiało się stać.

Rozmyślenia przerwał mu chrząst głośnika w krótkofalówce Wilk.

– Zero dwa do zero jeden. Na pozycjach!

– Zero jeden, zrozumiałam.

– Tu zero dwa, wchodzimy za minutę.

– Powodzenia!

Jak na komendę szarpnęli klamki w drzwiach i wysiedli prawie równocześnie. Sprawnymi ruchami sprawdzili broń i mocowanie kamizelek kuloodpornych. Sto metrów dalej druga część ich ekipy robiła to samo.

– Trzydzieści sekund – zaskrzeczał ponownie głośnik.

Senna uliczka na przedmieściach nagle stała się jeszcze spokojniejsza. Jakby zawisł nad nią czasowstrzymywacz i rozciągał ostatnie sekundy jak gumę do żucia. Wreszcie padło:

– Teraz!

Od strony zakładu dobiegł ich odgłos tarana wyważającego drzwi, a sekundę później wybuchły granaty hukowe. Zaraz też pojawiły się okrzyki. Senna uliczka nagle zmieniła się w scenę jak z westernu.

– Szóstka, czysto!

– Zero pięć, u mnie pusto!

– *Clear!* – rzucił ktoś jeszcze mniej regulaminowo.

Co za dupek?

Laura dobiegała właśnie do wyważonych drzwi, za nią była już jej ekipa. W drzwiach stał dowódca antyterrorystów.

– Pusto – powiedział krótko. – Ptaszek wam spierdolił.

Wilczyca zazgrzytała zębami, jakby naprawdę była częścią watahy i szykowała się do przegryzienia mu gardła. Wkurzała ją taka postawa: „Gdyby w środku ktoś był, to MY go udupiliśmy, ale skoro nikogo nie ma, to WAM spierdolił”.

Opanowała się i ruszyła do środka. Zanim wyminęła go w drzwiach, znowu odezwała się krótkofalówka.

– Tu zero trzy, lepiej, żebyście sami to zobaczyli.

Laura poszła pierwsza, za nią Góral i reszta. Żołnierz nie wiadomo dlaczego ociągał się z wejściem do środka. Kiedy w końcu przestąpił próg, nie poszedł za nimi, stał daleko, blady i jakby lekko roztrzęsiony. Tak przynajmniej postrzegał jego zachowanie Góral, który obserwował kolegę od chwili, gdy ten zjawił się

w samochodzie. Pierwszy raz widział go w takim stanie. Jakby zupełnie niedawno zobaczył zwiastun własnej śmierci albo inną przerażającą wizję.

Komisarz Wilk przeszła wzdłuż krótkiego korytarza, na którego końcu w otwartych drzwiach stał jeden z kominiarzy. Kiedy była już blisko, odsunął się, żeby miała lepszy widok.

– To jakiś horror – rzucił tylko i odszedł zacerpnąć powietrza albo się wyrzucić. W zależności od tego, czy zdąży do wyjścia po świeży tlen.

Laura zatrzymała się na progu, z kieszeni wyciągnęła latarkę i poświeciła na przeciwną ścianę, rozpraszając trochę mrok. Koledzy stanęli za nią i też próbowali zajrzeć do środka. Nie pozwoliła im jednak przekroczyć progu.

W pierwszej chwili nie rozumiała, na co właściwie patrzy i o co całe zamieszanie. Bo kogo obchodzi dziwna kukła wisząca na ścianie? Potrzeba było kilku sekund, aby w jej oczach kukła zmieniła się w rozczłonkowane ludzkie szczątki, a ten widok niósł ze sobą już zupełnie inny przekaz.

Poczuła mrowienie na karku i z trudem przełknęła ślinę. Z tyłu rozległy się pomruki zaskoczenia, jęki i przekleństwa. Nie bacząc na protesty, wyłączyła latarkę. W tym czasie przymknęła oczy, spróbowała opanować myśli kłębiące się pod czaszką, uspokoiła oddech i ponownie otworzyła powieki. Teraz była już gotowa. Włączyła latarkę i dokładnie otaksowała wzrokiem makabryczną inscenizację.

Zwłoki mężczyzny zostały przytwierdzone do ściany metalowymi obręczami. Był nagi i musiał nie żyć od bardzo dawna. Ciało poczerniało, wyschło, zamieniło się w zmumifikowane szczątki, w których z trudem można było rozpoznać człowieka. Głowa, tułów, ręce i nogi były porozdzielane, a zwyrodnialec ułożył je ponownie na ścianie, jak drewniane klocki dla dzieci, i dobrze przymocował. Między poszczególnymi elementami tej układanki widniały spore odstępki. Głowa z metalową opaską na czole wisiała pod samym sufitem, dużo wyżej od tułowia, ręce odcięte w okolicach barków przymocowano do ściany w pewnym oddaleniu od korpusu, tak samo jak nogi. Denat wyglądał jak szmaciana lalka, w której puściły szwy i rozpadła się na części składowe.

Za plecami Laury długo panowała cisza, aż wreszcie rozległy się ciche przekleństwa i pełne niedowierzania westchnienia. Kto był na tyle szalony, żeby skonstruować taką koszmarną instalację? Poltergeist? Prawdopodobnie, tylko że w pomieszczeniach zakładu nie było poszukiwanego mężczyzny, podczas gdy policyjni wywiadowcy obserwujący to miejsce od kilkunastu godzin zarzekali się, że tu jest.

Laure zalała fala wściekłości. Jeśli przez nonszalancję tych kretynów zrobili nalot na pusty budynek, to spłoszyli zabójcę i on nigdy tu już nie wróci. Zasztytę się w jakiejś dziurze i przeczeka burzę, jaka się wokół niego rozpętała. A to znaczy mniej więcej tyle, że mają niewielkie szanse, żeby go złapać, zanim znowu zamorduje.

– Wezwijcie techników – rzuciła w przestrzeń dopiero po długiej chwili. – I wynosimy się stąd, żeby nic nie zdeptać. Chcę wiedzieć, kim jest ta mumia na ścianie. Góral!

– Tak?

– Gdzie są ci idioci, którzy mieli mieć oko na budynek?

– Czekają na zewnątrz.

Komisarz Wilk odwróciła się na pięcie i przedarła przez grupę ludzi za jej plecami. Po drodze minęła komisarza Żołnierza, który stał z tyłu z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Pewnie sukinsyn napawał się jej porażką i wszystkim będzie opowiadał, jak Wilczyca też dała dupy przy sprawie Poltergeista. Nie chciała widzieć złośliwego uśmiechu i wyrazu triumfu na jego twarzy, których się domyślała. Teraz mogłaby tego nie zdzierżyć. Mimo to zerknęła na niego. Ze zdziwieniem odnotowała, że jest blady, roztrzęsiony i wcale nie wygląda na zwycięzcę. Raczej na przegranego, który nie ma już szans na rewanż, ponieważ gra została definitywnie zakończona. Jego problem, nie jej.

Dwóch policjantów po cywilnemu stało na chodniku przed bramą. Jeden palił w milczeniu papierosa, a drugi nerwowo przestępował z nogi na nogę. Podeszła do nich pewnym krokiem i zapytała, z trudem tłumiąc wściekłość:

– Macie mi coś do powiedzenia?

– On nigdzie nie wychodził. – Niespokojny pokręcił głową.

Tym drugim był dobry kolega Laury z dawnych czasów, Witek Barański.

– Laura, nie daliśmy dupy – powiedział spokojnie. – On cały czas tam był. Jeszcze godzinę temu wychodził na plac po deski. Mamy nagrania na kamerze. Musiał spierdolić w ostatniej chwili, dosłownie kilka minut przed tym, zanim się tu pojawiliście.

Miała zaufanie do Witka, to był solidny facet, jakich niewielu w fabryce. W nic nieumoczony, zawsze uczciwy i dokładny w robocie. Nie miała powodów, żeby mu nie wierzyć, tylko teraz zachował się jak totalny żółtodziób i właśnie dlatego wściekła się jak nigdy.

– Kto obstawiał tyły? – warknęła.

– Ci drudzy... – odpowiedział niepewnie Barański.

– A rozmawialiście z nimi?

– Chyba właśnie się nie dogadaliśmy...

Laura z trudem się powstrzymała, żeby nie rzucić się na niego z pięściami. Lata uganiań się za zabójcą i na ostatniej prostej wpadka najgorsza z możliwych, bo wynikająca z durnej rutyny. Albo złej woli.

– Będzie z tego afera, ale to już, kurwa, nie mój problem – wycedziła przez zęby.

– Laura, biorę na klatę... – Mężczyzna zamilkł zgaszony jej spojrzeniem.

W dupie miała teraz, co on weźmie na klatę, a czego nie. Z trudem uspokajała nerwy. Kilka oddechów, potem jeszcze jeden i ostatni.

– Co się stało, twoim zdaniem? – zapytała.

– Coś go musiało spłoszyć.

Laura milczała, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

– Nie patrz tak – zachnął się Barański. – Dupy nie ruszaliśmy z auta, nie mógł nas widzieć z okien.

– Dostał cynk? – rzuciła.

Drugi z policjantów zastygł z fajką między wargami. Witek głośno przełknął ślinę i nic nie powiedział. Wilczyca zajrzała obu mężczyznom w oczy.

– Ani pary z gęby – powiedziała cicho. – Jak dojdzie do mnie, że któryś z was coś chlapnął, to was, kurwa, odstrzele.

– Laura, znasz mnie. – Barański wzruszył ramionami.

– Ale jego nie znam.

Dużo młodszy od obojga mężczyzna z papierosem zamarł na moment w bezruchu. Wyraźnie pobałdł.

– Nic nie powiem – odezwał się cicho.

– Laura, Marcin to dobry glina, ręczę za niego – zapewnił Barański.

Komisarz Wilk pokiwiała głową i odeszła, wydając polecenia mundurowym i członkom jej grupy. Niebawem auta rozjechały się po uliczkach całego osiedla.

Tam, gdzie nie można było dojechać, policjanci ruszyli pieszo. Posiłki jechały z całego miasta. Musiała zarządzić szeroko zakrojone poszukiwania, żeby potem nie oberwać po głowie od naczelnika i komendanta. Miała jednak przeczucie, że zabójca zniknął i muszą zaczynać od początku. Zazwyczaj policyjny nos jej nie zawodził i pewnie tak będzie i tym razem. Przecież ona jest skuteczniejsza od psa, jest wilkiem. Powtarzała to sobie często, szczególnie w pierwszych latach pracy w zabójstwach.

Po kilku minutach oblawa objęła całe osiedle i rozlała się daleko poza jego granice. Laura słuchała w milczeniu nadchodzących przez radio raportów. Wylegitymowano kilkunastu mężczyzn, podjęto pościg za dwoma innymi, ale kiedy już siedzieli skuci w radiowozie, okazało się, że mają przy sobie trochę białego proszku i na widok policjantów spanikowali. W tym czasie przyjechali technicy i wzięli się do roboty.

Przed budynkiem, prócz Wilczycy, zostali tylko Góralski i Żołnierz. Oczywiście Góralski był o wiele pożyteczniejszy od tego buca, jego kolegi. Zakręcił się i już po dwóch kwadransach stanął przed Laurą z zafrasowaną miną.

– Co jest? – rzuciła oschle.

Góral nie odpowiedział od razu, tylko obejrzał się na Żołnierza, który stanął krok za nim, co miało sugerować, że pracowali razem i teraz obaj chcą powiedzieć Laurze o czymś ważnym. Miała nadzieję, że tak właśnie było i Piotr nie przepieprzył ostatnich minut z papierosem w zębach.

– Chyba mam... – zająknął się Góralski, zerknął na Piotra i poprawił się. – Mamy niezbyt dobre wieści.

Wilczyca odniosła wrażenie, że Góralski jednak chroni Żołnierza.

– Dowiedzieliśmy się od sąsiadów i klientów naszego podejrzanego stolarza Miłosa Sobczaka, że miał pewien znak szczególnie. – Zawiesił na moment głos, jakby chciał jeszcze bardziej zwiększyć napięcie.

Laura powstrzymała się od ponaglenia.

– Kilka lat temu uległ wypadkowi z piłą. Stracił serdeczny palec w prawej dłoni, połowę małego palca i dorobił się paskudnej blizny na wierzchu dłoni.

– No i co? – Nie wytrzymała.

– Denat przybity do ściany ma dokładnie takie obrażenia w prawej dłoni – zakończył Góral.

Komisarz Wilk zacisnęła szczęki tak mocno, że aż zgrzytnęła zębami. Jeśli tam wisiał właściciel zakładu stolarskiego, Miłosz Sobczak, to kto tu się kręcił w ostatnich tygodniach?

Przez głowę przemknęło jej sto myśli, każda następna bardziej pesymistyczna od poprzedniej. Jeśli Sobczak nie żyje, to nie może być Poltergeistem. Wszystkie punkty zaczepienia dalszej fazy śledztwa znikają i policjantów czekał powrót niemal do początku.

– Technicy mówią, że nie żyje co najmniej dwa miesiące – ciągnął Góralski. – Ciało jest wysuszone, jakby ktoś trzymał je dłuższy czas w suszarni. Dopiero potem zostało rozczłonkowane, najprawdopodobniej za pomocą piły mechanicznej. Nie wiadomo, jak długo tak wisi.

Każde jego słowo brzmiało jak wyrok odczytywany przed plutonem egzekucyjnym. Jeśli Sobczak nie żyje od miesięcy, to nie może mieć nic wspólnego z zamordowanymi dziewczynami. Morderca zabił go, zajął jego miejsce, żył jego życiem, wykonywał usługi w jego imieniu, zmagował materiały, przyjmował zlecenia. Może nie było tak najgorzej, jak to oceniła w pierwszym odruchu. W tym miejscu otwierały się różne możliwości. Dotąd Poltergeist był zjawą. Teraz zaczynał nabierać kształtów, wiele osób go widziało. Być może ktoś zapamiętał coś, co pomoże namierzyć sukinsyna.

Laura odetchnęła.

– Dzięki, Góral – powiedziała i wyminęła obu mężczyzn, nie zaszczycając Żołnierza nawet jednym spojrzeniem.

Ruszyła w kierunku bramy, przed którą zaparkował czarny mercedes prokuratora Sobocińskiego. Mężczyzna czekał na nią przy aucie. Po chwili rozmawiali o czymś, gorączkowo gestykulując. Byli jednak w znacznej odległości i policjanci przed budynkiem nie mogli usłyszeć, o czym dyskutują.

Góralski odciągnął Żołnierza na bok.

– Co ty dzisiaj odwalasz? – zapytał, kiedy znaleźli się z dala od innych.

– O co ci chodzi? – Piotr spojrzał na niego z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

– Po prostu chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje. Dziwnie się zachowujesz – upierał się Góral.

– Nic się nie dzieje. – Żołnierz chciał odejść, ale Góral złapał go za ramię.

– Piotr, co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś zobaczył samego diabła w środku piekiel.

– Tak ci się tylko wydaje – burknął kolega.

– Posłuchaj mnie, Piotr. Wiem, że nienawidzisz Wilczycy i jej nie odpuszczysz, ale mnie w to nie wciągaj. Ja, kurwa, chcę mieć święty spokój, rozumiesz? Niedługo będę mógł przejść na wcześniejszą emeryturę i zamierzam doczekać tej chwili. Jeśli masz zamiar zrobić coś głupiego, to trzymaj się ode mnie z daleka.

Żołnierz nagle poczerwieniał na twarzy, zamknął dłoń kolegi w stalowym uścisku i bez trudu oderwał ją od swojego ramienia. Góral skrzywił się z bólu,

lecz nie zdążył nawet jęknąć, bo Piotr nagle przyciągnął go do siebie.

– Posłuchaj, kolego – wyszeptał mu prosto w twarz. – Mnie nie interesują twoje plany i marzenia. Pamiętaj, kto wie o pieniądzach od ludzi z miasta, które tak łatwo kilka razy przytuliłeś za różne szwindle w dokumentach, a wtedy sam dojdiesz do wniosku, jak kruche są twoje plany na przyszłość.

Góral wyszarpnął dłoń i gwałtownie odepchnął Żołnierza. Poszarzał na twarzy ze złości.

– Grozisz mi? – wysapał. – Ty mi grozisz? Ja też wiem, za co brałeś pieniądze i od kogo. Wiem nawet...

Policjant nie dokończył, w porę się reflektując. Piotr popatrzył teraz na niego trochę inaczej. W jego oczach pojawiły się złe ogniki. Zagryzł wargi i wycedził przez zęby:

– Pamiętaj tylko, że milczenie jest złotem.

Obrócił się na pięcie i odszedł. Góralski patrzył na niego, z trudem panując nad złością. W jego głowie błysnęła nagle niepokojąca myśl. Stłumił ją, lecz po chwili wróciła i zasiała w nim ziarno wątpliwości. Rozejrzał się wokoło, wyciągnął powoli papierosa i zapalił.

Nie, to niemożliwe – pomyślał między jednym machem a drugim i zaraz się poprawił. U Żołnierza wszystko było możliwe.

## 7

**M**aciej Lesiecki wbiegł po schodach na czwarte piętro bloku, w którym mieszkał na ulicy Ślicznej, po czym zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. Myślał, że taki nagły wysiłek uspokoi trochę jego pobudzone nerwy. Plan całego dnia znowu mu się niespodziewanie posypał. Jeszcze do południa było w miarę, spóźniał się tylko o parę minut, a takie odstępstwo był w stanie jakoś znieść. Potem jednak dopadły go zdarzenia, których nie był w stanie przewidzieć, i tak naprawdę cały dzień był stracony. Nie wypełnił już żadnego punktu z planu dnia, a to oczywiście spowodowało u niego mocne tąpnięcie psychiczne, zepsuło samopoczucie i wzbudziło obawy, że nie panuje nad swoim życiem i postępowaniem. Oczywiście ciągły stan lękowy wpływał też destrukcyjnie na myślenie. Teraz czuł się, jakby rozpadł się na tysiąc kawałków i nie potrafił znaleźć pasujących do siebie elementów, żeby zacząć składać się do nowa. Był psychologiem, do jasnej cholery, pomagał innym w takich sytuacjach, miał wiele dobrych rad, korzystał z terapii wspomagających, a nie potrafił poradzić sobie z samym sobą.

No dobrze, być może wysiłek trochę pomógł. Wraz ze stabilizowaniem się tętna i uspokajaniem oddechu stan lękowy ustępował, już nie był aż tak rozbity, zaczynał logicznie myśleć. Po chwili wyciągnął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku. Wszedł do mieszkania.

Jeszcze przez sekundę słyszał wesołe rozmowy, które ucichły jak nożem uciął, kiedy trzasnęły drzwi. Zaraz też z pokoju wyszła jego dziewczyna, Sonia, i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Nie trzeba było być psychologiem ani geniuszem, żeby się domyślić, że są u niej jej przyjaciółki, Kaśka i Lucyna, i oczywiście rozmawiały o nim. Stąd ta idiotyczna mina Soni, gwałtownie urwane rozmowy, a potem głupie uśmiechy, które pojawiają się na twarzach jej koleżanek, kiedy będzie się z nimi witał.

– Cześć, Maciek – powiedziała.

– Cześć – odrzekł.

Zwykle całowali się na przywitanie, lecz teraz Sonia stała oparta o framugę drzwi i nie zamierzała do niego podejść. Maciej jęknął w duchu. Pewnie znowu ma jakiegoś focha, którego on nie będzie potrafił zdiagnozować, i w tym przypadku nawet ponadprzeciętną inteligencję będzie można sobie wsadzić w cztery litery. Za kobietą nikt nie nadąży, nie ma takiego geniusza, który by ją zrozumiał. On kiedyś próbował i poległ, jak żołnierz na polu bitwy złapany w krzyżowy

ogień przeciwnika. Teraz przyjmował jej humory bez niepotrzebnej analizy ich przyczyn.

– Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? – zapytała nagle.

Chciał odpowiedzieć, że miał zły dzień, cały plan wziął w łeb, a poza tym na jej focha reaguje alergicznie, ale zniósł to dzielnie.

– Plan? – Na jej ustach pojawił się złośliwy uśmieszek.

Wydawało mu się, że w pokoju rozległy się tłumione śmiechy. Pewnie, że go obgadwały, śmiały się z jego obsesyjnego planowania dnia, a Sonia zdradziecko opowiedziała im kilka anegdot z tym związanych. Nietrudno było zgadnąć, które to były. Pewnie o wizycie u jego przyjaciół w Oleśnicy albo o tym, jak zepsuł mu się samochód na autostradzie, co skończyło się dwugodzinnym zablokowaniem A4, awanturą i najwyższym mandatem, jaki przewidywał taryfikator. Nie potrafiła zrozumieć, że w tamtej sytuacji nieoczekiwanie dla samego siebie zupełnie się posypał i jeszcze przez kilka następných dni nie mógł normalnie funkcjonować.

– Można tak powiedzieć – mruknął niechętnie.

Denerwowało go, że ona nawet nie próbuje go zrozumieć, tylko potępia i traktuje jak świra. Może nie powinien się dziwić. Miała niecałe dwadzieścia pięć lat i była od niego piętnaście lat młodsza. Pociągały go młode kobiety. Czasem myślał, że im jest starszy, tym młodsze mu się podobają, ale to akurat było wśród mężczyzn w średnim wieku zjawisko w miarę powszechne. Wiedział też, że nie powinien się z żadną kobietą wiązać, a tym bardziej na stałe. On się nie nadawał do związku. Nie był zdolny do kompromisów, skupiał się wyłącznie na sobie i było mu szkoda czasu na tak zwane wspólne chwile. Dlatego jego małżeństwo z Joanną zakończyło się katastrofą, dlatego rzadko sam telefonował do syna, dlatego jeszcze trzy jego inne związki rozpadły się, zanim zdążyły się zacząć na poważnie. Maciej był inny i wreszcie to sobie uświadomił. Mieszkał sam, a kiedy miał ochotę na seks, zawsze potrafił to sobie zorganizować, nie potrzebował nikogo, kto będzie mu mieszał w życiu. Aż do czasu, kiedy spotkał Sonię.

Stary i głupi! – ganił się w myślach za uczucie, którym ją od początku obdarzył. Zakochał się, przeżywał te słynne motyle w brzuchu i inne pierdoły związane z tym stanem. Podobało mu się, że ona jest taka wyrozumiała i cierpliwa znosi jego dziwactwa, zaproponował jej, żeby z nim zamieszkała, ale po jakimś czasie ocknął się z tego zauroczenia. Ona zresztą też i oczywiście zaczęła się jazda po równi pochyłej. Sonia miała do niego coraz większe pretensje, jego ten związek coraz bardziej uwierał, jednak na razie nic się nie zmieniło. Miał nadzieję, że ona się wyprowadzi i znajdzie faceta w swoim wieku, jednak tak się nie stało. Trwali w klinczu. Maciej już dawno powinien był z nią zerwać, kazać jej się wynosić, lecz Sonia często prowokowała dziki i namiętny seks, który skutecznie łagodził napięcie między nimi, i tak mijały kolejne tygodnie. Zaczął już podejrzewać, że ona jest z nim dla wygody i pieniędzy. Tylko że on nie miał pieniędzy. Czekał, aż ona w końcu to zrozumie i odejdzie, lecz te nadzieje były płonne. A Maciej czuł do niej słabość i się męczył.

– Masz brudny rękaw – powiedziała nagle.



Spojrzał z roztargnieniem na mankiet marynarki, po czym szybko go otrzepał z białych drobinek.

– Musiałem się gdzieś oprzeć – mruknął znowu, nie patrząc jej w oczy.

– I na butach masz tego pełno – zauważyła. – Gdzie ty chodziłeś?

Szybko ściągnął buty, włożył na stopy wielkie kapcie w kratkę i wyprostował się.

– Nieważne. Później posprzątam. – Machnął lekceważąco ręką i zmienił temat:

– Masz gości?

Sonia patrzyła na dywanik ubrudzony jasnymi drobinami wokół jego butów, a on przyglądał jej się w milczeniu. Była ładną dziewczyną. Miała długie ciemne włosy, wyraźnie zarysowane brwi i bardzo ładne brązowe oczy. Właśnie te oczy zrobiły kiedyś na nim takie wrażenie. Potrafiła wyrazić nimi całą gamę uczuć, od złości po uwielbienie w intymnych chwilach. Teraz Maciej nie potrafił już niczego z nich odczytać.

– Tak, są u mnie Lucyna z Kaśką – ocknęła się.

– Mogłem się domyślić – warknął niezbyt grzecznie.

Ruszył do swojego pokoju, po drodze zajrzał do salonu, gdzie przyjaciółki Soni siedziały przy ławie i sęczyły czerwone wino.

– Cześć! – rzucił mało przyjaźnie.

Odpowiedziały mu wesoło, za wesoło, jak dla niego. Na pewno go obgadwały. Sonia wróciła do towarzystwa i po chwili doleciały go dźwięki przyciszonej rozmowy. Drzwi były przymknięte i nie słyszał, o czym mówią. To wzbudziło w nim kolejną falę irytacji. Pewnie dalej go obgadują. Przebrał się w domowe ubranie, poszedł do łazienki, gdzie długo i dokładnie mył ręce i przepłukał twarz zimną wodą.

Nie pomogło. Stan lękowy się pogłębiał. Próbował nad nim zapanować. Usiadł w fotelu w swoim pokoju i oddychał głęboko, potem puścił muzykę. Długo wsłuchiwał się w jeden z utworów Porcupine Tree z płyty *Fear of a Blank Planet*, ale i to nie pomogło. Coś kazało mu zerwać się z fotela. Poszedł do kuchni. Próbował zaparzyć kawę w przelewowym ekspresie, walcząc z nadchodzącą falą niczym nieuzasadnionej paniki. Co chwilę przemywał dłonie i twarz, trzaskał drzwiami szafek i tak w kółko. Wreszcie usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

Dopiero po długiej chwili zorientował się, że w drzwiach stoi Sonia. Wstał i chciał wyjść, lecz zagroziła mu drogę. Spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Koleżanki już poszły? – Zdołał zapytać, walcząc z paniką.

– Tak, wypłoszyłeś je.

Była śmiertelnie poważna, nawet zła.

– Maciej... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Puść mnie.

– Nie.

– Przepuść mnie, muszę wyjść! – Podniósł głos.

– Nie puszczę cię, do jasnej cholery! – krzyknęła mu w twarz i to go trochę otrzeźwiło. – Kurwa, co się dzisiaj z tobą dzieje?! Ocknij się, spójrz na mnie!

Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła nadspodziewanie mocno. Terapia krzykiem pomogła. Panika zniknęła w jednej chwili, został co prawda lęk, lecz nad nim mógł zapanować.

– Maciej, ja nie mogę tak żyć – powiedziała twardo. – Zaaprobowałam twoje dziwactwa, nie wtrącam się w twoje niemożliwe do zrealizowania plany, w których nie uwzględniasz łatwych do przewidzenia problemów, toleruję twoje dziwne zachowania i napady złości. Ale wszystko ma swoje granice. Nie zauważyłeś, że to w tobie narasta? Z tygodnia na tydzień jest coraz gorzej. Może porozmawiaj z psychiatrą, nich ci przepisze jakieś proszki, może one cię trochę uspokoją. To jest jakaś paranoja! Nie widzisz tego?

Patrzył na nią i wracał powoli ze świata własnych fobii do rzeczywistości. Sonia nigdy dużo nie mówiła. Dawno nie słyszał z jej ust tak długiej wypowiedzi.

– Przepłoszyłeś moje koleżanki – mówiła dalej. – Przestraszyły się ciebie. Zachowujesz się jak wariat i bały się, że zrobisz się agresywny. Prawdę mówiąc, ja też się tego boję. Kiedy mnie uderzysz? Może teraz? Zrób to. Rozwiążemy swoje problemy i rozstaniemy się jeszcze dzisiaj. Ja tak dalej nie chcę żyć.

Pokręcił głową.

– Nie uderzę cię – szepnął. – Nigdy nie uderzyłem kobiety.

– Miło mi to słyszeć, ale ci nie wierzę. Jeśli coś takiego zdarzy się jeszcze raz, wprowadzam się. – Była stanowcza i zdecydowana.

Ten cholerny sukinsyn w jego głowie nagle wybuchnął szyderczym śmiechem. Niech się wyprowadzi! Droga wolna. On będzie miał święty spokój i uwolni się od wyrzutów sumienia, że marnuje jej życie, a sam traci niepotrzebnie czas, zamiast skupić się tylko na sobie. Przecież był egoistą. Nic się nie liczyło, tylko on sam. Ludzie mu przeszkadzają, najchętniej wyjechałby do dziczy i tam robił tylko to, na co ma aktualnie ochotę. Nieograniczany normami społecznymi, niestraszone kodeksami karnymi. Tylko natura i on sam, najważniejszy na świecie.

Głos był kuszący, ale ulec mu znaczyło przegrać bitwę z samym sobą.

– Przepraszam cię, Sońka – powiedział wbrew sobie i zaraz w głowie rozległ się krzyk, który stłumił. *Ty cholerny idioto!*

– Miałem straszny dzień, zresztą mam ostatnio bardzo zły okres i przesadziłem. Nie gniewaj się, już tak nie będzie. Mogę zadzwonić do dziewczyn i je przeprosić za swoje zachowanie.

– Nie trzeba, wiedzą, jaki jesteś.

Nie spodobały mu się jej słowa. Niby jaki jest? Nienormalny? Popierdolony?

– Przepraszam – kontynuował cichym głosem. – Wybacz mi...

Rozłożył ręce, ona trochę się boczyła i opierała, ale w końcu dała się przytulić i pocałować. Jej oczy były już inne.

– Wybaczysz mi?

– No dobra, ale licz się z tym, że jak jeszcze raz wytniesz mi taki numer przed koleżankami, to nie ręczę za siebie.

– Rozumiem.

Wyswobodziła się z jego objęć.

– To chcesz tej kawy? – zapytała.

– Tak.

Naląła kawę do filiżanki, dodała mleka, jak lubił, i postawiła naczynie na stole. Usiedli naprzeciw siebie i zapadła krępująca cisza. Maciej sączył kawę i zerkał na nią spod oka. Oboje wiedzieli, że niemal każde takie spięcie kończyło się seksem i dlatego teraz żadne się nie odzywało.

– Sońka...

– Posłuchaj...

Odezwali się jednocześnie, zamilkli na chwilę i zaraz wybuchnęli śmiechem. Gęsta atmosfera trochę się przerzedziła. Sięgnął przez stół po jej dłoń i delikatnie ją pociągnął. Nie opierała się. Sprytnie wywinęła się spomiędzy stołu i krzesła i już siedziała na jego kolanach. Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Maciej zeszywniał, Sonia westchnęła zawiedziona.

– Zapomniałam, że dzisiaj miał przyjść ten facet od mebli – powiedziała przepraszająco.

– Jaki facet?

– Stolarz. Nie pamiętasz? Obiecałeś mi większą szafę w sypialni i nowe meble w kuchni.

Maciej się zasępił. Coś pamiętał, lecz nie sądził, że ona tak szybko zabierze się do działania. Spojrzał na okno.

– Ale o tej porze? Jest już ciemno.

– Dzwonił wcześniej, że miał jakieś problemy i przyjedzie wieczorem – wyjaśniła.

Znowu rozległ się ponaglący dźwięk.

– No idź otworzyć! – rozkazała z prośbą w oczach.

Powlókł się do drzwi. Na progu stał facet jego wzrostu i postury. Miał na sobie nowe robocze ubranie i czapkę z daszkiem nasuniętą na twarz w taki sposób, że nie było widać jego oczu i górnej połowy twarzy.

– Dobry wieczór – powiedział mężczyzna. – Byłem umówiony na pomiary.

Zaprosił go do środka, a dalej zajęła się nim Sonia. Maciek przez chwilę stał w progu kuchni i przypatrywał się, jak przeglądają ofertę kuchennych mebli w albumie dokumentującym dotychczasowe prace fachowca, omawiają projekt nowej kuchni i robią pomiary. Sonia była w swoim żywiole. Pewnie pierwszy raz projektowała meble, z których miała zamiar później korzystać. Lesiecki patrzył na to z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie chciał nic zmieniać w swoim mieszkaniu, z drugiej – Sonia była teraz taka, jaką ją poznał: energiczna, roześmiana, zdecydowana. Szybko zmiękł i pogodził się z myślą o nowych meblach.

Widział jednak dwa problemy.

Nie podobał mu się stolarz. Był małowówny, mrucał pod nosem coś, czego Maciej nie był w stanie zrozumieć, i wciąż miał na głowie tę cholerną czapkę. Sonia najwidoczniej go rozumiała, a jego wygląd jej nie przeszkadzał. Było w nim coś dziwnego i mrocznego, tylko jeszcze nie wiedział co. No i miał wrażenie, że już go kiedyś widział, i to zupełnie niedawno.

Drugi problem był o wiele poważniejszy. Nie miał pieniędzy na taką inwestycję.

To był cholernie ciężki dzień. Poza tym pechowy. Nic się nie udawało, a do tego atmosfera wśród policjantów z wydziału całkiem się skwasiała. Wszyscy patrzyli na siebie spod byka, wzajemne zaufanie i zdecydowanie ustąpiły miejsca nieufności. Komisarz Góralski był zły na Żołnierza za ostatnią rozmowę. Przez resztę dnia nie odezwał się do niego. Nie można było go tak straszyć. To było głupie ze strony Piotra, zupełnie nie w jego stylu. Zresztą Żołnierz zachowywał się, jakby nie był sobą, odkąd do nich dołączył po kilku godzinach nieobecności. Gdzie był i co robił – nie zdradził nikomu. Po tym, co się później stało, Góral zaczynał mieć niedobre podejrzenia. Piotr na nic nie zważał, stracił instynkt samozachowawczy i mu groził. Jemu! Nie było nikogo w komendzie, kto wiedziałby więcej od niego o Żołnierzu. Straszanie go było balansowaniem na cienkiej linii. Góralski był zaniepokojony. Żołnierz wydawał się tak zaślepiiony, że utopiłby ich obu, żeby tylko zaszkodzić Laurze Wilk. Totalna głupota.

Wracał późno do mieszkania w kamienicy na Nowowiejskiej. Wcześniej wstąpił jeszcze do żabki po zgrzewkę zimnego piwa. Dobrze mu zrobi po tym pieprzonym, upalnym dniu.

Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy drogę zastąpił mu mężczyzna w czarnym garniturze, a tuż obok zatrzymało się czarne audi z przyciemnionymi szybami. Tylne drzwi się otworzyły.

– Wskakuj, Góral – rzucił facet w garniturze.

Góralski przeklął, ale nie miał wyjścia. Przecież nie będzie uciekał. Z młodszymi i wysportowanymi facetami w czerni nie miał szans. Wsiadł. Ten w garniturze wsiadł za nim. Auto ruszyło, włączając się do ruchu.

Góral siedział między dwoma oficerami Biura Spraw Wewnętrznych i nie czuł się wcale dobrze. Nawet nie zarejestrował, dokąd jadą.

– Co jest, Góral, do kurwy nędzy? – zapytał ten z prawej strony.

– Ale o co wam chodzi? – rzucił zdeorientowany.

– Mieliśmy układ.

– No i mamy układ. – Góral stracił resztki pewności siebie – O co ci chodzi?

– Miałeś pilnować Żołnierza.

– No i go pilnuję.

– Tak? – mruknął nagle ten z lewej strony, który podczas ich poprzednich spotkań nigdy się nie odzywał.

Góralski zaniepokoił się nie na żarty.

– Nie wiem, o co wam chodzi – powtórzył.

Wjechali na rondo Reagana od strony Grunwaldzkiej, po szybach przemknęły kolorowe światła neonów galerii handlowej po prawej stronie. Jechali w kierunku centrum.

– Posłuchaj mnie, Góralski – odezwał się znowu ten po prawej. Kiedyś przedstawił się jako komisarz Tomasz Glenc, ten drugi chyba nigdy nie zdradził swojego nazwiska oraz stopnia, a Góról w to nie wnikał. Wiedzieli o nim wystarczająco wiele, żeby miał świadomość, w jakim położeniu się znalazł i jak niewiele może. Tylko że teraz było jakoś inaczej. Spodziewał się złych wiadomości i miał słusność.

– Szaja, jeden z twoich przyjaciół z miasta, którego ostatnio zgarnęli ci od przestępczości zorganizowanej, dogadał się z prokuraturą i sądem, i będzie miał koronę. Rozpruł się i powiedział wszystko, co wie. Zbladłeś trochę czy mi się wydaje?

Górol się nie odezwał, tylko odruchowo zacisnął dłonie na zimnej zgrzewce piwa na kolanach. Najchętniej przyłożyłby sobie zimne puszki do rozpalonego czoła.

– No więc ten gangus o jakże wdzięcznej ksywie zdradził policji sporo szczegółów. Wiesz co, Góról? Prawdę mówiąc, mój szef zastanawia się, czy układ z tobą ma jeszcze sens.

Policjant prawie go nie słuchał. Gorączkowo przetrząsał wspomnienia, chcąc ustalić, czy Szaja wiedział o nim coś więcej niż to, co wcześniej zeznał Miron. Miron wiedział tylko o podmienionych dowodach w sprawie o handel narkotykami. Wpadł młodszy brat Mirona i trzeba było go szybko wyciągnąć. Żołnierz pośredniczył w kontakcie i przekazał kasę. Wewnętrzni tylko tyle wiedzieli o korupcji Górola, więc zaproponowali mu współpracę w zamian za zatuszowanie tamtej spawy. Na celowniku mieli grubszy temat – komisarza Piotra Żołnierza, który współpracował z Mironem od lat. Nie wiedzieli o innych przysługach wyświadczanych miejskiej mafii przez Górola. Czy teraz od Szai dowiedzieli się czegoś więcej?

– Dlaczego? – burknął.

– Bo mamy takie dziwne wrażenie, że ty jednak chronisz trochę Żołnierza. Przyjaźnicie się czy jesteście kochankami, bo ja już, kurwa, się pogubiłem? – zakończył Glenc, a kierowca i ten po lewej stronie zaśmiali się krótko.

– Mam na niego oko – odparł policjant niepewnie. – O wszystkim was informuję.

– Ale Żołnierz urwał ci się dzisiaj na kilka godzin.

– Organizowaliśmy zasadzkę na Poltergeista – wyjaśnił Góralski, starając się nie okazywać zdenerwowania. – Było zamieszanie, pomagałem Wilcycy, a wtedy Żołnierz gdzieś się ulotnił. Nie mam pojęcia gdzie. Nie mogę za nim wszędzie łązić.

– Pamiętasz tego przedsiębiorcę z branży transportowej, którego dwa lata temu znaleziono z kulą ołowiu w głowie w jego własnym basenie? Cholera, jak on się nazywał...

– Zegrzyński – odpowiedział kierowca.

Góral odniósł wrażenie, że Glanc doskonale pamiętał to nazwisko.

– Właśnie, Zegrzyński – ciągnął dalej. – Szaja powiedział nam, że ten Zegrzyński pokłócił się z inną grubą rybą, z jakimś Darskim. Kojarzysz? – Nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej: – Potem na mieście chodziły słuchy, że to Darski wynajął kogoś, żeby odstrzelił Zegrzyńskiego. Ponoć na jednej z prywatnych imprez dla najbardziej zaufanych, na które zapraszany był nasz Szaja, ktoś od Darskiego chlapnął, że gliny nie znajdą zabójcy, bo to jeden z nich. Dobrze mnie zrozumiałeś, Góral?

Góralski gorączkowo przetrawiał usłyszane od Glanca informacje. Już po kilku sekundach trudno było mu się skupić przez niekończący się ciąg przekleństw wybuchających mu w głowie. Niech to jasna cholera weźmie! Szlag by to, kurwa, trafił!

– Zrozumiałem – potwierdził, udając spokój, ale nie bardzo wyszło.

Spokój został na chodniku przed żabką, a do audi wsiadł z nim strach.

– Tak więc nasz szef ci nie ufa – mówił dalej Glanc. – Chętnie by cię zwinął i zrobił pokazówkę. Pewnie nikomu nie zależałoby na wielkim rozgłosie, więc dostałbyś zawiasy, ale wypierdoliliby cię z roboty i nie miałbyś emerytury. Po tylu latach służby chyba by zabolęło, co, Góral?

Znowu się nie odezwał.

– Masz szczęście, że cię trochę polubiłem i przekonałem szefa, żeby tego nie robił. Przecież chcesz z nami współpracować i pewnie jesteś równie mocno jak my zainteresowany, kim jest ten skurwysyn, który na zlecenie gangusów strzela do uczciwych przedsiębiorców. Gdyby ktoś z zewnątrz się dowiedział, że jest policjantem, to zdajesz sobie sprawę, jaka by była z tego afera? Minister spraw wewnętrznych zaorałby całą komendę wojewódzką od góry do dołu. Dlatego zależy nam, żeby załatwić wszystko po cichu. Tobie też na tym zależy, co, Góral?

– Tak, zależy – przyznał, ale nie zabrzmiał wiarygodnie.

– Góralski, twoje fałszowanie dowodów w błahej sprawie to mały miki przy zabójstwie Zegrzyńskiego. Dlatego, jeśli nam pomożesz, zapomnimy o tym.

– Co Żołnierz ma z tym wspólnego?

– A jak myślisz? – padła szybka odpowiedź. – Chyba się przyjaźnicie, zabieraj go na wódkę...

– Albo na dziwki – wtrącił ten z prawej.

– ... albo na dziwki – zgodził się Glanc. – Pogadaj z nim jak z kolegą, może puści farbę. Powinno ci na tym zależeć. Zresztą nie muszę cię przecież uczyć, jak się wyciąga od bliźniego poufne informacje. Jesteś funkcjonariuszem operacyjnym.

– Czyli nasza umowa obowiązuje – upewnił się Góralski.

Przez chwilę w aucie panowała cisza. Glanc skinął kierowcy we wsteczny lusterku, a ten natychmiast zatrzymał się na skraju ulicy.

– Sam się, kurwa, domyśl, Góralski. Podobno jesteś z kryminalnej.

Po chwili Góral stał już na chodniku, podążając wzrokiem za odjeżdżającym audi. Rozejrzał się. Wyszadzi go na Pomorskiej. Cholerne sukinsyny. Kilkaset

metrów dalej w jednej z kamienic mieszkał Żołnierz. Pewnie chodziło im o podkreślenie wagi rozmowy. Czekał go dłuższy spacer do domu. Włożył sobie zgrzewkę pod pachę i drżącymi rękami zapalił papierosa. Po chwili otworzył puszkę piwa i ruszył wolno w kierunku placu Bema. Miał poważne kłopoty. Jak on się wplątał w takie gówno? Słabość do łatwych pieniędzy, dobrej zabawy, alkoholu, młodszych kobiet i od czasu do czasu kreski białego proszku? Dużo tego – ocenił szybko – wystarczająco, żeby znaleźć się na dnie.

Na przemian zaciągał się dymem i pociągał z puszek. Wreszcie niedopałek wylądował na bruku, a zgnieciona puszka w śmieciach. Góralski nie czuł się ani odrobinę lepiej. Dręczyło go drażniące poczucie strachu, paraliżowało, osłabiało koncentrację, zachęcało do ucieczki. Zmusił się do myślenia. Naprawdę był w dupie. Komisarz Laura Wilk od dawna szukała haków na niego i Żołnierza. Ktoś przy wódce puścił jej farbę o akcji z zastraszaniem jednego niewygodnego świadka, a ona natychmiast powiązała z tym jego i Piotra. Nie wiedział, czy to były jej przypuszczenia, czy została bardzo dobrze poinformowana, kto brał w tym udział. Dość, że patrzyła im na ręce. To był jego pierwszy problem i chyba najmniejszy. Drugim było Biuro Spraw Wewnętrznych. Ten cholerny Miron zaraz po aresztowaniu powiedział za dużo i teraz mieli go na tacy. Spodziewał się aresztowania, ale zaproponowali mu współpracę. Bardziej zależało im na Żołnierzu i wcale im się nie dziwił. Przy Piotrze on był tylko płótką. Na szczęście dalej tak myśleli, chociaż kiedy Szaja zostanie świadkiem koronnym, tę kruchą równowagę może trafić szlag. Mógł opowiedzieć śledczym, kto ze strony policji pomagał w zastraszaniu świadków w procesie przywódców kiboli, kto pobił jednego z gangusów, który chciał się wycofać z narkotykowego układu, i wreszcie jak policjanci pomagali przejąć dużą partię amfetaminy i tabletek ekstazy od konkurencyjnego gangu. A wtedy Góral znajdzie się w takim samym położeniu jak jego kolega.

Trzecim problemem był sam Żołnierz. On też dużo o Góralskim wiedział i – jak zasugerował w dzisiejszej rozmowie – w razie problemów wykorzysta tę wiedzę przeciw niemu. Jeśli Góral pomoże wewnętrznym zdobyć dowody na Piotra, ten po aresztowaniu go wsypie i wtedy wszystkie układy pójną w diabły. Co innego iść na układ z osobą, której można dać zawiasy, a co innego, jeśli grozi jej wieloletni wyrok.

Miał poważny problem i musiał się z nim zmierzyć. Na pierwszy rzut oka problem nierozwiązywalny. To było tak, jakby Góral stanął teraz na bramce, a Lewandowski byłby egzekutorem rzutu karnego. Bez względu na to, jak bardzo starałby się bronić, napastnik i tak wpierdoli mu bramkę. Prawdopodobieństwo, że spudłuje, było minimalne. Tak czy inaczej, Góralski postanowił nie oddawać niczego walkowerem. Będzie walczył i już nawet miał pewne pomysły.

Szedł wolno wzdłuż ulicy Sienkiewicza, otworzył kolejną puszkę, zapalił następnego papierosa. Było jedno rozwiązanie. Musiał zabić komisarza Piotra Żołnierza. Jego śmierć wywróciłaby wszystko do góry nogami.

Ariel wysiadł z tramwaju i przystanął, mrużąc oczy. Mijali go ludzie, niektórzy potrącali, próbując wyminąć w tłumie, słyszał narzekania, że blokuje innym wyjście z wagonu, lecz on nie zwracał na to uwagi. Począł, aż oczy przyzwyczajają się do nadmiaru światła.

Był początek lata, błękitne niebo i słońce bezlitośnie prażące ludzi na skwarki. Ariel od niedawna miał problem z nadwrażliwością spojówek. Dlatego nigdy nie spoglądał w górę i zawsze po wyjściu z cienia musiał poczekać, aż wzrok przywyknie. Tak było i tym razem.

Tuż za nim siedemnastka zamknęła drzwi, szczęknęła, szarpnęła i potoczyła swój ciężki los w kierunku następnego przystanku. Ludzie, którzy wysiedli z wagonu, już się rozeszli, trafiając na zielone światło. Na peronie między jezdniami na ulicy Kazimierza Wielkiego został tylko on. To nic, przecież nigdzie się nie spieszy. Cierpliwie poczekał, aż światła znowu się zmieniają, upewnił się, że żaden wariat nie ma zamiaru go zabić, przemykając przez pasy na wczesnym czerwonym. Dopiero wtedy poszedł wolno Ruską w kierunku placu Solnego. Po chwili jego oczy znowu poczuły ulgę, kiedy znalazł się w cieniu arkad. Przystanął, zastanawiając się, czy nie założyć ciemnych okularów, jednak zrezygnował z tego pomysłu. W ciemnych okularach widział jeszcze gorzej.

Po placu Solnym i wrocławskim Rynku mimo gorąca kręciło się sporo ludzi. Szybko omiół wzrokiem otoczenie i dostrzegł kilka samotnych dziewczyn. Może nawet znalazłaby się jakaś w jego typie. Zatrzymał się na chwilę przed straganami z kwiatami. Zastanawiał się, czy nie kupić kwiatka. Rozmyślił się jednak. Musi sobie poradzić bez środków dopingujących. Poza tym obdarowanie nieznanym zniemacka kwiatkiem mogło przynieść przeciwne skutki do tych zamierzonych.

Przeszedł na skos przez Rynek, mijając po prawej stronie pomnik Fredry, i uważnie się rozglądał. Musiał mrużyć oczy. Szybko się okazało, że samotnych młodych kobiet nie jest tak dużo, jak zdawało mu się do tej pory. Przy kamienicach Jaś i Małgosia stała jedna, lecz zaraz dołączyły do niej dwie koleżanki, inną dostrzegł koło empiku, ale okazało się, że jest z chłopakiem, inne były z dziećmi albo mu się nie podobały. Dwa razy okrążył Rynek, zanim w okolicach przegierza dostrzegł tę, która pasowała mu idealnie. Od strony przejścia podziemnego na Świdnickiej szła wolno wysoka blondynka z rozpuszczonymi włosami. Ubrana w jasną bluzkę i obcisłe dżinsy, bardzo dobrze podkreślające jej seksowne kształty. Podeskcytowany Ariel przełknął ślinę i poczuł falę zdenerwowania. Jednak nie było na co czekać. Albo teraz, albo nigdy.

– Dlaczego ma pani takie smutne spojrzenie? – zapytał, kiedy mieli się wyminąć.

Pytanie okraślił szerokim, szczerym uśmiechem. Nie był już przestraszonym szczeniakiem, jak w podstawówce. Teraz był wysokim ciemnowłosym i pewnym siebie mężczyzną, który podobał się kobietom.



Blondynka również się uśmiechnęła i nawet przystanąła na moment.

– Nie jestem smutna – powiedziała.

– Całe szczęście! – Zrobił teatralny gest ulgi. – Ze smutkiem pani nie do twarzy.

– Doprawdy? – Zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

– Pani powinna się uśmiechać, bo wtedy cały świat wokół też się do pani uśmiecha. I do mnie też.

Zająknął się. Błąd. Dziewczyna tej klasy nie złapie się na takie tandetne teksty.

– Bardzo pan miły – stwierdziła.

– Mam na imię Ariel – brnął dalej. – Może da się pani zaprosić na kawę? Porozmawiamy o uśmiechach.

Tym razem roześmiał się w głos, lecz już wiedział, że nic z tego nie będzie.

– Przykro mi, śpieszę się do pracy. Może następnym razem – rzuciła i odeszła, kręcąc biodrami, jakby robiła to specjalnie, żeby zrozumiał, co jest dla niego niedostępne.

– W takim razie do zobaczenia! – krzyknął za nią, a ona uniosła w górę dłoń na pożegnanie.

– Nie rozmawiaj z nieznanymi – szepnął pod nosem. – Tylko oni mogą cię zasmucić. Albo zgwałcić. Albo zamordować.

Stał jeszcze chwilę nieruchomo i zaraz szybko ocenił swoją próbę. Dostrzegł wszystkie popełnione błędy.

Zabójca nie może szukać swojej ofiary w biały dzień na Świdnickiej tuż przy Rynku, gdzie kręci się sporo ludzi, gdzie takie spotkanie obserwowałyby kamery monitoringu miejskiego. Policja natychmiast trafiłaby na jego trop. To była kompletna głupota. Proszenie się o wpadkę i dożywocie w więzieniu o zaostrzonym rygorze. On na pewno nie chciałby tam trafić. Do tego zdradził swoje imię. Był jeszcze inny aspekt tej sprawy. Jeśli w taki sam sposób zaczęłyby kilka lub kilkanaście dziewczyn, policja znalazłaby go jeszcze szybciej. Trzeba działać inaczej.

Posiedział chwilę na ławce w cieniu, zbierając myśli. Trzeba zmienić taktykę poszukiwań. Ze statystyk policyjnych wiedział, że seryjni mordercy zazwyczaj znają swoją pierwszą ofiarę. To jest koleżanka albo sąsiadka. Logiczne. Skoro zna się ofiarę, łatwiej jest wzbudzić jej zaufanie. Poza tym działa się na znanym sobie terenie, w bloku, na osiedlu, w małym mieście, gdzie można wiele przewidzieć i lepiej się przygotować. Z drugiej strony łatwiej wpaść. Przecież policja dysponuje taką samą wiedzą statystyczną. W pierwszej kolejności będą szukać wśród znajomych ofiary. Trzeba złamać ten schemat.

To nie powinno być trudne, ponieważ on nie ma takiej znajomej i szuka inaczej. Szybko doszedł do wniosku, że centrum miasta też nie jest dobrym rozwiązaniem właśnie ze względu na ludzi, kamery i pewną nieprzewidywalność. No i działanie w dzień jest bez sensu. Za duże ryzyko. Ofiary trzeba szukać po zmroku, w mało uczęszczanych miejscach, z dala od zabudowań. W grę mógł wchodzić jakiś bar albo restauracja, ale raczej nie w środku. Tu też mogli się trafić przypadkowi bystrzy świadkowie. To nie takie proste. Musi jeszcze nad tym pomyśleć.

Wstał z ławki i Szewską poszedł w kierunku Ostrowa Tumskiego. Mniej więcej w połowie drogi dostrzegł przed sobą brunetkę. Może miała trochę za duży tyłek, ale w sumie nadawałaby się. Czuł nawet pewien rodzaj podniecenia, kiedy za nią szedł. Spróbował sobie wyobrazić, jak to mogłoby się odbyć. Zagadnie ją. Wyglądała na turystkę zwiedzającą miasto. Zaoferuje oprowadzenie jej po kilku ciekawych miejscach. Ona się zgodzi, a on wykorzysta wycieczkę, żeby zyskać jej zaufanie. Potem umówią się na wieczór na kolację i wyciągnie ją w odludne miejsce. Trochę naciągane, ale mogło się udać. Chociaż i w tym przypadku też pokazywałby się potencjalnym świadkom. Ktoś mógł ją zapamiętać, w sumie była ładna.

No dobrze, ale gdyby się zdecydował, jak ją zabić? Miejsce nieważne, okoliczności nieważne, skupił się tylko na sposobie. Wyobraził sobie, jak po kolacji idą pod rękę przez jakiś park, gdzie tylko w niektórych miejscach świecą latarnie. Flirtują, on jej się najwyraźniej podoba, może nawet ma na niego chrapkę i liczy, że ten miły wieczór skończą w łóżku. On udaje, że jego też interesuje takie zakończenie dnia. Przystają w cieniu pod krzewem, ich twarze się do siebie zbliżają i kiedy ich usta są tylko milimetr przed połączeniem w namiętym pocałunku, on wbija jej w pierś nóż aż po rękojeść. Widzi jej zaskoczone spojrzenie, zachodzące mgłą oczy, a na dłoni czuje lepką i ciepłą krew. Może dźgnie ją kilka razy, żeby dłużej czuć podniecenie? Może nawet poczuje, jak ostrze ześlizgnie się po żebrach?

Aż zmylił krok, kiedy to sobie wyobraził. Jezu, to było przerażająco pociągające, wprawiało go w drżenie, dziwne mrowienie spływało mu po karku. Znał z psychologii takie doznanie. ASMR – orgazm mózgu. Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji tylko na samą myśl o tym, co może jej zrobić. Co się stanie, jeśli naprawdę wbije jej ten nóż w piersi? Doznania mogą być o wiele intensywniejsze. Szokująco intensywne. Do tego dochodziła świadomość, że jest panem jej życia i śmierci. Już chyba wiedział, co czują seryjni mordercy i dlaczego wpadają w taki diabelski krąg zabójstw, z którego nie potrafią się wyzwolić. Wiedzą, że robią źle, chcą to przerwać, a jednak nie są w stanie. Doznania, jakich doświadczają w chwili zabójstwa, są jak najmocniejszy narkotyk. Wciągają bezpowrotnie. Teraz rozumiał, dlaczego niektórzy z seryjnych zabójców czuli ulgę, gdy policja wreszcie ich aresztowała. Mogli się wyrwać z tego kręgu, chociaż z drugiej strony chcieli w nim trwać w nieskończoność. Taki niemożliwy do pogodzenia dualizm.

Szedł ulicą za brunetką, czasem przystawał i udawał, że ogląda witryny sklepów, kiedy za bardzo się do niej zbliżał. Ciągłe wpatrywał się w jej pośladki, schowane w krótkich spodenkach. Czyby ją zgwałcił? Pewnie tak. Być może zrobiłby to jeszcze przed tym, zanim wbiłby jej nóż w piersi. Znowu wyobraził sobie tę scenę.

Ich usta zbliżają się do siebie pod tym krzakiem w parku w miejscu, gdzie jest ciemno. Potem on uderza ją nagle w twarz. Kobieta pada na trawę, Ariel zwala się na nią. Może zada jej jeszcze kilka ciosów pięścią, żeby straciła przytomność i nie stawiała oparu. Zrywa jej z bioder spodenki, potem majtki w grochy, wcho-

dzi w nią i gwałci. Na samą myśl poczuł mrowienie w miejscach intymnych. Tak, podobałoby mu się. Pełna władza i kontrola nad drugą osobą, moc decydowania o jej życiu, a do tego poniżenie i rozładowanie swoich dzikich żądz. Kto wie, może nie skończyłoby się na jednym razie, jeśli bardzo by mu się spodobało. Dopiero potem wbije jej nóż w piersi. A może rozetnie jej brzuch i włoży dłoń do ciepłego, wilgotnego wnętrza? Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. Byłby cały w jej krwi, miałby kłopoty z ucieczką, zostawiłby ślady, zakrwawiony rzucałby się w oczy. Przecież krwi nie można dokładnie usunąć. Technicy kryminalistyczni znajdują jej ślady jeszcze po latach w miejscach zbrodni lub na rzeczach należących do zabójcy. Zbyt ryzykowne. Może innym razem, kiedy się do tego lepiej przygotowuje i będzie miał już spore doświadczenie w ukrywaniu się przed śledczymi.

Lepiej będzie, jak ją udusi. Nie gołymi rękami, ryzykując, że zostawi odciski własnych dłoni w postaci wybroczyn, które potem powstaną pod skórą. Podczas gwałtu też będzie musiał się zabezpieczyć, żeby nie zostawić nasienia w pochwie. Cholera, jakie to wszystko jest skomplikowane. Pewnie są jeszcze dziesiątki rzeczy, na które musiałby zwrócić uwagę, a które mu teraz nie przychodzą do głowy pełnej rozgorączkowanych myśli. Będzie ją dusił w trakcie gwałtu i skończy dokładnie w chwili, kiedy życie odpłynie z jej ciała. To dopiero byłoby coś. Aż przystanął uderzony tą myślą.

– Cześć! Jesteś bardzo nieśmiały.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia i przywrócił do rzeczywistości. Był już na Ostrowie Tumskim pod wielkimi platanami z tyłu katedry. Brunetka stała przed nim i uśmiechała się zaczepnie. Cholera, był nieostrożny, dał się podejść jak dziecko. Przez jego głupotę zauważyła go, lecz zinterpretowała całe zdarzenie zupełnie inaczej. Pomyślała, że mu się spodobała, ale on nie ma śmiałości jej zaczepić, więc przejęła inicjatywę.

*Nie rozmawiaj z nieznajomymi* – przemknęło mu przez głowę. Tak, czasem prawda bywa o wiele bardziej skomplikowana, niż nam się może wydawać. Tak jak w tym momencie.

Ariel wziął się w garść i postanowił zagrać taką rolę, w jakiej ona go sobie wyobrażała. Spuścił wzrok.

– Chyba masz rację... – wyjąkał.

— **U**ważasz, że ktoś go ostrzegł?

Naczelnik wydziału kryminalnego inspektor Frąszyk był śmiertelnie poważny, zadając to pytanie. Prokurator Sobociński, drobny mężczyzna o trudnym do określenia wieku, obdarzony gęstymi jasnymi włosami, niebieskimi oczami i chłopięcymi rysami twarzy, wbił nagle wzrok w blat stołu i się nie odezwał. Zresztą Sobociński niewiele mówił. Sprawiał przez to mylne wrażenie kogoś niezdecydowanego, może nawet niezbyt inteligentnego. Kiedy jednak przychodziło do przesłuchiwania podejrzanych, stawiania zarzutów, a potem procesu sądowego, pokazywał prawdziwe oblicze. Miał charakter wojownika i twardego. To dlatego Laura Wilk lubiła z nim pracować. Dawał jej dużą swobodę, ale później służył wielką pomocą. Od lat świetnie się dogadywali.

— Posłuchaj, szefie – odezwała się Laura, jakby z namysłem. Nie miała żadnych dowodów i nie mogła sobie pozwolić na bezpodstawne oskarżenie kogoś z kolegów. – Są dwie możliwości. Albo facet miał piekielne szczęście i akurat dokąś poszedł, kiedy zrobiliśmy nalot, albo ktoś go ostrzegł. W tym pierwszym przypadku zastanawiające jest, jakim cudem zniknął nam z oczu. Dwie ekipy prowadziły obserwację przez kilkanaście godzin, filmowaliśmy wszystko, co się dzieje na placu i przy wejściu do budynku. Zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej Poltergeist wychodził po deski leżące na stosie przy ogrodzeniu. Potem zniknął, jak prawdziwy, cholerny duch. Rozpłynął się.

— Przecież wyjście jest też z tyłu – rzucił naczelnik.

— No pewnie, że jest – zachnęła się Laura. – Właśnie tym wyjściem spierdolił. Ale dlaczego nie wyszedł głównym, tylko przeskoczył przez płot? To nie jest normalne zachowanie, nawet jak na takiego zwyroła jak Poltergeist.

— Co proponujecie? – zapytał inspektor Frąszyk, omiatając wzrokiem prokuratora i swoją najlepszą śledczą.

— Rozmawiałem z naczelnikiem prokuratury. – Sobociński odezwał się po raz pierwszy. – Jest zaniepokojony zaistniałą sytuacją, prokuratura wraz z BSW postara się wyjaśnić, co tak naprawdę się stało.

Frąszyk skrzywił się, lecz zaraz jego twarz na powrót skryła się pod nieodgadnioną maską. Musiał zdawać sobie sprawę, jak takie postępowanie wpłynie na jego pozycję na stanowisku naczelnika wydziału. Był zagrożony, ale robił dobrą minę do złej gry. Laura i Sobociński mieli zamiar mu pomóc, dlatego spotkali się z nim po godzinach pracy, kiedy korytarze komendy wojewódzkiej opustoszały.

– Szefie, zanim wkroczy ktoś z zewnątrz, sami się tym zajmijmy – powiedziała.

– Chcesz powęszyć? – Spojrzał na nią, jakby oczekiwał takiej propozycji.

No cóż, prawdę mówiąc, nietrudno było się domyślić, po co się spotykali. Rozmawiali jakiś czas temu, kiedy podjął decyzję o odwołaniu Żołnierza ze stanowiska szefa grupy śledczej. Powiedziała mu o swoich podejrzeniach wobec Piotra. Wtedy nie był zachwycony, lecz teraz nieoczekiwanie trafiła się okazja, żeby go przekonać.

– Tak – przyznała otwarcie. – Daj mi zielone światło.

Frąszyk westchnął i przetarł zmęczoną twarz. Maską opadła, był bardzo zdeenerwowany.

– Masz moje błogosławieństwo – zgodził się. – Tylko nie chcę żadnych awantur.

– Załatwimy to po cichu – uspokoił go prokurator.

Naczelnik popatrzył na niego i pokiwał głową. Mógł się spodziewać, że Sobociński będzie działał wspólnie z Laurą, zanim jeszcze naczelnik podpisze odpowiednie papiery.

– Jesteś pewna, że ci z obserwacji nie dali dupy? – Inspektor chwycił się ostatniego koła ratunkowego.

– W jednej ekipie był Witek Barański – odpowiedziała Wilczyca. – Mam do niego pełne zaufanie, to porządny gliniarz. W drugiej był Piech i ten nowy, jak mu tam, Gacek. Teoretycznie też nie mam o co się do nich przyczepić, ich zeznania są spójne i logiczne. Piech też ma opinię dobrego gliniarza.

– A co z Poltergeistem? – pytał dalej naczelnik.

– Na razie zniknął. – Pokręciła głową. – Ale zostawił po sobie masę śladów. Już nad tym pracujemy.

– Jak to możliwe, że udawał kogoś innego?

– No tak – stropiła się Laura. – Właściciela zakładu zamordował dwa do trzech miesięcy wcześniej. Potem zajął jego miejsce. Przyjmował zamówienia, realizował je, jeździł na montaż. Musi być stolarzem z zawodu. Klienci oceniali go jako dobrego fachowca. Osobiście oglądałam meble kuchenne, które im montował. Cudo, sama chciałabym takie mieć w kuchni.

– Żartujesz!

– Mówię poważnie. Dzięki temu mamy kilku naocznych świadków, graficy robią portret pamięciowy, nasi ludzie rozmawiają z klientami zakładu. Ten zamordowany, Miłosz Sobczak, był dziwakiem. Nie miał rodziny ani żadnych znajomych. Był idealną ofiarą, jeśli ktoś chciałby trochę pożyć na jego rachunek.

W pokoju naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu zapadła długa, ciężka cisza.

Trzasnęły drzwi, zazgrzytał zamek, Laura Wilk stanęła w zupełnych ciemnościach, nasłuchując. W domu panowała cisza. Po chwili do jej uszu dobiegło ciche buczenie lodówki w kuchni, potem dźwięk starego, sprężynowego budzika

w sypialni. Odgłosy jej dobrze znane, sygnalizujące, że wreszcie wróciła do bezpiecznego miejsca. Do domu.

Zuła buty, powiesiła kurtkę na wieszaku, klucze od samochodu rzuciła na stół w przedpokoju i powlokła się do łazienki, zapalając po drodze światła. Umyła ręce i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Przekrwione spojówki, cienie pod oczami. Uśmiechnęła się do siebie z goryczą. Gdzie się podziała ta ładna dziewczyna, która wstąpiła do policji, przepełniona ideałami walki o lepszy świat? Weszła do brutalnego, zmaskulinizowanego środowiska, w którym kobietom żyło się o wiele trudniej. Była twarda, stanowcza, wywalczyła sobie odpowiednią pozycję, zasłużyła na szacunek, tylko co z tego? Zapłaciła za to wysoką cenę. Teraz wraca do pustego domu, samotnie jada w kuchni, pije wino, słuchając muzyki albo oglądając seriale na platformach streamingowych, i nie ma do kogo się odezwać. Czy gdyby wtedy wiedziała, jak będzie wyglądać przyszłość, podjęłaby taką samą decyzję? Nie była już tego taka pewna.

Poszła do kuchni, zrobiła sobie kanapkę, wstawiła wodę na herbatę. Chleb był czerstwy i jadła bez przekonania. Maski opadła. W domu nie musi udawać twardzielki. Tylko tu może być w pełni sobą, zachowywać się jak kobieta, mieć wątpliwości i marzenia jak wszystkie kobiety. Tylko nie miała z kim porozmawiać. Była już znużona takim życiem.

Potem usiadła na fotelu, sącząc czerwone wino z wielkiego kieliszka. Zapowiadał się wieczór taki jak zwykle. Zaraz włączy telewizor, zacznie oglądać jakiś film, który szybko jej się znudzi, więc usiądzie przy biurku i zajmie się pracą. Kiedyś obiecała sobie, że nie będzie przynosić pracy do domu, i złamała tę obietnicę, jak kilkanaście innych. Wszystko poszło nie tak, jak sobie wyobrażała.

Najbardziej dokuczała jej samotność. Miała trzydzieści sześć lat i od dawna nie była w związku. Ostatni jej facet wydawał się chodzącym ideałem. Był w niej zakochany, akceptował ją taką, jaka była, nie miał nic przeciw pracy w dziwnych godzinach, układało im się świetnie i kiedy uwierzyła, że i jej życie osobiste może się unormować, on odszedł. Po prostu któregoś wieczoru pieprzył drzwiami i wyszedł. Później się przyznał, że miał inne oczekiwania. Liczył, że Laura zrezygnuje z pracy w policji, a przynajmniej przeniesie się do jakiegoś spokojniejszego wydziału, będą spędzać ze sobą więcej czasu, będą mieć dzieci. Ona nie mogła mu tego dać, bo najważniejsza była praca. Kiedy to zrozumiał, po prostu odszedł. Od tego czasu nie związała się już z nikim. Co prawda miała faceta, którego bardzo lubiła, ale on był bardziej nienormalny niż ona. Z człowiekiem walczącym z taką ilością natręctw nikt by długo nie wytrzymał. Dlatego umawiali się wyłącznie na seks. Czasem myślała, że to właśnie przez problemy psychiczne jest taki dobry w łóżku. Znowu miała w życiu pecha. Ten, a jednak nie ten.

Po chwili wahania sięgnęła po telefon.

– Cześć, siostra – przywitała się.

– Laura! – W głosie Alicji dało się wyczuć naturalną radość. – Już miałam do ciebie jechać i cię opieprzyć, że nie dzwonicz.

Przynajmniej relacja z siostrą się Laurze udała. A mogło być różnie. Ich rodzice rok po roku umarli na raka. Kiedy zostały sierotami, Laura miała osiem-

naście lat, a Alicja dziesięć. Zostały praktycznie same. Ich najbliższa rodzina emigrowała na Zachód jeszcze w czasach, kiedy Jaruzelski wprowadzał stan wojenny, a ich nie było na świecie. Kontakty szybko umarły śmiercią naturalną. Nie miał się nimi kto zająć. Na szczęście Laura osiągnęła pełnoletniość, poszła do pracy i wywalczyła w sądzie opiekę nad młodszą siostrą. Dokonała rzeczy, w którą wtedy nie wierzyła nawet sędzia wydająca decyzję. Pracowała, skończyła studia prawnicze i wychowała siostrę na rozsądną kobietę. Co prawda problemy ich nie ominęły, w pewnym okresie pojawiły się nawet narkotyki, ale udało jej się jakoś z Alicją dogadać i wyszły z tego cało. Teraz siostra miała sympatycznego męża, dwie wspaniałe córki, które były do niej uderzająco podobne, i to ona poczuwała się do odpowiedzialności za starszą Laurę. Pewnie w ten sposób podświadomie chciała spłacić dług. Dzwoniła co drugi dzień, wpadała niezapowiedziana, zapraszała Laurę na niedzielne obiady. Robiła to cierpliwie i regularnie, mimo że Wilczyca sama rzadko dzwoniła, zajęta sprawami zawodowymi.

– Nie musisz. Przecież wiesz, że o tobie pamiętam.

– Nie wiem, co by było, gdybym ja nie dzwoniła pierwsza – rzuciła Alicja z przekąsem.

Były siostrami, ale może z uwagi na dużą różnicę wieku nie były do siebie podobne. Laura była blondynką i nigdy nie nosiła długich włosów, Ala była brunetką z pięknymi długimi lokami na głowie, Laura miała grubsze rysy, za to młodszą siostrę wyglądała jak aniołek z obrazów starych mistrzów, była krucha i delikatna. Jeśli chodzi o charaktery, to różniły się jeszcze bardziej, jakby którąś z nich zamieniono w szpitalu albo była adoptowana. Tylko że patrząc na zdjęcia ich rodziców, trzeba było raz na zawsze odrzucić taką hipotezę. Laura była bardzo podobna do ojca, Alicja do matki. Być może prawdą jest, że przeciwieństwa się przyciągają, ponieważ od pewnego momentu w życiu dogadywały się świetnie.

– Ale teraz ja dzwonię – odparła Wilczyca.

– Pewnie się pomyliłaś. – Alicja zawsze musiała mieć ostatnie słowo w takich przekomarzaniach. – Albo masz problemy w pracy?

Trafiała w punkt. Laura opowiedziała jej tyle, ile mogła. Alicja próbowała ją pokrzepić, ale w końcu zaczęła o stary temat.

– Może jakbyś miała faceta, byłoby ci lżej. Razem z Rafałem nie możemy się doczekać, kiedy przyprowadzisz do nas kogoś na obiad.

– Oj Ala, nie zaczynaj – jęknęła. – To nie takie proste. Nie ma facetów dla mnie.

– Przecież pracujesz z facetami.

– Nie wiesz, jak jest w policji. Muszę być bardziej bezwzględna niż oni. Żadnych słabości.

– To brzmi strasznie. Ciągła walka i udowadnianie czegoś sobie i innym. Nie masz tego dość?

Uwaga była niezwykle celna.

– Trochę mam – przyznała Laura.

– Ale co z tym twoim Arielem? – przypomniała sobie nagle Alicja. – Z tego, co pamiętam, miałaś przy nim motyle w brzuchu, co?

– Przestań, siostra. – Laura napiła się wina, żeby splukać nagłą gorycz w ustach. – On się nie nadaje do normalnego życia.

– A ty się nadajesz?

– Ala, gdybyś była moim bratem, a nie siostrą, skopałabym ci tyłek za takie gadanie – ostrzegła.

– Ja ci mogę powiedzieć prawdę prosto w oczy – odgryzła się Alicja. – Tym bardziej że zależy mi na twoim szczęściu. Pomyśl, ty jesteś trochę nieprzystosowana do normalnego życia, on też, może byście się wzajemnie uzupełnili i byłoby fajnie.

– Gdyby to było takie proste, jak mówisz.

– Swoją drogą, ciekawe imię – zastanowiła się młodsza siostra. – Ariel, fascynujące. Kojarzy mi się z proszkiem do prania.

– To z Szekspira – jęknęła Laura. – Mówiłam ci.

– No dobrze, ale przemyśl to jeszcze.

– Już przemyślałam – ucięła policjantka.

Rozmawiały jeszcze o córkach Alicji, trochę o znajomych, Laura obiecała, że jak co tydzień odwiedzi ich w niedzielę, i po kilkunastu minutach miłego paplania się pożegnały.

Laura dołała wina do kieliszka, posiedziała chwilę i skończyło się jak co wieczór. Przeniosła się do biurka w drugim pokoju i otworzyła notes.

Najpierw pomyślała o komisarzy Żołnierzu. Cholerny sukinsyn, pewnie miał wyborną zabawę, kiedy okazało się, że Poltergeist im uciekł i tak naprawdę dalej nie wiedzą, kim jest, skąd się wziął i jakie mam zamiary. Chociaż nie. Wiadomo było, co zamierza. Minie kilka miesięcy i uderzy znowu. Znowu zginie niewinna młoda dziewczyna. Poczula mdłości.

Jednak najbardziej bolała ją satysfakcja Żołnierza, którą przez moment dostrzegła na jego twarzy. Już słyszała jego złośliwe uwagi wymieniane w gronie bliskich kolegów. „Wygryzła mnie z szefowania grupie śledczej i już w pierwszych dniach dała dupy, wypuszczając zboczeńca”. Nieważne, że dzięki niej byli najbliżej jego schwytania, po raz pierwszy mieli odciski palców i kilka śladów biologicznych, kilkunastu świadków, którzy widzieli Poltergeista i potrafili opisać jego wygląd. To się nie liczyło. Najważniejsze, że jej się nie udało. Będzie musiała się z tym zmierzyć. Znowu trzeba grać babkę twardszą, niż jest w rzeczywistości, twardszą od całej tej szowinistycznej bandy. I znowu okaże się, że nie ma tam przyjaciół. Nikt nie podejździe, nie klepnie po plecach i nie wyartykułuje nawet słowa wsparcia. Będą tylko kpiące spojrzenia i drwiące uśmiechy za jej plecami.

Czy bardzo się tym przejmuje? Nie. Przez lata się przyzwyczaiła, uodporniła, zobojętniała. Jutro jak co dzień pojedzie do pracy i stawi sytuacji czoło z podniesioną głową. Gównu ją będą obchodzić uśmiechy i uwagi. Musi być twarda i jest twarda.



## 10

**W** tym czasie komisarz Piotr Żołnierz nie mógł znaleźć sobie miejsca w domu. Dręczył go jakiś niepokój, strach, złe przeczucia. Nigdy by się po sobie nie spodziewał takiej słabości, lecz wystarczyło jedno spojrzenie na tamtego i nagle okazało się, że cała jego wiara w siebie runęła jak domek z kart. Poltergeist miał w sobie coś, z czym jeszcze nigdy się nie spotkał. Jakby naprawdę nie był żywym człowiekiem, tylko złośliwym duchem, który sieje strach i przerażenie pośród żywych. Najgorsze było jednak jego spojrzenie i tego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Nie widział dobrze twarzy zabójcy, a jedynie błysk jego oczu, jednak to spojrzenie było jak sztylet. Zimne ostrze, które nie rani ciała, lecz przenika duszę. I te słowa Poltergeista, że „jeszcze się spotkają”. To była wyraźnie wyczuwalna groźba. Ten sukinsyn musiał mieć nerwy ze stali, albo w ogóle ich nie miał. Do tego nie dysponował instynktem samozachowawczym, chyba że po prostu nie zależało mu na niczym. Przecież Żołnierz trzymał go na muszce, w każdej chwili mógł strzelić albo go skuć, ale ten cholerny złośliwy duch nawet się nie skrzywił. Jakby z góry przewidział zakończenie. I jeszcze mu groził.

A jego groźby podziały na Żołnierza jak trucizna, zatruwająca mózg i zniekształcająca myślenie. Podczas drogi do domu miał wrażenie, że ktoś za nim jedzie. Zrobił kilka kółek po głównych ulicach miasta, upewniając się, że nie ma ogona. Zresztą do samego końca nie miał pewności. Może ktoś naprawdę go śledził? Potem pojechał na zakupy. Specjalnie wybrał Galerię Świdnicką, wjechał z rozmysłem spiralą na najwyższy poziom parkingu. Dziesięć minut siedział i obserwował wjeżdżające za nim auta. Nic podejrzanego. Uspokojony zjechał windą do carrefoura i nagle znowu poczuł na plecach czyjeś spojrzenie; wydawało mu się, że między regałami widzi czasem znikającą ciemną postać. W czapce z daszkiem. Obszedł cały sklep, ale nikogo nie dostrzegł.

Wreszcie otrzeźwiał trochę. Przecież ten psychol nic o nim nie wiedział. Nie mógł nagle zacząć go śledzić. Sam miał kłopoty. Musiał uciekać przed policją, pewnie teraz siedział zaszyty gdzieś w dziupli i wyglądał z niepokojem przez okno, czy na podwórko nie zajeżdżają policyjne auta. Albo jest już w połowie drogi na drugi koniec Polski, gdzie ma chatę w lesie, albo już przekroczył granicę kraju i długo nie wróci. Tak właśnie musiało być, lecz wyobraźnia komisarza nie chciała przyjąć do wiadomości oczywistych faktów i wszędzie widziała obraz mordercy.

Kiedy wrócił do domu, jego żona akurat malowała się w łazience. Zajrzał tam tylko i od razu wiedział, że wychodzi na spotkanie. Obcisłe dzinsy wyrażały pewność, że jej tyłek może konkurować z dużo młodszymi na najbardziej pociągające kształty. Biustonosz sprawiał, że obfite piersi nabrały apetycznych krągłości. Wyzywający makijaż odpowiedział mu resztę.

– Co się tak gapisz? – rzuciła opryskliwe, podnosząc głowę i patrząc na niego przez łazienkowe lustro.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał szorstko.

– A gównno cię to obchodzi – warknęła w odpowiedzi.

– Pewne idziesz się pieprzyć z tym kierownikiem z zakładu. – Nie zdołał się opanować.

– A chuj cię obchodzi, z kim będę się pieprzyć! Czy ja coś mówię, kiedy posuwasz te zaćpane małolaty na mieście?

Nic nie odpowiedział, tylko rzucił wiązanekę najgorszych przekleństw, na co Barbara zareagowała złośliwym śmiechem. Ich małżeństwo już dawno się rozpadło. Jednak mieli wspólne mieszkanie i żadne z nich nie chciało się z niego wyprowadzić. Nie rozwiedli się też, bo to wiązałoby się z kosztami i jedno musiałoby spłacić drugie, a groszem nie śmierdzieli. Piotr już dawno sobie obiecywał, że nabiera odpowiednią sumkę z kasy za przysługi dla ludzi z miasta i nareszcie ją spłaci, ale nie miał silnej woli. Przepuszczał wszystko na małolaty i biały proszek. Pociąg do dobrej zabawy działał destrukcyjnie.

W kuchni zrobił kanapkę i czekał, aż Barbara sobie pójdzie. Pewnie wróci, gdy on już będzie spał. A jeśli nie wróci, to jeszcze lepiej, przynajmniej go nie obudzi, tłukąc się w łazience i trzaskając kuchennymi szafkami, jak miała w zwyczajcu. Pewnie robiła to złośliwie, żeby za dobrze mu się nie spało.

Kiedy trzasnęły drzwi, podszedł do barku i zlustrował krytycznie jego zawartość. Niewiele w nim zostało. Tylko on przynosił coś nowego, żona zazwyczaj jedynie uszczuplała kolekcję trunków w domu. Nie zwracała uwagi na jego ostrzeżenia i groźby. Teraz też miał wrażenie, jakby butelek znacząco ubyło. Sięgnął po niedopitą whisky i nalał sobie porządną szklankę. Lodu oczywiście nie było, więc wypił na ciepło w kilku łykach. Po chwili poczuł przyjemną niemoc, gdy alkohol spłynął do żołądka wraz z falą uspokojenia. Ten pieprzony Poltergeist jest już na pewno daleko, nie ma się czym przejmować.

Miał ochotę na jeszcze jedną szklankę, lecz palenie w brzuchu skutecznie go zniechęciło. Jeśli tylko za dużo wypił, potem męczył się z gromadzącymi się kwasami. Wymyślił coś lepszego.

W kieszeni galowego munduru schował paczuszkę koki. Wyszperał ją teraz; na nocnym stoliku ze szklanym blatem kartą kredytową uformował kreskę. Połowę wciągnął jedną dziurką, połowę drugą. Resztki wytarł palcem i wtarł sobie w dziąsła. Po chwili przyszło olśnienie. Problemy zniknęły, komisarz Żołnierz był znowu twardzielem, który rządził i miał wszystko pod kontrolą. Tyle tylko, że taki stan nie potrwał długo.

– Czego chcesz?

– Musimy pogadać.

– O tej porze? Piech, czy ciebie pojechało?

Było kilka minut po dwudziestej drugiej. Żołnierz od dwóch kwadransów krążył po mieszkaniu, zasłaniając szczelnie wszystkie zasłony. Czasem przystawał w pokoju, w sypialni lub kuchni i długo wpatrywał się w parking cztery piętra niżej. Prawie był pewien, że Poltergeist tam był. Albo ukrywał się gdzieś w krzakach za rzędem zaparkowanych przed budynkiem samochodów, albo siedział w jednym z nich i zerkał w górę w jego okna. Światła były wygaszone i nie mógł nic zobaczyć. Jednak nie o to chodziło. Najgorsze było to, że patrzył. A przynajmniej Piotr myślał, że on tam jest i patrzy. Właśnie wtedy odezwał się sygnał jego telefonu. To młodszy aspirant z wydziału, śliski typ o dziwnym spojrzeniu, Henryk Piech.

– Nigdzie się z chaty nie ruszam – mówił akurat Żołnierz, spoglądając znowu przez szparę w zasłonach na pusty parking. – Jak coś ważnego, możemy to załatwić jutro.

– Tego nie możemy odłożyć do jutra. – Piech miał dziwnie twarde i złowieszczy głos.

– Co ty pierdolisz?

– Jak nie chcesz mieć kłopotów, to spotkamy się w pizzerii na Więziennej, za godzinę.

– Odpieprz się!

– Mogę ci narobić kłopotów, komisarzu, więc nie udawaj twardziela. Za godzinę.

Piech zakończył połączenie, a Piotr jeszcze długo wpatrywał się w gasnący ekran aparatu.

Najpierw chciał zignorować gnoja, lecz naraz przyszedł niepokój. O co mu chodziło? Co takiego wiedział, że nie bał się odpalić bomby. A może to pułapka zastawiona przez wewnętrznych? Czy wiedzieli coś o Żołnierzu? Przez lata nazbierało się tego dużo, już od dawna zastanawiał się, kiedy coś przecieknie do BSW. Przeciekło czy Piech robi jakąś szaloną solówkę i stawia wszystko na jedną kartę? Niech to jasny szlag trafi!

Żołnierz znowu zerknął przez szparę w zasłonach. Po raz kolejny wydawało mu się, że widzi kogoś w cieniu, lecz za każdym razem był to kształt tylko przypominający ludzką postać. Wpada w paranoję czy to policyjny instynkt? Jeszcze raz wyjrzał. Tym razem skupił się na stojących w zasięgu wzroku samochodach. W żadnym nie dostrzegł przyczajonych ciemnych sylwetek policji z wewnętrznego. Chyba jednak paranoja.

Czego może chcieć ten cholerny Piech? Był w ich wydziale od niedawna, niby taki cichy i spokojny, bez szemrania wykonujący czarną robotę, a tu nagle taka niespodzianka. Byli razem na grillu u jednego z kolegów w willi za miastem. Maj był wyjątkowo gorący tego roku, więc wcześniej zainaugurowali sezon. Niezła popijawa, kreski, pojawiły się nawet jakieś dziewczyny. Nieźle się bawili. Kto nie pije, ten kapuje. Uświadomił sobie nagle, że nie pamięta, żeby Piech coś pił. Sączył chyba jednego drinka przez cały wieczór i obserwował. Że też tego wcześniej nie skojarzył. Wtedy myślał, że jest nieśmiały. Bo przecież wyglądał nie-

szczególnie. Trochę wylupiaсте blade oczy, płaski nos, prawie białe usta zaciśnięte w poziomą kreskę, proste rzadkie jasne włosy. Cholera, jak Gluś z bajki Wojtyszki. Teraz jego powściągliwość ujrzał w innym świetle. Obserwował i zapamiętywał, gnida jedna! Tak czy inaczej, musi się dowiedzieć, o co mu chodzi. Nieważne, że pił i wciągał, pojedzie autem, inaczej nie zdąży. Przecież ci z drogówki swoich nie łapia.

Zjawił się przed czasem tylko dlatego, że udało mu się cudem znaleźć miejsce do parkowania na Podwalu w okolicach komendy wojewódzkiej. Poszedł na skos przez Rynek i po kilku minutach był na Więziennej. Nie miał pojęcia, o który lokal chodzi, lecz szybko rzucił mu się w oczy szyld reklamujący włoską pizzę. Henryk Piech siedział w kącie, przy dwuosobowym stoliku, za parawanem. Wybrał doskonałe miejsce na pogawędkę, z dala od innych i za przepierzeniem. Zajadał pizzę, popijał piwo i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Na widok Żołnierza zamachał radośnie, jakby spotkał najlepszego kolegę.

– Zamówić ci coś? – zapytał niemal uprzejmie, kiedy Piotr zwał się ciężko na krzesło przed nim.

– O co ci chodzi? – warknął komisarz, odpowiadając twardym spojrzeniem.

Piech dla odmiany był czerwony na twarzy, tylko oczy miał jeszcze bardziej blade i zażawione niż zwykle. Żołnierz pomyślał, że pewnie z nerwów, chociaż w jego postawie nie było strachu czy zaniepokojenia. Sukinsyn był nadszpedzanie spokojny.

– Ty tak od razu z grubej rury – zachnął się.

Żołnierz prawie rzucił mu się do gardła. Na pewno by mu ulżyło, gdyby walał płaskim obliczem Piecha o talerz z jeszcze gorącą pizzą.

– Do rzeczy, Piech – rzucił oschle.

– No dobrze. – Mężczyzna odłożył niedojedzony kawałek i wytarł dłonie w chusteczkę.

Zachowywał się jak boss z filmu o włoskiej mafii w Stanach Zjednoczonych. Oscara by jednak za tę rolę nie dostał. Była zbyt kiczowata i pretensjonalna.

– No więc dobrze, kolego – zaczął i nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. – Masz kłopoty, wiesz?

– Do rzeczy! – warknął Piotr.

– Byłem w drugiej ekipie pilnującej tego zakładu stolarskiego, w którym ukrywał się Poltergeist.

Żołnierz poczuł, że blednie.

– Na chwilę wyszedłem z auta, bo się denerwowałem i nogi mi zdrętwiały. Przecież wiedzieliśmy, że reszta już jedzie. No i przypadkowo zobaczyłem znajomego, przy płocie z tyłu budynku. Najpierw myślałem, że akcja już się zaczęła, potem, że sam chce aresztować zboka, dopiero dużo później zrozumiałem, po co był tam komisarz Żołnierz.

– Coś ci się przywidziało. – Piotr zacisnął szczęki tak mocno, że słowa z trudem wypływały z ust. – Nie było mnie tam.

Piech wzruszył ramionami.

– Skoro tak twierdzisz, to ja nie będę dyskutował, tylko pokażę te zdjęcia Wilczycy. Słyszałem, że się nie lubicie, co?

W wyciągniętej przez stół dłoni spoczywał smartfon, na ekranie wyświetlone było zdjęcie. Piotr rzucił okiem i zaklął w myślach. Nie dało się go na nim nie rozpoznać. Ktoś musiałby być ślepy albo niepełnosprawny intelektualnie, żeby nie skojarzyć sylwetki na zdjęciu z nim samym. Ogarnął go chłód.

– Czego chcesz? – zapytał cicho.

Piech wyraźnie się odprężył, odchylił się na krzesło i nawet pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Najpierw chciałem cię udupić – odparł – ale uświadomiłem sobie, że masz dużo szemranych kolegów w wydziale i to może oznaczać też koniec mojej kariery w firmie. Chodzą o tobie różne słydy; podobno masz kontakty z ludźmi z miasta, więc pomyślałem, żebyś mnie wkrcił w ten układ. Wiesz, jak my gli-niarze słabo zarabiamy. Zawsze przydałby się dodatkowy grosik na dobry towar. Ale wtedy poszedłem po rozum do głowy. To zbyt niebezpieczne. W razie wpadki nie dość, że prokurator, to jeszcze niesława i nici z wcześniejszej emeryturki.

– Streszczaj się – warknął Żołnierz, z trudem nad sobą panując.

– Przecież prościej będzie, jeśli zażądam pieniędzy. W razie czego to ty masz problem, a ja się wszystkiego wyprę.

– No i?

– Kasuję te foty za pięć dych.

Przy ich stoliku pojawiła się ładna młoda kelnerka. W innych okolicznościach Żołnierz nie darowałby sobie dokładnego zbadania wzrokiem jej atrakcyjnych kształtów, lecz teraz nawet na nią nie spojrzął.

– Coś panu podać? – zapytała z uprzejmym uśmiechem.

– Kolega się jeszcze zastanawia – odpowiedział za niego Piech po dłuższej chwili ciszy przy stoliku.

Kelnerka odeszła ze służbowym wyrazem twarzy.

– Drogo się cenisz – szepnął w końcu Żołnierz.

– Bo i sprawa śmierdzi. – Piech pokiwał głową. – Po co ty tam chodziłeś, Żołnierz, co? Chyba go nie ostrzegłeś?

– Kiedy chcesz kasę? – rzucił, uznając, że nie ma sensu dyskutować, przecież i tak nie ma i nie będzie miał pięćdziesięciu tysięcy. Ani jutro, ani za tydzień, ani za miesiąc.

– Za dwa dni napiszę ci, gdzie się spotkamy.

Komisarz Żołnierz wstał gwałtownie i popchnął talerz z pizzą w kierunku Piecha. Talerz potracił szklankę z piwem i jej zawartość rozlała się na jego kolana. Piech poderwał się ze zduszonym przekleństwem w ustach, a wtedy szklanka rozbiła się o podłogę. Żołnierz już tego nie widział. Wyszedł na ulicę i zapalił papierosa.

Wracał tą samą drogą, myśląc gorączkowo. Cholerny sukinsyn. Nie ma takiej kasy. Pożyczyć od gangusów? Pewnie chętnie by dali na wysoki procent albo nawet bez procentów, ale mieliby go na każde zawołanie. To nie wchodziło w grę.

Kiedy szedł wzdłuż fosy na Podwalu, już wiedział, co musi zrobić. Pozbędzie się Piecha. Już nawet krystalizował mu się w głowie pewien pomysł.

## ARIEL – WIELE LAT WCZEŚNIEJ

**M**inęła północ. Wąska droga wiała się pośród lasów, światła reflektorów auta oświetlały pobocze i trochę dziurawego asfaltu przed maską. Ariel prowadził skupiony. Jeśli kiedyś chciał bez problemów wrócić w to miejsce również nocą, musiał dokładnie zapamiętać drogę. Na mapie obejrzał ją bardzo dokładnie, co innego było jednak tu być i widzieć na własne oczy. Był już ponad sto kilometrów za Wrocławiem w kierunku północnym, właśnie zjechał z głównej drogi i zagłębiał się coraz bardziej w las. O tej porze nikt tu nie jeździł. Tylko wiatr targał koronami drzew i krzakami rosnącymi za linią rowu biegnącego wzdłuż jezdnii.

Nagle przed nim zamajaczyły jakieś ciemne kształty. Przyhamował gwałtownie i po chwili się zatrzymał. Stado dzików przechodziło na drugą stronę. Najpierw pięć dużych osobników, potem mniejsze, a na końcu wielka locha, która przystanęła na środku i obserwowała. Widział ją wyraźnie; w jej oczach odbijało się światło. Postój się przedłużał. Wreszcie i ona zniknęła w zaroślach. Odczekał jeszcze kilkanaście sekund, żeby uniknąć przygody z jakimś spóźnionym członkiem stada, i pojechał dalej. Niedługo potem skręcił w leśną dróżkę. Zmienił światła na pozycyjne i bardzo wolno zagłębiał się w las.

Przejeżdżał przez kałuże, dziury, o podwozie tarły wysokie trawy rosnące na garbie między dwoma śladami wydrążonymi przez maszyny i pojazdy leśników. Wreszcie po kilku minutach stanął, wyłączył światła, uchylił drzwi i wsłuchiwał się w odgłosy lasu.

Długo się zastanawiał, jak najlepiej pozbyć się zwłok. Rozważał różne warianty. Spalenie, wrzucenie do rzeki, poćwiartowanie i rozrzucenie po różnych częściach kraju, a nawet pozostawienie na miejscu zbrodni. Ta ostatnia możliwość najmniej mu się podobała. To było jak prośenie się o wpadkę. Na zwłokach mogło zostać zbyt wiele jego śladów biologicznych, zapachowych, nitek z ubrania i innych paprochów. W dobie świetnie rozwiniętej techniki kryminalistycznej to nie było dobre rozwiązanie. Myślał też o rozpuszczeniu w kwasie, ale to z kolei wydawało się proste w filmach lub w książkach. Skąd wzięłyby tak dużą ilość rozpuszczalnika, zasady lub kwasu? Załatwiając takie substancje na rynku, też mógłby zwrócić na siebie uwagę policji. Komuś mogłoby się wydać podejrzanym, po co młodemu psychologowi żrące substancje w hurtowych ilościach. Spalenie również było problematyczne. Trudno było znaleźć odpowiednie miejsce, gdzie nie zwracałby na siebie uwagi. Również w tej kwestii filmy mocno rozmięły się z rzeczywistością. Nie każdy piec w piwnicy się do tego nadawał. Prowadzona od lat kampania na rzecz wymiany kopcuchów na nowoczesne piece

też nie sprzyjała takiemu pomysłowi. Piece nowej generacji nie nadawały się do tego. A gdyby nawet miał dostęp do jakiegoś starego pieca w piwnicy zapomnianego domu na odludziu, i tak proces palenia był nieskuteczny. Nie wszystko w człowieku się łatwo pali. Podobno stos z ciałem Adolfa Hitlera płonął kilka godzin, wielometrowym płomieniem, a i tak w popiołach znaleziono fragmenty szczęki i zębów. Za rozrzuconiem rozczłonkowanych zwłok w różnych miejscach także kryło się pewne ryzyko – mogła mu się przytrafić słuczka, poważniejszy wypadek albo rutynowa kontrola policji, a wówczas fragmenty ciała w bagażniku stanowiłyby poważny problem. Rozważał jeszcze wiele różnych opcji, aż uznał, że najlepsze będzie zakopanie w ziemi, w lesie, z dala od zabudowań. Musiał tylko działać ostrożnie i tak zabezpieczyć zwłoki, żeby nie rozgrzebały ich zwierzęta. Efektem tych przemyśleń była niezbyt optymistyczna konstatacja, że wbrew pozorom bardzo trudno w warunkach domowych pozbyć się trupa.

Wreszcie, kiedy już widział lepiej w ciemnościach, wysiadł, z bagażnika wyciągnął szpadel i grubą plandekę. Kilka chwil szukał miejsca, w którym mimo płątaniny korzeni mógłby wykopać spory dół. Znalazł je przy zwalonym i zmurszałym ze starości pnium. Niezły punkt orientacyjny. Przecież i tak zamierzał niedługo tu wrócić.

Męczył się ponad godzinę. To była prawdziwa katorka. Nienawykły do fizycznej pracy, mimo rękawic dorobił się wielkich i bolesnych pęcherzy na dłoniach. Zlany potem z trudem łapał oddech. Cholera, też nie było tak, jak myślał. Te przekłete korzenie były wszędzie, na każdym poziomie, z niektórymi musiał walczyć za pomocą sekatora, który wziął awaryjnie na wypadek, gdyby musiał wycinać krzaki leszczyny. Teraz przydał się do czegoś zupełnie innego. Odpoczywał oparty o drzewo i oddychał ciężko, patrząc w górę na korony drzew, kołyszące się pod naporem wiatru.

Na początku, kiedy zdecydował się na las, pomyślał o kamerach, które leśnicy montują, żeby podglądać nocne życie zwierząt albo śledzić bezwstydników wywożących śmieci do lasu. Uznał jednak, że trafienie na kamerę w tak odludnym miejscu jest bardzo mało prawdopodobne. Podejrzewał, że nadleśnictwa bardziej się chwala, że je mają, niż montują je naprawdę.

Gdy odpoczął, wrócił do samochodu i wytargał zwłoki z bagażnika. Mocno się przy tym namęczył, żeby nie uszkodzić folii i taśmy, którymi ciało było owinięte. Folię zgrzała na całej długości łączenia, żeby do środka nie dostała się wilgoć oraz żeby zapach nie zachęcał małych drapieżników do grzebania w ziemi. Sześćdziesiąt kilogramów na plecach też dało mu się we znaki, zanim pakunek wylądował na dnie wykopu. Stał przy jego brzegu, dysząc, i oceniał, czy głębokość jest odpowiednia. Może tak, może nie. Zresztą nie miał już siły, żeby kopać głębiej. I chyba mocno przekroczył ustalony wcześniej harmonogram.

Zасыpywanie miało być proste, ale zajęło mu prawie dwie godziny, zanim wyrównał teren, udeптаł, złożył plandekę, nadmiar ziemi wyniósł na drogę i wysypał do kilku kałuż z tyłu i z przodu auta. Kiedy wreszcie posadził znowu mech i inne wykopane rośliny, był już nieprzytomny ze zmęczenia. Co prawda ostatnio uczęszczał na siłownię, biegał i uczył się sztuk walki, jednak za krótko, jak na

take wyzwania. Ale spokojnie, za kilka miesięcy na pewno pójdzie mu o wiele lepiej.

Omiótł otoczenie ostatnim spojrzeniem, uznając, że jest okej, i wrócił do auta. Cofając, zastanawiał się, kiedy tu wróci. Najlepiej odczekać co najmniej tydzień i dobrze by było, gdyby w tym czasie popadał deszcz. Zamierzał odkopać to, co przed chwilą zakopał, i zobaczyć, jakie przez ten czas zaszły procesy.

Kiedy ruszył w kierunku głównej drogi, na wschodzie zaczął bielić się świt. Na pewno tu wróci. Już niedługo.



# ARIEL

1

Laura spojrzała na zegarek. Kwadrans po piętnastej. Pomyślała, że jeśli dzisiaj sobie odpuści i wróci szybciej do domu, niebo nie zwali jej się na głowę. Robiła nadgodziny od kilku tygodni, już zapomniała, jak to jest wyjść z budynku komendy, kiedy jeszcze świeci słońce. Poltergeist i tak uciekł, a nikt jej za te dodatkowe godziny nie zapłaci. Na razie nic nie zapowiadało, żeby byli blisko jego namierzenia. Jakby ten sukinsyn naprawdę był złośliwym duchem i zniknął w zaświatach.

Szła Krupniczą w kierunku Kazimierza Wielkiego i zastanawiała się, gdzie teraz jest Maciej. O ile dobrze orientowała się w jego rozkładzie dnia, powinien właśnie jeść obiad w swojej ulubionej włoskiej lub meksykańskiej restauracji. Była środa, więc stawiała na kuchnię południowoamerykańską. Uśmiechnęła się na myśl, że znowu zepsuje mu taki piękny plan na popołudnie. To było nawet podniecające – patrzeć na jego złość, którą potem rozładują wspólnie w przyjemny sposób.

Rzadko paliła, ale zazwyczaj miała przy sobie pozłacaną papierošnicę z kilkoma papierosami w środku. Papierošnica była jedną z niewielu pamiątek po ojcu i traktowała ją jak amulet. Cienki papieros nie smakował, więc wyrzuciła go po trzech machach. Kilka minut później weszła do restauracji.

Maciej Lesiecki siedział na tym samym miejscu co zwykle, w kącie przy oknie, i zjadał enchiladę z wołowiną, popijając wodą z cytryną. Zobaczył ją dopiero, kiedy usiadła naprzeciw. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który zaraz zgasł, gdy mężczyzna uwiadomił sobie, że spotkanie nie jest przypadkowe i zdezorganizuje mu resztę dnia.

– Cześć! – rzuciła Laura.

Doskonale przewidziała jego reakcję. Maciejowi twarz stężała i popatrzył na nią ze złością.

– O, nie! – Zamachał przed sobą widelcem. – Wcale cię tu nie ma. Nie zwracam na ciebie uwagi! Nie dam sobie zepsuć dnia!

Zaczął jeść, jakby naprawdę jej nie zauważał. Odczekała kilkanaście sekund, podczas których on był coraz bardziej nerwowy. Sztucce coraz głošniej stukaly o talerz, dłoń z widelcem coraz bardziej drżała, kiedy przemierzała krótką drogę od talerza do ust.

– Maciej, opanuj się – poprosiła łagodnie.

Odłożył sztucce z brzękiem.

– Jak mam być opanowany, kiedy pewnie coś ode mnie chcesz, a mój dzisiejszy plan znowu szlag trafi. Nie możesz się tak nagle zjawiać i wszystko mi rozwałać. Przecież mogłaś wczoraj zatelefonować i powiedzieć, że chcesz się...

– Maciek... – spróbowała mu przerwać. Bezskutecznie.

Jego panika narastała.

– Jakbyś wczoraj zadzwoniła, tobym ujął nasze spotkanie w planie na dzisiaj. I co ja teraz, cholera, zrobię, wszystko się posypie. Mogłaś zatelefonować, prawda?

– Nie mogłam. – Pokręciła głową.

– Nie wierzę ci. – Jego głos stał się piskliwy. – Zrobiłaś to specjalnie.

Chwyliła go za rękę i przytrzymała ją, patrząc mu w oczy. Był uroczy, kiedy wpadał w panikę. Taki bezbronny i bezradny jak dziecko. Z trudem powstrzymała uśmiech. Próbował się wyrwać, lecz trzymała go mocno. Złowiła wreszcie jego spojrzenie.

– Maciek, uspokój się – powiedziała cicho, ale stanowczo. – Świat się od tego nie zawali, a ja ci wynagrodzę zmianę planów.

– Laura... – Póbował protestować, lecz ponownie mu przerwała.

– Maciej!

Uspokoił się nagle i pokiwał głową. Puściła go.

– To zapłać i jedziemy. W domu zrobię ci coś dobrego i strasznie niezdrowego.

– Posłała mu uśmiech, ale jeszcze nie odzyskała równowagi na tyle, żeby odpowiedzieć uśmiechem.

Kiedy kilka minut później siedział na siedzeniu pasażera, jeszcze walczył. Przeglądał plan dnia w smartfonie i narzekał, ilu punktów nie uda mu się zrealizować.

Zabrała mu aparat i schowała do skrytki w podłokietniku. Potem milczeli. Zerknęła na niego spod oka przez pozostałą część trasy. Oddychał spokojnie i wpatrywał się w boczną szybę. Chyba wreszcie się uspokoił.

Utwierdziła się w tym przekonaniu, gdy kochali się na łóżku w jej sypialni. Jeśli tylko był w stanie okiełznać swoje lęki i fobie, stawał się cudownym kochankiem, z którym zawsze było jej dobrze, przy którym nareszcie mogła się poczuć jak prawdziwa kobieta i nie musiała niczego udowadniać. Potem leżeli wtuleni w siebie. Laura pomyślała, że fajnie by było mieć go na stałe, jednak to nie wchodziło w grę. On się nie nadawał do normalnego życia. Dzisiaj wyciągnęła go siłą ze schematu, ale jutro od rana sam z powrotem wpakuje się w ten schemat i znowu jego życiem będą rządzić plany. Taka choroba, której nawet on nie potrafił pokonać. A był przecież psychologiem.

Wreszcie kilkunastominutowa bajka o normalnym życiu się skończyła i trzeba było wrócić do rzeczywistości. Wstała, zarzuciła na siebie szlafrok i spojrzała na niego z góry.

– Przygotuję ci coś niezdrowego do jedzenia. Co ty na to?

– Cokolwiek zrobisz, będzie pyszne. – Posłał jej uśmiech.

Ona też uśmiechała się przez cały czas, kiedy smażyła jajka na boczku. Jak tu nie lubić tego faceta? Z jej myśli zniknęli Poltergeist, cholerny Żołnierz ze swoim wiernym kumplem Góralskim, a wraz z nimi cały oddział nielubianych kolegów z firmy. Przez te kilka minut mogła poczuć się jak kobieta, a nie jak policjant. Nieczęsto spotykała się z Maćkiem, ale za każdym razem było tak samo przyjemnie. Namiastka normalnego życia, którego nigdy nie będzie miała.

W międzyczasie zajęła się parzeniem kawy po turecku, a Maciej zwinął się w jeden z jej szlafroków i usiadł w kuchni przy stole, patrząc w milczeniu na jej krzątanie. Robiła dużą porcję. Po seksie miał apetyt jak smok i zjadłby konia z kopytami.

– Co tak patrzysz? – rzuciła trochę zaczepnie.

– Podobasz mi się. – Zabrzmiało to szczerze.

Odpowiedziała uśmiechem, ale nie pozwoliła mu nabrać zbytnej pewności siebie.

– To po co ci ta małolata w domu? – zapytała kpiąco.

Wyglądał komicznie z zakłopotaną miną.

– Nie wiem – odrzekł niepewnie. – Mam się zdiagnozować?

– O rany! Chciałabym usłyszeć, co pan terapeuta ma do powiedzenia na swój temat.

Zastanawiał się przez moment.

– Trudne dzieciństwo bez matki, trudny wiek przed czterdziestką i chęć dowartościowania się, uległość w stosunku do kobiet i duża podatność na manipulacje – wyrecytował niemal na jednym wdechu.

– Jakbyś cytował podręcznik z psychologii – zakpiła. – A jaka jest prawda?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ona mnie akceptuje takiego, jakim jestem?

– Na pewno? – Spojrzała na niego poważnie przez ramię. – Myślę, że była trochę pogubiona w życiu, zaimponowało jej, że zainteresował się nią starszy facet, doktor, pewnie szmalowny. Może nawet w grę wchodziło zauroczenie, ale głównie polecała na pieniądze, których za dużo nie masz, i łatwe życie. Można zaimponować koleżankom, co?

Maciej Lesiecki milczał przez chwilę, analizując jej słowa przez pryzmat jego ostatniej rozmowy z Sonią i wizyty specja od kuchennych mebli. Może Laura miała trochę racji? Mimo to próbował się bronić.

– Wiesz, zawsze podobały mi się młodsze kobiety, no i mam duże potrzeby seksualne.

Parsknęła, jakby ze złością.

– Ja też mam, możesz częściej mnie odwiedzać. Ty sobie po prostu nie radzisz z kobietami, Maciej. Dajesz się łatwo omamić, a potem nie potrafisz z tego wybrnąć. Twoja ekszona ciągle próbuje kierować twoim życiem?

Niechętnie musiał przyznać jej rację. W międzyczasie skończyła smażyć jajka na boczku i zasiedli do jedzenia.

– Przypomnieć ci, ile coraz młodszych kobiet przewinęło się przez twój dom w ostatnich dwóch latach? – zapytała, gryząc chleb.

Pokreślił przecząco głową.

– Nadmienię tylko, że zawsze to ty decydowałeś, żeby zakończyć te przygody. Szybko dochodziłeś do przekonania, że te związki są sprzeczne z twoimi oczekiwaniami i planami na życie. I za każdym razem miałeś duży problem, bo byłeś za miękki. Jaki to ma sens?

– Z Sonią jest inaczej. – Próbował jeszcze protestować.

– Pieprzysz – zachnęła się. – Tylko wycza, ile naprawdę masz kasy, i sama cię zostawi. Ona jest z innego pokolenia, nigdy się nie dogadacie.

– Na razie się dogadujemy.

Maciej pomyślał o ostatniej wizycie koleżanek Soni i nie powiedział już nic więcej. To były tylko jego pobożne życzenia. Nie dogadywali się; on już czuł się źle w tym związku, a Sonia najwyraźniej jeszcze traktowała go poważnie.

Jedli chwilę w milczeniu. Na szczęście Laura postanowiła zmienić temat.

– Jeszcze nigdy nie udało mi się tak szczerze z tobą porozmawiać – powiedziała, patrząc na niego spod oka. – Może powiesz coś jeszcze?

– Pani komisarz spróbuje kontynuować przesłuchanie, to się dowie. – Chciał zażartować, lecz wyszło jakoś niesmiesznie.

– Dlaczego zmieniłeś imię? – strzeliła.

Czy on chciał jej o tym opowiadać? Zmienił imię po to, żeby nigdy nie wracać do tamtej złej przeszłości. Odciąć się, zapomnieć, zmienić całe życie, nigdy już o tym nie pamiętać. Zmiana imienia była tylko kropką nad „i”. Uznał jednak, że jej powie. Nie miał przyjaciół, tylko ją. A czasem człowiek czuje potrzebę wygadania się przed kimś. Nie chodził do psychologa, ponieważ miał wyrobione zdanie o ich niskich kwalifikacjach, a ci, których ceniał, byli jego znajomymi. Przecież nie będzie opowiadał wstydliwych historii o sobie znajomym terapeutom. A do lustra też się ciężko mówi. Zresztą psycholog nie jest w stanie pomóc sam sobie. Przynajmniej w teorii. On był chyba jedynym, któremu się udało.

– Chciałem zmienić wszystko w swoim życiu – powiedział wolno, przełykając kęs chleba i kawałek boczku zamoczonego w jajku. – Zmiana imienia była symbolicznym odcięciem się od dzieciństwa. Poza tym nigdy nie lubiłem tamtego imienia.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Ariel to bardzo ładne i oryginalne imię. Mnie się podoba.

– A mnie nie – uciął, ale ona drążyła.

– Kojarzy mi się z takim filmem z dzieciństwa. *Szaleństwo Majki Skowron*. Tam był Ariel.

Pokręcił głową.

Wycierał kawałkiem chleba tłuszcz z talerza i wspominał dawne czasy.

– Mój ojciec był kiedyś aktorem i grał jakiś epizod w teatrze w tej sztuce, mówiłem ci o tym – powiedział wolno.

– Grał Ariela?

– Znając jego talent, nie sądzę – parsknął ze śmiechem. – Nadawał się raczej na Kalibana. Myślę, że podświadomie chciał mieć takiego służącego jak Prospero w *Burzy*. „Ariel, zrób to”, „Ariel, zrób tamto”. Szczególnie kiedy zabrakło mamy, próbował zrobić ze mnie służącego, ale się nie dałem.

– I zmiana imienia była lekiem na całe zło? – Wstała i zajęła się przedcedzeniem zagotowanej kawy przez papierowe filtry prosto do kubków.

– No nie. Musiałem się zmienić – westchnął. – Potrzebowałem nowego otwarcia, musiałem w swojej świadomości stać się kimś innym. Zmiana imienia to był początek. Ludzie zaczęli się do mnie zwracać jak do kogoś innego.

– Tylko po co aż taka zmiana?

Lesiecki nagle zamilkł wpatrzony w talerz, jakby zamknął się w sobie. Kiedy Laura myślała, że już nic więcej nie powie, nagle odezwał się cicho:

– Ariel był bardzo złym człowiekiem, a ja chciałem być normalny, dobry.  
– Nie bardzo rozumiem. – Pokręciła głową. – Więc oprócz tych wszystkich natręctw masz jeszcze rozdwojenie osobowości?

– Nie – zaprzeczył szybko. – Źle mnie zrozumiałaś. Byłem złym człowiekiem i musiałem zbudować nowego siebie. Dobrego.

Parsknęła śmiechem i zaraz spoważniała.

– Nie obraż się, Maciek, ale z tym budowaniem to chyba coś ci nie wyszło. Walczysz z natręctwami, masz stany lękowe, każdy dzień musisz mieć zaplanowany co do minuty, a jak coś ci nie wychodzi z planem, dostajesz pierdolca. Ariel też taki był?

Zaprzeczył i powiedział po namyśle:

– Nie zrozumiesz tego. Muszę być od niego zdecydowanie inny, muszę żyć innym życiem niż on, dlatego robię sobie plan. Bez planu znowu będę Arielem, a ja już nie chcę nim być.

Policjantka postawiła przed nimi kubki z kawą i usiadła na swoim miejscu.

– Jesteś najoryginalniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałam. I najbardziej popieprzonym.

Nagle pomyślała, że kiedy koledzy zaczęli ją nazwać Wilczycą, też stała się kimś innym i bardzo jej to pomogło.

– I chyba dlatego lubię cię bardziej niż innych facetów.

Nagle wstała, przeszła na drugą stronę stołu, usiadła mu na kolanach i pocałowała go. Oddał jej pocałunek z nieśmiałością nastolatka.

*No i jak można go nie lubić?* – przemknęło jej przez głowę, kiedy znowu ciągnęła go do łóżka.

Słońce dawno już zaszło, kiedy Maciej Lesiecki wysiadł z samochodu pod swoim blokiem. Wspinał się po schodach, ciągle mając w pamięci jedno z pytań zadanych mu dzisiaj przez Laurę, kiedy zadyszani leżeli obok siebie na łóżku, a wokoło nich ciągle unosił się zapach intensywnego seksu. „A kim byłeś przed chwilą? Maciejem czy Arielem?” Nie odpowiedział jej wtedy, ponieważ nie znał odpowiedzi. I to pytanie dręczyło go przez całą drogę powrotną. No właśnie, kim się stawał, kiedy jego życiem nie rządził plan i nagle zyskiwał kilka godzin swobody. Miał nadzieję, że nowym sobą, jednak coś mu podpowiadało, że to nie musi być prawda. Bez planu, beczelnie spokojny, ogarnięty dzikimi żądzami, był nim. Złym Arielem, który w tych momentach wślizgiwał się w niego z za grubego muru, mającego go już na stałe odgradzić od rzeczywistości.

Pokręcił głową, szukając kluczy. Myśl była niepokojąca, jednak musi się nad nią jeszcze dobrze zastanowić.

Drzwi były otarte. Nacisnął na klamkę, kiedy nie mógł przekręcić klucza w zamku, i wtedy uchyliły się bezszelestnie. W mieszkaniu panował półmrok. Tylko z otwartych drzwi do kuchni sączyło się do przedpokoju światło jednej z bocznych lamp. W powietrzu unosił się dziwny zapach, którego Maciej nie

potrafił zidentyfikować. Zaniepokoił się, że stało się coś złego. Cicho zamknął drzwi i na palcach ruszył korytarzykiem.

– To ty?! – rozległo się wołanie Soni, a on mało nie dostał zawału, gdy podskoczył przestraszony.

Zajrzał do kuchni. Siedziała w szlafroku na krześle, z nogami założonymi na drugie krzesło, i suszyła pomalowane paznokcie. Popatrzyła na niego badawczo.

– Co tak późno? – zapytała. – Zgodnie z planem miałaś być już dawno w domu i przygotowywać się na jutrzejsze konsultacje z pacjentami.

Lesiecki trochę się zmieszał. W tym momencie na pewno nie był Arielem. Ten nigdy by tak nie zareagował, był nadzwyczaj pewny siebie, arogancki i bezczelny.

– Coś mi wypadło – odparł wymijająco. – Odwołałem jutrzejsze spotkania.

Sonia chyba nie zwróciła uwagi ani na niego, ani na to, co powiedział. Z atencją oglądała krwistoczerwone paznokcie. Maciej niezdarnie nachylił się do niej i pocałował ją na powitanie. Źle zrobił, ponieważ zwrócił tym na siebie uwagę dziewczyny.

– Dziwnie pachniesz – stwierdziła, patrząc na niego podejrzliwie. – Gdzie byłeś?

Przeklął się w myślach. Pachniał mieszkaniem Laury, jej łóżkiem i samą Laurą. Ale przecież nie mógł się do tego przyznać.

– Ja dziwnie pachnę? – Niby obojętnie wzruszył ramionami. – To tu jakoś dziwnie pachnie.

To najwidoczniej uspokoiło Sonię.

– Być może. Był ten fachowiec od mebli kuchennych. Przyniósł projekt i uzgadnialiśmy ostatnie szczegóły. On chyba jakoś tak dziwnie pachniał i wiesz co? – Zastanowiła się. – Jest w nim coś dziwnego. Jakby... No nieważne – zakończyła po chwili wahania.

– Poszedł już? – zapytał niezbyt przytomnie Maciej.

– Już dawno, przecież jest ciemno.

– No tak. – Pokiwał głową.

Wyciągnął z lodówki sok jabłkowy i nalał sobie pełną szklanekę.

– I co z tym projektem?

– Będzie super! – Sonia się ożywiła. – Powiedział, że w przyszłym tygodniu zaczyna robić meble. Potrzebna będzie zaliczka.

Maciej starał się zamaskować swoje zaniepokojenie. Kiedyś miał oszczędności, i to nawet spore. Odkąd zamieszkała u niego Sonia, więcej wydawał, niż zarabiał, i kasa przez te kilka miesięcy się rozeszła. Może Laura miała rację? Sonia była z nim tylko dla pieniędzy? Może kiedy się dowie, jaka jest prawda, to odejdzie? Tak byłoby nawet lepiej dla niego.

– Na kiedy ta zaliczka? – zapytał ostrożnie.

– Przed rozpoczęciem prac.

– Czyli w przyszłym tygodniu?

– Tak, fachowiec da mi znać na kiedy.

Maciej pokiwał głową, zastanawiając się, od kogo pożyczyć. Zresztą nie było co się zastanawiać. Tylko jedna osoba pożyczy mu pieniądze, gdy ją o to poprosi. Tą osobą była Laura Wilk.

Za oknem błysnęło i po kilku sekundach po przestworzach poniósł się dudniący odgłos. Nadchodziła pierwsza w tym roku majowa burza.



## 2

Kolejne błyski rozjaśniły noc, a zaraz za nimi po niebie pomknęły złowrogie pomruki. Komisarz Góralski z obawą spojrział w niebo. To nie był dobry znak. Babcia zawsze go ostrzegała, żeby nie robić niczego ważnego w czasie burzy. Wtedy diabli grają w kręgle i szukają współników do gry. Kogo wybiorą, ten długo będzie miał kłopoty. Może to było głupie gadanie starej baby, żeby przestraszyć naiwne dziecko, jednak Góralowi te słowa na zawsze zapadły w pamięć. Podobnie jak zgrzytliwy śmiech tej starej jędzy, która najbardziej cieszyła się z ludzkiego nieszczęścia, a krzywdzenie innych było sensem jej życia. Nawet na łożu śmierci omal nie doprowadziła swoich dzieci do szaleństwa. Umierała półtora roku, nie ruszając się z łóżka. W tamtych czasach nie było domów opieki dla starców, nie było hospicjów, nie było profesjonalnych opiekunów. Rodzina musiała opiekować się tą starą wiedźmą, bo co ludzie powiedzą. Wreszcie którejś nocy umarła. Góral pamiętał, jak jego ojciec sięgnął do barku, nalał sobie setkę wódki, wypił i odetchnął z ulgą. „Niech się smaży w spokoju” – powiedział, a matka, czuła na takie złośliwości, nie skomentowała. Sama nalała sobie drugą setkę, wypiała i nawet się nie skrzywiła. Babka umarła w maju podczas gwałtownej burzy, więc pewnie diabli ją wybrali do gry, zgodnie z sensem opowieści, którą straszyla wnuka.

Ta historia odcisnęła piętno na całym dzieciństwie Góralskiego, a potem chyba na całym jego życiu. Takie traumy z lat dziecięcych na zawsze nas przecieź kształtują. Przez to został policjantem? Chyba nie. Przez tamte zdarzenia mógł zostać co najwyżej skorumpowanym draniem i pewnie tak właśnie było. Bo przecieź w innym przypadku nie siedziałby teraz w samochodzie naprzeciwko bloku, w którym mieszkał Piotr Żołnierz, i nie zastanawiał się, w jaki sposób go zabić i nie dać się złapać. Był śledczym od zabójstw. Wiedział, że nie ma zbrodni doskonałych, chociaż wśród policjantów istnieje złośliwe powiedzenie, że wszystkie, w których nie wykryto sprawcy, są doskonałe. Miał jedną przewagę nad innymi osobami planującymi zabójstwo – wiedział, jakie ślady może zostawić, w jaki sposób policja może dojść do tego, skąd przyjechał i jakim autem, czy był leworęczny czy nie, czy był wysoki czy niski, i że zawsze znajdzie się jakiś przypadkowy świadek. Albo jakiś menel, który akurat leży niezauważony pod krzakiem i obudzi się na odgłos wystrzału. Albo jakaś cholerna baba będzie wracać z nadprogramowego spaceru ze swoim Pimpusiem, bo ten obzarł się suchą karmą i dostał sraczkę. Takie sytuacje zdarzały się bardzo często. Nawet najbar-

dziej misterny plan może zniweczyć para nastolatków, których akurat w tym momencie naszła ochota na amory i obściskują się w pobliżu miejsca zbrodni. Jak tego uniknąć? Nie da się.

A jednak Góralski musiał coś wymyślić, jeśli chciał wyjść z szamba, do którego tak łatwo wpadł. Będzie ciężko, ale przecież jemu się uda. Tylko nie może zaczynać niczego, kiedy nadciąga burza. Przez swoją cholerną babcię. Chociaż, jak teraz się nad tym zastanawiał, miał coś z jej charakteru. Od genów nie ucieknie. Był zdolny do wszystkiego. Nawet do podłączenia koleźce kroplówki od doktora Makarowa. Trzy ołowiane krople umieszczone w odpowiednich miejscach wystarczą. Taką dawkę od specjalisty trudno będzie przeżyć.

W kieszeni miał pistolet Makarov kaliber 9 milimetrów. Bardzo popularna broń w krajach dawnego bloku komunistycznego i w samym Związku Radzieckim, gdzie stanowił podstawowe wyposażenie wojska i milicji.

Ten pistolet też był ważną częścią historii jego rodziny, podobnie jak babcia hetera. Kiedy upadł ZSRR i jego armia została zmuszona do wyniesienia się z Polski, zaczęło się dziać. Za bezcen można było kupić dziwne rzeczy. „Anglicy z Legnicy” – jak mawiał o rosyjskich żołnierzach stacjonujących w tym mieście ojciec Górala. No i od jednego znajomego „Anglika” z Leningradu kupił za litr spirytusu makarowa, a za drugi litr dwie paczki naboji. Idealna broń, żeby zastrzelić Żołnierza. Tak zwany *no name*. Pistolet, który nie istniał. Wszelkie archiwa i spisy uzbrojenia wraz z okupacyjną armią wyjechały na wschód i ślad po nich zaginął. Nikt o pistolecie nie wiedział. Tylko ojciec i jego syn. Z tym, że ojciec od jakiegoś czasu spoczywał już w pojedynczej kwaterze na cmentarzu Grabiszynskim.

Dzień wcześniej Góralski pojechał do domu babci na wsi, w którym mieszkał teraz jego zapijaczony młodszy brat, i wygrzebał pistolet ze skrytki za piecem, a potem w lesie wystrzelił z niego dwa razy. Działał bez zarzutu. Trzy krople ołowiu z kroplówki Makarowa, wejdzie idealnie.

Znowu zagrzmiało. Tym razem tuż nad głową komisarza. Po chwili o karosierię zabębniły grube krople deszczu. I kiedy wydawało się, że ulewa zaraz się rozkręci na dobre, nagle wszystko umilkło. Nawet wiatr się uspokoił. Burza postanowiła wyładować swoje frustracje gdzie indziej. I dobrze.

Wpatrywał się w ciemne okna mieszkania Żołnierza i zastanawiał się, dokąd on łązi o tej porze. Jego żony zresztą też nie było, ale w tym nie było nic dziwnego. Ponoć miała jakiegoś gacha na mieście. Może Żołnierz też poszedł na drinka albo wciąga kreski z jakimiś małolatami. Czasem Góralski miał wrażenie, że Piotr już dawno miał z tym problem. Nie robił tego dla przyjemności, tylko dlatego, że inaczej już nie mógł. Tym bardziej musiał go zabić. Dla własnego bezpieczeństwa. Tonący narkoman nie będzie mieć skrupułów i pociągnie za sobą w bagno wszystkich, których tylko zdoła dosięgnąć.

Wypalił papierosa, uruchomił silnik i odjechał. Co się odwlecze, to nie uciecze, jak mówiło przysłowie doskonale pasujące na tę okazję. Ta franca, jego babcia, też je ciągle powtarzała.

### 3

**B**łysnęło i zaraz potem grzmot przetoczył się nad głową komisarza Piotra Żołnierza, który stał oparty o trzepak przy betonowym boksie na śmieci. Spojrzał w niebo, zadowolony. Doskonała pogoda. Dobrze, żeby jeszcze lunął deszcz. Woda zmywa i zaciera ślady, ulewa zniechęca ludzi do wychodzenia z domu, a to zmniejsza prawdopodobieństwo, że ktoś go zobaczy. Nawet psiarze ze swoimi pupilami czekają, aż burza przejdzie, a ulewa ustanie. Podobno większość psów boi się grzmotów. Idealnie.

Dodatkowo się zabezpieczył. Wiedział, że technicy kryminalistyczni są teraz doskonale wyszkoleni i na miejscu zbrodni znajdują nawet ślady, których tam nie ma, a ci od zapachów wyczują pierdnięcie zabójcy z chwili, gdy zadawał śmiertelny cios. Dlatego na włosy założył siateczkę, a na nią wcisnął czapkę z daszkiem. Twarz posmarował tłustą maścią, którą znalazł w kosmetykach żony. Nawet jeśli brwi albo rzęsy będą miały taką fantazję, żeby wypaść, pozostaną na swoim miejscu przyklejone maścią. Na dłonie założył grube rękawice, jakich używają sprzątaczkę, kiedy mają do czynienia ze żrącymi i toksycznymi preparatami. Nadgarstki owinął taśmą pakową, żeby nie było szczeliny między ubraniem a brzegiem rękawic. Człowiek bardzo lubi gubić łuszczący się naskórek. A naskórek znaleziony przez technika to jest rozszyfrowany kod DNA. Na nogi włożył trochę za małe gumowce, w których wcześniej ostrym nożem ściął protektor. Nawet odlew z odcisku nie pozwoli na zidentyfikowanie rozmiaru stopy. Łatwiej jest włożyć za duże buty i wszyscy śledczy mają tego świadomość, dlatego zakładają, że sprawca miał mniejsze stopy niż buty. Kiedy jednak buty są za małe, rozbieżność w szacunkach robi się bardzo duża. Wtedy łatwiej eliminują podejrzanych z niewłaściwym rozmiarem stopy. Oczywiście dół nogawek spodni też dokładnie skleił taśmą z gumowcami. Nie miał prawa zostawić najmniejszego śladu biologicznego. Nitki i inne pierdoły niech sobie potem zbierają, on i tak spali ubranie w ognisku meneli w ogródkach działkowych, kiedy będą spali po wypiciu dwóch flaszek cudownie znalezionych w reklamówce przy ogrodzeniu. Łatwizna.

Sięgnął do kieszeni po paralizator i sprawdził poziom naładowania. Maks, bardzo dobrze. Nie mogło się nie udać. Żeby tylko zdążyć przed deszczem. Ale jak nie dzisiaj, to jutro. Znowu błysnęło i zagrzmiało, powiał wiatr, niosąc ze sobą tumany kurzu. Kupione nielegalnie urządzenie marki Taser miało zepsuty rejestrator audiowizualny, nie zostawiło na ciele ofiary żadnych znaczników umożli-

wiających identyfikację użytkownika, ale poza tym było jak najbardziej sprawny. Sto pięćdziesiąt tysięcy woltów prądu o niskim natężeniu skutecznie czasowo sparaliżuje system nerwowy ofiary.

Po kilku minutach dostrzegł czarnego nissana parkującego na jedynym wolnym miejscu pod blokiem. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna i szybkim krokiem ruszył w kierunku bramy. Pewnie chciał zdążyć przed deszczem. Burza była już nad jego głową. Błyskało, grzmiało, wiało, ale deszcz jeszcze czekał.

Żołnierz błyskawicznie wyskoczył z ukrycia i strzelił elektrodami. Trafił idealnie. Ten cholerny sukinsyn i szantażysta Henryk Piech drgnął konwulsyjnie i zwałił się na chodnik. Komisarz szybko zwinął druty z elektrodami, schował taser do kieszeni, podbiegł do leżącego, z jego kurtki wyciągnął kluczyki do samochodu, z kabury pistolet. I tak najważniejszy był telefon komórkowy ze zdjęciami, którymi go szantażował. Znalazł go i włożył szybko do kieszeni swojej kurtki. Potem pociągnął Piecha w kierunku bagażnika nissana. Z trudem wpakował go do środka i natychmiast odjechał. Miał nadzieję, że nikt nie widział tej szybkiej kilkusekundowej akcji. A nawet jeśli ktoś widział, to zeznania może co najwyżej wsadzić sobie w dupę. Nikt go z tym nie powiąże.

Kiedy wyjechał na główną ulicę, o przednią szybę zabębniły grube krople deszczu i zaraz zniknęły. Cholera, mogłoby jednak popadać. Ale to nic, do miejsca, w którym sfrustrowany i cierpiący na załamanie nerwowe aspirant Piech strzelił samobójca ze służbowej broni, było niedaleko.

Między Nowym Dworem a osiedlem Kuźniki znajdował się rozległy teren dawnej lokomotywowni Gądów. Stały tam jeszcze opuszczone budynki, od strony Kuźnik aż do linii kolejowej miejsce było zapuszczone, porośnięte dziko drzewami i krzakami. Kiedyś w budynku lokomotywowni coś się jeszcze działo, lecz od pewnego czasu nie zaglądał tam pies z kulawą nogą. Szczególnie w taką paskudną pogodę. Idealne depresyjne miejsce, żeby pożegnać się z życiem.

Kiedy skręcał z ulicy Hermanowskiej w szutrową drogę prowadzącą na dawny teren należący do PKP, wreszcie lunęło. Wyłączył światła w aucie i jechał wolno, uważnie śledząc drogę przed maską, żeby nie wpieprzyć się w krzaki. Minął budynek lokomotywowni po prawej stronie i przejechał kilkadziesiąt metrów drogą skręcającą łagodnym łukiem w lewo. Zatrzymał się, kiedy z przodu zamykały dwa inne niewielkie budynki z czerwonej cegły. Mimo huku ulewy usłyszał, że Piech w bagażniku zaczynał wracać do przytomności. Przewalał się, stukał i zaczął bełkotliwie kląć. Pewnie jeszcze nie zajarzył, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nie było chwili do stracenia.

Zaparkowawszy, Żołnierz wyciągnął z kieszeni broń i nie bacząc na ulewę, poszedł na tyły auta. W jednej chwili przemókł do suchej nitki. Otworzył bagażnik i latarką trzymaną w drugiej ręce poświecił na leżącego w środku mężczyznę. Na mgnienie oka zrobiło się jasno jak w dzień, a suchy trzask wyładowania świadczył o tym, że piorun uderzył gdzieś bardzo blisko. Może nawet na terenie parowozowni.

– Wyłaź! – krzyknął, przekrzykując ulewę, grzmoty i wiatr.

Piech patrzył na niego trochę nieprzytomnie swoimi wylupiastymi oczami. Przypominał teraz rozdeptaną żabę.

– Kurwa, co ty mi zrobiłeś? – jęknął. – Kim jesteś?

– Wylaż! – powtórzył głośniejszym głosem Żołnierz.

Kiedy Piech znowu nie zareagował, przyskoczył i przyłożył mu do twarzy lufę pistoletu.

– Jeśli się nie ruszysz, jest już po tobie!

Piech niezdarnie wygramolił się z bagażnika, klnąc i jęcząc, kiedy niektóre mięśnie kurczyły mu się boleśnie po strzale z tasera. Wreszcie zwałił się na ziemię za samochodem.

– Czego ty ode mnie chcesz? – wycharczał.

Żołnierz rozejrzał się, lecz nawet w świetle błyskawic nikogo nie zobaczył. Bardzo dobrze. Deszcz trochę zelżał, ale wciąż padało rzęsiście.

– Wstawaj, idziemy! – warknął do Piecha.

– Gównu, nigdzie nie idę – padła cicha odpowiedź.

Piotr zamachnął się, żeby go kopnąć, i wtedy zrozumiał, że popełnił zasadniczy błąd. Nie docenił przeciwnika. On był już przytomny i tylko udawał oszołomienie, żeby zyskać na czasie i znaleźć dobrą okazję do ataku. Kopnięcie było taką okazją. Złapał Żołnierza za nogę i pociągnął. Piotr zwałił się na niego. Kiedy tylko zrozumiał, że nie utrzyma się na nogach, upadł na Piecha z jeszcze większym impetem, niżby się to stało, gdyby upadał bezwładnie. Kolanem wycelował w jego głowę. Nie wypuścił broni, ale latarka wyślizgnęła mu się z palców, odbiła od maski auta i zgasła w tworzącej się obok samochodu kałuży.

Kolano rzeczywiście trafiło Piecha w głowę i go oszołomiło. To pozwoliło Żołnierzowi opanować trochę sytuację. Wymierzył leżącemu cios pięścią w bok, potem jeszcze jeden, a następnie przywalił mu ręką pistoletu w głowę. Piech jednak nie czekał bezwolnie na rozwój wypadków. Starał się wyślizgnąć spod leżącego na nim napastnika, nie zważając na otrzymywane ciosy. Było mokro, padał deszcz i udało mu się to łatwiej, niż Piotr się spodziewał. Kiedy przez głowę przemknęła mu myśl, że może mieć kłopoty, Piech zerwał się na nogi i na oślep zaczął uciekać w zarośla w kierunku linii kolejowej przy stacji Nowy Dwór. Żołnierz ruszył za nim biegiem, przeklinając za małe gumowce i brak protektora.

Na jego szczęście Piech wciąż odczuwał skutki użycia paralizatora. Po kilkudziesięciu metrach noga się pod nim ugięła i runął na trawę. Żołnierz dopadł go sekundę później. Już podnosił broń, lecz nie zdołał wyhamować. Poślizgnął się na błotnistej ziemi i runął na plecy z głośnym jękiem. Znowu udało mu się nie wypuścić broni z ręki. Pozbierał się, gdy Piech odbiegł od niego dobre kilkadziesiąt metrów i ledwo go było widać, kiedy zniknął w zaroślach. Dobrze, że te cholerne błyskawice wciąż rozświetlały niebo. Szczęście go jednak nie opuszczało, a może to Piech miał tego wieczoru wyjątkowego pecha. Wyraźnie utykał na prawą nogę i Żołnierz szybko go doganiał. Cholera, taki ładny plan szlag trafił. Ale może jeszcze nie wszystko było stracone.

Piech wdrapał się na nasyp kolejowy i pobiegł torami w prawo. Żołnierz był blisko, ale poślizgnął się na kamieniach, którymi wysypany był nasyp, i zjechał w dół. Udało się dopiero za drugim razem. Pobiegł za uciekającym. Fatalnie się biegło po podkładach i znajdujących się między nimi ostrych kamieniach. Miękkie podeszwy w gumiakach sprawiały, że cierpiał przy każdym kroku. Jednak nie mógł odpuścić. Miał tylko jedną szansę. Zacisnął zęby i przyspieszył. Krople deszczu zmalowały, choć ciągle padały równo i jednostajnie.

Tory wznosiły się łagodnie na wiadukt nad linią kolejową i nad ulicą Żernicką. Żołnierz zaczynał zbliżać się do Piecha, który utykał coraz bardziej i najwidoczniej opadał z sił. Kątem oka zauważył, że pod wiaduktem przejeżdża pociąg towarowy, nabierając prędkości. Węglarki wypełnione po brzegi sprawiały, że rozpedzał się jak ślimak pod górkę.

Dopadł Piecha na początku wiaduktu. Skoczył mu na plecy i zaraz zadał kilka ciosów w nerki, potem jeszcze raz rękojeścią broni w głowę. Piech znieruchomiał na torach. Żołnierz chwycił łąpczywie powietrze, starając się uspokoić. Pociąg towarowy ciągle jechał pod nimi. Piotr podźwignął ciało Piecha, który w tym momencie ożył jak jakaś pieprzona wańka-wstańka. Jak cholerny Rasputin, którego niczym nie można było dobić.

Pchnął Żołnierza na barierkę i przycisnął go do niej. Piotr wychylił się niebezpiecznie do tyłu, wypuszczając pistolet, który poleciał w dół i zniknął. Było tylko słycać metaliczny szczęk, kiedy uderzył o metalową część wagonu. Piech naciskał na Żołnierza rozpaczliwie, z szaleństwem i paniką w oczach. Czuł, że to jego ostatnia szansa na wygranie życia. Teraz, bo za moment wszystko przepadnie. Żołnierz miotał się w jego uścisku, raz nawet spojrzął w dół na przejeżdżający pociąg. Jak spadnie, nie ma szans na przeżycie. Jasna cholera!

Zebrał się w sobie. Kiedy jego stopy prawie odrywały się od podkładów, ostatkiem sił udało mu się odwrócić. Teraz barierkę wiaduktu miał na brzuchu, ale nie o to mu chodziło. Odchylił się gwałtownie do tyłu, uderzając Piecha w twarz tyłem głowy. Zyskał przewagę, uwolnił się. Chwycił go w pasie i zrzucił z wiaduktu.

Piech w locie zahaczył o trąkę elektryczną, krzesząc snop iskier, a potem wpadł między dwie węglarki. Burta tej z tyłu uderzała go w plecy. Ciało wygięło się nienaturalnie; Żołnierz prawie słyszał trzask łamanego kręgosłupa. Potem nogi odbiły się od hałdy węgla, ciało balansowało jeszcze pół sekundy na burcie węglarki, po czym już ostatecznie wpadło między dwa wagony i zostało zmielone przez koła pociągu.

– Kurwa mać – wyjęczał Żołnierz, opadając na kolana i oddychając ciężko.

Mało brakowało, a sam z myśliwego zmieniliby się w ofiarę. Pierdolony Piech! Niech to szlag jasny trafi! Niech go diabli wezmą i zatańczą około kotła ze smołą. Cholerny sukisyn, omal go nie zabił.

Do przytomności przywrócił go ryk sygnału ostrzegawczego lokomotywy i światła kolejnego pociągu wspinającego się dość szybko na wiadukt. Zerwał się na nogi i ocenił sytuację. Nie było miejsca, żeby gdzieś się schować, nie zdążył dobiec do końca wiaduktu, wrócić też nie zdąży, bo pociąg już tuż-tuż. Rozległ

się pisk hamulców, ale nie było szans na wyhamowanie na odległości kilkunastu metrów. Zaskoczony widokiem człowieka na wiadukcie maszynista zareagował o wiele za późno.

Niewiele myśląc, Żołnierz przeszedł na drugą stronę barierki. Akurat zobaczył jeszcze czerwone światła na ostatnim wagonie jadącego na dole pociągu. Wtedy poczuł podmuch powietrza lokomotywy na wiadukcie. Równocześnie nogi ześlizgnęły mu się po wilgotnych prętach i zawisł na rękach, machając nogami w powietrzu. Jak blisko jest trakcja elektryczna na dole? Pięć tysięcy woltów. Niby mniej niż w paralizatorze, ale za to natężenie nieporównywalne. Spali go jak nic. Walczył rozpaczliwie. W ostatniej chwili, zanim dłonie w gumowych rękawicach zdążyły się ześlizgnąć z mokrego pręta bariery, udało mu się zahaczyć o coś nogami i zaczął przesuwając się w kierunku nasypu.

Kiedy pociąg zatrzymał się na wiadukcie, a przestraszony maszynista przecisnął się między wagonami a barierą, w miejsce, gdzie widział człowieka, nikogo już tam nie było. Dostrzegł za to ludzkie zwłoki leżące na torach niżej, zmielone przez koła pociągu. Poczł mdłości, ale szybko się opanował, wrócił do lokomotywy i zameldował dyżurnemu o zdarzeniu.

## 4

Był środek nocy. Po wieczornej burzy nie było już śladu, prócz kałuż i mokrej trawy. Opary mgieł snuły się jeszcze nisko nad ziemią. Ale nie w miejscu, gdzie stali. Na ulicy Żernickiej od wiaduktu kolejowego aż za przejazd kolejowy i skrzyżowanie z Kołobrzeską wprowadzono ruch wahadłowy. Rogatki na przejeździe były opuszczone. Z racji godziny ruch nie był duży, więc policjanci z drogówki nie mieli wiele roboty, jednak z każdą wpływającą minutą zbliżał się poranny szczyt, a z nim korki. Tylko że oni nie mogli się spieszyć. Na Kołobrzeskiej w ogóle nie było ruchu, wszystkie samochody kierowano objazdem z ronda na krzyżówce z Hermanowską.

Za parawanami z napisem „policja” po drugiej stronie torów kolejowych leżało zmasakrowane ciało. Komisarz Laura Wilk zaparkowała kilkadziesiąt metrów od miejsca zdarzenia i resztę drogi musiała pokonać pieszo. Bolała ją głowa, była niewyspana, sympatyczne wrażenia po upojnym wieczorze z Maciejem już dawno szlag trafił. O dziwo, na miejscu był już prokurator Sobociński. *Cholera, jak on to robi, że w każdym momencie w ciągu doby wygląda tak samo?* – jęknęła w duchu, wyobrażając sobie swoje blade oblicze i ciemne worki pod oczami.

Sobociński naprawdę wyglądał dobrze. Był gładko ogolony, blond włosy zostały nienagannie ułożone, do tego garnitur, świeża koszula i płaszcz zarzucony na ramiona. Miał swój styl. W robocie też był taki dokładny i skrupulatny. Może dlatego tak dobrze im się razem pracowało.

– Już coś wiesz? – zapytała, ściskając mu dłoń.

– Czekałem ze szczegółami na ciebie – odrzekł, patrząc krytycznie, jak ostentacyjnie żuje gumę i właśnie strzela balonem.

– Sami nie mogli się tym zająć, tylko wzywali wojewódzką? – Ewidentnie nie pogodziła się jeszcze z faktem, że wyciągnęli ją z łóżka przed świtem, i pałała nienawiścią do całego świata.

– Coś im się nie zgadza.

Jeden z mundurowych zauważył Laurę, obszedł parawany, przeszedł przez tory i zbliżył się do nich. Przedstawił się, ale Laura zapamiętała tylko, że był z komisariatu na Grabiszyńskiej i miał imię zaczynające się na literę M. Więcej informacji o nim na razie nie potrzebowała.

– Co tam się, do cholery, takiego stało, że ściągnęliście nas z łóżek o takiej barbarzyńskiej porze? – zapytała, znowu strzelając gumą.



Mundurowy swoje lata już przepracował, niejedno widział, więc nie dał się zbić z tropu jej postawą. Zmierzył ich obojętnym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– Myślałem, że was zainteresuje. Ofiarą jest podkomisarz Henryk Piech od was z kryminalnej – powiedział.

Szczęki Laury, energicznie przeżuujące gumę, nagle zamarły.

– Co ty, kurwa, powiedziałaś? Kto?

– Piech, znacie go?

Laura spojrzała na Sobocińskiego, a ten na nią.

– Kurwa – jęknęła pod nosem. – Musimy go zobaczyć.

– Ostrzegam, że to mało ciekawy widok. Zidentyfikowaliśmy go po dokumentach w kieszeni kurtki.

Przeszli razem przez tory w kierunku parawanu. Zajrzeli do środka, lecz faktycznie widok był przerażający. Tylko krew, mięso, kości i szmaty. Technik próbował dostać się do reszty kieszeni, używając szczypiec, fotograf pstrykał zdjęcia, a Laura pomyślała, że są ludzie, którzy czują się dzisiaj gorzej niż ona. Wcale jej to jednak nie pocieszyło.

Przeszli na mały parking przy garażach na Kołobrzeskiej. Front garaży zawłaszczyli graffitiarze Śląska Wrocław, wymalowali logo, jakieś inne obrazki i buńczuczne hasła. „Bóg, Śląsk mistrzem, honor, jebać Lecha, żołnierze wyklęci”. Fantastycznie patriotyczny zestaw niemający nic wspólnego z logiką i inteligencją. Przynajmniej takie było zdanie Wilczyca, która nie cierpiała piłki nożnej, chociaż wiedziała, na czym polega spalony.

Stanął między policyjnymi autami. Na masce najbliższego leżały rzeczy zmarłego zabezpieczone w woreczkach strunowych. Legitymacja policyjna, blacha, portfel, drobne, chusteczki, klucze, jakieś paragony, pistolet ze śladami uszkodzeń na lufie. Czegoś tu jednak brakowało.

– Co tu się stało? – zapytała zimno policjanta z Grabiszynku.

Zaczął odpowiadać, nie zaglądając do notesu. Wyglądał na bystrego. Mówił bez zbędnych ozdobników.

– O zdarzeniu zawiadomił maszynista pociągu, który wjeżdżał akurat na wiadukt. – Machnął ręką w górę, za ich plecami, wskazując miejsce. – Zobaczył kłęczącego na torach mężczyznę. Tam jest wąsko, facet nie miał już jak uciec, więc chyba chciał przytrzymać się barierki od drugiej strony. Tylko że było ślisko i spadł. Dołem jechał akurat drugi pociąg towarowy.

– Co to za pierdoły? – zniecierpliwiła się Wilczyca. – Co on tam niby robił?

– No właśnie. – Mundurowy pokiwał głową. – Podejrzewam, że chciał popełnić samobójstwo, skacząc pod koła nadjeżdżającego dołem pociągu. Może się nie zdecydował, ale nadjechał drugi, chciał się ukryć i jednak spadł.

Laura spojrzała na Sobocińskiego.

– Pan prokurator kupuje ten scenariusz? – zapytała.

– Na razie nie – rzucił oschle.

– Jak Piech się tu znalazł? – zapytała Laura złośliwie.

Okazało się jednak, że policjant zna odpowiedź. Byli tu już od dobrych kilku godzin, więc mieli czas rozejrzeć się po terenie.

– Jego auto stoi na terenie parowozowni, kilkaset metrów stąd. Musiał przyjąć na wiadukt po torach. Szukamy świadków. Na razie jedynym jest ten maszynista z towarowego.

– Dlaczego ciało jest aż tak zmasakrowane? – zapytała jeszcze.

– Rozmawiałem z kolejarzami ze Służby Ochrony Kolei. Wstępnie uznali, że gdyby tylko spadł i uderzył go przód lokomotywy, nie wyglądałby tak źle. Musiał pechowo spaść między wagony, koła go wciągnęły i przemieły. Być może stracił równowagę i chciał skoczyć na górę przejeżdżających wagonów, ale nie zauważył trakcji i zahaczył. Na ubraniu są ślady spalenizny.

Laura żachnęła się, zniecierpliwiona. Ona sama byłaby daleka od snucia takich teorii, zanim nie zostały ustalone wszystkie okoliczności zdarzenia.

– Nie ma telefonu komórkowego – rzuciła, patrząc w oczy mundurowemu.

Wyraźnie się zmieszał.

– Nie znaleźliśmy – odpowiedział, jakby dotąd w ogóle nie pomyślał o telefonie.

– W takim razie jeszcze raz przeszukajcie tory – rozkazała komisarz Wilk. – Jeśli tam nie znajdziecie, macie przeszukać cały teren parowozowni, gdzie stoi samochód, i całą drogę, jaką denat musiał przejść, żeby dostać się na wiadukt. Ściągnij kolegów, dość wylegiwania się w ciepłych łóżeczkach.

Policjant zacisnął szczęki, ale powiedział tylko:

– Tak jest.

– Gdzie jest ten maszynista, który widział samobójcę?

Policjant wskazał mężczyznę siedzącego w jednym z samochodów Służby Ochrony Kolei.

– To teraz my sobie z nim porozmawiamy – zdecydowała Wilk.

Laura odeszła razem z prokuratorem w tamtą stronę, jednak zatrzymali się w połowie drogi.

– To mi nie wygląda na samobójstwo. – Sobociński pokręcił głową.

– Mnie też – przyznała Laura. – Chociaż cała sytuacja jest dość dziwna.

Chciała iść dalej, lecz prokurator złapał ją za ramię i spojrzał w oczy.

– Mylę się czy Henryk Piech był jednym z tych, którzy obserwowali Poltergeista w zakładzie stolarskim? Coś mi tu śmierdzi. Musimy się temu po cichu przyrzec.

Komisarz Wilk zastanowiła się przez sekundę.

– Najpierw pogadajmy z tym kolejarzem.

Maszynista był zupełnie spokojny. Nawet skorzystał z okazji i chwilę zdrzemnął się na tylnej kanapie auta, czekając na policję. Chwilę dochodził do siebie, zanim spojrzał na nich zaczerwienionymi oczami, ale już przytomnie. Mówił konkretnie i dość pewnie. Powiedział, że gdy tylko zatrzymał skład, poinformował dyżurnego o całym zdarzeniu, ten podjął decyzję, że nie może już jechać, przysłał zastępcę, który poprowadził skład dalej.

– Wszystko nagrało się na kamerze lokomotywy – powiedział na samym wstępie. – Tylko pociąg pojechał dalej z tym nagraniem.

– Proszę się nie martwić, poradzimy sobie z tym – odpowiedział Sobociński, może trochę zbyt oschle.

– Najpierw proszę nam o wszystkim opowiedzieć własnymi słowami – zachęciła mężczyzną Laura.

– Tam jest mały łuk – opowiadał maszynista. – Zobaczyłem tego faceta dość późno. Klęczał przy barierze z opuszczoną głową, jakby się modlił.

Laura i prokurator spojrzeli na siebie szybko.

– Może miał jakiś problem zdrowotny? – zasugerowała policjantka.

– Może – zgodził się kolejarz po krótkim zastanowieniu. – Dałem sygnał dźwiękowy i zacząłem hamować. Ale wiedziałem, że to za późno. Taki skład to setki ton żelastwa i ładunku, tego się nie zatrzymuje w miejscu. Potrzeba kilkuset metrów. Nawet przy takiej małej prędkości.

– Rozumiem. I co dalej?

– Siedzę wysoko, więc mam doskonały widok. – Wzruszył ramionami. – Widziałem, jak przełazi przez barierkę i znika. Potem przejechałem. Widziałem jeszcze tylko czerwone światła tego pociągu na dole, tego co go przemielił.

– Widział pan jego tylne światła? – zdziwił się Sobociński.

– No tak, przecież ciemno było, deszcz padał, to widziałem tylko światła.

– To jak on mógł wpaść pod ten pociąg, skoro pan widział tylne światła. To znaczy, że już wyjechał spod wiaduktu? – Laura patrzyła uważnie na jego reakcję.

Widziała, jak rozszerzają mu się oczy, kiedy zrozumiał, i na chwilę zaniemówił.

– Do diaska, o tym nie pomyślałem. – Maszynista podrapał się po głowie. – To znaczy, że on nie mógł wpaść pod ten pociąg.

– Proszę się dobrze zastanowić – powiedział poważnie prokurator. – To jest dla nas najistotniejsza informacja tej nocy. Ten pociąg na dole już wyjechał spod wiaduktu, kiedy facet spadł?

Kolejarz masował sobie skronie i długo się zastanawiał, jakby odtwarzał w głowie tamte zdarzenia od początku.

– Tak było – przyznał w końcu. – On spadł, gdy ten pociąg już przejechał. Można to będzie sprawdzić na zapisie.

– Sprawdzimy – powiedziała Laura. – Proszę mówić dalej.

– Przybiegłem tu z latarką, poświeciłem w dół i zobaczyłem ciało nieszczęśnika rozwleczone na kilka metrów i masę krwi. Wszystko było czerwone. Ale nie żebym zasłabł czy takie tam – dodał zaraz, widząc intensywne spojrzenie Laury. – Miałem już dwa spotkania z samobójcami i jedno ze sporym jeleniem. Niestety wiem, jak to potem wygląda. Chociaż tu było inaczej, bo nie było prędkości. Gość musiał pechowo wpaść między dwa wagony. Tam go dopiero wciągnęło dalej. Może zahaczył o druty?

– Dziękujemy panu. Pewnie się jeszcze do pana odezwiemy.

Po kolei uścisnęli maszyniście dłoni i odeszli. Komisarz Wilk zawołała policjanta z Grabiszynka.

– Proszę ustalić, gdzie jest teraz ten pociąg, który przejechał Piecha. Trzeba go zatrzymać i zbadać. Niech na to spojrzą technicy. Niech ktoś załatwi to nagranie z kamery lokomotywy. I jeśli nie znajdziecie telefonu tutaj ani przy samochodzie, niech szukają na wagonach.

– Tak jest – powtórzył policjant z wyraźną niechęcią.

Laura nie zwróciła na to uwagi. Odeszła do Sobocińskiego.

– Masz ochotę na kawę? – zapytała. – Niedaleko jest shell.

– To chodź, bo trochę zmarzłem. Musimy chyba porozmawiać, co?

– Koniecznie na osobności.

Poszli w kierunku auta Laury i po chwili jechali na Chociebuską. Ciągle było ciemno, mały ruch na ulicach, jakby świt akurat tego dnia zasnął.

## 5

Dzień zaczął się kiepsko, a potem było tylko gorzej. Media natychmiast zainteresowały się zwłokami na torach przy wiadukcie na Kołobrzeskiej i szambo wybiło. Poszedł przeciek, kim jest ofiara, i rzecznik prasowy komendy wojewódzkiej dwoił się i troił, udzielając uspokajających wyjaśnień dociekliwym reporterom. Naprawdę miał ciężkie zadanie. Pewnie niełatwo było stanąć przed kamerą, nie mając nic konkretnego do powiedzenia i nie mogąc odpowiedzieć na szczegółowe pytania.

To jednak nie był problem komisarz Laury Wilk. Ona miała problemy innej natury, choć wiązały się z tym tematem. Przejęła kierownictwo grupy dochodzeniowo-śledczej w sprawie Poltergeista i po początkowym sukcesie zabójca im uciekł w niejasnych okolicznościach. Tak jakby ktoś go ostrzegł. Być może któryś z policjantów był na tyle nieostrożny, że Poltergeist się zorientował i ulotnił na kilka minut przed przybyciem grupy uderzeniowej. Wewnętrzne postępowanie mające wyjaśnić okoliczności jego zniknięcia było w toku. Nie mogła się bronić argumentem, że tylko dzięki jej spostrzegawczości byli tak blisko. Zabójca uciekł i nikt na nic innego nie zwracał uwagi.

A teraz doszła do tego tragiczna śmierć policjanta z ich wydziału, członka ekipy obserwującej miejsce, w którym ukrywał się Poltergeist. To na szczęście jeszcze do mediów nie wyciekło, ale Laura nie miała wątpliwości, że to jedynie kwestia czasu.

Komendant wojewódzki zmył głowę naczelnikowi, żądając szybkich działań i grożąc dymisjami, naczelnik zarządził naradę i wszyscy jego podwładni dostali podobną zjebkę okraszoną podobnymi groźbami. Laura miała wrażenie, że burza krąży gdzieś wokoło jej głowy i w każdej chwili może zaatakować. Bo przecież ona stała na czele grupy, ona odpowiadała za znalezienie seryjniaka, a śledztwo właśnie skręcało z głównej drogi i zaczynało sunąć przez bezkresną łąkę, bez żadnych punktów orientacyjnych. Wielka dupa, do tego może zbita.

Kiedy już naczelnik się wygadał i poszedł, odbyła się narada grupy śledczej. Z ponurymi minami, mając z tyłu głowy informację o tragicznej śmierci kolegi, omówili ustalenia, po czym Laura rozdzieliła zadania. Rozchodzili się, jakby szli w kondukcje żałobnym. Nastroje mogłyby być jeszcze gorsze tylko wtedy, kiedy ktoś na trąbce zagrałby *Ciszę*.

Wilczyca zdecydowała, że na naradzie w sprawie śmierci Piecha zostaną tylko Żołnierz, Góral i prokurator Sobociński. W dupie miała, jakie antagonizmy mię-

dzy nim buzują, liczyła też na to, że śmierć kolegi wpłynie trochę na złagodzenie nastrojów. Wspólny cel raczej łączy, niż dzieli. Zresztą przez cały czas obserwowała Żołnierza. Był wyciszony, skupiony i chyba przejęty tym, co się stało. Jeśli ma jeszcze trochę zawodowej solidarności, włączy się w poszukiwania zabójcy Piecha i skupi się tylko na tym.

I nie pomyliła się. Piotr nie rzucił w jej stronę żadnej kąśliwej uwagi, nie otakował jej ani jednym nienawistnym spojrzeniem. Coś było między nim a Górallem, bo wcale się do siebie nie odzywali i raczej się unikali, lecz to pozostawało bez wpływu na pracę.

Zanim zaczęli, zrobili sobie po mocnej kawie i rozsiedli się wygodniej na krzesłach opustoszałej sali konferencyjnej. Było kilka minut po szesnastej, Laura z prokuratorem pracowali od świtu i czuli już na barkach ciężar znużenia. W tym czasie odwalili kawał dobrej roboty w sprawie Piecha. Na podstawie logowania się jego telefonu do stacji bazowych wiedzieli już, gdzie mniej więcej bywał w ostatnich kilku dniach. Policjanci, którzy ruszyli w teren ze zdjęciem Piecha, odkryli coś ciekawego.

– Jeszcze wam nie mówiłam, ale dwa dni temu Piech spotkał się z kimś w pizzerii na Więziennej. Prokurator Sobociński dotarł do obsługi.

Na te słowa Żołnierz wyraźnie drgnął z zaciekawionym.

– Co mówią? – rzucił szybko.

Sobociński spojrzał na niego przeciągle.

– Podobno Piech był ich stałym klientem. Dwa dni temu do jego stolika przysiadł się jakiś gość. Niestety obsługa nie potrafi o nim nic powiedzieć prócz tego, że był dobrze zbudowany, na głowie miał czapkę z daszkiem i kaptur.

– Cholera! – jęknął Żołnierz.

– Na monitoring jest, ale nie widać twarzy – ciągnął Sobociński. – Obsługa go zapamiętała, bo odchodząc, zrzucił naczynia ze stolika Piecha.

– Czyli na razie niewiele nam to daje – podsumował Piotr.

– Musimy nad tym popracować. – Laura pokiwała głową. – Zajmiesz się tym?

Żołnierz potwierdził milczącym skinieniem głowy.

Potem zasłonili zasłony i na ekranie wyświetlili obraz zarejestrowany przez kamerę w lokomotywie. Na filmie ciemność rozświetlały mocne światła maszyny, w których widać było strugi deszczu, przez co obraz był nieco rozmazany. Mimo to można było rozpoznać sylwetkę mężczyzny, który klęczał przy barierce ze spuszczoną głową, jakby odpoczywał albo medytował. Kiedy dosięgły go światła, nagle uniósł głowę, a potem zerwał się na nogi. Najprawdopodobniej pociąg go zaskoczył. Spojrzał w prawo, potem w lewo, drgnął, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę uciekać, aż wreszcie przełożył jedną nogę przez niską w tym miejscu barierkę wiaduktu. Przekładając drugą nogę, odwrócił się, przez chwilę stał na zewnątrz, trzymając się barierki, i nagle, gdy prawie zniknął z obiektywu kamery, obsunął się.

Laura po raz dziesiąty oglądała tę scenę i postać na torach ciągle jej kogoś przypominała, tylko nie wiedziała kogo. Rozpaczliwie starała się odszukać to

skojarzenie. Bezskutecznie. Doszła więc do wniosku, że to tylko złudzenie. Wielu facetów jest takiej postury, a rozmyty obraz mógł być mylący.

– Dajcie jeszcze raz – rzuciła.

Tym razem wyświetlaniem filmu z komputera zajął się Żołnierz. Znowu widzieli panikę faceta, lecz w tym momencie obraz się zatrzymał. Piotr miał najwyraźniej coś do powiedzenia.

– Zwróciliście uwagę, jak on jest ubrany? – zapytał nagle. – Spójrzcie na nadgarstki.

Laura wyostrzyła wzrok i zrozumiała, co miał na myśli. Prawie przekłęła pod nosem. Tyle razy oglądała zapis z kamery, a ten szczegół nie rzucił jej się w oczy. Całą uwagę skupiała na mylącym podobieństwie.

– Ma rękawy sklejone z rękawicami – mruknął Góralski.

– Nogawki chyba też – przyznał Żołnierz. – Był przygotowany, żeby nie zostać na miejscu zdarzenia żadnych śladów biologicznych.

W sali zapadła cisza. Każdy miał już to rozwiązanie z tyłu głowy, jednak nikt nie wypowiedział tego na głos. Co Henryk Piech robił po zmroku na wiadukcie kolejowym jednej z głównych kolejowych obwodnic miasta w czasie burzy? Umówił się tam z kimś? Auto pozostawione kilkaset metrów dalej sugerowało, że przyjechał tutaj specjalnie. Śledził kogoś i dał się zaskoczyć? Jeśli sprawca był tak ubrany, to najprawdopodobniej planował zabójstwo. W aucie Piecha i wokoło niego nie znaleźli żadnych śladów. Ulewa skutecznie rozmyła nawet odciski butów.

– A skąd tam się wziął Piech? – Sobociński wyartykułował na głos ich wspólne wątpliwości.

– Nie wiem. – Żołnierz wzruszył ramionami i podrapał się po krótkiej szczecinie na głowie. – Nasz aktor z oscarową rolą na wiadukcie przedtem zwabił tam Piecha, a potem zrzucił go na przejeżdżający niżej pociąg. Nawet gdyby Piech wpadł do wagonu, to wcześniej na jego drodze była trakcja elektryczna. Śmierć na miejscu. Może doszło do szarpaniny, skoro facet klęczy, jakby odpoczywał, albo...

– ...przeżywał zbrodnię – wtrącił Góral.

– Być może masz rację. Mógł zdarzyć się nieszczęśliwy wypadek podczas nieoczekiwanej szarpaniny. Tylko dlaczego on jest tak ubrany i dlaczego spotkali się w czasie burzy na wiadukcie? – dodał Żołnierz.

Wilczycy nie spodobała się złośliwa uwaga Żołnierza o oscarowej roli, ale uznała, że to jego cyniczna poza, i szybko o tym zapomniała.

Film ruszył. Tym razem Piotr zatrzymał go prawie w ostatniej sekundzie i powiększył obraz. Był teraz jeszcze bardziej rozmazany, jednak można było dostrzec dłonie w grubych rękawicach zaciśnięte na barierce.

– Maszynista nie mógł go zobaczyć – mówił dalej Żołnierz z taką miną, jakby to on nagle przejął dowodzenie i przymierzał się do rozdzielania zadań.

To też nie spodobało się Laurze. Może za chwilę naczelnik ją odsunie od tych obu spraw, ale na razie to ona był szefem.

Zmilczała. Żołnierz był doświadczonym gliną i może warto było mu czasem dać się wygadać.

– On po prostu przytrzymał się barierki z drugiej strony, żeby pociąg go nie zahaczył – kontynuował.

– I co? Przesuwał się tak po barierce aż do nasypu? – wyraził swoją wątpliwość Góral.

– Ty może nie dałbyś rady. – Żołnierz spojrział pogardliwie na jego brzuch. – Ale znalazłoby się kilku facetów, dla których nie stanowiłoby to większego problemu. Na przykład dla mnie.

Mierzyli się spojrzemiami i widać było, jak między nimi iskrzy. Laura z pewnym zdziwieniem zarejestrowała aż taki poziom napięcia. Byli kumplami przez lata, coś w ostatnim czasie musiało między nimi zajść niedobrego, skoro teraz patrzyli na siebie z jawną wrogością. Ciężko będzie prowadzić śledztwo, mając w zespole skonfliktowanych ludzi. Może od razu powinna zawnioskować o przesunięciu jej do innych obowiązków?

Tyle że nie było innych obowiązków. Zabójstwo policjanta zawsze wywoływało wściekłość w innych szeregach, a wtedy wszyscy szukają zabójcy, nawet drogówka i prewencja.

– Nie znaleźliśmy telefonu komórkowego Piecha – rzuciła dla rozładowania atmosfery. – Ostatni raz logował się w tamtych okolicach, a potem przepadł. Gdzie?

– Pewnie pojechał razem z węglem do portu w Szczecinie – prychnął Góral.

– Ustaliliśmy, że to raczej mało prawdopodobne – zauważyła Laura. – Nasi ludzie wyładowali dwa wagony i przesiali węgiel. Telefonu nie znaleźli.

– Wiesz, ile ton może przewieźć taki wagon? – zripostował Góral. – Nie wierzę, że policjantom z Legnicy chciało się grzebać w hałdzie węgla wyrzuconego obok torów.

Laura też już się nad tym zastanawiała; wiedziała, jak funkcjonuje policja, i musiała się w części zgodzić z opinią Góralskiego. Żołnierz był jednak innego zdania.

– A jeśli to telefon był właśnie motywem morderstwa? – zastanowił się nagle.

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie Wilczyca.

– Z zeznań świadków wiemy, że Poltergeist jest wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. Mniej więcej tak jak ten na filmie z wiaduktu.

Zapadła cisza. Każdy musiał sobie wyobrazić konsekwencje tego, co powiedział Piotr. Przerwał ją Sobociński:

– Sugerujesz, że to Piech ostrzegł Poltergeista o policyjnej obławie? Musieliby się znać.

– Taka hipoteza przyszła mi do głowy – potwierdził Żołnierz. – Chociaż niekoniecznie musieli się znać. Piech przecież spędził kilkanaście godzin pod tym zakładem stolarskim. Może zobaczył zabójcę na podwórku i go...

– ...rozpoznał – wpadła mu w słowo Laura.

– Rozpoznał go i ostrzegł – przyznał Piotr. – Być może miał jakieś zdjęcia w telefonie albo wiadomości, którymi próbował naszego mordercę zaszantażo-



wać. Stąd ich konspiracja w pizzerii, a potem zakończone tragicznie spotkanie na wiadukcie.

Hipoteza była kusząca i bardzo prawdopodobna.

– Cholera!

Wilczyca wstała i podeszła do okna. Obserwowała pogrążoną w cieniu szarą ulicę za oknem z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Długo milczeli, układając sobie wszystko w głowie.

– Musimy prześwietlić Piecha – odezwała się wreszcie, nie odwracając się. – Żołnierz, ty, jak już ustalaliśmy, zajmiesz się tym zdarzeniem w pizzerii, ja z Góralskim pogrzebiemy w życiu i znajomych Piecha.

– Piech kiedyś przedstawił mnie żonie, na grillu u kolegi – powiedział Żołnierz. – Może to ja z nią porozmawiam? Wiecie, może jakoś lepiej to zniesie.

Laura nigdy nie podejrzewała go o empatię. Chyba pierwszy raz pozytywnie ją zaskoczył.

– Dobrze, tym też się zajmij – zdecydowała.

– Informujcie mnie o postępach – rzucił Sobociński, wstał i wyszedł, nie żegnając się.

Laura odwróciła się i oparła pośladkami o parapet. Żołnierz siedział ze wzrokiem wbitym w swoje notatki, Góral patrzył na nią, jakby w ogóle nie zauważał obecności kolegi.

– Najpierw porozmawiam z partnerem Piecha, który był z nim na tamtej akcji – odezwała się. – To wszystko brzmi zbyt prosto i zbyt fantastycznie. Jakim trzeba być skurwysynem, żeby dla własnej korzyści ostrzec seryjnego zabójcę nastolatek. Nie mieści mi się to w głowie.

Żołnierz po raz pierwszy od długiego czasu podniósł na nią wzrok i ich oczy się spotkały. Nie potrafiła nic wyczytać z tego spojrzenia.

– Czasem chęć zysku może przysłonić wszystko – odezwał się cicho. – Tak samo jak nienawiść.

Nie skomentowała, tylko odwróciła wzrok.

– Do roboty.

Podobnie jak Sobociński wyszła bez słowa na korytarz i ruszyła wolno do swojego pokoju. Góral wyszedł za nią i teraz słyszała za sobą jego ciężkie kroki. Może Żołnierz miał rację i Góralski powinien zacząć o siebie dbać. Wielki brzuch nie służy ani sprawności, ani zdrowiu. Zaraz jednak myśli zmieniły jej się w głowie jak płyta w odtwarzaczu. Gdyby Piech rzeczywiście ostrzegł Poltergeista, całą policję czekało tsunami. Media się od nich nie odczepią, politycy partii rządzącej wykorzystają to, żeby na stanowiska na górze wcisnąć jeszcze więcej oddanych funkcjonariuszy. Opozycja za to będzie wszędzie grzmiała, jak to w ostatnich latach upolityczniono służby mundurowe, mianując niekompetentnych, ale wiernych władzy dowódców. To nawet nie będzie tsunami, to będzie armagedon.

Kiedy za Góralskim zamknęły się drzwi, Żołnierz odetchnął. Równocześnie skłął się pod nosem za swoją ostatnią nierozważną uwagę o nienawiści. Mógł się ugryźć w język, jednak nie zdążył. Jak to zabrzmiało, czy Wilczyca mogła się

czegoś domyślić? Po chwili się uspokoił. Nie, był dzisiaj wyjątkowo opanowany i musi taki pozostać. Tylko wtedy ma szansę ją zniszczyć. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie liczy się już z konsekwencjami. Byle tylko upokorzyć tę hardą lesbijkę. Może nawet zastanowi się, czy jej nie zabić. Skoro Piech ostrzegł Poltergeista, to psychol jest na wolności. A jeśli chciałby dopaść policjantów prowadzących śledztwo? Pomyśli, jak to zrobić, żeby podejrzenie skierować na Poltergeista. Na razie poszło mu całkiem nieźle.

## 6

**P**ub Maria mieszczący się w przyziemiu starej kamienicy był speluną, którą uczciwi obywatele omijali z daleka. Głównymi bywalcami było szemrane towarzystwo z parafii i inny element społeczny, którego normalni ludzie na co dzień nie zauważali albo starali się unikać. Schodziły się tu też ogolone na łyso typy z grubymi karkami i wielkimi bicepsami w bluzach miejscowego klubu piłkarskiego. Można było wypić piwo albo coś mocniejszego, zagrać w bilard albo kupić coś wystrzałowego od kręcących się tu dilerów.

Komisarz Piotr Żołnierz był stałym bywalcem lokalu i cieszył się sporym szanunkiem w tym środowisku. Wszyscy wiedzieli, że jest psem, z którym trzeba żyć dobrze, żeby nie narobić sobie kłopotów. W końcu to był parafialny pies, miejscowy i znany między innymi z tego, że swoich nie gryzie. Nie lubił tego miejsca, a przychodził tu z jednego powodu: miał blisko do domu, mógł bez problemów w kilka minut wrócić, nawet mając we krwi sporo promili i innych środków wspomagających.

Teraz siedział przy stoliku nad niezbyt wyszukany drinkiem będącym mieszanką wódki, coli, cytryny i lodu. Tak, jak lubił. No i miał pewność, że nikt go tu nie oszuka, wlewając do szklanki kilka kropel alkoholu na samym końcu, żeby tylko był odpowiedni zapach. Tempo, z jakim się tego wieczoru upijają, utwierdzało go w przekonaniu, że pod tym względem nic się nie zmieniło od jego ostatniej wizyty.

Po całym dniu pełnym napięcia musiał się trochę wyciszyć. Na szczęście wyglądało na to, że policja nie zabezpieczyła żadnych konkretnych śladów na miejscu zdarzenia. Nie mogli go w ten sposób powiązać z Piechem. Miał straszego pecha, że wiaduktem nadjechał tamten pociąg, ale na szczęście nagranie z kamery niewiele pokazywało. Wilczyca zdawała się łyknąć jego teorię na temat zabójstwa Piecha. Zresztą dlaczego miała nie uwierzyć, skoro powiedziała, jak było naprawdę, tylko bez zbędnych szczegółów. Tego bał się najbardziej. Że w nerwach chlapnie coś, czego nie powinien wiedzieć. Tak często robią podejrzani podczas przesłuchania i to jedno zdanie ich gubi. Udało się. Bez dużej wódki nie był jednak w stanie funkcjonować. Dlatego teraz siedział w tym miejscu przy swoim ulubionym stoliku.

Dał znak barmance i po chwili stała przed nim kolejna szklanka. To była fajna dziewczyna i dziwił się, co tu robi, zanim nie dowiedział się, że jest córką właści-

ciela. Potem też się dziwił. Gdyby on miał taką córkę, nigdy by jej nie pozwolił na przebywanie nawet przez moment w takim podłym miejscu.

Zanim zanurzył usta w drinku, szczerknęły drzwi i do środka, śmiejąc się głośno, weszło trzech mięśniaków. Na jego widok zamilkli, ukłonili się grzecznie i usiedli jak najdalej.

Żołnierz czuł się fatalnie, nawet wódka nie pomagała. Kurwa, nie spodziewał się, że jeszcze ma jakieś szczątki sumienia, dopóki nagle nie zaczęły dawać o sobie znać w sposób dość bolesny. W głowie pojawiły się dziwne myśli. Od kiedy stał się zły? Chyba u podstaw wszystkiego leżały problemy z żoną. Bo niby jak taki twardy policjant, za jakiego się miał, mógł zareagować, kiedy dowiedział się, że przyprawiała mu rogi. I to nie takie zwykłe. Rogi były wyjątkowo okazałe. Mógłby nimi rysować sufit tego cholernego pubu, nie ruszając się zza stolika. No i okazało się jeszcze, że to ona nim rządzi. Nawet nie wiedział, kiedy dał się tak owinąć wokół palca – on: twardziel, mięśniak, gliniarz. W trakcie procesu kręciła nim jak bączkiem w pokoju dziecięcym. Tak, to wtedy zaczął szaleć.

Alkohol, prostytutki, dragi i szlajanie się po podejrzanych lokalach. Sam się o to prosił. Ludzie z miasta szybko namierzili komisarza z kryminalnej, poznali jego słabości, podsuwali mu narkotyki, stawiali wódkę, starali się zaprzyjaźnić. A on, zaślepiony swoimi problemami, niczego nie zauważył albo nie chciał zauważyć. Wreszcie w jakimś nocnym klubie, który był przykrywką dla nielegalnego burdelu, podsunęli mu jakąś nieletnią przestraszoną Rosjankę, a jemu wysypali czegoś do szklanki. Wpadł wtedy w trudny do wytłumaczenia amok, był agresywny, brutalnie ją zgwałcił i pobił. W dodatku wszystko zarejestrowali na filmie. Był na ich pasku, robił wszystko, co tylko mu kazali. Na szczęście mieli świadomość, że jest cenny, więc nie przeginali i zawsze mu dobrze płacili. Wciągnął nawet w to gówno Góralskiego. No i wreszcie kazali mu zabić.

Wychylił drinka i zamówił następnego. Do pubu wszedł szczupły chłopak w zielonej bluzie Śląska z kapturem zarzuconym na głowę. Wyglądał na nie więcej niż osiemnaście lat, może nawet mniej. Dilował w okolicy od zawsze.

– Piksel, chodź tu! – krzyknął, a wszyscy na moment zamilkli i spojrzeli na niego ciekawie.

Piksel skrzywił się na jego widok, potem na jego ustach wykwitł sztuczny uśmiešek.

Zwalił się na krzesło przed komisarzem i powiedział:

– Do usług, panie policjancie.

Piotr pomyślał, że w jego głosie usłyszał drwinę, lecz nie zareagował. Być może wódka zaczęła już w znaczący sposób deformować jego postrzeganie świata zewnętrznego.

– Masz towar? – zapytał już ciszej.

Piksel rozejrzał się z zawodowego nawyku, bo przecież tu nie było obcych, a wszyscy wiedzieli, co robi.

– Dla pana komisarza: zawsze.

Zanim Żołnierz się zorientował, trzymał w dłoni paczuszkę z białym proszkiem. Szybko zrewanżował się, wręczając chłopakowi pieniądze. Mniej niż ofi-

cialne stawki, ale Piksel miał przykazane z góry, że policjant ma stałą zniżkę. Był umoczonej po pachy i jeszcze nienawidził Wilczycy bardziej niż czegokolwiek na świecie. Pieprzona feministka. Tak jak jego żona, robiła, co chciała, żyła, jak chciała, i miała wszystkich w dupie. Nienawidził takich kobiet. Kobieta powinna być uległa i słuchać mężczyzny, a jak nie, to powinna dostać parę razy w mordę, aż to zrozumie. Wyniósł to z domu rodzinnego, w którym ojciec pił i lał matkę, kiedy tylko zbliżyła się na wyciągnięcie ręki. Gardził nią, a z czasem taką samą pogardę zaczął do niej żywić syn. Może nawet większą. Chciał tak samo postępować ze swoją żoną, jednak nigdy mu się nie udało. Był za miękki. Może właśnie dlatego tak nienawidził Laury Wilk, bo przywodziła mu na myśl własną słabość i porażkę.

Znowu przypomniał sobie uczucia, jakie nim targały, kiedy patrzył na zwłoki obok kępy drzew przy autostradzie. Wtedy przez chwilę był znowu prawdziwym gliniarzem pragnącym tylko znaleźć zwyrodnialca. Potem przyjechała Wilczyca, rozstawiła ich po kątach jak żółtodziobów i zapaliła się w nim nienawiść niszcząca swoją pożogą rozsądne myślenie. Została tylko ona i chęć zemsty. Wówczas zdecydował się zrobić najpodlejszą rzecz w życiu – ostrzec Poltergeista. Tylko po to, żeby nie widzieć triumfującej komisarz Wilk. To był nawet gorszy uczynek niż zrzucenie Piecha z wiaduktu.

Poszedł do WC, wtarł sobie sporą dawkę koki w dziąsła, potem przy barze wypił jeszcze szybką wódkę, zapłacił i wyszedł na ciemną i pustą o tej porze ulicę. Gdzieś za kamienicami szumiały auta, w oddali słychać było zgiełk miasta, ale tu była oaza spokoju.

Szybko zapomniał o wyrzutach sumienia. Zapomniał o wszystkim, skupiając się na tym, żeby utrzymać równowagę i nie złapać liszaja chodnikowego na nosie. Dopiero teraz poczuł, jaki jest pijany. Proszek też przyniósł efekty. Ledwo trzymał się na nogach. Z trudem koncentrował wzrok na otaczającej go rzeczywistości. Przeszedł kilkanaście kroków do rogu budynku i zwymiotował. Zawartość żołądka rozchlapała się na chodniku, brudząc mu buty i spódnie. Nie zwrócił na to uwagi. Poszedł dalej, przytrzymując się ściany. Trafi, już niedaleko. Na chwilę odpłynął w niebyt.

Ocknął się na odgłos kroków za plecami. Zatrzymał się i z trudem skoncentrował wzrok na mężczyźnie stojącym kilka metrów za nim. Był wysoki, nie widać było jego twarzy w cieniu, wydawał się mroczny i niepokojący. Zupełnie jak tamten facet w zakładzie stolarskim. Wprost emanował grozą, jakby był materializacją najgorszych koszmarów.

Żołnierz poczuł ogarniający go strach. Zaczął biec, ale ciągle znosiło go na ścianę i obijał się o nią boleśnie. Biegł, a przynajmniej tak mu się zdawało, bo kiedy przystanął przy następnym rogu, nic się nie zmieniło. Mroczny mężczyzna stał w tej samej odległości, jakby odlany z brązu.

– Kurwa, ty... ja ci kur... – czknął głośno. – ...ci pokażę.

Obmacał wszystkie kieszenie, ale przecież nie miał przy sobie broni. Jeszcze bardziej się przestraszył. Już niedaleko do domu. Skręcił w podwórko, żeby dojść skrótem. Po chwili wywrócił się na trawniku i zapomniał o zjawie za plecami.

Gramolił się na nogi, klnąc pod nosem, wreszcie udało mu się podciągnąć do pozycji pionowej, chwytając się trzepaka. Poszedł dalej i nagle... uderzył głową w drzwi. Popatrzył w górę zamglonym wzrokiem. Tak, to była jego brama. Musiał stracić na jakiś czas świadomość. Zaczął grzebać w kieszeniach, szukając kluczy.

Zerknął w prawo. Obok ktoś stał. Ciemna sylwetka.

– Tu jesteś... choler... złośliwy duchu – udało mu się wymamrotać przez sztywne wargi. – Pierdol się...

Trafił wreszcie kluczem do zamka i drzwi otworzyły się, zaskakując go. Przewrócił się. Wstał, podciągając się na klamce. Potem była żmudna wspinaczka po schodach, w której pomagał sobie rękami, kolanami, a raz czy dwa razy czołem.

Ocknął się nagle we własnym łóżku, czując narastające mdłości. Zerwał się i pobiegł do toalety. Rzygał, omal nie wypluwając żołądka. Potem po omacku wrócił do łóżka. Zanim znowu stracił przytomność, zerknął jeszcze na ciemną postać siedzącą w fotelu.

– Ty tutaj... duchu... – wyszeptał i znowu stracił przytomność.

Rano nie pamiętał, jak wrócił do domu i dlaczego nie zamknął drzwi wejściowych na klucz.

## 7

Lesiecki obudził się planowo o szóstej trzydzieści. Zazwyczaj Sonia jeszcze spała, więc nie musiał się nią przejmować i nie przeszkadzała mu niepotrzebnymi rozmowami, dzięki czemu zyskiwał kilka minut w stosunku do planu dnia. Tym razem jednak Sonia wstała razem z nim. Kiedy pierwsza zajęła łazienkę, Maciej poczuł niepokój. Spóźnienie na początku nie było dobrym prognostykiem na cały dzień. Pewnie wszystko się posypie i znowu będzie musiał stoczyć ze sobą walkę, żeby nie posypać się psychicznie.

Okazało się jednak, że dziewczyna szybko zwolniła łazienkę, a następnie zajęła się parzeniem kawy, więc zyskał chwilę. Pewnie zrobiła to specjalnie, bo chciała z nim rozmawiać. Ostatnio był bardzo zabiegany i widywali się tylko wieczorami.

– Posłuchaj, Maciej – zaczęła. – Rozmawiałam z tym facetem od mebli i on chciałby zaliczkę, zanim zaczniesz coś robić.

Poczuł ukłucie niepokoju, jednak nie dał po sobie nic poznać.

– No wiem, mówiłaś – rzucił, przełykając kanapkę z żółtym serem i zapijając kawą.

– Wczoraj znowu u mnie był.

– Znowu?

– Tak, musiał coś jeszcze zmierzyć. To taki trochę ponury gość, ale uczciwy i widać, że się na tym zna.

Lesiecki popatrzył na nią uważniej. Była młoda, nie miała takiego doświadczenia życiowego jak on, nie widziała tylu trupów co on, jeszcze ufała ludziom. Może nawet takim, którzy nie zasługiwali na zaufanie. Ten fachowiec od mebli wcale mu się nie spodobał.

– Nie chcę, żeby tu przychodził, kiedy jesteś sama w domu – powiedział.

– Przestań, masz skrzywione spojrzenie.

Zastygł z końcówką kanapki przy ustach.

– Jakie?

– Skrzywione. – Wzruszyła ramionami. – Przecież wiem, czym się zajmujesz, jak cię nazywają w policji. Takie przypadki wypaczyły twoje spojrzenie na życie, świat nie jest taki zły, jakim go widzisz.

Dziewczyno, pomyślał, żeby to było takie proste, jak ci się teraz wydaje. Nic jednak nie powiedział.

– No dobrze, ale co z tą zaliczką? – Spojrzał na zegarek. Jeszcze miał czas.

– Powiedział, że jak dostanie sześć tysięcy na materiały, może zacząć już w weekend, a wtedy szybciej skończy – odparła.

– I mam ci dać taką kasę?

– No tak. I jeszcze jedno. Ja muszę wyjechać w przyszłym tygodniu do rodziców do Mławy, więc jak będzie robił te meble, musisz się nim zająć.

– Co? – Wyrzeczył na nią oczy.

– Albo dasz mu klucz od mieszkania – rzuciła beztrzesko. – On jest godny zaufania. U koleżanki tak robił, jest superzadowolona.

– Chyba zwariowałaś!

– A co ci tu może zginąć? – zadrwiła.

– Nie będzie mi jakiś obcy facet łąził bez kontroli po mieszkaniu! – wykrzyknął. – Absolutnie się nie zgadzam!

Pokiwała głową z zaciętą miną.

– No tak! – wycodziła przez zęby. – Po co ja ci w ogóle jestem potrzebna? I tak wszystko musi być tak, jak ty chcesz. Tylko dlatego, że jesteś starszy, nie dam sobą rządzić. Też chcę mieć prawo głosu, skoro mieszkamy razem. Od początku ci się ten pomysł z meblami nie podobał. Przecież widzę. Nie masz kasy? Nic nie mówiłeś. Pożyczę od rodziców.

Nieoczekiwanie wstała od stołu, wyszła do sypialni i trzasnęła drzwiami. Lesiecki patrzył za nią zdumiony. Może jednak Laura Wilk miała rację? Różnica wieku między nimi jest zbyt duża. Nigdy się nie zrozumieją, po co to ciągnąć? Powinien z nią zerwać i dać sobie na jakiś czas spokój z kobietami. Musi odpocząć. Zawsze może odwiedzić Laurę, ona jest w jego wieku i raczej na jeden wieczór przyjmie go z otwartymi ramionami.

Zerknął na zegarek. Miał jeszcze minutę. Zapukał w drzwi sypialni.

– Sonia?

– Nie chcę z tobą rozmawiać! – odkrzyknęła.

Miała zmieniony głos, jakby płakała. Tylko dlaczego płakała, co on takiego zrobił? Co takiego powiedział? W swoim mniemaniu – nic.

– Sonia, może porozmawiamy wieczorem? Teraz już nie mam czasu.

– Wszystko zgodne z planem! – odkrzyknęła. – Nie widzisz, że to jakieś pojebane jest?

Nie odpowiedział. Było, ale plan trzymał go w ryzach.

– Ty wcale mnie nie kochasz!

To ostatnie zdanie zaskoczyło go zupełnie. Tym bardziej, że było prawdziwe.

– Muszę teraz iść, porozmawiamy wieczorem. Przyniosę pieniądze.

– Idź już sobie! – krzyknęła.

Chwilę potem wyszedł, zbiegł po schodach i ruszył szybkim krokiem do auta zaparkowanego nieopodal. Czuł zniechęcenie i złość na samego siebie. Oszukiwał tę dziewczynę i dlatego robił jej wielką krzywdę. Przecież od początku ten związek był bez sensu. Nie powinien był pozwolić jej się do siebie wprowadzić. Teraz będzie trudno wyprosić ją z mieszkania, kiedy ona poczuła się w nim jak u siebie, skoro zaczęła myśleć o zmianach. Za szybko – pokręcił głową. Zdecydowanie za szybko.



Wsiadł do auta i ciszę przerwał sygnał jego telefonu. Nieznany numer. Zastanowił się. Nie powinien odbierać, ponieważ wtedy od rana będzie już spóźniony, jeśli porozmawia dłużej. Z drugiej strony korciło go. Może to ten stolarz od mebli? Porozmawia z nim, powie, że potrzebuje trochę czasu na zebranie pieniędzy, i sam się z nim umówi na odpowiedni termin.

Zacisnął zęby i odebrał.

Odezwał się zupełnie mu nieznany kobiecy głos.

– Dzień dobry! Czy rozmawiam z panem Maciejem Lesieckim? – Brzmiała sympatycznie, jakby się uśmiechała, wypowiadając te słowa.

Jęknął w duchu. Pewnie jakaś oferta. Tylko skąd ta kobieta miała jego numer? Podobno RODO zabrania już handlować bazami danych klientów.

– O co chodzi? – burknął niegrzecznie.

– Proszę się nie rozłączać, panie Macieju – rzuciła nieznajoma. – Wiem, że pewnie siedzi pan teraz w aucie pod domem, dlatego dzwonię.

Lesiecki zaniemówił i poczuł lekki dreszcz niepokoju. Ktoś sobie z niego robił jaja?

– Kim pani jest?

– Nazywam się Iga Marek i chciałam pana wynająć do pewnych poszukiwań.

– Jakich poszukiwań? – zapytał ostrożnie.

– No cóż. – Zrobiła wymowną pauzę. – To nie jest temat na telefon. Wie pan, teraz mamy takie dziwne czasy, rząd podsłuchuje obywateli przez różne systemy szpiegowskie. Po co mają nas nagrać?

Nie musiała mówić nic więcej. Maciej nagle zrozumiał, w jakim celu ta kobieta chce go wynająć. Jeśli oczywiście nie jest to głupi dowcip, czego jeszcze nie wykluczył. Ona chce, żeby znalazł czyjeś zwłoki?

– Nie świadczę żadnych usług – rzucił szybko.

– Oczywiście, nie za darmo. – Roześmiała się. – Proponuję wynagrodzenie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy euro bez względu na wynik pana poszukiwań. Połowa płatna z góry od razu, gdy tylko wyrazi pan zgodę.

Lesiecki na moment zaniemówił. Zapomniał nawet o tym, że właśnie upływa kolejna minuta na zegarku. Nagle ołśniło go, że pieniądze mogą rozwiązać bardzo wiele kłopotów z Sonią. Będzie na nowe meble, może zabierze ją gdzieś w góry na kilka dni. Co prawda to będzie tylko odwleczenie tego, co nieuniknione, ale ta wizja go dziwnie pociągała. Ewidentnie miał kłopot z kobietami.

Tymczasem nieznajoma kobieta po drugiej stronie linii mówiła dalej:

– Panie Macieju, chciałabym, żeby pan wiedział, dla mnie pieniądze nie stanowią większego problemu. Jeśli osiągnie pan sukces, jestem skłonna wypłacić panu premię w wysokości stu procent zlecenia. Jest pan zainteresowany?

Zastanawiał się. Naprawdę się zastanawiał. Rozwianie problemów finansowych to było jedno. Drugie to niepokój, który nagle na niego spłynął. Co to za kobieta? Co będzie musiał zrobić? Czy jest powiązana ze światem przestępczym? Ryzykował dużo. Ale z drugiej strony mógł poprosić Larę Wilk, żeby ją sprawdziła, i zawsze może wycofać się ze współpracy.

– Jestem – odpowiedział krótko i jakby trochę wbrew sobie.

– Świetnie! – Wyraźnie się ucieszyła.

Miała młody głos. Ile mogła mieć lat?

– W takim razie zapraszam pana na obiad do La Scali w Rynku. O piętnastej trzydzieści. To pana normalna pora, prawda?

A więc jednak! Wiedziała o nim bardzo dużo. Skąd? Zaraz jednak sobie wytłumaczył skąd. Jego dzień jest zawsze tak regularny, że wystarczy go uważnie poobserwować, żeby poznać zwyczaje. Tylko kto go obserwował? Nikogo nie zauważył.

– Widzę, że pani się przygotowała na to spotkanie – stwierdził nieufnie.

– Przepraszam, ale zawsze lubię wiedzieć, z kim robię interesy – odrzekła. – To chyba nie jest nic niespotykanego.

– Niby tak.

– W takim razie czekam na pana o umówionej porze.

Rozłączyła się natychmiast, jakby się bała, że i tak za długo już rozmawia i ktoś może namierzyć jej telefon. To było trochę dziwne.

Po zaskakującym telefonie dzień oczywiście się posypał. Maciej nie opanował poślizgów czasowych i nawet szkolenie dla policjantów w komendzie miejskiej zaczął siedem minut po czasie. Chciał te minuty nadrobić, skracając szkolenie, lecz przecież temat miał rozplanowany co do minuty i zamiast tego spóźnił się już o cały kwadrans. Po szkoleniu poszedł do łazienki, długo mył i dezynfekował dłonie, potem pod wpływem impulsu skasował sobie cały plan z notatnika w telefonie.

Najpierw ogarnął go lęk, który powoli przeradzał się w ulgę. Potem jednak powrócił. Czy jeśli nie ma planu, stanie się Arielem?

Obserwował się uważnie aż do chwili, kiedy przekroczył próg restauracji, oczywiście z lekkim opóźnieniem. Na razie wciąż był jeszcze Maciejem, chyba że przez ostatnie lata granica między nimi dwoma uległa zatarciu i przestał ją dostrzegać. W takim razie po co robić plan i się denerwować, kiedy nic nie wychodzi? To była dobra uwaga, lecz dalsze rozważania na ten temat odłożył na później.

Kiedy tylko stanął w drzwiach, od stolika w kącie sali wstała kobieta w wieku około trzydziestu lat i gestem zaprosiła go do siebie. Miała przyjemny uśmiech, krótkie brązowe włosy, ciemne bystre oczy. Ubrana w obcisły sweter i dzinsy robiła pewnie wrażenie na facetach lubiących u kobiet trochę pełniejsze kształty. Maciej tylko na nią spojrzął i od razu zrozumiał. Ona doskonale wiedziała, że mu się podoba. Może nawet ubrała się tak specjalnie. Ile jeszcze o nim wiedziała? I po co była jej ta wiedza?

– Iga Marek – przedstawiła się pierwsza.

– Maciej Lesiecki.

Uścisnęli sobie dłonie, usiedli i patrzyli na siebie z zainteresowaniem. Przy ich stoliku ktoś stanął. Maciej pomyślał, że kelner się zbyt szybko pospieszył, lecz to nie był kelner. Patrzył na niego z góry ponury, dobrze zbudowany facet z paskudną

sramą na policzku. Wyglądał na zabójcę na zlecenie albo psychopatę z amerykańskiego filmu.

– To jest Simon – powiedziała Marek. – Opiekuje się mną, kiedy przyjeżdżam do Polski. Proszę mu oddać w depozyt telefon komórkowy. Po co mają nas słuchać inni. Broni pan nie ma?

Pokręcił głową i po chwili Simon zniknął gdzieś na drugim końcu pomieszczenia.

– Może najpierw coś zamówimy?

Skinęła na kelnera i ten natychmiast zjawił się przy stoliku, jakby była stałą klientką, o którą należy specjalnie zadbać. Złożyli zamówienie, po czym rozmawiali chwilę o pogodzie, czekając na napoje. Marek wróciła do konkretów, gdy umoczyła usta w czarnej, mocnej kawie:

– Możemy mówić sobie po imieniu?

– Tak, oczywiście. – Skinął pospiesznie głową.

– Ariel to piękne imię. Miło mi będzie się tak do ciebie zwracać. – Kpina na jej wargach była przez moment wyjątkowo czytelna, lecz zaraz zgasła, nie przekraczając pewnej granicy.

Maciej miał wrażenie, jakby spadał. Musiał przytrzymać się dłonią blatu stolika, żeby naprawdę nie obsunąć się na krzesło. Ten gest też nie uszedł jej uwagi. Skąd wiedziała? Czy to jest jakaś pułapka, czy ona przybywa z jego dalekiej przeszłości, kiedy był jeszcze Arielem, żeby wyrównać rachunki? Bo przecież Maciej Lesiecki był tak samo winny jak Ariel Lesiecki.

– Przepraszam, wiem, że nie używasz teraz tego imienia, ale jest takie cudowne. Nie mogłam się opanować. – Obdarzyła go jeszcze innym uśmiechem.

Kobieta kameleon.

– Mam na imię Maciej – skomentował sucho.

– Dobrze, Maćku.

– Byłaś na moim szkoleniu w komendzie miejskiej kilka dni temu – zauważył.

– Pamiętasz mnie, miło. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Jak się tam dostałaś?

– No przecież domyśliłeś się, że nie jestem policjantką, i zasugerowałeś, że pracuję dla prasy. Miałam przepustkę. Wybacz, ale zanim zdecydowałam się zaproponować ci współpracę, musiałam chociaż zobaczyć, jakim jesteś człowiekiem.

– Jakim jestem?

Upiła łyk kawy, jakby chciała mieć chwilę na zastanowienie.

– Wydaje mi się, że bardzo odpowiednim – odpowiedziała wreszcie, wciąż szeroko się uśmiechając.

Maciej zastanowił się, jaka ona jest. Trochę nie potrafił jej rozszyfrować. Po co jej była ochrona? Dlaczego zadała sobie tyle trudu, żeby dowiedzieć się o nim jak najwięcej? To było dość dziwne i chyba nie powinien jej ufać. Jednak z jej postawy biła jakaś pozytywna energia i szczerłość. Być może gdyby teraz zadał jej osobiste pytanie, powiedziała by prawdę. Postanowił to sprawdzić, chociaż pytanie dotyczyło czegoś innego.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem współnikiem dużej firmy ochroniarskiej w Londynie – odpowiedziała szybko. – Właściwie to ja ją założyłam, ale to trudny rynek, więc musiałam znaleźć sobie wpływowych współników. To nie jest zwykła ochrona. Nasze usługi są, jeśli mogę tak powiedzieć, ekskluzywne.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową.

– Specjalizujemy się w ochronie osobistej polityków, milionerów i ich rodzin, celebrytów i wszystkich, którzy czują się zagrożeni i stać ich na takie usługi.

– Coś jak Costner w filmie *Bodyguard*?

Zaśmiała się głośno.

– Tak, dokładnie tak. Staramy się zatrudniać najlepszych specjalistów z całego świata. Oni dobrze zarabiają, a my jeszcze lepiej.

– Nie wyglądasz na kobietę działającą w takiej trudnej branży – ocenił. – To raczej domena twardych facetów, nie do końca postępujących legalnie.

Przerwali na chwilę, bo przy stoliku pojawił się kelner. Oboje zamówili lasagne. Kiedy odszedł, musieli poczekać, aż gorące naczynie z jedzeniem trochę ostygnie, żeby można było w pełni poczuć smak potrawy, nie parząc sobie ust. Iga Marek zanurzyła kawałek bułki we wrzącym jeszcze sosie przy samej ścianie naczynia, następnie podmuchała i włożyła go do ust.

– Przepraszam. Uwielbiam lasagne i nie mogę się opanować. Chociaż i tak najlepsze robi moja druga połowa.

– Masz męża? – Kolejny test na prawdomówność.

– Raczej partnera, ale dobrze się dogadujemy. – Jej wzrok na chwilę powędrował nad jego ramieniem na drugi koniec sali. – Zresztą już go poznałeś, to Simon. A wracając do twojej uwagi o moim biznesie, biorę ją jako komplement. Tak, musiałam być twarda.

Spojrzała mu w oczy i nagle spoważniała. Nie przypominała już tej wesołej Igi sprzed paru chwil. Bił od niej smutek, ale Maciej zauważył też błysk w oku, mogący wzbudzić w rozmówcy niepokój.

– Tak naprawdę potrafię być twarda jak skała – mówiła bardzo poważnie. – Wiele lat temu przeżyłam dramat, po którym można było albo zachorować na depresję, albo zwalczyć traumę, zamieniając się w głaz. Ja zmieniłam się w głaz.

Zaczęli jeść i przez długą chwilę trwała cisza. Maciej się nie odzywał, czując, że teraz czas na konkrety. I się doczekał:

– Moja propozycja dla ciebie związana jest z tamtymi zdarzeniami, które mnie tak zmieniły. Wiele lat temu moja kuzynka została porwana. Jak się teraz nad tym zastanawiam, uważam, że w tym porwaniu było coś dziwnego. Podejrzewam, że Marysia została zamordowana, a żądanie okupu było blefem, mającym na celu zagmatwanie sprawy. Porywacze trzy razy wyznaczali miejsce złożenia okupu, ani razu nie podjęli nawet próby przejęcia pieniędzy, a potem przestali się odzywać.

– Przykro mi – powiedział Maciej, bo uważał, że tak wypada.

– Policja do niczego nie doszła. Ojciec Marysi szukał na własną rękę, też bezskutecznie, a teraz ja chciałabym zająć się poszukiwaniami. Uważam, że to się

Marii Cybulskiej należy. Nawet jeśli już nie żyje, chcę znaleźć jej ciało i pochować ją godnie na cmentarzu, bo nie zasłużyła na to, żeby leżeć gdzieś w lesie, pod krzakiem, w kanale albo na dnie rzeki lub jeziora, pod głazem. Powinna mieć normalny pogrzeb, z tłumem znajomych, którzy ją pożegnają i opłaczą. Chodzi mi o spokój jej duszy, o nic więcej.

– Dlaczego chcesz mnie wynająć? – zapytał. – Bo jestem znany jako Poszukiwacz Zwłok?

Kiedy mówiła, jej twarz spowijał jakiś złowrogi cień. Po jego pytaniu milczała długo. Z wolna się wypogadzała, jakby odzyskiwała spokój i odganiała stare demony, które przywołała wraz ze wspomnieniem kuzynki.

– Właśnie tak. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że masz jedną podstawową przewagę nad innymi.

– Jaką? – zapytał szybko, żeby ukryć, jak bardzo poruszyło go jej ostatnie zdanie. Może bardziej poruszyło Ariela niż jego. Czy ona wiedziała o nim coś więcej, coś, co nigdy nie powinno wydostać się na światło dzienne?

Na szczęście jego obawy były bezpodstawne. Bo niby skąd miałyby wiedzieć, skoro nikt nie wie?

– Masz doświadczenie, wolną rękę i nieograniczone finansowanie – odpowiedziała.

– Nie rozumiem, dlaczego to ma dać mi przewagę nad policją i prokuraturą? Policja też znajduje dawno ukryte zwłoki.

– Tylko wtedy, kiedy znajduje sprawcę, a on wskaże miejsce ukrycia ciała – wyjaśniła. – Sami nie szukają, bo ich interesuje sprawca. Mnie nie interesuje sprawca.

– Nie? – Zdziwiony unióśł wysoko brwi.

– Jeśli w trakcie poszukiwań zwłok ustalisz, kto stał za zabójstwem, to będzie taki bonus, jednak mnie zależy tylko na odnalezieniu ciała Marysi. Tak jak mówiłam: chcę zapewnić jej wieczny spokój. Poza tym policja działa na czas. Liczą się statystyki, więc nierozwiązane trudne sprawy są umarzane lub przenoszone do „policyjnej zamrażarki”; niby prokuratura przedłuża śledztwo o kolejne miesiące, ale nikt nic nie robi. Z tym też wiążą się finanse. Policja nie jest chętna wydawać pieniędzy na grzebanie latami w starych sprawach. Oczywiście jest Archiwum X, ale to taka pokazówka, żeby udowodnić swoją skuteczność i postraszyć potencjalnych zabójców. Taki komunikat: Nawet jeśli teraz ci się uda, to kiedyś i tak cię dopadniemy. Żałosne.

– Mam inne zdanie na ten temat. – Pokręcił głową. – Często współpracuję z Archiwum X, oni naprawdę działają.

Popatrzyła na niego z pełnym pobłażania uśmiechem.

– Głównie testują nowoczesne metody techniki kryminalistycznej na zabezpieczonych kiedyś śladach i dowodach. Jak już wspomniałam, będziesz miał przewagę nad policją. Nie masz ograniczeń czasowych, możesz skupić się na szukaniu zwłok, a nie na zabójcy, i masz nieograniczone finansowanie. Pokrywam wszelkie koszty.

Lesiecki odsunął talerz, nie kończąc posiłku. Lasagne były dobre, jednak zalała go fala różnych przykrych wspomnień z poprzednich poszukiwań. Narastała w nim panika. Zaciśnął dłonie w pięści i przymknął oczy. Nagle poczuł jej dłonie na swoich. Były ciepłe i emanowały spokojem.

– Ariel, spójrz na mnie – powiedziała.

Nie zaprotestował, kiedy użyła jego dawnego imienia, tylko popatrzył jej w oczy. Była poważna i bardzo zdecydowana.

– Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne – szepnęła. – Wiem, jak bardzo to przeżywasz, wiem, co czujesz, rozumiem cię. Ja czułam się podobnie, kiedy uświadomiłam sobie, że Maria Cybulska nie żyje. Mięło dużo czasu, zanim uśmierciłam ją w głowie. Musiałam narodzić się na nowo i od tych narodzin jestem kimś trochę innym.

Uspokajał się, aż puściła jego dłonie. Mówiła tak, jakby znała go na wylot, jakby go rozszyfrowała. Znowu odniósł wrażenie, że ona wszystko wie. Po raz pierwszy w życiu było mu to obojętne i nie wzbudziło strachu. Jej mógłby zaufać.

Spojrzał na nią. Zgarniała resztki sosu z talerza za pomocą kawałka bułki. Była taka naturalna, szczerza, a równocześnie pewna siebie. Pan doktor psycholog Lesiecki dał się jej rozegrać jak nowicjusz. Widząc, że się jej przygląda, uśmiechnęła się do niego sympatycznie.

– Mamy umowę? – zapytała.

– Tak – potwierdził.

Wyciągnęła do niego rękę i mocno uścisnęli sobie dłonie.

– Lubię pracować z konkretnymi ludźmi – podsumowała. – Cieszę się, że to ty zajmiesz się poszukiwaniami.

Sięgnęła do torby, wyciągnęła z niej grubą teczkę i położyła przed nim na stole.

– To są informacje na temat porwania Marysi, które zebrałam przez lata – wyjaśniła Iga Marek. – Głównie z oficjalnych źródeł. To swego czasu była bardzo medialna sprawa, długo mielono ją w prasie. Potem, jak wszystkie podobne, ucichła. Czasem ktoś do niej wraca z jakąś sensacyjną teorią, ale nic z tego nie wynika. Mam nadzieję, że ty pchniesz poszukiwania do przodu. Pewnie w policji i prokuraturze tomów akt jest całkiem sporo, ale ja nie mam do nich dostępu. Ty pewnie sobie poradzisz.

– Zapewne – przyznał.

Ciągle jeszcze miał wątpliwości, czy dobrze robi. To było głupie, ale w tej chwili głównym argumentem przemawiającym za podjęciem się tego zadania były pieniądze na nowe meble, żeby zaspokoić fanaberię Soni. Jeśli jednak zdecydował się na przyjęcie tej spawy, poruszy niebo i ziemię, żeby zakończyła się sukcesem. Taki już miał charakter.

– Na koncie masz już zaliczkę. – Widząc jego zaskoczoną minę, uśmiechnęła się uspokajająco – Nie bój się, wszystko zgodnie z prawem, podatki będą odprowadzone, w mailu masz umowę na usługi konsultacyjne dla jednej z kancelarii prawnych. Lubię mieć porządek w papierach.

– Ja też – przyznał.

Kobieta wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Rachunek zapłacony – powiedziała, zarzucając torbę na ramię. – Niestety, muszę cię już pożegnać.

– Jak się z tobą skontaktować? – zapytał.

– Bez obawy, Simon się z tobą skontaktuje, gdy przyjdzie czas.

Odeszła szybkim krokiem, nie pozwalając mu już na ani jedno pytanie więcej. Patrzył, jak wychodzi, a w ślad za nią rusza Simon, duży facet z niezbyt przyjemnym wyrazem twarzy. Może tylko w pracy kreuje się na gangstera albo zabójcę na zlecenie. Lesiecki miał taką nadzieję.

Na telefonie sprawdził saldo rachunku bankowego. Iga Marek mówiła prawdę. Jego konto dawno nie widziało takiej kwoty. Poszedł do najbliższego bankomatu i wyciągnął sześć tysięcy. Kto ustanowił limit tysiąca złotych? Musiał pięć razy powtórzyć transakcję i zajęło mu to kilkanaście minut. Potem wrócił do samochodu i pojechał do domu.

Przez kolejne długie kilkanaście minut stania w korkach miał czas na myślenie. Nie opuszczał go niepokój. Czy aby na pewno dobrze zrobił, dając się namówić? Czy nie wpakował się właśnie w kłopoty? Może nie. Iga Marek wzbudzała zaufanie. Kiedy parkował pod bramą na Ślicznej, uświadomił sobie, że nie podała mu nazwy tej firmy ochroniarskiej z Londynu, a on, otumaniony jej uśmiechami, nie zapytał. To był kolejny powód do niepokoju.

Szybko jednak zapomniał o wątpliwościach. Drzwi do mieszkania były otwarte, a Soni nie było. Obszedł wszystkie pomieszczenia, nawołując. Gdzieś musiała wyjść. Nie było jej butów, kurtki, torebki, telefonu komórkowego i kluczy, które zawsze wieszała na haku przy lustrze w przedpokoju. Tylko dlaczego nie zamknęła drzwi? Zapomniała. Zdenerwował się. Nagada jej, jak wróci. Na razie jednak miał inne problemy.

Znalazł kopertę w szufladzie biurka, włożył do niej plik banknotów po dwieście złotych, podjętych niedawno w bankomacie. Napisał na kopercie: „zaliczka na meble” i zostawił ją w kuchni na stole. Sonia powinna się ucieszyć, gdy wróci. Może nawet przestanie bocyć się na niego. Ulżyło mu trochę.

Spojrzał na zegarek i powróciły nerwy związane z realizacją planu. Jeśli pominie dwa punkty, które mu wypadły przez spotkanie z Marek, może wstrzeli się w plan i do końca dnia jakoś się uda. Musi się tylko pospieszyć. Za około dwadzieścia minut w gabinecie na Niedźwiedziej miał konsultacje psychologiczne z nowym pacjentem. Powinien dojechać tam o czasie.

Po drodze zatelefonował do Soni, ale włączyła się poczta głosowa. Potem stanął w korku i wszystkie jego myśli, jak zwykle, skupiły się na upływającym czasie i nie było już miejsca na nic innego.

Nieoznakowany policyjny radiowóz zjechał z głównej drogi w prawo, zgodnie ze wskazaniem nawigacji. Po chwili asfalt się skończył i opony zachrzęściły na szutrowej drodze wijącej się między zaniedbanymi domami pamiętającymi jeszcze czasy sprzed drugiej wojny światowej. Wieś najwidoczniej nie była jeszcze celem dla mieszczuchów, pragnących przenieść się z dala od zgiełku wielkiej metropolii. Laura Wilk widziała tylko dwa nowe domy zaraz za tablicą z nazwą miejscowości. Stare Buki, tak brzmiała nazwa i jedynie w połowie odzwierciedlała charakter wsi, która była po prostu stara, a jeśli kiedyś rosły tu jakieś buki, to albo zostały wycięte, albo ze starości poległy w walce z wichurami.

Auto policyjnego patrolu zobaczyli zaraz za zakrętem. Laura w ostatniej chwili wcisnęła pedał hamulca, zanim udało jej się przegapić bramę prowadzącą na podwórze równie starego jak reszta wsi domu z czerwonej cegły i do przylegającej do niego, chylącej się ku niechybnemu upadkowi stodoły. Koła wznieciły tuman kurzu i sunęły przez moment po nawierzchni, nim odzyskały przyczepność. Zaparkowali na podwórzu, zostawiając miejsce dla auta techników, które zamarudziło z tyłu.

W starym domu we wsi Stare Buki mieszkali starzy ludzie. Zgarbiona babinka z laską siedziała na ganku, a do Laury i Góralskiego, którzy wysiedli z auta i zakładali na szyje policyjne blachy, podszedł stary gospodarz w towarzystwie miejscowego policjanta.

– To ja zaprowadzę – powiedział zdartym głosem gospodarz, gdy tylko wymienili powitania, i już szedł gdzieś na tyły.

Podążyli za nim. Posturą i chodem przypominał Pawlaka z komedii Chęcińskiego, ale w mowie nie był taki szybki. No i twarz miał pomarszczoną, jakby z każdą orką pola położonego za domem pogłębiały się również jego zmarszczki.

Na szczęście dawno nie padał deszcz, bo teraz buty zapadałyby im się w błocie po kostki. I tak było wilgotno. Gdzieś z boku zaszczekał wielki pies przy budzie. Też stary.

– Może coś powiesz? – rzucił Góralski do mundurowego.

– Tak jak mówiłem przez radio – odparł policjant niechętnie – pan Łopuch znalazł zakrwawione ubranie. Pasowało mi do opisu w sprawie zamordowanej dziewczyny, więc was wezwałem. Łopuch więcej powie.



Kiedy znaleźli się na łące, musieli wyciągać nogi, żeby nadążyć za krzepkim starym. Uważnie stawiali kroki, omijając krowie placki. Z lewej strony ciągnęło się kartoflisko, z prawej na kilkunastu arach rosło zboże. Przed nimi czerniał las. Tuż przed nim stała jeszcze jedna stodoła. Kiedyś służyła pewnie jako schronienie na noc dla bydła, teraz była wykorzystywana na siano. Trzy łaciate czarno-białe krowy były opalikowane nieopodal szopy przy zbiorniku na wodę w starej wannie.

Zanim weszli do szopy, z ust starego Łopucha bardzo wolno popłynęły słowa. Do tego mówił niewyraźnie i musieli się skupić, żeby coś z tego gadania zrozumieć. Laura zestawiała fakty, zanim jeszcze Łopuch skończył opowiadać po raz czwarty to samo i niemal tak samo jak przeskakująca winylowa płyta w gramofonie.

Przychodził tu codziennie, odkąd zaczął wypasać krowy na łące. Wcześniej nie zauważył złożonych w kostkę ubrań w jednym z kątów szopy albo wziął je za jakieś stare szmaty. Kiedy im się jednak dzisiaj przyjrzał, uznał, że są poplamione krwią, i wezwał policję. Wcześniej oczywiście ich dotykał, ale na to nie mieli już wpływu. Zanim zjawili się obładowani sprzętem technicy, Laura z Góralskim weszli do środka szopy i przykucnęli w pewnym oddaleniu od ubrań. Rzeczywiście było prawie pewne, że należały do ostatniej ofiary Poltergeista, tej znalezionej przy autostradzie sto kilometrów od tego miejsca.

Wszystko zostało starannie ułożone. Osobno buty, bielizna, spodnie, koszulka i sweter. Tylko kurtka leżała obok, bo to właśnie jej dotykał Łopuch i na niej rozpoznał ślady krwi. Porządek był zastanawiający, wręcz nienormalny. Tylko osoba mocno zaburzona mogła wpaść na taki pomysł. Porwać dziewczynę, znęcać się nad nią, zabić, a potem ubrania podrzucić w odludnym miejscu poukładane jak w szafie pedanta.

– Co o tym sadzisz? – zapytał Góralski cicho.

Wstali, policjant otrząpał kolana. Rozglądali się po niewielkiej stodole w dwóch trzecich wypełnionej starym sianem.

– Nie wygląda na to, żeby tu zabił dziewczynę – powiedziała.

– Też mi się tak wydaje. – Pokiwał głową. – Ale może technicy coś znajdą.

– Może – rzuciła bez wielkiej nadziei.

Kiedy potem stała przed szopą, wystawiając twarz na ciepłe promienie majowego słońca, pomyślała o Piechu. Jeśli to on ostrzegł Poltergeista, żeby go zaszantażować, to ma szczęście, że nie wpadł w jej ręce, i piekło jest dobrym miejscem, żeby ukryć się przed jej gniewem. Potem zawstydziała się trochę z powodu takich myśli, bo przecież obowiązuje zasada domniemania niewinności. Nie może oskarżać nieżyjącego kolegi z wydziału, zanim nie znajdą twardych dowodów potwierdzających jego winę. Telefon, cholera! Gdyby udało im się znaleźć jego telefon. Może gdzieś się zaloguje do sieci. Prowadzili ciągły monitoring.

Potem jej myśli skierowały się na znalezisko w szopie pod lasem. Zastanawiała się, kto mógł być na tyle szalony, żeby układać ubrania ofiary w kostkę, a obok stawiać równo buty. Albo to była manifestacja jego zaburzonej psychiki,

albo zmyłka mająca na celu skomplikowanie śledztwa. Ta pierwsza opcja bardziej do niej przemawiała. Przecież w zakładzie stolarskim panował idealny porządek, mimo to że ciągle sprzątanie kurzu musiało być czasochłonne i uciążliwe.

Czy ona знаła kogoś na tyle niezrównoważonego, że mógłby się zachowywać w tak nietypowy sposób? Po chwili zastanowienia jedyną osobą, która przyszła jej na myśl, był Maciej Lesiecki. Tak, on byłby do tego zdolny. Gdyby był w jakiś sposób powiązany z zabójstwami, jako pierwszy trafiłby do Laury na przesłuchanie.

Uśmiechnęła się w duchu do tej niedorzecznej myśli.

## 9

**C**o prawda Maciej Lesiecki nie spóźnił się na konsultacje z nowym pacjentem i realizacja planu na razie nie była zagrożona, jednak od razu poczuł absolutny brak chemii podczas rozmowy. Może to była jego wina. Ciągłe nie mógł się otrząsnąć po rozmowie z Igą Marek. Propozycja, którą przyjął, była oszałamiająca finansowo i bardzo pociągająca, jeśli potraktować ją jako wyzwanie. Sonia ciągle się nie odzywała, a operator cały czas twierdził, że jej telefon znajduje się w czarnej dziurze, gdzie nie ma zasięgu. Czy w europejskim kraju, tak rozwiniętym jak Polska, jest jeszcze miejsce, gdzie sieć telefonii komórkowej nie ma zasięgu? No dobrze, mogą się takie dziury znaleźć, ale co ona by tam robiła? Był coraz bardziej zaniepokojony.

Z tych, między innymi, powodów nie mógł się skupić na tym, co klient mówi. Wypełnił kartę informacyjną przed wejściem, ale Maciej nawet nie zerknął na nazwisko, tylko na imię. Borys. Takie dziwne, kojarzyło mu się tylko z Rosją, ewentualnie z pijackim okrzykiem: „Borys! Polewoj!”. Borys ciągle mówił, zaś Lesiecki złapał się na tym, że słucha co drugiego słowa. Wykonał nadludzki wysiłek, żeby się skoncentrować.

– Moja córka chodzi do liceum, uczy się zresztą bardzo dobrze – tokował Borys. – Tylko coś ze mną ostatnio się porobiło.

– W jakim sensie? – dopytał Maciej.

Pacjent popatrzył na niego ciemnymi oczami zza grubych szkielek w staromodnej rogowej oprawie. Kojarzył mu się przez nie z Supermanem po cywilnemu, grany przez Christophera Reeve’a. Był dość wysoki, mocnej budowy i było w nim coś nieprzyjemnego. Nawet w głosie Borysa było coś dziwnego. Jakiś chłód i jakby... brak uczuć.

– Wie pan, tyle się ostatnio mówi w mediach o zagrożeniach, jakie czekają na młode dziewczyny wchodzące dopiero w dorosłe życie albo na młode kobiety. Tabletki gwałtu, przemoc seksualna, molestowanie, a nawet... przepraszam, że to powiem, ale to właśnie najbardziej mnie martwi.

– Proszę mówić szczerze – zachęcił go Maciej.

– A nawet porwania i morderstwa.

– Na pewno ma pan rację, ale statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo, że pana córka padnie ofiarą takiego przestępstwa, jest bardzo niewielkie. Gdyby tak nie było, wszyscy baliby się posyłać swoje pociechy dalej niż za próg domu.

Ciemne oczy przez chwilę wierciły Maciejowi dziurę w czole, co jeszcze bardziej pogarszało jego nastrój. Gdzie, do cholery, poszła Sonia? Musi zadzwonić do jej koleżanek. Może one coś wiedzą.

– Gdybym tak łatwo mógł to sobie wytłumaczyć, nie przyszedłbym do pana na terapię. – Głos faceta stwardniał.

– Oczywiście, oczywiście – przyznał pospiesznie Lesiecki. – Czasem trzeba sobie pomóc w inny sposób. Rozumiem, że pana problem jest o wiele bardziej złożony.

Borys znowu wycelował w niego te niesamowite, czarne jak smoła oczy. Czy on nosi czarne szkła kontaktowe?

Pacjent trochę się rozluźnił.

– Od długiego czasu nawiedza mnie niepokojący sen. – Zaczął mówić wolno, starannie dobierając słowa. – Dotyczy mojej córki. Śni mi się, że nagle znika z domu. Nikt nie wie, gdzie się podziała, nie kontaktowała się ze znajomymi, jej telefon nie odpowiada, a ja czuję przerażenie. Zaczynam jej gorączkowo szukać, lecz jak to we śnie. Im bardziej się staram, tym więcej rzeczy mi w tym przeszkadza. Praktycznie nie mogę nic zrobić, czuję się strasznie. Jestem zagubiony i zdeenerwowany, wręcz sparaliżowany strachem i ciągle dręczą mnie wyrzuty sumienia, że tracę niepotrzebnie czas, zamiast jej szukać.

– Czy sen jest ciągle taki sam? – zainteresował się Maciej.

– Jeśli chodzi o sens i odczucia, jakie mu towarzyszą, to tak. Ale on sam za każdym razem jest inny, to znaczy: dzieje się gdzie indziej. Na przykład w pociągu, w lesie, w mieście, u znajomych. Zawsze moja córka znika, a ja nie mogę nawet podjąć poszukiwań.

– Czy w tym śnie domyśla się pan, co się z nią dzieje?

– No właśnie nie, jest tylko ten obezwładniający strach o nią i złość na siebie, że jej nie szukam.

Lesiecki poprawił się w fotelu, dłonie ułożył tak, że opuszki palców jednej dłoni oparły się o opuszki palców drugiej, i powiedział:

– Panie Borysie, to, co pan teraz przeżywa, nie jest niczym nowym. Wielu ojców, czasem i matek, podświadomie niepokoi się o swoje dzieci, kiedy się usamodzielniają. Nowa szkoła, studia w innym mieście, nowy chłopak, wyprawa z domu czy nawet samodzielny wyjazd na wakacje mogą być bodźcem do tego, żeby te podświadome lęki nagle znalazły szczelinę i zaczęły wydostawać się na zewnątrz. W postaci snów, stanów lękowych, zachowań kompulsywnych. Mogą powodować bezsenność, czasowo paraliżować zdolności do podejmowania racjonalnych decyzji, zakłócać rytm dzienny, a nawet prowadzić do depresji i generować konflikty rodzinne. Pewnie ma pan wśród znajomych ojców, którzy są chorobliwie zazdrośni o swoje córki. Jeśli nie, to pewnie widział pan takie sytuacje w filmach. To dość częsty przypadek, chyba najbardziej znany. To jest końcowa reakcja na te same podświadome lęki o dziecko. Szczególnie ojców w stosunku do córek.

– Czyli jestem normalny? – zapytał Borys.

Lesieckiemu wydało się, że zamiast spodziewanej ulgi w głosie mężczyzny wyczuł wyraźną drwinę. Jakby facet, słuchając go, dobrze się bawił i wcale nie był zaniepokojonym rodzicem.

– Jak najbardziej normalny. – Tym razem postarał się o uśmiech.

– Jak więc mam się pozbyć tych snów?

– Mogę panu pomóc. Po to tu jestem. Myślę, że wystarczy kilka spotkań, podczas których porozmawiamy o rzeczywistych zagrożeniach, z jakimi mogą spotkać się młodzi ludzie podczas wchodzenia w dorosłe życie, a równocześnie zapoznam pana z kilkoma technikami radzenia sobie ze stresem. Sądzę, że to panu pomoże. Nawet jestem tego pewien, jeśli oczywiście z pana strony będzie pełne zaangażowanie.

Czarne jak smoła oczy za grubymi szklami rogowych okularów skupione były na twarzy Macieja. Czuł się z tym trochę nieswojo. Dochodził do wniosku, że on też powinien zastosować na sobie techniki antystresowe. Ciągłe z niepokojem myślał o Soni, jakby nie było jej od kilku dni, a nie kilku godzin. Chyba Laura miała rację. Nie powinien mieć dużo młodszych partnerek, ponieważ przelewa na nie swoje nie do końca zrealizowane i ukształtowane ojcowskie uczucia, a to może być podstawą udanego związku.

– Pan mnie słucha?

Głos Borysa przywrócił go do rzeczywistości. Czy znowu brzmiała w nim kpina?

– Tak, tak – powiedział szybko i zaraz fałszywie się usprawiedliwił: – Myślałem właśnie, kiedy ewentualnie mógłbym się z panem umówić.

– Może ja się jeszcze zastanowię? – rzucił Borys.

– Oczywiście – przytaknął z ulgą Maciej. – Terapia jest wyłącznie pana decyzją.

– Pewnie się jeszcze zobaczymy – powiedział i wyszedł, zanim Maciej zdążył odpowiedzieć.

Czy w jego słowach tym razem czaiła się groźba? Nie, bzdura! Po prostu Lesiecki miał coraz większy mętlik w głowie. Od kilku dni do jego hermetycznego świata doskonałych planów zakradał się coraz większy chaos. Miał tyle do zrobienia, że nie wiedział, czy zdoła ułożyć dobry plan na następny dzień. Do tego jeszcze Sonia. Co jej odbiło i gdzie się teraz podziewa?

Pomyślał, że musi się trochę odstresować.

## 10

Jezu, jaka ona była ładna. Dużo ładniejsza niż matka w jej wieku. Do tego idealnie w jego typie: brunetka z długimi włosami, wysoka i szczupła. Mógłby na nią patrzeć godzinami. Dlatego tak często przyjeżdżał pod jej blok w nadziei, że uda mu się ją zobaczyć. Jezu, ile by dał, żeby móc z nią porozmawiać. Na razie jednak rozmowa pozostawała w sferze marzeń.

Dzisiaj miał szczęście. Podjechał tu na moment, żeby odreagować trochę stresujący i pełen niekontrolowanego zamieszania dzień. Jej widok na pewno sprawi, że spłynie na niego wyjątkowy spokój i świat przestanie się liczyć. To się nazywa fart albo znak od losu. Nie minęło kilka minut, gdy nadeszła od strony głównej ulicy z dwoma koleżankami. One też były niczego sobie, ale nie umywały się do niej, górującej nad nimi wzrostem i idealną sylwetką.

Patrzył na jej roześmianą twarz, opuścił nawet szybę, żeby złowić z daleka jej głos, jej śmiech. Śmiała się dźwięcznie i głośno, jak jej matka. Jezu, może naprawdę odziedziczyła większość genów z tamtej strony rodziny. Bardzo by się cieszył, gdyby tak było. Geny po ojcu były skażone, przeklęte i tak zaplątane, że nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. Jezu, załamałby się, gdyby była tak pokręcona jak on. Uspokoił się szybko. Na pewno ma geny po matce. Gdyby tak nie było, nie miałyby żadnych koleżanek, a przecież widzi ją w tej chwili, jak rozmawia z dwoma innymi dziewczynami i razem śmieją się z żartów. Odetchnął z ulgą.

Jezu, jak miło było ją zobaczyć. Kiedyś na pewno się spotkają, porozmawiają i miał nadzieję, że po tym spotkaniu jej życie się zmieni. Podobnie jak i jego.

Jezu, jak bardzo chciałyby, żeby to zdarzyło się już niedługo. Niestety musiały chwilę odczekać. Za dużo zamieszania, zbyt wiele rozpoczętych tematów, zbyt realne zagrożenie. Nie, jeszcze nie teraz.

Dziewczyny pożegnały się i każda poszła w swoją stronę. Długowłosa brunetka zatrzasnęła ze sobą drzwi na klatkę schodową. Wtedy przekręcił kluczyk w stacyjce auta i odjechał, już zastanawiając się, jak wygospodarować sobie czas w najbliższych dniach, żeby znowu tu wrócić. Pierwotne zwierzęce żądze są najsilniejsze. Nie da się ich niczym stłumić, a krew ciągnie do krwi.

## 11

Maciej Lesiecki pokręcił się autem bez celu dla złapania spokoju ducha i nawet nie zauważył, kiedy zaczęło się ściemniać. Wtedy postanowił wrócić do domu. Jeszcze raz wybrał numer Soni, ale efekt był ciągle ten sam. Albo poza siecią, albo wyłączony aparat. Może zgubiła telefon? Może już czeka na niego w domu? Przyspieszył, na ile tylko się dało wśród innych aut ciągnących nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Zawsze fascynowało go takie mrowie samochodów i ludzi w nich siedzących. Każdy miał swoje problemy, życie, zmartwienia i kiedy jeździli po mieście, to wszystko krzyżowało się i mieszało ze sobą, tworząc wielką niewidzialną mozaikę różnorodności. Czasem wyobraźnia podpowiadała mu, jak taka mozaika może wyglądać. Jak smog wiszący nisko nad budynkami, ale żywy smog złożony ze wspomnień, zmartwień i strachu. Ta wizja była tak przerażająca, że myślał o niej tylko w chwilach takich jak ta. Kiedy był blisko krawędzi.

Wyrybiał się idealnie zgodnie z planem. Praca z pacjentami miała tę właśnie zaletę: wszystko na czas i żadnych odchyień od planu. Czasem wypadał jakiś pacjent z grafiku, ale wtedy wolał przesiedzieć godzinę beczynnemu w oczekiwaniu na następnego i nie ryzykować, że wszystko się spieprzy.

Kilka minut później był już pod domem. Wspiął się po schodach i nacisnął przycisk dzwonka. Słyszał sygnał rozlegający się za drzwiami, ale poza tym żadnych innych dźwięków. Soni chyba wciąż nie było. Wyciągnął klucze i wszedł do mieszkania.

– Sonia?! – zawołał na wszelki wypadek, lecz odpowiedzią była tylko ta cholerna cisza.

Rozebrał się, wszedł do kuchni i nagle zamarł w bezruchu. Jedna z kuchennych szafek została rozmontowana. Nie było drzwiczek i blatu. Zaraz jednak opłomował nerwy. Najwidoczniej Sonia odwiedziła mieszkanie, kiedy go nie było, i wpuściła tego stolarza. Rzucił okiem na stół w kuchni. Koperty z pieniędzmi nie było. Leżała za to kartka, na której stolarz napisał coś drukowanymi literami.

W pierwszej chwili Maciej się przeraził. Zaraz się dowiódł, że Sonia została porwana i ktoś żąda okupu. Ostrożnie zbliżył się do stołu i nachylił nad blatem, niczego nie dotykając, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Przeczytał zdania niedbale skreślone czarnym flamastrem: „PANI SONIA ZOSTAWIŁA MI KLUCZE. PRZEPRASZAM, MUSIAŁEM ZDEMONTOWAĆ JEDNĄ SZAFKĘ NA WZÓR. KWITUJĘ ODBIÓR ZALICZKI”. Podpis.

Najpierw była ulga, a potem złość skierowana w stronę Soni. Dała klucze do mieszkania nieznanemu mężczyźnie. Zabronił jej tego! Ona chyba zwariowała. Musiał jej powiedzieć kilka słów na temat braku odpowiedzialności. Znowu wybrał jej numer i tak jak poprzednio odbił się od beznamiętnego komunikatu.

– Cholera jasna!

Wyszukał numer do jednej z przyjaciółek Soni, ale okazało się, że dziewczyna nie ma pojęcia, gdzie ona teraz może przybywać. Potem zadzwonił do drugiej – z tym samym skutkiem. Po zdziwieniu w jej głosie poznał, że jest z nim szczerą, a nawet trochę zaniepokojoną. Miał jeszcze telefon do trzeciej koleżanki, która też nic o Soni nie wiedziała. Wszystkie mówiły do niego per „pan”, mimo że go znały i mówili sobie po imieniu. Laura Wilk miała rację – między nim a Sonią była zbyt wielka różnica wieku, w życiu się nie dogadają. To tak jakby pochodzili z dwóch różnych planet i znajdowali się na różnych etapach rozwoju cywilizacji. Bez przyszłości i bez szans. Miał jeszcze numer do matki Soni, ale się nie odważył. Była niewiele starsza od niego i nie akceptowała zarówno jego, jak i tego, że jest z jej córką i marnuje jej życie. Może coś jednak w tym było?

Wyszedł z mieszkania i zapukał do sąsiadów po lewej stronie. Otworzyła zaniedbana kobieta w szlafroku, z papierosem między wargami pomalowanymi na krwawoczerwony kolor. Mimo odpychającej aparycji była sympatyczna. Tylko że dzisiaj nic nie słyszała i nic nie wiedziała. Poszedł więc do sąsiadki po prawej stronie. Mógł od niej zacząć. Odkąd sąsiadka owdowiała, zajmowała się głównie kontrolowaniem przez judasza, kto chodzi po schodach i odwiedza sąsiadów na piętrze, albo monitorowaniem parkingu, przesiadując w otwartym oknie, kiedy tylko było ciepło.

– A był tutaj ten fachowiec, co wam meble robi – odpowiedziała na pytanie Macieja. – Przyszedł, coś tam postukał i wyszedł z jakimiś deskami.

– Kiedy to było?

– Z pół godziny temu. Minęliście się.

– A Soni pani nie widziała?

– Wczoraj ją widziałam.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj nie.

Lesiecki się pożegnał i wrócił do siebie. Tyle tylko, że czuł się jakoś obco i samotnie. Pokręcił się, zerknął na plan dnia, który właśnie mu się posypał, bo już dawno powinien był przygotować coś do jedzenia, a teraz zająć się przeglądaniem papierów dotyczących zaginięcia kuzynki Igi Marek. Tylko jak ma się tym zająć, kiedy nie ma Soni, klucze do jego domu ma jakiś podejrzany typ i do tego posypał mu się plan? Prawie dostał napadu paniki.

Pod wpływem impulsu wyciągnął telefon i zadzwonił do Laury. Było w niej coś, co go uspokajało. Albo zamieniało go w Ariela. Nieważne, teraz musi się ratować.



Czterdzieści pięć minut później siedzieli w jej salonie. Ona na sofie z kieliszkiem wina, a on za stołem, kończąc jedzenie makaronu z pesto. Ucieszyła się, kiedy zapytał, czy może przyjechać. Chyba ona też przechodziła jakieś trudne chwile w pracy, bo była blada, miała podkrążone oczy, jakby przez wiele nocy się nie wysypiała, i smutne spojrzenie.

Nagle odłożył sztućce, usiadł obok niej na sofie, objął ją ramieniem i za moment przytulił ją niezdarnie. Przysunęła się i wtuliła w niego. Poczul się przy niej dobrze, bezpiecznie, jakby wszystkie problemy odeszły. Trwali tak dłuższą chwilę, najwidoczniej ona też potrzebowała takiego wsparcia.

– To Maciej czy Ariel? – powtórzyła pytanie, uśmiechając się kpiąco.

Zawahał się.

– Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– Chyba nie, dla mnie jesteś jeden.

– Cieszę się, że tak mówisz.

Wstała, nalała wina i podała mu kieliszek.

– Pij, nigdzie cię dzisiaj nie puszczę – oświadczyła.

Stuknęli kieliszkami, aż zabrzączało szkło, i upili po łyku wina czerwonego jak krew. Było wytrawne, ale przyjemnie drażniło kubki smakowe. Laura usiadła obok niego po turecku.

– Wiesz, że pierwszy raz przyjechałeś do mnie z własnej inicjatywy? – zapytała. – Zwykle ściągałam cię tu siłą. Czasem miałam wrażenie, że cię molestuję albo wykorzystuję.

– To nie tak. – Pokręcił głową. – Podobają mi się to. Mam wymówkę, żeby odpuścić od zaplanowanego życia.

– Ja piernicę! Ty i te twoje plany. Zastanawiam się czasem, czy ty jesteś normalny.

– Ja też o tym myślę – przyznał.

Laura się roześmiała. Maciej nagle ujrzał ją w zupełnie innym świetle. Znali się od lat, spotykali się na seks od co najmniej pięciu, a jeszcze nigdy nie zdarzyło im się po prostu rozmawiać w takich intymnych warunkach, przy winie i przygaszonym świetle. Kiedy porywała go na seks, to ona rządziła. Co prawda w łóżku dawała się zdominować, jednak kiedy tylko wstawała z pościeli, natychmiast była kobietą twardą, zdecydowaną, której trzeba było się podporządkować. Teraz była inna. Bardzo zmęczona, trochę zagubiona, tęskniąca za normalnym życiem, może nawet za normalnym związkiem z facetem, który zaakceptowałby ją taką, jaka jest. To był nowy obraz Laury, który wyrzył się w jego mózgu. Bardzo pociągający. Miał ochotę ją objąć i pocałować, ale tylko sięgnął po jej dłoń i ją ścisnął. Oddała mu uścisk. Trwali tak trochę zakłopotani, jakby byli na pierwszej randce.

Lesiecki nagle przestraszył się tych nowych uczuć, które się w nim budziły. Przecież umówili się tylko na seks i ewentualnie przyjaźń, jeśli znajdą na nią czas. Teraz miał świadomość łamania tych zasad, wprowadzenia do ich znajomości nowego pierwiastka – uczucia. Wilczyca chyba też to zrozumiała, bo patrzyła na niego dziwnie. Prawie słyszał dwa dzwonki alarmowe rozbrzmiewające w ich

głowach, lecz żadne z nich się nie cofało. Czy po dzisiejszym wieczorze wszystko będzie inaczej? Chyba jednak nie. Od jutra ich relacja wskoczy na właściwe tory. To była tylko chwila słabości, której oboje potrzebowali jak tlenu.

– Masz kłopoty? – zapytał cicho.

Znowu się do niego przysunęła i wtuliła w jego ramię. Od jej ciała było przyjemne ciepło.

– Ty chyba też, co? – odpowiedział pytaniem.

– Tak – przyznał.

– To opowiadaj pierwszy – rzuciła, przywierając do niego jeszcze mocniej.

Zaczął opowiadać. Cicho, niespiesznie, starannie dobierając słowa. Opowiedział jej najpierw o awanturze z Sonią, o jej nagłym zniknięciu, propozycji od Igi Marek, potem o wizycie stolarza, zniszczonych meblach w kuchni i zniknięciu zaliczki. Laurę szczególnie rozbawił liścik zostawiony przez fachowca.

– Zostawił ci pokwitowanie. – Szturchnęła go w bok. – Uczciwy przedsiębiorca.

Maciej przez chwilę się wahał, po czym uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał.

– Wiesz, niepokoi mnie to zniknięcie Soni – wyznał. – Mam złe przeczucie.

– Nie ma jej raptem od rana. Pewnie strzeliła focha i się do ciebie nie odzywa.

– No tak, ale wiesz, jakie to jest pokolenie. Nie rozstają się ze smartfonami, ciągle są w sieci i na social mediach. Sonia nawet do łazienki chodzi z telefonem, więc niepokoi mnie sam fakt, że jej aparat może być tak długo wyłączony.

– Może jej się rozładował, a nie ma ładowarki.

– Już raz tak było – przyznał Lesiecki. – Musieliśmy jechać na gwałt do jakiegoś salonu z akcesoriami po ładowarkę, a potem do najbliższego centrum handlowego z miejscami do ładowania. Cały plan mi tym rozwalila.

– Ja bym się na twoim miejscu aż tak nie przejmowała. – Laura napiła się wina.

– Łatwo się mówi!

– Maciek, zmieniłeś się, odkąd z nią mieszkasz – odezwała się po chwilowej pauzie. – Mam wrażenie, jakbyś przelał na nią ojcowskie instynkty.

Tym razem Lesiecki napił się wina i długo milczał, analizując jej słowa.

– Może coś w tym jest – odezwał się po chwili. – Dzisiaj był u mnie nowy pacjent. Jego córka od września zeszłego roku samodzielnie dojeżdża do średniej szkoły, a on tak się o nią martwi, że ma koszmarnie sny o porwaniach, morderstwach i wszelkich możliwych tragediach, jakie mogą się jej przydarzyć. Czy ja naprawdę zaczynam zachowywać się tak samo?

– Sam sobie odpowiedz, jesteś psychologiem.

– Gdyby tylko tak się dało...

– To może idź do jakiegoś kolegi po fachu – zakpiła.

– Żartujesz sobie chyba! – obruszył się. – W większości to banda niekompetentnych wyłudzaczy pieniędzy. Robią więcej szkód niż pożytku.

– Niezłe masz zdanie o kolegach.

– A ty jakie masz zdanie o swoich?

Laura zastanowiła się i po chwili przyznała Maciejowi rację. Miała podobną opinię o policjantach, jak on o psychologach. Być może była nawet bardziej radykalna.

– Maciek, Sonia nie jest dla ciebie dobrą partnerką do życia. – Po raz kolejny wyraziła swoją opinię, zmieniając raptownie temat. – Ona jest za młoda, chce czegoś innego niż ty. Poza tym ona będzie jeszcze długo młoda, a ty coraz starszy. Ta różnica celów i oczekiwań będzie z roku na rok większa. Po co się pakować w takie gówno? No chyba że jest z tobą dla pieniędzy.

– Nie jestem bogaty. – Pokręcił głową. – Ale coraz częściej się zastanawiam, czy nie masz racji.

– To po co to ciągniesz? Aż tak ją kochasz? A skoro tak, to dlaczego przychodzisz do mnie?

Znowu na długo zapadła cisza. Maciej wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z ulicy przez uchylone drzwi tarasowe. Ktoś się śmiał, ktoś szedł, pobrzękując szkłem, jakiś kobiecy głos nawoływał psa.

– Chyba że do mnie przychodzi Ariel, a z Sonią mieszka Maciej – odezwała się cicho.

Drgnął, jakby go dźgnęła nożem. Przez chwilę myślała, że ją odepchnie, lecz on tylko dopił swoje wino i sposepniął do reszty.

– Nie chcę go tu – mruknął w końcu.

Laura wstała i rozlała resztę wina z butelki. Potem znowu usiadła w pewnym oddaleniu od niego bokiem do oparcia, opierając jedną nogę na sofie.

– Powiedz mi, jakie miałeś problemy, że nie chcesz być Arielem – poprosiła.

Najpierw spojrzął na nią spłoszony, rozluźnił się dopiero po sporej dawce wina, które trafiło do jego żołądka, i kilku głębszych wdechach. Na jego twarzy pojawił się nawet lekki półuśmiech.

– Nie mówiłem tego nigdy nikomu – odezwał się cicho.

– Może czasem warto dla zdrowia psychicznego wywalić komuś zaufanemu, co ci leży na sercu? Jesteś terapeutą. Wiesz, że to pomaga.

– Są rzeczy, których lepiej nie pokazywać światu.

– Pieprzenie. Nie jesteś przecież Poltergeistem.

– Ale mógłbym nim być.

Zmierzyła go poważnym spojrzeniem.

– Maciej, co się dzisiaj z tobą dzieje?

– Pewnie to, czego obawiam się, odkąd zacząłem planować życie jako Maciej. Rozpadam się i nie potrafię nad tym zapanować. Coraz bardziej zmieniam się znowu w Ariela.

– Maciej, możesz mi zaufać – zirytowała się Laura. – Nie masz drugiego takiego przyjaciela. Przecież nie opowiesz tego Soni.

Milczał jeszcze chwilę, zanim się zdecydował.

– Ariel był zły – wyszeptał wreszcie.

– Tylko tyle? – prychnęła.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki był zły. Można by go było nazwać potworem. Fascynowała go śmierć, podniecało go cierpienie innych, miał dziwne

zasady, w myśl których zawsze postępował. Był ukrytą przed światem bestią, a ona w każdej chwili mogła eksplodować. Nie mogłem do tego dopuścić, więc się zmieniłem. Plan jest po to, żeby nie mieć czasu na zbędne myśli, jakie nawiedzały Ariela. Imię jest po to, żeby mieć świadomość bycia kimś innym niż on.

Laura patrzyła na niego bardzo poważnie.

Spojrzał na nią prawie wyzywająco.

– Zszokowana?

Pokręciła głową.

– Nie wierzę, nie można aż tak się zmienić. Zło zostaje na zawsze złem, nie da się go przebrać za dobro. A ty jesteś dobrym człowiekiem.

– Bo się naprawiłem.

– Przecież mówiłeś, że tak się nie da. Pomóc samemu sobie.

– Nie działałem jak psycholog, ale jak chirurg transplantolog. Wyciąłem sobie z mózgu Ariela i zastąpiłem go Maciejem. I jeszcze nałożyłem sobie kaganiec, żeby organizm nie odrzucił przeszczepu.

Opuściła głowę, a kiedy ją podniosła, na jej twarzy malował się uśmiech.

– Wiesz co? Ty naprawdę jesteś nienormalny.

– To normalna reakcja wyparcia – westchnął i pokiwał głową. – Widziałem ją u pacjentów tysiące razy. Najpierw mnie namawiasz na zwierzenia, zdradzam ci swoje największe sekrety, a wtedy ty robisz unik, bo ci nie pasują i nie chcesz się z nimi zmierzyć.

– Bo ten zły Ariel nie pasuje mi do ciebie – powiedziała.

– Bo się zmieniłem – odparł twardo.

– A gdybyś się nie zmienił, kim teraz byłby Ariel?

Maciej dopił wino i zanim odpowiedział, podszedł do barku i wyciągnął drugą butelkę wina. Odkorkował ją w kuchni i nalał alkohol do kieliszków. Dopiero wtedy usiadł twarzą do Laury i popatrzył jej w oczy.

– Ariel był psychopata – stwierdził. – Być może byłby teraz na kierowniczym stanowisku w korporacji i dla własnej satysfakcji stosowałby mobbing w stosunku do swoich podwładnych. Kto wie, znając jego pociąg do płci pięknej, mógłby wykorzystywać seksualnie swoje pracownice. Może byłby teraz bezwzględnym politykiem, który piąłby się po szczeblach kariery, brutalnie eliminując swoich przeciwników intrygami i pomówieniami. Głównie dla władzy nad innymi, w drugiej kolejności dla pieniędzy. Mógłby też zostać seryjnym mordercą i gwałcicielem. Ból i cierpienie go podniecały. Może kiedyś przekroczyłby tę nieprzekraczalną granicę.

– Brzmi przerażająco.

– Chciałaś usłyszeć prawdę.

Ona też nie spuszczała wzroku z jego twarzy i oczu.

– A nie przyszło ci do głowy, że zmieniając siebie, zmieniłeś też Ariela i on nie jest już taki jak dawniej i mógłbyś żyć bez planów, natręctw i fobii? – zapytała.

– Może masz rację, ale boję się, że jak stracę czujność, on wróci, a ja tego nie zauważę.

– Ariel to potwór – stwierdziła.

– Tak, potwór.

Przysunęła się do niego, wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego policzku. Dłoń była ciepła, czuł, jak to ciepło działa na niego kojąco, wywołując uczucie bezpieczeństwa i spokoju.

– Ze mną też coś jest nie tak – szepnęła, przesuując dłoń na jego kark i przyciągając go do siebie. – Nigdy bym nie pomyślała, że tak bardzo polubię faceta, który jest tak bardzo popieprzony.

Pocałowała go w usta. Smakowała winem i Maciejowi bardzo to odpowiadało. Mimo to nie oddał jej pocałunku, znowu przestraszony nowymi uczuciami, jakie się w nim ujawniały. Nie da się z drugą osobą regularnie uprawiać seksu i zupełnie nic do niej nie czuć. Może na początku, ale potem przecież tworzy się jakaś więź. Tylko taki potwór jak Ariel pewnie nic by nie czuł. Czy to może znaczyć, że Ariel już w nim umarł?

# **ZAGINIONA**

# 1

Po kilku dniach z temperaturami oscylującymi w okolicach trzydziestu stopni maj złośliwie pokazał, że nie jest jeszcze latem. W nocy nad Dolnym Śląskiem przeszedł silny front atmosferyczny i wywrócił pogodę do góry nogami. Nisko nad ziemią zawisły szare obłoki, z których leniwie się spływał deszcz i było tylko czternaście stopni ciepła. Niezły zjazd, jak na kilkanaście godzin różnicy.

Komisarz Góralski był meteopata. Zawsze reagował na takie gwałtowne zmiany bólem głowy i ogólnym wkurwieniem. Swoje meteorologiczne wady musiał jednak schować do kieszeni, kiedy na siedzenie pasażera władował mu się dobrze zbudowany młody człowiek w skórzanej kurtce. Zaparkował właśnie pod budynkiem komendy wojewódzkiej i zbierał się do wyjścia.

– Co ty kurwa...? – zaczęła i zaraz zamilkła, poznając nieoczekiwanego gościa.

To był jeden z funkcjonariuszy BSW, ten, który kilka razy nieprzyjemnie się odezwał podczas ich ostatniej przejażdżki po mieście.

– Dzień dobry, panie komisarzy – przywitała się funkcjonariusz.

– Cholera! – Góralski rozejrzał się nerwowo wokoło. – Nie tak blisko firmy. Jeszcze ktoś zobaczy.

– Nie ma takiej obawy – uspokoił go gość. – Przecież obaj jesteśmy policjantami. Możemy się znać i sobie sympatycznie porozmawiać od czasu do czasu.

– Pewnie wszyscy wiedzą, że jesteś z BSW.

– Może tak, może nie. Po co te niepotrzebne nerwy?

Góralski odetchnął głęboko. Położył dłonie na kierownicy w pozycji „za dziesięć drugą”.

– No dobra – westchnął. – O co chodzi?

– Cały czas o to samo.

– Próbuje – jęknął komisarz. – Ale Żołnierz ostatnio mnie unika, jakby coś podejrzewał. Łączę za nim, ale nic nie mam ciekawego. Dajcie mi jeszcze trochę czasu.

– Masz tydzień – zgodził się nieoczekiwanie bez targów tamten i zaraz trzasnęły za nim drzwi.

Góralski odetchnął z ulgą, trzęsącymi się rękami wyciągnął papierosa, wysiadł z auta i zapalił. Stał oparty o maskę, nie bacząc na deszcz, osłaniając żar dłonią. Niech to jasny szlag trafi! Wszystko się waliło. Poltergeist, Piech, BSW, Żołnierz, który znika gdzieś wieczorami. Jego genialny pomysł, żeby zabić kolegę i tym samym pozbyć się jedyne go świadka jego korupcji i uwolnić od wewnętrznych,

przez chwilę wydawał mu się bardzo dobry, lecz z czasem zaczynał blednąć, ukazując spore zagrożenia, brak logiki i niepewność konsekwencji. Nawet jeśli nikt go z tą zbrodnią nie powiąże, i tak nie ma gwarancji, że wewnątrzni dadzą mu spokój. Może jak zabraknie Żołnierza, zgarną jego? Perspektywa odsiadki nie była wcale atrakcyjna.

Tak naprawdę zabójstwo Piecha wszystko zmieniło. Policjanci się wściekli, wszyscy szukali mordercy. Gdyby jeszcze Żołnierz został odstrzelony, szaleństwo gliniarzy wzrosłoby stokrotnie. Zaraz pewnie ktoś by wpadł na to, że Góral jako dobry kolega Piotra jest w to umoczony. Jeśli nie któryś z kolegów z wydziału, to ci z Biura Spraw Wewnętrznych. Nie ma co ryzykować. Tylko jak się wypłatać z tego gówna?

Wypalił jeszcze jednego papierosa, zwlekając z wejściem do budynku. Czuł mdłości na samą myśl o kolejnym dniu pracy. Psychicznie był już wrakiem i nadawał się tylko do leczenia. Musiał uważać, bo ludzie w takim stanie łatwo popełniają głupie błędy i wpadają na jeszcze głupsze pomysły. Takie jak ten z zabiciem Żołnierza. Dobrze, że szybko ocknął się w nim zdrowy rozsądek.

Zdusił niedopałek pod butem, zacisnął szczęki i ruszył w kierunku wejścia. Powłókł się schodami na górę, potem szedł korytarzem zamyślony. Piotra Żołnierza zauważył w ostatniej chwili. Stał przy drzwiach do toalety dla mężczyzn. Na jego widok Góral poczuł nieprzyjemny ucisk na żołądek. Zatrzymał się, kiedy kolega zastąpił mu drogę.

- Czego chcesz? – warknął.
- Pogadać.
- Nie mam czasu.

Chciał ominąć Żołnierza, lecz ten szybko zerknął za jego plecy, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, a potem chwycił go za ramiona i szarpnął jak szmacianą lalką. Wylądowali w toalecie, a drzwi zatrzasnęły się za nimi z głuchym odgłosem. Żołnierz miał wielkie łapy i był silny jak goryl. Góral mimo wychodowanego przez lata brzuszka też nie należał do ułomków. Jednak teraz nie mógł się wyrwać z uścisku kolegi.

- Odjebało ci?! – warknął, usiłując się wyswobodzić.

Piotr pochylił się nad nim, zbliżając swoją twarz do jego twarzy.

– Nie szarp się, bo możesz sobie zrobić krzywdę – powiedział z takim jadem w głosie, że Góralski nagle zwiotczał. Chwył trochę żelzał.

- Odwaliło ci do reszty – powiedział.

Żołnierz miał w oczach obłęd, ale nie było czuć od niego alkoholu. Może wziął jakieś podejrzone prochy na pobudzenie. Patrzył na Górala w milczeniu, odezwał się dopiero po długich sekundach:

- Powiedz mi, Góral, dlaczego za mną łąsisz?
- Nie łążę za tobą...

Góral miał coś jeszcze dodać, ale stracił oddech, kiedy kolega docisnął go mocniej do ściany.

– Pierdolisz . – Głos Piotra pozostał wyjątkowo spokojny. – Łąsisz za mną wieczorami.



– Nie łążę za tobą.

– Nie rób ze mnie idioty, kolego. Widziałem cię raz czy dwa.

Góralski zastanowił się szybko i od razu podjął decyzję. Przecież obaj jadą na tym samym wózku.

– Wewnętrzni mają cię na celowniku – powiedział.

Piotr znieruchomiał i jego uchwyt zelżał. Od dawna się spodziewał, że mogą zacząć przy nim węszyć, jednak taka informacja podziałała na niego trzeźwiąco.

– Wspaniałe – rzucił oskarżycielsko.

– Chronię cię, kretynie! – Góral podniósł głos, po raz kolejny się szarpnął i dopiero wtedy Żołnierz go puścił.

– Niby jak?

– Posłuchaj, jeden z twoich kolegów, Szaja, dogaduje się z prokuratorem na koronę i sypie.

Żołnierz nagle wcisnął ręce głęboko w kieszenie spodni i się zasepił.

– Nagle zbladłeś – kontynuował Góral. – Wewnętrzni przyszli do mnie z propozycją nie do odrzucenia. Już wcześniej dużo wiedzieli. Miałem im na ciebie nadawać.

– Ty skurwysynu. – Piotr zacisnął pięści i poczerwieniał na twarzy.

– Wyluzuj, kolego – rzucił szybko Góral, ale na wszelki wypadek przygotował się na ewentualny atak, jednak ten nie nastąpił. Żołnierz rozluźnił pięści. – Nic im nie powiedziałem. Balansuję na cienkiej linii, bo ciągle mnie naciskają. Czuję, że jak czegoś nie wymyślę, to mnie zaraz zawiną i będzie po temacie.

– I wtedy mnie sypniesz, sukinsynu!

– A ty byś mnie, bohaterze, nie sypnął w takiej sytuacji? Szlachetny kolega się, kurwa, znalazł. Ale wiesz, jakie odnoszę wrażenie? Oni wszystko o tobie wiedzą, oczekują ode mnie czegoś więcej. Co jeszcze masz na sumieniu, Żołnierz, przez co obaj pójdziemy na dno?

Piotr stał obok blady, nie patrząc na Górala. Zaciskał i rozprostowywał palce, patrzył gdzieś w sufit z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Pocił się.

Góral nagle zdał sobie sprawę, że Żołnierz naprawdę może być umoczony o wiele głębiej, niż mu się wydawało, kiedy się z nim kolegował. Czy to on odstrzelił tamtego biznesmena? Kurwa, przecież był do tego zdolny. On nie miał już żadnych skrupułów, dla niego liczyła się tylko kasa, w dupie miał wszelkie zasady. Może miał za sobą więcej takich akcji? Czy był cynglem do wynajęcia? Góral nagle zaczął się pocić i poczuł wielką słabość w nogach. Omal nie osunął się po kafelkach na podłogę. W co on się dał wciągnąć? Teraz tych kilkadziesiąt tysięcy od ludzi z miasta wydało mu się gównem warte. Miał większy problem. Jak wewnętrzni wrzucą go do jednego worka z Piotrem, to sprawa zrobi się śmiertelnie poważna. Musi się jakoś z tego wyplątać. Najlepiej, gdyby podał im Żołnierza na tacy. Tylko jak? Może szczerowość nie popłacała? Ten sukinsyn teraz stanie się wyjątkowo ostrożny i zacznie patrzeć mu na ręce. Trzeba będzie przeprowadzić prywatne śledztwo, popytać wśród znajomych gangusów, może uderzyć gdzieś wyżej. Bez sensu, tylko zrobi zamieszanie i wzbudzi niepotrzebną ciekawość. Przecież nikt nie puści pary z gęby. Był psem. Nawet jeśli oswojonym, to nadal

psem, któremu na wszelki wypadek nie mówi się za dużo. Do kurwy nędzy! Wpadł do szamba, a ratunku nie widać.

Drzwi do toalety nagle się otworzyły. Wszedł jakiś znajomy z widzenia policjant.

– Cześć! – rzucił i przyjrzał się uważnie rozgrywającej się tu scenie.

Kolejny kretyn, pomyślał Góralski. Gdyby tylko miał trochę oleju w głowie, powinien zrozumieć, że teraz nie było dobrze tu wchodzić. Powinien był odwrócić się na pięcie i wyjść. Skoro mamy takich bystrych śledczych, to i wyniki są takie, jakie są. Funkcjonariusz obrzucił ich jeszcze ciekawym spojrzeniem, wszedł do kabiny i wyraźnie słyszeli odgłosy wykonywanej przez niego czynności fizjologicznej, a następnie odgłos spuszczonej wody.

Wyszedł i pod kranem starannie mył ręce. Popatrzył na nich jeszcze raz.

– Przeszkodziłem wam? – domyślił się zdziwiony.

– Spadaj już – rzucił Żołnierz takim tonem, że nawet Steven Seagal dwa razy by się zastanowił, zanim zdecydowałby się zostać.

Kiedy drzwi się zamknęły, Piotr spojrzął na Góralskiego dziwnym wzrokiem, jakby wybudził się z głębokiego snu.

– Nie martw się, załatwię to – powiedział.

– Co ty, kurwa, możesz załatwić? – warknął Góralski.

– Więcej, niż ci się wydaje.

– Obudź się, Żołnierz. Obaj płynamy w szambie i smród jest coraz większy.

– Zostaw to mnie.

– I co niby zrobisz?

Żołnierz odwrócił się i jego wielka łapa znowu wylądowała na ramieniu kolegi.

– Po prostu się nie wtrącaj i nie łaż za mną – powiedział i już go nie było.

Góral stał jeszcze przez moment w bezruchu, wreszcie podszedł do kranu, odkręcił zimną wodę i przemył twarz. Spojrzął na swoje odbicie w lustrze i pokiwiał głową. Jak na chwilę przed śmiercią. Pozbawione krwi wargi, blade policzki, ciemne wory pod oczami, mętne spojrzenie. Ale się wpierdolił na stare lata. Co on sobie myślał, kiedy przyszedł do niego Piotr z propozycją zarobienia łatwych pieniędzy? No tak, był wtedy w poważnych finansowych tarapatkach. Tylko że teraz nadal nie miał kasy, a przyszedł czas na bolesne odpokutowanie grzechów.

## 2

Mimo nawału pracy komisarz Laura Wilk ciągle wracała myślami do poprzedniego wieczoru, który spędziła z Maćkiem. Cholera, co się między nimi porobiło? Stracili nad sobą panowanie, wyszli poza schemat; taki czas, taki nastrój, miejsce i... poszło. Nawet nie było seksu, tylko porozmawiali i poszli spać przytuleni do siebie jak stare dobre małżeństwo. Teraz dochodziło już południe i bała się do niego zadzwonić. Zresztą on też do niej nie dzwonił. Pewnie wrócił do schematu i świadomie o niej nie myślał albo ma teraz kaca moralnego, że tyle jej o sobie powiedział. A może po prostu robi awanturę Soni za zniknięcie i klucze.

Pijąc drugą kawę, przypomniała sobie, że obiecała mu spojrzeć na policyjne akta w sprawie zaginięcia dziewczyny. Maria Cybulska. Bardzo dobrze pamiętała to zaginięcie. Była z tego niezła chryja, ojciec oskarżał policję o nieudolność, policja oskarżała prokuraturę, media jechały po wszystkich, nie wyłączając ojca, potem była gonitwa za porywaczami, jakieś dziwne zdarzenia związane z przekazaniem okupu, aż wreszcie wszystko ucichło. Tylko dziewczyna się nie znalazła. Laura powiedziała Maćkowi, że chyba to nie był dobry pomysł, żeby przyjął to zlecenie od tajemniczej nieznanym. Nie przekonała go. Perspektywa dużych pieniędzy, które według niego rozwiązywały wszystkie problemy z Sonią, kompletnie go zaślepiła. No i zgodziła się mu pomóc. Teraz żałowała, ale słowo się rzekło.

Zrobiła sobie przerwę i zajrzała do policyjnej bazy w poszukiwaniu informacji na temat porwania Cybulskiej. W pierwszej chwili pomyślała, że źle wpisała hasło w wyszukiwarce, bo nic się nie wyświetliło. Wstukała słowa klucze jeszcze raz i dopiero teraz zrozumiała, że w policyjnej bazie nie ma zdigitalizowanych akt ze śledztwa w sprawie porwania. Zmarszczyła czoło. Jak to jest, do cholery, możliwe, że takie głośne porwanie nie trafiło do elektronicznej bazy? Ktoś musiał coś przeoczyć. Wtedy się jeszcze nie zaniepokoiła, tylko zirytowała. Pewnie papierowe akta leżą w archiwum. Zadzwoniła w różne miejsca, żeby dowiedzieć się, jak szybko może do nich dotrzeć. Ze zdziwieniem dowiedziała się, że śledztwo ciągle trwa. Jest sukcesywnie przedłużane przez prokuraturę o kolejne miesiące. Pewnie tak będzie aż do przedawnienia się przestępstwa po upływie piętnastu lat. To już za moment. Nikomu w tym czasie nie postawiono zarzutów, nikogo nigdy w tej sprawie nie zatrzymano. Niemniej jednak, nawet jeżeli ktoś coś spieprzył

i prokuratura chciała to ukryć, akta powinny znajdować się w archiwum. Była coraz bardziej zaintrygowana. Efekt bałaganu czy ktoś ukrywał jakiś smród?

Po kolejnych telefonach do różnych ludzi ustaliła, że sprawa Cybulskiej jest w ewidencji policyjnego archiwum, tylko samych dokumentów nie ma fizycznie w magazynie. Zadzwońszy do znajomego w prokuraturze, dowiedziała się, że oskarżyciele zajmujący się porwaniem ciągle się zmieniali. Ostatni, który miał doczekać do przedawnienia, Rapacki, zmarł na serce około czterech lat wcześniej, co zamykało tę ścieżkę poszukiwań. Znajomy sprawdził, że sprawy Rapackiego po jego śmierci przejął prokurator Kowalczyk i wciąż akurat z tych dokumentów się nie rozliczył.

Laura piła kawę i drapała się po głowie, coraz bardziej skołowana. Co to za burdel, do jasnej cholery? Zgubili akta? Albo leżą gdzieś na samym dnie sejfu zapomniane przez cały świat. Ale numer! Kowalczyka akurat dobrze znała i wahała się tylko chwilę, zanim do niego zadzwoniła. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry, panie prokuratorze, komisarz Laura Wilk z tej strony – powiedziała ostrożnie, ale chyba zupełnie niepotrzebnie.

Kowalczyk najwyraźniej ucieszył się z jej telefonu. To był facet przed emeryturą, depczący prokuratorskie ścieżki jeszcze w czasach słusznie minionych, wspierający ówczesną opozycję, za co zresztą musiał odpokutować, usunięty przez komunistów z prokuratury. Wrócił w wolnej Polsce, a ten niewdzięczny kraj dręczył go w ostatnich latach, zarzucając udział w politycznych procesach.

– Witam panią komisarz! – Kowalczyk miał tubalny głos i śmiech, od którego drżały szklane naczynia w szafkach. – Całuję rączki.

Laura uśmiechnęła się pod nosem. Prokurator miał w sobie coś, co natychmiast poprawiało humor.

– Nie przeszkadzam? – rzuciła.

– Nigdy!

– Czy mogę mieć pytanie?

– Pani komisarz, zawsze!

– Pamięta pan taką sprawę sprzed lat? Porwanie dziewczyny. Maria Cybulska. Prokurator chrząknął.

– Oczywiście, to było wtedy głośne i chyba pozostało niewyjaśnione – odpowiedział. – Wie pani, takie kukulcze jajo w prokuraturze. Sprawa przechodziła z rąk do rąk i wszyscy się na niej wykładali. Wreszcie była przydzielana za karę.

– Szukam akt. Dowiedziałam się, że wciąż są u was, w prokuraturze – wyjaśniła Laura, zagryzając wargi.

– Niemożliwe, pani komisarz. Po tylu latach, niemożliwe. – Kowalczyk się zaśmiał.

– Podobno pan ma je na stanie, panie prokuratorze.

Kowalczyk zamilkł na dłuższą chwilę, zaskoczony.

– To absolutnie niemożliwe, pani Lauro. Nigdy się tym nie zajmowałem. Byłem jednym z tych szczęściarzy, którym się wtedy udało wymigać.

– Mam takie informacje z waszej ewidencji. Przejął pan to porwanie po śmierci Rapackiego – wyjaśniła niepewnie.

Kowalczyk wydawał się szczerze zaskoczony i zrobiło jej się trochę głupio, że zwraca mu głowę. Zaczęła wątpić w swojego informatora.

– Jeśli tak jest, to jakiś błąd – stwierdził odrobinę wzburzony prokurator. – Muszę to niezwłocznie wyjaśnić. Tak nie może być. W prokuraturze musi panować porządek, bo inaczej zginiemy pod tymi papierami.

Laura pomyślała, że jeśli jej informacje są nieprawdziwe, może właśnie naraziła ich przyjazne stosunki na szwank, lecz było już za późno.

– Oddzwonię do pani!

Prokurator się rozłączył, a Laura z ociąganiem wróciła do pracy. Dzień raportów, piekło dla oficera śledczego nawykłego do działania. Niestety, to też trzeba było przeżyć.

Kowalczyk oddzwonił kilka minut po dwunastej.

– Miała pani rację – przyznał bez żadnych wstępów. – Miałem to w ewidencji. Nikt nie wie, dlaczego to na mnie wisi, skoro rozliczyłem się z tego burdelu po Heniu Rapackim. Powiem pani więcej: nie ma nigdzie tych akt, jakby ich w ogóle nie było. Myślę, że pod moją presją naczelnik zarządzi postępowanie wyjaśniające. Sprawa będzie przedawniona dopiero za dwa miesiące, tak nie może być.

– Bardzo dziękuję, panie prokuratorze.

– To ja dziękuję, pani komisarz, że uchroniła mnie przed problemem. Będę panią informował na bieżąco.

Znowu się rozłączyli. Raporty poszły w odstawkę. Laura zjadła kanapkę i pijąc kawę, zatelefonowała do starego znajomego, gliniarza z dawnych czasów, który zaopiekował się nią, kiedy zaczynała pracę w policji. Teraz był już dawno na emeryturze, bawił wnuki, przybierał na wadze, siedząc przed telewizorem albo z wędką nad wodą, bo oba te hobby raczej nie wpływały na poprawę kondycji i nie rzeźbiły sylwetki. To był jej guru, którego czasem prosiła o radę, nawet teraz, kiedy sama na tej robocie zjadła zęby.

Wymienili powitalne formułki, obiecali sobie, że się wreszcie spotkają na piwie, powspominają dawne czasy, i Wilczyca przeszła do sedna. Naświetliła sytuację z niedostępnością akt i zapytała:

– Co ty o tym sądzisz? Trochę dziwne.

Mężczyzna westchnął kilka razy i zakaszał niezdrowo, jak przystało na nałogowego palacza od półwiecza. Wreszcie powiedział swoim rozważnym, zachrypniętym głosem, brzmącym jak Rod Stewart w szczytowym momencie kariery:

– Laura, za komuny nie takie rzeczy widziałem.

– Nie telefonuję do ciebie, żeby powspominać. – Nie chciała teraz słuchać jego życiowych mądrości. – Mam na głowie seryjniaka, zabójcę policjanta, i nie mam czasu na wspominki.

– No właśnie słyszę – zachnął się. – Jak cię znam, to właśnie jesteś kłębkim nerwów i jedziesz na oparach. Wyluzuj, Wilczyca.

Laura odetchnęła głęboko. Żeby wszyscy faceci działali na nią tak uspokajająco. Niestety tacy zdarzali się tylko w wieku emerytalnym.

– Już jestem spokojna – rzuciła szybko.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że w dawnych czasach takie pomyłki mogły wynikać z burdelu w archiwum, a to był stan permanentny. Dopiero komputery wprowadziły jaki taki porządek. Jeśli dokumentów nie ma w bazie elektronicznej, a w papierze zniknęły, to komuś najwyraźniej na tym zależało.

– Taka jest twoja oficjalna opinia?

– Bezapelacyjnie tak – potwierdził wolno. – Co to za temat w ogóle?

– Maria Cybulska, zaginęła kilkanaście lat temu.

Emerytowany policjant zamilkł na dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się jeszcze wolniej, jakby czymś strapiiony.

– Fiu, fiu, to była duża sprawa.

– To zaginięcie?

– No nie słyszałaś? – zdziwił się. – Trąbili o tym w telewizji przez kilka lat, jakby, kurwa, nie było innych tematów. Komuś bardzo zależało, żeby sprawa nie ucichła.

– Zaraz, nie rozumiem. – Laura przełożyła aparat do lewej ręki, prawą przysunęła sobie notes i sięgnęła po długopis. – Komu niby na tym zależało?

– Rodzinie – wyjaśnił szybko. – Mieli kasę, chodzili od Annasza do Kajfasza i wszędzie siali ferment. Ale i tak gównowo wychodzili, bo dziewczyna się nie znalazła. Wiesz, jaką mam teorię?

– Mów, chętnie posłucham – zaciekawiła się Laura.

– W karierze policjanta zawsze trafia się jedna sprawa, której nie da się rozwiązać.

Wilczyca prychnęła i ze złością rzuciła długopis na biurko. Chwilowy dobry nastrój szlag trafił.

– Cholera, emerytowany filozof mi się znalazł. Do tego glina, który albo umie pisać, albo czytać – warknęła.

Odpowiedział jej ochryply rechot zadowolonego z siebie starszego kolegi.

– Zygmunt, na Boga – jęknęła. – Pomóż mi. Nie mam czasu się w tym grzebać, a obiecałam znajomemu, że pomogę. No i trafiłam na taki pasztet. Muszę mieć te akta.

– Oczywiście, że ci pomogę, nie złość się już. Wiesz, czasem tymi papierami zgromadzonymi przez policję to w kryzysowym momencie można sobie co najwyżej dupę podtrzeć. Ja mam lepszy kontakt.

Westchnęła z ulgą.

– Trzeba było tak od razu, a nie mnie wkurzać – rzuciła.

– Fiu, fiu, a nie pomyślałaś, że staremu psu niewygodnie w nowej budzie i chciałby chociaż z kimś spoza podwórka porozmawiać? – odpowiedział zaczepnie.

Wilczycy zrobiło się głupio. Zygmunt wprowadził ją do zawodu, dał szansę na rozwój w tym męskim świecie, traktował jak młodszą siostrę, a kiedy przeszedł na emeryturę, ona o nim zapomniała, mimo wcześniejszych obietnic częstych telefonów i spotkań przy kawie. Ta cholerna praca ją kiedyś zabije.

– Przepraszam – powiedziała pojednawczym tonem. – Jak tylko się ogarnę z bieżączką, wpadnę do ciebie i napijemy się siwuchy. Chyba jeszcze coś masz?

– No jak nie, jak tak? – Wyraźnie się ucieszył. – Produkuje regularnie i dochodzę do coraz większej wprawy. Jakbym miał smykałkę do interesów, tobym na wódce zarobił więcej niż Palikot. Mam miódówkę własnej produkcji i przepalanę, taką, że klękajcie narody od Białegostoku po Władystok.

– No dobra, ale jak możesz mi pomóc?

W słuchawce szczerknęła zapalniczka. Tak jak przypuszczała, stary policjant nie rzucił palenia. Wyobraziła sobie, że z lubością zaciąga się dymem. Pewnie właśnie tak było, bo odezwał się już innym tonem:

– Czasem zainteresowanie mediów przynosi pewne korzyści. Mam dobrego kolegę dziennikarza, który prawie doktoryzował się na sprawie Cybulskiej. Skontaktuję cię z nim.

– Ekstra, dziękuję!

– Ale czekaj! Facet jest... – Zygmunt się zawahał. – Jak by to powiedzieć? Ekscentryczny. Musisz się do niego dostosować, bo inaczej nic ci nie powie.

– Ja pierniczę! – jęknęła teatralnie. – Kolejny oryginał. Nie wiem, czy mam tyle czasu.

– Poczekaj! Z nim się załatwia sprawy ekspresowo, tylko muszę cię zapowiedzieć. Chcesz?

– Dawaj go! – rzuciła.

Laura pokręciła głową z rezygnacją. Dlaczego dla tego cholernego Lesieckiego marnuje swój cenny czas na coś, do czego on się, głupi, zobowiązał? Dlatego, że spędzili ze sobą taki sympatyczny wieczór? Na tyle sympatyczny, żeby żadne z nich, podekscytowane nowymi odczuciami, nie zaproponowało nawet seksu? Jasna cholera – jęknęła w duchu.

### 3

Gdzie, do cholery, podziała się Sonia?

Maciej Lesiecki wrócił od Laury nad ranem. Długo stał pod prysznicem, starając się pobudzić myślenie, z mizernym skutkiem. Po szóstej wyszedł do pobliskiej żabki na zakupy. Lodówka była pusta, Sonia miała pojechać na zakupy. Potem siedział przy kawie i jadł ciepłą bułkę z masłem i żółtym serem. Bez większego apetytu, z konieczności. Patrzył na wolno upływający czas na wyświetlaczu telefonu. Było już dwadzieścia siedem po szóstej. Zaplanował, że od szóstej piętnaście zajmie się zleceniem Igi Marek i na początek przejrzy otrzymane od niej materiały. Tylko że plan się od razu posypał, z jego winy. Nie miał na razie siły się tym zajmować. Pogodził się z myślą, że tego dnia nie będzie go obowiązywał żaden plan, i owo postanowienie nie wywołało u niego żadnego napadu złości czy paniki. Przeszedł nad nim do porządku dziennego. Czy właśnie skapitulował i znowu wpuścił do swojego życia Ariela?

Nie, uspokoił się zaraz, on był egoistą, nie liczył się z nikim i lubił używać życia, miał wielkie potrzeby i oczekiwania. Zaspokajał wyłącznie swoje żądze i zachcianki. Czerpał z życia pełnymi garściami. Kobiety, samochody, trawka, alkohol, imprezy. Żył tak, jakby nie miało być dnia następnego. No i Maciej musiał po nim spłacać długi.

Tymczasem on miał minimalne potrzeby, a poza tym starał się bardziej skupiać na potrzebach cudzych niż własnych. W przeciwieństwie do siebie z poprzedniego życia. Ciężko mu było się tego nauczyć, jednak lata walki z samym sobą przyniosły zamierzony efekt. Może nawet za duży? Czy dlatego tak trudno było mu rozstać się z Sonią? Bo nie chciał jej skrzywdzić? Pewnie tak. Pomyślał, że jest w stanie skontrolować, czy wraca do Ariela, czy wciąż jest Maciejem. Jeśli nagle przestanie się przejmować najbliższymi, zacznie pić, chodzić po barach i szukać dilerów, stanie się Arielem. Szczególnie kiedy zacznie w ten inny sposób myśleć o kobietach. Nie będzie chciał ich kochać i adorować, a zacznie się zastanawiać, jak je skrzywdzić. Pozna, że nie jest już Maćkiem, nie musi mieć planu.

Po siódmej uświadomił sobie w pełni swoją sytuację. Przyjął zlecenie na odszukanie zwłok zaginionej kuzynki Igi Marek i nawet się wtedy nie zastanowił, jak się do tego zabrać. Myślał tylko o kasie i o tym, żeby Sonia była zadowolona. Czy jego troska o innych nie przyjęła zbyt ekstremalnej formy? Przysłoniła zdrowy rozsądek. Nie był detektywem, nawet nie wiedział, jak zająć się takimi poszukiwaniami. Poprosił wczoraj Laure Wilk o dostęp do policyjnych akt tamtej



sprawy, lecz w nich na pewno nie znajdzie rozwiązania. Będzie musiał sam wykonać tytaniczną pracę operacyjną. Amatorowi nie będzie łatwo. Teraz żałował, że się tego podjął. Mógł być w tej jednej chwili bardziej asertywny, pomyśleć trochę o sobie, a nie o młodej dziewczynie, której poprzewracało się w głowie, bo miała starszego faceta.

– Jesteś głupi – powiedział zły na samego siebie.

Miał też inne problemy. Sonia gdzieś przepadła, do jego mieszkania miał dostęp podejrzany facet podający się za stolarza. Już chodził swobodnie po mieszkaniu, kiedy jego nie było, i zdemolował kuchnię. No i pieniądze. Ukradł mu sześć kawałków z koperty na stole. Nie znał jego nazwiska, numeru telefonu, nie wiedział, gdzie mieści się jego zakład. Po zainkasowaniu takiej kwoty facet przepadnie teraz jak kamień w wodę. Musi zmienić zamki w drzwiach. I to koniecznie jeszcze dzisiaj. Jezu, jaki on był głupi. Powinien myśleć analitycznie, inaczej nie poradzi sobie z tym nawałem problemów. Co na jego miejscu zrobiłaby Laura? Przeprowadziłaby oględziny.

Zerwał się i poszedł do pokoju Soni, potem przejrzał jej ubrania, buty i kurtki na wieszaku. Brakowało tylko jej torebki, apaszki – choć tego akurat nie był na sto procent pewien – adidasów i krótkiej dżinsowej kurtki. Jakby po prostu się ubrała i wyszła na chwilę. Tylko dlaczego nie wróciła? To było bardzo niepokojące. Zapasowe klucze znalazł na miejscu w biurku, w szufladzie z różnymi szpargałami. Więc stolarz miał klucz z kompletu Soni. To było jeszcze dziwniejsze. I bardzo niepokojące. Muszę jej szukać – postanowił. Na razie jednak powstrzymywała go wczesna pora. Musi zacisnąć mocno szczęki, trzymać nerwy na wodzy i zatelefonować do matki Soni. Potem jeszcze raz do koleżanek. Jeśli dziewczyna nie zjawi się do południa, zadzwoni do Laury i zapyta, co ma robić. Na razie musi skupić się na czymś innym, bo zwariuje ze strachu.

To był dobry plan. Choć właściwie czy można to nazwać planem, skoro nie został szczegółowo ułożony i zapisany? Nie, tak nie może myśleć, to droga donikąd, musi się skupić na pracy, wtedy będzie mógł zachować kontrolę i nie zwariować.

Zaparzył jeszcze jedną kawę, usiadł przy biurku i otworzył teczkę z dokumentami. Nie znalazł w niej nic niezwykłego. Trudno to było nawet nazwać dokumentami. Wycinki z gazet ułożone mniej więcej chronologicznie. Najpierw teksty były krótkie, tylko informacyjne, z czasem zaczęło się w nich pojawiać coraz więcej szczegółów, konkretne nazwiska, daty. Pierwszy artykuł ukazał się dwudziestego trzeciego maja dwa tysiące siódmego roku. Piętnaście lat temu.

Pospiesznie przeglądał kolejne artykuły. Pierwszy był komunikat policji o zaginięciu, wraz ze zdjęciem i prośbą o kontakt skierowaną do osób, które widziały dziewczynę. Z pożółkłego skrawka gazety, z marnej jakości zdjęcia patrzyła na niego nastolatka. Na pewno miała powodzenie u rówieśników płci przeciwnej. Niestety, pewnie spodobała się też jakimś zwyrodnialcom, którzy postanowili na niej zarobić. No i coś poszło nie tak.

Teksty ukazujące się w kolejnych dwóch tygodniach były w większości identyczne w treści. Z nich Maciej dowiedział się więcej. Ryszard Cybulski był zna-

nym w Świdnicy i okolicach biznesmenem. Bardzo często organizował imprezy dla miejscowej elity. Po jednej z takich imprez okazało się, że zginęła jego córka. Jako że miał znajomości w policji, poszukiwania zaczęły się niezwłocznie. Jednak mimo wysiłków wszystkich służb mundurowych dziewczyna nie została znaleziona. Niepotwierdzone informacje mówiły o znalezieniu śladów krwi na parapacie jej okna na piętrze willi Cybulskich. Podobno okno było uchylone, jednak trudno byłoby się tam wspiąć niepostrzeżenie. Pojawiły się niepotwierdzone hipotezy, że dziewczyna mimo późnej pory skorzystała z okazji i wymknęła się z domu. Nie wiadomo, dokąd miałyby pójść i z kim się spotkać. Przesłuchani zostali jej znajomi i przyjaciele ze szkoły, a także sąsiedzi, jednak nikt jej nie widział.

Kolejna wzmianka prasowa pojawia się dopiero na początku lipca, po miesiącu, kiedy media pewnie już zapomniały o sprawie. Jeden z lokalnych reporterów ogłosił, że jego źródło w policji donosi, że Maria Cybulska żyje. Porywacze skontaktowali się z rodziną i zażądali okupu. Wiadomość brzmiała sensacyjnie, biorąc pod uwagę czas, jaki minął od porwania. Ponad miesiąc. Żaden z porywaczy nie czeka tak długo z żądaniem okupu. Chyba że zażądał okupu za Marię od razu, tylko policji i rodzinie udało się ten fakt zachować w tajemnicy. Maciej doskonale to rozumiał. Nie negocjuje się życia własnego dziecka pod okiem kamer i wścibskich dziennikarzy, tak samo jak nie prowadzi się transmisji z przekazania okupu. Takie tematy potrzebują ciszy i dyskrecji. Przecież wystarczy jeden nieostrożny ruch, żeby przestraszyć porywaczy, a oni mogą wtedy zachować się nieracjonalnie. Zabić porwaną i ulotnić się nie wiadomo gdzie.

Pierwsze przekazanie okupu się nie powiodło. Coś poszło nie tak i porywacze nie podjęli gotówki z umówionego miejsca. Zresztą o takiej sytuacji wspominała Iga Marek – miało być kilka prób przekazania okupu, jednak nikt się po niego nie zjawił i dziewczyna nigdy się nie znalazła. Dlatego jej kuzynka była przekonana, że Marysia nie żyje, i wynajęła go, żeby odszukał miejsce ukrycia ciała. No tak, ale jak to zrobić, nie rozwiązując zagadki porwania? Niemożliwe.

Lesiecki właśnie to sobie uświadomił i znowu był na siebie zły. Nie pomyślał o tym wcześniej?, wyrzucał sobie. Tak ślinałeś się do tej Marek, że nie ogarnąłeś konsekwencji, jakie niesie za sobą jej propozycja? Zaślepiła cię żądza pieniądza i myślałeś tylko o pieprzonych meblach w kuchni i uśmiechu na twarzy tej siksy, z którą mieszkasz?

Cisnął papierami, wstał i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie porządne śniadanie, a nie tylko jakąś cholerną bułkę z masłem i podłym żółtym serem z żabki.

Przeglądał szafki w kuchni, trzaskając drzwiczkami. Nie było wiele do jedzenia, ale znalazł wszystko potrzebne do zrobienia pesto. Wstawił wodę na makaron i zaczął przygotowywać do niego sos. Trochę liści bazylii zerwanych z roślinki na parapiecie, starty twarde ser, prażone płatki migdałów, oliwa z oliwek, ząbek czosnku, rodzynki, kilka orzechów włoskich, zioła do smaku. Zanim wszystko dokładnie utarł w moździerzu, makaron był gotowy. Dokładnie wymieszał go z pesto, poczekał, aż odpowiednio przejdzie aromatem, sam w tym czasie wycią-

gnął wino z barku i odkorkował. Co z tego, że musi dzisiaj jeździć autem. Po jednym kieliszku nic mu nie będzie.

Zjadł ze smakiem, zapijając winem. Po jedzeniu naszła go znów ochota na kawę. Kofeina na pewno pomoże w myśleniu, zapaliłby jeszcze jointa, niestety nie miał. Spojrzał na zdemontowaną kuchenną szafkę. Ten sukinsyn, który mu ukradł pieniądze, będzie miał szczęście, jak skończy się na zbieraniu zębów z podłogi. Gdy tylko go dorwie, rzecz jasna.

Tknięty skojarzeniem znowu przypomniał sobie o Soni i strach powrócił. Cholera, co się z nią dzieje? Kolejny raz obdzwonił jej przyjaciółki. Tym razem one także były szczerze zaniepokojone jej zniknięciem. Na pewno nic o tym nie wiedziały i obiecały pomoc. Zadzwonią po innych znajomych i puszczą informacje w stylu: ktokolwiek widział, ktokolwiek wie. Też były zdziwione, że nie zabrała ze sobą żadnych rzeczy, to było do niej niepodobne. Po ostatnim telefonie Maciej przystanął na środku pokoju. Na pewno nie zabrała więcej ubrań? Jeszcze raz przejrzał wszystkie szafy i szuflady, sprawdził torby. Chyba niczego nie brakowało. Musi zgłosić zaginięcie na policji. Tylko ile czasu musi minąć, żeby przyjęli zgłoszenie? Nie pamiętał, czy doba, czy dwie. Cholera, w tym czasie ktoś może ją już wielokrotnie zgwałcić, brutalnie okaleczyć i zakopać gdzieś w lesie. Przecież wiedział, że to było możliwe. Ciało mógł nie znaleźć nikt przez wiele lat albo wcale. Przez skórę przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Nie, to bzdura! Zaginięcie można zgłosić na policji w każdej chwili, nie ma ram czasowych. Im szybciej, tym lepiej. W społeczeństwie ciągle funkcjonuje błędne przekonanie o wymagowanym terminie na zgłoszenie zaginięcia. To bzdura! Inną sprawą było nastawienie policji. Pewnie i tak podejmą czynności dopiero, kiedy minie wiele godzin.

Długo się wahał, wreszcie wybrał numer do matki Soni. Odebrała od razu i chyba wiedziona matczynym instynktem od razu wyczuła, że coś jest nie w porządku.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona.

Nie, to nie instynkt, tylko racjonalne myślenie. Wiedziała, że on nigdy by do niej nie zatelefonował sam z siebie. Musiało stać się coś niepokojącego, co zmusiło go do wybrania jej numeru.

– Cześć. – Głos mu trochę zadrżał. – Czy jest u ciebie Sonia?

– Nie, nie ma – odpowiedziała pewnie.

Nie za pewnie? Jasna cholera, co on teraz ma jej powiedzieć?

– A co się stało? – dodała i zaniepokojenie się pogłębiło.

– Wyszła gdzieś wczoraj i nie wróciła, nie miałaś z nią kontaktu?

W słuchawce na moment zapanowała cisza, a potem nastąpił nieoczekiwany wybuch:

– Co ty jej zrobiłeś?!

– Nic... – bąknął, nieprzygotowany na atak.

– Zawsze jej powtarzałam, że jesteś popierdolony, tylko ona nie chciała mnie słuchać! Co jej zrobiłeś, że od ciebie uciekła?

– Nie uciekła! Gdzieś wyszła! – Lesiecki też podniósł głos.

– Ale jej nie ma! Dzwoniłam do niej, ma wyłączony telefon i teraz wiem dlaczego! Co ty, kurwa, jej zrobiłeś?

– Nic, do cholery! Sam jestem zaniepokojony!

Matka Soni po drugiej stronie linii nagle zamilkła. Słyszał tylko jej sapanie w słuchawce. Zastanowiła się i zaczęła innym tonem:

– Zgłosiłeś zaginięcie?

– Gdzie? – odrzekł niezbyt przytomnie.

– Na policję!

– Nie.

– To ja to zrobię.

– Ale...

– A ty trzymaj się od niej z daleka! Od nas! Ona była dobrym dzieckiem, dopóki jej nie zbałamuciłeś!

Połączenie zostało przerwane.

Maciej długo patrzył na wygasły ekran aparatu, z trudem hamując złość. Pewnie nagada na niego na policji i to on będzie pierwszym przesłuchiwanym na okoliczność zniknięcia Soni. Prawdopodobnie nawet pierwszym podejrzanym, jeśli dziewczyna się nie znajdzie. Z drugiej strony to dobrze, że to nie on złoży zawiadomienie.

Jego złość narastała. Szkoda było jego czasu. Pewnie dziewczyna zaszła się u jakichś znajomych. Może chce mu dać szczeniacką nauczkę, nie wracając do domu i nie włączając telefonu. Co go to, do cholery, obchodzi? Ma ważniejsze sprawy na głowie. Musi znaleźć zwłoki Marysi Cybulskiej. Kasa, którą ma mu zapłacić Marek, była bardzo kusząca. Za taką sumkę można było poużywać życia. Pieprzyć meble! Nie ma się co przejmować tą głupią Sonią. Trzeba zająć się ważniejszymi rzeczami.

Nalał jeszcze jeden kieliszek wina i delektując się jego smakiem, jakby co najmniej sto lat leżakowało w ciemnej piwnicy, zasiadł ponownie do papierów. Dopiero ostatni artykuł, wydrukowany ze strony internetowej jakiegoś niezależnego portalu informacyjnego w Wielkiej Brytanii, ukazywał zaginięcie Marii Cybulskiej w zupełnie innym świetle.

Maciej przeczytał go dwa razy, potem długo siedział z głową opartą na złączonych dłoniach. Uświadamiał sobie, na co się zgodził i jak trudne zadanie go czekało. Znowu wróciły niepokój i niepewność.

## 4

Facet był naprawdę ekscentryczny. Laura określiłaby go bardziej dosadnie, używając niecenzuralnego słowa na „p”, o niebo lepiej charakteryzującego takie przypadki.

– Tak, słucham? – Głos miał właściwie miły, tylko mówił cicho, jakby podejrzewał, że ktoś podsłuchuje.

– Komisarz Laura Wilk z tej strony – powiedziała trochę głośniej, niż to miała w zwyczaju. Może facet ma niedosłuch?

– A! Zyga uprzedził mnie, że będzie się pani ze mną kontaktować. – Głos nie zmienił się ani na jotę. – W czym mogę pomóc?

– Pan prowadził kiedyś prywatne śledztwo w sprawie okoliczności porwania Marii Cybulskiej? – zapytała.

W słuchawce zapadła nagle cisza. Jakby rozmówca bez ostrzeżenia przerwał połączenie.

– Halo?! – zawołała niepewnie.

Wciąż tam był. I nagle wybuchnął:

– Czy pani zwariowała?! To nie jest na telefon! Wie pani, jakie oni teraz mają możliwości podsłuchów? Cholera jasna, policjantka, a taka nierozgarnięta.

– Słucham? – Laura wytrzeszczyła oczy.

– Za dwadzieścia minut przed pomnikiem Chrobrego na Świdnickiej. Proszę telefon zostawić w biurze – rzucił szybko i się rozłączył.

Wilczyca wpatrywała się w wygasły aparat z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy. Nie bójmy się słów, pomyślała. On nie jest ekscentryczny, on jest porządnie powalony. Mimo to była na tyle zaintrygowana, że zostawiła telefon w szufladzie biurka i ruszyła do umówionego miejsca. Nie było daleko. On też musiał mieć blisko, skoro je wybrał. Tylko jak mają się rozpoznać? Ciekawe.

Dotarła na miejsce pięć minut przed czasem. Tu było tłoczno o każdej porze dnia. Ludzie ciągnęli w kierunku rynku i od rynku, po szynach zgrzytały tramwaje, na Podwalu przed światłami robił się długi korek za każdym razem, gdy zapalało się czerwone. Okazały pomnik Bolesława Chrobrego na koniu stał w miejscu, gdzie przed drugą wojną znajdował się inny pomnik. Tylko upamiętnieni bohaterowie się zmienili.

Laura zapatrzyła się na monument i nagle ktoś ją potrącił. Już chciała powiedzieć nieuważnemu przechodniowi kilka słów, kiedy poczuła w dłoni zwinięty karteluszek. A więc konspiracja jak w podziemiu. Obojętnie popatrzyła za odcho-

dzącym wysokim, szczupłym, siwym mężczyzną, potem przeszła na drugą stronę pomnika i nie lekceważąc zasad konspiracyjnych, przeczytała napis na kartce. „Idź za mną”. Ruszyła, zaintrygowana.

Mężczyzna przeszedł parkiem Staromiejskim w kierunku Kołłątaja, tam skręcił w Piotra Skargi, wrócił ulicą Teatralną, pokonał plac zabaw, aż wreszcie usiadł na jednej z ławek z widokiem na fosę. Laura po chwili przysiadła obok niego. Dobrze, że przynajmniej deszcz już nie padał.

– Po co ta szopka? – zapytała zaczepnie.

– Dla bezpieczeństwa. – Wzruszył ramionami.

Miał pomarszczoną twarz, mętne oczy, był szczupły, wręcz chudy, mógł być po siedemdziesiątce, ale nie zdziwiłaby się, gdyby miał tylko sześćdziesiąt lat. Trudno było określić.

– Nie masz telefonu? – upewnił się.

Ostentacyjnie włożyła dłonie do kieszeni kurtki i wyjęła je puste.

– To dobrze. – Wyciągnął do niej dłoń i przedstawił się. – Adam Stefański.

– Laura Wilk.

Miał zimną dłoń trupa i piekielnie mocny uścisk. Laura była do takich przyzwyczajona, więc nie zrobił na niej wielkiego wrażenia.

Stefański spojrzał na nią z uznaniem.

– Twarda jesteś.

– Twardsza, niż myślisz. Jeszcze raz zapytam: po co ta konspiracja?

– A ja jeszcze raz odpowiem: dla bezpieczeństwa twojego, a przede wszystkim mojego. Bardziej zależy mi na sobie niż na tobie, szczerze mówiąc.

Laura zaczęła się zastanawiać, czy dobrym pomysłem było umówienie się z tym paranoikiem. Skoro jednak już tu jest, spróbuje się czegoś dowiedzieć. Nie zdążyła jednak się odezwać, uprzedzona przez Stefańskiego, który zapytał:

– Wiesz, kim obecnie jest Ryszard Cybulski, ojciec porwanej dziewczyny?

– Nie bardzo. – Pokręciła głową.

– Urzędnikiem państwowym w randze wiceministra w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jednym z twoich bezpośrednich przełożonych. Nominat obecnej władzy, postać z drugiego planu, nigdy niepokazywany w mediach, z dziwną przeszłością, o której nagle wszyscy zapomnieli. Już wiesz, dlaczego wolę się z tobą spotkać w takim miejscu? I bez telefonów?

Laura odruchowo się rozejrzała. Miejsce może byłoby urokliwe, gdyby nie ciągly hałas dolatujący z ulicy po drugiej stronie fosy. No i jeszcze przydałoby się trochę słońca zamiast chmur zapowiadających niepewność w pogodzie.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz – powiedziała z namysłem. – Uważasz, że Cybulski chce coś ukryć?

– Brawo! Rzadko zdarza się funkcjonariusz policji tak szybko myślący i wyciągający wnioski – zakpił Stefański. Najwidoczniej nie był najlepszego zdania o służbach mundurowych.

– Dzięki.

– Szukasz akt ze sprawy porwania Marysi? Pewnie już dawno trafiły do niszczarki. Wiesz, odkąd zacząłem zajmować się tym tematem ponad dekadę temu,

natknąłem się na szereg dziwnych zbiegów okoliczności. Akta to tylko wierzchołek góry lodowej, która samotnie dryfuje po morzach i oceanach. Nigdy ich nie widziałem, nikt, z kim rozmawiałem, ich nie widział. A wierz mi, dotarłem do wszystkich, którzy od początku prowadzili śledztwo. – Mężczyzna zamilkł na chwilę i dyskretnie się rozejrzał, jakby weszło mu to w nawyk. – W ostatnich latach nagminnie zdarzało się zastraszanie świadków, którzy dostawali nagle totalnej amnezji i nie wynikała ona bynajmniej ze zgubnych skutków alkoholu pochłanianego w nadmiarze. Ludzie wycofywali się z wcześniejszych zeznań, przestawali odbierać telefony, nie wpuszczali mnie do mieszkań. Z portali internetowych zaczęły znikać teksty poświęcone porwaniu, coraz częściej otrzymywałem głuche telefony, ktoś za mną laził. Przebili mi opony w aucie, wreszcie odbyłem dziwną rozmowę z pewnym panem w szarym garniturze. Poradził mi, żebym przestał się zajmować Cybulskim. Stary już jestem, zdrowie nie to, mogę niespodziewanie dostać ataku serca albo wylewu. Różne rzeczy chodzą po ludziach. I po co mi to? Jestem emerytem, mam się w spokoju cieszyć ostatnimi dniami.

Laura milczała, pocierając palcami policzków.

– Dlaczego ojcu nie zależy, żeby dowiedzieć się, co się stało z jego dzieckiem?

– Ty mi to wyjaśnij, pani komisarz. – Stefański wzruszył ramionami i zaraz sam sobie odpowiedział: – Może to porwanie ma drugie dno? Kiedy ktoś zacznie w tym grzebać, dogrzebie się do jakichś brudów wiceministra Cybulskiego. Może ryzyko jest dla niego zbyt duże? Wszak to szanowany obywatel, milioner, sponsor wydarzeń kulturalnych, domów dziecka i szpitali. Pierwszy w katedrze na niedzielnej mszy, przyjaciel biskupów, miejscowych polityków i celebrytów. Człowiek bez skazy. Myślę, że jest w stanie dużo zrobić, żeby zachować taki wizerunek. Nie cofnie się przed użyciem aparatu państwa, a jeśli to nie pomoże, zadzwoni do kumpli, z którymi robił lewe interesy na początku lat dziewięćdziesiątych. Mój telefon był podsłuchiwany, co potwierdzili specjaliści. Może miałem też zainstalowanego pegasusa, lecz nie stać mnie na analizy za granicą, więc mogę się tylko domyślać. Spuściłem więc telefon razem z tym drogim oprogramowaniem w kiblu. No i zawsze oglądam się za siebie.

– Rozumiem. To dlaczego dzisiaj spotkałeś się ze mną?

– Mam zaufanie do Zygmunta.

– Pieprzysz! Zygę mógł ktoś wystawić. Może chcieli cię sprawdzić. Co wiesz i czy jeszcze wężysz wokół porwania.

Adam Stefański długo jej się przyglądał spod przymrużonych powiek. Wreszcie uśmiechnął się nadspodziewanie ciepło.

– Dobrze ci z oczu patrzy, dziewczyno – powiedział. – Tobie zaufam i powiem, co wiem. Po co się tym zajmujesz?

Wilczyca nie odpowiedziała od razu. Namysłała się. Co będzie, jeśli Stefański dowie się, że te informacje nie są przeznaczone dla niej. Trudno, co ma być, to będzie.

– To nie dla mnie. – Spojrzała w jego starcze oczy. – Obiecałam pomóc przyjacielowi. To prywatni, ma zlecenie na znalezienie ciała Marii Cybulskiej. Nie

przypuszczałam, że drobna przysługa zaprowadzi mnie na tę ławkę i do siedzącego na niej starego zgređa.

Zaśmiał się, co przypominało tarcie metalu o metal.

– Cenię sobie szczeróć – odpowiedział i zastanowił się. – Prywaciarz, mówisz? Może to i lepiej? Tylko że pakuje się w gówno. Musisz go ostrzec.

– Zrobię to, ale muszę wiedzieć coś więcej – zachnęła się policjantka. – Siedzimy tu od kwadransa, a ty gadasz kalamburami.

– Chcesz wiedzieć? Dobrze. To posłuchaj.

Podrapał się jeszcze za uchem, rozparł wygodnie na twardej i mokrej od porannego deszczu ławce, założył nogę na nogę i zaczął opowiadać:

– Wiesz, kim był Ryszard Cybulski na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy kraj nagle zaczął nam się zmieniać ze szczęśliwego socjalizmu na biedny kapitalizm? Wuefistą w podstawówce. Zarabiał grosze, ale do niczego innego się nie nadawał. Przez lata był miernym piłkarzem Polonii Świdnica, podrzędnego lokalnego klubu. Ech, nie ma co wspominać. Tylko że w latach osiemdziesiątych nawet takim miernym grajkom w takich lichych klubach płacili, żeby mieli z czego żyć. No i mieli. Stać ich było nawet na nocne kluby, wódkę i dziwki. To tam Cybulski spotkał kilku ludzi od lewych interesów, zaprzyjaźnił się z nimi i kiedy jego kariera przedwcześnie dobiegła końca przez kontuzję, nie dali mu zginąć. Został nauczycielem, ale wieczorami zabierali go na akcje. W tamtych czasach to był taki przestępczy Dzik Zachód. Niedaleko od Świdnicy przebiegała jedyna autostrada w kraju A4, chociaż trudno to było nawet nazwać autostradą.

– Co to za akcje? – rzuciła, żeby się nie rozpraszał, tylko skupił na opowieści.

– Chłopaki okradali tiry – ciągnął Stefański. – Mieli na granicy informatora, wiedzieli, co jest na pace, i kradli w zależności od zapotrzebowania i zamówień. Buty, ciuchy, proszki, zabawki, szwarc, mydło i powidło. Wtedy w całym kraju zamiast supermarketów były bazy, więc taki towar można było upłynnić bezproblemowo, a i jak na tamte czasy kasa z tego była niezła. W pewnym momencie nasz wuefista wykazał się talentem organizacyjnym. Został szefem bandy, potem awansował w strukturach i zaczął zajmować się poważniejszymi tematami. Papierosy, później narkotyki, aż wreszcie uznał, że to zbyt niebezpieczne, więc kasę zainwestował w legalny biznes. W okamgnieniu miał kilka hurtowni materiałów budowlanych w okolicach Świdnicy, mówiło się po cichu, że jest współnikiem kilku restauracji, że do niego należy jedyny burdel w okolicy. Night club lub salon odnowy biologicznej, jak wtedy się na taki biznes mówiło. – Mężczyzna znowu zaśmiał się zgrzytliwie. – Cybulski rósł w siłę i utrzymywał ze wszystkimi dobre relacje. Na początku nowego tysiąclecia wszedł w politykę, został radnym i praktycznie to on rozdawał karty w regionie. Tak było przez kilka lat. Co miesiąc organizował przyjęcie dla przyjaciół w swojej rezydencji. Bywali tam przedstawiciele Kościoła, sędziowie, prawnicy, policjanci i dawni koledzy z autostrady. Oczywiście ci, którzy w porę zeszli z drogi przestępstwa, nie dali się złapać, kiedy policja rozbijała gang, i nie poszli do pierdła. Nadal kręcili lewe interesy, lecz nikt na to nie zwracał uwagi. Z jego nielegalnych interesów wszyscy czerpali korzyści, na tych grillach zawierano umowy na grube miliony. Oczywiście na



gębę. Na Cybulskiego nic nie było, więc pozostawał bezkarny. Zresztą kto miał mu zaszkodzić? Koledzy od kieliszka? Zasponsorował remont katedry, kupił policji radiowóz, przekazał materiały do remontu komisariatów. Takie były czasy. Możliwości mało, a potrzeby były ogromne.

Laura słuchała go z coraz większym zainteresowaniem. Cholera, żeby jej szef wiedział, że zamiast ścigać Poltergeista, szukać zabójcy Piecha, ona słucha bajek z mchu i paproci, wpadłby w szal. Co ten Lesiecki sobie myślał, kiedy przyjmował zlecenie? Pewnie jak zwykle zbajerowała go jakaś fajna kobitka i miał kłopot z logicznym myśleniem. Przecież on się do tego nie nadaje. Jasna cholera!

– I co dalej? – ponagliła, kiedy cisza się przedłużała. – Kiedy się posypało?

– Pani domyślna. – Stary uśmiechnął się, jakby złośliwie. – W trakcie jednej z imprez u Cybulskiego zniknęła jego szesnastoletnia córka, Maria. Tak przynajmniej oficjalnie ustaliła policja. Wiesz, gliniarze napruci jak meserszmity około czwartej rano rozjechali się do domów, a o ósmej Cybulski znowu ściągnął ich do siebie, zgłaszając zaginięcie córki. No i przyjechało towarzystwo skacowane i nie w pełni trzeźwe. Spierdolili wszystko, co tylko mogli. Zdeptali ślady, źle zebrali odciski palców, świadków przesłuchali po łebkach, za późno ogłosili alert, zapomnieli wprowadzić Marię do bazy danych zaginionych. Zrobili to dopiero po trzech dniach. Rozmawiałem z technikami, którzy byli wtedy na miejscu zdarzenia. Mówili, że pokój Marii, z którego prawdopodobnie została porwana, podczas gdy towarzystwo chlało wódkę przy grillu na dole w ogrodzie, wyglądał, jakby przeszło przez niego tsunami. Cybulski przyznał się, że przetrząsnął pomieszczenie, szukając śladów, bo myślał, że córka uciekła z domu z chłopakiem. Zanim zaczęli prace, w pokoju byli wszyscy, łącznie z biskupem i właścicielem miejscowego zakładu pogrzebowego. Dlatego nie znaleziono absolutnie niczego. Żadnego punktu zaczepienia.

– I sielanka się skończyła – podsumowała Wilczyca.

– Dokładnie. Wszystko zaczęło się sypać. Cybulski naciskał na policję, żeby znalazła jego córkę, wypuścił swoje bulteriery w półświatku, żeby powęszyli, komu mogło zależeć na udupieniu go. Cybulski zaczął grozić policjantom konsekwencjami. Oni się przestraszyli i wyciągnęli kwity na niego. Cała układanka się posypała. Wszystkie strony miały na siebie haki, które prowadziły do prokuratora i aktu oskarżenia, i zapanowała krucha równowaga. – Stefański spojrział na Laurę ze smutkiem. – Już wiesz, dlaczego nikt nie znalazł Marysi. Bo nikt jej nie szukał, dotychczasowi koledzy zwalali na siebie winę i walczyli między sobą. Kiedy po miesiącu przyszło pierwsze żądanie okupu, policji spadł kamień z serca. Mogli zatuszować swoje dotychczasowe błędy, skupiając się na porywaczach. Tylko że do przekazania okupu nie doszło, a sprawców nie udało się namierzyć. Tak było jeszcze kilka razy przez najbliższe parę miesięcy. Nikt nie podjął okupu, aż wreszcie sprawa sama przyschła.

– Uważasz, że nie było porwania, prawda?

Stefański spojrział na nią z wyraźnym zaintrygowaniem.

– Czytałeś o tym porwaniu i teraz chcesz błysnąć? – zakpił.

– Nic nie czytałam. – Laura pokręciła głową. – Z twojego opowiadania wnioskuje, że to nie była banalna sprawa.

– To może się domyślasz, jak było naprawdę? – kpił dalej.

Wilczyca nie zwróciła uwagi na jego ton.

– Według twoich słów na imprezach u Cybulskiego bywali różni ludzie. Gangsterzy też. Może któryś się najebał, poszedł do pokoju Marysi, zgwałcił ją, potem przestraszył się konsekwencji, zamordował ją i ukrył ciało. Później dla odwrócenia uwagi udawał porwanie, dlatego nie podjął okupu.

– Brawo! Prosty wniosek do wyciągnięcia, prawda? Wyobraź sobie, że ani policja, ani prokuratura nie rozpatrywały nigdy takiej hipotezy. Rozmawiałem ze znajomym prokuratorem, potwierdził. A są jeszcze inne teorie, na które prokuratura nie wpadła, więc występują w charakterze dziennikarskich sensacji. Maria mogła szybko się spakować i uciec z domu. Stąd bałagan w jej pokoju. Tego też nie sprawdzili. Najprostsza sprawa, ale albo mieli tyle w gaciach i na sumieniu, albo specjalnie nic nie robili. Przeciw Cybulskiemu, nie wiem. Wspominałem, że trzymali się w klinczu. Tak to jest. Lokalne układy towarzyskie, biznesowe i polityczne są dobre na krótką metę. Kiedy zaczynają się konflikty, rosną jak niechciany garb na plecach, którego nie da się łatwo zrzucić.

– Ale chyba ojcu zależało, żeby odnaleźć córkę.

Stefański znowu spojrzał na nią dziwnie i tylko wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział.

– To nie koniec, prawda? – Policjantka stuknęła go lekko w ramię, jakby chciała zbudzić starego z letargu. – Było coś jeszcze.

Stefański najpierw obrzucił ją długim spojrzeniem. Tym razem nie kpiącym, lecz z wyraźnym błyskiem zainteresowania.

– Gratuluję, pani komisarz. – W jego głosie ciągle czaiła się kpina. Ale może to była tylko taka jego maniera? – Zaczynam odzyskiwać wiarę w naszą policję. Szkoda, że nie było cię w tamtych czasach w Świdnicy. Tak, było coś jeszcze. Cybulski wyciągnął z autostradowej bandy paru zmyślnych chłopaków. Jednym z nich był kolega piłkarz, Krzysztof Darski. Wierny Cybulskiemu jak pies, nie odstępował go na krok. Najpierw odwałął brudną robotę za swojego żywiciela i dobroczyńcę, wreszcie został kimś na kształt współnika. Pilnował tych interesów, na które przyszedł minister nie miał już czasu. I szło mu całkiem nieźle. Cybulski nawet się nie obejrzał, kiedy przy jego boku Darski wyrósł na konkurenta. Wybił się na niepodległość, ale Cybulski ciągle miał udział w jego interesach i inkasował kolejne miliony, a Krzysztofowi przestało to odpowiadać. Darski miał ochroniarza, byłego boksera, którego nowy szef wyciągnął z samego dna, więc był wierny i lojalny. Następnego dnia po feralnej imprezie u Cybulskiego został znaleziony w lesie z przestrzeloną głową. Kula przebiła jedną skroń i wyszła drugą. Zmasakrowany cały płąt czołowy mózgu, śmierć na miejscu. Ale nie zamordowano go w miejscu, gdzie ostatecznie znalezione zostało ciało. Ktoś go tam przewiózł autem i wyrzucił w krzaki przy leśnej drodze. Jeśli jesteś taka bystra, to pewnie domyślasz się, co było dalej.

Laura w zamyśleniu śledziła ciężkie, deszczowe obłoki płynące po niebie, potem przeniosła wzrok na kaczki z młodymi, dumnie pływające w fosie miejskiej.

– Nikt tego nie powiązał z Cybulską, a policja nie ujęła sprawcy – powiedziała cicho. – Może to ten ochroniarz stał za zniknięciem Marysi, może to on ją zgwałcił, może zabił, więc poniósł zasłużoną karę.

– Bingo! Ale to tylko część domysłów, które można snuć na podstawie tego zdarzenia – podsumował Stefański.

– Tylko po co ten ślad z porwaniem? Ktoś próbował wykorzystać okazję i wyłudzić od Cybulskiego kasę? Przecież on nie był głupi. Pewnie zdawał sobie sprawę, że córka nie żyje. Wiedział o śmierci ochroniarza, potrafił dodać dwa do dwóch. I co, nie kopnął w dupę znajomych prokuratorów i policjantów, którzy siedzieli w jego kieszeni?

– Ty mi powiedz, dlaczego tego nie zrobił. – Stary dziennikarz ponownie wzruszył ramionami. – Ja już więcej nie wiem. W tej sprawie jest jakieś drugie dno. Zastanów się nad tym.

– Dlaczego Cybulski nie poruszy nieba i ziemi, żeby znaleźć córkę? – zapytała Laura, ale raczej tylko głośno myślała, niż zwracała się do Stefańskiego.

On jednak słuchał jej z wyraźnym zainteresowaniem.

– Przecież teraz jest wiceministrem spraw wewnętrznych, ma wielkie możliwości, w policji sprawnie działa Archiwum X, można by wznowić tamto śledztwo.

Spojrzenie starego dziennikarza trochę ją otrzeźwiło.

– Jeśli zniknęły akta i tuszuje sprawę, to on już wie, co się stało z córką – kontynuowała rozważania Laura. – Może nawet znalazł jej ciało. A teraz się boi, żeby na światło dzienne nie wypłynęła jego przestępcza przeszłość. Ma dużo do stracenia. Koledzy z partii by go nie obronili. Nawet by nie próbowali. Kim jest teraz ten Krzysztof Darski?

– Tak jak Cybulski. Biznesmenem, milionerem, honorowym obywatelem Świdnicy. Uprzedzając twoje dalsze pytania, jest w konflikcie z dawnym szefem, ale nie wchodzi sobie w drogę.

– Rozumiem.

Stefański znowu długo jej się przyglądał.

– Zaciekała cię moja historia?

– Tak.

– Na pewno nie chcesz się tym sama zająć?

– Nie, tylko pomagam koledze.

– To mu powiedz, że jeśli mu życie miłe, niech to zostawi. Nie warto, już za późno. Za wiele można stracić, zyskując do niczego nieprzydatną wiedzę.

Teraz Wilczyca zmierzyła go wzrokiem.

– Nieznani sprawcy spalili mi domek na wsi, grozili wnuczce – mówił wolno. – Miałem to zostawić, wszystkie dokumenty zniszczyć. I tak zrobiłem. Palicho moje życie, ale nie mogłem narażać rodziny. Od dawna o tym wszystkim nie rozmawiałem, to stąd ta konspiracja i brak telefonów. Boję się, że oni mnie ciągle

obserwują. Może już nie tak intensywnie jak dawniej, ale cały czas sprawdzają, czy trzymam się z daleka. Wiem o tym. A teraz wybacz, muszę iść. Chętnie bym zobaczył upadek Cybulskiego, ciekawi mnie, co tak naprawdę stało się z Marią, ale chyba już nie warto.

Wstał i odszedł bez słowa pożegnania.

Policjantka dobrze odczytała ten znak. Widzieli się raz i więcej już nie powinni się spotykać. Klęła chwilę pod nosem na samą siebie, że dała się ponieść emocjom, a jeszcze bardziej na Macieja za głupie decyzje. Wstała i ruszyła w kierunku komendy.

Kiedy zasiadła w swoim fotelu, wyciągnęła telefon z szafki przy biurku. Cztery nieodebrane połączenia, wszystkie od kolegów z firmy. Nieważne, później oddzwoni. Wybrała numer Lesieckiego. Nie odebrał. Za drugim i trzecim razem tak samo. Wysłała esemesa: „Zadzwoń do mnie koniecznie! Natychmiast!”. Spojrzała w okno i nagle uświadomiła sobie, że cały układ nerwowy ma napięty jak struny w fortepianie. Bała się o Macieja.

## 5

Zona zamordowanego policjanta wyglądała, jakby miała nie więcej niż osiemnaście lat. Kiedy otworzyła drzwi, komisarz Góralski pomyślał, że jest córką Piecha. Po chwili jednak zrozumiał, że miała po prostu taką urodę. Trudno było ocenić, czy ma dwadzieścia, trzydzieści czy może trzydzieści pięć lat. Nie była ładna, raczej przeciętna z twarzy, drobna, wręcz chuda, niewielkiego wzrostu. Kiedy ścisnął jej kościstą i zimną jak u trupa dłoń, pomyślał, że idealnie nadawała się na ofiarę przemocy domowej. Odruchowo obrzucił szybkim spojrzeniem jej blade ramię i odsłoniętą szyję w poszukiwaniu zadrapań i sińców. Niczego takiego nie znalazł. Taki cholerny policyjny odruch. Zganił się w myślach. Piech chyba nie był damskim bokserem. A może jednak był? W sumie nie znał go dobrze, a z wyglądu mógłby być każdym, od księdza po seryjnego zabójcę i gwałciiciela.

Przedstawił się i ujawnił cel wizyty. Irena Piech miała zaczerwienione od płaczu oczy, obleczone niezdrową, siną obwódką. Wciąż jeszcze opłakiwała tragiczną śmierć małżonka. Z tego, co Góral zdążył się zorientować, małżeństwem byli od niecałych dwóch lat. Może jednak byli ze sobą szczęśliwi? Takie przypuszczenie pojawiło się i zgasło. Jeśli byli, nie ma tu czego szukać. Jego psi nos podpowiadał jednak, że nie było wcale idealnie.

– Proszę wejść. – Jej głos też był głosem przestraszonej albo skrzywdzonej nastolatki, która właśnie się poddała i nie zamierza walczyć już o nic.

Posadziła go na sofie, sama usiadła na fotelu w sporym oddaleniu i oparła złożone dłonie na udach.

– Przepraszam, odkąd to się stało, nie sprzątałam – usprawiedliwiła się, dostrzegając, jak omiata pokój spojrzeniem. – Nie mogłam.

Pokiwał głową, chociaż w jego mniemaniu taki burdel nie pojawia się w kilka dni. Trzeba długo nie sprzątać, żeby doprowadzić pomieszczenie do takiego stanu. Nie skomentował jednak.

– Policja już tu była – mówiła dalej. – Powiedziałam im wszystko. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

Góralski postawił na ostry blef. Ile już razy kobiety podobne do niej odstawiały przed nim taki spektakl, kreując się na cierpiące i skrzywdzone? Wystarczająco wiele, żeby wątpić w szczerą postawę.

– Gdyby pani powiedziała wszystko, nie byłoby mnie tutaj – stwierdził stanowczo.

Poszarżała na twarzy, zapadła się w sobie, chyba się przestraszyła.

– Nie wiem, o czym pan mówi...

– Proszę tylko o szczerłość, pani Ireno. – Trochę złagodził przekaz. – Teraz to już i tak nie ma znaczenia.

Milczała wpatrzona w brudny dywan.

– Jeśli będzie pani ze mną szczerza, może szybciej złapiemy mordercę pani męża.

Znowu milczenie. Komisarz postanowił uderzyć na oślep i od razu trafił. To chyba nie było trudne.

– Mieliście długi, prawda?

Irena Piech drgnęła i posłała mu spłoszone spojrzenie.

– Proszę mi powiedzieć – nalegał na razie łagodnie. – Jeśli pani mąż był winny pieniądze podejrzanym ludziom, to będzie miała pani kłopoty. Przecież oni tu przyjdą i zażądają zwrotu. Śmierć Henryka tylko pogorszyła sytuację. Teraz to pani wpadnie w tarapaty. I to chyba większe niż on.

Opuściła głowę i na jej poplamione czymś legginsy zaczęły kapać łzy. Przemówiła, kiedy Góralski zbierał się do ostrzejszego przynaglenia.

– Mieliśmy... – zawahała się. – Mamy długi. Henryk był hazardzistą. Przegrywał pieniądze w pokera.

– Z kim grał?

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego bezradnie. – Miał jakieś szemrane towarzystwo. To było nielegalne, to ich granie na pieniądze. Czasem wygrywał i wtedy kupował mi coś ładnego, szastał pieniędzmi, chodziliśmy do restauracji na romantyczne kolacje, ale częściej...

– Przegrywał – dopowiedział Góralski, aby uciąć przedłużające się milczenie.

– Kiedyś przegrał mnie...

– O kurwa! – wyrwało mu się.

Irena jeszcze bardziej pochyliła się do przodu i z jej gardła wyrwał się szloch. Policjant przeczekał ten napad, obserwując, jak przeciera sobie oczy chusteczką.

– Następnego wieczoru przyjechał po mnie taki mięśniak, wytatuowany, i mnie zabrał. Henryk nic nie zrobił. Jakby niczego nie widział. Ten goryl zabrał mnie do swojego szefa do jakiejś meliny. Na początku nie wydawał mi się straszny, chociaż wszędzie miał tatuaże aż do samej szyi. Otworzył szampana, zjedliśmy kolację, a potem mnie zgwałcił. Kolejne dwa razy tej nocy już się nie opierałam. Nie było sensu. Nawet współpracowałam, żeby zemścić się na Henryku. Kiedy nad ranem odwieźli mnie do domu, mój mąż siedział w fotelu i pił wódkę. Potem bełkotał coś, że jestem dziwką i takie tam rzeczy. Stłukłam mu na głowie kryształowy wazon. Stracił przytomność, prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że go zabiłam. Było mi wszystko jedno.

Góralski nagle przypomniał sobie, że kilka miesięcy temu widywał Piecha na korytarzach komendy z bandażem na głowie. Teraz poznał prawdę. To chyba nawet dobrze się stało, że tego sukinsyna przemielili koła pociągu. Prawdę mówiąc, gdyby teraz Piech wpadł mu w ręce, zastrzeliliby go bez wahania. Opowieść jego żony była przerażająca. Piech to był jakiś cholerny dewiant, nie czło-

wiek, tylko potwór. Pamiętał go dobrze, nawet z kilku imprez, i wydał mu się śliski, ale opowieść Ireny zmroziła go do szpiku. Kipiał wściekłością. To jednak nie był jeszcze koniec.

– Napuściłam ciepłej wody do wanny – mówiła cicho dalej. – Wzięłam nóż i weszłam do wody. Chciałam podciąć sobie żyły. Podobno w ciepłej wodzie nie czuć, jak krew z Ciebie wypływa, i łatwiej jest to wszystko znieść. – Spojrzała na niego przelotnie, jakby szukała potwierdzenia, jednak Góralski miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł wykrztusić słowa. – Ale położyłam się w ubraniu. Nie chciałam być goła, kiedy już mnie znajdą, to byłoby takie upokarzające. Tylko leżałam i leżałam z nożem w dłoni i nie mogłam się zdecydować. Ciągłe dolewałam ciepłej wody i im dłużej leżałam, tym trudniej było mi podjąć decyzję. Aż zasnęłam. Obudziłam się zmarznięta. Wyszłam z łazienki. Henryk nie leżał już na podłodze, tylko na sofie, tam, gdzie pan teraz siedzi.

Góralski drgnął. Przesiadłby się w inne miejsce, gdyby tylko nie wyglądało to głupio.

– Obudziłam go i przyłożyłam mu nóż do gardła. Nie, nie chciałam go zabić. Ostrzegłam go tylko, że to zrobię, jeśli wciąż będzie grał z tamtymi ludźmi w karty na pieniądze. Chyba się przestraszył. Potem się zmienił. Nie grał, prosił o wybaczenie, obsypywał kwiatami, ale ja nie potrafiłam zapomnieć. Tylko dla spokoju sumienia powiedziałam, że mu wybaczam. Tak naprawdę nie przebaczyłam. I wcale nie rozpaczam po jego śmierci. Należało mu się. Mój mąż nie był dobrym człowiekiem, panie komisarzu. Myślałam, że policjanci są inni, dobrzy, szlachetni, a chyba są tacy sami jak bandyci. Pan też taki jest, komisarzu?

Pytanie trafiło go gdzieś w sam środek głowy, gdzie ciągle tliły się w nim ludzkie uczucia i wyrzuty sumienia. Co miał jej odpowiedzieć? Że może nie przegrał żony w karty, ale jest skorumpowany i w sumie niczym się nie różni od Piecha? Poczul, że się zaczerwienił, a na skórze pojawiła się cienka warstewka potu. Nie odpowiedział.

– Wrócił do hazardu, prawda? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Oczywiście, jak zwykle byłam głupia. – Pokiwała głową i wytarła łzy chusteczką. – Niedawno dowiedziałam się, że znowu ma długi. Zadzwonili do niego na komórkę, kiedy był w łazience. Odebrałam, myślałam, że to coś ważnego z pracy. Wyjaśnili mi, w czym rzecz. Henryk się oczywiście zarzekał, że tym razem to są małe kwoty, nad wszystkim panuje i natychmiast to załatwi. A teraz nie żyje, a ja pewnie trafię do burdelu, żeby spłacić jego długi.

Góral nie mógł na nią patrzeć, to był obraz nędzy i rozpaczki. Kobieta na skraj załamania albo nawet samobójstwa. Pewnie teraz łatwiej byłoby się zdecydować, leżąc w wannie wypełnionej ciepłą wodą. Wzdrygnął się na tę myśl.

– Już pan wie, dlaczego tego wcześniej nie opowiadałam policji? – zapytała retorycznie. – Wie pan, jak trudno jest przed samą sobą się przyznać, że ktoś spierdolił ci życie, że samemu zniszczyłam sobie życie?

Komisarz znowu poczul konieczność natychmiastowej zmiany tematu.

– Czy kiedy widziała pani męża ostatni raz, miał przy sobie telefon komórkowy? – zapytał.

– Tak, nie rozstawał się z nim. Szczególnie po tym, jak odebrałam to nieszczęsne połączenie od gangsterów.

– Może mówił w ostatnich dniach coś, o czym też nie wspomniała pani policji? Coś nietypowego, innego niż zwykle, na co zwróciła pani szczególną uwagę.

Irena milczała dłuższą chwilę, jakby się zastanawiała. Ramiona ciągle drgały jej od płaczu, pociągała nosem i wycierała łzy. Wreszcie próbowała spojrzeć Góralskiemu w oczy, ale ten uciekał wzrokiem jak tchórz.

– Ciągle mi obiecywał, że spłaci długi – zaczęła i urwała.

– Czy wspominał, w jaki sposób chciał to zrobić? Chyba nie z policyjnej pensji?

– Nie wiem, chociaż...

Komisarz znowu nadstawił uszu.

– Nie słuchałam go zbyt uważnie, ponieważ byłam załamana, wściekła i przerażona. Nie wierzyłam mu. Jego jedyny sposób na zdobycie pieniędzy to była gra w karty. A przecież tamci nie pozwoliliby mu wygrać, prawda?

Policjant pokiwał głową. Uzależniony od hazardu gliniarz, zadłużony u ludzi z miasta, był dla każdej grupy przestępczej skarbem. Góralski bardzo dobrze o tym wiedział, głównie z autopsji.

– Ma pani rację – przyznał niechętnie.

– No właśnie, aż taka głupia nie jestem. – Pokręciła głową. – Kiedy mu to powiedziałam, to się wściekł. Najpierw zwyzywał mnie od kurew, potem znowu przeproszał. Wie pan, komisarzu, że ja już dawno go znenawidziłam? To jest jedyne uczucie, które mogę zidentyfikować, kiedy o nim myślę. Uświadomiłam sobie ten fakt dopiero po jego śmierci. Głupia byłam, a ten sukinsyn wpakował mnie jeszcze w kłopoty.

– Obiecywał, że spłaci długi. – Góral znowu skierował rozmowę na właściwy tor. – Powiedział jak?

– Dużo mówił. – Wzruszyła ramionami. – Jak zwykle dużo mówił, tylko bez sensu. Gadanie dla gadania. Powiedział...

Umilkła, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Tak?

– Powiedział, że pieniądze będzie miał od jakiegoś wojskowego.

Po karku policjanta przeleciał nieprzyjemny dreszcz. Zamarł na chwilę, myśląc gorączkowo.

– Proszę się dobrze zastanowić – powiedział wolno i łagodnie. – Co Henryk mówił o tym... wojskowym?

– Raz tylko wspominał o nim w nerwach. Powiedział, że załatwi od niego kasę, że tamten będzie musiał mu zapłacić. Nie ma innego wyjścia.

– Coś jeszcze?

– Tylko tyle.

Góralski zostawił jej swoją wizytówkę, prosząc, żeby zatelefonowała, gdyby jej się coś przypomniało. W drzwiach odwrócił się jeszcze do Ireny.

– Przez najbliższe kilka dni proszę nie wychodzić często z domu, na pewno nie po zmroku – ostrzegł. – Proszę nikomu nie otwierać, chyba że przyjedzie poli-



cja. Powtarzam, proszę nikomu nie otwierać, najlepiej niech pani udaje, że nikogo nie ma w domu.

– Dobrze – szepnęła cicho i drzwi do mieszkania się zatrzasnęły.

Góral schodził po schodach i myślał. Kto przesłuchiwał Irenę Piech? Z tego, co pamiętał, to ten wojskowy. Komisarz Piotr Żołnierz.

## 6

Komisarz Laura Wilk przeglądała raporty, które spłynęły na jej biurko w ciągu ostatniej doby. Podzieliła je na dwie części. Jedna dotyczyła Poltergeista, druga zabójstwa Henryka Piecha. Oczywiście więcej było tych dotyczących seryjnego zabójcy nastolatkę, chociaż chwilowe poruszenie w środowisku policyjnym po zabójstwie kolegi było jak tsunami, które rozlało się bardzo daleko i bardzo szeroko. I tak jak w przypadku gwałtownego kataklizmu, emocje szybko ostygły i zaburzony porządek świata z wolna wracał na właściwe tory. Zabójstwo Piecha wśród policjantów wchodziło właśnie w etap znużenia. Może gdyby ofiarą był ktoś inny, wściekłość jeszcze by trwała. Piech nie miał przyjaciół, był raczej źle postrzegany jako kolega i partner w pracy, zamknięty w sobie, trochę skryty i mało sympatyczny. Jeden ze starszych kolegów, z którym rozmawiała na korytarzu kilka minut wcześniej, gdy tylko wróciła ze spotkania z emerytowanym dziennikarzem śledczym, w krótkich żołnierskich słowach skomentował to, co sama odczuwała do Piecha. „Kto nie pije, ten kapuje”. Niby banał, a jednak coś w tym było.

Niemniej jednak był policjantem i został zamordowany. Na tę chwilę stanowił absolutny priorytet, zaraz po Poltergeiście.

Zaczęła więc od wyższego priorytetu. Tropy, które początkowo wydawały się bardzo obiecujące, zaczęły się z wolna rozmywać. Zamordowany poprzedni właściciel stolarni Miłosz Sobczak był idealnym kandydatem na taką ofiarę. Zamknięty w sobie mruk. Zarabiał na świadczeniu usług dla osób fizycznych, jednak zupełnie się do tego nie nadawał. Robił meble dobrze i nigdy nie było reklamacji. Jednak był mało komunikatywny. Żaden z klientów nie wspominał go jako sympatycznej osoby. I nagle pojawił się ktoś, kto podawał się za jego pracownika. Dla starych klientów zmiana była bez znaczenia, ponieważ nikt nie czuł się związany z Sobczakiem. Tym bardziej, że usługi nie ucierpiały na jakości. Nowi klienci niczego nie zauważyli, a Miłosz nie miał znajomych, których mogłoby zaniepokoić jego nagłe zniknięcie. Z rodziną utrzymywał luźny kontakt i oni też niczego nie zauważyli.

Poltergeist kontaktował się z ponad dwudziestoma klientami. Policyjni graficy rzetelnie popracowali nad portretami pamięciowymi, co wprowadziło dodatkowe zamieszanie. W teczce przed Laurą leżało co najmniej pięć różnych podobizn Poltergeista sporządzonych na podstawie zeznań świadków. Każdy inny i na swój

sposób niepodobny do reszty. Czasem nadmiar chętnych do udzielania informacji też bywa zabójczy dla śledztwa.

Wilczyca doszła do wniosku, że Poltergeist doskonale o tym wiedział i dlatego zaszył się w takim miejscu. Jakby chciał po raz kolejny z nich zakpić. Wszyscy go widzieli, ale tak naprawdę jakby nikt go nie widział. Mimo to wszystkie portrety pamięciowe zostały umieszczone w policyjnej sieci i udostępnione na odpowiednich portalach internetowych. Może komuś coś wpadnie w oko. W takich sprawach często decydował przypadek. Entliczek, pentliczek – na kogo wypadnie, na tego bęc. Raz szczęściarzem jest zabójca, raz policja. Chociaż nie. Wilczyca miała wrażenie, że częściej szczęście sprzyja zabójcom, a rzadko odwiedza policjantów.

W ciągu kilkunastu godzin policjanci dotarli do dziesiątek zakładów stolarskich na całym Dolnym Śląsku. Przesłuchiwali właściciele, brali wykazy pracowników, pobierali próbki wiórów. Nie wiadomo było, czy coś z tego wyniknie, ale teraz technicy mieli twarde orzechy do zgryzienia. Na razie wszystkie te działania nie przyniosły większych rezultatów. A to była tylko niewielka część zakrojonej szeroko akcji policji. Na przykład od samego rana śledczy chodzili od domu do domu w wiosce, w której zostało znalezione ubranie ostatniej ofiary. Coś znajdują? Laura i w to wątpiła.

Zamknęła teczki na obu kupkach, zrobiła sobie kawę i zatelefonowała do prokuratora Sobocińskiego. Układ świdnicki musiał być w tamtych latach bardzo mocny, skoro nikt nie chciał połączyć zabójstwa ochroniarza Darskiego i porwania córki Cybulskiego. A może połączył, tylko natychmiast przestał pracować albo został przeniesiony gdzieś na drugi koniec Polski.

Pół godziny później miała już telefon do ostatniego policjanta z komendy w Świdnicy, który zajmował się tą sprawą. Postępowanie było ciągle przedłużane, aż w końcu utknęło gdzieś wśród innych niewykritych. Według Laury idealnie nadawało się do jakiegoś archiwum X, być może nawet tam trafiło, ale chyba na razie nikt się tym nie zajął. Jeśli materiał dowodowy został rzetelnie zebrany, obecnie technika kryminalistyczna dysponowała większymi możliwościami niż kilkanaście lat temu. Tylko czy naprawdę został rzetelnie zebrany? Słyszała opinię, że nie.

Zanim wykonała kolejny telefon, długo się zastanawiała. Stefański był skrajnie ostrożny, jakby został jedynym żywym świadkiem w aferze Watergate. Czy wiceminister w obecnym rządzie był na tyle groźny, żeby zaszkodzić mu tylko dlatego, że opowiedział o zaginięciu jego córki jakiejś nieznannej nikomu policjantce, czy też w grę wchodziły jego osobiste paranoje? Nawet jeśli ta pierwsza opcja była bardziej prawdopodobna, zabójstwo ochroniarza było czymś zupełnie innym niż porwanie dziewczyny, więc telefonując do kogoś w tej sprawie, nie powinna ściągnąć jemu problemów na głowę. Tym bardziej, że przecież akta z tego śledztwa były, więc ktoś uznał, że nie stanowią zagrożenia.

Wzruszyła ramionami i wybrała numer. Odebrała starsza pani, której Laura długo tłumaczyła, do kogo dzwoni i w jakiej sprawie. Kiedy już straciła nadzieję, nagle w słuchawce odezwał się stanowczy głos. Wyjątkowo młody i energiczny

jak na wieloletniego emeryta. Często głos nie pasuje do fizjonomii. Nie znała tego policjanta, lecz pomyślała, że w tym wypadku tak właśnie jest.

– Proszę wybaczyć, ale żona ma problemy z pamięcią i czasem trudno jest się z nią dogadać – wyjaśnił mężczyzna. – Proszę jeszcze raz powiedzieć, kto dzwoni.

Komisarz Wilk ponownie się przedstawiła i w dwóch słowach nakreśliła problem. Jej rozmówca wyraźnie się strapił, nawet jego głos nagle przycichł i osłabł. Czyżby on też nie chciał nic mówić przez telefon? Z tego, co zdążyła sprawdzić, mieszkał w małej wsi pod Świdnicą. Nie chciało jej się tak daleko jechać. Na szczęście zawahanie było tylko chwilowe.

– Tak, ja ostatni prowadziłem śledztwo w sprawie tego zabójstwa – przyznał. Najwyraźniej on niczego się nie obawiał. – Pamiętam, że ten ochroniarz został znaleziony w lesie w miejscu, gdzie ludzie raczej się nie zapuszczali, chyba tylko grzybiarze. Ale ktoś go znalazł, zanim jeszcze zdążył dobrze zeszytnieć.

Może to miał być żart, ale Laura się nie roześmiała.

– To był ochroniarz tego milionera, co to teraz ma wykupione pół Świdnicy i okolic – kontynuował. – Darski mu chyba jest, czy jakoś tak. Ten ochroniarz miał przestrzeloną głowę. Wie pani, taki strzał z przyłożenia. Podejrzewam, że zabójca chciał, żeby pocisk nie przebił czaszki, tylko został w środku, robiąc z mózgu mielone mięso, ale coś mu nie wyszło. Nie przyłożył broni pod dobrym kątem i pocisk wyszedł z drugiej strony.

Laura dobrze wiedziała, o co mu chodziło. Pocisk wychodzący z lufy może nie mieć jeszcze tyle energii, żeby dwa razy przebić czaszkę, więc odbija się w środku od ścianek, robiąc z mózgu miazgę. Nic jednak nie powiedziała.

– Miał pan jakieś hipotezy dotyczące sprawców?

– Co ja mogłem zrobić, pani komisarz? – rzucił sarkastycznie. – Sprawa sprzed wielu lat, nikt tym się nie chciał zajmować, a do tego na samym początku źle zabezpieczone miejsce odkrycia zwłok. Najpierw ten, co go znalazł, tam chodził, potem patrol, który przyjechał na miejsce, sanitariusze z karetki i cała armia idiotów, którzy łazili bez ładu i składu. Żadnych śladów po aucie, żadnych odcisków stóp. Miętko tam było, osoba z obciążeniem na plecach powinna zostawić taki trop, że nie trzeba by wzywać Winnetou, żeby go znaleźć. Ale to wszystko szlag trafił. No a potem sprawa została potraktowana po macoszemu. Jeden bandyta mniej, mniej pracy dla policji.

– Dlaczego bandyta? Przecież to był ochroniarz znanego już wtedy biznesmena – zaprotestowała.

– Darski się do niego nie przyznawał – wyjaśnił emerytowany śledczy. – Najpierw zeznał, że nie zna gościa. Po latach zmienił zeznania i powiedział, że faktycznie to był jego ochroniarz, ale go zwolnił, gdy się dowiedział o jego związkach ze światem przestępczym.

– I to tak łatwo przeszło?

– Kto ma kasę, ten ma władzę. Pani komisarz, wie pani, jak jest w małych miasteczkach takich jak Świdnica? Jak ktoś w mieście sponsoruje wszystko i wszystkich, to przecież nikt mu nie podskoczy. Gliniarze pokiwali głowami ze

zrozumieniem i nie drążyli tematu. Tym bardziej że Darski wynajął najlepszych adwokatów. Z papugą z pierwszej ligi ze stolicy mało jest w stanie pogadać w takiej Świdnicy.

– Ale ja dalej tego nie rozumiem – przyznała Laura. – Dlaczego nie szukano zabójcy tego goryla?

– Nikt się do tego nie przyłożył – parsknął Halicki. – Proszę mnie nie pytać: dlaczego? Ja chciałem tę sprawę wyjaśnić. Wie pani, przechodziłem na emeryturę i pomyślałem, że to będzie takie zwieńczenie mojej kariery. Nikt nie mógł, ale Halicki dał radę. Niestety nie dałem. Nikt już o tym nie pamiętał albo nie chciał gadać.

– W tym samym czasie została porwana Maria Cybulska – podsunęła ostrożnie Laura.

– No właśnie. – Staruszek się ucieszył.. – Ja też poszedłem tym tropem. Darski przyjaźnił się z Cybulskim, spotykali się często, pili wódkę, ochroniarz też bywał na tych spotkaniach, jako obstawa szefa. Od jednego ze świadków dowiedziałem się nawet, że czasem woził tę Marysię do szkoły, czasem do Wrocławia na zakupy. Takie przysługi między znajomymi. Podobno Marysia go lubiła, on lubił ją. Więc trudno było nie powiązać obu spraw. Tylko wtedy nikt tego nie zrobił, a gdy trafiło na mnie, było już o kilka lat za późno.

– To oni się znali z Marią? – Laura poczuła dreszcz na plecach.

– No przecież mówię – odrzekł Halicki. – Tylko co z tego, skoro nie było już świadków, nikt nie chciał mówić, nawet nie było wiadomo, gdzie zginął ochroniarz, bo przecież nie w tym lesie. No i nie wiadomo, co się stało z córką Cybulskiego. Ona przepadła jak kamień w wodę, nikt nic nie wiedział.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, policjant obiecał, że gdyby sobie coś przypomniał, zadzwoni, i Laura zakończyła połączenie. Po chwili wybierała numer do Lesieckiego. Czekala długo, wreszcie włączyła się poczta. Dziwne, on zawsze odbierał, nie rozstawał się z telefonem, w którym miał plan dnia. Może jest w łazience i za chwilę oddzwoni.

Jednak nie oddzwonił ani za kilka minut, ani za pół godziny, ani później. Do końca dnia Laura Wilk czuła podskórny niepokój i nie mogła się skupić na pracy.

## 7

**D**o południa Lesiecki dużo już wiedział o wiceministrze Cybulskim i jego byłym przyjacielu, Krzysztofie Darskim. Dawno nie grzebał w sieci, lecz przez lata umiejętności nie zniknęły. Wiedział, na jakich stronach szukać, przypominał sobie niedostępne dla postronnych bazy danych niezależnych organizacji monitorujących przestrzeganie praw człowieka, rejestrujących nadużycia władzy, tropiących nepotyzm wśród ludzi na świeczniku, odkrywających i dokumentujących te powiązania, organizacje antyglobalistów, zielonych, skrajnych ekologów, a nawet neofaszystów, których ściagały państwowe służby specjalne. Oczywiście dane w większości przypadków były gromadzone gdzieś na serwerach w państwach na drugim krańcu świata. Szczególnie w takich, gdzie władza była słaba i skorumpowana, rządził głównie pieniądź, a demokracja czy prawa człowieka były fanaberiami, o których bogaty Zachód coś pieprzył, lecz nie należało się tym za mocno przejmować.

O Cybulskim znalazł niewiele, dane pochodziły zazwyczaj od krajowych organizacji i dziennikarzy, i bardziej chodziło o jakieś nie do końca jasne dotacje dla zaprzyjaźnionych spółek, fundacji i organizacji zajmujących się klasycznym „nie wiadomo czym”. To był standard za czasów obecnej władzy i nikt tego szczególnie nie naświetlał. Bo skoro wyborcy pozwalają swoim nominatom topić własne pieniądze z podatków w odmetach dziwnych i niczemu niesłużących organizacji, to kto miałby być odbiorcą tych rewelacji, gdyby wyciągnąć je na światło dzienne? Opozycja albo ludzie mający już tej władzy serdecznie dość? Wolne żarty. Oni przecież doskonale wiedzieli, jak jest. Im nie trzeba było nachalnie dostarczać nowych dowodów. Cybulski przez lata swojego politykowania zdecydowanie i skutecznie wyczyścił ślady swojej przestępczej przeszłości. Bo przecież zaczynał od okradania tirów na A4, co wynikało z dokumentów przekazanych mu przez Ię Marek.

O wiele więcej dowiedział się o szanowanym, obecnie jednym z najbogatszych ludzi w kraju Krzysztofie Darskim. Kiedy już uwolnił się spod wpływu Cybulskiego, wszystko, czego się tknął, zamieniało się w żyłę złota. Kiedy rozwijał swoje biznesy w okolicach Świdnicy i w całym województwie dolnośląskim, działy się niesamowite rzeczy. Bankrutowały wielkie hurtownie, które on przejmował za złotówkę; kupował za grosze ziemię od Kościoła, którą potem sprzedawał sto razy drożej. Nietrudno było zgadnąć, że pomagała mu w tych cudownych splotach biznesowych okoliczności cała armia wytatuowanych łysych z bejsbo-

lami, tyle że teraz wystrojonych w garnitury i mówiąca „proszę spierdalać” zamiast ordynarnego „spierdalać”. Była też inna armia facetów w czerni. Kto wie, czy nie bardziej skuteczna. Najlepsze kancelarie prawnicze w kraju, niedostępne dla zwykłego śmiertelnika z uwagi na ceny. Tego też nie da się udowodnić. Od pewnego pułapu bogactwa nie opłaca się nawet w części działać jak gangsterzy. Pieniądz robi pieniądz, nawet zainwestowany w legalne interesy, rzetelnie opodatkowane. Do tego już dawno doszła mafia w krajach zachodnich i nasza też się tego nauczyła na przyspieszonym kursie.

Czy więc słynna kłótnia między dawnymi partnerami w nielegalnych interesach była zasłoną dymną i Darski dalej kręcił lody dla Cybulskiego, pod jego parasolem ochronnym? Być może tak właśnie było.

No dobrze, tylko co to obchodziło Lesieckiego? On miał zlokalizować ciało zaginionej przed laty nastolatki. Tak naprawdę powinien skupić się na ustaleniu, co stało się w noc zaginięcia, a nie na tym, co mówi oficjalna wersja. Odnosił wrażenie, że wtedy nikt nie mówił całej prawdy. Ani policja, ani uczestnicy imprezy, ani Darski, ani Cybulski, jakby wtedy zdarzyło się coś, o czym świat nigdy nie miał się dowiedzieć. A teraz on musiał wyjaśnić, co to było. Jak to zrobić? Może Darski i Cybulski nie mają dla niego znaczenia, ale obecnie to potężni ludzie i będzie miał ich przeciw sobie.

Równo w południe zaparzył piątą kawę i siedział w kuchni, sącząc czarny, aromatyczny napój. Myślał intensywnie. Dotarł do różnych danych z tamtego okresu. Wszędzie, gdzie zaglądał albo się włamywał, informacje o porwaniu córki Cybulskiego były szczątkowe albo nie było ich wcale. Jakby ktoś wyczyścił internet. Tylko że w sieci pozostają ślady, trzeba jedynie wiedzieć, jak do nich dotrzeć. A Lesiecki wiedział.

W jednej bazie danych znalazł informację o morderstwie ochroniarza Darskiego. Zginął mniej więcej wtedy, kiedy Maria została porwana. Zdziawiająca zbieżność czasowa. I od tego właśnie postanowił zacząć. Temat Marii Cybulskiej był poblokowany, gdzie tylko się dało, ale ktoś najwidoczniej uznał, że nikt nie będzie dociekał okoliczności śmierci podrzędnego gangstera. I pewnie nikt by nie dociekał, gdyby nie Maciej Lesiecki. Upierdliwy typ, który miał spore problemy psychiczne, natręstwa, lęki, był pogięty jak dwa kilometry drutu w kieszeni i miał problemy z relacjami międzyludzkimi. Był za to cholernie inteligentny i jeśli zafiksował się na jakimś temacie, nie odpuszczał, zanim nie doszedł do celu. No i miał pomocnika – samego siebie, tylko bardzo głęboko ukrytego.

Rozbawiło go takie porównanie. Nieoczekiwanie poczuł się bardzo przyjemnie. Nawet zjrzał do lodówki, ale ta dziewczyna, z którą mieszkał, nie miała za grosz wyobraźni kulinarnej i z tego, co tam znalazł, nie dało się przygotować nic godnego takiej okazji. Bo przecież wielka inauguracja poszukiwań trupa Marysi Cybulskiej musiała odbyć się z pompą i czymś wyjątkowym na stole. Kiepskiej jakości czerwone wino i kawa nie wystarczą. Co prawda pił z porcelanowej filiżanki, ale unoszący się nad nią aromat kawy był zapachem pospolitości i marketu za rogiem, z którego pewnie pochodzi kawa. Gdy tylko będzie miał całość pieniędzy od Igi Marek, sprowadzi sobie kawę prosto z Kolumbii. I tej myśli się trzy-

mał, kiedy na drugie śniadanie przygotowywał grzanki z serem przystrojone listkami świeżej bazylii.

Po jedzeniu wypił szóstą kawę i znów pomyślał o Soni. Dłoń z filiżanką zaczęła mu niepokojąco drżeć, wrócił lęk zmieniający się powoli w strach. Co się z nią stało? Czy jej matka zgłosiła już zaginięcie? Dlaczego policja jeszcze tu nie przyjechała, żeby go przesłuchać? Potem z natłoku myśli wyłoniły się kolejne. Co z tym cholernym stolarzem i jego zaliczką na meble? Może on coś zrobił Soni? Ona tak ufnie wpuściła go do domu.

W dodatku poczuł się dziwnie, gdy uświadomił sobie, że nie ma na dziś żadnego planu. To znaczy – był jeden punkt na liście, ale czy plan z jednym punktem był jeszcze planem? Chyba nie, bo nie musiał się martwić, czy ze wszystkim zdąży. Miał istny ocean czasu, nie musiał się spieszyć, gonić, kontrolować. Tylko czy to było dla niego bezpieczne? Przecież jeśli nie będzie musiał się kontrolować, będzie kimś innym.

Jeszcze do niedawna trzymał swój świat w ryzach. Przeraziła go nawet niewinna myśl, że coś w jego życiu może się zmienić. Pożegnał starego siebie, w założeniu na zawsze. Plan na życie miał zabić tamtego siebie, sprawić, że przestanie mieć już takie problemy jak kiedyś. Jego złe uczynki nie będą odciskać nieusuwalnego piętna na nim, na innych, na nikim. Czy teraz brak planu zniweczył tamte przyjęte wiele lat temu zasady? Bzdura, nie można się tak szybko rozpaść. Taka gwałtowna degradacja świadczyłaby tylko o jednym. Popęłił błąd i w ten sposób nie da się zmienić siebie. Ostatnia myśl trochę go uspokoiła. Przecież on się wcale nie zmienił.

Piknął telefon komórkowy. Zerknął na wyświetlacz i spłynęła na niego gigantyczna ulga. Wiadomość od Soni. „Nie dzwoń do mnie na razie, muszę odpocząć i przemyśleć”. Aż odetchnął głęboko; prawie słyszał stuk kamienia spadającego mu z serca i toczącego się po podłodze. Wbrew temu, co napisała, chwycił za telefon i wybrał jej numer. Tym razem była dostępna, lecz mimo wielu sygnałów oczekiwania nie odebrała. Zmitygował się. Przecież mu napisała, żeby nie dzwonił, na co więc liczył? A na co ona liczyła?

Dopił kawę, chusteczką higieniczną wytarł starannie usta i prychnął pogardliwie. Głupia małolata, jeśli chciała wzbudzić w nim zazdrość, niepokój, może nawet żal, była w błędzie. Ona przecież go już nic nie obchodzi. Jak tylko się pojawi, każe jej się wynosić i więcej nie wracać. Laura Wilk miała rację, on się nie nadawał do związków. Był niebieskim ptakiem i uwielbiał latać w przestworzach niczym nieograniczony, unosząc się na prądach życia, i dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Sonia mu tylko przeszkadzała. Tak jak w tej chwili.

Ubrał się szybko i zanim zbiegł po schodach na parking, już o niej zapomniał. Do Pszena – ostatniej większej miejscowości przed Świdnicą – dojechał już po godzinie. Musiał trafić na wyjątkowo korzystne prądy kontrolowane przez patrona kierowców Świętego Krzysztofa, który jednym stawia na drodze korki, innym ich oszczędza. Nie wiedział, czym on sobie dzisiaj zasłużył na łaskę.

Żeby dojechać do domu zamordowanego ochroniarza Darskiego, trzeba było przed mostem na Piławie skręcić w prawo w ulicę Nabrzeżną i przejechać jeszcze



spory kawałek, zanim wreszcie trafiło się na szutrówkę w lewo, prowadzącą do starego gospodarstwa nad samą rzeką. Tak naprawdę to już nawet nie było Pszenno, tylko Wilków.

Zaparkował przed bramą i furtką z siatki, kiedyś pomalowaną na zielono. Teraz zieleń z wolna pożerała brązowa rdza. Wszystkie budynki w podwórzu zbudowane były z czerwonej cegły i zaniedbane. Pewnie ostatni raz remontowano je jeszcze za Niemca, a potem przez całe dziesięciolecia ktoś tylko leczył rany zadane im przez bezlitosny czas. Takie blizny odcinały się teraz na tle wyblakłej czerwieni innym kolorem albo łatanami szarego tynku. Przy budzie leżał wielki pies, lecz najwidoczniej nie chciało mu się reagować na nowo przybyłych nawet warknięciem. Gubił właśnie zimowe futro i wyglądał na większego niż w rzeczy-wistości.

Lesiecki pewnie wkroczył na podwórze przez uchyloną bramkę. Zanim doszedł do drzwi, te uchyliły się i stanął w nich mężczyzna wyglądający na co najmniej siedemdziesiąt kilka lat. Twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami przebiegającymi we wszystkich kierunkach, a wargi prawie żółte, chyba od nikotyny. Spod czapki leninówki, która mogła być w podobnym wieku co jej właściciel, patrzyły na Macieja mętne oczy starca. Za to robocze ubranie, wiszące na chudym ciele jak na za małym manekinie, wyglądało na nowe i nieużywane zbyt często. Jakby gospodarz przebrał się w odświętne ciuchy na widok gościa wysiadającego z auta zaparkowanego za płotem.

– Pan do mnie? – rzucił zamiast powitania.

Jego głos był młodszy od niego co najmniej o pół wieku i dźwięczał przyjemnie w uszach.

– Nazywam się Maciej Lesiecki – przedstawił się. – Jestem prywatnym detektywem.

– Ale o co chodzi?

– Chciałbym porozmawiać. Wpuści mnie pan?

Starzec popatrzył w niebo, wydmuchał kłęb szarego dymu i pokręcił przecząco głową.

– Nie wpuszczę – powiedział. – Od śmierci żony żem nie sprzątał, bo nie lubię sprzątać. A to już z siedem lat będzie, jak na cmentarzu zamieszkała. Tam można usiąść. – Głową wskazał ławkę przy frontowej ścianie budynku.

Usiedli. Maciej zaczął się pocić w promieniach ostrego słońca zalewających ławkę. Gospodarz z wyraźną przyjemnością grzał stare kości.

– A o czym chce rozmawiać? – zagaił.

– Zostałem wynajęty, żeby wyjaśnić, co tak naprawdę stało się z pana synem – skłamał gładko Lesiecki.

– A niby kto wynajął?

– Przepraszam, ale to tajemnica.

– Że niby tajemnica? Niech będzie tajemnica. Dawno o tym nie gadałem, to teraz mogę.

Staruszek zapalił kolejnego papierosa.

– Jaki był pana syn? – Pierwsze pytanie powinno być neutralne i jak najbardziej otwarte.

Gospodarz się rozgadał. Syn wyrósł im na bandytę, z czym nigdy się nie pogodzili jako rodzice. Potem, gdy zginął, to nawet doszli do wniosku, że widocznie zaskczył. Dłuższą chwilę rozwodził się nad tym, w którym momencie go nie dopilnowali. Albo był gadułą, albo już dawno nie miał do kogo gęby otworzyć, bo słowa płynęły szerokim strumieniem i Maciej mógł tylko kiwać głową.

– Żona, świeć Panie nad jej duszą, chciała, żebym go z domu wyciepał, jak w bandyterkę poszedł, ale ja się zaparłem. Bo mnie kiedyś ojciec z domu wyciepał, jak zły byłem, a okazało się, że niepotrzebnie, bo na ludzi wyszłem. Więc żem powiedział, że Mariusza nie wyciepię. No ale on nie zdążył na człowieka wyjść, bo go ubili – zakończył.

– Pracował dla Krzysztofa Darskiego, prawda? – rzucił Maciej.

– Tfu. – Dziadek splunął rzęsiście. – Ludzie już nie pamiętają, że to bandyta był i w Świdnicy robił, co chciał. Teraz wielki pan milioner, szanują go, w telewizji pokazują, jak wstęgi przecina, jebał go pies. A on z panem ministrem Cybulskim to gangsterzy wtedy byli. Mariusz mi takie rzeczy czasem o nich opowiadał. Że niby teraz uczciwi? Gadanie tylko.

Stary opowiedział Lesieckiemu trzy historie, od których szerzej otworzyły mu się oczy. Gdyby trafił tu jakiś pismak i pociągnął starego za język, miałby materiałów na pół roku, a sensacja byłaby na pół Europy. Dlaczego nikt jeszcze na to nie wpadł? Może po prostu się boją?

– W tym samym dniu, w którym zginął Mariusz, porwano też Marię Cybulską. – Delikatnie naprowadził starego na interesujący go temat.

– A jaka afera z tego była! – Gospodarz machnął ręką i zapalił kolejnego papierosa, najpierw ukręcając mu filtr. – Gadania na dwa lata. To chyba przez to nie znaleźli mordercy Mariusza, bo nie miał kto szukać. Wszyscy gliniarze byli u tego Cybulskiego na krótkiej smyczy. Tfu, cholera jasna.

– Być może.

– Mariusz to mi o tej Marysi wspominał czasem.

Lesiecki drgnął zaskoczony. Jadąc tu, nie spodziewał się mieć aż takiego farta.

– Co mówił? – zapytał ostrożnie.

– Mariusz znał tą Marysię. Nawet woził ją do szkoły i na fortepian, jak goryle jej ojca nie mogli. Lubili się, rozmawiali. Mój syn szkoły nie skończył, ale taki ostatni głupi to on nie był.

Gospodarz zamilkł i strzelił niedopałkiem na podwórze. Musiał to robić często, bo pet poleciał kilka metrów, zanim wylądował wśród innych na ziemi.

Lesiecki zadał jeszcze kilka pytań. Niewiele więcej się dowiedział, lecz i tak był zadowolony. Może Mariusz za bardzo lubił Marię? Tamtego wieczoru ją skrzywdził, może nawet przez przypadek zabił i dlatego sam musiał położyć głowę. Dlatego Darski i Cybulski się wtedy pokłócili. Tylko po co była ta afera z porwaniem? Czy kochający ojciec mógł tak łatwo przejść do porządku dziennego nad śmiercią córki i udawać porwanie? Wątpliwe.

– Wspominał pan o tym komuś? – dopytał jeszcze na koniec.

– Że niby o czym?

– O tym, że się znali.

– A o tym – przypomniał sobie stary, jakby był już myślami w innym miejscu i trudno było mu wrócić. – Nie, nikt mnie nie pytał. Zresztą nas tam policja o nic nie pytała. Co najwyżej o dowód osobisty, no i żeby syna zidentyfikować.

– Nie było śledztwa?

– A niby tam było, ale tej porwanej szukali, a nie mordercy Mariusza. Mówiłem już, zamieszanie było.

Pogadali jeszcze kilka minut, wreszcie Maciej podziękował i wstał. Wtedy starszek zaciągnął się kolejnym papierosem i pokiwał głową, jakby sobie coś przypomniał. Może to nikotyna działała na niego pobudzająco?

– Mówiłem kiedyś jednemu policjantowi. Ale to już po kilku latach było.

– Komu?

– Taki porządny gliniarz starej daty z okolicy. Ale nic z tego nie było, bo go przemieśli.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Mieszka w sąsiedniej wiosce.

Lesiecki postanowił odwiedzić tego policjanta. Po chwili miał nazwisko i adres. Pojechał do pobliskiego Niegoszowa, jednak nie zastał komisarza Bogusza w domu. Żona z niezbyt zadowoloną miną zakomunikowała, że „ten leniwy dziad pewnie jak zwykle jest na rybach, ale ona nie wie gdzie. Gdyby wiedziała, już by tam dawno była i przyciągnęła go do domu, bo tyle roboty w obejściu po zimie, a ten wałkoń nie tknął jeszcze palcem. Tylko ryby i ryby”.

Lesiecki, nie zastanawiając się długo, znalazł sklep spożywczy i tam popisał o Bogusza kilku miejscowych, którzy początkowo nic nie wiedzieli, jednak za obietnicę czteropaku mocnego piwa zaczęli przypominać sobie to i owo. Jeden nawet wyznał w przypiływie szczerości, a może miłości do złotego trunku, że przecież on dzisiaj z Boguszem był nawet na tych rybach, tylko nic nie brało, więc niedawno go zostawił nad rzeką i przyszedł zwilżyć nieco gardło, bo słońce od rana niezłe przypiekało.

Po chwili Maciej sprawdził w telefonie, gdzie znajduje się przełom Bystrzycy. Okazało się, że całkiem niedaleko, jeszcze przed Pszennem. Pojechał tam, zaparkował na bocznej drodze i dalej poszedł pieszo. Trafił w piękne miejsce. Wcześniej Piława wpadała do Bystrzycy, która nareszcie robiła się większą i poważniejszą rzeką. W tych okolicach były niewielkie wzniesienia i Bystrzyca meandrowała między nimi, rozlewając się szeroko wśród lasów i tworząc malownicze i dość płytkie zakola. Pewnie wędkarze zaglądali tu często. Najpierw spotkał faceta około czterdziestki i dopiero on wskazał mu Bogusza.

Leciwy policjant miał wciąż przenikliwe spojrzenie i sporą nadwagę. Niezapięta wędkarska kamizelka w kolorze khaki z setką kieszeni i kieszonek odśladniała wielki brzuch w pełnej okazałości. Maciej przedstawił się znowu jako prywatny detektyw, wyłożył mu temat i poczekał na reakcję wędkarza. Ten jednak skupił się na czymś innym.

– Prywatny detektyw – zakpił wyraźnie, zwiijając żyłkę.

Chyba łowił na spinning, ale Maciej kompletnie się na tym nie znał.

– Ja też tak mogę powiedzieć – dodał i rzucił blachą.

Po chwili przestał zwracać na Lesieckiego uwagę.

– Słowo za słowo, a skąd ja wiem, że pan niby byłeś gliniarzem? – powiedział Maciej.

Bogusz roześmiał się głośno, aż echo poszło po wodzie. Zwinął żyłkę, odłożył wędkę i przysiadł na wędkarskim krzeselku, z trudem trzymając brzuch między kolanami.

– Dobra, podoba mi się pan – ocenił. – Gadaj!

Lesiecki przysiadł na zwalonym pniu. Może trochę za daleko jak na normalną rozmowę, ale warunki były, jakie były. Grunt, że mimo szumu Bystrzycy nie musiał podnosić głosu.

– O ochroniarza Darskiego mi chodzi – powiedział. – Kto go mógł odstrzelić?

– Każdy go mógł odstrzelić, wojna wtedy była.

– Wojna?

– Różne gangi się o wpływy biły. Może nie tyle wojna, co stan wojenny. Co jakiś czas wylawialiśmy zwłoki z Piławy albo z Bystrzycy.

– Ale chyba to jakieś płotki były, bo Świdnica była obstawiana przez Darskiego i Cybulskiego.

Bogusz zmierzył go bardzo poważnym spojrzeniem. Z jednej z kieszonek wyciągnął „małpkę” i pociągnął spory łyk.

– Pan, widzę, zorientowany. – Pokiwał głową, lecz widać było, że nagle stracił ochotę do rozmowy. – Po co teraz w tym grzebać? Obaj to znane osobistości są. Dużo dobrego zrobili dla Świdnicy.

– Tu chodzi o prawdę, a nie żeby komuś zaszkodzić – wyjaśnił Maciej. – Pan jako gliniarz powinien rozumieć to najlepiej.

Bogusz się zasepił. Po chwili skinął głową z wahaniem.

– No niby tak – powiedział. – Pytaj pan.

Lesiecki wypytał go ślady na miejscu zbrodni, hipotezy, wstępne ustalenia i zgrabnie przeszedł do tego, co go najbardziej interesowało.

– Ojciec Mariusza wspominał, że pan jako jedyny pytał go o jego syna i Marię Cybulską. Dlaczego wcześniej nikt nie powiązał obu spraw? Przecież to się stało jednego dnia, a Mariusz pewnie był wtedy w domu Cybulskich jako ochrona Darskiego.

– Teraz, kurwa, wszyscy tacy mądrzy – zachnął się były policjant. – Wtedy to niekoniecznie tak dobrze wyglądało. Mariusz nie miał nic wspólnego z Marią Cybulską ani z jej ojcem. Pracował dla Darskiego.

– Ale przecież jego ojciec powiedział panu, że lubili się z Marią. Poza tym chyba był na tym przyjęciu, kiedy zniknęła.

– No właśnie w tym problem, że go nie było. – Bogusz wypił ostatnie krople z buteleczki i spojrzał na nią zawiedziony, że jest już pusta.

– Nie było go? – zdziwił się Maciej.

– No nie było – potwierdził policjant. – Dlatego nikt nie wiązał obu spraw. A że poniewczasie przejąłem śledztwo w sprawie zabójstwa Mariusza, to zaczą-

łem kombinować. Pytałem starego o syna i o tę Marię, ale to do niczego nie doprowadziło. Nie ma sensu ruszać tego po latach. Życzliwie radzę, panie detektywie. Szkoda czasu i prądu. Daj pan spokój i szukaj gdzie indziej.

Lesiecki pokiwał tylko głową, potem wstał, podziękował i wrócił do auta. Było coraz później, a on był cholernie głodny. Na dzisiaj miał dość.

**K**omisarz Góralski coraz boleśniej przekonywał się, że jego sumienie odzywa się gdzieś w środku. Do tego doszło poczucie winy. Wszystko przez rozmowę ze skrzywdzoną kobietą, żoną tego sukinsyna, Piecha. Niby policjant, a jednak potwór. W głowie Górala ciągle kołatała się złośliwa myśl, że podobnie jak Piech, on też sprzeniewierzył się własnym ideałom, sprzedał się i zeszmacił. Tylko w inny sposób. Takie przemyślenia powodowały u niego napływ żółci do gardła, gdyby mógł, zwymiotowałby, żeby oczyścić się z brudu i pozbyć się przeszłości. W odpowiedzi jakiś złośliwy diabełek w jego głowie ciągle śmiał się z niego szyderczo, szepcząc, że tak łatwo się nie da. Musi ponieść konsekwencje, musi chociaż częściowo naprawić winy, zrobić nareszcie coś dobrego dla innych, a nie patrzeć tylko na własne korzyści.

Zrobić coś dobrego. Takie rozwiązanie wydawało się najprostsze do zrealizowania. Zrobić coś dobrego dla innych, nie dla siebie, sprawić, żeby ktoś inny miał na tym świecie lepiej, nie tylko on. Te myśli podkreślały wyrzuty sumienia, ale też pchnęły go do działania. Wiedział, co musi zrobić. Teraz, natychmiast, skutecznie. Musi ochronić Irenę Piech przed konsekwencjami działania jej męża.

Przez następną część dnia nie zajmował się niczym innym. Dzwonił do swoich kontaktów w świecie przestępczym, przypominał kapusiom o długach, jakie mają wobec niego, z kilkoma spotkał się osobiście, napędzając im niezłego stracha. Wreszcie po kilku godzinach jeżdżenia po mieście trafił na pewnego ćpuna, o którym przypomniał sobie przez przypadek. Chłopak wiedział, komu tak bardzo zależało na złowieniu w sieci psa i kto organizował nielegalnego pokera na duże stawki. Tylko dla zaufanych, jak ciągle powtarzał przestraszony narkoman o bladej cerze i chorobliwie podkrążonych oczach. Góralski znowu poczuł wyrzuty sumienia. Pamiętał tego chłopaka sprzed dwóch czy trzech lat. Pochodził z dobrego domu, gdzie miał wszystko. Już wtedy zaczęły go interesować wszelkie możliwe używki. Góralski zagarnął go kiedyś za posiadanie i puścił, uznając, że dobrze będzie mieć wtykę w tym środowisku. Teraz chłopak był wrakiem, cieniem samego siebie sprzed tych lat i pewnie niewiele mu brakowało, żeby wreszcie się zaćpać i wylądować dwa metry pod ziemią. Nie pomógł mu jednak wtedy. I teraz też jeszcze nie, chociaż obiecał sobie, że jak wszystkie jego kłopoty znikną, postara się i jemu pomóc. Chłopak dilował dla Maksa, jednego z szefów rozbitej przed laty grupy kiboli rozprowadzających po mieście amfę i dopalacze. Często bywał u niego na melinie, dlatego wiedział, że w soboty gra się o duże

stawki. Widział równe pliki banknotów na stoliku. Widywał też Henryka Piecha. Rozpoznał go na fotografii, którą pokazał mu Góral.

Komisarz wpadł na godzinkę do komendy. Uruchomił policyjną bazę danych i po chwili wiedział sporo o Maksie. Kiedyś policjanci od narkotyków zwinęli go w czasie nalotu na nocne kluby we Wrocławiu. Potem płotki i tak trzeba było wypuścić, a po grubsze ryby zgłosili się prawnicy z najlepszych kancelarii. Maksa wyciągnął jeden z najlepszych adwokatów – niejaki Gustaw Pawlik. Może Góral nie zwróciłyby na to uwagi, gdyby kiedyś Żołnierz w stanie upojenia alkoholowego pomieszanego z porządną kreską nie chlapanął, że nawet jeśli go oskarżą o korupcję, to przynajmniej będą go bronić najlepsi prawnicy w mieście. A najlepszy był Pawlik, którego kancelaria prowadziła też sprawy pewnego znanego milionera, Krzysztofa Darskiego. Do protokołu dołączone były zdjęcia zrobione z ukrycia. Maks, niski, krępy troglodyta z wielkimi wytatuowanymi bicepsami i łysą głacą wychodzący z budynku policji z facetem w eleganckim garniturze. Na kolejnym przy samochodzie stojący przed prawnikiem z opuszczoną głową i taką miną, jakby dyrektor w zawodówce nakrył go na masturbacji w kiblu. Tylko że on pewnie nie chodził nawet do zawodówki. Pawlik najwyraźniej go opierdalał. I to porządnie.

Góralski wyszedł z budynku komendy zaopatrzony w adres i prawdziwe imię i nazwisko Maksa.

Wieczorem pokręcił się koło jego kamienicy przy dworcu Nadodrze, w której mieszkał ze starą matką, wypytał o niego dzieciaki na podwórku. Oczywiście musiał to zrobić w taki sposób, żeby się nie domyśliły, że jest gliniarzem. Przede wszystkim gliniarzowi i tak nic by nie powiedzieli i jeszcze by ziomala ostrzegli, że mędy mają na niego *focus*. Pokazywał więc wyciągniętą z akt wizytówkę kancelarii Pawlik i Wspólnicy. Wspomniał, że jest prawnikiem, a potem zniknął z okolicy. To znaczy – nie zniknął, tylko zadekował się w samochodzie zaparkowanym niedaleko bramy Maksa i czekał cierpliwie. Zdążył się już dowiedzieć, że delikwent wraca zazwyczaj dość późno, ale ze względu na matkę nie zaprasza kumpli do domu.

– No i dobrze – mruknął do siebie Góralski. – Do matki trzeba mieć szacunek.

Czarne bmw, dudniące rapowym rytmem na całą ulicę, zajęchało pod bramę około dwudziestej trzeciej. Ubrany w dres Maks przybił piątki kolegom i auto ruszyło z piskiem opon. Dudnienie niesło się za nim jeszcze po tym, gdy zniknęło za rogiem.

Maks pchnął drzwi na klatkę schodową i nacisnął włącznik światła. Nic. Szepnął pod nosem, że „skurwysynowi, który znowu ukradł żarówkę, nogi z dupy powyrywa i przyklei tył na przód”, po czym ruszył na schody. Nie spodziewał się ataku. Uderzenie pałką w głowę było jak eksplozja supernowej na nieboskłonie. Przez moment przysłoniła blask wszelkich gwiazd Drogi Mlecznej. Do tego osłabiła nogi i wprowadziła je w chwilowe odrętwienie.

Ubrany w kominiarzkę Góralski chwycił ślaniającego się na nogach mięśniaka i wrzucił go do piwnicy. Maks poleciał pięć stopni w dół i wyrznął o podłogę, aż zadudniło. Policjant zamknął drzwi do piwnicy, potem zakleił dochodzącemu do

siebie bandycie usta, nogi spiął opaskami zaciskowymi, tak samo jak ręce z przodu. Maks otworzył oczy i zaraz je zamknął, oślepiiony światłem latarki skierowanej prosto w jego twarz. Krew z rozbitej łysej głowy spływała mu po twarzy, kapiała na kolorowe tatuaże na karku i ramionach, zniekształcając uwiecznione na nich obrazy potworów, demonów i cycatych wrózek. Chciał coś powiedzieć, lecz taśma skutecznie mu w tym przeszkodziła.

Góralski przykucnął przy nim.

– Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać – rzucił cytatem z kultowego serialu komediowego, ale wątpił, czy taki jełop załapał. – Zgwałciłeś kobietę tego policjanta. Co prawda przegrał ją w karty, ale pewnych rzeczy się nie robi. Nie łapiesz tego, bo jak za tobą stoi Darski, to myślisz, że ci wszystko wolno. Otóż nie, kolego. Wdepnąłeś w gówno, bo ta kobieta podoba się komuś innemu.

Maks zabalgotał pod taśmą.

– Co tam mruczysz, kotku? – Góralski jednym ruchem zerwał mu taśmę z twarzy.

Z ust Maksa popłynął strumień przekleństw, wyzwisk i gróźb. Gdyby Góral miał się nimi przejmować, pewnie nie mógłby zasnąć ze strachu przez najbliższe pięć lat. Ale się nie przejmował. Uciszył łysola jednym celnym uderzeniem pięścią. Gangus zalał się krwią.

– Lepiej, żebyś się przymknął – poradził mu komisarz. – Nieładnie jest złorzeczyć bliźnim. A co, jeśli twoje groźby spełnią się tobie, i to dużo szybciej? Jestem wkurwiony, wiesz? Jeśli poszukam inspiracji w tym, co mówisz, zdechniesz w tej piwnicy w bólach. Już ja się o to postaram.

Maks nagle zamilkł, na przemian przełykał ślinę i pluł krwią z rozbitych warg. Nie był wcale takim twardzielem, jak o sobie myślał. Jeśli ktoś przez całe życie wyżywa się na słabszych, wcale się od tego nie robi twardy. Wprost przeciwnie, po prostu maskuje swoją słabość. Policjant doskonale znał tę teorię i widział jej potwierdzenie na niezliczonych przykładach. Rura miękła, kiedy siedziało się sam na sam ze złym gliniarzem w pokoju przesłuchań. A to wcale nie było najgorsze, co mogło takiego gościa spotkać.

– Wracając do tej kobiety – mówił dalej. – Zgwałciłeś ją, chujku. A ona podoba się komuś innemu i jeśli jeszcze raz ją tkniesz, penisa razem z jajami będziesz szukał w kamieniołomach w Strzelinie. Jeśli się do niej zbliżysz na sto metrów, a nie daj Boże będziesz chciał od niej wydobyć kasę, którą był ci winien ten gliniarz, sam wylądujesz w tym kamieniołomie. Głową do dołu. Trzeba będzie ci robić badania DNA, bo matula cię nie pozna. Ciężko poznaje się syna, jeśli ten ma miazgę zamiast głowy między ramionami. Zrozumiałeś czy mówiłem za długimi zdaniem?

W oczach łysola malowało się przerażenie. Góralski zaniepokoił się, że zaraz puszczą mu zwieracze, a nie chciał za wcześnie wdychać jego smrodu. Chciał jeszcze o czymś z nim porozmawiać.

– To dobrze, że się zrozumieliśmy. Jeśli coś się jej stanie, to ty zapłacisz życiem. To będzie bolesna śmierć. Powtórzyć?

– Nie, zrozumiałem.



Góralski wyciągnął zza paska spodni sporych rozmiarów młotek i poświecił na niego.

– Wiesz, gnoju, co to jest?

Nie zwrócił uwagi na gwałtowne kiwanie głową Maksą.

– To jest młotek – mówił dalej. – Jeśli teraz nie odpowiesz mi na inne pytania albo spróbujesz skłamać, będę ci miażdżył place, jeden po drugim. Na początek próba generalna.

Nagle się pochylił, chwycił bandziora za zaciśniętą na jego nadgarstkach trytkę i pociągnął. Facet bezwładnie upadł na bok i zanim zdążył zareagować, policjant przygniótł mu ręce kolaniem, rozczapierzył jego palce na brudnym i wilgotnym betonie piwnicznej podłogi i walnął młotkiem.

Maks wrzasnął i zaraz udławił się swoim krzykiem, kiedy dostał kolejny cios pięścią w twarz. Młotek wbił się w podłogę tuż przy jego palcach, więc nie miał powodu do krzyków. Nic jeszcze się nie stało. Niestety puścił mu zawór i wokoło rozszedł się mdlący zapach moczu.

– Kurwa, ale bohater – jęknął Góralski. – Złałeś się w majty, kolego. Ciekawe, co by się stało, jakby koledzy się dowiedzieli?

Policjant szybko wyciągnął smartfon i zrobił kilka zdjęć. Wyszły nawet nieźle, plama na spodniach i kałuża na podłodze były doskonale widoczne. Maks szarpnął się, ale zaprotestował jakoś tak cicho i bez przekonania.

– Kto wie, może się jeszcze dowiedzą? – Góralski zarechotał. – Zatrzymam te foty na pamiątkę. Album nazwę „Maks, mokre gacie”.

Triumf był całkowity. Bandzior rozplakał się jak dziecko.

– Już nie żyjesz, skurwielu, już nie żyjesz – powtarzał cicho.

– Co ty tam mówisz? Mam użyć młotka?

– Nic nie mówię – szepnęła gorączkowo. – Nic!

– No to teraz pytania za gwarantowane w *Milionerach* czterdzieści tysięcy. Jeśli szczerze odpowiesz, to nie wydasz tego na nowe zęby i remont facjaty. Czysty zysk, nie uważasz?

– Powiem.

I bandzior szczerze odpowiedział na pytania Górala. Niewiele wiedział, starał się sobie przypomnieć cokolwiek, dużo z tego, co powiedział, było nic nieznaczącym bełkotem, jednak policjant dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć. Wcale nie poczuł się z tym lepiej. Do tej pory wielu rzeczy nie chciał dostrzec, teraz już nie mógł udawać, że go nie dotyczą. Wstrząsnęli nim wewnętrzni, sugerując, że Żołnierz może być cynglem dla bandziorów. Teraz Góralski był nie tylko wstrząśnięty, ale i porządnie zmieszany. Musiał się z tego jakoś wyplątać, tylko na razie nie bardzo wiedział jak. Może i uratował Irenę Piech przed zakusami Maksą i jego bandy, ale sam był w czarnej dupie.

– Teraz cię zostawię – powiedział do szarpającego się na podłodze Maksą. – Jak chwilę pokrzyczysz, na pewno ktoś tu zejdzie i cię uwolni. – Spojrzał na plamę na jego spodniach. – Ale jakby co, trytkę można przetrzeć, korzystając ze sznurówek. Miłej zabawy – dodał.

Wyszedł na pustą o tej porze ulicę i skierował się do auta. To były zalety mieszkania w takiej dzielnicy, w takiej kamienicy, wśród takich bandziorów jak Maks. Nawet jeśli ktoś drze się w piwnicy, emeryci zamieszkujący klatkę schodową mają nagle wyjątkowo słaby słuch i grupowo tracą narastającą wraz z wiekiem ciekawość i wścibskość. Takie życie, kurwa jego mać.

Odpalił silnik i skręcił za ten sam róg, za którym zniknęli koledzy Maksa, pławiąc się w dźwiękowych efektach specjalnych. On wolał odjechać w ciszy i dyskretnie, żeby nie zostać zapamiętanym.

## 9

Piotr Żołnierz powoli wpadał w paranoję. Od kilku dni wydawało mu się, że ktoś za nim chodzi, jeździ, obserwuje go. Jednak wszelkie próby założenia na tego ktosia pułapki nie dawały rezultatu. Zatrzymywał się za rogami ulic, chodził w nieuczęszczane miejsca, wskakiwał do mijanych sklepów i potem długo patrzył, kto przechodzi chodnikiem. Wszystko na nic, więc pewnie to był początek obłądu. Ten pieprzony Góralski mu to kiedyś przepowiedział. Za dużo alko, dragów, stresów. Popełnił za dużo złych czynów, był ścigany, mocno się stresował i w końcu coś w nim trzasnęło.

Wrócił wieczorem do domu i po raz kolejny szczelnie zasłonił okna, potem pił wódkę, wciągał kokę i co chwilę sprawdzał, czy ktoś nie chodzi po parkingu na dole albo gdzieś z kąta podwórza nie patrzy wprost w jego okna. Takie zakłęte koło. Kieliszek wódki, papieros, okno, fotel z głową w dłoniach i próba opanowania chaosu, jaki go ogarniał, a na dodatek od czasu do czasu kreska.

Do rzeczywistości wrócił na dźwięk przekręcanego klucza w zamku. Wracają żona. Tylko, cholera, nie sama. Przyprowadziła do domu tego swojego gacha kierownika. A umawiali się, że to jest zabronione. On nie przyciągał tu panienek na szybkie numerki, a ona też miała pieprzyć się gdzie indziej. Cholerna sucz! Poczul ogarniającą go wściekłość. Żądza mordy, niepohamowana i nie do opanowania. Może zabić tę kurwę i jej faceta? Tu i teraz, i nareszcie znajdzie spokój w pierdlu. Może nawet tam nie pójdzie. Skoczy z balkonu albo powiesi się na żyrandolu. Myśl była tak odkrywca, że aż się roześmiał. Wściekłość jednak pozostała.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – Żona spojrzała na niego ze złością.

Była trochę podchmielona, spoglądała na niego lekko zamglonym wzrokiem i się chwiała. Facet stał za nią i przytrzymywał ją od tyłu w pasie. Żołnierz nie za bardzo go widział w ciemnym przedpokoju, po dłoni można było wywnioskować, że to wieki facet. I co z tego, jak będzie chciał, i tak spuści im łomot. Nie z takimi sobie radził. Jej w końcu też wpięprzy, żeby wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Ciągłe mieszkają razem, więc należy mu się szacunek od tej brudnej suki. Pamiętał, że jak ojciec zlał matkę, to ta przez kolejny tydzień spełniała wszystkie jego zachcianki. Były obiadki z dwóch dań, flaszka kupiona na krechę na mecie u sąsiadów i dobre fajki, których pół paczki potrafił wypalić w trakcie meczu przed telewizorem. Prawdziwy samiec alfa, świadomy swojej siły i władzy. Potem w nocy były też pojękiwania i skrzypienia łóżka do późna. Gdyby nie zbił

matki, nie miałyby takich przywilejów. Po prostu wiedział, jak ustawić się w domu, jak korzystać z życia. Piotr zawsze starał się go naśladować, ale mu się to nie udało. Trafił na tę sukę i to ona nim kręciła całe życie, aż wreszcie znalazła sobie jakiegoś innego faceta i mógł się od niej uwolnić. Może jak ją teraz stłucze, a gachowi obije ryj, coś się zmieni. Naprawi wieloletnie zaniedbania w związku i przynajmniej poczuje się o wiele lepiej.

– Miało cię dzisiaj nie być – strofowała go małżonka.

– Ale jestem – warknął tak, że inna kobieta na pewno by się przestraszyła. Tylko że Barbara zawsze miała go w dupie. – A ty miałaś się nie kurwić w domu. Co on tu robi? Powiedz mu, żeby spierdalał, bo sam się tym zajmę i będzie miał długie zwolnienie z pracy.

Żołnierz nakręcał się coraz bardziej. Buchnęła w nim wściekłość i zaczęła przelewać się każdym porem w skórze. Zrobił w ich kierunku dwa kroki i zataraśował wejście do pokoju.

– Spierdalać! – krzyknął.

Chciała coś powiedzieć z tym swoim złośliwym, krzywym uśmiechem, ale on nagle nie wytrzymał. Podskoczył i uderzył ją w twarz z otwartej dłoni. Krzyknęła i złapała się za policzek. Długie włosy zafalowały. Wtedy zza jej pleców wyskoczył facet.

– Ty damski bokserze, sukinsynu! – krzyknął i ruszył do ataku.

Żołnierz tylko na to czekał, odskoczył i chciał wyprowadzić cios w szczękę. Ku jego zaskoczeniu tamten bez trudu sparował jego potężne uderzenie, potem jeszcze jedno i następne. Zanim Piotr zorientował się, co naprawdę się dzieje, facet podskoczył do niego i jego pięści śmignęły jak u boksera wagi ciężkiej w finałach mistrzostw świata. Korpus, podbródkowy, korpus. Głowa policjanta podskoczyła, zęby nieprzyjemnie zazgrzytały o siebie, jakby te z dolnej szczęki próbowały wybić te z górnej. Zgiął się, tracąc oddech. Właściwie już w tym momencie był przegrany i zdany na łaskę mięśniaka, którego nie docenił. Myślał, że kierownik w hurtowni to jakaś życiowa niedojda, błądy i chudy patafian, którego można załatwić jednym plaskaczem. Przeliczył się.

– Damian, nie rób mu krzywdy! – usłyszał krzyk kobiety.

Alkohol i prochy też zrobiły swoje. Był wolny jak żółw na spacerze po plaży. Nawet nie zarejestrował ciosów zadawanych mu przez Damiana. Posłuchaj jej – pomyślał jakby z żalem. Daj mi spokój. Tylko że Damian wpadł w morderczy szal.

– Nienawidzę takich gnojów, którzy podnoszą rękę na kobietę – wycedził przez zaciśnięte mocno szczęki.

Komisarz nie był ułomkiem, mimo to potężne ramiona dźwignęły go z podłogi, uniosły i cisnęły przez pokój. Poleciał bezwładnie, jak szmaciana lalka. Nie wiedział, dlaczego akurat teraz przypomniał sobie tę zabawkę. Zawsze tuliła ją, wychodząc z pokoju ojca, kiedy matki nie było w domu. Zawsze płakała, a potem siedziała w kącie i nie chciała wyjść. Dopiero krzyki ojca zmuszały ją, żeby się stamtąd ruszyć. Raz nawet posikała się ze strachu, gdy na nią wrzasnął. W wieku szesnastu lat uciekła z domu, szlajała się po melinach, ćpała i piła, aż wreszcie

skoczyła z mostu do Odry. Jej ciało wypłynęło gdzieś pod Kostrzynem dwa miesiące później. Już nie przypominała jego siostry.

Upadł plecami na stół. Ból zupełnie go sparaliżował. Plecami prześlizgnął się po blacie, ściągając obrus razem z popielniczką, butelką wódki i kieliszkiem. Tłuczone szkło zabrzęczało na podłodze, a on, upadając, połamał krzesło. Pamiętał tylko, że to jego cholerne nieszczęście, żona, krzyczała coś do Damiana, lecz on wpadł w szal. Znowu dopadł Żołnierza, na szczęście nie używał pięści, tylko cisnął nim o szafę. Wielkie lustro w jednym ze skrzydeł rozsypało się w drobny mak. Uderzył w nie czołem i barkiem i tylko cudem nie pociął twarzy. I to by było na tyle.

Kobieta wisiała na plecach kochanka i przytrzymywała jego ręce. On sapał jak rozwścieczony byk, lecz już z wolna się uspokajał. *Ladies and gentlemen*, dzisiejsze starcie w korridzie wygrywa byk, masakrując toreadora. W nagrodę dostanie jego byłą kobietę i będzie ją dymał przez całą noc w jakimś zacisznym hoteliku. Zasłużył sobie przeciw. Prawda?

– Damian, on ma już dość – mówiła spokojnie Barbara.

Damian westchnął głęboko.

– Ale on cię uderzył – powiedział.

– Lekko, jest pijany, pewnie też ćpał.

– Bił cię wcześniej?

– Nie, to pierwszy raz, nie wiem, co w niego wstąpiło.

– To jest gliniarz? Taki skurwysyn i degenerat, naprawdę?

– Damian, chodźmy już. Pojedziemy jednak do ciebie. To nie był dobry pomysł.

Damian milczał długo. Żołnierz nie otwierał oczu. Słyszał jakieś mlaskanie. Pewnie uderzyli w ślinę.

– Lubię, kiedy jesteś takim samcem alfa – usłyszał jej szept. – Zostaw tego chuja i chodź. Mam na ciebie straszną ochotę.

Znowu mlaskanie, potem kroki i trzaśnięcie drzwiami.

Żołnierz otworzył oczy i wtedy dopiero tama puściła. Gorzkie łyzy potoczyły mu się po policzkach. Kurwa, to on był samcem alfa, to on powinien tu rządzić, to on powinien się z nią pieprzyć do białego świtu na wszystkie trzysta sześćdziesiąt pięć sposobów. On, a nie jakiś mięśniak. łyzy leciały mu jak woda z odkręconego kranu. Gdzie w tym wszystkim popełnił błąd? Chciał być taki jak ojciec, a teraz był taki jak matka. Leżał pobity na podłodze, płakał i wycierał krew z ust. Kurwa, kiedy tak się stoczył?

Z trudem podniósł się na kolana, poranił sobie dłonie o odłamki szkła, kiedy podpierał się nimi, żeby wstać. Chwiejnym krokiem podszedł do fotela i zwałił się na niego ciężko. Już nie płakał. Miejsce łez zajęły wściekłość i żądza zemsty. Nawet nie wściekłość. To była furia. Prawdziwa i nie do zatrzymania, jak tsunami uderzające o brzeg dziesięciometrową falą. Wiedział, co w jego życiu poszło nie tak.

To wszystko przez Wilczycę. Odkąd ta suka stanęła mu na drodze w policji, wszystko się spierdoliło. Z jednej strony pożądał jej. Była niezależna, wyzw-

lona, żyła, jak chciała, chodziła do łóżka, z kim chciała i kiedy chciała. Taka kurwa, feministka do bólu. Godzinami onanizował się, wyobrażając sobie, jak faceci ją posuwają, może nawet nie jeden, tylko kilku. A do tego ją poniżają i pokazują, kto tu tak naprawdę rządzi. Taka suka ma pewnie wielkie potrzeby. On by jej pokazał, co to znaczy samiec alfa. On by jej dał rozkosz, jakiej nigdy nie będzie znała. Z drugiej strony nienawidził jej. Za to, że jest taka niedostępna, że jego fantazje na zawsze pozostaną tylko fantazjami. Nienawidził jej całą duszą, bo wie, czego chce, potrafi postawić na swoim, rządzi facetami, jakby była pieprzoną królową Amazonek, a mężczyźni byli tylko jej sługami, którymi można pomiatać. Nienawidził jej, bo nie była dla niego. Nienawidził, ponieważ była od niego silniejsza. On chciał być jak ojciec, twardy, czasem brutalny rodzinny król pełną gębą. Ale czuł, że z taką suką jak Laura Wilk nawet on by sobie nie poradził. A może jednak by sobie poradził? Ta myśl sparaliżowała go jeszcze bardziej. To znaczy, że Piotr nie może nazywać się jego synem, jest miękką fają, leszczem i słabiakiem.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął, snując plany zabicia Laury. Najpierw oczywiście by ją zgwałcił, chciałby chociaż na moment zobaczyć w tym hardym spojrzeniu prawdziwy strach. Kurwa, podniecał się na samą myśl o takim spojrzeniu. I podniecony zasnął.

Nie wiedział, jak długo spał. Pewnie krótko, bo stłuczone żebra bolały przy każdym oddechu, szczęka mrowiła nieprzyjemnie, może była pęknięta. Ocknął się nagle, jakby ktoś wylał na niego kubeł zimnej wody. To naprawdę musiały być sekundy, bo erekcja jaszczce nie odpuściła. Nieprzytomnie zerknął w bok i na stoliku zobaczył swoją kartę Urbancard i pięknie uformowane dwie kreski koki. Kiedy on je, cholera, tak ładnie przygotował? Nieważne, co za różnica.

Upadł na kolana przed stolikiem i przez starą lufkę do papierosów wciągnął najpierw jedną, potem drugą krechę, zmieniając tylko dziurki. Dobrze, że ten bokser nie rozpierdził mu nosa. Albo nie stłukł tej rurki, która była jedną z niewielu pamiątek po ojcu. Kiedy zżarł go rak, matka najpierw płakała, a potem wyrzuciła wszystkie jego rzeczy do śmieci. Zdołał ocalić niewiele. Pamiętał, że ojciec palił ekstra mocne albo popularne. Z tych pierwszych odrywał filtr, a potem wkładał w lufkę. Już po jednym machu rurka robiła się tłusta i brązowa. Teraz była biała. Znak nowych czasów.

Znowu zapadł w letarg. Kiedy otworzył oczy i wreszcie zogniskował spojrzenie w jednym punkcie, najpierw zobaczył stół z ładnie ułożonym obrusem, a na nim flaszkę, popielniczkę i kieliszek. Jakby nic się nie stało. Ale stało się. Na krześle, za przeciwległą krawędzią stołu, dostrzegł ciemną postać. Nie ruszała się, ale miał wrażenie, jakby przenikała go wzrokiem.

– Tato? – zapytał ochryple. – Co mam zrobić z tą dziwką, Wilczycą?

Dopiero za moment uświadomił sobie, że przecież jego ociec nie żyje. No ale co z tego, skoro odpowiedział?

– Zabij ją.

Pokiwał głową, szukając fajek. Dostrzegł je na podłodze obok stłuczonej lufki ojca. Sięgnął w dół.

- Kurwa, tato. Stłukłem pamiątkę po tobie. Kurwa, ale ze mnie dupa.
- Nieważne, zabij Wilczycę.
- Zabiję.

Piotr zapalił papierosa i znowu spojrzał w kierunku zjawy. Nikogo tam nie było. Podniósł się z trudem, nalał do kieliszka wódki z pełnej butelki i wypił. Potem palił i pił, aż zasnął z głową na stole.

## 10

Sonia otworzyła oczy i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Obudził ją ból. Szarpnęła się i zrozumiała, że nie może się ruszyć. Była przywiązana do krzesła, w ustach miała śmierdzącą olejem silnikowym szmatę. Omal nie wymiotowała. Zrozumiała, że kiedy tylko przejdą torsje, umrze. Udusi się własnymi wymiocinami, jak wokalista jej ulubionego rockowego zespołu, Bon Scott. Nie mówiła Maćkowi, że uwielbia AC/DC, nie mówiła mu, że kręcą ją starsi od niej mężczyźni, nie zwierzyła się, że dziewictwo straciła w wieku siedemnastu lat z czterdziestoletnim sąsiadem. O wielu rzeczach mu nie mówiła, bo był dziwny. Nawet gdyby mu powiedziała, i tak by jej nie słuchał. Te jego plany i ich realizacja. Poza planami nic nie istniało. Dlatego czuła się gorsza, a potem stało się coś, czego nie przewidziała, i teraz tkwiła w tej wilgotnej, zatechłej piwnicy w jakichś ruinach i nie wiedziała, co z nią będzie.

Na początku walczyła. Jednak więzy były na tyle mocne, że tylko pokaleczyła sobie nadgarstki i miejsca nad kostkami u stóp. Zdarła gardło, krzycząc i wzywając pomocy. Chyba nawet czuła krew w ustach od tego krzyku. Czy można zedrzeć sobie gardło do krwi? Możliwe. Najgorszy był jednak strach. Nawet nie strach, tylko dzikie przerażenie, jakie ją ogarnęło. Co on z nią zrobi? Zgwałci ją? Pewnie tak. Potem ją zabije, zakopie gdzieś w lesie i ślad po Soni zaginie. Mama nigdy się nie dowie, co się z nią stało, gdzie zniknęła, o czym myślała w ostatnich godzinach życia. A myślała o matce. Przecież ją kochała, tylko jakoś ostatnio nie miały ze sobą wspólnego języka. Pewnie dlatego, że Sonia związała się z Maciejem, a mama chciała dla niej księcia z bajki i wspaniałego ślubu z białym welonem i w oszałamiającej sukni.

Znowu łzy napłynęły jej do oczu. Tylko tym razem nie mogła ani płakać, ani krzyczeć. Ten zwyrodnialec zapchał jej usta szmatą. I teraz musiała nad sobą panować, żeby nie skończyć jak jej idol i jeszcze kilka innych znanych gwiazd rocka. Bo ona chciała żyć. Rozpaczliwie pragnęła żyć, mieć dzieci, męża, być szczęśliwą i dożyć późnej starości. Ale miała pecha, że trafiła na psychopatę. Dlaczego nie dostrzegła tego od razu. Co ją zaślepiło?

Nie wiedziała, jak długo już tak siedzi w tej przeklętej piwnicy. Narzucił na nią koc z wyciętym otworem na głowę, dlatego nie marzła w nocy, ale kiedy wschodziło słońce, było jej przeraźliwie gorąco. No i słabła z każdą godziną. W końcu zaczęła wpadać w odrętwiający letarg. Głowa jej ciążyła, przyszedł sen, jawa pomieszała się z majakami. W każdym z tych dwóch stanów rozpaczliwie



chciała żyć, naprawić błędy, niektórych nigdy nie popełnić, znaleźć sobie chłopaka w jej wieku, urodzić mu tuzin dzieci i być szczęśliwą. Tylko że to pewnie nigdy się nie zdarzy. Umrze w tej piwnicy. Takie niestety miała przecucie od samego początku.

Bo kto jej będzie szukał? Tylko jej mama. I to pewnie z dużym opóźnieniem. Może jeszcze nie wie, że jej córka jest więziona w piwnicy. Bo przecież nie Maciej.

Z letargu wyrwał ją odgłos zbliżających się kroków. Wyciągnął jej szmatę z ust. Spojrzała na prześladowcę z przerażeniem, ale też z nadzieją i błaganiami. Chciała coś powiedzieć, lecz nie czuła języka. Pochylił się i przyłożył jej do ust butelkę z wodą.

– Napij się – powiedział. – Ale powoli.

Dopiero teraz poczuła, jaka była spragniona. Piła łapczywie, ale on odsuwał butelkę za każdym razem po trzech jej łykach. Był jednak troskliwy, cierpliwy i poczekał, aż ugasi pragnienie, przepłucze usta, trochę otrzeźwieje i znowu będzie mogła mówić. Tylko że woda miała jakiś dziwny smak.

Tym razem nie krzyczała do utraty głosu. Skoro wtedy nikt jej nie usłyszał, to znaczy, że wokoło nikogo nie ma. Nie ma sensu denerwować porywacza wrzaskami. Pogodziła się, że jest całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę. Zrobi z nią, co będzie chciał, i ona nic na to nie poradzi.

– Jesteś głodna? – zapytał.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie czuła głodu, stres zabił wszystko, zostało tylko przerażenie.

– Nie – wycharczała.

– Dobrze, nakarmię cię następnym razem.

Ich oczy po raz pierwszy się spotkały. Wzdrygnęła się. Jeszcze nie widziała w nich takiej pustki. Jakby patrzyła w bezdenną czeluść, na której końcu była tylko śmierć. Jeszcze nigdy nie widziała u niego takich oczu.

– Zaufałam ci – wyjęczała.

– Pomyliłaś się. – Wzruszył ramionami. – Takie jest życie. Czasem podejmuje się złe decyzje i trzeba ponieść ich konsekwencje.

– Dlaczego mi to robisz?

Nagle zamarł, jakby naprawdę głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie zaczął mówić, wolno, nie patrząc na nią, tylko gdzieś w przestworza nad murami tych ruin.

– Bo zawsze chciałem to robić. Marzyłem o tym od dzieciństwa. Przez wiele lat się wstrzymywałem, lecz to było silniejsze ode mnie. I w końcu uległem. Teraz robię to, co lubię. Zadaję ludziom ból i stałem się panem życia i śmierci. Mówię „żyj” i człowiek żyje, a kiedy mówię „umrzyj”, umiera. To jest właśnie władza. Nie stanowiska, stołki, kariera. Władza jest wtedy, gdy ty decydujesz. Więc decyduję.

Nawet nie wiedziała, że będzie miała w sobie tyle odwagi, żeby zadać to pytanie.

– Każesz mi umrzeć?

Drgnął, jakby trafiła w czuły punkt. Spojrzał na nią zdziwiony, lecz jakoś inaczej, z szacunkiem.

– Jeszcze nie wiem.

Sonia przymknęła oczy, a mimo to nie była w stanie powstrzymać łez, które potoczyły jej się po policzkach.

– Wrócę za kilka godzin – powiedział. – Może wtedy będziesz głodna.

Usłyszała jeszcze chrzęst jego butów na pokrytej gruzami podłodze i zapadła cisza. Znowu była sama w piwnicy, w ciemności. Na zewnątrz pewnie panowała noc, ale ona nie bała się nocy. Bała się jego. Nie zakneblował jej, więc pewnie nie było sensu wołać o pomoc.

## 11

Odkąd Sonia napisała esemesa, Maciej Lesiecki przestał się o nią martwić. Nawet przez jakiś czas był na nią zły. Potem w sumie się ucieszył, że nie zapuka do niego policja i nie będzie musiał odpowiadać na trudne pytania. Tak będzie bezpieczniej.

Kolejne dwa dni spędził w Świdnicy i okolicach. Rozpytywał o Cybulskiego, jego zaginioną córkę, szukał świadków tamtych zdarzeń, oczywiście podawał się za detektywa. Społeczeństwo nie miało pojęcia, jakie uprawnienia ma detektyw, i ludzie spowiadali się jak przed policją.

Zwiedził okolice willi Cybulskich, z której została porwana Maria. Teraz była o wiele większa, bardziej reprezentacyjna, teren rozrósł się o dwie przylegające do niej działki i kawałek lasu. Wyglądała zacie i na pewno wiceminister i milioner nie miał się czego wstydzić, kiedy odwiedzali go politycy z jego ugrupowania i milionerzy bandyci. Wokoło też się sporo zmieniło, ale Lesieckiemu udało się spotkać emeryta, który opowiedział mu, jak to wszystko wyglądało w czasie, gdy porwano dziewczynę. Nawet rozrysował mu bardzo przydatny plan.

Mimo to Maciek wciąż nie miał pojęcia, kto mógł porwać Marysię i dlaczego. Tym bardziej gdzie szukać jej ciała, jeśli oczywiście została zamordowana. Na razie uznał, że nie żyje. Gdyby żyła, przez lata, które upłynęły, na pewno coś by wypłynęło. Ktoś by ją widział. Sfotografował, coś niepotrzebnie chlapanął. Tymczasem była cicho.

Kiedy kolejnego poranka Lesiecki szedł do samochodu zaparkowanego nieopodal swojego bloku, podeszło do niego dwóch mężczyzn. Wylegitymowali się jako funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu i poprosili, żeby wsiadł z nimi do samochodu. Maciej szybko ocenił sytuację. No tak, był naiwny, jeśli myślał, że jego łażenie po okolicy i wypytywanie o Cybulskiego przejdzie bez echa. Z drugiej strony przecież i tak planował spotkanie z nim. Może nawet lepiej wyszło? Cybulski mógłby po prostu nie zechcieć z nim rozmawiać. Odetchnął, kiedy czarne bmw, którym go wieźli na tylnym siedzeniu w towarzystwie trzeciego funkcjonariusza, za węzłem autostradowym na A4 skręciło w kierunku Świdnicy. Próbował coś mówić, ale smutni panowie nie byli skorzy do rozmowy. Dowiedział się tylko, że pan minister Cybulski chciałby z nim porozmawiać.

W willi polityka byli niecałą godzinę później. Maciej zauważył, że z bliska budynek prezentuje się jeszcze lepiej, widać też więcej szczegółów starannie zagospodarowanej posesji, kiedy nie zagląda się zza gęstego żywopłotu. Podeszedł

do nich młody człowiek w garniturze, przedstawił się jako sekretarz ministra i zaprosił go do środka. Kulturalnie, profesjonalnie, spokojnie. Lesiecki pomyślał, że w dawnych czasach, kiedy Cybulski był jeszcze na dorobku, takie zaproszenia na rozmowy były pewnie o wiele bardziej przykre dla zaproszonego.

Czekał około dwudziestu minut w sekretariacie, popijając przyzwoite doppio i ciekawie rozglądając się wokół. Gospodarz, jako czynny polityk z opcji będącej u władzy, musiał czasem przyjmować interesantów w domu, dlatego też kilka pomieszczeń przeznaczył na taką działalność. Oprócz sekretariatu były tu gabinet, mały aneks kuchenny, toaleta i niewielkie pomieszczenie mogące służyć za archiwum dla dokumentów. Taka mała namiastka ministerialnego biura.

Po prawie dwóch kwadransach oczekiwania Maciej został wreszcie zaproszony do gabinetu Cybulskiego. Tylko że to zaproszenie nie było zaproszeniem, lecz raczej wezwaniem. Gabinet też nie okazał się klasycznym gabinetem, tylko urządzonym z wielkim przepychem salonem z biurkiem przy tarasie w nasłonecznionym miejscu.

Gospodarz był facetem koło sześćdziesiątki, na którym życie w przepychu i przesiadanie się z limuzyny za biurko, a potem ewentualnie na sofę, zostawiło poważny ślad. Miał nadwagę, spory brzuch, na którym z trudem dopinała się koszula z krótkim rękawem. Policzki wisiały mu niezdrowo, a pod oczami źle się prezentowały ciemne wory. Nie zrobił na Lesieckim dobrego wrażenia. Może tak właśnie miało być, skoro nie ucisnął mu nawet dłoni, tylko wskazał dwa skórzane fotele przy stoliku ze szklanym blatem tak wyszlifowanym, że padające na niego promienie słoneczne odbijały się wielobarwnym refleksem. To pewnie była bardzo droga ozdoba. Lesiecki co prawda nie interesował się zbyt polityką, ale znał z widzenia członków rządu pokazywanych w każdych wiadomościach. Cybulskiego widział jednak po raz pierwszy. Mistrz drugiego albo trzeciego planu.

Nie zaproponował nic do picia, tylko patrzył na gościa nieruchomo dość długo. Jeśli myślał, że wytrąci go tym z równowagi, to nie uwzględnił faktu, że Maciej jest psychologiem, zna takie zagrywki i potrafi sobie z nimi radzić.

– Maciej Lesiecki, psycholog – odezwał się wreszcie Cybulski głosem człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, z którymi się nie dyskutuje.

– Do usług. – Maciej skłonił się lekko.

– Podaje się pan za detektywa, mimo że pan nim nie jest. To pewne wykroczenie, ale odpuszczę panu. W końcu nikomu pan tym krzywdy nie zrobił. – Nagle jakby się rozluźnił. – Wie pan, ta ustawa o detektywach to jest bubel prawny. Sam chciałem to zmienić, ale zawsze są ważniejsze rzeczy, poza tym to nie jest temat dla telewizji, a opozycja i tak zgłosiłaby sto poprawek i gówno by z tego było. Takie mamy czasy, panie Macieju. Jak sami szybko nie przegłosujemy, potem jest problem.

– Jak to w polityce. – Lesiecki tonem głosu zaprezentował pełną obojętność na te zwierzenia.

– Smakowała panu kawa?

– Pijałem lepsze, ale była bardzo przyzwoita – odpowiedział bez zastanowienia.

Cybulski przez chwilę przyglądał mu się z zastanowieniem. Wreszcie się roześmiał.

– Cenię sobie szczerość, lubię ciętą ripostę – powiedział. – To charakteryzuje osoby pewne siebie i zdecydowane. Po co pan pyta o moją córkę?

Sprytnie, ocenił Maciej. Najpierw opuszczenie gardy i zaraz potem prawy podbródkowy.

– Mam swoje powody, panie ministrze – odpowiedział.

– Skoro zadaje pan sobie tyle trudu w odgrzebywaniu starych ran, wierzę, że tak właśnie jest – stwierdził w zamyśleniu Cybulski. – Nie pomyślał pan jednak, żeby na samym początku skontaktować się z osobą najbardziej zainteresowaną, czyli mną, ojcem Marysi.

– Szczerze mówiąc, zamierzałem z panem porozmawiać. Myślałem jednak, że jest pan zajęty w Warszawie, i nie chciałem przeszkadzać w pracy.

Minister poprawił się w fotelu.

– Wie pan, na szczęście praca nie jest aż tak absorbująca i często bywam w domu. Jak pan widzi, stąd też pracuję, a jednocześnie mogę wieść w miarę normalne życie prywatne, kiedy tylko nie muszę być w ministerstwie albo jeździć po kraju.

– Czy w takim razie możemy teraz porozmawiać o zaginięciu pana córki?

Cybulski się nagle zasępił. Wstał i kiedy Maciej myślał już, że wzorem dobrych filmów gangsterskich podejdzie do przeszklonego barku i naleje sobie drogiej whisky do kryształowej szklanki, on stanął przy oknie tyłem do niego. Przez długie chwile kontemplował widok za szybą, jakby nigdy jeszcze nie widział swoich trawników, ścieżek i kawałka basenu.

– Powiem coś panu, panie Lesiecki – odezwał się wreszcie. – Kochałem córkę. Bardzo ją kochałem. Może czasem nie było tego widać, bo ona akurat był zbudowaną nastolatką, a ja zapracowanym biznesmenem i nie miałem czasu, aby spróbować ją zrozumieć, albo nawet nie chciałem jej zrozumieć. Uważałem, że jej bunt jest szczeniacki i jej to z wiekiem przejdzie. Cóż, nie zdążyłem się o tym przekonać i teraz bardzo tego żałuję.

Wolno wrócił na swoje miejsce i zwałił się ciężko na fotel. Maciej myślał przez chwilę, że szwy puszczą z trzaskiem, kiedy mebel wydał z siebie dziwny odgłos. Po raz pierwszy gospodarz pokazał swoje prawdziwe oblicze. Gdyby Maciej nie wiedział, z kim rozmawia, teraz po samej mimice poznałby gangstera.

– Chcę panu powiedzieć coś jeszcze – mówił dalej, tym razem w jego głosie dźwięczały jakieś metaliczne nuty. – Nigdy nie pogodziłem się z jej zaginięciem, przez wiele lat czekałem, aż się wreszcie odnajdzie. Przez te wszystkie lata bez przerwy prowadziłem poszukiwania, wydałem na to grube miliony, zresztą pieniądze się nie liczyły. Zawsze najważniejsza dla mnie była Marysia. Wynajmowałem najlepszych detektywów, najlepszych łowców, dziennikarzy śledczych, nawet korumpowałem policjantów i prokuratorów, żeby mieli motywację do ciągłych poszukiwań. Wcale się tego teraz nie wstydzę i nie uważam tego za coś zdroż-

nego. Ja po prostu byłem zrozpaczonym ojcem, który chwyta się każdego sposobu, żeby odnaleźć swoje dziecko porwane przez jakiegoś bandytę. Tylko że nie było żadnego śladu, rozumie pan, panie Lesiecki? Nikt nie znalazł żadnego śladu mojej córki.

Wiceminister nagle się zasapał i zamilkł. Kontynuował, kiedy oddech mu się uspokoił. Maciej słuchał w milczeniu i być może wierzyłby gospodarzowi, gdyby nie gesty, mimika i ton głosu. Tu nic się nie zgadzało. Kłamstwa mieszały się z prawdą.

– Za te poszukiwania zapłaciliśmy straszną cenę, panie Lesiecki. Moja żona jest alkoholizką po pięciu odwykach. Od dwóch lat żyje w trzeźwości. To jej najdłuższa przerwa, odkąd zaczęła pochłaniać koniak litrami. Ale niech pan nie myśli, że nareszcie nam się ułożyło w małżeństwie. Nie pije, bo ma dużo młodszego kochanka. Mamy układ. Dopóki jestem w rządzie, po cichu może robić, co chce, ale oficjalnie na przyjęciach jesteśmy szczęśliwym małżeństwem po przejściach. Ja paliłem trzy paczki dziennie, aż wysiadło mi serce. Jestem po zawale, mam zaawansowaną nerwicę i jeszcze kilka chorób, o których panu nie wspomnę.

– Dlaczego pan mi to mówi? – Maciej skrzywił się nieznacznie.

Cybulski nachylił się do niego i nagle w jego oczach błysnęła złość, jakby na potwierdzenie spostrzeżenia Lesieckiego, który w ministrze widział tylko gangstera.

– Bo, kurwa, chciałem panu jako psychologowi, a nie detektywowi, uświadomić, jak dużo kosztowało mnie zaginięcie córki. W pewnym momencie ochłonąłem i powiedziałem sobie: stop! Nie można ciągle żyć przeszłością, nie można gonić za złudzeniem i wreszcie podjąłem decyzję, że tamto życie oddzielam grubą kreską i zaczynam od nowa. Pogodziłem się z tym, że moja córka nie żyje, i nie mam zamiaru do tego wracać. Zamknąłem kilka biznesów, kilka sprzedałem, zostawiłem sobie tylko te najbardziej perspektywiczne i zostałem politykiem. Po latach cierpienia chcę coś dobrego zrobić dla ludzi.

– Już nie chce się pan dowiedzieć, co się stało z Marią?

– Długo chciałem się dowiedzieć i zapłaciłem za to dużą cenę. Teraz już nie chcę.

Mierzyli się wzrokiem. Lesiecki milczał, a gospodarz wciąż miał coś do dodania.

– Nie wiem, skąd ten pomysł, żeby szukać Marysi, ale zabraniam panu. Ja już nie chcę wiedzieć, moja rodzina nie chce wiedzieć, żyjemy terazniejszością i nie oglądamy się za siebie. Rozumie pan, panie Lesiecki?

– Znam takie mechanizmy obronne z pracy zawodowej – skwitował Maciej.

– Cieszę się, że pan to rozumie. – Cybulski chyba się trochę rozluźnił. – Zabraniam panu szukania Marii.

– Szanuję pana opinię. Jednak nie może mi pan niczego zabronić. Żyjemy w wolnym kraju, mogę robić, co mi się podoba.

Znowu popatrzyli sobie w oczy. Tym razem Maciej nie zamierzał odpuszczać. Za to Cybulski pochylił się do przodu i tym razem w jego głosie zabrzączała stal.

– Lesiecki, rozczarowuje mnie pan. Kazałem pana tu przywieźć, żeby wybić panu z głowy te poszukiwania. Szczerze mówiąc, zamierzałem pana nastraszyć. Wie pan, ja mam sporo możliwości, żeby uprzykrzyć komuś życie. Zarówno tych legalnych, jak i tych mniej legalnych. Kiedy jednak pana zobaczyłem, pomyślałem, że z doktora rozsądny facet, więc powiem prawdę. Niestety, chyba będę jednak musiał narobić panu trochę kłopotów.

Lesiecki wstał i spojrzął na gospodarza z góry.

– Panie ministrze, bez urazy – powiedział. – Gdyby pan był ze mną szczerzy, może by się panu udało. Niestety rozczarował mnie pan, opowiadając te ckiwie historyjki, w większości nieprawdziwe.

– Ty cholerny sukinsynu! – wybuchnął nagle polityk i gdyby tylko spojrzeniem umiał ciskać gromy, Maciej już płonąłby żywym ogniem.

Gospodarz nagle zamilkł, jakby zły na siebie, że dał się w ten sposób sprowokować, i pokazał prawdziwe oblicze. Znowu oddychał ciężko, poczerwieniał na twarzy i dopiero po chwili mógł ze ściśniętego gardła wydusić kilka słów normalnym tonem.

– Popęlniasz duży błąd, Lesiecki – wycodził przez zęby. – Nawet nie wiesz, w co się pakujesz.

– Chętnie się dowiem. Czy twoi opłacani z moich podatków pretorianie mogą mnie odwiedzić do domu?

Maciej zostawił kipiącego gniewem Cybulskiego za plecami i wyszedł. Sekretarzowi powiedział, że mają go odwiedzić, tak samo jak go tu przywieźli.

Jadąc na tylnym siedzeniu czarnego bmw, czuł się wspaniale. Lekki, pełen energii i gotowy na wszelkie wyzwania. Mózg produkował hektolitry endorfin, był młodym bogiem, dla którego nie ma żadnych ograniczeń.

Myślał o swoim życiu. Musi coś zmienić, nie można trwać w takim marazmie, nie można być tak nudnym i przewidywalnym. Nie można ciągle planować wszystkiego co do godziny, a potem wpadać w panikę, jeśli nie uda się zrealizować planów. Jezu, nie jest jeszcze taki stary, nie może pogrzebać się za życia, jeszcze wiele przed nim. I jeszcze do tego Sonia. Głupia dziewczyna, którą przygarnął chyba z litości. Kiedy tylko wróci do domu, każe jej się pakować i wynosić do mamusi. Trudno, każdy w życiu popełnia błędy. Może ta przygoda ją czegoś nauczy.

Kiedy dłużej myślał o Soni, poczuł się dziwnie. Jakby przygotował dla siebie wspaniały prezent pod choinkę, tylko jeszcze sam przed sobą nie ujawnił zawartości wielkiej paczki. Odkąd zarzucił pisanie planów, czuł się o nią dziwnie spokojny. Przecież nic nie może jej się stać.

Wyciągnął telefon i spojrzął na wyświetlacz. Dwa nieodebrane połączenia od Laury Wilk. Wsiadając jakiś czas temu do rządowej limuzyny, wyciszył aparat, żeby się nie rozpraszać, dlatego nie usłyszał, gdy dzwoniła. Postanowił oddzwonić. Dotąd nieudolnie się oszukiwał. Teraz mógł przyznać sam przed sobą, że to jest jedyna kobieta, na której mu tak naprawdę zależy.

Jeśli podobały mu się takie kobiety jak Laura, dlaczego szukał małolat i związał się z tą głupią siksą, Sonią? Jezu, wszystko przez to kretyńskie i bezsensowne

planowanie życia. Laura nie mieściła się w planie, rozsadzała go. Była zbyt niezależna i nieprzewidywalna. Przecież tylko ona z taką łatwością mu te plany psuła, a on nie protestował, a jeśli nawet, to słabo i bez przekonania.

Wybrał jej numer.



## 12

- Halo?

Miała taki głos, jakby wyrwał ją z głębokiego zamyślenia.

- Cześć, dzwoniłaś do mnie.

Laura Wilk wyraźnie się zawahała, jakby teraz powód dwóch prób połączenia z Maciejem sprawił ją w zakłopotanie.

- Napisałam ci też esemesa.

- Jeszcze nie przeczytałem.

- Dzwoniłam, chciałam wiedzieć, co u ciebie – powiedziała. – Sonia się znalazła?

- Tak, gdzieś wyjechała. Niestety twierdzi, że wróci.

- Dlaczego Niestety?

- Może miałaś rację? Zbyt duża różnica wieku, nigdy się nierozumiemy.

- Nie poznaję cię. – Laura roześmiała się dźwięcznie. – Skąd nagle takie przemyślenia?

Lesiecki sam się zdziwił swoimi słowami. Mimo to mówił dalej, jakby kto inny wypychał mu słowa z gardła.

- Przemyślałem wiele. Wszystkie moje wcześniejsze przygody nie dawały mi satysfakcji, na żonę i matkę dla syna wybrałem niewłaściwą kobietę, potem wciąż popełniałem błędy. Laura, tylko z tobą jest mi naprawdę dobrze. Tylko przy tobie jestem sobą i nie muszę udawać kogoś innego.

W słuchawce zapanowała kłopotliwa cisza. Jego słowa musiały ją mocno zaskoczyć i teraz nie wiedziała, jak ma je skomentować. Wybrała żart.

- Maciek, czy ty się nie walnąłeś przypadkowo w głowę? Nigdy wcześniej tak nie mówiłeś.

- Laura, wiek nie świadczy o mądrości.

Ona znowu się na chwilę zawahała i nagle wziął ją strach i zarządziła sobie odwrót.

- Przepraszam, Maciej, ale akurat jestem mocno zajęta. Porozmawiamy innym razem.

- Dobrze, cześć.

- Cześć!

Laura rozłączyła się i zamarła z mocno bijącym sercem. Co mu się stało, do jasnej cholery? Co się z nią działo pod wpływem jego słów? Czy po tamtej nocy, którą u niej spędził, coś się naprawdę między nimi zmieniło? Uspokajała się

powoli, serce odzyskiwało właściwy rytm, nie czas na takie błahostki. Była tak zaskoczona, że go nie ostrzegła przed sprawą Marii Cybulskiej. Później to zrobi, teraz ma robotę, ściga seryjniaka, ktoś zabił policjanta. Musi się skupić. Może jeszcze przyjdzie czas i wreszcie przedstawi kogoś swojej siostrze. Obiecała sobie, że pójdzie do niej w odwiedzin tylko z facetem, z którym zwiąże się na stałe, na śmierć i życie. Czy Maciej będzie tym facetem?

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie. Nawet nie zdążyła się odezwać, gdy drzwi się gwałtownie otworzyły i do środka zajrzał komisarz Piotr Żołnierz. Twarz miał poobijaną, oczy podkrążone, jakby przez tydzień pił, a teraz nagle musiał wytrzeźwieć w jedną noc.

– Co ci się stało? – rzuciła Laura trochę z troską i zaraz pożałowała tych słów. On jej nie trawił, więc nie było sensu wchodzić w jakiegokolwiek interakcje poza tymi służbowymi.

Mimo to odpowiedział i zabrzmiał w miarę naturalnie.

– Miałem nieoczekiwane spotkanie z parafialną żulernią – mówił cicho, trochę niewyraźnie, co jednak zachęciło Wilczycę do zadania kolejnego pytania.

– To ilu ich było?

– Trzech... tu masz te materiały o zdarzeniach sprzed lat.

Rzucił jej na biurko opasły segregator i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Chwilę patrzyła na zamknięte drzwi, czując nieprzyjemną gorycz w ustach. Czego ten cholerny Żołnierz od niej chce? Jest zawistny, bo teraz ona rządzi w sprawie Poltergeista? Może jej nienawidzi, bo jest kobietą, a mimo to radzi sobie w policji? A może jeszcze coś innego? Cholerny burak! Z trudem oderwała swoje myśli od tego skorumpowanego drania. Chce wojny, będzie ją miał.

Jeden z nowych policjantów w wydziale, taki, co to się jeszcze przejmował robotą, zarwał nockę, żeby przygotować dla niej wyciąg z akt z niewyjaśnionymi zabójstwami sprzed lat. To była kolejna hipoteza, którą ponownie sprawdzali. Poltergeist mógł działać od dawna, tylko wtedy tych zbrodni nie powiązano ze sobą, dlatego śledczy mogli rozpatrywać niektóre sprawy jako pojedyncze zdarzenia, z nikim niezwiązane. Pomysł pochodził od Góralskiego, mocno naciągany, lecz Laura postanowiła sama przejrzeć te akta. Wreszcie, przy kolejnej kawie, z trudem się skupiła. Zapomniała o Lesieckim, Żołnierzu i wszystkich problemach. Była tylko ona i kserokopie dawnych spraw. Nawet się nie zorientowała, kiedy upłynęła godzina.

Wtedy do jej pokoju zajrzał Góral.

– Widziałś Piotra? – zapytał.

Nie odpowiedziała, wpatrzona w kostki jego palców prawej dłoni. Były posiniaczone i podrapane, jakby Góralski porządnie komuś przywalił, do tego kilka razy. Wnioski nasuwały się same.

– Co ci się stało w rękę? – zapytała. – Pobiłeś się z Żołnierzem?

Góralski odruchowo schował dłoń za plecy i zaraz ją wyciągnął, jakby zakłopotany.

– Nie, upadłem dość nieszczęśliwie. – Nie udało mu się ukryć fałszywej nuty w głosie. – Dlaczego z nim?

– Jak go spotkasz, zrozumiesz.

Wzruszyła ramionami i dalej przeglądała akta. Była już prawie przy końcu, kiedy znajome imię i nazwisko przykuło jej uwagę. Poczowała, jak nagle traci grunt pod nogami i zawisa gdzieś w próżni niepewności i podejrzeń. Ariel Lesiecki.

Zakręciło jej się w głowie. Odchyliła się w fotelu, zastanawiając się gorączkowo. Ten Ariel Lesiecki? Nie było wątpliwości, przecież imię było tak specyficzne, że pewnie w czasach, kiedy Maciek się nim posługiwał, był jedyny w województwie.

Drapiąc się nerwowo po policzku, zaczęła czytać skserowane raporty. Do zdarzenia doszło osiemnaście lat wcześniej. Iwona Pruska była studentką psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Na tym samym roku i w tej samej grupie, w której studiował Ariel Lesiecki. W pewien wiosenny weekend kilkunastu studentów postanowiło się odprężyć przed sesją i zorganizowało wyjazd do Karpacza. Z zeznań, jakie składali młodzi ludzie, wynikało, że głównie zajmowali się picciem i paleniem ziółka. Z kwatery wychodzili tylko po kiełbaski na grilla, piwo, ewentualnie coś mocniejszego. Jak sami twierdzili, kac po pierwszej imprezie skutecznie zniechęcił ich do aktywności fizycznej. Dopiero kiedy zbierali się do wyjazdu, zorientowali się, że nie ma wśród nich Iwony Pruskiej.

Na początku nikt się tym nie zainteresował, myśleli, że gdzie poszła i zaraz wróci, kiedy jednak przyszedł czas odjazdu, a jej nie było, zaniepokoił się. Tym bardziej że w pokoju zostały jej rzeczy, a kiedy grupa zaczęła się zastanawiać, gdzie mogła zagać, okazało się, że nikt jej nie widział od poprzedniego poranka, tylko zaćmieni alkoholem i ziołem tego nie zarejestrowali. Poszukiwania nie dały rezultatu, zawiadomili miejscową policję i wrócili do Wrocławia.

Potem były śledztwo, przesłuchania, stresy, niepokój. Mimo prężnego działania policjantów z Jeleniej Góry Iwony nadal nie znaleziono. Przeszukano teren przy ośrodku, w którym zatrzymali się studenci, bez rezultatów. I wtedy na arenę wkroczył Ariel Lesiecki, który postanowił zagrać jedną z głównych ról tego dramatu. Laura aż otworzyła oczy ze zdumienia, kiedy czytała policyjny raport. Potem znowu opadła na oparcie fotela i długo myślała. Tak, to było do niego podobne. Bezczelność, odwaga, a równocześnie empatia, której tak ludziom brakuje. Cały Lesiecki. Do dzisiaj taki jest. Mimo zmiany imienia i próby zmiany samego siebie jest miękki, uczuciowy i łatwo daje się zranić. No i nareszcie Laura Wilk dowiedziała się, skąd wzięło się przezwisko: Poszukiwacz Zwłok. Nigdy nie chciał jej tego powiedzieć, więc myślała, że dorobił się go, współpracując z policją przy poszukiwaniach zaginionych. Tymczasem miał je już od czasów studenckich. Nadali mu je złośliwi koledzy i koleżanki. Być może nawet było nadane złośliwie, bo były podstawy do tego, żeby Ariela podejrzewać, że był zamieszany w śmierć Iwony Pruskiej. Policja długo go przesłuchiwała, wreszcie śledczy podziękowali mu za zaangażowanie i na tym sprawa się zakończyła.

Laura pochyliła się nad papierami jeszcze raz. Ariel Lesiecki rozmawiał z kolegami o zaginionej dziewczynie, podobno wyglądało to tak, jakby każdego z osobna przesłuchiwał jeszcze bardziej szczegółowo niż policja. Wypytywał przede wszystkim, jaka Iwona była naprawdę. Wiadomo, że na studiach każdy

przybiera jakąś pozę, maskę, kreuje się na kogoś innego, niż jest. Ariel dużo czasu spędził nad czymś, co można było nazwać profilem psychologicznym zaginionej. Potem na tej podstawie stworzył hipotezę odnośnie do tego, co Iwona mogła robić przed zniknięciem. Potem pojechał do Karpacza i znalazł zwłoki dziewczyny. Jak później tłumaczył policjantom, jedna z koleżanek Iwony zachwycała się widokiem pewnego miejsca, które odwiedzili zaraz po przyjeździe do ośrodka położonego prawie na końcu Karpacza Górnego. Na końcu terenów zabudowanych szosa skręcała w prawo, po lewej stronie rósł sosnowy las, pomiędzy którego rozpościerał się cudowny widok na góry. Iwona podobno wspomniała, że musi tu wrócić. I wróciła dwa dni później, tylko że ktoś ją tam zgwałcił i zabił. Nagie ciało zrzucił ze skały. Leżała w tak niedostępnym miejscu, że policja jej nie znalazła. Ariel pożyczył od kogoś linę i opuścił się w to miejsce, narażając się na niebezpieczeństwo.

Podobieństwo do zbrodni popełnianych przez Poltergeista było wyraźne. Ofiara została pobita i brutalnie zgwałcona, ciało było nagie, nigdy nie znaleziono ubrania. Czy to mogła być jedna z jego pierwszych ofiar? Trzeba dokładniej się temu przyjrzeć. Jak to się stało, że Lesiecki znalazł zwłoki? Przypadek?

Laura odstawiła kubek z kawą, kiedy żołądek ścisnął się jej nieprzyjemnie. Ciągle czuła się dziwnie, jak zawieszona w powietrzu, szukała rozpaczliwie punktu oparcia. I wreszcie znalazła ten punkt. To było zrozumienie. Już wiedziała, dlaczego Ariel Lesiecki w pewnym momencie postanowił zmienić całe swoje życie. Ta sytuacja z Iwoną Pruską była gwoździem do trumny dla rozchwianego emocjonalnie, bardzo wrażliwego młodzieńca wychowanego przez ojca alkoholika. Te uczucia musiały w nim narastać i narastać, w końcu sobie nie poradził i postanowił uciec od samego siebie. Było jej go autentycznie żal. Pewne zdarzenia z przeszłości na zawsze nas zmieniają, płacimy czasem wysoką cenę za zachowanie normalności. Ariel zapłacił najwyższą cenę, sam się skasował.

Morderca Iwony Pruskiej nigdy nie został odnaleziony. Sprawa niedawno trafiła do krakowskiego oddziału Archiwum X, jednak na razie nie doczekała się ponownego zbadania.

## 13

**M**aj w tym roku wydziwiał z pogodą, jakby to do niego odnosiło się przysłowie, że trochę zimy, trochę lata. Po kilkunastu letnich, upalnych dniach urozmaiconych dwoma burzami nagle zafundował ludziom późną zimą. Spotkały się jakieś zabłąkane prądy atmosferyczne, które tak niefortunnie się ze sobą zderzyły, że nagle nad środkową Europę popłynęło arktyczne powietrze i lato na jakiś czas zostało odwołane.

Komisarz Piotr Żołnierz zaparkował przy starej willi na Jaworowej i przez chwilę nie wychodził z auta. Patrzył w inną stronę i palił w zamyśleniu. Pracę w policji zaczynał w komisariacie na Jaworowej, a konieczność wizyty w tym miejscu przywołała wspomnienia. Teraz budynek służył komuś innemu, do innych celów. Mimo wszystko poczuł przypływ nostalgii za dawnymi czasami. Przecież wtedy był inny i myślał, że jego życie potoczy się w zupełnie innym kierunku.

Wreszcie otworzył drzwi, wyrzucił peta na trawnik i poszedł w stronę furtki przed niedawno wyremontowaną poniemiecką willą. Nigdy tu jeszcze nie był, a skoro kazali mu przyjechać, sprawa była bardzo poważna. Nacisnął dzwonek, kamera na słupku zlustrowała go dokładnie, szczęknął zamek. Wszedł i ruszył wykafelkowaną ścieżką w kierunku drzwi. Budynek robił wrażenie. Właściciel nie próbował niczego na siłę unowocześniać. Wszystko wyglądało tak jak przed drugą wojną, kiedy willa przeżywała swój pierwszy okres świetności. Nawet bluszcz pnący się po jednej ze ścian wyglądał jak nie z tego stulecia.

Podróż w czasie komisarza Żołnierza zakończyła się w drzwiach, gdy ujrzał wytatuowanego, łysego mięśniaka ubranego jak pajace zza oceanu. Kurwa, kiedyś gangsterzy mieli przynajmniej klasę – pomyślał. Znał tego głupka. Nazywali go Maks i nie wiadomo dlaczego taki gość jak Krystek trzymał tego gnoja jako jednego ze swoich głównych przydupasów. Pewnie mentalnie był na tym samym poziomie, tylko kreował się na mecenasa. Piotr z zainteresowaniem spojrzął na poobijaną gębę Maksa.

– A ty się, kurwa, z lokomotywą zderzyłeś? – mruknął.

– Napadli mnie we trzech i teraz tego żałują – odpowiedział goryl, uciekając wzrokiem w bok.

Żołnierz omal nie roześmiał mu się w twarz, lecz w porę przypomniał sobie, jak on wygląda i skąd ma podobne ozdoby i kolory na twarzy. Jednak nie poczuł

z Maksym braterstwa dusz. Kłamcy nigdy nie będą przyjaciółmi, bo kłamstwo nie służy przyjaźni.

Nie odezwali się do siebie więcej. Maks obszukał policjanta, zabrał mu wszystkie metalowe rzeczy, a potem przeprowadził przez bramkę jak na lotnisku. Bezpieczeństwo to podstawa, szczególnie w takiej trudnej i niebezpiecznej branży. Zaprowadził komisarza do niewielkiego pomieszczenia urządzonego z takim przepychem, jakby nad dizajnem czuwał główny projektant stolicy Bizancjum. Długo przyszło mu czekać w skórzanym, pewnie bardzo droгим i cholernie niewygodnym fotelu.

Wreszcie drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł zadbane wysportowany przystojny mężczyzna w garniturze kosztującym tyle, ile wynosiła równowartość półrocznych zarobków Żołnierza w policji. Mecenas Krystek, najważniejszy człowiek milionera Krzysztofa Darskiego. Nie wiadomo zresztą, czy naprawdę był prawnikiem, czy tylko tak przyjęło się go nazywać. Widział go dotąd tylko dwa razy i nigdy z nim nie rozmawiał. Skoro teraz sam mecenas marnuje na niego swój cenny czas, musi być naprawdę nieciekawie. Żołnierz po raz pierwszy poczuł ukłucie strachu.

Krystek usiadł na takim samym fotelu naprzeciw niego. Mecenas nie podał mu ręki, tylko spojrzał ciekawie, lecz z jego spojrzenia niewiele dało się wyczytać. Totalne zero emocji, ani złość, ani ciekawość, ani żądza mordy. Jakiś cholerny psychopata wyprany całkowicie z empatii i innych ludzkich uczuć. Głos prawnika brzmiał jednak nieoczekiwanie przyjemnie.

– Witam pana, komisarzu Żołnierz. Miło wreszcie poznać.

Policjant tylko skinął głową.

– Słyszałem, że prosił pan o pomoc, już wiem, jakiego rodzaju kłopoty pana dopadły. Będę szczerzy, ponieważ wyświadczył nam pan duże przysługi i był przez lata lojalny. Nie zostawiamy swoich ludzi na pastwę wściekłych stróżów prawa. Dlatego panu pomogę.

– Co mam zrobić w zamian? – zapytał Żołnierz, czując suchość w gardle.

– Cieszę się też, że w naszych podstawowych relacjach rozumiemy się prawie bez słów. – Przez twarz prawnika przemknął uśmiezek. – Pozwoli pan, że najpierw przedstawię warunki. Postępowanie toczące się przeciw panu w BSW zostanie umorzone, nikt już nie będzie się panem interesował, komisarzu. Pan odejdzie z policji, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Ale proszę się nie martwić. Tak jak mówiłem, my dbamy o swoich ludzi, Dostanie pan od nas coś na kształt... nazwijmy to... odpawy. Wyjedzie pan za granicę. Mamy dobre miejscówki na Costa del Sol. Tam pan odpocznie i poczeka, aż wszystko przycichnie. Być może będzie pan nam jeszcze potrzebny, a być może nie.

– Co mam zrobić? – powtórzył Żołnierz.

Słuchając Krystka, wyluszczającego mu zadanie do wykonania, Piotr otwierał oczy ze zdumienia. Jeszcze długo nie mógł uwierzyć w taki cudowny zbieg okoliczności.

Kiedy odjeżdżał spod willi na Jaworowej, zapomniał nawet o papierosach, chociaż podczas rozmowy z prawą ręką Darskiego czuł nikotynowe ssanie.

Dopiero w połowie drogi do komendy wojewódzkiej otrząsnął się i zaczął analizować wszystko na trzeźwo. Czy aż tak cudowne zbiegi okoliczności zdarzają się w życiu? Rzadko, ale tak. A on zawsze był wyjątkowym szczęściarzem. Dlatego jeszcze chodzi wolny po ulicach, zamiast gnić w pierdlu albo w sensie dosłownym sześć stóp pod ziemią. Tak, musi skorzystać z okazji. Druga może nigdy nie nadejść. Za jednym zamachem zacznie nowe życie w ciepłych krajach i pozbędzie się najbardziej nienawidzonej osoby na świecie. Wilczyca już powinna zacząć się bać, ale najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że do samego końca niczego nie będzie się domyślać.

Papierosa zapalił dopiero na schodach komendy, a potem wszedł do budynku z szerokim uśmiechem na twarzy, jakby odebrał kupon totolotka, na którym skreślone numery pokrywały się z tymi wylosowanymi.

Mniej więcej w tym samym czasie z drogi krajowej numer 379 na spory parking znajdujący się w połowie drogi między Świdnicą a Modliszewem skręcał czarny mercedes z przyciemnionymi szybami. Właściwie to nie był zwykły leśny parking. Sto metrów dalej znajdował się taras widokowy. Miejsce było dość mocno odwiedzane przez turystów, dlatego wybudowano tu wiatę i kilka drewnianych ławek. Tylko że w tak paskudną pogodę jak dzisiaj parking był pusty i można było być pewnym, że nikt postronny nie będzie przeszkadzał.

Kierowca Ryszarda Cybulskiego zatrzymał się po prawej stronie, jego ludzie z drugiego samochodu zaparkowali przed nimi, żeby osłonić jego auto na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń, a potem wysiedli i jeden z nich ruszył w kierunku zaparkowanych na samym końcu dwóch samochodów marki Audi.

Minister czekał, wsłuchując się w jednostajne dudnienie deszczu o dach samochodu. Mijały długie sekundy, lecz on na razie niczym się nie przejmował. Wziął ze sobą najbardziej zaufanych ludzi. Borowiki zostały w rezydencji, chociaż ich szef nie był z tego zadowolony. Cybulski wytłumaczył mu krótko, że są pewne okoliczności w biznesie, kiedy lepiej nie ciągnąć za sobą państwowej obstawy. Sześciu ludzi, którzy z nim tutaj przyjechali, wywodziło się ze służb specjalnych, armii i policji. Byli na tyle dobrze wyszkoleni, uzbrojeni i opłacani, żeby czuć się w ich towarzystwie bezpiecznie.

Z zamyślenia wyrwało go stukanie w okno. Nie zważając na deszcz, opuścił szybę i spojrzął na jednego z ochroniarzy.

– Szeffie, wszystko dogadane – usłyszał. – Darski chce tylko porozmawiać, myślę, że nie ma zagrożenia.

– Dziękuję. Gdzie?

– Czeka pod wiatą.

Cybulski wysiadł, jego człowiek natychmiast rozłożył mu nad głowę wielki czarny parasol przypominający skrzydło pterodaktyla. Cybulski ruszył w stronę wiaty. Pod dachem włożył przeciwdeszczową ochronę i wzdrygnął się.

– Zimno – powiedział bardziej do siebie niż do stojącego obok Krzysztofa Darskiego. – Cholerna zmiana pogody.

Darski obdarzył go jeszcze zimniejszym spojrzeniem.

– Widzę, że odkąd zostałeś ministrem, twoje dobre maniery zniknęły – zauważył cynicznie. – A gdzie dzień dobry?

– Dzień, w którym muszę się z tobą spotkać, nigdy nie będzie dobrym dniem, a ja nie lubię kłamać – odpowiedział Cybulski.

– Jaki ty jesteś małostkowy, Rysiek. – Darski pokręcił głową z dezaprobatą. – Masz kasy jak lodu na Grenlandii, a ciągle jesteś zazdrosny, że ja też zarobiłem kilka baniek na legalnym biznesie?

Cybulski sapnął ze złością.

– Zapominasz tylko, że to był mój biznes, a ty mnie z niego wykręciłeś – powiedział.

– Nie, Rysiu, to był nasz biznes. Razem go rozkręcaliśmy, ja nawet włożyłem w to więcej czasu i wysiłku, bo ty już się szykowałeś, żeby opuścić prowincję i zawojować cały kraj. No i ja dla tych pieniędzy nadstawiałem karku i chroniłem dobry wizerunek pana Cybulskiego, który postanowił nagle zostać uczciwym obywatelem.

– Nie wkurzaj mnie, cholera! – wybuchnął minister.

– A ty mi nie przerywaj. Wszystko stało na ciebie, ale mieliśmy dżentelmeńską umowę, pamiętasz? A skoro chciałeś się mnie pozbyć, nie bacząc na dawną przyjaźń i wiążące nas obietnice, musiałem zacząć działać.

– Nie było żadnych umów! Wykręciłeś mnie i nigdy ci tego nie zapomnę.

Darski się skrzywił. Był szczupłym wysokim mężczyzną przed pięćdziesiątką, o ciemnej karnacji, czarnych włosach i modnym zaroście w hiszpańskim stylu. Miał przenikliwe spojrzenie starego bandziora, który potrafi doskonale udawać uczciwego obywatela.

– Oszustwo cię kiedyś zgubi, Ryszard – stwierdził. – Mieliśmy umowę i ty dobrze o tym wiesz. Tylko tobie było mało i mało, jakbyś te wszystkie pieniądze mógł zabrać ze sobą do grobu. Już ci kiedyś mówiłem, że jak masz jakieś kompleksy do wyleczenia, to nie dymaj współników, tylko idź do psychologa.

– Uważaj na słowa, Darski – ostrzegł go Cybulski.

– Bo co? Naślesz na mnie skarbówkę? W dupie mam twoje groźby. Po co zaczynasz wojnę, skoro nareszcie masz ciepłe stanowisko w rządzie, o którym zawsze marzyłeś? Aż tak mnie nienawidzisz?

Cybulski popatrzył na niego autentycznie zdziwiony.

– Jaką wojnę? Co ty pierdolisz? – zapytał. – To ty chciałeś się dzisiaj ze mną spotkać, tylko ciągle nie wiem po co?

Darski sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął cygaretkę i zapalił. Wiatr pognał chmurę dymu w kierunku jego dawnego szefa, a ten skrzywił się z niesmakiem. Rzucił palenie już kilka lat temu, po zawale. Darski najwidoczniej mniej się przejmował zdrowiem.

– Nie wiesz po co? – zapytał, nie ukrywając rozczarowania. – Nie doceniasz mnie, nigdy mnie nie doceniałeś i to mnie najbardziej boli, stary przyjacielu. Myślałeś, że się nie dowiem, gdy znowu zaczniesz szukać swojej córki?

– O czym ty gadasz?



Cybulski chciał zaprotestować, lecz nagle coś sobie przypomniał. Zająknął się i zamilkł. Wyglądał teraz, jakby naprawdę to on za wszystkim stał i właśnie został złapany za rękę. Cokolwiek by teraz powiedział, Darski nie uwierzy w ani jedno słowo. Dawne urazy skutecznie przysłaniały prawdę i wypaczały rzetelną ocenę.

– To ci opowiem. – Darski zaciągnął się i kontynuował. – Wynająłeś policyjnego psychologa, którego nazywają Poszukiwaczem Zwłok, ponieważ jest w tym dobry. Nazywa się Maciej Lesiecki i jest jakimś popapranym gościem, ale może dlatego jest taki skuteczny. No i pomaga mu w tym gwiazda z kryminalnej, komisarz Laura Wilk. W co ty grasz, Ryszard? Przecież wiesz, co może być zakopane razem z twoją córką. Jeśli znajdą ciało, nie tylko ja będę miał kłopoty. I coś ci zdradzę. Wówczas prokurator generalny już nie będzie twoim przyjacielem. Naprawdę uważasz, że partia stanie za tobą murem, jeśli ktoś te papiery wydobędzie z grobu i wrzuci do sieci? Wiem, że tuszujecie wysoki swoich ludzi, bo potem może brakować głosów do sejmowej większości. Ale, człowieku, przecież to będzie bomba atomowa. Nie tylko ty i ja, ale, kurwa, dziesiątki firm, prezesów, polityków, biskupów i gliniarzy. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co rozpu-tasz?

Cybulski milczał, patrząc na padający deszcz i moknące drzewa dookoła parkingu. Wizja, jaką właśnie roztoczył przed nim Darski, nie była przesadzona. Nie pamiętał już, co zawierały dokumenty, które zniknęły, ale na pewno były bardzo niebezpieczne. Nawet po tylu latach opozycja będzie miała broń maszynową, z której będą do niego i jego partii pruć na każdej konferencji prasowej.

– Krzysiek, to nie ja wynająłem tego Poszukiwacza Zwłok – powiedział. – Właśnie z tych powodów, o których mówiłeś, już dawno pogodziłem się ze śmiercią córki oraz z tym, że nie wolno mi szukać jej ciała. – Nagle podniósł głos, czując zalewającą go falę złości i rozgoryczenia. Po części powtarzał to, co wcześniej mówił Lesieckiemu. – Myślisz, że to była łatwa decyzja dla zrozpaczonego i pogrążonego w bólu ojca? Wiesz, ile mnie to kosztowało? Straciłem zdrowie, żonę, rodzinę i kupę kasy, żeby wyczyścić wszystkie ślady w internecie po mojej córce i po prowadzonym śledztwie. Wiesz, co ja wtedy przeżywałem? To było tak, jakbym wymazywał gumką wpis do księgi parafialnej dokumentujący jej narodziny. Starłem się, żeby nikt o Marysi nie pamiętał. Zamiast zrobić wszystko, żeby znaleźć jej ciało, ja wykasowałem ślady po niej. Zrobiłem to dla siebie i, kurwa, dla ciebie, nie rozumiesz tego? I przypłaciłem to też własnym zdrowiem. Do dzisiaj snią mi się koszmary, że moje dziecko tonie w bagnie, proszę mnie o pomoc, a ja ją w to bagno wpycham.

Zapadło milczenie. Darski patrzył na niego z ukosa, paląc, i się nie odzywał. Z jego miny nie można było nic wyczytać. Cybulski przypuszczał, że i tak mu nie uwierzył. On nigdy nie miał rodziny, nie miał pojęcia o uczuciach. On nikogo w życiu nie kochał i nie rozumiał tych, którzy kochają.

Deszcz szumiał, z oddali było słychać szum opon przejeżdżających główną drogą aut. Cybulskiemu zrobiło się słabo, musiał oprzeć się o barierkę. Wiatr znowu poniósł w jego stronę chmurę dymu, co tylko pogorszyło sytuację.

– To nie ja szukam zwłok Marysi – powiedział jeszcze raz.

Darski pokiwał głową, ale to nie był znak zrozumienia.

– Tyle razy mnie oszukałeś, że ci nie wierzę – wycedził zimno przez zaciśnięte zęby. – Najbardziej ze wszystkiego kochasz pieniądze i władzę.

– To niby po co miałbym szukać tych kwitów? – wpadł mu w słowo polityk.

– Bo jesteś mściwym skurwysynem, który nigdy nie wybacza.

– Niech cię szlag trafi, Darski! A ty, kurwa, jesteś nieczułym draniem. I żyjesz we własnych imaginacjach. To nie ja chciałem cię zabić. Robiłeś wtedy interesy z ruskimi, a wszyscy cię ostrzegali, że na sam koniec cię wydymają jak ciotę w pierdlu. Tylko ty nikogo nie słuchasz. I na koniec wynajęli bandytów, żeby nie płacić ci za ostatnią dostawę.

– To ty mnie im wystawiłeś – rzucił zimno Darski. – Ten ostatni, zanim trafił do beczki z kwasem, przyznał się, że to ty pomogłeś ruskim ich wynająć. Powiedział to, gdy przypalaliśmy mu jądra na wolnym ogniu.

– Zawsze byłeś ograniczonym idiotą – warknął Cybulski. – Jak torturujesz faceta, to on ci się przyzna nawet do podłożenia bomby na pokładzie sterowca „Hindenburg”. Usłyszysz wszystko, co będziesz chciał, zależy, jak sformułujesz pytanie.

– Może tak, może nie. – Darski wzruszył ramionami i pstryknął niedopałkiem w kałużę przy wiacie. – Ja ci to wybaczyłem, ale, jak widzę, ty ciągle mi nie odpuściłeś tych spółek.

Cybulski pokręcił głową.

– Krzysiek, ja już nie wiem, jak z tobą gadać. Jesteś uparty jak osioł. I wiesz, nad czym zaczynam się zastanawiać? Czy to czasem ty nie wynajęłeś tego Lesieckiego, żeby mi zaszkodzić. Ty jesteś tylko biznesmenem, nikt legalnych firm ci nie zabierze. Przy odrobinie sprytu wyjedziesz dokądś, skąd nie ma ekstradycji, i będziesz pił drinki z palemką na plaży, otoczony młodymi laskami. A mnie media zniszczą, ale zanim to się stanie, partyjni koledzy spuszczą mnie w kiblu. I kto więcej straci?

Darski znów wzruszył ramionami.

– A ja widzę to tak – zaczął. – Może i masz jakieś ojcowskie uczucia i dlatego chcesz znaleźć Marię. Taką opcję też biorę pod uwagę. Może nawet nie zależy ci na tym, co jest przy jej zwłokach. Tylko że ja nie mogę ci pozwolić, żebyś miał na mnie takie mocne kwity. Wybierając tylko niektóre, mógłbyś posłać mnie za kraty, a samemu się wybronić. Dlatego nie mogę patrzeć na to, co się dzieje, z założonymi rękami.

– A myślisz, że co ja robię? – jęknął Cybulski. – Moi ludzie obserwują tego faceta dzień i noc. Nawet jeśli coś znajdzie, nie wyjdzie z lasu.

Darski wcisnął dłonie głęboko do kieszeni płaszcza, potem pokiwał głową w zamyśleniu.

– Zostaw go mnie, Krzysiek. Nie zależy mi na tym, żeby robić ci koło dupy. To jest zbyt niebezpieczne dla mnie. Zostaw tego Lesieckiego mnie.

Biznesmen westchnął głęboko i spojrzał przed siebie.

– I tak ci nie ufam, Rysiek – powiedział cicho.

– Niech cię szlag trafi!

Minister odwrócił się na pięcie, rozłożył parasol i odszedł pośpiesznie w kierunku swojego auta, omijając kałuże. Po chwili mercedesy odjechały w stronę Świdnicy.

– Co robimy, szefie? – zapytał jeden z ludzi Darskiego, podchodząc do barierki, za którą stał.

– Jeszcze chwilę, muszę pomyśleć – odpowiedział.

Zapalił jeszcze jednego cienkiego papierosa, potem wyciągnął telefon i wybrał numer. Mecenas Krystek zgłosił się po kilku sygnałach.

– Nie wierzę mu – rzucił Darski do słuchawki. – Robimy swoje.

– Zrozumiałem. Już wszystko jest nagrane.

Darski wypalił do końca papierosa, po czym poszedł wolno do samochodu, nie zważając na padający deszcz.

Komisarz Laura Wilk wróciła do domu kompletnie wycieńczona. Już na progu zzuła niewygodne buty, po czym usiadła na stołku w korytarzyku i rozmasowała obolałe stopy. Co ją podkusiło, żeby włożyć te niewygodne skórzane trzewiki? Chciała być elegancka i podkreślić swoją kobiecość. Niepotrzebnie, i tak nikt nie zauważył. Żałowała, że nie włożyła adidasów. No i jeszcze ten cholerny deszcz i ochłodzenie od rana. Ubrała się jak na upały i przez cały dzień marzła. Dobrze, że miała policyjną kurtkę w szafce w biurze. Cały dzień chodziła po korytarzach, zarzuciwszy ją na ramiona. Napis „policja” na plecach sprawiał, że efekt ładnych butów szlag trafił na wstępie. Czasem człowiek podejmuje idiotyczne decyzje, a później nie potrafi sobie wytłumaczyć, dlaczego tak postąpił.

Odgrzała w mikrofalówce kupne lasagne, zrobiła dla rozgrzewki gorącą herbatę, choć za nią nie przepadała, i zasiadła do jedzenia. Była w połowie, kiedy rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi.

– Kogo licha niesie? – jęknęła po drodze, ale miała nadzieję, że to Maciek.

Otworzyła, nie patrząc przez wizjer, i znieruchomiała, zaskoczona. To nie był Lesiecki. Dwóch bardzo dobrze jej znanych mężczyzn i dwóch, których kojarzyła z korytarzy budynku wojewódzkiej, sprawiło, że poczuła lekki dreszcz niepokoju. Co oni tu robią, u licha?

– Co to za delegacja? – warknęła. – Stało się coś?

Komisarz Piotr Żołnierz postąpił krok do przodu, stanął na progu tak, żeby nie mogła już zatrasnąć im drzwi przed nosem, i z dziwnym uśmiechem na twarzy podał jej złożoną na czworo kartkę.

– Co to, kurwa, niby jest? – Wściekła się i spojrzała mu w oczy.

– Nakaz przeszukania w związku z podejrzeniem o posiadanie narkotyków, podpisany przez prokuratora Pawelca. – Najgorsze były nuty zadowolenia w głosie Żołnierza.

Kompletnie zaskoczona spojrzała na pozostałych mężczyzn. Góralski miał nieszczególną minę i autentyczny strach w oczach, za to ci goście od narkotyków patrzyli na nią obojętnie, jak na setną tego wieczoru striptizerkę występującą na scenie. Niby atrakcyjna, ale już nudna.

– Nie znam takiej procedury – powiedziała Laura.

– To zaraz poznasz! – Żołnierz wyszarpnął nagle pistolet i skierował Wilczycy między oczy. – Spróbuj się tylko ruszyć, a rozwalę ci tę blond główkę.

Laura zastygła w bezruchu wpatrzona w czarny otwór lufy walthera p99. Nagle poczuła się nierealnie. Co tu się wyprawia, do jasnej cholery?! Strach rozpełzł się po całym ciele. Niespodziewanie zrobiła się dziwnie słaba, mięśnie wpały w niepokojące drzenie. Oni tu nie przyszli przestrzegać procedur. Przynajmniej nie na początku. Potem się okaże, że wszystko było, jak powinno, tylko podejrzany stawiał niczym nieuzasadniony opór. Znała takie historie z opowiadań starszych kolegów, jeszcze z czasów poprzedniego ustroju lub z lat dziewięćdziesiątych, kiedy policja walczyła głównie z korupcją we własnych szeregach. Postanowiła nie stawiać oporu.

Żołnierz wepchnął ją do środka, uderzając otwartą dłonią w ramię. Straciła równowagę, zrobiła dwa kroki do tyłu i to im wystarczyło, żeby wtargnąć do domu. We wzroku Żołnierza dostrzegła żarzącą się nienawiść, triumf i coś jeszcze. To był ogień pożądania, jeszcze większy od nienawiści. Gdyby teraz zostali tylko we dwojkę, na pewno próbowałyby ją zgwałcić i na pewno ten akt przemocy byłby szczególnie brutalny. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego on jej od początku tak nienawidzi. Prócz ciągle wzbierającego strachu nagle zrobiło jej się niedobrze.

Ci od narkotyków rozeszli się po domu, Żołnierz wreszcie oderwał od niej wzrok i skinął na Górala. Ten również wyciągnął broń i skierował w stronę Laury. Żołnierz schował swój pistolet do kabury, chwycił Wilczycę za ramię i wykręcił je boleśnie. Jęknęła z bólu, a on sprawnie przechwycił drugie jej ramię i również wykręcił. Mocno pochyliła się do przodu, walcząc z bólem. Wtedy poczuła, jak ten sukinsyn przyciąga ją do siebie i przywiera rozporkiem spodni do jej pośladków. Przekleła, szarpnęła się, nie bacząc na ból, chciała go kopnąć piętą, lecz wtedy on ją pchnął. Poleciała na sofę z taką siłą, że omal nie spadła na drugą stronę. Z trudem złapała równowagę i usiadła. Wraz ze strachem przyszedł bunt i wola walki. Nie da się tak łatwo załatwić. Nie ona, nie po tylu latach pracy, nie z takim doświadczeniem. Przede wszystkim nie da się temu skurwysynowi Żołnierzowi i jego przydupasom.

– Wreszcie pokażę ci, gdzie jest twoje miejsce, pierdolona lesbo. – Żołnierz pochylił się odrobinę w jej stronę, wypowiadając te słowa.

Nie za blisko, żeby nie mogła go osiągnąć. Jednak na tyle daleko, żeby kropelki śliny wylatujące wraz z wypowiedzianymi w przyпіlywie nienawiści słowami nie doleciały do niej. Z obrzydzeniem wytarła wierzch dłoni w narzutę. Żołnierz wyglądał jak w napadzie szaleństwa. Miał podkrążone oczy, rozbiegane spojrzenie, pot perlił mu się na ogolonej na zero czaszce, a po ustach cały czas błąkał się lubieżny uśmiešek.

– Nie uda wam się tak mnie zrobić, skurwysyny – warknęła Laura. – Ja też mam swoje znajomości.

– Zobaczmy, kto ma większe.

Wydawało jej się, że Żołnierz zamierzył się jak do ciosu, lecz w ostatnim momencie zrezygnował.

– Pilnuj tej kurwy! – rzucił do Góralskiego i wyszedł z salonu.

Po chwili do uszu Wilczycy dotarły odgłosy kroków z różnych części domu i przyciszone rozmowy, z których nic nie rozumiała. Spojrzała z wściekłością na Górala.

– W nic mnie nie wrobiecie – warknęła.

Gdyby tylko Góralski chociaż na chwilę opuścił lufę pistoletu, rzuciłaby się na niego z gołymi pięściami i, jak Bóg na niebie, nie miałby większych szans w tym starciu. Zastanowiło ją jednak zachowanie Górala. Był autentycznie przerażony, dłonie na rękojeści pistoletu drżały, przez co lufa zdawała się falować w powietrzu. Do tego miał lekko nieprzytomne spojrzenie, które wędrowało to na Laurę, to na drzwi do salonu. Ewidentnie ze sobą walczył. Góral nie był mięksizsonem. Nieraz widziała, że gdy trzeba było komuś przywalić, to robił to bez zmużenia oka, a gdy trzeba było sięgnąć po broń, też się nie wahał i nie zachowywał jak teraz.

– Góral, pozwoliłeś się w to wciągnąć? – zapytała, udając spokój. – Przecież po takiej akcji nikt nie da ci potem rozgrzeszenia. Chcesz iść z Żołnierzem na dno?

Góralski drgnął, kiedy w drzwiach stanął jeden z gości od narkotyków. Na szczęście rzucił tylko okiem i odszedł, uznawszy, że wszystko jest pod kontrolą. Wzrok Górala ciągle błędził między kobietą a drzwiami. Jego głos drżał, gdy w końcu przemówił:

– Jeszcze nie rozumiesz? Podłożą ci kilogram amfy, do tego pochowają po całym domu jakieś dopalacze i tabletki.

– Przecież nikt w to nie uwierzy – odpowiedziała cicho, żeby tamci nie usłyszeli.

– Dalej nie rozumiesz, Laura. – Skoncentrował na niej spojrzenie. – Zastrzelą cię przy próbie ucieczki.

Laura Wilk poczuła lodowaty dreszcz spływający po kręgosłupie. Na chwilę wstrzymała oddech, a jej myśli ruszyły galopem przez głowę. Rozumiała, że jeśli czegoś nie zrobi, zginie. Tylko co może zrobić? Góral stał za daleko, żeby na niego skoczyć, zdąży wystrzelić. Nawet ze dwa razy. Zastrzelona przy próbie ucieczki, była dilerem, była skorumpowana, handlowała dragami, stawiała opór podczas zatrzymania, kto wie, może miała broń w dłoni i nawet wystrzeliła w kierunku dzielnych policjantów interweniujących w jej domu. Cały świat zwałił jej się na głowę.

– Góral, nie jesteś mordercą – zaczęła, lecz musiała przełknąć ślinę, bo zaschło jej w gardle i głos niebezpiecznie zadrżał. – Kurwa, dasz się w to wrobić?

Gdzieś w głębi domu rozległ się głośny śmiech. Na ten dźwięk oboje podskoczyli, jakby pistolet Góralskiego nagle wypalił. Komisarz wyraźnie się łamał. Może zresztą już dawno podjął decyzję, tylko ciągle nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

Nagle opuścił broń i spojrzał na Wilczycę przytomniej.

– Przywal mi porządnie – powiedział cicho, zerkając nerwowo na drzwi. – Pierdolnij mnie porządnie, zabierz moją broń i uciekaj przez okno tarasowe.

Wilczyca spojrzała na niego niepewnie. Czy można było mu ufać? Zastanawiała się gorączkowo. Przed oczami przeleciało jej kilka scen z przeszłości, z Góralskim w roli głównej. Nie był kryształowy, ale kiedyś był porządnym gli-niarzem. Może zgnilizna nie przeżarła go jeszcze do szpiku kości.

– Jesteś pewien? – zapytała.

– Tak! – Prawie krzyknął, znowu patrząc na drzwi. – Zaraz tu będą. Zaalarmuję ich dopiero, gdy wstanę z podłogi. Będziesz miała kilkanaście sekund przewagi.

Wilczyca ciągle nie była pewna, ale nie miała innego wyjścia. Musiała mu zaufać.

– Szybciej – ponaglił szeptem.

Zrobiła trzy kroki i już była przy nim. Zaciśnął powieki, zanim dostał w spłot słoneczny, w twarz, a potem podcięła mu nogi. Dopiero gdy z łoskotem zwałił się na podłogę, zrozumiała, że przesadziła. Hałas zaalarmował pozostałych. To było jednak napięcie nerwowe, strach i dlatego emocje wyładowały się tak gwałtownie. Już za późno na biadolenie.

Wyrwała leżącemu na plecach Góralskiemu broń, szarpnęła drzwi tarasowe i wybiegła na trawnik z przodu domu. W sekundę znalazła się przy furtce. Ruszyła biegiem w górę ulicy, oglądając się za siebie. Znalazła się w nieszczerłonej sytuacji. Była boso, tylko w koszulce z krótkim rękawem, podczas gdy na zewnątrz panował chłód, a w dodatku cały czas padał deszcz i wiał nieprzyjemny wiatr.

Nagle za sobą usłyszała pogoń. Nie miała wielkiej przewagi.

Maciej Lesiecki od jakiegoś czasu bezskutecznie próbował dodzwonić się do Laury. Najpierw nie odebrała telefonu, potem pojawiły się informacje, że ma wyłączony aparat albo znajduje się poza zasięgiem. W pierwszym odruchu się zaniepokoił, później pomyślał, że pewnie jak zwykle siedzi długo w pracy i rozładował jej się aparat. Zaparkował na jedynym wolnym miejscu pod blokiem i potruchtał w kierunku swojej bramy. Od dłuższej chwili padał deszcz, dlatego wyjątkowo szybko zrobiło się ciemno, jakby słońce się zmęczyło i nie miało ochoty dłużej świecić, skracając dzień. Wystukał kod na domofonie, wszedł do bramy i nacisnął włącznik światła. Nic się nie zadziało. Zaklął pod nosem. Przytrzymując się barierki, żeby się nie potknąć na kilku schodkach na wysoki parter, zaczął wspinaczkę. Sięgnął do telefonu i włączył latarkę. Piętro wyżej rozległo się szuranie, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Marzył tylko o tym, żeby przygotować coś do jedzenia i napić się dobrego wina. Już uzupełnił zapasy i nie będzie takiej biedy jak w czasach Soni.

Tak rozmyślając, szedł po schodach, niczego nie podejrzewając. Ocknął się dopiero, gdy ktoś chwycił go od tyłu ramieniem za gardło, a ktoś inny przywalił mu pięścią w żołądek. Stracił oddech, zakreśliło mu się w głowie, komórka wypadła z dłoni i latarka zgasła. Zrobiło się ciemno, lecz Maciejowi i tak przed oczami latały jasne plamy. Jakieś silne i zdecydowane dłonie przytrzymały go, druga para

wykręciła ręce i spięła je trytką na plecach. Szarpnął się, ale sprowokował tylko kolejny cios w brzuch, który wyssał mu powietrze z płuc do zera. Plastik opaski zaciskowej boleśnie zranił jego nadgarstki. Gdyby ktoś go nie przytrzymał, zwałiłby się na podłogę.

– Trzymasz go? – Jak przez mgłę usłyszał męski, nieznany głos.

– Tak.

– To idziemy.

– Weź jego telefon.

Chwycili go pod ramiona i ciągnęli między sobą po schodach, jakby prowadzili do domu kolegę, który poległ na froncie walki z mocnymi trunkami w trakcie domowej libacji. Pewnie tak właśnie to miało wyglądać, gdyby napatoczył się jakiś sąsiad. Było ciemno, więc niewiele by zobaczył.

Lesiecki odzyskał oddech dopiero, gdy wrzucali go do bagażnika. Nie zdążył się nawet szarpnąć, a nad jego głową zatrzasnęła się kłapa. Zabrzęczało mu w głowie, jakby gdzieś nad nim młot gruchnął o kowadło. Auto ruszyło z piskiem opon. Kierowca chyba się spieszył, bo tylko minimalnie zwalniał na zakrętach. Lesieckim rzucało po całym bagażniku jak workiem kartofli.

To go trochę otrzeźwiło. Zaczął rozsądniej myśleć. Co się właśnie stało? Dlaczego został porwany? Pierwszą osobą, o której pomyślał, był minister Cybulski. Czy w czasie ich ostatniej rozmowy Cybulski mu groził? Chyba nie, tylko ostrzegął, że może mieć kłopoty. No i właśnie miał kłopoty. Czyli groził mu. Teraz Maciej ponosi konsekwencje swoich jawnych poszukiwań i rozpytywania dawnych świadków o przeszłe zdarzenia. Jezu, musiał swoimi działaniami kogoś przestraszyć. Tylko kogo? Samego ministra? Porywaczy Marii Cybulskiej czy zleceniodawców tego porwania? I co ich tak przestraszyło? Bali się, że przy okazji swojego prywatnego śledztwa odkryje skrywaną od lat tajemnicę? Jaka to musiałyby być tajemnica, skoro jest taka groźna nawet po upływie wielu lat?

Od dłuższego czasu nie rzucało nim po bagażniku, co znaczyło, że jadą porządną drogą. Wieźli go na spotkanie ze zleceniodawcą czy do lasu, żeby się go raz na zawsze pozbyć? Niemożliwe, to nie lata dziewięćdziesiąte, teraz tak się nie działa. Naprawdę? – zapytał zaraz sam siebie. Przecież oni wszyscy wywodzą się z tamtych lat, takie działanie mają we krwi. Praktycznie nie znają innych rozwiązań.

Maciej Lesiecki leżał w pustym, ciasnym bagażniku i gorączkowo zastanawiał się, co ma teraz robić. Czas upływał nieubłaganie, z każdą sekundą, z każdym przejechanym metrem zbliżał się do... no właśnie. Do czego? Nagle na usta wypłynęły mu słowa, które przez lata starał się zapomnieć. Wypowiedział je na głos:

– Nie błagaj o litość, ponieważ nie ma żadnego Boga. Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych. Pomóc możesz sobie tylko sam...

Najpierw poczuł strach, lecz za chwilę spłynął na niego spokój. Dość już oszukiwania samego siebie, nie można na siłę udawać kogoś innego. Maciej był kimś innym, obcym, który narzucił mu swoją wolę i trzymał za gardło tak długo. Jak mógł na to pozwolić?



– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.

Nie, poprawił natychmiast sam siebie. Nie ma osobnego bytu żyjącego w jego ciele o imieniu Maciej. To on jest Maciejem i równocześnie jest Arielem. On sam chciał się zmienić, nikt mu tego nie narzucał. Dlaczego chciał się zmienić? Bo Ariel był niebezpieczny dla innych, a on w gruncie rzeczy chce być dobry. Nie, to nie Ariel był niebezpieczny, to on sam był niebezpieczny. Walczyły w nim dwie natury: ta zła, której podobało się krzywdzenie i znęcanie się nad innymi, i ta dobra, która chciała wszystkim pomagać i naiwnie naprawiać świat. I co z tego zostało? Kim tak naprawdę jest? Przecież z wykształcenia był psychologiem, wiedział, kim jest, wiedział, że oszukuje sam siebie. Był i Arielem, i Maciejem, a teraz nadszedł najlepszy moment, żeby się z tym pogodzić i skorzystać z wiedzy i doświadczenia ich obu. Jego samego. Co za różnica? Musiał się ratować.

*Nie błagaj o litość, ponieważ nie ma żadnego Boga.* Nie będzie nikogo błagał litość, to nie leży w jego naturze. *Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych.* Stanie naprzeciw swoich prześladowców z podniesionym czołem i dumą na twarzy, nikt go nie stłamsi i nie zmusi do uległości. *Pomóc możesz sobie tylko sam.* Działaj, człowieku, nikt ci nie pomoże. Przecież wiesz, jak przetrzeć plastikowy zacisk za pomocą zwykłej sznurówki. Trenowałeś to kiedyś w szkole przetrwania, dasz radę. Miejsca było niewiele, jednak szybko zdołał przybrać właściwą pozycję. Rozwiązana sznurówka z buta przytrzymywana zębami, wystarczy tylko chwilę cierpliwości i siła tarcia. *Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie.* Nie zwróci na nikogo uwagi, nie zawaha się uderzyć, strzelić, zadźgać, cokolwiek, do czego będzie okazja. To oni zaczęli, oni chcieli zrobić mu krzywdę, a przecież on tu jest najważniejszy. Jego życie i jego bezpieczeństwo. Jeśli będzie trzeba, zabije bez skrupułów. *Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.* Nie, nie zamieni z nimi ani słowa, nie będzie negocjacji, nie będzie błagania o litość.

Trytka pękła. Uwolnił dłonie, roztarł nadgarstki i poczuł piekący ból rozciętej skóry. To zmobilizowało go jeszcze bardziej. Odnalazł przetartą opaskę i ułożył się tak jak poprzednio, udając, że nadal jest skrupowany. Nie minęło sporo czasu, gdy znowu zaczął podskakiwać na nierównościach. Po chwili auto się zatrzymało. Trzasnęły drzwi i niedługo potem otworzyła się kłapa bagażnika. Lesiecki miał tylko nadzieję, że od razu nie zobaczą, że jest z nim coś nie tak.

– Otrzeźwiałeś już? – zapytał chropowaty głos z pewnym rozbawieniem.

Maciej otworzył oczy i zobaczył pochylającą się nad nim ciemną postać. Wokoło deszcz szumiał o liście, a więc byli w lesie. Czyli walczy o życie i żarty się skończyły. *Pomóc możesz sobie tylko sam,* powtórzył jeszcze w myślach.

– Dawaj go tu – rzucił drugi głos brzmiący tak samo nieprzyjemnie.

Mocne dłonie poderwały go do góry i jak piórko wyrzuciły z bagażnika. Upadł z jękiem na leśną ściółkę, która namokła od deszczu i zadziałała jak amortyzator. Z trudem utrzymał złączone dłonie za plecami, ale wypadła mu opaska. Nagle w głowie pojawiła mu się pewna analogia. Czy w ich planach ma zakończyć

życie, jak ochroniarz Darskiego? Rozejrzał się szybko. Musi się zorientować, ilu ich jest. Chyba tylko dwóch.

– Ty, co to, kurwa, jest? – Ten stojący trochę z tyłu nagle poświecił latarką obok leżącego Macieja i pochylił się, żeby podnieść z ziemi uszkodzoną opaskę.

Nie było już czasu na zastanowienie. Lesiecki z całej siły kopnął go w twarz. Napastnik zakwiczał jak zarzynany prosiak i upadł na plecy. Drugi przeklął, lecz zanim zdołał zareagować, Maciej przetoczył się po ziemi i mocnym kopnięciem podciął mu nogi. Stęknienie przy upadku zagłuszyło na moment szum deszczu na liściach.

– Zastrzel skurwysyna! – kwiczał ten pierwszy, oślepiiony bólem i krwią ze strzaskanego nosa.

Drugi zdążył tylko zakląć, ponieważ Maciej był już przy nim i kopnął go w żebra. Nie tak mocno, jak zamierzał, bo facet przekręcał się na brzuch, żeby wstać. Cios zmusił go do jeszcze jednego obrotu, po czym płynnie wstał jak łyżwiarz figurowy maskujący bolesny upadek. Pierwszy cały czas kłął, a drugi wyciągał właśnie pistolet zza paska.

Lesiecki nie dopuścił do tego, żeby uniósł broń. Skoczył na niego, zacisnął dłonie na ręce z bronią i uderzył zbira czołem. Tylko że był od niego o wiele niższy i uderzenie nie sięgnęło nawet twarzy tamtego. Facet się szarpnął, jakby chciał strząsnąć go z siebie. I udałoby mu się, gdyby Lesiecki znowu nie podciął mu nóg. Do tego pchnął tak sprytnie, że całym ciałem upadł na niego. Włożył w ten upadek wielką siłę, wykorzystał swoją masę, napastnik stracił oddech i wytrzeszczył oczy, jakby chciał koniecznie dostrzec sierp księżycy ukryty za grubą zasłoną z chmur. Luny pewnie nie dostrzegł, ale na pewno masa gwiazd eksplodowała mu przed oczami.

Lesiecki nie miał jednak chwili do namysłu. Pierwszy już wstał na nogi i właśnie kierował w niego broń. Maciej przechylił w jego stronę pistolet, który ciągle trzymał drugi bandzior, lecz jego uchwyt trochę zwiotczał, bo mięśnie chwilowo go nie słuchały. Przykrył palec tamtego leżący na spuście i nacisnął. Rozległ się ostry wystrzał z pistoletu, który jednak zamiast ponieść się po lesie na kilkaset metrów, zaraz zgasł, stłumiony przez powietrze ciężkie od wilgoci i padającego deszczu. Pierwszy bandyta dostał w piersi. Jego wielkim umięśnionym ciałem szarpnęło, jakby kopnął go koń; poleciał do tyłu i znieruchomiał.

Odgłos wystrzału zmobilizował napastnika, na którym leżał Maciej. Jego mięśnie się napięły, szarpnęła broń, a potem pięść z drugiej ręki wylądowała na boku Maćka. Jęknął, stracił oddech, odruchowo przysunął pistolet do gangstera i znowu nacisnął na spust. Wystrzał ogłuszył go i oślepił. Ciało, na którym leżał, zwiotczało, ręka się rozluźniła. Wyrwał z niej pistolet i stoczył się z ciała mężczyzny.

Leżał, oddychając z trudem, na twarz kapały mu krople z liści. Nastąpiła taka cisza, że słychać było nawet ptaki, mimo deszczu latające gdzieś w koronach drzew. Nie mógł tak leżeć bez końca.

Dźwignął się na kolana i spojrzał na tego, z którym stoczył walkę. Kula trafiła go w dół szczęki i utkwiała w czaszce, robiąc miazgę z mózgu. Był martwy jak

kamień na górskiej ścieżce. Maciej wstał i podszedł do drugiego. Ten jeszcze żył. Drgał cały, jakby wokoło panowały syberyjskie mrozy, patrzył na niego przerażonym i coraz bardziej zamglonym wzrokiem, dłonie z telefonem przyciskał do piersi, na której zdążyła już zakwitnąć szkarłatem wielka plama krwi. Był w agonii.

Skołowany Lesiecki chwiejnie podszedł do samochodu i oparł się o maskę. *Pomóc możesz sobie tylko sam*, zabrzmiało mu w głowie. *Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie*. Więc nie zwracał uwagi na martwych. Starał się, żeby ci faceci ani na moment nie zagościli w jego myślach. Oczywiście się nie udało. Ciągłe do nich wracał i na nich zerkał. Zaskoczyła go własna reakcja. Z jednej strony czuł przerażenie i szok, że zabił dwóch ludzi, a z drugiej wielka satysfakcja rozlewała mu się po ciele. I to chyba były uczucia Ariela, choć niedawno wytłumaczył sobie, że Ariel i Maciej to ta sama osoba. On.

Obszukał ciała, z kieszeni jednego wyciągnął kluczyki do samochodu, z kieszeni drugiego swoją komórkę. Na szczęście nic jej się nie stało mimo upadku na twardą podłogę korytarza. Zabral też pistolety i po jednym zapasowym magazynku.

Musi zatelefonować do Laury, ona na pewno będzie wiedziała, co robić dalej. A jeśli ściągnie na nią swoje kłopoty? Cholera, a jeżeli jego telefon jest na podsłuchu albo ktoś go namierza? Wyłączył aparat, uspokoił się i wszedł do nowego audi z przyciemnionymi szybami. Silnik zamruczał. Maciej wrzucił wsteczny i z trudem zawrócił na wąskiej leśnej drodze, ocierając się o nisko zwieszony pod naporem deszczu gałąź okolicznych drzew. Potem wolno ruszył w kierunku głównej drogi. Myślami był zupełnie gdzie indziej, zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Kto wydał na niego wyrok? I za co?

Był tak zamyślony, że nawet nie zauważył, kiedy dotarł do skrzyżowania z asfaltową drogą. Wyjechał na nią bez hamowania i wtedy z lewej strony błysnęły światła i w bok jego wozu uderzyło inne auto. Zazgrzytały blachy, rozległ się brzęk tłuczonych szyb, poduszki eksplodowały i na chwilę zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

## 15

To się nie dzieje naprawdę! Ciągłe miała nadzieję, że zaraz obudzi się z koszmaru we własnym łóżku, a za oknem wstanie piękny i słoneczny dzień. Niestety miała poważne kłopoty. Jeszcze chwila i będzie ją ścigać cała policja w mieście, i to w tym lepszym wariantcie przyszłości. W tym gorszym nie będzie żyła.

Biegła wąską osiedlową uliczką, mijając zaparkowane po obu stronach auta i wille za wysokimi parkanami. Za sobą słyszała przekleństwa i odgłosy ciężkich kroków. Przez deszcz i chmury ściemniało się szybko. A może to i lepiej? W takich warunkach łatwiej będzie zmylić pogoń.

Skręciła na chodnik i biegła między ogrodzeniami a zaparkowanymi przy ulicy autami. Nie czuła bólu, adrenalina zabijała wszystkie negatywne odczucia, jednak wiedziała, że rani sobie stopy o drobne kamienie i zdziera podeszwy o szorstki asfalt. Długo nie da rady tak uciekać, ból w końcu nadejdzie i to będzie jej koniec.

Obejrzała się. Dostrzegła co najmniej dwie ciemne sylwetki za plecami. Bardzo blisko! Omal nie wpadła na sąsiadkę wychodzącą z psem na spacer. Zapasyjony jamnik zaczął szczekać zajadle.

– Tam jest! – To na pewno był Żołnierz.

Niech to szlag! Co robić? Miała nadzieję, że nie zaczną strzelać. Przynajmniej na razie. Zastrzelona przy próbie ucieczki. To oznaczało nie tylko śmierć, ale też wieczną hańbę policjanta, który się sprzedał bandytom za kasę.

Skręciła w prawo. Przebiegła przez jezdnię i dopadła do ogrodzenia po przeciwnej stronie ulicy. Szybko się po nim wspięła i przeskoczyła na drugą stronę. Przebiegła przez czyjeś trawniki i dopadła płotu po drugiej stronie posesji. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie poprosić o pomoc, jednak szybko uznała, że nikt jej nie zaufa. Kiedy tylko zjawią się tamci, błyskając przestraszonym gospodarzom blachami, nikt jej nie uwierzy. Znała właścicieli, małżeństwo koło czterdziestki, nawet kłaniali się sobie na ulicy, lecz nie miała wielkich złudzeń co do tego, komu uwierzą. Poza tym nie mogła narażać postronnych ludzi.

Przeskoczyła ogrodzenie i znalazła się na ścieżce, którą mieszkańcy osiedla chodzili na spacer z psami do pobliskiego, małego parku. To był jej jedyny ratunek. Po prawej nie było się gdzie schować. Kukurydza na przylegającym do osiedla polu sięgała jej raptem do kolan, a w parku jest sto miejsc, w których mogła się ukryć i zmylić pościg.

– Kurwa, strzelaj! – Okrzyk z tyłu trochę ją zmroził.

Nic się jednak nie stało. Nie było warunków do strzału z większej odległości. Dopadła do linii drzew ostatkiem sił, czując palenie w płucach i narastający ból mięśni pracujących na długi tlenowym. Zatrzymała się po kilkunastu krokach. Musiała wyrównać oddech, przyzwyczać oczy do półmroku. Musiała pomyśleć.

Pogoń dotarła kilka sekund później. Zatrzymali się, naradzili półgłosem, jeden poszedł w lewo, Żołnierz przed siebie, a trzeci, którego dopiero teraz zauważyła, prosto na nią. Płuca ciągle poruszały się jak kowalskie miechy i przestraszyła się, że napastnik usłyszy jej chrapliwy oddech. Na szczęście szumiał deszcz, a facet też był zaspany. Słyszała świst powietrza w jego tchawicy, gdy się do niej zbliżał.

Ten od narkotyków szedł środkiem ścieżki, co nie było zbyt rozsądne. Nawet przez szum było słycać jego kroki. Prawa, lewa, prawa, stop. Niczego nie mógł w tych warunkach zobaczyć. Wilczyca stała za gęstymi krzakami leszczyny. Nagle błysnęło mocne światło latarki i zaczęło ślizgać się po zaroślach. Serce zatrzymało jej się w piersiach. Nie czekając, aż promień latarki zatrzyma się na jej sylwetce, przypadła do pnia najbliższego drzewa i usiadła, opierając się o nie plecami. Teraz światło miała z tyłu. Policjant musiał coś usłyszeć, bo nagle snop z latarki padł na drzewo, za którym siedziała. Na pewno nie było jej widać, lecz mimo to znieruchomiała, wstrzymując oddech. Trwało to pięć sekund, może dziesięć, aż wreszcie ruszył w jej stronę.

– Macie ją?! – Głos Żołnierza dobiegł nagle z pewnej odległości.

– U mnie pusto! Pewnie uciekła do głównej drogi – odpowiedział mu głos z innej strony.

– Nie, ona tu jest! – odkrzyknął Żołnierz.

Przekłęła pod nosem jego nienawiść i upór, ale przecież miał rację. Nie miała tyle siły, żeby uciec w tamtym kierunku. Pomyślała nagle, że kiedyś zabije skurwysyna. Wsadzenie go za kraty nie da jej tyle satysfakcji, co wpakowanie mu kilku kul w tę cholerną łysą pałę. Przestraszyła się swoich myśli. I odczuć. Co się z nią dzieje? Przecież ona taka nie jest. Zemsta nie kieruje jej działaniami. Tak działa Żołnierz.

Ten z narkotyków ciągle się zbliżał, a jego latarka wciąż oświetlała miejsce, gdzie się ukrywała. Nagle skierował ją w inną stronę. Ta sekunda wystarczyła. Skoczyła, przeturlała się po trawie i rozpląszczyła przy drzewie nieopodal. Przeciwnik doszedł już do miejsca, w którym była jeszcze przed momentem. Widziała jego ugięte nogi, pochyloną sylwetkę i wyciągnięty przed siebie pistolet. Cholera, jak na ćwiczeniach w szkole dla kadetów. Wzorowy uczeń. Niech go piorun strzeli! Tylko że Laura mu teraz nie odpuści. Ciemny las to był jej żywioł, tu polowała i tu była królową. Wilczycą!

Policjant przystanął, a ona nie wahała się już dłużej. W dwóch susach znalazła się za jego plecami. Dwa ciosy w nerki, kopnięcie pod kolana, po którym nawet Van Damme poczułby potrzebę uklęknięcia jak do modlitwy, a na koniec kopnięcie w głowę. Zanim się zwałił na trawę, chwyciła go za włosy i walnęła jego głową o chropowaty pień drzewa. Krew spłynęła mu na twarz i znieruchomiał. Zabiła go? Miała taką nadzieję, lecz nie liczyła aż na takie szczęście. Leżał bez

świadomości, latarka świeciła gdzieś w niebo. Obszukała mu kieszenie, zabrała kilka banknotów, policyjną blachę cisnęła daleko, w największy gąszcz. Nie nadawał się, gnój, na policjanta. Nie dość, że na usługach bandytów, to jeszcze łamaga. Żaden tam prymus ze szkoły kadetów. Zabrała mu broń, zgasiła latarkę i przez chwilę nasłuchiwała. Nawet jeśli Żołnierz z tym drugim byli gdzieś blisko, niczego nie mogli słyszeć przez szemranie deszczu i szum wiatru w gałęziach.

Zebrała się w sobie i pobiegła tą samą drogą, z powrotem w stronę swojego domu. Tylko że wcześniej skręciła w prawo w wąską ścieżkę między ogrodzeniem ostatniego domu a linią drzew i po chwili wypadła na małe rondo na końcu jej ulicy. Nie pobiegła jednak dalej w kierunku domu, ale znowu przez płot sąsiadów i jeszcze następnych, aż znalazła się na jednej z głównych ulic osiedla. Tu niedaleko powinien być postój taksówek. Włożyła broń za pasek, przykryła przemoczoną koszulką i szła w miarę spokojnie, starając się nie rzucić w oczy. Jeśli oczywiście brudna, bosa i przemoczona kobieta w koszulce z krótkim rękawem nie rzucała się w oczy. Pal sześć! Będzie, jak będzie.

Na szczęście na postoju taksówek stało jedno auto z jasnym kogutem na dachu. Podbiegła do niego, szarpnęła za tylne drzwi i wskoczyła do środka. Miała wyjątkowe szczęście. Taksówki były w większości na aplikację i bez telefonu nie mogła pojechać, a tymczasem ona cudownie trafiła na taryfiarza w słusznym wieku po sześćdziesiątce, który hołdował jeszcze starym obyczajom, kiedy taksówkę brało się ze słupka. Spojrzał na nią pytająco przez wsteczne lustro, podała mu adres, a kiedy ruszył i oddalał się od jej domu, poczuła obezwładniającą ulgę. Osunęła się po siedzeniu. Było jej cholernie zimno, drżała na całym ciele. Spojrzała na stopy. Były brudne, pokrwawione i tak zmarznięte, jakby chodziła po lodzie. Jeszcze tylko kilka minut i tam, dokąd jedzie, doprowadzi się do stanu używalności. Przynajmniej do momentu, kiedy ją tam znajdą.

Lesiecki natychmiast otworzył oczy. W jednej sekundzie zrozumiał, co się stało. Nie uderzył w niego przypadkowo przejeżdżający drogą kierowca. W takim przypadku jego audi na pewno obróciłoby się na śliskiej nawierzchni i wylądowało w rowie. Prędkość była zbyt niska. Bandyci byli dwoma autami. Jedno pojechało z nim do lasu, drugie stało na straży przy skrócie w leśną drogę. Teraz sobie przypomniał, na co nie zwrócił uwagi. Ten postrzelony w piersi trzymał w dłoni zakrwawiony telefon. Cholera, zamiast na kilka chwil przed śmiercią błagać Pana Boga o przebaczenie grzechów albo żegnać się z najbliższymi, ten tatuowany debil wysłał ostrzeżenie dla współników. Musiał być albo bardzo dobrze opłacany, albo bezdennie głupi, skoro wykazał się aż taką lojalnością do samego końca. Mógł być też fanatykiem wierzącym w swoją misję. Takich na świecie też nie brakowało. Tacy byli najgorszy.

Maciek otworzył oczy i zobaczył przez przednią szybę ciemną postać, która zatrzymała się przed maską jego rozbitego auta i wycelowała broń. Tyle że on też miał już pistolet w dłoni. Strzelił na oślep, bardziej żeby odstraszyć niż żeby tra-

fić przeciwnika. Przednia szyba pokryła się siecią pęknięć, bandyta przed nim rzucił się na ziemię. Lesiecki był już na siedzeniu pasażera, otworzył drzwi i wypadł z samochodu. Zerwał się, przeskoczył przez zarośnięty rów, lecz wtedy poślizgnął się i upadł. Być może to go właśnie ocaliło. Dwa wystrzały zlały się w jeden odgłos ze świstem pocisków przelatujących mu nad głową. Zginąby niechybnie. Odwrócił się na plecy i znowu strzelił na oślep dwa razy. Potem zerwał się i skrył między drzewami. Jezu, ile jeszcze zostało mu pocisków w magazynku? Nawet nie zdążył sprawdzić, jakiego typu pistolet trzyma w ręce. Czuł tylko, że jest masywny.

W lesie było ciemno. Nie mógł szybko biec, ponieważ ciągle wpadał w krzaki, do nogawek czepiały się kolczaste pnącza, musiał uważać, żeby ucieczka nie skończyła się zbyt szybko czołowym zderzeniem z ciemnym pniem jednego z rosnących gęsto drzew. Pogoń słyszał tylko na początku, teraz pozostały jedynie łomotanie własnej krwi w skroniach, ciężki oddech i szelest zarośli, przez które się przedzierał. Musieli być głupi, żeby gonić go w takich ciemnościach, uzbrojonego i niewahającego się strzelać.

Nagle teren gwałtownie zaczął opadać. Nie bardzo widział, co znajduje się przed nim, trochę zwolnił, ale po kilku kolejnych krokach spadek zrobił się tak gwałtowny, że poślizgnął się na mokrych liściach i pojechał w dół z impetem. Jakby był skoczkiem narciarskim robiącym najazd na próg skoczni i gdzieś w połowie wypięły mu się obie narty. Uderzył pośladkami o jakiś kamień, aż zadzwoniły mu zęby, i nagle otworzyła się przed nim przepaść. Dojechał na plecach do progu skoczni, wybiło go, teraz musi tylko ładnie i bezpiecznie wylądować. Nie ma co liczyć na lądowanie telemarkiem, musi po prostu starać się nie skrećić karku i za bardzo się nie połamać.

Takie bezsensowne myśli przeleciały mu przez głowę, kiedy stracił pod sobą grunt i poczuł, że leci. Na szczęście nie leciał długo i nie upadł na płaską powierzchnię. Znowu było mocno w dół, więc przeturlał się, zrobił dwa salta, jedno do przodu, drugie do tyłu, po czym rąbnął o twardy grunt, aż za zaciśniętymi powiekami zobaczył rozbłysk atomowego grzyba, a z płuc uleciało całe powietrze. Przez długie sekundy jego układ oddechowy nie pracował, dopiero kiedy przyszała panika, udało mu się wciągnąć gwałtownie powietrze do płuc. Leżał, oddychając ciężko, i bał się poruszyć. Wyobrażał sobie pogruchotane nogi, złamany kręgosłup, połamane żebra. W stresie nie pomyślał, że mogli wywieźć go daleko od Wrocławia, gdzie zaczynają się już góry. Może gdzieś za Świdnicę? Szumiał deszcz, las odzywał się swoimi naturalnymi odgłosami.

Poruszył się. Nie czuł jakiegos strasznego bólu, po prostu sińce, obtłuczenia i zadrapania. Nogami poruszał, rękami też, uniosł głowę z jękiem, przekreślił się na bok i usiadł. Czyli będzie żył. Oczywiście pod warunkiem, że wyjdzie z tego przeklętego lasu i znajdzie drogę do ludzkich siedzib. Mogli go wywieźć na jakieś zadupie, skąd trzeba się ciągnąć do cywilizacji trzy dni wołami. Wstał i obszukał kieszenie. Jeden pistolet był, drugi gdzieś zgubił, spadając, dwa zapasowe magazynki w kieszeni kurtki, komórka, portfel.

Wstał i przeciągnął się, coś strzeliło mu w barku i przez chwilę walczył z bólem, na szczęście przeszło. *Pomóc możesz sobie tylko sam.* Gdzie on, do cholery, jest? Nasłuchiwał. Na pewno nikt go tu nie ścigał. Wydawało mu się, że gdzieś w oddali przed sobą usłyszał jadący drogą samochód. Przynajmniej ma określony kierunek i tam powinien pójść. Nie wahał się, ruszył przed siebie, potykając się o kamienie, wystające z ziemi korzenie i wysokie trawy. To, co w pierwszej chwili zlewało mu się z szumem deszczu, okazało się małym strumieniem, wzdłuż którego szedł. Oczy przyzwyczyały się do ciemności i widział coraz więcej.

Po chwili trafił na pierwszą przeszkodę, musiał wejść do strumienia i długo iść, brodząc w wodzie, zanim wreszcie znowu trafił na płytki brzeg. Powoli odzyskiwał równowagę, uspokajał nerwy i zaczął marznąć. Był przemoknięty i zmęczony. Jeśli droga znajduje się dalej, niż myślał, może nie dać rady. I co wtedy? *Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie.* Jakoś będzie. Powtarzając sobie co chwilę mantrę, brnął przed siebie. Upłynęła prawie godzina, zanim doszedł do małego mostku nad rzeczką, przez który prowadziła asfaltowa droga. Wspiął się i przystanął. Droga nie wyglądała na lokalną. Po szerokości i jakości nawierzchni stwierdził, że być może jest to droga wojewódzka, a więc gdy tylko zjeździe ze wzgórz, na pewno trafi na jakąś miejscowość.

Wyciągnął telefon i go włączył. Być może źle robił, ponieważ łatwo go będzie namierzyć, jeśli ktoś śledzi na bieżąco jego logowania do sieci, lecz nie miał innego wyjścia. Musiał sprawdzić, gdzie się znajduje. Zastanowił się, czy jednak nie zadzwonić po pomoc do Laury, ale uznał, że musi po prostu do niej pojechać, bo telefon mógłby być bardzo niebezpieczny.

Lokalizacja pokazała, że nie znajduje się jednak na drodze wojewódzkiej, tylko lokalnej, gdzieś w okolicach Modłęcina w Parku Krajobrazowym Gór Sowich. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Czy naprawdę w bagażniku bandytów spędził prawie dwie godziny, bo tyle mniej więcej potrzeba czasu, żeby tu dojechać z Wrocławia? Tyle zabrało mu zastanawianie się nad samym sobą, potem walka z plastikową opaską na nadgarstkach? W takim razie miał dużo szczęścia, bo mogli go załatwić w pierwszym lepszym lesie za miastem, a wtedy nie miałby żadnych szans na ocalenie. Był bardzo blisko pierwszych domostw, tylko że droga wiła się, omijając wzgórze. Co ma być, to jest, i tego się nie zmieni. Musi się dostać w bezpieczne miejsce. Na razie jeszcze nie czuł się zbyt pewnie. Wyłączył telefon i ruszył dziarsko w dół skrajem drogi.

I tu pojawił się kolejny problem. Co chwilę z obu stron nadjeżdżały auta, nie miał pewności, czy bandyci go nie szukają, więc musiał chować się za drzewami, co strasznie opóźniało marsz. W ten sposób nie trafi do wioski przed północą. Musiał coś postanowić. Trudno. Zaciśnął zęby i szedł, nie zwracając uwagi na przejeżdżające samochody. Jeśli będą jechać gangsterzy, ma przecież broń i będzie walczył.

Nic się nie działo przez kolejne pół godziny. Wtedy zjeżdżający z góry od strony Walimia samochód minął go i błysnęły czerwone światła. Pojazd zwolnił i się zatrzymał. Lesiecki wyciągnął zza paska broń, odbezpieczył, schował za



plecy i zwolnił. Nic się nie działo. Deszcz ciągle padał, kierowca wyraźnie na niego czekał, a on zbliżał się, czując narastające napięcie. Co to za auto? Żadne luksusowe. Zwykła, stara toyota avensis. Nie kojarzyła mu się z przestępcami, lecz wolał nie ryzykować. Był już tylko o kilka kroków przed samochodem, kiedy drzwi od strony kierowcy uchyliły się.

– Dzień dobry! Stało się coś? – Męski głos był sympatyczny i nawet lekko zatroskany.

Maciej zatrzymał się o dwa metry od tyłu starego modelu toyoty w miodowym kolorze.

– Miałem wypadek – odpowiedział nieco głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć deszcz i silnik diesla.

Mężczyzna wysiadł i spojrzał na niego zaniepokojony. Był mniej więcej w jego wieku, nad głową trzymał plastikową teczkę, żeby nie zmoknąć.

– Ale jest pan w jednym kawałku?

– Na szczęście nic mi się nie stało.

– To wsiadaj pan. Podwożę. Jadę co prawda tylko do Dzierżoniowa, ale tam sobie pan poradzi.

Lesiecki zawahał się na moment. Pułapka czy facet jest niezwiązanym z tematem życzliwym kierowcą, który naprawdę chce pomóc? Nie wyglądał podejrzanie. W końcu na tym zakłamanym świecie życzliwi ludzie też się zdarzają.

– Dziękuję – powiedział. – Skorzystam, jeśli można.

– Można, nawet trzeba – odpowiedział tamten. – Tylko niech pan siądzie z tyłu, tam mam koc. Żona mnie zamorduje, jeśli pobrudzę przednie siedzenie, to jej toyota. Bez urazy.

Maciej nagle zdał sobie sprawę, że pewnie wygląda jak wodnik Szuwarek, przemoczony do ostatniej nitki, do tego uwalany błotem i brudny na twarzy.

– Nie ma sprawy.

Usiadł z tyłu, a ucieszony kierowca samochodu małżonki wskoczył za kółko i ruszyli.

– Co się właściwie stało? – padło pytanie.

– Wpadłem w poślizg i wjechałem do rowu – skłamał.

– Daleko?

– Całkiem blisko.

– Cholera, nie zauważyłem.

– Tam były krzaki.

Kierowca zerknął na niego.

– Nie przedstawiłem się – powiedział z uśmiechem. – Tomek jestem.

– Ariel.

Lesiecki omal nie połknął własnego języka ze zdziwienia, słysząc wypowiedziane przez siebie imię. Już dawno o nim zapomniał, a ono teraz wraca w momencie, gdy przeżywa najpoważniejsze problemy w życiu. Jezu, to jest jakiś znak?

– Niespotykane imię – skomentował Tomasz. – Z czymś mi się kojarzy.

– Z proszkiem – podpowiedział Maciek.

– Nie, była taka sztuka Szekspira: *Burza!*

– No była – burknął Lesiecki, ponownie zaskoczony.

Jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło, żeby ktoś skojarzył jego imię z dramatem. Czasem w życiu musi być ten pierwszy raz.

*Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.* Ta myśl przywróciła go do rzeczywistości. Poczł dreszcz niepokoju na plecach. Przyjrzał się uważniej wnętrzu samochodu i kierowcy, słuchając piąte przez dziesiąte jego monologu o wypadkach samochodowych, jakie mu się w życiu przytrafiły, i jak genialnie z nich wychodził bez szwanku. Pieprzenie dla pieprzenia. Lesiecki nie był fanem motoryzacji i takie gadanie go nie interesowało. Tym bardziej że dostrzegał coraz więcej ciekawych i zarazem niepokojących szczegółów.

Obok niego na tylnej kanapie leżała przemoknięta kurtka przeciwdeszczowa z kapturem. Tomek miał ciemniejsze plamy na swetrze na barkach. Wyglądały na świeże. Ostrożnie zerknął na jego buty. Były ubłocone, na podszewkach wciąż miał przyklejone brązowe liście, jakby w pośpiechu wsiadał do auta i ich nie wyczyścił. Skoro się spieszył, dlaczego teraz jadą tak wolno i dają się wyprzedzać innym uczestnikom ruchu? Po co mu była krótkofalówka na uchwycie przytwierdzonym do kratki jednego z nawiewów? Wnętrze auta było dawno niesprzątane, po prostu brudne. Na pewno nie jeździła nim kobieta, szczególnie taka, która boi się zabrudzić siedzenie pasażera. *Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.* Maciej złamał zasadę. Właśnie rozmawiał z nieznanym i chyba popełniał duży błąd.

Wyjechali z lasu i zobaczyli przed sobą pierwsze światła i zabudowania Piezyc. Lesiecki nagle się zdecydował.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział. – Mam tu znajomych, na pewno mi pomogą.

– Ale tutaj? – Tomasz jakby się spiął. – Może chociaż dojedziemy do miasta.

– Nie, tu będzie dobrze, to pierwszy domek.

Znowu chwila zawahania, jakby namyślał się, co ma zrobić.

– No dobrze, skoro tak chcesz...

Auto zwolniło, zjechało na pobocze, do pierwszego domu i tablicy z nazwą miejscowości zostało kilkadziesiąt metrów. Zatrzymali się, kierowca zaciągnął ręczny hamulec, obejrzał się na Maćka, lecz na jego twarzy nie było już tego sympatycznego uśmiechu drogowego samarytanina. Kierował w jego stronę lśniący w promieniach odległych latarni pistolet. Tylko że Lesiecki był już na to przygotowany. Zanim lufa chwyciła poziom, odchylił się i z całej siły kopnął rękę z bronią. Pistolet odbił się od kokpitu i spadł gdzieś pod siedzenie pasażera. Tomasz zawył z bólu, ale Maciej już był przy nim, otoczył jego szyję ramieniem i przycisnął do zagłówka. Tomasz, czy jak naprawdę miał na imię, zaczął się dusić. Wierzał, charczał, kopał, próbował dosięgnąć swojego przeciwnika rękami, lecz bezskutecznie. Brakowało mu oddechu, osłabł i po jakimś czasie zwiotczał. Lesiecki go puścił. Trupów na dzisiaj chyba wystarczy. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Wyskoczył z auta, wyciągnął nieprzytomnego mężczyznę i wrzucił go do rowu.

– Śpij spokojnie, sukinsynu – wycedził i zgniótł krótkofalówkę butem na twardym asfalcie.

Potem odjechał, koła zabuksowały na mokrej nawierzchni. Włączył ogrzewanie, bo nagle zaczął się trząść z zimna i emocji.

Laura Wilk wysiadła z taksówki na Psim Polu. Zapłaciła mokrym banknotem z wizerunkiem Kazimierza Wielkiego, nie wzięła reszty, bo była wdzięczna, że kierowca o nic nie pytał i nie protestował, kiedy przemoczona, bosa, ubrana nieadekwatnie do pogody, a do tego brudna wsiadła do auta. Pewnie przez wiele lat pracy widział niejedno i niewiele mogło go jeszcze zaskoczyć. Patrzyła, jak wycofuje i odjeżdża w kierunku centrum. Siostra Laury, Alicja, mieszkała z mężem w małym domu na Sulechowskiej. Laura wysiadła dużo wcześniej i teraz stała w cieniu krzaków na wąskiej uliczce wyłożonej kostką brukową. Zanim uda się tam po pomoc, musi się upewnić, że nie jest śledzona i nikt tu na nią nie czeka. Ala była ostatnią osobą, na którą chciała sprowadzić kłopoty, lecz była też jedyną osobą, u której mogła szukać pomocy. Poza tym bała się, że ktoś może wykorzystać rodzinę Alicji, żeby ją zaszantażować do poddania się. Dlatego przychodziła nie tylko z prośbą o pomoc, ale też z ostrzeżeniem.

Kiedy wreszcie po kilku minutach upewniła się, że zgubiła pogoń, obeszła wszystkie samochody zaparkowane w pobliżu, zaglądając do środka. W zdrętwiałej z zimna dłoni ścisnęła pistolet, gotowa, żeby bez wahania go użyć. Dopiero wtedy poczuła ulgę i stanęła przed furką przed domem siostry. Zadzwoiła i spojrzała prosto w ciekawskie oko kamery. Zamek szczęknął i mogła wejść do środka. Zanim doszła do schodów, drzwi gwałtownie się otworzyły. Stanął w nich mąż Ali, Rafał. Był postawnym facetem z coraz bardziej zarysowującą się łysiną na czubku głowy. Laura nie przepadała za nim przesadnie, za to Alicja go uwielbiała. I on ją też, tak samo jak ich dwie córki.

– Co się stało? – powiedział odrobinę na głośno i szeroko wytrzeszczył oczy.

Był w piżamie i dopiero ten widok uświadomił Laurze, jak jest już późno. W odpowiedzi przyłożyła tylko palec do ust i w dwóch susach przeskoczyła schody. Wpuścił ją do środka, potem zlustrował wzrokiem otoczenie i zamknął drzwi.

– Rafał, kto to? – rozległ się z głębi domu głos jej siostry.

Zaraz potem stanęła na progu kuchni w nocnej koszuli i zarzuconym na ramiona szlafroku. Na widok Laury zrobiła przerażoną minę. Podbiegła do niej i nie bacząc na nic, objęła ją mocno ramionami i przytuliła. Laura drżała z zimna i nerwów i kiedy siostra ją tuliła, poczuła nagle, jak napięcie puszcza. Oczy zapiekły ją od łez. Dość udawania twardziela, tutaj może chociaż przez chwilę być normalną kobietą.

– Co się stało? – szepnęła jej do ucha Ala. – Napadli cię?

– Gorzej, chcieli mnie zabić...

– Jezu! – Siostra przytuliła ją mocniej.

Przyglądający się tej scenie Rafał zaklął i pobiegł sprawdzić, czy okna są szczelnie zasłonięte. Wykazał się dużym opanowaniem i rozsądkiem, czym zapunktował u Laury. Potem podszedł do żony i położył jej dłoń na ramieniu.

– Kochanie, Laura umiera z zimna – powiedział. – Znajdź jej jakieś suche ubranie.

Policjantka podziękowała mu przymknięciem powiek. Alicja zarzuciła jej na ramiona swój szlafrok i zaprowadziła do łazienki. Laura była zmęczona i miała tak obolałe stopy, że sama by nie doszła. W łazience odłożyła broń na pralkę w kącie, tak samo jak niezbyt imponującą zawartość swoich kieszeni. Mokra chusteczka, trochę drobnych i guma do żucia. Następnie oparła się o umywalkę i spojrzała na siebie w lustrze. Jeszcze raz pomyślała z wdzięcznością o starym taksiarzu. Przecież mógł ją wziąć za morderczynię, chorą psychicznie lub Bóg wie za co jeszcze. To cud, że nie odwiózł jej prosto do najbliższego komisariatu policji. Krótkie blond włosy były brudne, brud zachodził jej na czoło i prawy policzek, była blada jak zjawą z zaświatów i tylko jej oczy świeciły dziwnym blaskiem. Może miała gorączkę, tego nie była jeszcze w stanie ocenić. A może to była tłumiona wściekłość.

Powoli zdejmowała z siebie mokre ubranie. Po chwili zajrzała Ala, podała jej komplet suchej bielizny, dzinsy, grube skarpety, koszulkę i solidną bluzę z kapturem.

– Musisz się szybko rozgrzać – powiedziała z troską.

– Dziękuję – szepnęła słabo Laura i łyzy znowu zakreśliły jej się w oczach.

– Weź gorący prysznic, a ja zrobię herbatę.

– Kawę, w dużym kubku.

– Dobrze.

– I setkę wódki.

Gorąca woda z prysznica najpierw sprawiła jej ból, kiedy uderzyła o lodowatą skórę. Zadziałała jednak rozgrzewająco, ożywczo i rozluźniająco. Dodała jej też wiary. Może od razu nie w Najwyższego, bardziej była to wiara w siebie, że sobie poradzi. Mogłaby stać pod przyjemnym strumieniem choćby i godzinę, gdyby nie świadomość, że nie ma czasu. Musi działać, musi ich też ostrzec. Wytarła się energicznie, potem wytarła głowę, przeczesała włosy i ponownie spojrzała na siebie w lustrze. Była czerwona, jakby wyszła z sauny. Czuła się dużo lepiej, tylko stopy paliły żywym ogniem. Spojrzała w dół i spostrzegła, że zostawiła krwawe ślady na białym dywaniku. Niech to szlag! Ubrała się i z trudem poszła do kuchni.

Kawa już czekała.

Usiadła na krześle.

– Przepraszam, pobrudziłam wam dywanik krwią – powiedziała cicho.

Ala jęknęła, widząc jej stopy. Natychmiast przyniosła apteczkę, przyklekła i zajęła się opatrywaniem ran. Laura chciała to zrobić sama, lecz Alicja jej nie pozwoliła. Zresztą nie było najgorzej. Tylko kilka sporych zadrapań, reszta to niegroźne otarcia naskórka, sińce i bolesne stłuczenia. Laura piła kawę, kiedy Rafał postawił przed nią dużą szklanekę whisky.

– Nie mam czystej – usprawiedliwił się.

– Też może być. – Laura uśmiechnęła się do niego słabo.

Wypiła alkohol w kilku łykach. Od razu poczuła, jak ciepło rozplywa się szybko po całym ciele. Do tego przyszło też osłabienie, ale zaraz minęło.

– Teraz mi lepiej – powiedziała, dalej popijając gorącą kawę.

Siostra skończyła i na koniec wsunęła grube skarpety na jej stopy. Gospodarze usiedli naprzeciwko, wpatrując się niespokojnie w niespodziewanego gościa.

– No mów, co się stało – ponagliła ją Alicja.

– Skurwysyny chcieli mnie zabić – powiedziała i te słowa ciągle wydawały jej się nierealne.

– Kto?

– Koledzy policjanci.

Alicja zasłoniła usta dłonią, jej mąż jeszcze szerzej otworzył oczy.

– Ale jak to możliwe? – zapytał.

– Skorumpowane kanalie. Przyszli do mnie do domu, żeby zrobić mnie w narokotyki.

– Jak to? – Tym razem jej siostra nie mogła uwierzyć.

Opowiedziała im tyle, ile mogła, bez zbędnych szczegółów. Teraz, kiedy się rozgrzała, nareszcie zaczęła rozsądniej myśleć.

– To prawdopodobnie wiąże się z pewną sprawą, na którą trafiłam przypadkiem – zakończyła. – W policji i prokuraturze są ludzie, którzy siedzą głęboko w kieszeni gangsterów. Poczuli się zagrożeni i chcieli mnie wyeliminować. Kurwa mać!

Gdy nareszcie wypowiedziała te słowa, kołaczące się po jej głowie od jakiegoś czasu, w pełni zrozumiała ich sens. Czyżby Stefański był nie tylko zdziwaczalym starym dziadem, a jego chorobliwa podejrzliwość miała uzasadnienie? Nie uwierzyła mu i nawet później oficjalnie dzwoniła i wypytywała o zaginięcie Marii Cybulskiej. Ktoś musiał to usłyszeć i donieść, komu trzeba. Znowu ogarnął ją strach. A co z Lesieckim? Dotarli już do niego? Przecież od niego się wszystko zaczęło, od tego przekłętego zlecenia na poszukiwanie ciała Marii. Czy Maćka też już dopadli? Może on już nie żyje? Kurwa mać, musi działać, musi się z nim koniecznie skontaktować. Może uznali, że on nie stanowi wielkiego zagrożenia, i skupili się tylko na niej. Musi go ostrzec. Musi działać.

– I co teraz? – zapytała Ala.

Wilczyca wzięła się już w garść, a wściekłość nakręcała ją do działania. Dopija kawę i z trzaskiem odstawiła kubek na blat stołu.

– Przede wszystkim wasze bezpieczeństwo – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nawet jeśli mnie tu nie wytropią, to boję się, że będą chcieli mnie dopaść przez was. Musicie wyjechać na kilka dni. Nikomu nic nie mówcie, tylko jedźcie.

– Kiedy? – Alicja wytrzeszczyła na nią swoje ładne oczy.

– Teraz.

– Ale, Laura, my nie możemy ot tak sobie wyjechać... – zaprotestowała siostra, lecz nieoczekiwanie przerwał jej Rafał.

– Dokąd mamy jechać?

– Rafał! – Alicja spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Posłuchaj, kochanie. Laurę próbowali zabić, jeśli policja współpracuje z gangsterami, to mamy do czynienia z mafią. Oni są bezwzględni. Nie mogą narażać ani ciebie, ani dziewczynkę.

– Ala, przykro mi, że was w to wciągnęłam – dodała przeprasząco policjantka. – Nie miałam dokąd pojechać.

Jej młodsza siostra wreszcie zaczęła sobie uświadamiać zagrożenie. Spojrzała na męża, jakby zadając mu nieme pytania. A praca? A przedszkole? Jak my to zrobimy? On zrozumiał ją bez słów.

– Wszystko się da załatwić – powiedział. – Najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo. Pał diabli wszystko inne.

Wstał, stanął za plecami Alicji i objął ją ramionami.

– Mój przyjaciel ma pensjonat w Karpaczu – mówił dalej Rafał. – Wiele razy nas zapraszał. Na pewno się ucieszy. Pojedziemy na tydzień. – Spojrzał badawczo na Laurę. – Tydzień wystarczy?

Wilczyca chciała go zapewnić, że siedem dni to aż nadto na załatwienie jej problemów, lecz nie była wcale pewna, czy takie zapewnienia miały sens. Nie chciała ich okłamywać. Nie miała pojęcia, co się będzie działo dalej i co ona sama ma robić.

– Tydzień to dla mnie wieki – odpowiedziała wymijająco. – Nie wiem, co będę robić jutro rano, a co dopiero za tydzień. Na początek to jest dobry pomysł.

– Jak to: na początek? – Alicja była coraz bardziej przestraszona i znowu w sukurs Wilczycy przyszedł jej szwagier.

– Kochanie, nie mówmy teraz o tym. Przecież Laura sama jeszcze nic nie wie. Musi się jakoś ogarnąć i rozumiem, że woli się o nas nie martwić. Ma dość własnych problemów. A my odpoczniemy, dawno nigdzie nie wyjeżdżaliśmy.

– Mam odpoczywać ze świadomością, że chcą zabić moją siostrę? Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Tak tylko powiedziałem – wycofał się Rafał.

Żeby przerwać im dalszą wymianę zdań i zmusić do działania, Laura nagle wstała i zrobiła taki gest, jakby chciała wyjść.

– Wy się pakujcie i jedźcie, ja nie mogę tu dłużej zostać – powiedziała.

Alicja znowu spojrzała na nią z przestachem.

– Myślałam, że zanocujesz. Zagrzejesz się, odpocznesz. Twoje stopy...

– Daj spokój, siostrzyczko, oni pewnie mnie szukają. Nie chcę, żeby znaleźli mnie tutaj. Każda chwila się liczy. To też dotyczy was. Pakujcie się i za godzinę ma was tu nie być.

– Ja pierdołę, chyba śnię! – wykrzyknęła Ala, zerwała się i rzuciła Laurze na szyję.

Ścisnęły się mocno i Wilczyca znowu z trudem opanowała łzy wzruszenia. Jej siostra nie była taka twarda i łkała wtulona w jej ramię. Podszedł Rafał i stanowczym ruchem oderwał żonę od siostry. Sam przytulił ją mocno i spojrzął na Laurę ponad jej głową.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

– Muszę zatelefonować – odpowiedziała. – Tylko nie chcę tego robić z waszych numerów. Mój telefon został w domu, muszę coś wymyślić.

Rafałowi błysnęły oczy. Puścił żonę, pobiegł do szafy w salonie i po chwili wrócił z pudełkiem. Położył je na stole i otworzył. To była stara nokia. Włączył aparat, pokiwał z uznaniem głową, a potem podłączył go do ładowania.

– Podobno tego telefonu nie da się namierzyć, numer też jest na kartę, zarejestrowany na mojego dawnego pracownika i ciągle aktywny. – Szwagier nawet nie krył samozadowolenia.

– Dziękuję, nawet nie wiesz, jak mnie tym telefonem ucieszyłeś – powiedziała Laura, po czym nagle się zawahała. – Tylko...

– Nie pamiętasz numeru do Ariela – dokończyła Alicja.

– Do Maćka – poprawiła ją.

– Ja mam, nie pamiętasz już, ale kiedyś mi dałaś na wszelki wypadek. – Pogrzebała chwilę w kontaktach i zapisała sześć cyfr na samoprzylepnej żółtej kartce. – I nie dziękuj – zastrzegła.

– Pewnie potrzebne ci są pieniądze – domyślił się Rafał.

– No tak, potrzebuję teraz tylko gotówki. – Pokiwała głową.

– To też się świetnie składa.

Rafał znów na chwilę zniknął w salonie i zaraz wrócił z torbą na laptopa. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął plik banknotów i podał zaskoczonej Laurze.

– Akurat mam sześć tysięcy. Wziąłem z bankomatu, bo miałem wpłacić zaliczkę na materiały do firmy, ale skoro wyjeżdżam, na razie nie będą mi potrzebne. Oddasz po wszystkim.

– To za dużo – zaprotestowała słabo.

– Kto wie, ile ci będzie potrzebne – skwitował szwagier.

– Weź mój samochód – dodała Ala.

– Samochodu nie mogę wziąć. – Tym razem zaprotestowała mocniej.

– Daj spokój, Laura. Punto Ali jest prawie pełnoletnie, można je sprzedać co najwyżej na części za nie więcej niż parę setek. – Rafał już wciskał jej kluczyki w dłoń. – Nawet jak je rozbijesz i zostawisz gdzieś w rowie, nie będzie wielkiej straty.

– Nie wiem, co bym bez was zrobiła. – Ucisnęła dłoń najpierw jej, potem jemu.

– Od czego ma się rodzinę? – rzucił filozoficznie Rafał.

Potem Alicja wygrzebała z szafy swoje sportowe buty. Wyjaśniła, że kiedyś przez pomyłkę kupiła dwa numery za duże, a teraz będą jak znalazł. I rzeczywiście. Na poranione stopy w grubych skarpetach pasowały idealnie. Rafał wyposażył ją jeszcze w bejsbolówkę New York Knicks i swoją starą wiatrówkę. Była trochę za duża, ale przez to mogła zmylić ewentualny pościg.

Laura poszła do łazienki po broń, następnie wyściskała siostrę, obiecując, że nie da się zabić, i zeszła z Rafałem do garażu. Zaraz przy wejściu zahaczyła kolannem o jakieś deski, które narobiły hałasu, upadając. Mężczyzna sięgnął do włącznika światła, a potem rzucił płyty w to samo miejsce.

– To jakieś szafki kuchenne – powiedział wymijająco. – Miałem naprawić, ale ciągle nie mam czasu.

Wilczyca zatrzymała się na moment przy samochodzie.

– Dziękuję ci, Rafał – powiedziała szczerze. – Naprawdę nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Daj spokój. – Wzruszył ramionami trochę zmieszany. – Wiem, że mnie nie za bardzo lubisz, ale dla mnie rodzina to świętość.

Uścisnęli się nieporadnie, Rafał zgasił światło, otworzył garaż i bramę na ulicę. Laura wycofała i ruszyła pustą ulicą. Z oczu tym razem popłynęły jej dwie prawdziwe, wielkie jak grochy łzy wzruszenia. Byli dla niej prawdziwym oparciem i ratunkiem. Uświadomiła sobie, że w tej sytuacji naprawdę nie miała do kogo innego zwrócić się o pomoc. Oni byli jedyni. Ciągle nie wiedziała, co teraz ma robić. Było już późno, nie mogła wrócić do siebie, nie wiedziała, gdzie przemocować. Ale na pewno musi się skontaktować z Maćkiem, sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku. Miała cholernie złe przeczucia. A może odbierze Ariel, pomyślała nieoczekiwanie. Nieważne, może to być którykolwiek z nich, bo to będzie znaczyło, że z Lesieckim jest wszystko w porządku.

Jedno było pewne. Nie będzie już zwierzyną łowną. To ona jest Wilczycą, rządzi watahą i prowadzi ją na łowy. Chcą wojny, będą ją mieli. Skoro próbowali ją zabić, wszelkie zasady właśnie przestały obowiązywać.

Wytała łzy rękawem i mocniej wcisnęła pedał gazu.



**CZĘŚĆ CZWARTA**

# **POLOWANIE**

# 1

Sonia ocknęła się nagle z letargu. Nie wiedziała, jak długo w nim tkwiła, gnębiona przez koszmary. Uciekała przez szumiący las, goniły ją ciemne postacie, każda chciała ją zabić, a ona już nie miała siły uciekać. Było jej coraz zimniej, z każdym krokiem słabła, tylko ten ciemny, ponury las szumił wokoło, złowieszczy i nieskończony, jak w horrorach o leśnych demonach. Otworzyła oczy i pomyślała, że nic się nie zmieniło. Było ciemno, ciągle słyszała jednostajny szum i coś jeszcze. Po chwili poznała ten dźwięk. To było kapanie. Krople wody wpadały przez dziurawy dach i rozbijały się w kałużach na posadzce. Na zewnątrz padał deszcz.

Paralizujący strach ścisnął ją za gardło. Jak długo już tkwiła wewnątrz tych ruin, sama, bez szans na ratunek? Drżała z zimna nawet pod grubym kocem. Być może miała gorączkę albo po prostu organizm się zbuntował i zaczynał protestować. Poruszyła głową i aż krzyknęła z bólu. Miała zdrętwiałe obolałe kark, każde poruszenie głową powodowało skurcz mięśni. Tak samo było z nogami i rękami. Cała była odrętwiała od siedzenia przez wiele godzin nieruchomo na krześle. Jak długo? Nie wiedziała. Wydawało jej się, że czas dla niej płynie wolniej. Ona tu siedzi uwięziona i minuty są jak godziny, a poza tymi murami świat pędzi przed siebie i dawno już o niej zapomniał. Kogo jeszcze interesowała? Zapomnieli, w myślach pogrzebali, odeszła dla nich na zawsze. Zapłakała bezgłośnie z przerażenia i bezsilności.

Jej oprawca, mężczyzna, któremu zaufała, chyba już dawno jej nie odwiedzał. Może on też o niej zapomniał? Matka zawsze powtarzała, że nie może być tak ufna, że do innych ludzi trzeba podchodzić z dystansem, najpierw ich dobrze poznać i dopiero wtedy ewentualnie można wpuścić ich do swojego życia. Dopiero wtedy jest szansa, że jej nie skrzywdzą. Ale ona nie słuchała.

– Mamo – jęknęła bezgłośnie.

Pewnie nigdy już nie zobaczy matki, przyjaciółek, znajomych, wszystko dlatego, że zaufała. Nie pomyślała, nie wyczuła zagrożenia, chociaż powinna była wyczuć.

Deszcz wciąż padał, było coraz zimniej, a ona tkwiła tu samotnie, czekając na śmierć. Najlepiej by było, gdyby znowu zemdlą, wtedy przynajmniej nie musiałyby myśleć. Lecz zły los bywa złośliwy i rzadko daje nam to, czego chcemy. Więc tkwiła tu dalej, przytomna, obolała, zmęczona, chora, zrozpaczona, przerażona.

Czy ktoś tu jeszcze kiedyś przyjdzie?

Komisarz Piotr Żołnierz siedział w fotelu w swoim mieszkaniu, ściskając w dłoniach obolałą głowę. Nie wiedział, co dalej. Wciągnął resztkę koki, napił się wódki z butelki, lecz dilerzy sprzedają obecnie biały proszek mieszany z jakimś gównem i nie ma żadnych efektów. Mózg nie dostał kopa, nic się nie rozjaśniło. Pozostała tylko nienawiść, która utrudniała myślenie.

Nienawidził tej suki. Wszystko przez nią. Uciekła i teraz naprawdę on jest w czarnej dupie. Nie będzie emeryturki w Hiszpanii, będzie raczej dno rzeki z betonową płytą na plecach. Wiedział, z kim ma do czynienia. Oni nie wybaczą błędów i nie zapominają. Nawet gdyby dziś uciekł na kraniec świata, znajdą go. Za rok, dwa, pięć, ale znajdą. Pamiętał doskonale rozmowę telefoniczną sprzed godziny. Krystek miał zupełnie inny ton głosu niż podczas ich ostatniego spotkania.

– Spierdoliłeś, Żołnierz – powiedział. – Przez ciebie mamy duże kłopoty. A my nie lubimy mieć kłopotów.

– Naprawię to – wyjąkał przez ściśnięte ze strachu gardło.

– Ty ciągle niczego nie rozumiesz, gliniarzu. Pewnych rzeczy nie da się naprawić, a nawet jeśli się uda, będzie nas to kosztować górę pieniędzy, zmarnowany czas, utratę wpływów i inne rzeczy. Przecież ktoś może się zainteresować, co wy tam naprawdę robiliście. Wilczyca uciekła i będzie nam bruździć. Nie wszystkich mamy ustawionych, Żołnierz. Oddasz nam te pieniądze? Zrekompensujesz transakcje, które nie dojdą do skutku? To są grube miliony, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Naprawię błąd – powtórzył tylko.

– Masz czterdzieści osiem godzin.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Krystek rozłączył się bez słowa.

Nienawiść.

Żołnierz siedział jeszcze długo z aparatem przy uchu i myślał, co zrobi tej dziwce Laurze Wilk, gdy już ją dorwie. Byli tylko on, ona i nienawiść. Ślepa i nieskończona. Nie odpuści. Dopadnie ją i wtedy ta suka zapłaci za wszystko. Za jego dzieciństwo, złamaną karierę w policji, za ojca sadystę, za nieudane małżeństwo, za gacha żony, który mu wpierdolił we własnym mieszkaniu. Zemści się na niej za wszystkie życiowe upokorzenia. Raz, a dobrze.

Żałował, że wziął na tę akcję tego cholernego idiotę, Górala. Kretyn dał się zaskoczyć Wilczycy jak nowicjusz. Z nim też się policzy, to będzie smutny koniec Góralskiego, już on coś wymyśli, żeby ten sukinsyn cierpiał, zanim odpokutuje za grzechy. Tylko musi chwilę poczekać. Najpierw ta dziwka Laura Wilk. To ona jest wszystkiemu winna. Dobrze, że przynajmniej tak dopieprzyła Góralskiemu, że karetka zabrała go do szpitala na obserwację. Mógłby mieć wstrząśnienie mózgu, przynajmniej by cierpiał. A Żołnierz, nakrecony nienawiścią, chciał, żeby wszyscy cierpieli, żeby cały świat zwijał się z bólu. Żeby kogoś nareszcie bolało bardziej niż jego przez całe życie.

Dorwie ją, za chwilę, tylko odpocznie i trochę pomyśli.

## 2

**D**ochodziła trzecia w nocy, kiedy szary fiat punto zatrzymał się na parkingu pod obwodnicą śródmiejską przy hali Orbita. Deszcz przestał padać, od strony Odry unosił się błądy obłok mgły. Było pusto i cicho. Nawet odgłosy miasta stały się ospałe i przytłumione.

Minęło kilkanaście sekund i od jednego z filarów obwodnicy oderwała się ciemna postać i wsiadła do czekającego samochodu. Trzasnęły drzwiczki, ale punto stało jeszcze długo, zanim wreszcie ruszyło, zawróciło na pustym placu i odjechało Wejherowską.

Wcześniej Maciej Lesiecki wrócił do Wrocławia. Najpierw pojechał pod dom Laury, lecz ku jego zdziwieniu stało tam kilka policyjnych samochodów i kręciło się mrowie mundurowych. Przestraszył się, że coś się stało. Wtedy po raz pierwszy od powrotu do miasta włączył telefon i chciał do niej zatelefonować. Zaraz jednak go wyłączył. Przecież jeśli ten telefon jest namierzany przez policję albo bandytów, odda im się na tacy. Odjechał stamtąd, żeby nikt nie zwrócił uwagi na kradziony samochód. Wątpił, czy ktokolwiek tę kradzież zgłosił, ale musiał być ostrożny. Bał się o Laureę. Co się stało, że policja jest w jej domu?

Zaraz wytłumaczył sobie, co się stało. Do niej też przyszli nieznani napastnicy, żeby wyeliminować policjantkę, tak samo jak i jego. Nerwy miał napięte jak postronki, jej nic nie może się stać. Ona jest jego ostatnią deską ratunku. Poza tym nigdy sobie nie wybaczy, jeśli to on ściągnął na nią nieszczęście.

Stał długo na pobliskim parkingu, ukryty za innymi autami, i starał się opanować rozbiegane myśli. Na razie niezbyt skutecznie. Chciał pojechać pod swój blok, lecz na szczęście przyszło otrzeźwienie. Nie tym samochodem. Jeśli oni tam na niego czekają, a co do tego nie miał wątpliwości, może zwrócić na siebie uwagę.

Laura odjechała spod domu siostry i wolno posuwała się w kierunku centrum miasta. Nie mogła ryzykować zbliżenia się do swojego domu, gdzie pewnie jej „koledzy” z narkotyków zabezpieczają towar podrzucony jej przez ludzi Żołnierza. Wolała się tam nawet nie pokazywać, przecież życie składa się z głupich przypadków. Ktoś spojrzy w bok, coś skojarzy, zatrzyma ją drogówka, a przecież piła, i wpadnie w jeszcze większe kłopoty. Pojechała pod dom Lesieckiego. Zatrzymała się kilkanaście metrów od bramy i długo tam stała, patrząc w jego okna. Były ciemne, jakby spał, ona jednak była pewna, że go tam nie ma. Uważnie obejrzała wszystkie auta w zasięgu jej wzroku i nagle ich zobaczyła. Niepasu-

jące do całego zestawu niezbyt drogich aut audi a8 z przyciemnionymi szybami. Poczwała złość i równocześnie pewną ulgę. Skoro siedzą pod domem Maćka, to albo on tam jest i jeszcze nie wie o niebezpieczeństwie, albo się ulotnił, a oni teraz czekają, aż wróci. Miała nadzieję, że ta druga opcja jest prawdziwa. Opuściła na twarz daszek czapki i wolno przejechała obok audi, starając się zajrzeć do wnętrza. Niewiele było widać, ale zdawało jej się, że zobaczyła dwie wielkie sylwetki na przednich siedzeniach. Zatrzymała się kilkaset metrów dalej, wyciągnęła telefon i zatelefonowała. Niedostępny. Więc napisała esemesa: „Musimy się spotkać. Teraz. Pilne! Laura”. Wcisnęła przycisk wysyłki i poczekała na komunikat, że wiadomość wyszła. Pojechała dalej, kiedy przez kolejny kwadrans nic się nie działo. Kręciła się po mieście, zerkając na telefon leżący na siedzeniu pasażera. Odezwiąj się, do jasnej cholery! Ale on się nie odzywał. Zastanowiła się, co zrobi, jeśli Lesiecki jej nie odpowie, i zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie myśli o kłopotach, jakie ją dopadły, nie planuje dalszych działań, tylko myśli o nim. Nie będzie w stanie rozsądnie działać, zanim nie dowie się, gdzie on teraz jest i co robi.

Lesiecki był zmęczony, zmarznięty i zły. Jeździł bez celu, aż wreszcie doszedł do wniosku, że to nie jest mądre. Miasto ma rozbudowaną sieć monitoringu. Prawie na każdym skrzyżowaniu patrzyło na niego kilka kamer. Nie wiadomo, kto ma do nich dostęp, kto będzie przeglądał te zdjęcia w przyszłości. Może już ktoś patrzy w monitory i szuka miodowej toyoty avensis skradzionej bandzirowi w Pieszycach? Przeklął w myślach, wjechał w pierwszą mijaną wąską osiedlową uliczkę i tam zaparkował w sznurze aut. Co się stało z Laurą? Bał się, bardziej bał się o nią niż o siebie. W co on ją, do jasnej cholery, wciągnął? Jakie jest zagrożenie? Kto tak naprawdę ich ściga? Długo się zastanawiał, jak ma się z nią skontaktować. Wiedział, że miała siostrę, która mieszkała gdzieś na Psim Polu, lecz nie miał pojęcia gdzie. Odpada.

W pewnym momencie postanowił zaryzykować i włączył telefon. Aparat zalogował się do sieci i już po sekundzie usłyszał dźwięk oznaczający nadejście wiadomości. Poczł, jak serce zabiło mu mocniej. Od Laury. Odpisał: „Tam, gdzie się poznaliśmy, jak najszybciej”. Nie mógł napisać wprost adresu ze względów bezpieczeństwa. Dlatego zaproponował miejsce, które na pewno pamięta. Poznali się po koncercie. Grupa Porcupine Tree w roku dwa tysiące dziesiątym przyjechała na jeden koncert do Wrocławia, do hali Orbita. Laura była psychofanką Stevena Wilsona i nie mogła takiego wydarzenia odpuścić. Miała iść ze znajomymi, ale wykruszyli się i poszła sama. Maciej nie znał tego zespołu, generalnie nie interesował się muzyką rockową, lecz miał wtedy dziewczynę, która namiętnie ich słuchała. To ona go namówiła, lecz tak się złożyło, że w drodze do hali Orbita pokłócili się, i to było ich rozstanie. Nie doszli nawet do bramek, gdzie sprawdzano bilety. Lesiecki, nie mając innego wyjścia, też poszedł na koncert. Po występie w tłumie ludzi wychodzących z Orbita potrafił krótko ściętą blondynkę o sympatycznym uśmiechu. W ramach rekompensaty za to zdarzenie zaprosił ją na kawę. Zgodziła się. Miała na imię Laura.

Po drodze na wyznaczone przez siebie miejsce spotkania uświadomił sobie, że podobno smartfony można namierzyć nawet, gdy są wyłączone. Podobno systemy szpiegowskie, takie jak Pegasus, potrafiły się do nich włamać w każdym momencie. Nawet nagrywać dźwięk przy wyłączonym aparacie. Klnąc na swoją głupotę, wyciągnął kartę SIM, a aparat wyrzucił do najbliższego kubła na śmieci. Samochód zostawił na parkingu pod obwodnicą i czekał na policjantkę pod przęślem wiaduktu.

Kiedy Lesiecki wsiadł do samochodu Laury, spojrzeli sobie w oczy. Wilczyca patrzyła na niego z przestrachem. Miał zmierzwiłone, brudne włosy, był blady, ręce miał podrapane, jakby przybijał piątki ze stadem dzikich kotów, ubranie było brudne i przemoczone.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem – powiedział zamiast powitania.

– Kurwa, myślałam, że cię już nie zobaczę – wyszeptła, położyła mu dłoń na lodowatym karku, przyciągnęła twarz do siebie i pocałowała.

Oddał pocałunek i jeszcze przez moment patrzyli sobie w oczy. W jego spojrzeniu też malowała się ulga. Laura wreszcie zrzuciła balast niepokoju i mogła racjonalnie myśleć i planować najbliższe godziny.

– Musimy gdzieś przeczekać noc i trochę się ogarnąć – zdecydowała. – Znam dobre miejsce.

Praca policjanta śledczego ma te zalety, że przez lata szlajania się po mieście i okolicach, szukając świadków, śladów, ścigając przestępców, poznaje się całą masę miejsc, o których istnieniu porządny obywatel nie ma pojęcia. Zwykle omija je szerokim łukiem lub mija codziennie, nawet się nie domyślając, co się w nich dzieje nocą. Podwrocławski hostel Pod Lipą był właśnie takim miejscem. Nie cieszył się zbytnim zainteresowaniem turystów, którzy bywali tu sporadycznie, ze względu na lokalizację w Bielanych Wrocławskich, czyli daleko od centrum miasta. Mimo to przynosił właścicielowi niezłe dochody, ponieważ zapełniał pewną lukę w łańcuchu firm z branży hotelarskiej. Szef umiejętnie balansował na granicy szarej strefy, nie wahając się owej granicy przekraczać, kiedy tylko była ku temu dogodna okazja. Większość miejsc noclegowych w hostelu długoterminowo wynajmowali pracownicy z Ukrainy lub zatrudniające ich firmy. Jednak hostel świadczył też inne usługi, na które było duże zapotrzebowanie, a na które inni zgadzali się bardzo niechętnie.

O ile w innych miejscach wynajem na godziny łączył się z niskim standardem, o tyle Pod Lipą oferował ten wynajem w wersji de luxe. Dzięki temu miał zapewniony stały ruch w interesie. Żonaci mężczyźni z kochankami i odwrotnie, prezesi ze swoimi sekretarkami w drodze na ważne spotkanie, biznesmeni z ekskluzywnymi prostytutkami i jeszcze wiele innych kombinacji. Poza tym recepcjonista, za drobną dodatkową opłatą, nie pytał o personalia gości na godziny. Za takie usługi klienci w większości płacili gotówką i nie chcieli faktur. Właściciel i załoga pracująca w hostelu mieli też jedną podstawową zaletę. Nigdy nie zadawali zbędnych pytań. Laura była tam kilka razy służbowo w ramach wyjaśniania spraw, które już dawno uleciały jej z głowy.

Na parkingu z tyłu hostelu byli kilka minut po trzeciej. Po deszczu podniosła się nieprzyjemna, lepka mgła, na wschodzie wolno pojawiała się poświata wstającego słońca. Laurę mógł ktoś rozpoznać, więc ukryła twarz pod daszkiem czapki i stała kilka kroków z tyłu, podczas gdy Maciej załatwiał formalności meldunkowe. Dodatkowy banknot stułotowy skutecznie zniechęcił młodego, zaspanego mężczyznę za kontuarem do oglądania ich dokumentów tożsamości. Specjalna dopłata w postaci banknotu firmowanego przez króla Kazimierza pomogła w zdobyciu pokoju o najwyższym standardzie, który tylko czekał na takie specjalne okazje. Zaraz potem Jan Kowalski wraz z małżonką szli korytarzem w poszukiwaniu swojego pokoju. Pewnie gdyby przejrzeć księgi meldunkowe, okazałoby się, że hostel najczęściej odwiedzali Kowalscy lub Nowakowie.

Nie było elektronicznych zamków ani kart, do otwarcia drzwi służył zwykły klucz z drewnianym brelokiem, kojarzącym się Lesieckiemu z dzieciństwem i gumową gruszką do lewatywy. To zdecydowanie nie było dobre skojarzenie.

Pokój został wyposażony w stół, dwa fotele i przede wszystkim łóżko z materacem wodnym, zajmujące dwie trzecie przestrzeni. Nawet nie znając renomy hostelu, można było się domyślić, jakie sceny się tu zazwyczaj rozgrywają. A tego lepiej było sobie teraz nie wyobrażać.

W kącie stał ekspres do kawy z zapasem tanich kapsułek, czajnik elektryczny, zapas torebek z podłą herbatą i dwie filiżanki. Laura od razu nastawiła wodę w czajniku, następnie podeszła do Macieja i zaczęła go wolno rozbierać. Nie był to jednak efekt przypryływu nagłych erotycznych potrzeb powstałych pod wpływem wyobrażeń o wyczynach poprzednich lokatorów, tylko czysty pragmatyzm. Lesiecki był przemoczony, drżał z zimna i koniecznie musiał zrzucić mokre ciuchy. W celu rozgrzania najlepszy był gorący prysznic, więc kiedy tylko z jej pomocą uwolnił się z ubrań, zaraz go tam wepchnęła. Emocje puściły i teraz trząsał się jak przy ataku febry. Miał problem nawet z odkręceniem kranu i ustawieniem odpowiedniego strumienia wody. W tym też mu pomogła.

– Zrobię ci herbatę – powiedziała, wychodząc.

Zalała kubek z saszetką wrzątkiem i zaczęła zbierać z podłogi jego ubranie. Był jeszcze jeden problem, Maciek nie miał rzeczy na zmianę. Musieli więc wysuszyć i wyczyścić błoto z tego, w którym przyjechał. Na szczęście w pokoju było bardzo ciepło, więc rozłożyła ubrania na stole, na wieszakach i w nogach łóżka. Bieliznę powiesiła na gorącym kaloryferze.

Lesiecki wrócił zawinięty w płaszcz kąpielowy. Pod gorącą wodą nabrał rumieńców, jak Laura kilka godzin wcześniej. Czuł się lepiej, chociaż zaatakowała go senność, siłą zamykając mu powieki. Walczył z nią dzielnie i po chwili wygrał. Napił się już nie tak gorącej herbaty, a potem siedzieli obok siebie na łóżku, oparci o ścianę. Policjantka obejrzała wojenny arsenał zdobyty tego wieczoru na wrogach. Na stoliku koło ekspresu leżał policyjny walther z pełnym magazynkiem i jakiś nowy model czeskiej cezetki też kalibru 9 mm. Do tego mieli jeszcze jeden zapasowy magazynek. Niewiele, jak na początek wojny, jednak zawsze coś.



Było przed piątą, za oknem wstawał słoneczny dzień, a oni skończyli dopiero opowiadać sobie, co ich spotkało. Nie trzeba było doświadczenia policyjnego Laury, żeby trafnie określić sytuację, w jakiej aktualnie się znaleźli. Byli głęboko w ciemnym tunelu i na razie ciężko było określić, w którym kierunku znajduje się wyjście.

– Na pewno nie żyją? – po raz kolejny upewniła się Wilczyca.

– Na pewno – po raz kolejny potwierdził Maciek i dodał z wyjątkowym opanowaniem w głosie: – Jeden dostał w piersi, a drugiemu przetrzeźwiłem mózg.

Laura zmeła w ustach przekleństwo. To podwójnie komplikowało sytuację. Po śmierci kolegów gangsterzy dostaną pierdolca i zrobią wszystko, żeby ich dopaść. Te dwie ofiary śmiertelne nie wpłyną też pozytywnie na postrzeganie ich przez policję jako ofiar agresji. Niby to była obrona konieczna, lecz żaden prokurator nie przejdzie do porządku dziennego nad dwoma denatami pozostawionymi przez przerażoną ofiarę napadu w miejscu zdarzenia. Istniała nadzieja, że policja nigdy się nie dowie o dwóch trupach. Inną kwestią było to, że policja na razie też była po tej drugiej stronie. Laura rozmyślała, jak odwrócić sytuację. O trupach na razie nie będzie wspominać. Chwilę zastanawiali się, kto i dlaczego tak się przestraszył wyjaśnienia spawy zaginięcia Marii Cybulskiej, że postanowił ich zabić. To na pewno musiał być ktoś bardzo wpływowy, skoro użył skorumpowanych policjantów. Tylko coś tu zgrzytało.

Nawet jeśli Laura zgodnie z planem została by zastrzelona przy próbie stawiania czynnego oporu czy grożenia policjantom bronią, to jej śmierć zapoczątkowałyby trzęsienie ziemi. Zawsze kiedy ginie policjant, jak to na przykład było w przypadku Piecha, policja rzuca do znalezienia zabójcy wszystkich swoich najlepszych ludzi i tu nie ma zmiłuj. Tak długo szukają, aż znajdą. Zabójca policjanta nie może pozostać bez kary, ponieważ to działa demoralizująco na innych przestępców, którzy w przyszłości będą celować z broni do stróżów prawa. Oni wtedy muszą widzieć, że po naciśnięciu spustu nic już nie będzie takie samo, a dożywocie w więzieniu o zaostrzonym rygorze jest tylko kwestią czasu. Nie mogą myśleć, że skoro jemu się udało, to i mnie może się udać. Nie ma takiej opcji, takie myśli i rozważania w przyrodzie nie istnieją.

Jeśli policjant został by zastrzelony przez innych policjantów, byłoby jeszcze gorzej. To nie byłyby wstrząsy tektoniczne, tylko fala tsunami niszcząca wszystko na swojej drodze. Taka zbrodnia odbiłaby się negatywnie nie tylko na komendancie wojewódzkim, ale dosięgłaby też tych z Warszawy, może nawet zahaczyłaby o ministerstwo, któremu podlega policja. No właśnie, a czy czasem Ryszard Cybulski nie jest wiceministrem od policji? Być może. Do gry wkroczyłaby prokuratura, Biuro Spraw Wewnętrznych, audyt z komendy głównej, kto wie, czy NIK nie chciałby przyjrzeć się sprawie. Kto o zdrowych zmysłach wymyślił, żeby podrzucić jej biały proszek i upozorować jej zabójstwo jako obronę konieczną? Wiedząc o tym, że sprawa będzie bardzo głośna, a kontrole i postępowania wyjaśniające będą prowadzone ze wszystkich stron? A jeśli jednak nie miała być głośna?

Poczuła nagle lodowaty dreszcz na plecach, mimo że od dawna było jej już za ciepło. Skoro bandyci mieli taki plan, to znaczy, że w kieszeni mają pół prokuratury, pół komendy wojewódzkiej z Frąszykiem, naczelnikiem wydziału kryminalnego, na czele, a kto wie, może i z którymś wicekomendantem. Nie wspominając już o BSW i prokuraturze rejonowej. Przecież jakiś nieznaną jej prokurator podpisał nakaz przeszukania. Nie wiedział, w co się pakuje? Wątpliwe. Czyli cała ta sprawa z jej śmiercią od początku do końca była ukartowana. Odpowiedni ludzie na odpowiednio wysokich stołkach w odpowiednim czasie ukreśliliby jej łeb i potem wszyscy przez następne lata na wspomnienie Wilczycy kiwaliby tylko głowami. „No tak, niby była taka twarda, a tak naprawdę dawała w żyłę, była na pasku mafii i tylko, suka, udawała taką prawą”. Znowu poczuła wściekłość. Nie spodziewała się, że myśl o utracie twarzy i szacunku u kolegów, na który tak długo pracowała, zaboli ją jeszcze bardziej niż próba zabójstwa. Na razie nie powiedziała Maćkowi o swoich przemyśleniach. W tej chwili była ważniejsza rzecz do omówienia.

– Dlaczego rozwiązanie sprawy zaginięcia Marii Cybulskiej jest tak niebezpieczne dla niektórych, że użyli wszystkich swoich wpływów, żeby nas wykończyć? – zapytała na głos.

– Może podsumujmy jeszcze raz, co o tym wiemy – zaproponował Lesiecki.

Wilczyca zaczęła mówić, wyluszcżając znane im fakty i zdarzenia:

– Maria zaginęła prawdopodobnie w trakcie imprezy, na której jej ojciec gościł lokalnych notabli, w tym swojego przyjaciela Krzysztofa Darskiego. Dziś są ze sobą poróżnieni. Oczywiście pokłócili się o duże pieniądze. Śledztwo było jednym wielkim chaosem, tak naprawdę nikt się do niego nie przykładał. Bardzo późno porywacze wysłali żądania okupu, potem były próby przekazania okupu, ale nikt nawet nie próbował podjąć pieniędzy. Imprezy u Cybulskich się skończyły, ojciec przez jakiś czas szalał i wydawał pieniądze, żeby odnaleźć dziewczynę, lecz nagle przestał, poszedł w politykę. Jednak zamiast wykorzystać machinę państwową do poszukiwań, zaczął działać odwrotnie. Zatuszował wszystko, ukrył albo zniszczył akta, świadków zastraszył. O co tu chodzi?

– Ktoś z partii przekonał go, że jeśli dziennikarze dokopią się do porwania córki obecnego ministra, mogą zacząć interesować się przestępczą przeszłością milionera i polityka – podsumował Maciej.

– To zadziało niezwykle skutecznie. – Laura pokręciła głową. – Ten dziennikarz, Stefański, miał pełne gacie, kiedy ze mną rozmawiał. Ostrzegał mnie, że to jest śliska sprawa i żeby w tym nie grzebała, bo będę mieć kłopoty. Tylko czy powód zaginięcia Marii jest dla jej ojca aż tak niebezpieczny, że mógłby za to zabić? Wiceminister z rządzącej partii zleca zabójstwo policjanta i psychologa. Ty wiesz, jaka chryja by się z tego zrobiła? Nie tylko on by poleciał, ale cały rząd, a partia przegrałaby kolejne wybory. Nawet najtwardszy elektorat przestraszyłby się takich polityków. Tego by się nie dało zatuszować. Co może być ważniejszego od władzy, kiedy ma się już na koncie miliony. Kolejne miliony? Brzmi nierealnie.

– Nie wiesz, co siedzi w głowach takich ludzi. Człowiek politycy, prezesi wielkich spółek, celebryci to w większości psychopaci pozbawieni empatii. To nie jest mój pogląd, o tym mówią badania naukowe przeprowadzane bardzo szeroko. O tym przeczytasz w książkach do psychologii, padają tam nawet konkretne nazwiska największych światowych przywódców. Trudno ocenić, jak oni mogą się zachować w sytuacjach zagrażających ich dominującej pozycji. Ja, jako psycholog, nie wykluczam zlecenia zabójstwa.

– Może masz rację, ale przecież rozmawiałeś z Cybulskim.

– To fakt, nie wyglądał na mordercę, ale to mogła być tylko poza. Przecież ostrzegłem cię, żebyś nie szukał Marii, bo on sobie tego nie życzy. Stwierdził, że tyle się już nacierpiał z tego powodu, że kolejnych ciosów mógłby nie wytrzymać.

– Uwierzyłeś mu?

– Nie – odrzekł krótko Lesiecki. – Jak na polityka jest zaskakująco słabym aktorem. Może dlatego nie wychodzi do dziennikarzy. Jego mowa ciała świadczyła o czymś zupełnie innym. Kłamał przez całą rozmowę ze mną lub nieudolnie starał się ukryć prawdę. Nie uwierzyłem mu i to mógł być impuls do działania.

– Ale jest jeszcze ten zastrzelony ochroniarz – rzuciła Wilczyca. – Specjalnie sprawdzałam. Został zastrzelony tego samego dnia, w którym zaginęła Maria Cybulska. To był ochroniarz Darskiego, a nie Cybulskiego.

– Rozmawiałem z jego ojcem. Podobno ten Mariusz lubił córkę Cybulskiego.

– Czyli co, jest tak, jak niektórzy przypuszczają? – podsumowała Laura. – Ten ochroniarz mógł na przykład zgwałcić Marysię, dziewczyna zmarła i dlatego musiał zginąć. Od tego momentu Darski ma w Cybulskim największego wroga.

– Nie czujesz, że coś zgrzyta? – Lesiecki pokręcił głową z powątpiewaniem. – To dlaczego nie ma ciała dziewczyny? Po co Cybulski tuszuje sprawę jej porwania?

– Może o niczym nie wie? Darski, obawiając się reakcji przyjaciela i wspólnika, ukrył ciało Marii i zabił tego ochroniarza, uciszając go na wieki. Potem udawał porywacza i słał te wiadomości o okupie, żeby Cybulski nie powiązał go ze śmiercią swojej córki?

– To nie tłumaczy, dlaczego Cybulski przestał szukać ciała.

Lesiecki zamilkł i podrapał się po policzku, myśląc intensywnie.

– Ta dziwna kobieta, która zleciła mi poszukiwania, wcale nie chciała znaleźć zabójców swojej kuzynki – powiedział wreszcie wolno. – Podkreśliła, że ją to w ogóle nie obchodzi. Chciała tylko znaleźć ciało i za to zapłaciła.

– Mówiła prawdę?

– Tak, przez całe spotkanie nie zauważyłem u niej żadnych sygnałów świadczących o tym, że próbuje mnie oszukać – potwierdził. – Nie mogła być aż tak dobrą aktorką, ona po prostu była ze mną szczerą. Chciała tylko znaleźć zwłoki.

– Zwłoki dziewczyny mógł ukryć jej ojciec, zabity ochroniarz, sam Darski albo wersja o porwaniu jest prawdziwa i to porywacze zakopali ją gdzieś w lesie na drugim krańcu kraju. Masz jakiś pomysł, jak jej szukać? *Mission impossible*.

Zamilkli na moment, wreszcie policjantka wstała, włożyła kapsułkę z kawą do ekspresu i uruchomiła go.

– To na razie nasz najmniejszy problem – powiedziała. – Musimy się zastanowić, jak z tego wybrnąć. Jeśli policja, BSW i prokuratura są skorumpowane, to naprawdę mamy poważne kłopoty. Nie wiem, komu możemy zaufać.

– A ten Góralski? – rzucił Maciej. – Ostrzegł cię.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Ostrzegł mnie, ale on też jest umoczony, nie wiem, czy będzie chciał nam pomóc. On po prostu przestraszył się konsekwencji. Taki skruszony bandyta to gówno, nie sojusznik.

Lesiecki milczał, Wilczyca siedziała na krześle i piła kawę. Wczesna pora po nieprzespanej nocy nie była sprzymierzeńcem odkrywczych myśli. Mimo to Laura już miała jakiś zarys planu. Przede wszystkim musiała znaleźć ludzi, którym będzie mogła zaufać i którzy nie będą się bali działać. Pierwszy przyszedł jej do głowy prokurator Sobociński. Może nie był wiodącą postacią w prokuraturze rejonowej, ale facet miał jaja i nie bał się niczego. No i miał jedną podstawową zaletę. Jemu chyba mogła zaufać.

### 3

Okolo południa komisarz Piotr Żołnierz wyszedł z budynku komendy wojewódzkiej na Podwału i udał się na parking na placu Legionów. Poznał gościa od razu. Mężczyzna koło czterdziestki stał oparty o sportową hondę i palił papierosa. Nie znał go wcześniej, ale nie było trudno się domyślić, że to on, po wielkim sińcu na policzku wyraźnie widocznym za ciemnymi okularami.

Krystek zatelefonował do niego godzinę temu i powiedział, że przesyła mu do pomocy swojego człowieka, który tak jak on dał dupy i teraz ma coś do odpokutowania. Żołnierz domyślił się, że ta wpadka kolesia wiąże się z Laurą Wilk, bo przecież mecenas nie przysyłałby mu na odkupienie grzechów kogoś niewtajemniczonego.

Żołnierz stanął przed nieznajomym i rzucił ironicznie:

– Nieźle ci dojechał.

– Ty też wyglądasz jak kupa łąjna – odrzekł tamten.

Piotr pomyślał, że facet mu się podoba i mogą się dogadać. Zresztą jechali na tym samym wózku i nie było sensu wybrzydzać. Co dwóch, to nie jeden. Teraz mieli większe szanse, żeby dopaść Wilczycę. Wypalili jeszcze po papierosie, przypatrując się sobie w milczeniu, wreszcie obaj jak na komendę wyrzucili niedopałki na pobliski trawnik i wsiedli do auta. Komisarz na siedzenie pasażera. Kierowca zdjął okulary i teraz dopiero pokazał całe trofeum pod okiem. Obita japa Żołnierza była niczym w porównaniu z krwawą wybroczyną i zapuchniętym okiem tamtego. Żołnierz skrzywił się ze współczuciem.

– Kto ci tak pierdolnął? – zapytał prawie z troską.

– Pan psycholog – odrzekł zapytany. – Stuknął dwóch naszych, miałem go na widelcu, ale dałem się podejść jak frajer. Jak go dorwę, będzie musiał przed śmiercią zjeść swoje jaja.

W głosie nowego współpracownika komisarza zabrzmiało coś takiego, co kazało mu wierzyć, że tak właśnie będzie. Zmartwił się, że jednak nie będą mieli przewagi. Wilczyca była niebezpieczna, a jej współlnik nie okazał się taką miękką fają, jak Piotr oceniał na początku. Zabijał i bronił się jak zawodowiec. Już chyba gorzej być nie mogło.

– Masz jakoś na imię? – zapytał ponuro.

– Tomasz, a ty?

– Piotr.

– To co robimy?

– Wilczyca musiała gdzieś przeczekać noc i wylizać rany. Rano byłem w domu jej siostry na Psim Polu, ale było pusto. Sąsiedzi mówili, że cała rodzina wyjechała jeszcze w nocy. Nie wiadomo dokąd.

– Mogła pojechać z nimi?

– Nie. – Piotr pokręcił głową. – Pojechali sami, nie musimy się nimi martwić. Postawiłem swojego człowieka, żeby obserwował tamten dom, gdyby Wilczyca nagle chciała ich odwiedzić. Drugi mój człowiek obserwuje jej mieszkanie.

– Nasi ludzie obstawiają mieszkanie psychologa, ale na razie też się nie pojawił – powiedział Tomasz.

– Nastraszyliście go, to się nie pojawi. Ten Lesiecki podobno mieszkał z dziewczyną.

– Tak, ma na imię Sonia, ale ona też gdzieś wsiąkla – odpowiedział Tomasz. – Albo zdążył ją ostrzec, albo dokądś wyjechała. Jak wróci, zgarniemy ją.

– Dobrze.

– A ten kolega nie może nam pomóc?

Żołnierz popatrzył zimno na nowego partnera.

– Góralski? To on dał się tej suce zaskoczyć, to przez niego mamy teraz takie gówno. Jak już będzie po wszystkim, zapłaci za swoją bezmyślność.

Wydawało mu się, że oczy Tomasza pociemniały. A może to było jedynie takie wrażenie, bo po jednym została tylko szpara. Piotr domyślał się, dlaczego jego towarzysz się zdenerwował. On też miał Lesieckiego na widelcu i dał się ograć jak nowicjusz.

– Dokąd mam jechać? – rzucił Tomasz.

– Na Bielanych jest tani hostel na godziny – powiedział Żołnierz. – Byłem tam kiedyś z Laurą. Musimy sprawdzić, czy czasem ta meta nie przyszła jej do głowy jako pierwsza.

Silnik zamruczał i auto wytoczyło się wolno na ulicę.

Prokurator Sobociński zasępił się i długo milczał, przetrawiając słowa komisarzy Laury Wilk. Oboje siedzieli w ulubionej kawiarni prokuratora, do której wyskakiwał zawsze na przerwę w pracy około godziny trzynastej. Oczywiście jeśli był aktualnie w budynku prokuratury i mógł sobie pozwolić na taki luksus, mając trochę wolnego czasu. Policjantka liczyła, że tego dnia się tu pojawi, i miała szczęście. Dosiadła się do jego stolika i opowiedziała mu, co tak naprawdę wydarzyło się poprzedniego dnia.

Wcześniej, po szóstej rano, postanowili z Maciejem wreszcie się przespać. Tylko że on mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Wyszedł z hostelu i poszedł do najbliższej żabki, gdzie kupił jedzenie i coś do picia. Obudził ją około dziewiątej. W milczeniu zjedli śniadanie, potem ona przedstawiła mu swój plan. Nie miał większych zastrzeżeń, omówili jedynie kwestie bezpieczeństwa. Właściwie miał tylko jedno pytanie:

– Ufasz temu prokuratorowi?

Laura chciała odpowiedzieć od razu, jednak długo zwlekała, analizując jego pytanie. Czy ufała Sobocińskiemu? Pracowali ze sobą od lat, ale znała go tylko z tej strony. Przez te lata zbliżyli się do siebie tylko na tyle, że w pewnym momencie zaczęli sobie mówić po imieniu. Nie byli przyjaciółmi, nie widziała, jaki jest naprawdę, co robi poza pracą, nie była nawet pewna, czy ma rodzinę.

– Nie wiem – odezwała się wreszcie, nie patrząc na Lesieckiego. – Ale nie mamy innego wyjścia. Muszę zaryzykować. Ale na spotkanie pojedę sama. Ty będziesz tu czekał. Jeśli nie wrócę do uzgodnionej godziny, to będzie znaczyć, że coś poszło nie tak. Wtedy wdramy plan B.

Opowiedziała mu, jaki jest plan awaryjny, i Lesiecki poszedł wreszcie spać. Laura wypila cztery kawy, starając się zachować trzeźwość umysłu. Obudziła go, kiedy wychodziła.

Może właśnie dlatego teraz nie zamówiła kawy, tylko wodę z cytryną. I tak czuła nieprzyjemną galopadę serca w piersiach, napędzaną nadmiarem adrenaliny, i straszne zmęczenie.

– Rozczarowałaś mnie, Lauro – odezwał się wreszcie Sobociński i zamilkł, obserwując jej nerwową reakcję na widok wchodzących do kawiarni nowych klientów. – Przykro, że mi nie ufasz.

Popatrzyła mu twardo w oczy.

– Tylko ci się tak wydaje – odpowiedziała. – Do ciebie jako pierwszego przyszedłem po pomoc i poradę.

– A ten pistolet w kieszeni wiatrówki? – Uśmiechnął się krzywo. – Jest chociaż zabezpieczony?

– To policyjny gnat. Nie ma zabezpieczenia, wystarczy mocniej pociągnąć za spust.

– No tak, cała Wilczyca – mruknął, kiwając głową.

– Posłuchaj mnie, prokuratorze. – Nachyliła się do niego nad stolikiem. – Kurwa, jak byś się czuł, gdyby koledzy z pracy przyszli do twojego domu, żeby zabić cię w świetle prawa? A potem by się okazało, że bandyci, w zмовie z tymi policjantami, równocześnie chcieli zabić twojego przyjaciela?

Odpowiedział jej smutnym spojrzeniem i tym razem nie uciekł wzrokiem.

– W sumie to dobrze, że do mnie przyszedłeś – powiedział. – Mam dla ciebie dwie wiadomości.

– Złą i jeszcze gorszą?

– Nie – zaprzeczył z lekkim uśmiechem. – Złą i dobrą.

– Słucham.

Dopił resztkę kawy i spojrzał na nią uważnie. Nawet kiedy był śmiertelnie poważny, jego twarz nadal zachowywała rysy nastolatka, co teraz szczególnie kontrastowało z powagą sytuacji.

– Ściga cię cała policja w województwie, to jest ta zła informacja – zaczął. – W twoim domu znaleźli narkotyki, nawet sporo. Nie można się bronić, że to było na użytek własny. Do tego jest kilku świadków z tamtej strony, którzy twierdzą, że byłeś pośrednikiem.

– Kurwa mać – jęknęła.

– Najwyższego komendanta szlag trafił i dzisiaj jest spore zamieszanie na Podwalu. Z tego, co wiem, organizują jakiś zespół, który ma cię wytropić i aresztować.

– Albo zabić przy próbie ucieczki.

– Jeśli trafisz na tych skorumpowanych, tak to może wyglądać. Nawet twój szef się w to zaangażował – oznajmił.

– Czy to nie dziwne, że oni łyknęli tę legendę jak mała kit? Problem polega na tym, że korupcja sięga do samej góry. Frąszyk może być umoczony, może inni naczelnicy, może zastępcy komendanta, a może i sama góra. Nie mam wielkich szans w tym starciu.

– Faktycznie, sytuacja jest nieszczerólnie dobra – przyznał prokurator. – I chyba po prokuraturze też kręcą się jakieś śmierdzące krety. Ten, który podpisał nakaz przeszukania, to gnida jeszcze z poprzedniego ustroju. Ale za to politycznie świetnie ustawiony. Wiesz, że oni ścigają wszystkich funkcjonariuszy poprzedniego systemu, którzy byli zamieszani w walkę z wolnościową opozycją, z wyjątkiem tych, którzy teraz są u nich?

– Kurwa, nie ma to jak słowa pocieszenia – zjeżyła się.

– To tyle, jeśli chodzi o policję i prokuraturę – podsumował. – Na razie jesteś ścigana.

– A słyszałaś coś o porwaniu i próbie zabójstwa psychologa współpracującego z policją, Macieja Lesieckiego? – zapytała szybko.

Nie zdradzała Sobocińskiemu, że Maciej zastrzelił dwóch gangsterów. Nie chciała komplikować sytuacji.

– No właśnie nie. Nikt nic nie wie, tylko ty jesteś poszukiwana.

Wilczycy trochę ulżyło. Lepiej, żeby mafia zabrała swoje trupy z pola walki i zutylizowała je w sobie tylko znany sposób. To ją w tym momencie najmniej obchodziło.

– To jest zła wiadomość, a ta dobra?

Sobociński dopił kawę, jakby się nigdzie nie spieszył.

– Mamy coś w zanadru. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Nie powinienem ci o tym mówić, ale z Warszawy przyjechał ostatnio do BSW tajemniczy facet ze służb. Układ Świdnicki, pewnie słyszałaś taką nazwę.

Przytaknęła.

– Dopóki robili tylko lewe interesy, dopóty władze przymykały na nie oko. Przecież Cybulski to ich człowiek. Tolerują go, bo dużo płaci, mało żąda w zamian, jego ludzie właściwie nie funkcjonują w spółkach skarbu państwa i nie zabierają miejsc innym. Milioner, którego łatwo wycyckać z kasy na kampanię wyborczą, ale jakby coś, zawsze można go odpalić, a potem udawać, że to ci inni byli jego przyjaciółmi, a nie my. Tyle że Darski zaczął aktywniej współpracować z Rosjanami. Do tego ten gość od podsłuchów w restauracji u Sowy zeznał w prokuraturze coś o Darskim, ruskich i broni. Pewnie kapitalny interes, ale takich rzeczy za żadnej władzy nie powinno się robić. Amerykanie prześwietlają nasze podwórko. Jeśli się dowiedzą o tej broni, to nie tylko Darski będzie miał problemy. Przecież my należymy do NATO i mamy wielkie aspiracje. Jak to wyj-



dzie na wierzch, nie będą zadowoleni i rząd dostanie po kulach. Dlatego jest panika i coś trzeba na szybko zrobić.

– Nadal nie rozumiem, w czym ma mi to pomóc. – Laura pokręciła głową.

– Wiesz, co się zaczęło ostatnio mówić po kątach? Że Cybulski i Darski dostali dużą kasę ze wschodu, żeby rozkręcić tu interesy. Potem właścicielem dwóch dużych firm serwisujących sprzęt dla wojska został pewien szemrany fundusz z siedzibą na Cyprze, ale prawdopodobnie ze wschodnim kapitałem. Naszym sojusznikom to się nie podoba i chcą znaleźć winnych. Gwarantuję ci, że jeśli tylko znajdzie się coś na Cybulskiego, partia pożegna się z nim raczej z ulgą niż żalem.

– Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Laura, kilka tygodni temu ze stolicy przyjechał do BSW pewien tajemniczy oficer. Przeświewa powiązania Darskiego z policjantami. A to tylko jeden z niezbyt ważnych wątków w tej sprawie. Mówi się nawet, że jakiś policjant likwidował na zlecenie Darskiego niewygodnych ludzi.

Laura Wilk poczuła nieprzyjemne dreszcze na plecach.

– Jesteś bardzo dobrze poinformowany – zauważyła zimno.

Sobociński tylko pokiwał głową. Na twarzy błędził mu półuśmieszek.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale z ramienia prokuratury ja współpracuję z tym gościem z centrali. Dlatego powiedziałem, że to jest dobra dla ciebie informacja: że Darski i Cybulski są pod lupą poważnych służb.

– Ochronicie mnie i Lesieckiego?

– To nie jest takie proste. – Sobociński pokręcił głową. – Dużo czasu upłynie, zanim przekażę komu trzeba treść naszej rozmowy. Pewnie jeszcze dłużej zajmie sam proces podejmowania decyzji. Jak wspomniałem, śledztwo jest ściśle tajne, nikt nie może się dowiedzieć, przeciw komu jest wymierzone. Jeśli ktoś coś podejrzewa, to raczej tyle, że wewnętrzni znowu zasadzają się na skorumpowane gliny. Nie powinienem ci nic zdradzać, ale uznałem, że w obecnej sytuacji możesz trochę przyspieszyć żmudny proces zbierania dowodów.

Laura zacisnęła usta w wąską linię. Do tej pory lubiła tego gnoja. Teraz najchętniej przywaliłaby mu w szczękę i z satysfakcją popatrzyła, jak pluje krwią na podłogę. Nie spodziewała się, że Sobociński będzie aż tak cyniczny i ją wykorzysta.

– Nadal nie wiem, o czym mówisz – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Laura, przecież wiem, że udajesz pierwszą naiwną, a naprawdę już dawno domyśliłaś się, co należy zrobić. – Wydawał się lekko zniecierpliwiony. – Jesteś ścigana, a co za tym idzie, masz swobodę w działaniu. Nie obowiązują cię żadne procedury, nie musisz się na nic oglądać.

– Nawet jeśli coś znajdę, takie dowody będzie można sobie w dupę wsadzić. Każdy sąd je uwali.

Sobociński znowu się skrzywił.

– Z całym szacunkiem, ale ja jestem prokuratorem i to jest mój problem – zauważył oschle. – Pewne rodzaje korupcji zagrażają nie tylko naszemu bezpie-

czeństwu, ale i naszych sojuszników. Myślisz, że ktoś w takim przypadku będzie się zastanawiał, czy dowody zostały zebrane prawidłowo?

Mierzyl się zimnymi spojrzeniami. Wilczyca wyglądała na zszokowaną. Naprawdę nie знаła Sobocińskiego. Teraz podejrzewała, że to on nie pozwalał jej się poznać. Było to raczej świadome działanie, a nie konsekwencja dużej ilości roboty i braku czasu. Zobaczyła go nagle w innym świetle i czuła tylko narastającą złość. Sobociński jakby wyczuł jej nastroje, ponieważ nagle się do niej uśmiechnął, tak jak zwykle, tym swoim uroczym, niemal chłopięcym uśmiechem.

– Laura, nie osądzaj mnie zbyt pochopnie – odezwał się normalnym tonem. – Licytujemy bardzo wysoko, tu nie ma miejsca na sentymenty, a tym bardziej sympatie.

– Kurwa mać, Sobociński, jak ty masz właściwie na imię? – zapytała.

– Jak dotąd cię to nie interesowało – zauważył.

– Taki mam charakter – odgryzła się. – Gdy ktoś mnie nie interesuje, to nawet nie pamiętam, jak ma na imię. Po co zaśmiecać sobie głowę niepotrzebnymi ludźmi.

Chwilę patrzył na nią krzywo.

– Adam – powiedział wreszcie.

– To teraz powiedz mi, Adam, co ja z tego będę miała?

– Mogę załatwić, żeby twoi koledzy z policji tak cię szukali, żeby cię nie znaleźć.

– Kim ty, kurwa, jesteś, Sobociński? – zniecierpliwiła się. – Strasznie dużo możesz.

– Stawka jest bardzo wysoka, jak już wspominałem.

– A jak długo będę musiała uciekać?

– Daj nam coś i natychmiast wkraczamy do akcji.

Laura się wściekła. Omal nie rzuciła się na prokuratora.

– Wrobiliście nas w to, prawda? – syknęła.

Pokręcił głową.

– Laura, to przypadek. Nie mam pojęcia, kim jest kobieta, która wynajęła Lesieckiego. Nie wiem, dlaczego oni tak nerwowo zareagowali, ale teraz nagle jest wojna i mamy niepowtarzalną okazję, żeby utracić kilku cwaniaków i zdrajców.

Podjęcie decyzji przyszło jej łatwiej, niż się spodziewała. Może to wściekłość i chęć wyżycia się na kimsz spowodowały, że Wilczyca spodobała się nagle perspektywa swobody w działaniu. Może robić, co chce, nie oglądając się na procedury i prawo.

– Zgoda – rzuciła. – Ale przejmujecie Lesieckiego i go gdzieś ukrywacie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Prawdopodobnie to on był głównym celem, ty tylko dostałaś rykoszetem. Nie może zniknąć. Musi działać razem z tobą do końca.

– Jasna cholera!

Sobociński przesunął w jej kierunku aparat telefoniczny.

– To mój telefon – powiedział. – Możesz być go pewna. Nikt go nie namierzy, nie podsłucha, mam certyfikat bezpieczeństwa i żadnych programów szpiegują-

cych. Przyda ci się taki aparat.

Bez słowa schowała telefon do kieszeni, potem wstała i wyszła, nic więcej nie mówiąc. Kiedy szła ulicą, nie zważając na padający deszcz, z trudem się hamowała, żeby nie wybuchnąć. A może zupełnie niepotrzebnie? Musi przestać się hamować, sprawy zaszły za daleko.

## 4

Maciej Lesiecki ocknął się z płytkiej drzemki i rozejrzał się po pokoju, zdezorientowany. Zastanawiał się, gdzie jest i co się dzieje. Jęknął, kiedy usiadł na łóżku, i spuścił nogi na podłogę. Wszystko go bolało, a najbardziej głowa. Wolno przypominał sobie wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin. Był w szambie i przypadkowo wciągnął do niego Wilczycę. Przeklął pod nosem i spojrzął na zegarek. Miał niewiele czasu, żeby dotrzeć na umówione miejsce spotkania w parku na Karkonoskiej, przy pętli tramwajowej. Cholera jasna, zasnął.

Nastawił kawę i ubierał się w pośpiechu. Mocny aromatyczny napój wypił w biegu, parząc sobie usta, i wyszedł z pokoju. Nagle na korytarzu zamarł, tknięty dziwną myślą, i po raz ostatni wrócił do pokoju. Co właściwie go obudziło? Zastanawiał się gorączkowo, pocierając palcami skronie. Cholerny ból głowy. Nagle już wiedział. Delikatny odgłos zamykanych drzwi. Ktoś tu był?

Zajrzał za zasłony, do łazienki, nikogo. Ktoś tu był, kiedy on spał, i wyszedł. Obsługa, sprzątaczką? Wszyscy wiedzieli, jakim celom służył ten apartament. Nikt by tu nie zachodził bez powodu. Dyskrekcja była na pierwszym miejscu. W takim razie kto tu był?

Rozejrzał się po pokoju i miał coraz większe wątpliwości, czy wszystko leży tak, jak to wcześniej zapamiętał. Teraz brudna filiżanka Laury stała w zlewie, cukier stał na parapecie okna, szuflada była uchylona. On był raczej pedantem i denerwowały go takie drobiazgi. Nie, to tylko paranoja. Wyszedł i skierował się w stronę recepcji, ściskając klucz w dłoni.

Przy kontuarze, za którym dyżurował wytatuowany mięśniak wyglądający na kibola, stał wysoki mężczyzna ostrzyżony na *marines*. Rozmawiali o czymś nerwowo. Mięśniak kręcił głową, tamten mu coś pokazywał. Maciej zerknął i nagle się spał. To była policyjna odznaka. Chwilowo zrezygnował z oddania klucza i od razu skierował się do wyjścia za plecami policjanta. Ten zerknął na niego nerwowo, lecz nie zareagował. Na progu Lesiecki zderzył się z innym mężczyzną. Jeden rzut oka wystarczył. Blondyn z obitą facjatą. Ten sam, którego wrzucił jeszcze niedawno do rowu przed Pieszycami.

– To on! – krzyknął tamten, sięgając za plecy po broń.

Maciej odruchowo cisnął mu w twarz klucz z wielkim brelokiem. Uchylił się, ale i tak dostał w policzek. Od tego momentu zdarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Stojący przy recepcji komisarz Piotr Żołnierz odwrócił się, zaskoczony sytuacją, lecz od razu sięgnął po broń. Maciej pchnął ramieniem faceta, który wcześniej przedstawił mu się jako Tomasz, i uderzyli w zamknięte drzwi, aż trzasnęła szyba i jej kawałki posypały się po podłodze. Nieoczekiwanie Lesieckiemu pomógł wielki recepcjonista. Przeskoczył przez kontuar, wytrącił policjantowi broń i chwycił go od tyłu. Żołnierz zaczął się wyrwać ze stalowego uścisku, klnąc głośno i krzycząc:

– Policja, skurwysynu! Puszczaj!

Na hasło „policja” mięśniak spiął się jeszcze bardziej. Żołnierzowi, który przecież ułomkiem nie był, zabrakło tchu, cały poczerwieniał na twarzy i próbował uderzać napastnika łokciem w żebra. Efekt był niewielki albo żaden. Jakby walił w kamień.

Maćkowi nie udało się wybiec na zewnątrz, ponieważ Tomasz jednak zdołał zablokować drzwi i teraz zwarli się w bezpardonowej walce. Lesiecki w dawnych czasach ćwiczył wszystkie możliwe sztuki walki i mimo długiej przerwy nagle przypomniał sobie, że Ariel był w tym dobry. Znowu coś mu się przestawiło w głowie i zaczynał myśleć po staremu. Znowu stał się Arielem, który nigdy nie był grzeczny, a sprowokowany robił się nieobliczalny. Nagle szarpnął Tomaszem, który poleciał do przodu i nadział się twarzą na jego czoło. Jeśli wcześniej kopnięcie Lesieckiego w twarz oszczędziło jego kości, teraz na pewno zgruchotał mu nos. Tomasz wrzasnął i zalał się krwią.

W tym momencie Żołnierz uwolnił się wreszcie z objęć pracownika hostelu, po czym położył go trzema uderzeniami pięści. Kiedy tamten rozłożył się jak długi na plecach, sięgnął na podłogę po broń. Maciek odwrócił się, zasłaniając się bezwładnym ciałem Tomasza, i wtedy padły trzy strzały, jeden po drugim. Ogarnięty szalem Żołnierz nie wahał się i naciskał na spust tak długo, aż się zorientował, że wszystkie kule trafiają jego partnera w plecy. Tomasz, przytrzymywany przez Lesieckiego, za każdym razem drgał, jakby ktoś kopał go w plecy. Jego oczy nagle zmatowiały i zgasły. Zaciążył Maćkowi w rękach i zaczął się osuwać na podłogę. Maciej, widząc, że nie utrzyma martwego ciała, ostatkiem sił pchnął je w kierunku policjanta, a sam skoczył do drzwi. Kolejna kula utkwiała w futrynie ponad jego głową, następna ze świstem przecięła powietrze, kiedy biegł skulony przez pusty parking w kierunku ogrodzenia. Udało mu się dopaść płotu i przesadził go jednym skokiem.

Biegł przez czyjąś posesję, lawirując między klombami i porozrzucanymi bez ładu zabawkami. Minął zjeżdżalnię, piaskownicę, domek dla lalek. Nikt już nie strzelał, za to rozległo się głucho warczenie psa. Wielki rottweiler nawet nie szczeknął ostrzegawczo, tylko od razu rzucił się za Lesieckim z żądzą mordy wypisaną na pysku. Na szczęście nie zdążył. Mężczyzna wspiał się na porośnięty kolczastymi roślinami płot, raniąc sobie dłonie i rozdzierając kurtkę, i już był na drugiej stronie. Dopiero wtedy rozległo się wściekłe ujadanie zawiedzionego psa.

Lesiecki nie słuchał szczekania. Bardziej interesowały go dźwięki dobiegające od strony hostelu. Biegł teraz po wysokiej trawie niezabudowanej działki, w kierunku ulicy. Na razie niczego nie słyszał. Wypadł na chodnik i biegł przed siebie,

czując, jak traci szybko oddech, a płuca zaczynają palić żywym ogniem. Tu nie było gdzie się schować. Rozglądał się rozpaczliwie na boki, ale mijał tylko prywatne domy po obu stronach wąskiej brukowanej uliczki. Przypomniał sobie o pistolecie za paskiem spodni. Wyszarpnął go, lecz natychmiast schował dłoń za połę wiatrówki. Opadł z sił i mocno zwolnił. Z tyłu usłyszał nagle odgłosy nadjeżdżającego samochodu. Do głównej drogi przebiegającej przez środek Bielan Wrocławskich miał jeszcze ponad sto metrów. Nie zdąży.

Kiedy samochód był już całkiem blisko, Lesiecki zatrzymał się i wymierzył w kierowcę. Widział wyraźnie Żołnierza za kierownicą i już szykował się do naciśnięcia spustu, kiedy policjant zorientował się, co się dzieje, i przyhamował gwałtownie. Maciej złożył się do strzału, jak kiedyś uczył go instruktor na strzelnicy, i walczył z oddechem, żeby drgania nie przenosiły się na rękę z pistoletem. Żołnierz, widząc go w tej pozycji, nagle wrzucił wsteczny, auto wyrwało do tyłu z piskiem opon i zniknęło za łukiem ulicy. Najpewniej nie zakładał, że Lesiecki jest uzbrojony, i się przestraszył. Maciek odwrócił się na pięcie i znowu zaczął biec w kierunku głównej drogi. Czasem cuda zdarzają się w dni powszednie, w chwilach, kiedy najbardziej tego potrzebujemy i kiedy zadowalamy się drobiazgami.

Gdy wybiegł w pobliżu przystanku MPK, stał tam akurat autobus. Dopadł drzwi w ostatniej chwili. Autobus z nim na pokładzie odjeżdżał, a on stał przy tylnej szybie, dysząc ciężko, i patrzył, czy policjant nie ruszył za nim w pogoń. Jednak z uliczki nie wyjechał żaden samochód i po chwili stracił skrzyżowanie z oczu za lekkim łukiem drogi.

Usiadł na tylnym siedzeniu. Starał się uspokoić oddech i nerwy, zerkając co chwilę do tyłu. Nie widział znajomego auta. Czyżby policjant się przestraszył i odpuścił? Może uświadomił sobie, że przypadkowo zastrzelił swojego partnera, i to go powstrzymało. Zabezpieczył pistolet i schował go do kieszeni. Nagle wyczuł spore zgrubienie w kieszeni kurtki. Wcześniej, w trakcie ucieczki, nie zwrócił na nie uwagi. Teraz wyciągnął z kieszeni szarą kopertę wypchaną banknotami.

Zdrętwiał z zaskoczenia i przerażenia. Wiedział, jaka kwota jest w środku. Sześć tysięcy, które kilka dni wcześniej wyciągnął z bankomatu, na zaliczkę na meble. Czując narastającą suchość w gardle, zajrzał jednak do środka. Oprócz pieniędzy była jeszcze kartka i kluczyk. Przeczytał i poczuł nagle, że spada w przepaść bez dna. Wszystko dookoła niego przestało się liczyć.

„Podobno nazywają cię Poszukiwaczem Zwłok? W takim razie znajdź zwłoki swojej dziewczyny. Biedronka, Mińska 58”.

## 5

Laura Wilk miała złe przeczucia. Po rozmowie z Sobocińskim nie poszła od razu do samochodu zaparkowanego kilka ulic dalej. Najpierw sprawdziła, czy nikt jej nie śledzi. Miała totalny mętlik w głowie. O co w tym wszystkim chodzi? Poszła do prokuratora po pomoc, a on potraktował ją jak pionek w większej grze. Taki pionek, jaki wysyła się na stracenczą misję bez większych szans na powodzenie. Do tego bez żalu. To ją najbardziej zabiło. Ona go nawet trochę lubiła i mu ufała. Okazało się, że jest uwikłany w jakieś niebezpieczne tematy powiązane z polityką, brudnymi interesami, może nawet z działalnością obcego wywiadu. Zresztą czy mogła mu teraz wierzyć? Nie była pewna. Powiedział jej tylko to, co uznał za stosowne, nigdy pewnie nie pozna całości tej układanki. Co ma w takim razie robić?

Po namyśle zdecydowała, że jednak zagra w jego grę. Może i dużo stracił w jej prywatnym rankingu osób zaufanych. Tylko że, do cholery, wciąż był na tej liście na pierwszym miejscu. Nie miała nikogo innego. Tylko jego. Skrzywiła się z goryczą na tę myśl. Wkroczyła do świata mężczyzn, świetnie sobie poradziła, jednak została sama, szczególnie teraz, kiedy przyszło jej walczyć o życie.

Upewniwszy się, że nie ma ogona, pojechała na Karkonoską. Tu w małym parku naprzeciw budynku, w którym mieściły się rozgłośnie radiowe i redakcja TVP, o piętnastej umówiła się z Maćkiem. Z Bielan było blisko, nie powinien mieć problemów z dotarciem na miejsce. Mimo to nie zjawił się. Coraz bardziej zaniepokojona czekała ponad kwadrans. Co się mogło stać? Hostel wydawał się bezpiecznym miejscem.

Kiedy szła szybko do najbliższego parkingu, gdzie zostawiła punto, nagle coś sobie przypomniała. Był jeden policjant, który mógł się domyślić, gdzie są. I to był nie kto inny, tylko komisarz Żołnierz. Ten sam, który chciał wpakować jej kule w plecy przy próbie ucieczki. Aż przystanęła, poważnie przestraszona. Czy w ten sposób wystawiła Lesieckiego? Nie, on nie mógł się domyślić. Nie był aż tak bystry. A jeśli był?

Resztę drogi pokonała biegiem. Uruchomiła silnik, wyjechała na Krzycką i ruszyła w stronę Bielan. Po chwili jednak się zreflektowała. Nie może tam pojechać, to niesie ze sobą zbyt duże ryzyko. Maciej musi sobie poradzić sam. Jest jeszcze awaryjne miejsce spotkania. Przy charakterystycznej willi stojącej na rogu Wiśniowej i Ślężnej. Za dwie godziny, o siedemnastej. Pojechała w tamte okolice, zaparkowała na jakimś skrzyżowaniu wśród innych samochodów stoją-

cych na poboczu, zacisnęła ręce na pistolecie schowanym pod kurtką, oparła się o zagłówek i przymknęła oczy. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła.

Obudziło ją pukanie w szybę, tuż przy twarzy. Podskoczyła ze strachu i omal nie nacisnęła na spust. Zaraz się uspokoiła. Jakiś zatroskany emeryt pochyłał się do niej za szybą i pytał:

– Nic pani nie jest?

– Nie! – warknęła. – Spieprzaj, dziadek.

Odszedł szybko, mamrocząc pod nosem o chamstwie i braku wychowania. No i dobrze, nawet nie wiedział, że przez swoje wścibstwo omal nie zarobił kulki, jako specjalnego dodatku do emerytury. Kulka plus, kurwa mać! Spojrzała na zegarek i zaklęła. Dwie minuty po siedemnastej. Prawie zasnęła.

Pojechała na miejsce spotkania i mimo że krążyła tam przez kilkanaście minut, Lesieckiego nie było. Zacisnęła szczęki, aż zęby zazgrzytały o siebie, i odjechała stamtąd. Była wściekła, żadna zemsty i wiedziała, że teraz nie zawaha się przed niczym. Sobociński chce mieć swoje dowody, będzie je miał. W okolicach placu Legionów zjadła podły gyros z budki, zapijając go colą, a potem pojechała na Podwale.

Kiedy już zaparkowała na wolnym miejscu przy Podwalu, zadzwonił telefon Sobocińskiego. Odebrała bez wahania.

– Myślę, że ta informacja ci się przyda. – Sobociński cedził wolno słowa, jakby jednak nie był o tym do końca przekonany. – Była strzelanina w hostelu na Bielanych. Nazywa się Pod Lipą.

Wilczyca poczuła, jak się w sobie zapada. Kurwa, zostawiła go samego, a oni go dopadli.

– I co? – zapytała głosem, którego sama nie poznała. Brzmiał jak prawdziwe warczenie wilczycy przed walką ze sforą wściekłych psów.

– W sumie nie do końca wiadomo, co tam się stało – wyjaśniał prokurator. – Jedyne świadek trochę płacze się w zeznaniach. Mamy jednego trupa, ale to nie twój psycholog. On uciekł. Na miejscu był też policjant i to on strzelał. Też zniknął. Sto metrów dalej znaleziono auto z rozbitym tylnym zderzakiem. Podobno ten policjant zderzył się z innym autem, jak cofał, ale tego innego samochodu już nie ma i nikt nie jest w stanie powiedzieć, co się z nim stało.

Laura poczuła ulgę, lecz nie do końca.

– Ten policjant to był komisarz Żołnierz – stwierdziła sucho.

– Jesteś pewna?

– To on chciał mnie zabić.

– Dobrze, a ty gdzie teraz jesteś?

– Chciałbyś wiedzieć – rzuciła i przerwała połączenie.

Znowu mętlik pod czaszką. Co tu się odwała, do stu diabłów? Uspokoiła nerwy, wyrzuciła z głowy niepotrzebne myśli. Miała swój plan i właśnie przystępowała do jego realizacji.



Maciej Lesiecki się rozpadał. Nie wiedział już, kim tak naprawdę jest. Mieszał mu się Maciej z Arielem, Ariel z Maciejem. Miał wrażenie, jakby z tej mieszanki wyłaniała się jeszcze jakaś inna postać, która nawet nie była mieszanką tych dwóch mu znanych, tylko jakąś hybrydą wszystkich negatywnych cech, z którymi musiał żyć najpierw jako Ariel, potem jako Maciej. Wszystko, co złe, było jakby podniesione do dziesiątej potęgi, zwyrodniałe, obrzydliwe, ohydne, wynaturzone.

Autobus minął przystanek przy parku na Karkonoskiej, pojechał dalej. Maciej uzmysłowił sobie, że zapomniał o spotkaniu z Laurą. Pod kurtką ciągle trzymał ukryty pistolet, a pasażerowie wokół niego zmieniali się jak statyści w teatrze w scenach zbiorowych. Nic go to nie obchodziło. Nawet nie zarejestrował, że ludzie patrzają na niego podejrzliwie, jak na bezdomnego. Miał podartą brudną kurtkę, brudne spodnie, też podarte w kilku miejscach, i zakrwawione dłonie. Być może pachniał też nieszczególnie. Nawet nie myślał, co jest nie tak z jego twarzą i włosami. Najmniejszy problem.

Autobus jadący z Bielan na Brochów ciągnął się w korku kilkadziesiąt minut, lecz on nawet tego nie dostrzegł. Ocknął się dopiero na pętli. Wysiadł, odszedł kilkanaście metrów i przysiadł na pierwszej wolnej ławce, nie zwracając uwagi na padający znowu deszcz. Wydawało mu się, że z każdym kolejnym krokiem gubił części siebie. Rozpadał się, jakby był cały zbudowany z puzzli. Właśnie dlatego się zatrzymał, żeby nie zgubić ostatniego elementu siebie. Targały nim sprzeczne uczucia. Chciał natychmiast ruszyć na poszukiwania Soni. Pewnie kartka i klucz od skrytki w markecie były pierwszymi wskazówkami. Z drugiej strony jakiś wewnętrzny głos kazał mu się wstrzymać. Musi się dobrze zastanowić, co dalej. Przecież na kartce napisanej... no właśnie: przez kogo? Na razie nieważne. Na kartce jest informacja o zwłokach Soni, a więc nie ma się co spieszyć. Musi najpierw poukładać sobie pewne rzeczy w głowie.

Kim tak naprawdę jest? Kiedyś był Arielem i był zły. Maciej miał całe swoje życie pod kontrolą. No dobrze, ale skoro Maciej przestał cokolwiek kontrolować, którym z nich jest teraz? Miał jeszcze jedno bardzo poważne podejrzenie. A jeśli coś przeoczył? Jeśli nie zauważył w nim tego trzeciego? Bezdennie złej istoty, która cały czas ukrywała się w jego wnętrzu tak, że nigdy jej nie dostrzegł. O wszystko obwiniał Ariela, a co, jeśli się mylił? Jeśli był w nim ten trzeci? Ten, który nim zawładnął na kilka minut, gdy jechał autobusem? I który teraz się w nim śmieje, kiedy o tym myśli? Do tego śmieje się szyderczo, kiedy myśli o Soni. Przecież cały czas słyszy ten śmiech wewnątrz głowy. Czy tak właśnie wygląda szaleństwo?

Ścisnął skronie pięściami, aż zaboląło. Śmiech ustał.

*Musisz ratować Sonię!*

Zerwał się na równe nogi.

*Nie, za chwilę, przemyśl wszystko!*

Usiadł.

Śmiech przerodził się w pełen samozadowolenia rechot.

Ścisnął pięściami skronie.

Błędne koło, bez wyjścia, bez sensu.

Była jeszcze jedna myśl, nad którą musiał się pochylić w pierwszej kolejności. Przed wszystkim innym. Kto podrzucił mu kopertę z pieniędzmi i kiedy? Kto wiedział, gdzie się ukrywają, przecież nikomu nie mówili, bo nikomu nie mogli zaufać. Walczyli o życie. Nikt nie mógł wiedzieć, tylko on i Laura.

Właśnie, on. O co Laura zapytała go, kiedy opowiedział jej niedawno o Arielu? „Czy masz rozdzielenie jaźni?” Teraz postawił sobie to pytanie i przeraziło go. A co, jeśli jest osobowością mnogą? Jeśli Ariel naprawdę istnieje niezależnie od niego. Tylko nie komunikują się ze sobą, nie wchodzą sobie w drogę i zgodnie – pewnie nawet nieświadomie – dzielą między siebie czas każdej doby? Czy to w ogóle jest możliwe? A może jest jeszcze ten trzeci, ten bezdennie zły. Ten, którego śmiech cały czas pobrzmiwa mu w głowie.

Siedział, przeglądając własne wspomnienia. Nie znalazł wielkich dziur w pamięci. Raczej pamiętał całe dni i potrafił określić, że wtedy był Maćkiem. A kiedy zaczynał w to wątpić, też miał tego świadomość. Kim jest teraz? Chyba jednak oboma naraz. Ariel jest stanowczy w działaniu, a Maciej dokładnie wszystko analizuje i sugeruje mu cele. Na przykład poszukiwania Soni. Ariel raczej chciałby pomóc Laurze. Nagle drgnął. Jezu, przecież pod domem tej młodej dziewczyny z czarnymi, długimi włosami spędził wiele godzin, czasem jednego dnia, mając nadzieję, że ją zobaczy. To mogą być dziury w pamięci. Jezu, on teraz nie pamięta, co robił, kiedy wydawało mu się, że siedzi w aucie pod tamtym blokiem.

Znowu ścisnął pięściami skronie. Znowu zabolalo. Nie, pamięta tamte godziny. Spędził je po prostu na rozmyślaniach, to go uspokajało. Ewentualna trzecia jego osobowość, ten potwór z wnętrza głowy, nie miała już czasu, żeby się pojawiać. Doba nie jest z gumy. Szczególnie w ostatnich tygodniach. Sam nie mógł porwać Soni i jej zabić. Niemożliwe. Jezu, a jeśli ta bestia pojawia się w czasie jego snu? Przez noc miałby wystarczającą ilość czasu, żeby zorganizować różne rzeczy. A on wstawał rano niczego nieświadomy. Nie, też niemożliwe. Nie mógł nie spać, zauważyłby narastającą w trakcie dnia senność, zmęczenie, na pewno przysypiałby przy każdej okazji. Umysł może być popieprzony, jednak fizjologii ludzkiego ciała nie da się oszukać. A jeśli nie spał tylko co którąś noc? Rechot w głowie narastał.

– I z czego się, kurwa, śmiejesz? – zapytał sam siebie.

Podjął decyzję. Nie cierpi na osobowość mnogą, jest tylko Ariel. Maciej jest wymyślony, żeby go stłamsić i zniszczyć, jednak z tym już koniec. Żadna bestia w głowie nie istnieje.

– Zamknij się – powiedział.

Śmiech umilkł. Ariel wyciągnął z kieszeni kopertę z pieniędzmi, uważnie przeczytał kartkę, obejrzał klucze. Potem wskoczył do tego samego autobusu linii 133, który akurat zbierał się do odjazdu. Musiał się dostać do centrum. Pewnie przyda mu się samochód.

Komisarz Góralski symulował. Laura go nieźle załatwiła. Nie było taryfy ulgowej, dostał dokładnie tak, jakby walczyła o życie. Nie miał do niej żalu, przecież okoliczności były dokładnie takie. Pewnie zadziałał strach, wściekłość i przywaliła mu z całą mocą. Należało mu się, za całokształt. Tylko że nie był aż tak poturbowany, jak wszyscy myśleli. Chciał mieć alibi przed Żołnierzem i jego szemranymi kolesiami, właściwie to nie chciał nawet spojrzeć mu w twarz. Piotr szarpał go, wyzywał i dopytywał, jak to się stało, ale zaraz ruszył w pościg za Laurą. Już leżąc na podłodze w jej salonie, wiedział, że jej nie dopadną. To w końcu była Wilczyca. Potem karetka zabrała go do szpitala i byli u niego śledczy, żeby go przesłuchać. Bulgotał coś tylko niezrozumiale i po interwencji lekarza, który przedstawił jego stan zdrowia o wiele gorzej, niż było, odpuścili. Góralski nie wątpił, że wróca, lecz na razie go to gównem obchodziło. Potem o nim na moment zapomnieli. I dobrze, bo nie miał zamiaru zostać w szpitalu.

Wypisał się na własne żądanie i pojechał prosto do swojego mieszkania przy Sienkiewicza. Nikt go nie obserwował, miał nadzieję na kilka godzin spokoju. Zjadł makaron z sosem ze słoika, potem siedział w rogu sofy i próbował na trzeźwo ocenić sytuację. Był w dupie, to wiedział na pewno. Właściwie to ocenił, na jakiej głębokości się znajduje. I gdzieś w jego głowie z wolna zaczął nawet kształtować się plan ucieczki. Nie ma co tu siedzieć. Albo dopadnie go Żołnierz, który pewnie jak zwykle wywinie się z tej afery bez szwanku, albo dopadną go gangsterzy, uznając za personę ze zbyt niewygodną wiedzą, żeby można go było zostawić na tym świecie. Albo ci z BSW go aresztują, wypieprzą go z policji i pójdzie do pierdła. To powiązanie przerażało go najbardziej. Wiedział, jak inni więźniowie traktują tam byłych gliniarzy. Na pewno ich uśmiechy nie będą z gatunku tych sympatycznych. Jakby się nie odwrócić: dupa z tyłu, podsumował rozmyślenia.

Kiedy poznał prawdę o swoim koledze komisarzu Żołnierzu, tąpnęło nim. Nie chce już tak żyć. Wbrew temu, co się powszechnie mówi, pewnych win nie da się odkupić i wynagrodzić pokrzywdzonym. Nawet jakby bardzo chciał. Po prostu wcześniej upomni się o niego państwo i trafi za kraty, zanim będzie mógł spróbować. Dlatego postanowił uciec. Miał odłożonych parę groszy na czarną godzinę i teraz, kiedy wybiła, dziękował swojej roztropności, że nie przehulał ich na wódkę i kurwy.

Najpierw się zdrzemnął. W szpitalu prawie nie spał, pilnował się, żeby być gotowym, gdyby po niego przyszli. Teraz organizm się zbuntował. Całun, którym okryło go zmęczenie, był tak ciężki, że nie mógł mu się oprzeć. Wszystko zobojętniało. Nawet perspektywa odsiadki w więzieniu nie była w stanie powstrzymać snu.

Spał długo. Za oknem się ściemniało, gdy podnosił ciężkie powieki. Zerwał się, zrobił mocną kawę i zaczął pakować walizkę. Sam nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że jeszcze nikt do niego nie zapukał. Albo o nim po prostu zapomnieli, lekceważąc jak płótkę podczas polowania na grubą rybę, albo stało się coś, co jeszcze bardziej odwróciło od niego uwagę. Telefon miał wyłączony, więc

nie wiedział nawet, czy ktoś próbował się z nim kontaktować. Wolał nie sprawdzać. Może już dawno był śledzony.

Był spakowany, już rozmyślał, jak szybko dostać się do Francji, gdzie w Nicei miał dobrego kolegę, z którym zaczynał przygodę w policji. Tylko że on wybrał inne życie. Na pewno mu pomoże, a przynajmniej ukryje go na kilka dni. Wtedy nerwowo zagrał dzwonek przy drzwiach. Góralski znieruchomiał. Przez głowę przeleciały mu szybkie myśli. Nie mógł udawać, że go nie ma, przecież z zewnątrz było widać światła w jego oknach. Musiał zaryzykować.

Takiego gościa się jednak nie spodziewał. Uchylił drzwi i spojrzał prosto w ciemną lufę wycelowanego w niego pistoletu.

– Jeśli zrobisz coś głupiego, strzelę – ostrzegła go komisarz Laura Wilk.

Kiedy nienawiść zmienia się w obłąd? A może nienawiść jest tylko jednym z objawów szaleństwa? Tylko czy to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie? Dla niego nie. Przecież znał przyczynę swoich ciągłych niepowodzeń, zmarnowanego życia i splugawionego sumienia. Ta przyczyna miała nawet swoje imię i nazwisko: Laura Wilk. Nieważne, czy zwariował, czy nie, skoro było jedno lekarstwo na przywrócenie w jego życiu równowagi i normalności. Zabicie Laury Wilk.

Piotr Żołnierz kręcił się w okolicach ulicy Pomorskiej, w znanych sobie rejonach, bo przecież mieszkał tu już od lat. Szukał samochodu. Wszystko się oczywiście skomplikowało. Lesiecki uciekł, Wilczycy w hostelu nie było, przez przypadek zastrzelił tego cholernego Tomasza, przysłanego mu przez Darskiego. Jak on na to zareaguje? Na pewno nie będzie zadowolony. Żołnierz nie ma już co liczyć na taryfę ulgową. Pozbędą się go bez żadnego żalu. Popsuł im taki piękny plan. Popsuł też swój, bo miał Wilczycę jak na tacy. W dodatku nie ma już przyjaciół. Samych wrogów. Sam musi uciekać. Może gdyby dopadł tego Lesieckiego na Bielanych... Tylko że w tył auta wjechał mu jakiś dupek, kiedy cofał. Do tego był na tyle bezczelny, że popchnął go na ogrodzenie, unieruchomił i odjechał. Jakby chciał specjalnie opóźnić Żołnierzowi pogoń.

Czy naprawdę był takim życiowym nieudacznikiem? Nie potrafił nawet w niewielkim stopniu dorównać swojemu ojcu, który był królem życia i rządził jak na prawdziwego władcę przystało: brutalnie i sprawiedliwie. Wstyd palił mu twarz. Bał się podnieść wzrok. Miał wrażenie, że nieżyjący ojciec patrzy na niego pogardliwie z góry. Prawie słyszał jego drwiący śmiech i złośliwe docinki. Cholerny sukinsyn, samiec alfa, kurwa jego mać! Jeszcze mu pokaże, że wcale nie jest od niego gorszy. Jest lepszy. Tylko musi zabić tę cholerną Wilczycę, która go kąsa za każdym razem, kiedy coś zaczyna mu wychodzić.

Wreszcie w bocznej uliczce znalazł właściwy samochód. Stary golf „trójka”, taki, który dał się uruchomić bez kluczyka. Akurat Żołnierz był w tym dobry. Zbił boczną szybę kolbą pistoletu, otworzył drzwi i wpakował się do środka. Co z tego, że ktoś mógłby go zobaczyć, to w tej chwili nieistotne. Uruchomił auto i odjechał. Z zadowoleniem odnotował bak pełny w dwóch trzecich. Starczy. Teraz musi zniknąć, odpocząć, przycząić się i zaatakować.

Pojechał w kierunku lotniska, wcześniej na Nowym Dworze kupił w żabce wódkę, fajki, bułki i kabanosy. Minął lotnisko i pojechał kawałek obwodnicą Leśnicy. Zanim jednak dojechał do ronda, na którym obwodnica łączyła się z drogą numer 94, skręcił w lewo, po chwili asfalt się kończył i zaczynała się pełna dziur szutrówka. Po kilkuset metrach skręcił w prawo i dojechał do dużego zrujnowanego budynku, gdzie kiedyś jego ojciec produkował plastikowe okna, zanim nie zbankrutował. Budynek od tego czasu niszczał. Koszty rozbioru były niewspółmiernie wysokie do ceny działki położonej w rejonie, do którego miasto jeszcze nie miało zamiaru wpuszczać deweloperów. Może kiedyś. Na razie Żołnierz miał tu swój azyl.

Kradzione auto zaparkował za budynkiem, wszedł do środka tylnym wejściem. Okna były powybijane, hala zdewastowana i udekorowana przez graffitiarzy, lecz część biurowa wyglądała lepiej. Było w niej jedno pomieszczenie, gdzie można było przeczekać, napić się w spokoju wódki i pomyśleć. Najchętniej wciągnąłby krechę, ale nic nie miał. Wódka musiała wystarczyć.

## 6

Naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu, inspektor Frąszyk, wyszedł z budynku po zmroku, zły jak wszyscy diabli. Coś się działo, czego na razie nie potrafił ogarnąć. Nerwowa reakcja komendanta wojewódzkiego, prokuratura, która nagle nabrała wody w usta, i strzelanina na Bielanych, którą natychmiast przejęli funkcjonariusze CBS z Warszawy. Ciekawe, jak oni tak szybko się tu znaleźli? Nikt nie puścił pary z gęby i to najbardziej go denerwowało.

Szarpnął za klamkę, z rozmachem wszedł do służbowej kii i nagle zrozumiał, że coś jest nie tak. Zanim zdążył zareagować, poczuł bolesne szturchnięcie łufą pistoletu w szyję z prawej strony. Zimna stał zdawała się przewiercać go na wylot.

– Zachowuj się normalnie – usłyszał znajomy głos. – Najpierw oddaj mi broń, potem jedź.

– Nie mam broni – odpowiedział.

– Jedź!

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał z policyjnego parkingu na ulicę. Włączył się do ruchu i jechał wolno. Trudno mu było skoncentrować się na drodze.

– Jedź normalnie – poleciła mu z tyłu komisarz Laura Wilk.

– To znaczy?

– Szybciej, kurwa!

Przyspieszył.

– Dokąd jedziemy? – zapytał ostrożnie.

– Później ci powiem, na razie jedź.

Po kilkunastu sekundach ciszy Frąszyk spróbował negocjacji.

– Posłuchaj, Laura, to nie ma sensu – odezwał się. – Poddaj się, każdą sprawę da się jakoś wyjaśnić. Jeśli wykażesz skrucę i przyznasz się do winy, prokuratura zażąda najmniejszego wymiaru kary. Przecież masz za sobą lata nienagannej służby.

Zdziwił się, kiedy z tyłu rozległ się złośliwy śmiech Wilczycy. Czy ona do reszty zwariowała? Może przez te narkotyki?

– Ale ty jesteś naiwny, Frąszyk – powiedziała. – Właściwie to nie wiem, czy to jest twoja naiwność i niewiedza, czy jesteś tak samo skorumpowany jak połowa policjantów w twoim wydziale.

Naczelnik poczuł nieprzyjemny dreszcz na karku. Bynajmniej nie z powodu broni przy głowie. Wątpił, żeby Laura chciała do niego strzelić. Nawet tego nie zakładał.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, że nie powinno mnie tu teraz być, jednak nie mogłam się powstrzymać – mówiła mu prawie do ucha, a kiedy chciał się obejrzeć, powtrzymała go dźgnięciem lufy.

Wcześniej przestawiła wsteczne lustro tak, że można było w nim zobaczyć, co dzieje się z tyłu auta.

– Ciekawi mnie, czy też jesteś na usługach mafii i tylko udajesz prawo i sprawiedliwość? – mówiła dalej.

– Bredzisz, Laura – warknął, tracąc cierpliwość.

Dojechali do końca Kościuszki i kazała mu skręcić w lewo, znowu w kierunku Podwala.

– Wiesz, jak to wczoraj wieczorem wyglądało? – zapytała i opowiedziała mu wszystko ze szczegółami. – Miałam zostać zabita przy próbie ucieczki, rozumiesz, szefie? Udowodnij, że o tym nie wiedziałeś.

Frąszyk znowu poczuł jakieś nieprzyjemne obręcze chłodu w okolicach karku.

– Nie wiedziałem – powiedział drewnianym głosem.

– Dupa z ciebie, a nie szef wydziału – prychnęła. – Mafiosi wysługują się komisarzem Żołnierzem od lat i nikt jeszcze u nas nie zwrócił na to uwagi. Mają go w kieszeni, robi, co tylko mu każą, a teraz był zdolny posunąć się nawet do zabójstwa koleżanki. Razem z tym swoim przydupasem Góralskim tworzą niezły duet. Ale chyba Góral doznał objawienia, bo nagle się przestraszył konsekwencji i mnie ostrzegł. Jak myślisz, kto jeszcze u nas w wydziale jest kretem? Pomyśl chwilę, Frąszyk. Albo Żołnierz i jeszcze kilku kolegów robią cię w jajo, albo ich kryjesz, bo jesteś tak samo umoczony. Istnieje jeszcze jedna możliwość. Ktoś z góry każe ci ich kryć, a z tego robi się już wielka afera.

– Kurwa, Laura, ja nic nie wiem – jęknął, ruszając na światłach w kierunku placu Społecznego.

– No to musisz się szybko dowiedzieć. – W jej głosie pojawiła się kpina. – Bo całe BSW już dawno chodzi wokoło naszego wydziału, a ostatnio z Warszawy przyjechał człowiek do zadań specjalnych. Zgadnij, kto pierwszy wyleci z hukiem, kiedy dobiorą się skorumpowanym sukinsynom do dupy?

Naczelnik wydziału kryminalnego zacisnął dłonie na kierownicy. Poczuł, że robi mu się słabo. Taka wizja, w takich okolicznościach, jak mówiła Laura, była bardzo realistyczna. Wyleci jak z procy, będzie miał zarzuty, straci emeryturę, kawał życia spieprzony.

– Skręć w prawo!

Wykonał polecenie i jechali teraz w kierunku Traugutta. W centrum miasta rozblęły światła. Nadchodziła noc.

– Wiesz, że Żołnierz prawdopodobnie dalej mnie ściga i chce mnie zabić? A co robią moi koledzy z wydziału, ci, którzy nie są umoczeni wraz ze swoim szefem? Też mnie ścigają. Kurwa, wszyscy nagle uwierzyli w szytą grubymi nićmi aferę,

że diluję narkotykami. Naprawdę, Frąszyk? Po tylu latach nienaganej służby uwierzyłeś takiemu śmieciowi jak Żołnierz? Powiedz mi: dlaczego? Bo jest face-tem, a ja tylko kobietą i koniecznie trzeba mi dokopać i pokazać miejsce w szeregu? Taka solidarność jąder? I co masz zamiar z tym zrobić? Dalej chcesz mnie aresztować i zapewnić uczciwy proces?

Mężczyzna zacisnął szczękę i nic nie odpowiedział.

– No to ja ci coś powiem – ciągnęła Laura. – Nie mam zamiaru czekać na ten uczciwy proces. Wiesz dlaczego? Bo mogłabym go nie dożyć, siedząc pod okiem skorumpowanych skurwysynów ze służby więziennej w naszym areszcie śledczym. Ale tych plotek też pewnie nie słyszałeś? Teraz biorę sprawy we własne ręce i jeśli naprawdę jesteś czysty i o niczym nie wiedziałeś, nie będziesz mi przeszkadzał. Jeśli jest inaczej, wiedz, że na końcu przyjdę też do ciebie. Zatrzymaj się tu!

Szturchnęła go boleśnie łufą pod brodę, a on odruchowo wcisnął hamulec. Trzasnęły drzwiczki i już jej nie było. Rozpłynęła się w bocznej uliczce odchodzącej od Puławskiego, na której stał. Z tyłu rozległo się trąbienie. Frąszyk ruszył z piskiem opon, klnąc na czym świat stoi. Nie pojechał do domu, tylko z powrotem do budynku komendy wojewódzkiej.

Ariel musiał znaleźć jakiś środek lokomocji. Wolał nie ryzykować wizyty w mieszkaniu, obawiał się, kogo tam może zastać, więc pomyślał nagle o toyocie, którą zabrał Tomaszowi, a potem porzucił na parkingu przy Orbicie. Może nikt jeszcze jej nie znalazł. Kiedy już postanowił działać i określił się jako Ariel, spłynął na niego spokój. Skoncentrował się tylko na jednym zadaniu. Musi odnaleźć Sonię, żywą albo martwą, nieważne. I do tego złapać tego skurwysyna, który jej to zrobił. Jezu, przecież już do końca życia nie pogodzi się sam ze sobą i ze swoimi wyrzutami sumienia, jeśli coś jej się naprawdę stało. Na bok poszła Laura, Maria Cybulska, mafia, policja. Nic go to nie interesowało. Jak to się stało, że pozwolił Soni wpuścić do swojego domu mordercę? Nie zareagował, kiedy ona zaczęła spotykać się z tym cholernym stolarzem. Bo nie miał teraz wątpliwości, że to on ją porwał i teraz podrzucił mu jego własne pieniądze z kartką i kluczykiem. Nie wiedział jeszcze po co, ale tego dowie się później.

Do Kwiskiej dotarł komunikacją miejską, resztę drogi do Orbity pokonał pieszo. Ciągłe przez głowę przetaczało mu się morze myśli. Dlaczego ten stolarz zaczął z nim jakąś chorą grę? Dlaczego z nim? Porwał i być może zabił Sonię, ponieważ chciał się zemścić na Arielu? Czy raczej na Macieju? Dlaczego? Co on mógł mu takiego zrobić? Przespał się z jego żoną? Nie, Maciej raczej był ostrożny, prędzej jako Ariel mógł coś takiego zrobić. Wtedy nie zwracał na nic uwagi. Tylko na siebie.

I nagle, kiedy uwolnił się od planującego i kontrolującego wszystko Macieja, zobaczył niektóre rzeczy w innym świetle. Chciał się częściej widywać z synem, uznał, że czas pogonić wreszcie ze swojego życia ekszłonę, ponieważ tylko wprowadza w nim zamęt. No i Laura. Była dla niego czymś więcej niż *sex friend*, jak



starał się to sobie wmówić Maciej. Znaczyła dla niego o wiele więcej i dopiero kiedy poczuł się wolny, potrafił to sobie w pełni uświadomić.

Nie teraz, zgañił siebie. Teraz musi rozważyć inne problemy.

Znalazł toyotę tam, gdzie ją zostawił. Drzwi były otwarte, a w stacyjce ciągle tkwił kluczyk. Przez cały czas, kiedy tu stała, nie znalazł się na nią amator. I dobrze. Uruchomił silnik i pojechał w kierunku Nowego Dworu.

Biedronka znajdowała się w kompleksie małego centrum handlowego nazwanego Mińska 58, pewnie od adresu. Kluczyk pasował do skrytki numer 6 w małej przechowalni bagaży przy wejściu do sali sprzedaży marketu. Wyciągnął z niej kolejną kartkę ze wskazówką. Tylko czy to na pewno była wskazówka? Kiedy przeczytał to jedno zdanie, od razu nabrał pewności, że Sonia jest tylko narzędziem wykorzystanym w akcie zemsty na nim. Na Arielu. A zadra będąca powodem zemsty tkwi w jego dzieciństwie.

Zacisnął szczęki i wrócił do auta. Tam jeszcze długo wpatrywał się w koślawy napis na żółtej kartce ze starej papeterii: „Czy odwiedzałeś kiedyś grób swojego kolegi z podstawówki, Romka Książyka?”.

Nigdy nie odwiedził tego grobu. Kiedy uruchamiał silnik samochodu, był już jednak pewien, że niedługo to zrobi.

Komisarz Laura Wilk celowała Góralskiemu w głowę. Miała przy tym taką minę, że gdyby teraz nacisnęła bez ostrzeżenia na spust, nawet by się nie zdziwił. Może nawet zasłużył sobie na kulkę?

– Do pokoju! – rzuciła, pakując mu się do mieszkania.

Wycofał się bez słowa, ona weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i zgasiła światło w pokoju.

– Na fotel!

To polecenie też spełnił bez szemrania.

– Ktoś tu jeszcze jest?

– Jestem sam.

Usiadła na sofie po przeciwległej stronie pomieszczenia. Nadal celowała do niego z pistoletu, w ciemnościach trudno było zobaczyć wyraz jej twarzy. Góral coraz bardziej się denerwował, kiedy cisza się przeciągała. Znał tę metodę z przesłuchań. Należało przetrzymać delikwenta do chwili, kiedy nie będzie mógł znieść tej ciszy i sam zacznie gadać. Znał zasadę, a jednak się złapał.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał cicho, jakby pogodzony z losem.

– Dlaczego mi pomogłeś, Góral? – zapytała cicho.

– Są pewne granice, których przekroczyć nie można – odpowiedział cicho.

– Masz na myśli morderstwo?

– To jest ostateczna granica, ale są też wcześniejsze, których też nigdy bym więcej nie przekroczył.

– Ale je przekraczałeś.

– Wiem, ale kolejny raz bym tego nie zrobił.

Wilczyca milczała chwilę. Góralowi wydawało się, że uśmiecha się drwiąco pod nosem.

– Dopadły cię wyrzuty sumienia? – rzuciła i zaraz dodała, jakby mówiła do siebie. – Lepiej późno niż wcale.

– Laura, byłem skurwysynem, ale teraz chcę to naprawić – powiedział Góral-ski. – Dlatego cię ostrzegłem.

– Daruj sobie, Góral, ten melodramat. – Machnęła niecierpliwie ręką. – Na mnie nie działają takie teksty. Po prostu przestraszyłeś się, bo zaczęło ci się palić pod dupą. Tylko dlatego skruszałeś, bo przecież podobała ci się lewa kasa, prawda?

– Podobała mi się – przyznał komisarz bez zająknięcia. – I pewnie nadal by mi się podobała, gdyby dalej prosili mnie o drobne przysługi. Ale oni zaczęli traktować mnie jak kundla, który będzie merdał i aportował wytrwale, nawet gdy patyk wpadnie w gówno. Tak jak mówiłem, mam swoje granice. Nigdy ich nie przekroczyć.

– A jaki jest Piotr? – Padło szybkie pytanie.

– On nie ma żadnych hamulców. Dla niego liczy się tylko własny komfort. Sporo o nim wiem, a jeszcze więcej się domyślam. W przeciwieństwie do niego ja ciągle myślę jak gliniarz, tylko mocno pobłądziłem. On jest już po drugiej stronie i nie ma dla niego szans.

– Przyjaźniliście się?

– Trudno to było nazwać przyjaźnią, bo on tylko wykorzystuje ludzi dla własnych celów i zostawia – odpowiedział Góral-ski z namysłem. – Myślałem, że jesteśmy kumplami, ale się pomyliłem. Mogę ci sporo o nim opowiedzieć.

– To mów, mamy chyba dużo czasu.

– Ale najpierw zrobię ci kawę, wyglądasz na zmęczoną – zaproponował.

Laura Wilk nagle opadła na sofę, jakby się rozluźniła. Opuściła broń, przy-mknęła oczy i wybuchnęła głośnym śmiechem, jakby puściły jej wszystkie blokady. Po chwili uniosła się i ukryła twarz w dłoniach, nie przestając się śmiać.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał ostrożnie.

Spojrzała na niego, chociaż na jej ustach ciągle jeszcze gościł jakiś niezbyt wesoly uśmiech.

– Po raz kolejny uświadomiłam sobie pewną prawdę – odezwała się cicho. – Tyle lat pracuję w policji, a kiedy wpadłam w kłopoty, jedyną osobą, której mogę chyba zaufać, jest komisarz Góral-ski. Skorumpowany drań, najlepszy kumpel mojego największego wroga, który chciał mnie zastrzelić. Kurwa, jak ja się tutaj znalazłam? Co ja tutaj robię? Poświęciłam policji wszystko, nie mam faceta, nie będę miała dzieci, nie mam przyjaciół i kiedy potrzebuję pomocy, przyjeżdżam do ciebie. Kawał życia psu w dupę!

Góral-ski milczał, zakłopotany. Nigdy nie słyszał tak osobistego wyznania z ust Laury. Zawstydził się, że zawsze traktował ją jak kolejnego faceta w wydziale, a nie jak kobietę, którą przecież na pewno była i teraz pokazała fragment swojej prawdziwej twarzy, a nie maski zakładanej przed wyjściem do pracy. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Uznał, że lepiej jest nic nie mówić. Jego rady można

o kant dupy rozbić. Poszedł do kuchni i zakrzętnął się przy ekspresie, nie włączając światła.

Laura powlekła się za nim, usiadła na krześle, przed sobą na stole położyła pistolet i ukryła twarz w dłoniach. Milczała, a Góral nie chciał jej tego milczenia przerywać. Co ona ma teraz zrobić? I gdzie, do cholery, zniknął Lesiecki? Nie miał telefonu, nie miał samochodu, nie mógł wrócić do domu. A może wrócił? Miała tylko nadzieję, że nic mu się nie stało. Góral postawił przed nią kawę, dla siebie otworzył puszkę z piwem i usiadł naprzeciw.

– Posłuchaj, Laura, ja jeszcze nie straciłem policyjnego nosa – odezwał się cicho. – Mnie ciężko jest oszukać, nie jestem takim głupkiem, za jakiego brał mnie Żołnierz.

– Do czego zmierzasz? – przerwała obcesowo.

To nie był czas, żeby wysłuchiwać teraz jego zwierzeń. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Jego wstęp zmierzał jednak w inną stronę.

– Moim zdaniem to Żołnierz zabił Piecha – oświadczył.

Kubek z kawą zastygł w połowie drogi do ust. Laura patrzyła uważnie na Górala. Opowiedział jej o swojej wizycie u Ireny Piech i tym, czego się od niej dowiedział.

– Podobno się chwalił, że jego problemy finansowe się skończą, ponieważ wojskowy musi zapłacić – zakończył. – To Żołnierz ją wcześniej przesłuchiwał i napisał niczego niewnoszący raport z tego przesłuchania.

– Dlaczego Piech miałby mu zapłacić? – Nie skojarzyła od razu.

– Piech obstawiał ten zakład stolarski Poltergeista, sama się domyśl. – Góralski wzruszył ramionami.

Laura poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie ciąg przekleństw, po czym przedstawiła teorię:

– Ostrzegł Poltergeista i Piech musiał go tam widzieć. Może zrobił mu zdjęcie, skoro jego telefon zniknął. Żołnierz wiedział tylko o jednym samochodzie wyznaczonym do obserwacji. Drugi kazałam wystawić tuż przed akcją.

– Dokładnie – potwierdził Góral. – I dlatego Piech musiał zginąć. BSW podejrzewa, że Żołnierz zabija na zlecenie mafii. Ciebie też chciał zabić.

Zapadło milczenie. Laura powoli analizowała jego słowa.

– Dla kogo on pracuje? – zapytała.

– Z tego, co się dowiedziałem, wszystkimi lewymi interesami Krzysztofa Darskiego zarządza Krystek. To jest taki szemrany prawnik, który tak naprawdę prawnikiem nie jest. To kuty na cztery łapy i bardzo dobrze ustosunkowany człowiek od zadań specjalnych. Można powiedzieć, że to taki lobbysta, tyle tylko, że lobbuje siłą, świetnie porusza się w świecie przestępców i spina interesy Darskiego. Milioner jest przecież szanowanym obywatelem, więc nie może angażować się w lewe tematy. Ma od tego człowieka, to Krystek. Korumpuje gliniarzy, to on mówił Żołnierzowi, co ma robić, Piotr wciągnął w to mnie. Poza tym zajmuje się nielegalnym przejmowaniem firm konkurencji, zastraszaniem i zleca podpalenia, pobicia i zabójstwa. Taki najbardziej zaufany człowiek Darskiego.

– Dużo o nim wiesz – zauważyła.

– To Żołnierz w pewnym momencie przestał myśleć, ja cały czas zachowałem zdrowy rozsądek i sprawdzałem, z kim mam do czynienia. Dlatego teraz dużo wiem.

– Od jak dawna ten Krystek pracuje dla Darskiego?

– Od wieków. Nie wiem, chyba od początku. – Góralski rozłożył ręce.

– Myślisz, że to on wydał na mnie wyrok?

– Na pewno, nikt inny nie ma takich wpływów, żeby do zabójstwa użyć prokuratora i policjantów. Wszyscy siedzą u niego w kieszeni.

Laura piła kawę małymi łykami i myślała. Wreszcie spojrzała na Góralskiego uważnie.

– Bardzo interesuje mnie, dlaczego wykrycie prawdy o porwaniu Marii Cybulskiej tak ich przstraszyło, że nie wahali się wydać na mnie wyroku. Jakie tu jest drugie dno?

– Nie wiem. – Gospodarz pokręcił głową.

– Wiesz, gdzie ten Krystek mieszka?

– W willowej części Krzyków.

Wilczyca zrobiła dziwną minę.

– Mam pozwolenie na działanie poza wszelkimi procedurami. Może skorzystam z tych uprawnień? Taka szansa może się już nie powtórzyć.

– Co chcesz zrobić? – zaniepokoił się Góralski.

– Może złożę panu Krystkowi nocną wizytę? Pewnie nie spodziewa się gości, jak myślisz?

Góral wahał się tylko przez chwilę.

– Idę z tobą!

Wilczyca wyglądała, jakby ciągle nie mogła się zdecydować, czy może mu całkowicie zaufać.

– Skąd taki pomysł? – rzuciła niezbyt przyjemnie.

– Czas zacząć pokutę za grzechy.

– Znowu melodramat – jęknęła, kręcąc głową. – Góral, ty powinieneś scenariusze do romansów pisać. Zrób lepiej jeszcze kawy.

Kiedy stał przy ekspresie, poszła do kurtki, po czym rzuciła na stół gruby plik banknotów w kopercie.

– Schowaj to gdzieś – powiedziała. – Odbiorę, jak będzie spokojniej.

– Ile tu jest?

– Prawie sześć tysięcy, trochę wydałam na hostel.

– Skąd masz taką kasę?

– Okradłam bankomat. Lej tę kawę, bo musimy się naradzić.

„Czy odwiedzałeś kiedyś grób swojego kolegi z podstawówki, Romka Książka?”

Ariel Lesiecki jechał przez noc, targany niepokojem. Nie, nigdy nie widział grobu kolegi z dzieciństwa. Był na pogrzebie i tyle mu wystarczyło. Potem wyrzucił Romka z pamięci na wiele lat. Tak naprawdę dopiero liścik od niezna-

nego przeciwnika przypomniał mu o nim, jego największym prześladowcy z dzieciństwa.

*Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić.*

Po co miał wracać do tamtych wspomnień? Wtedy był przestraszonym dzieckiem, innym niż wszystkie i dlatego prześladowanym. Każda inność musi być napiętnowana. Zastanowił się. A może właśnie dlatego powinien pamiętać o Romku? Ponieważ pewnego dnia w ruinach pałacu zaczął się zmieniać. Może i tak by się zmienił, lecz tamto zdarzenie zadziałało jak katalizator. Przyspieszyło proces przeobrażeń, jakim ulegał nastolatek.

*Nie okazuj słabości, bo stracisz szacunek u innych.*

Od tamtej pory nie okazywał słabości, był twardy jak skała, zdecydowany i pewny siebie. Można nawet powiedzieć, bezczelny.

*Pomóc możesz sobie tylko sam.*

Tak, stał się egoistą. Myślał tylko o sobie, o własnych przyjemnościach; cierpienie innych go podniecało, stał się skryty i nigdy nikogo nie poprosił o pomoc.

*Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie.*

Nie zwracał uwagi na innych, liczył się tylko on.

I dokąd go zaprowadziły te zmiany, zapoczątkowane wtedy przez starcie z bandą Romka? Donikąd, w złe miejsce, w najgorsze z możliwych. Na samo dno szaleństwa. Musiał się ratować, zmieniając siebie w Macieja. Tylko czy temu zwyrodnialcowi, który porwał Sonię, naprawdę o to chodziło? Żeby sprowokować go do takich rozważań? Bzdura, on nic nie mógł wiedzieć. Tylko czy na pewno?

Jechał przez noc, przez las, mijał kładące się spać wioski po zachodniej stronie Wrocławia. Wcześniej na shellu kupił mocną latarkę. Może mu się przyda. Przecież jakoś musi znaleźć grób Romka Książyka na ciemnym, nieznanym sobie cmentarzu. Kiedyś mieszkali w wiosce znajdującej się niedaleko sztucznego jeziora w Mietkowie. Wieś nazywała się Wątlica i nie była wcale taka mała. Były dwa sklepy, szkoła podstawowa, wiekowy kościół i ruiny majątku ziemskiego wraz z przylegającym do niego zdziczałym parkiem. Był też cmentarz. Wtedy niewielki, na kilkadziesiąt grobów. A teraz? Pewnie jest trzy razy większy, a on nie pamiętał nic z tego, jak grabarze wkładali trumnę ze znienawidzonym kolegą do dołu i zasypywali ją ziemią. Nic, czarna dziura, jakby ktoś zamalował mu te wspomnienia czarnym flamastrem. No nic, skoro podjął już tę dziwną grę, będzie szukał tego miejsca i kolejnych wskazówek udzielonych mu przez tego świra.

Było około dwudziestej trzeciej, kiedy mijał tablicę z nazwą „Wątlica”. Równocześnie deszcz ponownie zabębnił o szyby auta. Pogoda nie zamierzała niczego ułatwiać. Zaraz przy pierwszych zabudowaniach mocno zwolnił. Ostatni raz był tu trzydzieści lat temu i tak jak przypuszczał, wiele się zmieniło. Nawet nie wyobrażał sobie, jak wiele. Domów było dwa razy więcej, stare zostały wyremontowane lub zamieniły się w nowe, zbudowane zostały boczne uliczki, których wcześniej nie było, mur odgradzający dawny majątek od wioski jeszcze bardziej podupadł i chylił się ku całkowitej destrukcji, obskurny sklep zastąpił elegancki market, w miejscu starej szkoły wyrosła nowa z przylegającym do niej orlikiem,

podświetlony kościół przyciągał wzrok, jakby promienie światła jeszcze bardziej podkreślały jego boski status. Przez chwilę wahał się, czy w ogóle pamiętać, jak trafić na cmentarz.

Wreszcie sobie przypomniał. Trzeba było pojechać wąską uliczką między murem kościoła a skrajem niewielkiego lasku, który od niepamiętnych czasów rósł na terenach kościelnych. Tak zrobił. Minął kościół z lewej strony, opony zachrzęściły na kamienistej nawierzchni i po pokonaniu kilkunastu metrów w świetle reflektorów zobaczył nowe ogrodzenie i kutą bramę. Zaparkował przy tej bramie, wyłączył silnik i reflektory. Z tego, co zdążył zobaczyć w ich świetle, było dokładnie tak, jak się spodziewał. Dawny niewielki cmentarz parafialny był teraz wielokrotnie większy i usiany łańcem nowych krzyży. Nawet nie wiedział, gdzie teraz znajduje się jego starsza część. To nic. Miał dużo czasu, całą noc.

Furtka przy bramie była otwarta, chociaż zwiślał przy niej łańcuch i kłódka. Jakby ktoś niedawno specjalnie ją otworzył. Wszedł na teren cmentarza i zatrzymał się. Deszcz szumiał, rozbijając się o liście rosnących przy ścieżkach krzewów, brukowany chodnik i nagrobki. Słychać było tylko ten szum. Kiedy jednak Ariel zaczął się w niego wsłuchiwać, w jego głowie znowu rozbrzmiał złośliwy śmiech.

– Zamknij się – szepnął.

Pierwsze krople deszczu spłynęły mu z włosów na policzki. Było coraz zimniej. Cholerna pogoda.

Począł, aż wzrok przywyknie do braku światła, i ruszył w prawo, gdzie spodziewał się zastać najstarsze groby, te sprzed kilkadziesiąt lat. Musiał poświecić sobie latarką, ponieważ nie wszystkie nazwiska i daty dało się w ciemnościach odczytać. Pomylił się. Powinien był pójść w drugą stronę, ale i tu daty były zbyt świeże. Chodził po cmentarzu alejka po alejce i ciągle trafiał na daty z końca ubiegłego wieku i te zaczynające się cyfrą dwa. Minął kwadrans, potem kolejny, zaczynał dygotać z zimna, bał się, że wreszcie ktoś z wioski zobaczy dziwne światło o tej porze na cmentarzu i podniesie alarm. Wreszcie przystanął i zastanowił się. Dekoncentrował go śmiech w głowie. Ostatni raz poświecił dookoła i zrozumiał.

Najstarsza część cmentarza znajdowała się najdalej od bramy. Cmentarz przesunięto nie w prawo ani w lewo, tylko do przodu, w kierunku drogi i lasku. Trudno było od razu rozwiązać tę zagadkę, ponieważ stara część była oddzielona od reszty cmentarza wysokimi tujami, które pewnie kiedyś rosły przy ogrodzeniu. Poszedł tam. Po kolejnym kwadransie znalazł to, czego szukał. Stary nagrobek z płytą z lastryka, wyblakłe, ledwo widoczne napisy na tablicy z utraconym rogiem, chwasty wyrastające z ziemi zamiast kwiatów i ani jednego znicza. Nawet wypalonego. Jakby nikt nie odwiedzał tego grobu od wielu lat. Z trudem odczytał napisy: Roman Książyk, data oraz dopisek „Pokój jego duszy na wieki”. Dlaczego grób jest tak zaniedbany? Czyżby jego bliscy się gdzieś wyprowadzili? Nie, po prostu wymarli. Ariel przypomniał sobie, że rodzina znenawidzonego kolegi była jedną z większych patologii we wsi. Jeśli ktoś z tej wielodzietnej rodziny miał trochę oleju w głowie, uciekł do miasta, a kto został, staczał się

coraz niżej. Czy Lesiecki ich teraz żałował? Nie. Czuł nawet coś na kształt poczucia sprawiedliwości. Skoro sami zdecydowali, że ich życie na tym świecie jest głównie warte, po co mieli zatruwać życie innym?

Nagle znowu usłyszał śmiech. Tym razem drgnął. Wydawało mu się, że tym razem złośliwy śmieszek nie zabrzmiał tylko w jego głowie. Doszedł jego uszu z innego miejsca cmentarza. Zza paska wciągnął pistolet, latarkę przyłożył do jego lufy i poświecił w tamtą stronę. Nic, żadnego najmniejszego ruchu. Tylko deszcz, szum i chłód. Nagle znowu coś usłyszał. Trochę z boku. Jakby szuranie albo... nie wiedział co. Znowu poświecił i znowu niczego nie dostrzegł. Wyłączył latarkę. Pistolet schował znowu za pasek. To tylko śmiechy w jego głowie. Najgorsza rzecz, jaka może się normalnemu człowiekowi przytrafić. Bo jeśli zaczynasz słyszeć takie śmiechy, to znak, że już nie jesteś normalny.

Znowu patrzył na nagrobek. No dobrze, już tu jest, tylko co dalej? Poświecił jeszcze raz. Niczego nie dostrzegł. Dopiero kiedy zgasił światło i stał chwilę w ciemnościach, dostrzegł rąbek białej kartki wyraźnie wystający z szarej płyty z napisami. Sięgnął po nią i rozwinął.

„I co teraz, Poszukiwaczu Zwłok?”

Chyba nie będzie już żadnych odpowiedzi i dalej będzie musiał radzić sobie sam.

## 7

**M**ateusz Krystek uwielbiał luksus i płacił się w nim jak tylko mógł. W remont domu włożył kilka milionów euro. Wszystko musiało być najlepsze i najdroższe.

Nie był prawnikiem, choć lubił być nazywany mecenasem. Ukończył jedynie technikum mechaniczne, co nie przeszkodziło mu zrobić u boku Darskiego błyskotliwej kariery. Tak naprawdę milioner nie miał bardziej zaufanego człowieka od Krystka. A on nie miał większych ambicji, wystarczyło mu to, co miał, więc układ zdawał się idealny.

– Coś jeszcze, szefie? – W drzwiach pokoju kominkowego stanął jeden z czterech ochroniarzy, którzy w trakcie dnia nie odstępowali go na krok.

Krystek czuł się jednak na tyle pewnie, żeby w nocy nie korzystać z ochrony. Jego willa była wyposażona w zabezpieczenia elektroniczne, które natychmiast podnosiły alarm, jeśli ktoś próbowałby naruszyć jego prywatność. Poza tym nienawidził ludzi i po całym dniu miał dość nawet ochroniarzy. Musiał odpocząć.

– Nie, sprawdźcie jeszcze teren i spierdalajcie – rzucił, nie patrząc na ochroniarza.

U niego wszystko musiało być *prima sort*. Nawet tych głupich troglodytów ubrał w markowe garnitury, żeby zbytnio nie kontrastowali z idealnym luksusem, który sobie stworzył w willi z początku ubiegłego wieku. Podobno do końca drugiej wojny światowej mieszkał tu jakiś wysoko postawiony oficer Wehrmachtu, u którego na popijawach z dziwkami bywał sam Reichsführer SS Karl Hanke, dowódca Festung Breslau. Imponowało mu, że mieszkał w miejscu z taką historią.

– Tak jest, szefie – rzucił ochroniarz i rozpląnął się cichy i bezwonnny.

Krystek podszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę dwudziestopięcioletniej szkockiej whisky marki The Dalmore. Uznawał tylko szkockie trunki, przecież skoro tam je wynaleziono, muszą być najlepsze na świecie. Wrzucił do szklaneczki kilka kostek lodu sprowadzanego specjalnie z Grenlandii. Nie miał zaufania do lodu wytwarzanego ze zwykłej wody. Kto wie, ile tam jest zanieczyszczeń psujących idealny aromat bardzo drogiego alkoholu. Ten lód sprzed milionów lat miał swój własny aromat, dodawał whisky głębi i nieuchwytnego posmaku luksusu.

Szączył trunek, siedząc w skórzanym fotelu i odpoczywając po trudach dnia. Wszystko się spierdoliło przez tego głupiego gliniarza. Niby miał go w garści,



idealnie pasował do tego zadania, a jednak nie udźwignął. Ale spokojnie, poradzi sobie z tym. Ugasi pożar, nie takie rzeczy już robił w życiu, Darski będzie zadowolony. A komisarz Żołnierz wylądował na dnie jakiegoś bajora, gdzie ryby wyżrą mu gałki oczne. Jak kilku innym frajerom przed nim. Nie ma się co denerwować. Każdy nowy dzień to nowe rozdanie i nowe szanse na wygraną. A Mateusz Krystek nigdy nie przegrywał. Był królem życia, sam kształtował swój los, a los lubił takich twardych facetów i prostował przed nimi wszystkie ścieżki.

Usłyszał nagle jakiś hałas dochodzący z korytarza od strony drzwi wejściowych.

– Mówiłem, żebyście spadali! – krzyknął, a kiedy nikt mu nie odpowiedział, klnąc, odstawił szklankę, podniósł się fotela i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Kiedy wyrosła przed nim ciemna postać, nawet nie zdążył się przestraszyć. Ktoś podciął mu nogi i Krystek upadł bezwładnie na wypolerowany drogi parkiet korytarza, waląc w niego głową, aż zadudniło. Równocześnie w oczach eksplodował mu milion słońc.

Na chwilę stracił poczucie rzeczywistości i ocknął się dopiero na krześle w salonie. Ręce miał związane z tyłu, ktoś kępował mu akurat nogi, owijając je szarą taśmą.

– Ej! Co się, kurwa, dzie...? – Nawet nie zdołał dokończyć pytania, gdy jedna z dwóch osób znajdujących się w zasięgu jego wzroku podskoczyła i zamknęła mu usta uderzeniem pięści.

Ból znowu eksplodował jak fajerwerki Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Wargi paliły, w ustach czuł miedziany posmak krwi. Z przerażeniem dotknął językiem jedynek. Zęby za kilkadziesiąt tysięcy złotych się ruszały. Wtedy dopiero naprawdę się przestraszył.

– Kim wy jesteście? – wycharczał, plując krwią.

Przyjrzał się napastnikom. Jednym z nich na pewno była kobieta. Nawet zgrabna, za którą warto było obejrzeć się na ulicy. Tyle tylko, że nie widział jej twarzy. Włożyła czapkę z daszkiem, a na twarz maseczkę, jaką nosiło się podczas pandemii. Maseczka była czarna z wizerunkiem wrocławskiego krasnala i napisem: „Wrocław miasto spotkań”. Drugi z napastników był od niej niższy, miał mocno uwypukloną otyłość brzuszna i nosił podobne przebranie.

Krystek poczuł narastające w nim wściekłość i żądę mordu.

– Kurwa, wiecie, kim ja jestem?! – wycharczał. – Już macie kłopoty, każę wam wypruć flaki, moi ludzie pasy będą z was drzeć na żywca...

Kobieta podeszła i stanowczo zakleiła mu usta taśmą, aż zakrzuszył się własnymi słowami. Nachyliła się i zajrzała mu w oczy. Przestraszył się determinacji w jej spojrzeniu.

– To będzie później, mecenasie. Na razie się módl, żebyś dożył do rana.

Krystek przestał się szarpać i złorzeczyć. Uświadomił sobie swoje bezradne położenie. Tymczasem kobieta przykucnęła przed nim, żeby dobrze widzieć jego twarz.

– Nie ukrywam, że masz szansę przeżyć dzisiejszą noc – powiedziała spokojnie. – Jednak mam jeden warunek. Odpowiesz nam na wszystkie pytania. Jeśli

skłamię, poniesiesz konsekwencje swojego kłamstwa i będziesz musiał mówić od nowa. Zrozumiałeś?

Oderwała mu taśmę z ust, a on krzyknął z bólu.

– Nic wam nie powiem – warknął, plując krwią, która zdążyła zgromadzić mu się w ustach. – Zabiję was, nie wiecie, z kim macie...

Bez słowa oderwała kolejny kawałek taśmy i znowu zakleiła mu usta. Skinęła na mężczyznę.

– Spróbuj go zachęcić do zwierzeń.

Krystek nie bardzo kojarzył, dlaczego facet przyciąga do jego krzesła stół z hebanowym blatem. Poczul, jak rozcina mu więzy w prawej ręce, i zaraz się szarpnął. Okazało się jednak, że ręce miał związane osobno. Kobieta z niezwykłą siłą przytrzymała na blacie jego dłoń z rozczapierzonymi palcami, a Krystek z przerażeniem zobaczył, jak mężczyzna wyciąga zza pleców spory młotek. Popatrzył na niego i zapytał, jakby chodziło o smak lodów w cukierni:

– Który na początek?

Krystkowi omal oczy wyszły z orbit z przerażenia. Próbował wrzeszczeć, lecz taśma skutecznie tłumiała odgłosy. Facet się zamachnął, a on zacisnął mocno powieki, spodziewając się najgorszego. Rozległ się huk, który niemal rozsądził mu bębunki w uszach, lecz bólu nie było. Krystek otworzył oczy i spojrzął na blat stolika. Młotek trafił kilka milimetrów od jego palca wskazującego. Heban jest twardy, ale siła była tak wielka, że pękła politura i na samym blacie zarysowało się lekkie wgłębienie. Zniszczyli mu taki sam stół, jaki stał w pałacu Putina. Jednak nie złorzeczył, kiedy kobieta znowu zerwała mu taśmę z ust. Tym razem miał wrażenie, że na taśmie zostały fragmenty skóry z policzka.

– Będę mówił – jęknął. – Będę mówił.

Zamaskowana kobieta wyciągnęła aparat telefoniczny, włączyła nagrywanie i położyła go na zniszczonym stoliku.

– Co się stało z Marią Cybulską? – zapytała.

Krystkowi słowa uwięzły w gardle. Nie spodziewał się tego pytania. Gorączkowo szukał dobrej odpowiedzi, ale wybrał złą.

– Nie wiem, nie było mnie tam – mówił gorączkowo. – Wtedy byłem tylko leszchem, Darski mi jeszcze nic nie mówił.

– Zła odpowiedź – powiedziała tylko i znowu zakleiła mu usta.

Następnie mocno przytrzymała jego dłoń, a mężczyzna uderzył młotkiem. Rozległ się paskudny chrzęst miażdżonej kości i palec wskazujący Krystka zmienił się w krwawą miazgę. Krew rozprysła się po całym stoliku. Wrzask długo brzmiał w jego gardle, jakby miał się nigdy nie skończyć. Ból omal nie pozbawił Krystka przytomności. Dali mu dwie minuty, żeby doszedł do siebie, i kobieta znowu zerwała taśmę z jego ust. Długo jęczał i sapał. Wreszcie nagrywanie znowu ruszyło i padło identyczne jak wcześniej pytanie.

– Co się stało z Marią Cybulską?

Tym razem strach przed bólem okazał się silniejszy.

– Córnica Cybulskiego ukradła ważne dokumenty i gdzieś je ukryła. – Krystek mówił z trudem, pot perlił mu się na czole, niektóre ciężkie krople już ruszyły

w dół, na policzki.

– I co dalej?

Opowieść była rwana i niezbyt składna, jednak fakty można było łatwo poskładać.

– Maria była taką zbuntowaną nastolatką... kłóciła się ciągle z ojcem. Chciała, żeby był uczciwy, a on traktował ją jak niechciane dziecko. Ciągłe ją zamykał, nawet bił i czasem nie wypuszczał z domu. Na tamtej imprezie Ryszard po pijanemu powiedział Darskiemu, że córka prawdopodobnie ukradła mu jakieś dokumenty i oznajmiła, że jak ojciec nadal będzie bandytą, to da prasie. Potem Cybulski zasnął pijany. Krzysztof, to znaczy Darski, się wściekł. A on potrafi być porywczy.

Krystek spojrzął na dłoń ze zmasakrowanym palcem, pod którą gromadziła się coraz większa plama krwi, i zrobił przerażoną minę.

– Zróbcie coś! – krzyknął. – Wykrwawię się!

– Najpierw opowiadaj – rozkazała twardo.

– Darski poszedł wtedy do Marii i o czymś z nią rozmawiał. Chyba jej groził, ale ona się nie przestraszyła. Chciała uciec z domu, ale ludzie Darskiego ją złapali... Kurwa, nie wiem dokładnie, co się wtedy zdarzyło!

– Mów, co wiesz!

– Darski kazał zabić Marię... Zrobił to jakiś jego ochroniarz, nie pamiętam nazwiska...

– Mariusz Psikuta – dopowiedziała kobieta.

– Tak, tak! Zabił ją i gdzieś zakopał, a potem, żeby nie było świadków, Darski kazał zlikwidować i jego. Tylko że później się okazało, że nie ma tych dokumentów... nie pamiętam dokładnie. Ten głupek ochroniarz zakopał ją chyba z tymi papierami i nie było wiadomo gdzie. Darski długo szukał tej mogiły, ale nie znalazł.

– To on wysyłał żądania okupu?

– Tak, ale nic z tego nie wyszło. Cybulski w końcu się dowiedział, że człowiek Darskiego zabił Marię, za co Krzysztof wymierzył mu karę, ale to niczego nie zmieniło. Od lat trwa między nimi wojna. Moja ręka! Wykrwawię się!

Krystek wpadł w panikę i miotał się na krześle, aż wreszcie ból znowu go unieruchomił. Nagle żołądek podszedł mu do gardła i zwymiotował na siebie.

– Spójrz, jak się śmieć zafajdał – powiedział zamaskowany mężczyzna z nutą rozbawienia w głosie. – Dobrze, że mamy maseczki, bo taki smród, że sam bym rzygnął.

Kobieta nie skomentowała.

– Co było w tych dokumentach? – zapytała.

Krystek z trudem wrócił do przytomności. Drżał na całym ciele.

– Wszystko o tym, jak Cybulski doszedł do kasy... – wysapał. – Nawet teraz to by była bomba... tam były takie nazwiska, że...

Nie dokończył, bo znowu go zemdliło. Po brodzie pociekły wymiociny. Na kobiecie nie zrobiło to wielkiego wrażenia.

– Dlaczego Darski kazał zabić tę policjantkę i policyjnego psychologa? – zapytała zimno.

– Nie wiem. Naprawdę... – wycharczał.

Sięgnęła po taśmę, wtedy krzyknęła:

– Powiem! Kurwa, powiem!

– To mów, bo się wykrwawisz! – syknął mężczyzna z młotkiem.

– Darski jest chorobliwie podejrzliwy. Jak się dowiedział, że ktoś interesuje się znowu sprawą zaginięcia Marii, wpadł we wściekłość. Myślał, że to Cybulski znalazł wreszcie zwłoki córki i teraz go straszy i pewnie zechce wykończyć.

– Jak?

– Nie wiem wszystkiego! – Krystek był na granicy paniki. – Zaaranżowałem spotkanie Darskiego i Cybulskiego, chyba się dogadali, ale Darski kazał mi zlikwidować tych dwoje, bo za dużo wiedzą.

– Kto miał wykończyć policjantkę? Komisarz Żołnierz?

Krystek z przerażeniem zdał sobie nagle sprawę, że ma przed sobą Laure Wilk, niedoszłą ofiarę, i teraz naprawdę wpadł w panikę. Szarpał się, aż wreszcie ból znowu go pokonał. Z tą różnicą, że tym razem nie miał już czym wymiotować.

– Tak, to on! – krzyknęła piskliwie.

– Jak miał to zrobić?

– Obrona konieczna, wszystko było już nagrane, ale on to spierdolił!

W pomieszczeniu zapadła cisza przerywana jedynie ciężkim oddechem Krystka, jego przekleństwami i jękami. Komisarz Laura Wilk znowu się nad nim pochylała, próbując uchwycić jego spojrzenie.

– A teraz chcę od ciebie usłyszeć nazwiska – powiedziała stanowczo. – Kogo opłacasz w policji i w prokuraturze?

Krystek zbladł jeszcze bardziej, chociaż wydawało się, że gorzej już być nie może. Wyglądał jak czaszka na pirackiej banderze. Oczy ruszały się we wszystkie strony, jak u szaleńca.

– Tego nie powiem – jęknął. – Zabiją mnie za to. Nie, nic nie powiem!

Ostatnie zdanie zamieniło się w przeciągły pisk, kiedy policjantka ponownie zaklejała mu usta taśmą, potem przytrzymała dłoń. Uderzenie młotka strzaskało mu tym razem serdeczny palec. Ból był tak silny, że szczęki zerwały taśmę i rozległ się straszliwy wrzask Krystka. Znowu trwał i trwał, jakby miał się nigdy nie skończyć. Kiedy wreszcie wrócił do przytomności, spojrzał z przerażeniem na dwa strzaskane palce. Teraz już nie mógł zapanować nad dygotem, w jaki wpadło jego ciało. Nawet zęby klekotały mu zgodnie z dreszczami. Policjanci cierpliwie czekali, aż jego wzrok nabierze ostrości. Wtedy Wilczyca znowu kucnęła przy nim i zajrzała mu w oczy.

– Interesują mnie nazwiska – wycedziła przez zęby. – Masz jeszcze osiem palców.

– Osiemnaście, jeśli liczyć te u stóp – rzucił nonszalancko Góralski.

Laura znowu włączyła nagrywanie i Krystek zaczął mówić. W miarę jak mówił, twarz policjantki tężała, a Góral rzucił tylko:

– Kurwa mać!

Około trzeciej w nocy prokuratora Sobocińskiego obudził dzwonek telefonu. Po omacku sięgnął na nocny stolik, gdzie zawsze odkładał aparat, ponieważ służył mu jako zegarek i budzik. Spojrzał na wyświetlacz, a potem odebrał, trzeźwiejąc w jednej sekundzie.

– Laura?

– Obudziłam cię? Jak mi przykro... – Wcale nie brzmiała, jakby żałowała. – Mam dla ciebie prezent.

– Do rzeczy, jest trzecia w nocy – zniecierpliwił się.

– Naprawdę jest już tak późno? Zobacz, jak ten czas leci.

– Laura!

– Pamiętasz, jak dałeś mi wolną rękę w temacie zbierania ciekawych zeznań od niespodziewanych świadków? – zapytała niewinnie.

– Nie do końca tak było... – zaczął, ale przerwała mu bardzo stanowczo.

– Nie wycofuj się teraz!

– Dobrze.

– Zejdź na dół. – Jej głos nagle zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni, był twardy i zdecydowany. – Pod twoją bramą stoi czarne audi A8. W bagażniku jest świadek, a na siedzeniu kierowcy twój telefon z nagraniem zeznaniem. Na pewno cię zainteresuje.

– Poczekaj... – chciał coś powiedzieć, ale mu przerwała.

– Adam, pospiesz się, bo ci delikwent spieprzy – ponagliła. – I zadzwoń po pogotowie, facet miał wypadek. Przytrzasnął sobie palce drzwiami od garażu.

Połączenie zostało zerwane.

– Kurwa mać! – jęknął Sobociński, zrywając się z łóżka.

Dwie minuty później był na dole. Jak mówiła Wilczyca, przed jego bramą stało czarne audi z włączonymi światłami. Otworzył bagażnik i znowu z jego ust potoczył się ciąg brzydkich wyrazów. Facet w szlafroku był na granicy przytomności. Prawą dłoń miał zawiniętą w szmatę przesiąkniętą krwią. Drugą ręką ścisnął się za nadgarstek. Cały drżał, jakby miał wysoką gorączkę. Tak jak mówiła Laura, na siedzeniu pasażera znalazł aparat, który jej wcześniej dał. Włączył odtwarzanie i przewijał nagranie, słuchając co jakiś czas. Końcówki wysłuchiwał bardzo uważnie. Ciągle klnąc, wybrał numer, i bynajmniej nie było to sto dwanaście.

„I co teraz, Poszukiwaczu Zwłok?”

Deszcz wciąż szumiał, a Ariel Lesiecki stał w nocy na cmentarzu, jak złośliwy duch, i chciało mu się krzyżeć. Nikogo tu prócz niego nie było. Jeśli ten zwyrodnialec prowadził z nim przez chwilę perwersyjną rozgrywkę, to właśnie się skończyła. Stłumił ten bezduszny śmiech w głowie i zaczął myśleć rozsądnie. Po plecach pełzały mu lodowate pajęczyny nieprzyjemnych dreszczy. Może dlatego, że

zdążył przemoknąć do suchej nitki, a może z uwagi na okoliczności. Właściwie nie wiedział, czy jest mu gorąco czy zimno.

Odpowiedź na pytanie z kartki z grobu Romka Książyka była dość prosta. Skoro ktoś go tu zwabił, to znaczy, że wraca do tamtego zdarzenia sprzed wielu lat. Ariel pamiętał, jak go gonili przez park i jak skrył się w ruinach pałacu, a potem cały ciąg zdarzeń sprawił, że się zmienił. Sonia musi być w ruinach pałacu.

Wrócił do auta, wycofał, przejechał kilkaset metrów i zatrzymał przed wyrwą w murze na skraju drogi.

Ruszył przez ciemność, zarośla i chaszczce w kierunku ruin. Kiedyś były tu wydeptane ścieżki, lecz przyroda uporczywie się o nie upominała, aż wreszcie zniknęły w gąszczu. Szedł, nie zwracając na nic uwagi. Zapomniał, że część parku zawsze była podmokła, i teraz jego buty zachlupotały w wodzie i błocie. Jezu, zaraz to cholerne bagno go wciągnie i nigdzie nie dojdzie. Wycofał się i obszedł spory kawał parku skrajem wody. Trafił w końcu na ścieżkę. A więc jednak ktoś tam chodził. Nie była taka szeroka jak w dawnych czasach, ale była. Przeszedł przez łąkę i znalazł się na zrujnowanych schodach prowadzących do drzwi. Właściwie nie było już drzwi, tylko otwór po nich, zabity na glucho deskami. Ruina wyglądała o wiele gorzej, niż ją zapamiętał.

Szedł wzdłuż muru, aż wreszcie trafił na okno znajdujące się nisko przy ziemi, z którego ktoś oderwał płytę wiórową. Wślizgnął się do środka. W nozdrza uderzył go zapach wilgoci, zgnilizny i czegoś jeszcze. Podejrzewał, że ten zapach był zapowiedzią naturalnej śmierci starej zabytkowej budowli, która pewnie się zawali i ktoś uzna, że nie opłaca się już jej ratować. Zresztą pewnie takie decyzje już zostały podjęte, skoro nic tu się nie dzieje. Poświecił. Tylko gruz, śmieci, połuczone butelki, czyli najnowsza historia pałacu w najgorszym wydaniu.

Stał długo i zastanawiał się, gdzie ten sukinsyn mógł więzić Sonię. Jeśli nie chciał, żeby ktoś usłyszał jej krzyk, najlepszym miejscem była dostępna część piwnic. Jeżeli jeszcze jest dostępna. W dzieciństwie spędził w tych ruinach wiele godzin w samotności, czytając książki albo z nudów penetrując wszystkie zakamarki. Wtedy miał wrażenie, że umierający budynek go lubi i chętnie odsłania przed nim swoje tajemnice. Czy tak będzie i teraz?

Poszedł labiryntem pokoi i korytarzy w miejsce, gdzie kiedyś było wejście do piwnicy. Cały czas tam było. Odrzucił tylko kartony, którymi ktoś jej nakrył, i po kamiennych, obłuczonych schodach ruszył w dół. Tu śmierdziało jeszcze bardziej. Pleśń, grzyby, szczurze odchody i... śmierć. Prawie wyczuwalny fizycznie odór śmierci. Kiedyś było tu więcej pomieszczeń, teraz zostały tylko dwa.

W drugim znalazł Sonię.

Znieruchomiał i długo oświetlał ją promieniem latarki. Prawdopodobnie siedziała na krześle, chociaż nie było dokładnie widać, bo została przykryta grubym kocem z wyciętym otworem na głowę, wyglądającym jak ogromne ponczo. Głowę miała przechyloną w lewą stronę, twarz znikająca pod pozlepianymi w strąki włosami.

Lesiecki nie musiał do niej podchodzić, żeby stwierdzić, że dziewczyna nie żyje. Chciał jednak się upewnić. Podszedł, uniósł jej głowę i spojrzął w twarz. Wyglądała jak pośmiertny gipsowy odlew, blada i spokojna. Wzdrygnął się. Sprawdził puls na szyi i tak jak się spodziewał, nie wyczuł absolutnie nic. Spóźnił się o kilka godzin. Ciało wolno stygło i jeszcze nie było stężenia pośmiertnego mięśni.

Jak lunatyk odszedł od Soni, usiadł na kupie gruzu i wcisnął sobie pięść głęboko w gardło, żeby nie wrzeszczeć z rozpacz. Z oczu pociekły mu łzy. Czuł się winny, że ją wtedy zaczepił, że wpuścił ją do swojego życia, że z nią zamieszkał. Teraz ona zapłaciła za jego złe uczynki z przeszłości. Nawet pięść w gardle nie powstrzymała szlochu, który nagle eksplodował mu w piersiach, jakby wściekła, wstrzymywana wiele lat woda przerwała wreszcie tamę i runęła niepowstrzymaną kaskadą w dół. Sonia umarła przez niego. Nie te zwłoki miał znaleźć. Nie taki był plan. Nie tak to wszystko miało wyglądać.

„I co teraz, Poszukiwaczu Zwłok?”

No właśnie, co teraz?

Siedział w ciemnościach, płakał i myślał. Jezu, a więc tak to teraz wygląda? Nie wie, kim jest, siedzi, rozpacza i płacze. Został tylko ten złośliwy śmiech wewnątrz głowy. Ten trzeci. Nie, nie było żadnego trzeciego. Był tylko on, a reszta jest złudzeniem.

Tak zastał go świt.

Góralski obudził Laurę po jedenastej. Po nocnej wizycie u Krystka i odstawieniu go pod dom Sobocińskiego wrócili do niego. Laura wzięła prysznic i zasnęła na sofie pod kocem, jakby nagle odłączyli ją od prądu. Zdążyła jeszcze powiedzieć:

– Wiesz, Góral, ja cię nawet lubiłam, zanim nie okazało się, że pływasz w brudnej wodzie razem z Żołnierzem.

Góral nie odpowiedział i całą noc przy niej czuwał. To była jego pokuta za grzechy, wiedział, że musi to zrobić dla swojego sumienia. Dość niespodziewanie, kiedy już uświadomił sobie, że jednak jeszcze ma sumienie, ono przejęło nad nim kontrolę. Nawet nie próbował walczyć. Zdrzemnął się dopiero nad ranem.

Spojrzała na niego przytomnym, przekrwionym spojrzeniem.

– Chcesz kawę? – zapytał.

Przyjęła propozycję z radością i po chwili oboje siedzieli przy stole, w rękach trzymając kubki.

– Zjesz coś? – zaoferował.

Pokręciła przecząco głową. Żołądek miała zawiązany w supeł i pewnie niczego nie mogłaby tam wcisnąć prócz ciepłych, pobudzających płynów, takich jak kawa. Potem wypiła jeszcze jedną. Czowała spory dyskomfort. Co prawda wzięła prysznic, ale po wciśnięciu się w te same ciuchy nadal czuła się brudna i zbrukana. Nie odzywali się do siebie. Nawet nie zastanawiali się, co dalej. Bo po co? Co ma być, to będzie. Myśli Laury od czasu do czasu wędrowały w kierunku Maćka Lesieckiego. Gdzie on się w tym wszystkim zgubił? Czy jeszcze żyje? Wyrzucił telefon i nie mieli ze sobą kontaktu. Może jest już w domu?

Potem, uspokoiła się. Przecież co miało być, już było.

– Odwieszysz mnie do domu? – Spojrzała na Górala pytająco.

– To bezpieczne? – zaniepokoił się.

– Mam to w dupie.

– Okej.

Odwiózł ją, wysiadła z samochodu bez słowa pożegnania, a on natychmiast odjechał. Dom wyglądał jak oaza spokoju. No, prawie. Na furtce były policyjne plomby. Zerwała je nerwowym ruchem i poszła ścieżką w kierunku wejścia. Drzwi nie były zamknięte na klucz, tylko zabezpieczone kolejnymi plombami, które zrywała z jeszcze większą niecierpliwością. Weszła do środka i przystanąła na progu. Cholerne sukinsyny. Przy przeszukaniu zrobili taki burdel, że aż się



zawahała, czy chce tu wrócić. Powybebeszane szafy, szuflady, ciuchy i bielizna walające się po podłodze, do tego książki, płyty, pościel. Weszła, ale niczego nie uprzątnęła. Znalazła tylko świeżą bieliznę, ubrania, znowu poszła do łazienki i długo stała pod prysznicem. Kiedy wyszła, po prostu opadła na fotel. Teraz przynajmniej czuła się czysta, lecz wciąż nie do końca.

Pół godziny później odezwała się stara nokia, którą dostała od szwagra. Odebrała od razu.

– Tak?

– Adam z tej strony.

– Jaki Adam? – Imię prokuratora jeszcze na stałe nie utrwaliło się w jej pamięci.

To był jej mały feler.

– Sobociński. Gdzie jesteś?

– A co cię to obchodzi? – warknęła w odpowiedzi, zupełnie niepotrzebnie.

– Nieważne – wycofał się. – Jak masz taką możliwość, to włącz wiadomości w telewizji. Zadzwonię później.

Z trudem odszukała w bałaganie pilota od telewizora i włączyła stację nadającą informacje przez całą dobę. Musiało wydarzyć się coś naprawdę istotnego, skoro program był podporządkowany jednemu tematowi. Zdjęcia willi Cybulskiego, obrazy stojących przed nią radiowozów, karetka pogotowia, funkcjonariusz w czerni kręcący się po podwórku, potem zdjęcie Cybulskiego z ław sejmowych, przy samochodzie i ciągle to samo na okrągło. Pewnie nie mieli jeszcze przygotowanych innych materiałów. Podekscytowany reporter mówił w tle:

– „Przypominamy główną wiadomość z dzisiejszego poranka. W willi pod Świdnicą znaleziono zwłoki prominentnego działacza partyjnego, posła na sejm obecnej kadencji oraz wiceministra sprawiedliwości, Ryszarda Cybulskiego. Z tego, co zdołaliśmy się dowiedzieć, willa należy do niego, przebywał w niej od kilku dni, opuszczając ostatnie posiedzenia sejmku oraz nie pojawiając się na posiedzeniach rządu. Z oświadczenia rzecznika rządu wynika, że minister Cybulski był na zwolnieniu lekarskim i miał wrócić do Warszawy w następny poniedziałek. Ciągłe jeszcze nie jest jasne, co się wydarzyło, jednak nieoficjalne źródła donoszą, że Cybulski popełnił samobójstwo. Ochrona miała znaleźć go przed godziną ósmą, wiszącego na belce stropowej na poddaszu. Na razie policja nie udziela żadnych informacji na ten temat. Na miejscu pojawili się już funkcjonariusze ABW oraz BOR-u. Nie wiadomo, czy w sprawę zamieszane są osoby trzecie, nie są znane powody, które mogły stać za decyzją o targnięciu się wiceministra na własne życie. Wydawać by się mogło, że kariera polityczna Ryszarda Cybulskiego w ostatnim czasie zaczęła nabierać rozpędu. Tym bardziej kwestia jego nagłej śmierci budzi wiele pytań i spekulacji. W świetle tej tragedii przywołana została sprawa porwania córki ministra, która nigdy nie została rozwiązana. Na razie nie ma podstaw, żeby łączyć obie sprawy, poczekajmy jednak na oficjalne informacje z prokuratury”.

Obraz wrócił do studia, gdzie dziennikarz prowadził program na żywo, obrazy za jego plecami nieustannie się zmieniały. Teraz widać było czarne audi z przy-

ciemnionymi szybami leżące w rowie przy lesie. Widok z różnych ujęć przedstawiał policyjne taśmy, policjantów, osoby po cywilnemu i karetkę pogotowia.

Prowadzący program rozpoczął komentarz:

– „Proszę państwa, Świdnica od rana jest centrum niepokojących zdarzeń. Przypomnijmy, że w okolicach wsi Pogorzała w powiecie świdnickim, w samochodzie rozbitym w rowie znaleziono zwłoki znanego tutejszego biznesmena i filantropa, Krzysztofa Darskiego. Policja milczy również w tej sprawie. Z tego, co udało nam się dowiedzieć od świadków, którzy jako pierwsi znaleźli rozbite auta, w środku znajdują się zwłoki trzech osób. Kierowca i pasażer byli prawdopodobnie ochroniarzami Krzysztofa Darskiego. On sam znajdował się na tylnym siedzeniu. Ze słów świadka wynika, że wszyscy zginęli od strzałów w głowę, wewnątrz samochodu znajduje się mnóstwo krwi. Zostańcie państwo z nami, za chwilę najnowsze fakty”.

Bloczek reklam past do zębów i proszków pasował po tych sensacyjnych doniesieniach jak wół do karety. Laura wyłączyła telewizor i wpatrywała się w wygasły ekran martwym wzrokiem.

– Kurwa mać, wykończyli ich – szepnęła do siebie i nagle jej ciałem wstrząsnął niepohamowany śmiech. – Odstrzelili ich, nie wierzę...

To nie był radosny śmiech, raczej nerwowa i niekontrolowana reakcja na długotrwały silny stres. Odszedł tak szybko, jak przyszedł. Kwadrans później znowu zatelefonował do niej Sobociński.

– Laura?

– No ja, kurwa, czego jeszcze chcesz?

Zawahał się na moment, lecz nie zrezygnował z tego, co zamierzał jej powiedzieć.

– Wiesz, że inspektora Frąszyka nie było na liście Krystka? – zapytał.

„Lista Krystka”. Szybko nadali sprawie ładną nazwę. Były już w przeszłości takie nośne hasła. „Lista Macierewicza”, „szafa Lesiaka”, „szafa Kiszczaka”, pewnie były jeszcze inne półki, sejfy czy magazyny, o których Laura teraz nie pamiętała albo nikt się o nich nigdy nie dowiedział. I bez wątplenia ta sprawa też skończy się niczym, jak tamte poprzednie. To znaczy: kto miał informacje, pewnie rozegra temat pod stołem, eliminując przeciwników politycznych tak, żeby do opinii publicznej dotarło jak najmniej albo najlepiej nic. Lista Krystka – sama nazwa sugerowała, że tak właśnie będzie.

– Pamiętam – rzuciła krótko.

– Jesteś już bezpieczna, wracasz do pracy. Zatrzymano dwóch policjantów, którzy byli wtedy z Żołnierzem u ciebie w domu. Komisarz Żołnierz jest oficjalnie poszukiwany w związku z podejrzeniem o próbę zabójstwa policjanta. Frąszyk chce, żebyś to ty na niego zapolowała. Góralski nie zostanie na razie zatrzymany. Jest tylko zawieszony.

– Nie – zaprotestowała.

– Co: nie?

– Jeśli mam szukać Żołnierza, to tylko z Góralskim.

Sobociński wahał się tylko przez moment.

- To się da załatwić, Góralski poczeka na swoją kolej – powiedział.
- Dobrze.
- Jest tylko jeden warunek: musisz z kimś porozmawiać.
- Z kim? – Uniosła brwi.
- Odwiedzi cię za kilka minut.
- A jeśli nie chcę z nikim rozmawiać?
- Obawiam się, że trochę nie masz wyjścia.

Sobociński się rozłączył. Laura siedziała długo, wpatrując się w aparat. Szambo się rozlało szeroką falą i najwidoczniej ona też jest mocno ufajdana. Prawie czuła wokół siebie smród. Węzeł na żołądku zacisnął się jeszcze bardziej. Jednego była pewna. Porozmawia z samym Szatanem, żeby tylko mieć możliwość znalezienia Żołnierza, spojrzenia mu w oczy i założenia srebrnych bransoletek na nadgarstki. Marzyła o tej chwili, odkąd uciekła po ostrzeżeniu Górala.

Dzwonek do drzwi jej nie zaskoczył. Poszła otworzyć. Spojrzała w twarz ciemnookiego mężczyzny w wieku około trzydziestu lat. Miał nawet sympatyczną twarz, tylko jego sztuczny uśmiech niewspółgrający z wyrazem oczu na kilometr śmierdział jakimiś państwowymi służbami. Gdyby w tej chwili był z nią Góralski, od razu by poznał bezimiennego funkcjonariusza, z którym ostatnio rozmawiał w samochodzie pod komendą na Podwalu. Wilczycy facet kojarzył się zupełnie z nikim.

- Mogę wejść? – zapytał mężczyzna, nie przedstawiając się.
- Proszę. – Odwróciła się na pięcie i poszła do salonu.

Usiadła w fotelu i poczekała, aż gość oswoi się z widokiem totalnej rozpiarduchy, jaka pozostała po wizycie policji. Wszedł ostrożnie, starając się na nic nie nadepnąć, i przysiadł na sofie.

– Przepraszam, dawno nie sprzątałam – rzuciła. – Ostatnio nie mam do tego głowy.

Przez jego twarz przeleciał uśmieszek.

- Nie przeszkadza mi. – Wzruszył ramionami.
- O czym będziemy rozmawiać?

Mężczyzna zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– O dokumentach, które kiedyś zaginęły z domu Ryszarda Cybulskiego wraz z jego córką – powiedział, obserwując jej reakcję.

Nie drgnął jej nawet jeden mięsień na twarzy.

- Co w nich jest, że nagle wszyscy ich szukają? – zapytała.

– Powiedzmy, że ich ujawnienie zagrażałoby bezpieczeństwu państwa – wycedził przez zęby. – Pani Lauro, pani wygląda na rozsądną kobietę. Proszę mi powiedzieć szczerze, czy coś pani wie na ten temat?

– Wiem tylko, co powiedział Krystek podczas... – zawahała się – ...przesłuchania. Że zaginęły.

– Pani przyjaciel Maciej Lesiecki dostał zlecenie na odnalezienie ciała Marii Cybulskiej. Nie myślę się, prawda?

– Dużo wiecie. Nie myli się pan, ale uprzedzając kolejne pytania, nie zdążył się tym zająć, ponieważ ktoś zareagował bardzo nerwowo i próbował nas zabić.

– Więc on też nic nie wie o tych dokumentach? – upewnił się gość.

– Podejrzewam, że on nawet o nich nie słyszał – odparła.

– To dobrze, brak informacji to w tym przypadku dobra informacja. Zapytam go o to osobiście, lecz na razie nie możemy go zlokalizować.

Na wspomnienie Macieja Laura znowu poczuła niepokój. Gdzie on jest, do jasnej cholery?

– Znowu uprzedzając pytanie, nie wiem, gdzie może być – oznajmiła. – Podczas ucieczki straciliśmy ze sobą kontakt, pewnie gdzieś się zaszył, żeby przecze-kać. On nie jest policjantem, nie jest przyzwyczajony do takich sytuacji. To tylko psycholog współpracujący czasem z policją.

– Doskonale to rozumiem. Czyli według pani nie znalazł ciała Marii Cybulskiej?

– Nie miał szans, nawet się dobrze tą sprawą nie zajął.

– To bardzo dobrze. Czasem w życiu jest tak, że nie warto grzebać w ziemi, ponieważ można znaleźć groźny niewypał.

Kilka sekund milczenia przerwała Laura.

– Odstrzeliliście ich, prawda? – zapytała. – Darskiego i Cybulskiego.

Skrzywił się, jakby kazała mu wypić szklankę soku z cytryny, nie okraszając tego wyczynu Orderem Uśmiechu.

– To jest wyłącznie pani opinia.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, czyli miała rację.

– Jakie nazwiska pojawiają się w tych dokumentach, skoro nawet po tylu latach warto było dla zachowania tajemnicy poświęcić wiceministra i znanego milionera?

– Po co pani ta wiedza?

– Fakt, w sumie głównie mnie to interesuje. – Wilczyca wzruszyła ramionami. – Jednak jestem policjantką i czasem wkładam nos tam, gdzie nie trzeba. Z czystej ciekawości.

Pokiwał głową i tym razem uśmiechnął się naprawdę szczerze.

– Ci dwaj szanowani obywatele to byli przestępcy, którym udało się na długie lata ukryć wśród porządnych obywateli – zaczął. – Rozpracowywaliśmy ich od lat. Prędzej czy później stanęliby przed sądem. Akcja z poszukiwaniem zwłok Marii okazała się dla nas szansą, żeby śledztwo zakończyć szybko, skutecznie i bez... jak by to powiedzieć... niepotrzebnych negatywnych skutków. Rozumie pani, o czym mówię.

– Na górze musi panować równowaga – stwierdziła.

– Świetnie to pani ujęła. – Pokiwał głową. – Wie pani, raz rządzą ci z lewa, potem ci z prawa i tak to się plecie przez lata. A ktoś przecież musi czuwać, żeby głupie pomysły z obu stron nie zdestabilizowały państwa jako całości. To jest bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie. Polityka to są brudy, które trudno później z siebie zmyć. Dlatego lepiej trzymać się od nich z daleka, ale cały czas trzeba mieć rękę na pulsie. Czasem zdarzają się takie niespodzianki jak te zaginione dokumenty. Wie pani, że jeszcze niedawno nie wiedzieliśmy o ich istnieniu?

Pewnie w przyszłości czeka na nas dużo takich zagrożeń, dlatego musimy być czujni.

– Uprzedzając pana pytanie – powiedziała znowu Laura. – Nie wiem, kto zlecił te poszukiwania Maciejowi. Jakaś kobieta z Wielkiej Brytanii. On pewnie będzie w stanie powiedzieć o niej więcej.

– Dobrze mi się z panią rozmawia. – Znowu uśmiechnął się szczerze. – Gdyby pani chciała kiedyś zmienić pracę...

Tym razem to ona parsknęła śmiechem.

– Nie – ucięła. – Wolę być policjantką. Lubię czyste sytuacje. Gdzie jest wina, musi być i kara, ale transparentna, po jawnym procesie sądowym.

– Przyznam się pani do czegoś. Też bym tak chciał. Czasem jednak zachowanie czegoś w tajemnicy znacznie ogranicza straty.

– A co z nazwiskami z listy Krystka? – zapytała.

– Proszę się nie martwić. Tu będzie pełna jawność, skandale szeroko opisywane w mediach, głośne procesy sądowe i wieloletnie wyroki. To, co pani lubi.

– Chyba że ktoś przed czasem umrze na zawał albo powiesi się podczas snu w areszcie – zakpiła.

– Nie można z góry niczego wykluczyć – przyznał. – Życie jest nieprzewidywalne. Nasz wspólny znajomy, mecenas Mateusz Krystek, odkrył w sobie talent do śpiewania. Śpiewa teraz, jakby występował jako solista na scenie opery. Dowodów, żeby wsadzić wszystkich z listy do pierdła, nie zabraknie. A co najważniejsze, jest taka wola polityczna wszystkich zainteresowanych stron.

– Krystkowi zostało jeszcze osiem palców – zauważyła.

Roześmiał się głośno.

– Słyszałem, że miał wypadek z drzwiami do garażu – przyznał. – Wie pani, że najwięcej wypadków zdarza się w domu?

– Nie wątpię.

Funkcjonariusz spojrzał teatralnie na zegarek.

– Miło nam się gawędzi, ale, pani wybaczy, obowiązki przede wszystkim. – Wstał i jakby czekał na reakcję Wilczycy.

Laura nawet nie drgnęła.

– Do zobaczenia – powiedziała.

– Raczej nie. – Pokręcił głową. – Wierzę pani. Chyba nawet odpuszczę sobie spotkanie z panem Lesieckim. Nie ma co drążyć niepotrzebnie tematu.

Poszedł do drzwi, ale na progu jeszcze się zatrzymał.

– Ręczy pani za niego? – rzucił.

Nie wahała się ani przez moment.

– Tak.

– Bardzo dobrze.

Drzwi zamknęły się z delikatnym kliknięciem zamka.

## 9

— *A*re you OK? You look ill.  
— *I'm just tired.*

Kierowca zerknął na Ariela Lesieckiego ostatni raz, a potem skupił się na prowadzeniu auta. Ariel był mu wdzięczny za to, że nie jest zbyt rozmowny i nie przeszkadza mu w śledzeniu myśli przewalających się przez jego głowę, podobnych do ciągu opadających zielonych cyferek w filmie *Matrix*. Tak przynajmniej on to w tej chwili widział.

Nie zawiadomił nikogo o śmierci Soni. Siedział tam przemoknięty i zmarznięty do rana, potem wreszcie się jakoś pozbierał, otarł łzy i wrócił do auta. Pewnie nikt nie zwrócił nawet uwagi, gdy odjeżdżał spod muru okalającego park i ruiny. Niedługo potem był w domu. Nawet się nie zastanawiał, tylko zaparkował zdobyczną toyotę zaraz obok swojego auta i powlekł się na górę. Dobrze, że w tym zamieszaniu nie zgubił kluczy od mieszkania. Wziął prysznic, przebrał się w suche ubrania, a potem wypił kilka łyków whisky prosto z butelki. Na początku go zemdlilo, opanował jednak odruch wymiotny i alkohol zaczął działać rozgrzewająco. Nie mógł jeść, mimo że próbował wcisnąć w siebie kanapkę z serem.

Ale musi komuś powiedzieć o Soni. Przecież nie może tego ukryć. Musi się skontaktować z Laurą i opowiedzieć jej, co się z nim działo. Opowiedzieć jej o tajemniczym mordercy, który najwyraźniej chciał się na nim zemścić. Za Romka? Jezu, dopiero przyszła mu do głowy taka myśl. Zanim jednak zdążył cokolwiek przedsięwziąć, ktoś zapukał do drzwi.

Najpierw się przestraszył, że po niego przyszli. Rzucił okiem przez judasza i poznał tego faceta, choć widział go raz w życiu. Iga Marek powiedziała, że ma na imię Simon. Tylko tyle.

Simon popatrzył na niego smutno i zapytał:

— *Are you ready?*

— *One moment, please.*

Po chwili jechał już na tylnym siedzeniu nowego mercedesa klasy S i nie bardzo obchodziło go, dokąd ten facet go wywozi. Przymknął oczy i tak trwał niepokojony deszczem myśli rodem z *Matrixa*. Simon odezwał się tylko raz.

Chyba nawet się zdrzemnął na kilka minut. Jego myśli zaczęły krążyć wokoło Marii Cybulskiej. Iga Marek przedstawiła się jako jej zatroskana kuzynka. Był tylko jeden problem, Maria nie miała kuzynki, przecież to sprawdził. Nagle zro-

zumiał i zaczął się śmiać w duchu, chociaż chyba nie było z czego. Został oszukany już na samym początku.

Otworzył oczy, kiedy się zatrzymali. Simon wysiadł, rozejrzał się uważnie wokoło i spokojnym ruchem zapalił papierosa. Ariel czekał, aż wyrzuci niedopałek. Kiedy tak się wreszcie stało, Simon dał mu znak, żeby wysiadł. Wtedy się rozejrzał i od razu poznał to miejsce. Zajazd przy drodze numer 94 między Kawicami a Prochowicami. Duży parking, restauracja z hotelem i jeszcze kilka pokoi z osobnymi wejściami w mniejszym budynku przylegającym do głównego.

Simon zaprowadził go właśnie tam. Zapukał, a potem przepuścił Ariela, sam zostając na zewnątrz. W małym pokoju przy stole siedziała Iga Marek i patrzyła na niego smutno.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie przypuszczałam, że to się tak potoczy.

Lesiecki ciężko zwałił się na krzesło po drugiej stronie stołu. Zmusił odrętwiałe mięśnie twarzy do uśmiechu.

– Nie wykonałem twojego zlecenia – odezwał się. – Znalazłem Marię Cybulską żywą, nie martwą.

– Przepraszam – powtórzyła smutno.

– Co się wtedy stało?

Należały mu się te wyjaśnienia i Iga Marek tym razem nie zamierzała niczego ukrywać.

– Od kiedy tylko pamiętam, nie dogadywałam się z ojcem – zaczęła. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jego interesy tak wyglądają. Myślałam, że on jest biznesmenem, a on był zwyczajnym przestępcą i przewodził w Świdnicy czemuś na kształt mafii. Czasem woził mnie ochroniarz Darskiego, Mariusz. Nie był za mocno ogarnięty, ale go lubiłam. I to on mnie uświadomił. Opowiadał o wszystkim. Pewnie myślał, że jestem wtajemniczona. Próbowалам walczyć z ojcem, ale on zawsze traktował mnie jak gówniarę. Aż ukradłam mu te dokumenty z najtajniejszego sejfu. Powiedziałam, że je ujawnię, ale on znowu mnie zlekceważył. Za to dowiedział się Darski. Tamtej nocy był u mnie w pokoju i zagroził, że jeśli nie oddam mu tych papierów, źle się to dla mnie skończy. Ojciec był pijany i nie mógł mi pomóc. Schowałam papiery pod podszewkę wiosennej kurtki i próbowałam uciec z domu. Niestety ochroniarze Darskiego złapali mnie przy bramie. Okłamałam go. Powiedziałam, że wszystko mam w pokoju, nie spodziewałam się, że on każe mnie zabić.

Zamilkła na moment i patrzyła gdzieś w nieskończoną przestrzeń nad głową Ariela, jakby na chwilę wróciła duchem i ciałem do tamtej chwili sprzed lat.

– Byłam taka przestraszona, że nie pamiętam dokładnie całego przebiegu zdarzeń. Darski kazał mnie zabić Mariuszowi. Nie wiedział, że on mnie trochę lubi. Ten wziął mnie do lasu na taką odległość od zabudowań, żeby nie było słychać strzału. Nic nie mówił, kazał mi nieść szpadel. Posikałam się ze strachu, myślałam, że koniec ze mną. Kiedy byliśmy na miejscu, błagałam, żeby mnie puścił. Powiedziałam, że ukradłam ojcu pieniądze. Dużo pieniędzy. Że za tę kasę uciekniemy razem za granicę i zaczniemy wszystko od nowa. To była częściowa prawda. Ukradłam pieniądze, ale nie aż tyle. Dał się przekonać. Strzelił w powie-

trze, ustaliliśmy, gdzie i kiedy się spotkamy, a ja uciekłam. Ale zaraz wróciłam i śledziłam go prawie do willi ojca. Tam widziałam, jak podeszło do niego dwóch kolegów, zamienili dwa słowa, a potem jeden z nich strzelił mu w skroń. Pamiętam długi tłumik i odgłos, jakby strzelił korkiem od szampana w sylwestra. Wtedy naprawdę się przeraziłam i uciekłam.

– Darski kazał go zabić, żeby nie było świadków – domyślił się Lesiecki.

– Tak, tylko on wiedział, co Mariusz miał zrobić. Dlatego kazał go zlikwidować. Bał się mojego ojca. Ale się przeliczył. W moim pokoju nie było dokumentów, były ze mną. Uciekłam za granicę i dzięki Simonowi zaczęłam nowe życie. Potem długo nie interesowała mnie wojna ojca z Darskim. Cieszyłam się, że tu w kraju jestem martwa.

– Ale coś się zmieniło?

– Tak, nie mogłam dłużej udawać. W końcu i mnie dopadła nienawiść i pragnienie zemsty, kiedy dowiedziałam się, że ojciec dostał się do polskiego rządu. Tego było już za wiele. Postanowiłam go zniszczyć. Wynajęłam ciebie, trochę na wabia. Przepraszam, że cię wykorzystałam. Myślałam, że ojciec się zaniepokoi, kiedy zaczniesz szukać moich zwłok. Byłam na niego wściekła, że o mnie zapomniał, jakbym w ogóle nie istniała. Potem chciałam wysłać kopie tych dokumentów do kilku największych redakcji w Polsce. I poczekać, co się wydarzy. Popełniłam błąd, myślałam, że ta sprawa już przyschła przez te lata. Nie przypuszczałam nawet, że Darski zareaguje tak nerwowo i będzie chciał cię zabić. Simon cię cały czas chronił, ale niewiele mógł zrobić. Zneutralizował pościg za tobą, tam w górach, potem uszkodził auto temu policjantowi przy hostelu, ale walczyć o życie musiałeś sam. Jeszcze raz przepraszam. Teraz, kiedy obaj nie żyją, to już nie ma żadnego znaczenia.

Ariel Lesiecki drgnął jak dźgnięty nożem pod żebra.

– Kto nie żyje? – zapytał szybko.

– Jeszcze nic nie wiesz? – Maria Cybulska vel Iga Marek znowu spojrzała na niego smutno. – Mój ojciec dziś rano popełnił samobójstwo, a Krzysztofa znaleziono z przestrzeloną głową. Oficjalnie zginął w porachunkach grup przestępczych, ale Simon ma na ten temat inne zdanie. Wiele lat pracował w wywiadzie i twierdzi, że obaj zostali po prostu zlikwidowani przez służby. Prawdopodobnie dokumenty, które wtedy ukradłam, wciąż mają wielką siłę rażenia i stanowią dla wielu osób poważne zagrożenie. Może teraz nawet większe niż przed laty. Muszą tam być nazwiska ludzi z samej góry władzy.

Ariel milczał. Zastanawiał się, co teraz czuje do Marii, ale ku swojemu zdziwieniu nie był na nią zły. Tyle się stało wokoło tego zlecenia, że teraz nie potrafił zdefiniować swoich uczuć. Jak zwykle los ze wszystkich zakpił, szczególnie z niego. Nazywali go Poszukiwaczem Zwłok, a on zamiast Marii Cybulskiej znalazł zwłoki Soni w piwnicy pałacu. Tylko to się w tej chwili dla niego liczyło.

– I co teraz? – zapytał cicho.

– Zleciłam sprzedaż swoich udziałów w firmach na wyspach. Uciekałam całe życie, więc dalej będę uciekać. Pewnie wyjedziemy z Simonem gdzieś na drugi koniec świata, byleby z dala od Europy.



Po chwili ciężkiej ciszy dodała:

– Zapłaciłam ci resztę pieniędzy z premią za, powiedzmy... kłopoty. Ja wyjeżdżam, więc wyślę ci też to, co ukradłam ojcu. Nie teraz. Kurier przywiezie ci przesyłkę, jak to się wszystko uspokoi.

– Nie chcę. – Pokręcił głową.

– Zrobisz, co chcesz, ja ich nie potrzebuję.

Kilka minut później Simon wiózł go do Wrocławia. Ariel podał mu adres Laury Wilk. Kiedy mu otworzyła drzwi, na jej twarzy najpierw pojawiła się wielka ulga, potem uśmiech, który jednak zaraz zgasł, kiedy powiedział:

– Sonia nie żyje.

– Trzymasz się jakoś? – zapytała Laura, przyglądając się z troską bladej twarzy Macieja.

– Jakoś – odpowiedział cicho.

Stali na schodach przed wejściem do budynku komendy wojewódzkiej na Podwalu. Znowu była noc, znowu padał deszcz i rozmywał kontury świata. Na ulicy czekał już radiowóz, który miał odwieźć Lesieckiego do domu. Ostatnie godziny były dla niego koszmarem. Ponowna wizyta w piwnicy, ostatni rzut oka na ciało Soni, kiedy policyjna ekipa pakowała ją w czarny worek, żeby odwieźć na sekcję zwłok. Już po pierwszych oględzinach patomorfolog wstępnie wskazał na otrucie jako przyczynę zgonu. Po badaniach toksykologicznych miało się okazać, czy miał rację i ewentualnie czym została otruta.

Potem było długie przesłuchanie, podczas którego Ariel ze szczegółami opowiadał, co robił od chwili, kiedy rozłączyli się z Laurą w hostelu. Przekazał policyjnym technikom plik banknotów w kopercie i kartki pisane przez mordercę. Cała machina policyjna została puszczona w ruch. Laura długo przyglądała się przesłuchaniu przez szybę. Frąszyk uznał, że to jednak nie ona powinna przesłuchiwać Lesieckiego. Najpierw była zła, potem przyznała mu rację. Była emocjonalnie zaangażowana i na pewno po tym, co się stało, nie mogłaby być obiektywna. Przesłuchanie trwało długie godziny, aż nad światem znowu zawisły deszczowe chmury, zapadł zmrok i niebiosa zapłakały rzęsiami. Było sporo luk w tym, co mówił Maciej, ale przesłuchujący go śledczy nie dopatryli się niczego, co mogłoby budzić wątpliwości. W końcu został więc zwolniony z pouczeniem, że nie może opuszczać miasta i ma stawić się następnego dnia na kolejne przesłuchanie. Tym razem miało dotyczyć przeszłości Macieja w miejscowości Wątlica. Pierwszą hipotezą było zabójstwo z zemsty. Ktoś chciał się na Lesieckim zemścić i dokonał tego w straszny sposób.

Lesiecki długo opowiadał o nowych meblach w kuchni, które wymarzyła sobie Sonia, stolarzu, zaliczce. Analogie ze sprawą Poltergeista były tak duże, że cały wydział zabójstw został postawiony na nogi. Tylko że nikt nie potrafił rozsądnie wytłumaczyć, co Lesiecki miał wspólnego z seryjnym mordercą, który wciąż pozostawał nieuchwytny. Jednak to mógł być kolejny przełom w śledztwie. Jeśli pogrzebią w przeszłości Macieja, mogą znaleźć tam Poltergeista.

Przesłuchanie trwałoby jeszcze długo, ale Laura wymusiła przerwę do następnego dnia. Po pierwsze, Lesiecki po ostatnich zdarzeniach był już nieprzytomny ze zmęczenia i w niektórych momentach powtarzał się albo po prostu myliły mu się fakty, o których wcześniej opowiadał bez zająknięcia. Po drugie, byli w trakcie obławy na Piotra Żołnierza i wspólnie z inspektorem Frąszykiem zdecydowali, że muszą zrobić kilka godzin przerwy, żeby strząsnąć z siebie emocje i złapać właściwą perspektywę.

Twarz Lesieckiego też wyglądała już prawie jak maska pośmiertna. Laura chciała go objąć, pocieszyć, ale zrobiła tylko jakiś niezdarny gest, który nic nie znaczył. Popatrzyli sobie w oczy i Maciej wybiegł do auta. W spojrzeniu miał coś takiego, że Wilczyca zadrżała. Wyzierała z nich bezdenne rozpacz, beznadzieja, poczucie winy i śmiertelne zmęczenie. Zastanawiała się, czy nie pojechać za nim i nie zostać na noc, lecz zrezygnowała. Już nie było między nimi tak jak w ostatnich dniach. Czula dystans, odgradzającą ich barierę i na razie nie miała pomysłu, jak można by ją sforsować. Może czas coś na to poradzi.

Ariel Lesiecki jechał na tylnym siedzeniu radiowozu, próbując ogarnąć swój zdruzgotany świat, który dotąd chronił i dbał, żeby wszystko kontrolować. Teraz niczego nie kontrolował, nic nie działało, zostały zgliszcza, a na nich on. Wypadkowa dwóch skrajnych osobowości: Ariela i Macieja. Był psychologiem, wiedział, że to się dobrze dla niego nie skończy, i do końca nie był przekonany, czy kiedykolwiek uda mu się z tych skorup cokolwiek rozsądnego ułożyć. Przecież czekało go jeszcze wiele ciężkich chwil. Dalsze przesłuchania, potem pogrzeb i konfrontacja z matką Soni, rozmowa z własnym synem i wyjaśnienie mu, kim naprawdę jest, nie wspominając też o byłej żonie, która pewnie zbombarduje go telefonami z pretensjami, gdy wreszcie kupi sobie nowy telefon. Zawalił terminy w pracy, zwątpił w sens tego, co robił, dobrze, że chociaż będzie miał pieniądze, żeby ten okres jakoś przetrwać. I jeszcze ten przekłety złośliwy śmiech w głowie. Jakby jakaś jego mroczna strona dobrze się bawiła, obserwując zło, które wydarzało się wokoło jego osoby.

Wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi i nie zapalając światła, runął na łóżko. Myślał, że od razu zaśnie, lecz znowu coś poszło nie tak. Przeszkadzał mu ten śmiech.

## 10

Komisarz Laura Wilk wolno wracała korytarzem do siebie. Jej kroki odbijały się echem od ścian i gasły gdzieś w oddali. Zrobiło się cicho, miała przez chwilę wrażenie, że w całym gmachu została tylko ona, jak rozbitek dryfujący na środku oceanu na wycieczkowcu z tysiącem drzwi do pustych kajut. Wrażenie przysło natychmiast, gdy tylko zobaczyła komisarza Góralskiego przed drzwiami do swojego pokoju. Miał dziwną minę, gdy do niego podchodziła.

– Coś się stało? – zapytała, mając nadzieję, że przyszedł się z nią pożegnać i zaraz sobie pójdzie.

– Przeanalizowałem jeszcze raz raporty z patroli, kiedy wy przesłuchiwaście świadka.

Wilczyca jęknęła w duchu. Nie, nie miała już na to siły, musiała w końcu odpocząć.

– I co? – rzuciła niezbyt uprzejmie.

– Jeden z patroli widział przed świtem światło, w takiej opuszczonej hali fabrycznej przy nowej obwodnicy Leśnicy.

– Góral, streszczaj się, padam na twarz – jęknęła.

– Sprawdziłem ten budynek. Była tam kiedyś fabryka mebli. Należała do ojca Piotra Żołnierza.

Laurze w jednej chwili minęło całe zmęczenie. Szybko oceniła sytuację. Nikogo już nie ma, tylko oni, szef pewnie też pojechał do domu, informacja niepewna, ale do sprawdzenia.

– Myślisz o tym samym co ja? – zapytał ironicznie Góralski.

– Masz broń?

– Tak.

– To jedziemy.

Przez całą drogę jechali w deszczu. Grube krople rozbijały się o przednią szybę, zawężając pole widzenia, przez co poruszali się wolno, jakby płynęli przez ulice lśniące od wody w promieniach latarni. Im bardziej oddalali się od centrum, tym było bardziej pusto. Ostatnie samochody skręcały z ronda na lotnisko i dalej nie było już ani jednego auta. Laura sprawdziła służbową broń. Pełny magazynek, gotowa do użycia. Góralski zerkał w milczeniu na to, co robiła.

– Dziękuję ci – powiedział nagle.

– Za co? – Podniosła na niego wzrok.

– Wiem, że to ty się za mną wstawiłaś.

– I tak będziesz miał postępowanie.  
– Później, teraz jeszcze mogą działać.  
– Ale tylko do czasu, aż Żołnierz trafi za kraty – zastrzegła.  
– Mimo wszystko dziękuję.  
Zajeżdżali z wiaduktu aleją Kaczorowskiego.  
– Mówiłam ci już, że cię kiedyś uważałam za dobrego glinę? – zapytała.  
– Coś wspominałaś – odparł wymijająco.  
– Dlatego że jesteś dobrym gliną, masz szansę na odkupienie grzechów – kontynuowała. – Nie każdy powinien mieć drugą szansę, ale ty tak.

Nie skomentował i dalej jechali w milczeniu. Za kolejnym wiaduktem i skrzyżowaniem z Miodową nawigacja kazała im skręcić w lewo i zaraz znowu w prawo. Góral wyłączył światła i silnik auta, toczyli się jeszcze kilkadziesiąt metrów, aż stanęli na poboczu przy krzakach. Przed nimi w niewielkiej odległości widać było ciemny zarys dużego budynku.

– Nie wiedziałam, że ojciec Żołnierza był przedsiębiorcą – powiedziała cicho.  
– Ja też dopiero dziś o tym przeczytałem. Zbankrutował i niedługo później umarł.  
– Pech.

Jeszcze zanim tu dojechali, deszcz nagle przestał padać, a gdy równocześnie otworzyli drzwi auta, w chmurach otworzyła się szczelina i jasno zaświecił księżyc, zalewając mokry świat srebrną poświatą.

– Trochę upiornie to teraz wygląda – syknęła Wilczyca, niezadowolona z takiego obrotu sprawy.

– Ostrożnie – rzucił Góral.

Ruszyli obok siebie, trzymając w dłoniach broń i latarki. Szli, omijając kałuże. Księżyc szczęśliwie zaszedł za chmury, gdy dochodzili do nieistniejącej już bramy w ogrodzeniu. Po obu stronach placu przed halą piętrzyły się stosy zardzewiałego żelastwa. Weszli do środka przez wybite okno przy zardzewiałych i spiętych kłódką wrotach. Wewnątrz panowała cisza zmacona jedynie kapaniem wody, która wpadała przez dziury w dachu i chwilę zajmowała jej wędrówka przez szczeliny w stropie. Było na tyle ciemno, że musieli włączyć latarki. Góral poszedł w lewo, Laura w prawo.

Hala była pusta, nie było się gdzie ukryć, więc policjantka szybko dotarła do przeciwległej ściany. Zgasiła światło i ruszyła wzdłuż niej. Po chwili spotkała Górala, który postąpił tak samo jak ona, tylko w drugą stronę. Na migi pokazał jej schody na piętro. Poszła przodem, a on ją osłaniał. Góra wyglądała zupełnie inaczej, wszędzie wały się sterty śmieci, pewnie ze starych materiałów rozwleczonych wszędzie przez włóczęgów i wandali.

Znowu się rozdzielili. Laura dostrzegła przed sobą okna do jakichś pomieszczeń. Ruszyła ostrożnie w tamtą stronę, lecz nie udało jej się dotrzeć tam bezszeltnie. Ciągle potykała się o jakieś śmieci, które wydawały dźwięki rozchodzące się wokoło, jakby złośliwie przedłużając swoje drgania w powietrzu. Zaciskając szczęki i prawie wstrzymując oddech, dotarła wreszcie do uchylonych drzwi. Zajrzała ostrożnie do środka. W pomieszczeniu panowały egipskie ciemności

i musiała użyć latarki. Poczwała się nagle jak wtedy, kiedy wchodzili do zakładu stolarskiego, w którym ukrywał się Poltergeist. Ten sam niepokój i dreszcz jak na widok rozczłonkowanego ciała na ścianie. Gdyby teraz zobaczyła taki sam obraz, nie zdziwiłaby się. Mimo że przecież teraz nie polowała na seryjnego mordercę. Chociaż w pewnym sensie – tak.

Góralski gdzieś jej zniknął po drugiej stronie poddasza. Kiedyś musiała tu być część biurowa hali. Krótki korytarz i dwie pary drzwi po obu stronach. Cholera, zupełnie jak tam, wtedy. Znowu poczuła dreszcz. Zajrzała do jednego pomieszczenia. Pusto, śmieci, ściany pokryte graffiti, butelki po winie i wódce walające się pod ścianami. Drugie pomieszczenie. Tętno jej nagle przyspieszyło.

Pod ścianą stało łóżko, a na nim leżały skotłowane koce, jakby ktoś ich niedawno używał, obok stolik, na którym leżała paczka papierosów i stała niedopita butelka wódki. Druga była już pusta. Pociągnęła nosem. Tak, oprócz wilgoci i stęchlizny poczuła wyraźnie świeży smród papierosów. Ostrożnie się wycofała, poza część biurową, zgasiła latarkę i oparła się plecami o ścianę, starając się wyrównać oddech. Ktoś tu najwidoczniej pomieszkiwał. Wyglądało na to, że ulotnił się na chwilę przed ich przyjazdem. Może jakiś bezdomny? Nie.

Serce znowu zerwało się do galopu. Znała markę tych papierosów. Żołnierz takie palił. Była tego pewna. Wielokrotnie przecież patrzyła z przyganą, jak wyciąga paczkę z kieszeni i odpala kolejnego. Za dużo palił, a ona nie cierpiała fajek i palących facetów.

Gdzie, do cholery, był Góralski?

Usłyszała jakiś ruch, który momentalnie zmienił się w odgłos zbliżających się szybko kroków. Zanim zdążyła zareagować, ktoś na nią skoczył, zbił ją z nóg i przycisnął do mokrego, spękanego betonu podłogi. Poczwała mdły zapach męskiego potu, tytoniu i świeżo wypitej wódki. To był Piotr Żołnierz.

– Teraz cię, kurwo, zabiję – wyszeptał jej do ucha niczym jadowity wąż, plując drobkami śliny jak zabójczym jadem.

Upadając, upuściła pistolet, a latarka potoczyła się gdzieś w kąt. Gdzie jest Góralski? Nie miała jednak zamiaru się poddawać. Pomogły lata policyjnego treningu. Judo, boks, kick boxing.

Sprężyła się i wysunęła napastnikowi jak jaszczurka. To ona jest Wilczyca, to jej trzeba się bać. Już była na nogach i kontratakowała. Tylko że jej pięść chybiła o milimetry, Żołnierz zrobił dźwignię i poleciała do przodu, pchnięta własną siłą włożoną w ten cios. On też ćwiczył i był w tym naprawdę dobry, a przy tym dużo silniejszy. Wywinęła w powietrzu orła i poleciała na stertę plastikowych elementów. Rozległ się łoskot roztrącanych na boki materiałów, a ona poczuła ból w kilku miejscach, gdzie wbiły się jej w ciało.

Przetoczyła się w bok, wstała i zaatakowała kopnięciem w kolano. Żołnierz jęknął i noga się pod nim załamała. Ukląkł. Chciała go kopnąć w głowę, ale w ciemnościach źle wymierzyła, złapał ją za stopę i przekręcił. Ból wymusił zmianę położenia ciała i upadek. Upadła na plecy i wtedy usłyszała szybkie kroki. Strzelaj, Góral!, pomyślała. Nie ostrzegaj, tylko strzelaj!

– Stój, bo będę strzelał!

Nieeee!

Lufa pistoletu trzy razy plunęła ogniem w ciemnościach. Trzy razy huknęło i echo poniosło się po całym poddaszu. Potem słychać było tylko charkot, jakby komuś gwałtownie przerwano głęboki wdech, i rozległ się odgłos upadającego ciała. Tylko że to Żołnierz strzelał, a Góralski upadł.

Wilczyca zerwała się wściekła. Kopnięciem wytrąciła mu broń, a kolejne kopnięcie miało trafić Piotra w łysą czaszkę. I znowu sparował, zerwał się i zaatakował z taką furją, z jaką atakować może tylko ktoś ogarnięty szaleństwem. Pięść trafiła Laurę w ucho; odskoczyła, lecz zaraz dosięgła ją druga, tym razem w kość policzkową. Przed oczami błysnęły setki jasnych punktów, jakby ktoś włączył światelka na wielkiej choince. Rozpaczliwie próbowała odpełznąć od szalejącego Żołnierza, lecz jego but wylądował na jej boku raz, potem drugi i straciła oddech. Leżała, walcząc z własnymi płucami, a on pochylił się nad nią jak *Tyrannosaurus rex* nad ofiarą.

– Już. Nie. Żyjesz – powiedział dobitnie i uniósł pistolet, który nie wiadomo jak nagle znowu znalazł się w jego dłoniach.

I wtedy niespodziewanie odwiedził ich księżyc, a wraz z nim zjawił się ktoś jeszcze. Stał za filarem. Laura dostrzegła tylko ciemną, wysoką postać i w następnej chwili w tym miejscu lufa pistoletu zajarzyła się ogniem, wypływając z siebie rozpalone pociski. Raz, drugi, trzeci i jeszcze dwa, a po dwóch sekundach Żołnierz był już na kolanach i przewracał się na bok. Cudowne ocalenie, wysłannik z innej planety, sługa litościwej luno.

Wszystko umilkło i znieruchomiało. Żołnierz leżał obok niej martwy, krople deszczu ciągle kapały z dachu, ktoś jęczał nieopodal, postać za filarem zniknęła, jakby jej tam nigdy nie było. Rozpłynęła się w powietrzu jak widmo, a może złośliwy duch. Nieważne, najważniejsze, że ją ocalił. Zerwała się z podłogi i zaraz skuliła się z bólu. Coś w stopie kłuło przy każdym kroku, obolałe żebra nie pozwalały na głębszy oddech.

Dopadła Górala leżącego w czarnej kałuży krwi. Na jego ubraniu pojawiły się ciemne plamy. Wszystkie trzy kule utkwiły w piersi.

– Kurwa, dlaczego od razu nie strzeliłeś? – jęknęła z prawdziwą rozpaczą w głosie.

Znowu zrobiło się ciemno. Usłyszała, jak krople kolejnej fali deszczu rozbijają się z łoskotem o dach. Już po sekundzie do środka wpadały prawdziwe strugi, rozchlapując się w kałużach na podłodze. Laura wyciągnęła telefon, wybrała numer do dyżurnego i zarządziła alarm. Na hasło „ranny policjant” ruszyła każda pomoc. Tylko tu było cholernie daleko od centrum.

Chwyciła rannego za rękę i ścisnęła ją mocno.

– Będzie dobrze, Góralski, nie pozwalam ci umrzeć, rozumiesz?

– Chyba już za późno... – wyszeptał.

W jej serce wstąpiła nadzieja, nie było krwawych bąbli na ustach. Może płuca są nienaruszone. Jakimś cudem, ale przecież te pieprzone cuda się zdarzają. Tak jak przed chwilą ona cudem ocalała.

- Wilczyca nie pozwala ci umrzeć, słyszysz? Kurwa, nie zamykaj oczu! Patrz na mnie, Góral!
- Prawdziwa Wilczyca... – Uśmiechnął się słabo. – Przewodniczka... stada... W tej chwili komisarz Laura Wilk nagle sobie coś uświadomiła.
- Góral, jak ty masz właściwie na imię?
- Nie zrozumiała odpowiedzi.
- Jak? – Pochyliła się nad nim.
- Hubert...
- Całkiem ładnie.

Kawa, kawa i kawa. Ile można wypić kawy? Szczególnie takiej podłej z automatu na szpitalnym korytarzu? Kiedy ocknęła się z płytkiej drzemki na niewygodnym krześle przed blokiem operacyjnym szpitala imienia Marciniaka, poczuła narastającą mdłości. Pewnie można pić kawę do porzygania.

Pobiegła do toalety. Wymiotowała długo. Nawet nie wiedziała, że tyle w sobie nagromadziła. Kawę, żółć, stresy, strach, niepewność, złość, ból. I kiedy w końcu wytarła usta i splukała te wszystkie kwasy, naprawdę poczuła się lepiej. Nie dobrze, tylko lepiej.

Kiedy karetka zabrała Huberta Góralskiego do szpitala, Wilczyca nie czekała na nic, tylko pojechała za nimi, a potem mimo protestów pielęgniarek i sanitariuszy znalazła się tutaj. Przed wejściem na blok operacyjny.

Jeszcze w nocy kilka razy telefonował do niej inspektor Frąszyk. Nawet nie miał wielkich pretensji za tę samowolkę, jaką odwalili z Hubertem, przynajmniej na razie. Pytał o szczegóły. Nie mogła długo rozmawiać. Była, gdzie była, i musiała dostosować się do reguł tu panujących. Spokój i cisza, żeby nic nie przeszkadzało lekarzom w ratowaniu ludzkiego życia.

Mijały kolejne godziny, a operacja ciągle trwała. To był dobry znak, chociaż serce jej stawało za każdym razem, kiedy drzwi się otwierały i ktoś wychodził. Jedna z pielęgniarek, litując się pewnie nad nią, sama z siebie zdradziła, że operacja trwa, stan pacjenta jest ciężki, ale stabilny, co dobrze rokuje przynajmniej w krótkim okresie.

Koło ósmej znowu zatelefonował Frąszyk.

- Gdzie jesteś?
- Ciągle w szpitalu.
- Wysłałam po ciebie samochód – rzucił krótko.
- Co się stało?

Nie chciała tego usłyszeć, ale jego dwa słowa wybrzmiały bardzo wyraźnie.

- Poltergeist wrócił.

**CZEŚĆ PIĄTA**

# **PRAWDZIWIY POLTERGEIST**



# 1

**K**omisarz Laura Wilk przeżywała *déjà vu*. Powtórka koszmaru sprzed kilkunastu dni. Znowu ładnie świeciło słońce, robiło się coraz cieplej, po deszczu maj bujnie rozkwitał wiosną, a ona jechała pełną drogą pomiędzy łąkami na skraj lasu i z daleka widziała policyjne radiowozy, parawan zakrywający widok na zwłoki, policyjne taśmy i techników w kosmicznych kombinezonach.

Tym razem było jednak inaczej. Nie było już Żołnierza, nie było Górala, była sama i miała tylko kilka godzin, zanim zostanie zawieszona do czasu wyjaśnienia zajścia w starej fabrycznej hali, śmierci poszukiwanego policjanta i postrzelenia drugiego. Tym bardziej że policjant zginął z rąk osoby trzeciej i Laura nie potrafiła powiedzieć, kim ona była. Zjawiła się i zniknęła, jak złośliwy duch. Poltergeist. Poczwała mrowienie niepokoju na całym ciele. Czy to naprawdę był on? Co tam robił? Dlaczego? Pytania można było mnożyć i nie było na nie żadnej logicznej odpowiedzi. Przynajmniej na razie.

A teraz jeszcze to. Zmasakrowane zwłoki kolejnej nastolatki pod lasem. Zamordowana w taki sam sposób jak inne ofiary Poltergeista. No i jeszcze miejsce było dość szczególne. Byli tu wczoraj w piwnicy pałacowych ruin, które nawet teraz mogłaby dostrzec, gdyby tylko odwróciła wzrok i spojrzała nieco w dół, na wioskę. Wątlica. Stąd pochodził Ariel Lesiecki, tu został zwabiony do zwłok Soni, tu odkryto teraz ciało dziewczyny. Czy Sonię też zabił Poltergeist? Wiele na to wskazywało. W takim razie musiał być w jakiś sposób powiązany z przeszłością Lesieckiego, być jej nierozdzielną częścią we wspomnieniach i być może na starych fotografiach. Może w ten sposób chce z nich zadrwić albo prowokuje ich, żeby w końcu trafili na jego trop i zakończyli koszmar. Same pytania, żadnych odpowiedzi.

Chociaż w głowie Wilczycy kształtowało się pewne podejrzenie, odpowiedź na jedno podstawowe pytanie. Na razie jednak nie miała siły się na nim skupić i ciągle tę myśl odkładała. Była zbyt bolesna, zbyt straszna, wszystko, co ostatnio zbudowała w życiu, obracała w ruinę, tak jak nieubłagany czas zniszczył ten pałac. Żeby się odbudować, trzeba było zburzyć do końca, a na to chyba nie miały już siły.

Auto się zatrzymało i wysiadła. Inspektor Frąszyk już tu był. Nagle uświadomiła sobie, że jego imienia też nie pamięta. Idiotyzm, przecież znała go od lat. Głupio było teraz pytać, żeby nie zburzyć kruchej równowagi, która zapanowała

po śmierci Żołnierza. Inspektor wziął ją na stronę. Inni zerkali w ich kierunku z zaciekawieniem, jednak nie mogli do nich dojść ani jedno słowo z tej rozmowy.

– Na razie cię nie zawieszę – rzucił krótko.

– Dlaczego? – Uniosła brwi, wyraźnie zdziwiona.

– Ty mi powiedz. Podobno masz układy z kimś bardzo wpływowym.

Wspomniała wizytę bezimiennego gościa, który dużo jej powiedział, a jeszcze więcej mógł.

– Mam – rzuciła krótko, odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku parawanu.

– Laura! – krzyknęła za nią.

Przystanąła.

– Operacja się skończyła. Lekarze określają stan Góralskiego jako bardzo ciężki, ale stabilny.

– Dzięki!

Prokurator Sobociński w swoim eleganckim długim płaszczu stał niedaleko parawanu. Nie chciała jeszcze oglądać tych makabrycznych widoków, więc najpierw podeszła do niego.

– Cześć, Adam.

Zwróciła się do niego po imieniu, choć jeszcze nie wiedziała, co teraz do niego czuje po tym, jak zostawił ją bez pomocy i sprowokował jej nieformalne działanie. Miała mu za to podziękować czy być wściekła? Raczej to drugie. Wykorzystali sytuację i dzięki niej mogli odhaczyć trudną sprawę. Bezpieczeństwo naszego kochanego państwa zostało umocnione. Hip, hip, hurra! Nic tylko się cieszyć. Ale Wilczyca jakoś się nie cieszyła.

– Cześć – rzucił, chyba trochę zdziwiony.

– Dlaczego nie jestem zawieszona? – zapytała niemal z pretensją. – Nie chcę się już zajmować Poltergeistem. Daj to komuś innemu.

– Laura, on jest twój.

– Pieprz się!

Prawie go odepchnęła w wybuchu nagłej złości i poszła w kierunku parawanu. Rzuciła tylko okiem. Nagie zakrwawione ciało, proste długie ciemne włosy, takie same obrażenia. Wszystko tak samo. Przeklęty zły duch bawił się z nimi.

– Kto to jest? – zapytała jednego z młodych śledczych, który się przy niej zjawił.

– Na sto procent nie wiemy. – Pokręcił głową. – Ale mamy jeden trop. Dwa dni temu zgłoszono zaginięcie nastolatki mieszkającej na Kozanowie. Zdaje się, na Kolistej. Sprawdziłem ją na Facebooku, to chyba ona.

– Jak się nazywa?

– Kamila Kawęcka.

– Dzięki!

Potem Wilczyca stała trochę z boku, walcząc z obezwładniającym zmęczeniem, i obserwowała pracę przy zabezpieczaniu miejsca znalezienia zwłok i zbieraniu śladów. Procedury takie same, ale niezbędne i długotrwałe. W międzyczasie ten bystry młody, którego nie pamiętała nawet nazwiska, o imieniu nie wspom-

nając, podrzucał jej coraz to nowe fakty. Ona kiwała głową, dziękowała i czekała na ten jeden ostateczny ślad, trop, wskazówkę, dowód. Nieważne co. Na pewno na coś, co zakończy ten koszmar. I po prawie dwóch godzinach doczekała się.

– Pani komisarz, chyba coś mam. – Młody był najwyraźniej lekko podenerwowany.

– Tak?

– Rozmawiałem z dyżurnym. W zgłoszeniu zaginięcia tej Kamili Kawęckiej jest też informacja, że dziewczyna od dłuższego czasu była obserwowana. Sama to zauważyła i poinformowała matkę.

– Coś więcej? – rzuciła Laura, czując, że za moment ziemia się pod nią rozstąpi i spadnie wprost do piekła.

– Mężczyzna około czterdziestki. Siedział godzinami w samochodzie pod jej blokiem. Kamila była na tyle sprytna, że zapisała nawet numer rejestracyjny tego samochodu. Tylko że matka, której o tym mówiła, nie zareagowała. Zlekceważyła słowa córki i dopiero kiedy zaginęła, powiedziała o tym policjantowi przyjmującemu zgłoszenie.

– Jakie to auto?

– Srebrna skoda octavia.

– Sprawdziłeś, do kogo należy? – dopytywała Laura drewnianym głosem.

– Tak, dyżurny już to sprawdził. – Młody był z siebie bardzo zadowolony i miał ku temu powód.

– Kto?

Pochylił się nad notatkami i po chwili padło nazwisko.

– Na razie dziękuję. – Wilczyca pokiwała głową.

Ziemia się jednak nie rozstąpiła. A szkoda, takie zdarzenie pewnie dużo by w jej życiu naprawiło. Nie musiałyby już wracać do brudów tego świata. Nie musiałyby się taplać w jego zgniliźnie. Wszystko byłoby prostsze, może nawet lepsze. I przede wszystkim nikt by jej już nie zranił, tak jak w tym momencie. Oczywiście pewnie byłoby cierpienie, bo przecież to piekło. Ale czy byłoby większe niż to, które odczuwała w tej chwili? Nazwisko było włócznią wbitą w jej piersi, imię zatrutym grotem. Włócznia nie tylko zabijała ciało, ale też zatruchiwała myśli.

Spojrzała w niebo. Tam też nic się nie zmieniło. Niebiosa się nie rozstąpiły, tylko słońce ładnie przygrzewało, zwiastując kilka przyjemnych dni.

Na drżących nogach podeszła do prokuratora Sobocińskiego, do którego dołączył też inspektor Frąszyk. Myślała, że nie wypowie ani jednego słowa, jednak udało się zrobić to nawet sprawnie. Jej ciało działało bez zarzutu, tylko umysł był zatruty.

– Chyba mamy podejrzanego – powiedziała i streściła im informacje od młodego. – Chciałabym go zatrzymać do wyjaśnienia na cztery osiem.

– Kto to jest? – zapytał Sobociński, patrząc na nią dziwnie.

Podawała mu nazwisko.

Potem wracała na tylnym siedzeniu radiowozu do Wrocławia, nie myśląc o niczym. Tylko gdzieś w połowie drogi pod powieką zakręciła się łza, spłynęła

po policzku i zniknęła.

## 2

**T**rzydzieści osiem godzin później był już pierwszy czerwca. Przez ten czas cały wydział kryminalny i wielu detektywów z komend dzielnicowych pracowało pełną parą. Spłynęła masa nowych informacji, z których wyłaniał się prawdziwy obraz zabójcy, układanka zaczęła nareszcie do siebie pasować i chociaż w wielu miejscach brakowało jeszcze twardych dowodów, były mocne poszlaki. Jeśli tylko ktoś chciał, mógł historię Poltergeista poskładać w całość.

Komisarz Laura Wilk tak właśnie zrobiła i zagrało. Pokłóciła się przy tym z Sobocińskim, ponieważ chciał ją powstrzymać. Twierdził, że fakty niekoniecznie tak muszą wyglądać, i przekonywał, żeby jeszcze poczekała, ale ona go nie słuchała. Była kobietą skrzywdzoną, a kobieta skrzywdzona w swoim gniewie potrafi być straszna i nieprzewidywalna.

Długo siedziała przy biurku, wpatrując się w leżące przed nią dokumenty, zdjęcia i raporty. Jeśli dotąd myślała, że przeżywa najgorsze chwile w życiu, myliła się. Ta chwila przyszła dopiero teraz, a to, co się działo przez ostatnie dni, było tylko uwerturą do wielkiej symfonii bólu, która aktualnie grała w jej duszy allegro. Ta diabelska muzyka przesłoniła jej wszystko. Była zdradzona, oszukana, sponiewierana. Nie mogła uwierzyć, jak mogło dojść do takiej sytuacji. Przez lata unikała związków z facetami i była szczęśliwa. Nie, nie była szczęśliwa – poprawiła się w myślach. Po prostu jej życie było ustabilizowane i samotność nie doskwierała jej zbyt mocno. Potem jakoś tak wyszło, że zaufała jednemu mężczyźnie, dopuściła go do siebie bliżej i kiedy myślała, że nareszcie zapanują u niej stabilność i namiastka spokoju, tylko rozbijała tę łódkę zwaną życiem i ona nagle bez ostrzeżenia się wywróciła. Wylądowała w lodowatej wodzie cierpienia, beznadziei i wściekłości.

Dlatego teraz pałała żądzą odwetu. Teraz to ona chciała zadawać ból, mścić się i nie zważać na nic. Jak zemsta, to kurwa, zemsta, a nie głaskanie skurwysyna.

Nagle się zdecydowała. Odetchnęła, zebrała papiery z biurka i wyszła na korytarz. Była wyjątkowo spokojna, tylko serce szybciej biło jej w piersiach, jakby zbierało się do lotu. No i był ten cholerny ból. Ból duszy. Ale on zniknie, gdy ten sukinsyn przyzna się do zbrodni i zostanie postawiony przed sądem. Tak, wtedy na pewno nadejdzie spokój i ból minie. Zacznie od nowa, ma tyle siły, nic jej nie złamie. Była policjantką, nazywała się Laura Wilk, a to zobowiązywało.

Musiała emanować tą determinacją, kiedy szła korytarzem w kierunku pokoju przesłuchań, ponieważ mijani koledzy schodzili jej z drogi, spuszczaali wzrok albo

po prostu patrzyli na nią z podziwem, wyrażając szacunek dla jej siły i zawziętości.

– Laura!

Nie od razu zareagowała. Inspektor Frąszyk musiał zawołać drugi raz, zanim go usłyszała i zareagowała. Przystanąła i odwróciła się.

– Odbieram ci tę sprawę – powiedział, kiedy stanęli twarzą w twarz.

Nie za blisko, można było nawet powiedzieć, że trochę dalej niż normalnie. On też chyba jej się trochę bał i nie wiedział, jak ma w tej sytuacji postąpić. Dupa, nie szef. Ona by wiedziała.

– Co ty powiedziałeś? – Spodziewała się, że ta chwila nastąpi, i była przygotowana do walki.

– Odsuwam cię – oznajmił, lecz jego głos zabrzmiał jakoś inaczej, zmiękł. – Jesteś osobiście zaangażowana i zachodzi podejrzenie, że będziesz nieobiektywna.

– Nie zrobisz mi tego, Frąszyk – wycedziła przez zęby.

– Zrobię. Już podjąłem decyzję.

Zbliżyła się do niego o krok i spojrzała mu w twarz.

– Gównu zrobisz – warknęła, aż przechodzący obok policjanci spojrzeli na nich zaniepokojeni. – Nawet nie próbuj mnie zatrzymywać. On jest mój i to ja muszę z nim pierwsza porozmawiać.

– Zabraniam ci – wpadł jej w słowo. – To polecenie służbowe. Masz natychmiast przyjść do mojego gabinetu.

– Niczego mi nie możesz zabronić. Muszę z nim porozmawiać. Potem do ciebie przyjdę i będziesz mógł mnie aresztować, osądzić, postawić pod ścianą i zamówić pluton egzekucyjny. Ale to potem. Teraz mi nie przeszkadzaj.

Odeszła i echo jej kroków rozbrzmiało po korytarzu. Nie zatrzymał jej, nie miał na tyle autorytetu i być może odwagi. Dupa, nie szef. Naczelnik jest po to, żeby powstrzymać pracowników przed popełnianiem błędów. On jej nie powstrzymał, więc nie nadawał się na to stanowisko.

– Laura, jest jeszcze dużo wątpliwości. – Prokurator Sobociński ostatni raz próbował ją powstrzymać. – Ślady biologiczne są jeszcze niezwerifikowane, odciski palców się nie zgadzają, portrety pamięciowe pasują do niego jak pięść do oka.

– Nie wyjaśnię wątpliwości, dopóki z nim nie porozmawiam – odrzekła.

– To ja z nim porozmawiam.

– Nie, ja to muszę zrobić. Inaczej nigdy się z tego nie otrząsnę.

– Jak uważasz. – Odsunął jej się z drogi.

Spojrzała na drzwi i wielką szybę obok. Zostało jej tylko dwóch mundurowych do sforsowania. Tylko że oni nie stali jej na drodze. Mieli doprowadzić zatrzymanego na przesłuchanie z pobliskiego aresztu śledczego, a potem go odprowadzić. Połowę roboty już odwalili.

Weszła. Za nią wszedł prokurator

### 3

Siedział nieruchomo za długim stołem i nawet na nich nie spojrzął. Miał opuszczoną głowę, nie było widać jego twarzy, uparczywie milczał.

Laura z traskiem rzuciła papierową teczkę ze zdjęciami na porysowany stół i nie bacząc na to, że pewnie kilku ciekawskich obserwuje ich w tej chwili przez okno, nie włączyła od razu kamery i nie wypowiedziała standardowej formułki przed przesłuchaniem.

Sobociński ostrożnie usiadł obok i na razie się nie wtrącał.

– Oszukałeś mnie – powiedziała.

Nadal milczał, nie patrząc na nią.

– Wykorzystałeś mnie, sukinsynu – kontynuowała. – Zmanipulowałeś mnie, wodziłeś za nos i zdradziłeś w najgorszy sposób. Zdradziłeś mnie, a takich zrad nigdy się nie wybacza.

Znowu żadnej reakcji.

– Kim jesteś teraz? Arielem czy Maciejem? Ale ja byłam głupia – powiedziała nagle, jakby do siebie. – Przecież ty mi powiedziałaś, że Ariel był bardzo zły, powiedziałaś mi wprost, że gdyby nie zmienił się w Macieja, mógłby zostać seryjnym mordercą, ponieważ krzywdzenie ludzi go bardzo kręciło. A ja, głupia, nie zwróciłam na to uwagi. Zabawiałaś się moim kosztem.

– Nie – padło ciche zaprzeczenie.

Ariel/Maciej Lesiecki odezwał się po raz pierwszy od zatrzymania, jednak nadal nie podnosił wzroku.

– Co: nie? – warknęła rozjuszona. – Może naprawdę Maciej nie wiedział, co robi Ariel, i odwrotnie? Może ty naprawdę cierpisz na rozszczepienie osobowości, siedzą w tobie dwie różne osoby? Wtedy zaprzeczyłeś, ale nie wierzę już w żadne twoje słowo. Pierdolony zwyrodnialec.

Komisarz Laura Wilk nie była jedyną osobą w tym budynku, która akurat cierpiała na ból duszy. Lesiecki też cierpiał. Zgubił się gdzieś w sobie, nie potrafił znaleźć właściwej drogi, dlatego się nie odzywał. Jego świat legł w gruzach, rozpadł się na jeszcze mniejsze elementy niż jej. Nie potrafił się na niczym skupić. Tkwił w stanie dezintegracji i nie pomagały żadne metody na złożenie się z powrotem do kupy. Kim on tak naprawdę jest? Arielem, proszkiem, prochem na wietrze, powietrznym duszkiem, złośliwym duchem, Poltergeistem? Nie potrafił się zidentyfikować. Przypomniał sobie nagle. Już zadawał sobie takie pytanie. Czy naprawdę jest ich dwóch w jednym ciele i funkcjonują niezależnie od siebie?

Czy tylko on wymyślił sobie tego drugiego, Macieja, i udawał, że nim jest. Niby podobne pytanie, a jednak prawidłowa odpowiedź miała kolosalne znaczenie. A może jest jeszcze trzeci? Ten zły, którego szyderczy śmiech ciągle słyszy w uszach, wewnątrz głowy? Do jakich wniosków wtedy doszedł? Był sam, jeden, nie było więcej Lesieckich w tym ciełe. Wszystko było iluzją. W takim razie czy był aż taki zły, za jakiego bierze go Laura?

Przecież skrzywdził Romana Książczyka. Tylko czy to był fakt, czy jego imagi-nacja. Nagle sobie przypomniał.

## ARIEL – WIELE LAT WCZEŚNIEJ

Romek odwrócił się gwałtownie. Na twarzy Ariela musiało być coś takiego, że w jego oczach błysnął strach. Tak właśnie działali nieletni szkolni bandyci. Tracili cały rezon, kiedy brakowało hordy popleczników i trzeba było samemu spojrzeć osobie prześladowanej w twarz. To wymagało szczególnej odwagi, jeśli osoba gnębiona miała w ręku cegłówkę.

Jeśli są sytuacje, w których w ludziach budzi się uśpiona bestia, to właśnie był taki moment.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznajomymi, tylko oni mogą cię zasmucić – powiedział Ariel i postąpił krok w kierunku Romka.

Romek rozejrzał się wokoło. Nie dostrzegł kolegów.

– Ej! Mam go! – krzyknął z udawanym triumfem w głosie. – Gdzie jesteście, barany?

Odpowiedziała mu cisza. Chłopak spojrział niespokojnie na Ariela i oblizal nerwowo wyschnięte wargi.

– Podejdz tu, zaraz się przekonasz, jaki łomot ci spuszcze! – warknął, lecz w jego głosie zabrzmiała niepewność.

Ariel przrzucił z ręki do ręki połówkę cegły, zważył ją w dłoni, po czym ujął mocniej i postąpił jeszcze dwa kroki do przodu. Na ten ruch Romek zareagował cofnięciem się. Stał już na skraju balkonu i Ariel miał nadzieję, że się potknie i runie w dół. Taki upadek byłby bardzo niebezpieczny, mógł skończyć się poważnymi obrażeniami lub nawet skręcaniem karku. Ta ostatnia możliwość szczególnie mu się spodobała.

– To twoi kumple dostali łomot i uciekli. – Nie poznał swojego głosu.

Brzmiała w nim pewność siebie i wyraźna drwina. Nawet gdyby wcześniej trenował to zdanie w domu, nie zabrzmiałoby tak dobrze. – Jesteś sam. I co, strach obleciał?

– Nie obleciał – odpowiedział Romek. – Obiłbym ci mordę, tylko mi się teraz nie chce rąk brudzić.



Ariel znowu postąpił krok. Znajdowali się już w takiej odległości, że gdyby się postarał, cegłówka dosięgnęłaby głowy Romka. Jego pięty zawisły w powietrzu na skraju balkonu, ogrodzonego kiedyś deskami jako prowizorycznym zabezpieczeniem.

– Dzisiaj proszek do prania ma szczęście – powiedział, przecisnął się między Arielem, a ścianą, pobiegł w kierunku schodów i ruszył w dół. Na półpiętrze przystanął i odwrócił się. – Dorwę cię kiedy indziej, baranie!

Po chwili już go nie było.

Ariel stał, czując narastającą euforię. Tak, dzisiaj był zwycięzcą. Tchórze byli mocni tylko w grupie, każdy z osobna był żałosny i łatwy do spacyfikowania. Upuścił cegłówkę. Tak, dzisiaj z prochu narodził się inny Ariel. Nie do pokonania, prawdziwa bestia.

## 4

Komisarz Laura Wilk coś jeszcze mówiła, lecz nic do niego nie docierało. Dopiero kiedy usłyszał wypowiedaną przez prokuratora Sobocińskiego formułkę przed rozpoczęciem przesłuchania i kątem oka zauważył diodę przy oku kamery, skierowanej w jego stronę, znowu skoncentrował się na tu i teraz. Przesłuchanie znacznie odbiegało od standardów.

Wilczyca patrzyła na Lesieckiego zimno, czuła ucisk w piersiach, lecz słowa zjawiały się w gardle coraz łatwiej i z każdym wypowiedzianym zdaniem czuła się coraz lepiej. Jakby pomagał jej ktoś z zaświatów. No właśnie, kto? Anioł czy diabeł?

– Wiesz, z jakiego powodu zostałeś zatrzymany do wyjaśnienia?

Milczenie.

– Jesteś podejrzany o porwanie, brutalne zgwałcenie i zamordowanie dziesięciu młodych kobiet w ciągu ostatnich pięciu lat. Jesteś zabójcą zwanym przez prasę Poltergeistem. Czy przyznajesz się do winy?

Milczenie.

– Masz możliwość skorzystania z prawa do odmowy składania wyjaśnień.

Przedłużająca się cisza i nic.

– Lesiecki, jak wytłumaczysz swój związek z ofiarami?

Milczenie.

– To może ja przypomnę.

Wilczyca sięgnęła do teczki i wyciągnęła pierwszą fotografię rozmiaru A4. Patrzyła z niej roześmiana brunetka z długimi włosami. Miała cudowne dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała. Pchnięta przez policjantkę fotografia prześlizgnęła się po stole i zatrzymała się przed Arielem.

– Pięć lat temu zamordowana została Anna Jaśkowska, zamieszkała we Wrocławiu przy ulicy Krzyckiej. Zamordowana była twoją sąsiadką, mieszkała w tym samym bloku w bramie numer dwadzieścia dwa. Ty mieszkałeś w bramie numer dwadzieścia cztery i znałeś jej matkę. Kobieta poznała cię na przedstawionej jej fotografii. Nie znała cię osobiście, lecz kłaniałeś się jej na ulicy, raz pomogłeś jej pchnąć auto, kiedy w zimie padł jej akumulator. Określiła cię jako miłego i uczynnego sąsiada. Czy masz coś do powiedzenia? Wyjaśnisz coś?

Lesiecki milczał. Druga fotografia poleciała w jego stronę. Tym razem ruda, śliczna dziewczynka, nawet niewyglądająca na swoje naście lat, tylko młodziej.

– Prawie cztery i pół roku temu zamordowana została Tamara Podlaska. Jej matka studiowała z tobą psychologię na Uniwersytecie Wrocławskim, po studiach utrzymywaliście jeszcze ze sobą kontakty. Mniej więcej w tym czasie spotkaliście się przypadkowo na zakupach w Galerii Dominikańskiej. Według słów kobiety to była miła pogawędka o czasach studiów i wspólnych znajomych. Rozstaliście się z obietnicą, że niedługo powtórzycie takie spotkanie, wymieniliście się telefonami. Tylko że ty nie zadzwoniłeś, a półtora miesiąca później jej córka została zamordowana. Usłyszę jakiś twój komentarz?

Tym razem dostrzegła, że Lesiecki pokręcił delikatnie głową. Kolejna fotografia, kolejna ładna buzia.

– Trzy miesiące po drugim morderstwie zaginęła Daria Burzyńska. Jej matka cierpiała na depresję i chodziła do ciebie na terapię. Z tego, co zeznała, była na sesji kilkanaście razy, ale po śmierci córki już się u ciebie nie pojawiła. Masz coś do powiedzenia?

Milczenie. Sobociński wiercił się niespokojnie na krześle. Nie podobało mu się to, ale się nie wtrącał.

Milczenie, nerwowe ruchy Sobocińskiego i zimna jak lód Laura Wilk. Atmosfera robiła się gęsta i duszna jak w klubie bilardowym. Kolejne fotografie, kolejne nazwiska i kolejne jego związki z kobietami matkami. Kasjerka w banku, w którym wypłacał gotówkę, księgowa w firmie, w której rozliczał podatki, kiedy postanowił rozpocząć jednoosobową działalność gospodarczą, koleżanka koleżanki, z którą się kiedyś umówił na kawę w rynku, a one przyszły we dwie, bo właśnie się przypadkowo spotkały na zakupach. I tak dalej, i tak dalej. Tylko dwie z matek zamordowanych dziewczyn nie rozpoznały go na fotografiach. W przypadku każdej ofiary istniało powiązanie z Lesieckim.

Ariel siedział przytłoczony, zagubiony i zdezorientowany. Może jednak naprawdę był zły? Jego myśli znowu odpłynęły gdzieś w przeszłość. Zabił wtedy Romka Książka czy tylko to sobie wmówił?

## **ARIEL – WIELE LAT WCZEŚNIEJ**

— Tylko pamiętaj, nie chodź do starego pałacu.

– Pamiętam, tato.

– No!

Ojciec wchodzi do domu pierwszy i już nie interesuje się synem. Ariel idzie po schodach na poddasze do swojego pokoju i po drodze słyszy skrzyknięcie otwieranej szafki i brzęk kieliszka.

– Nie zwracaj uwagi na innych, nikt nie jest ważniejszy od ciebie. Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni mogą cię zasmucić – mówi do siebie i zatrzaskuje za sobą drzwi pokoju.

Zanim jednak zdąży położyć się na łóżku i sięgnąć po miesięcznik z komiksami „Relax”, którego miał wszystkie numery, jakie do tego czasu wyszły, na schodach słyszy kroki, po chwili pukanie.

– Mogę wejść? – pyta ojciec, jeszcze dość rześkim głosem. Na razie zdążył popracować nad kaczem, aż za dobrze widocznym podczas pogrzebu.

– Wejdz – rzuca Ariel.

Ojciec stoi na progu niepewny, jakby nagle przypomniał sobie o jakimś niezręcznym pytaniu, którego nie zadał, i teraz nie wie, jak je sformułować, żeby nie być posądzonym o śmieszność.

– No wiesz... chyba się z tym Romkiem naprawdę nie kolegowales, ale powiedz mi, jak do tego doszło? Jak on tam spadł?

– Nie wiem dokładnie. – Ariel wzrusza ramionami.

– No ale zawsze coś tam ludzie mówią, no nie?

Ariel nie rusza się z wyrka, otwiera jeden z numerów na historii mówiącej, jak zbójcerze zastawili pułapkę na podróżnych, organizując na polanie pod gruszą gospodę samoobsługową. Najbardziej mu się zawsze podobało, jak Hegemon spada z drzewa na Kokosza. Potem zerka na ojca niechętnym wzrokiem.

– Romek ze swoimi kumplami chodzili do pałacu palić i popijać wino. Napili się i weszli na ten taras pod samym dachem. Tam była tabliczka, że grozi zawaleniem. Zawsze tam chodzili, ale tym razem, jak tylko Romek wszedł pierwszy, to ten taras naprawdę się urwał. Nie miał szans.

– No tak – burczy ojciec i zaczyna zamykać drzwi. – Tylko lekcje zrób, żeby nie było jak zawsze – warczy na koniec i po chwili jego kroki na schodach zastępuje szuranie krzesła w kuchni i stuk odstawianej butelki.

Ariel spokojnie wraca do czytania ulubionego komiksu.

## 5

— Przy drugich i trzecich zwłokach znaleziono sosnowe wióry – kontynuowała Wilczyca. – Z tego, co sama pamiętam, wtedy pośród innych natręctw i fobii cierpiełaś na usilne przeświadczenie, że ktoś może ci ukraść samochód. Przeprowadziłeś się już na Śliczną i parkowałeś pod blokiem. Nie mogłeś znaleźć garażu, jedyne wolne miejsce, jakie znalazłeś, znajdowało się w oddalonym o prawie dwa kilometry składzie opału. Tam między innymi cięte było drzewo i stamtąd mogły pochodzić wióry znalezione przy ciałach twoich ofiar. Możesz to jakoś skomentować?

Milczenie Lesieckiego i coraz bardziej niespokojny Sobociński. Spoglądał to na Laurę, to na rejestrującą wszystko kamerę, jakby się zastanawiał, czy powinien jednak nagrywać jej monolog. Na razie nie zdecydował się wyłączyć nagrywania.

– Około trzech miesięcy temu zamordowałeś właściciela zakładu stolarskiego, niejakiego Miłosza Sobczaka. Zająłeś jego miejsce i przez ten cały czas produkowałeś klientom Sobczaka meble, podając się za jego pracownika. Jeździłeś na pomiary i zbierałeś zamówienia. – Wilczyca zrobiła pauzę. – Powiesz, że to niemożliwe? Moim zdaniem to było możliwe. W tym czasie miałeś tylko trzy wykłady w komendzie miejskiej i przyjąłeś w swoim gabinecie dwóch klientów. Co w takim razie robiłeś całymi dniami? Zwykle cały dzień miałeś zaplanowany, co do minuty. Wpadałeś w panikę, kiedy zdarzały ci się opóźnienia w tym planie. Więc ja się ciebie teraz pytam, co robiłeś w tym czasie, kiedy nic nie robiłeś? Jaki był ten twój plan? Możesz go nam udostępnić do przeanalizowania?

Lesiecki jeszcze niżej opuścił głowę.

– Nie masz nic do powiedzenia? To ja ci powiem, co robiłeś. Codziennie jeździłeś do zakładu stolarskiego Sobczaka i tam pracowałeś. To znaczy, ja nie wiem, który z was tam naprawdę pracował. Ariel, może Maciej, może, kurwa, ktoś jeszcze inny. Może powiesz, że to nieprawdopodobne, bo ty nie jesteś stolarzem? Gówno prawda. Wszystko sprawdziliśmy. Już pod koniec studiów potrzebowałeś pieniędzy, więc kolega polecił cię w stolarni Michała Kuczaka znajdującej się w Prochowicach. Kuczak świetnie cię pamięta, ponieważ byłeś pracowity i miałeś wrodzony talent do mebli. Nie mógł się ciebie nachwalić. A wiesz, z kim pracowałeś u Kuczaka? Z Miłoszem Sobczakiem. Czy coś pominęłam?

Nadal milczał, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Dodam jeszcze, że przez cały ten czas nie płaciłeś czynszu za swój gabinet, zrobiłeś sobie długi w ZUS-ie, nie zapłaciłeś ani jednego czynszu za mieszkanie

na Ślicznej. Jakby Maciej Lesiecki nagle zniknął i pojawił się ktoś inny, kto postanowił świadczyć usługi stolarskie. Dodam jeszcze, że wióry, tożsame z tymi z zakładu stolarskiego Sobczaka, znaleźliśmy w miejscu podrzucenia zwłok przedostatniej ofiary oraz w twoim mieszkaniu. Może teraz będziesz miał mi coś do powiedzenia?

Ariel Lesiecki nie miał nic do powiedzenia, ponieważ znowu grzebał w swojej pamięci. Co on wtedy robił? Wydawało mu się, że wszystko pamięta, godzina po godzinie. Nie pamiętał żadnej stolarni, o czym ona mówi, do cholery? To wszystko nieprawda. Jest tylko jeden Lesiecki i nie ma żadnych innych. Nie ma osobowości mnogiej, to jest absolutnie wykluczone. Spojrzał na swoje dłonie, delikatne, wypielęgnowane, bez śladu zadrapań i odcisków. Kiedyś pracował jako stolarz, lecz jeśli by to robił niedawno, na dłoniach zostałyby ślady.

A może Laura ma rację? Nie, nie ma racji. Nawet jeśli wyobrażał sobie kiedyś złe rzeczy, planował morderstwa, zastanawiał się, jak zabić, gdzie ukryć ciało i jakie emocje targają człowiekiem w takich chwilach, robił to tylko w celach poznawczych. To były eksperymenty myślowe. Postanowił wtedy, że zostanie policyjnym profilerem, i chciał o psychice sprawcy wiedzieć wszystko. Dlatego planował zbrodnie. On nigdy ich nie popełnił. Czy aby na pewno? Przypomnił sobie pewne zdarzenie z przeszłości.

## ARIEL – WIELE LAT WCZEŚNIEJ

– **C**ześć! Jesteś bardzo nieśmiały.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia i przywrócił rzeczywistości. Był już na Ostrowie Tumskim, stał pod wielkimi platanowcami z tyłu katedry.

*Nie rozmawiaj z nieznanymi* – przemknęło mu przez głowę. Tak, czasem prawda bywa o wiele bardziej skomplikowana, niż nam się może wydawać. Tak jak w tym momencie.

Ariel wziął się w garść i postanowił zagrać taką rolę, w jakiej ona go sobie wyobrażała. Spuścił wzrok.

– Tak, jestem bardzo nieśmiały – wyjąkał.

– Chodzisz za mną już ze dwie godziny. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. –

Podobam ci się?

Potwierdził.

– Jak można być tak nieśmiałym? – Patrzyła na niego trochę kpiąco, trochę żalotnie, trochę zaczepnie.

– Taki jestem od urodzenia. – Po raz pierwszy spojrzał jej w oczy. – Tak sobie pomyślałem, czy nie zachciałybyś...

Nie dała mu dokończyć.

– Może bym zechciała. Jesteś tutejszy? Może trochę mnie oprowadzisz po tym pięknym miejscu? A w nagrodę dam ci się zaprosić na kawę.

*Nie rozmawiaj z nieznanymi, tylko oni...* Zanim myśl przebrzmiała do końca, brunetka wyciągnęła do niego zgrabną dłoń.

– Asia jestem.

– Ariel. – Uścisnął ją delikatnie, czując rozchodzące się po ciele przyjemne mrowienie.

– Piękne imię. – Wydawała się szczerą. – To z Szekspira?

Na chwilę zaniemówił, zaskoczony. Była chyba pierwszą osobą, której jego imię nie skojarzyło się z proszkiem do prania.

– Tak, z *Burzy*.

– Fantastycznie – ucieszyła się. – Czytałam i oglądałam kilka razy. To gdzie mnie weźmiesz na początek?

Rozejrzał się, jakby szukał dobrego miejsca. Na szczęście było jedno dobre miejsce, które w połączeniu z pewną bzdurną legendą zawsze interesowało turystów.

– Znasz *Legendę o Kluskowej Bramie*? – zapytał.

– Nie.

– To tu, niedaleko. Chodź.

Pół roku później Joanna Jaworska została jego żoną, a za kolejny rok na świat przyszedł ich jedyny syn, Jakub.

## 6

**C**o tu się odwała? Ariel Lesiecki nie mógł oderwać wzroku od wpatrujących się w niego twarzy z fotografii rozrzuconych po blacie stolika. Szukał znajomych, lecz żadnej nie znalazł. Brakowało tych dwóch ostatnich, które Laura pewnie zostawiła sobie na deser. Na wielki finał, żeby go złamać, jeszcze bardziej pogłębić, zmusić do przyznania się do winy. Tylko to nic nie da, a jedynie spotęguje ból u wszystkich. Szczególnie ból duszy.

Chciał jej powiedzieć, żeby już przestała. Nie wyjdzie z tego nic dobrego. On już nie chce słuchać, każde słowo jest jak sztylet. Kroci mu duszę na kawałki, na coraz mniejsze cząstki, jeszcze moment i nie da się tego zszyć. Zostanie bez duszy. Jedyny człowiek na tym podłym świecie bez duszy i bez sensu istnienia. Czy potem można jeszcze normalnie żyć? Pewnie można, tylko po co?

### ARIEL – WIELE LAT WCZEŚNIEJ

**T**ak uspokojony ostatnim spojrzeniem omiół otoczenie, uznał, że jest w porządku, i wrócił do auta. Cofając, myślał, kiedy tu wróci. Najlepiej odczekać co najmniej tydzień i dobrze by było, gdyby w tym czasie popadał deszcz. Zamierzał odkopać to, co przed chwilą zakopał, i zobaczyć, co się przez ten czas zadziało. Może nawet zaryzykuje przecięcie folii, żeby sprawdzić środek.

Kiedy wracał w kierunku głównej drogi, na wschodzie zaczął bielić się świt. Na pewno tu wróci. Już niedługo.

Pomimo takich zapewnień wrócił dopiero dwa tygodnie później. Nie mógł znaleźć odpowiedniego terminu, żeby wymknąć się z domu i z miasta niepostrzeżenie. Znowu pojechał w nocy, ale pamiętając, że poprzednio złapał go świt w drodze powrotnej, tym razem był na miejscu już kilka minut przed północą. Mimo to przez pół godziny szukał miejsca, w którym zakopał pakunek. Musiał użyć latarki, żeby je znaleźć. Na pewno noc była ciemniejsza, z zadowoleniem stwierdził też, że zrobił dobrą robotę, a przyroda później tylko mu pomogła.

Z odkopaniem męczył się prawie dwie godziny, miał problem, żeby wyciągnąć ważący kilkadziesiąt kilogramów ładunek na brzeg wykopu, i nawet przez chwilę zwątpił, czy da radę. Wreszcie się udało i siedział długo, opierając się o worek.



Musiał odpocząć. Potem wyciągnął nóż i przeciął folię. Rozległ się syk uciekającego powietrza. Postanowił jednak rozpakować całość. Znowu długo się męczył, zanim wydobyl zawartość z folii i dziesiątków metrów foliowych taśm. Stał i poświecił. Był zadowolony. Manekin wypełniony mokrym piaskiem dla osiągnięcia odpowiedniej wagi, ubrany w kobiece ciuchy, był nienaruszony. Ariel tak dobrze go zapakował, że nawet wilgoć w ziemi i padający kilka razy deszcz nie przedostały się do środka. W zasadzie na tym zakończył się jego eksperyment.

Zapakował manekina do bagażnika auta, sprzątnął śmieci, prowizorycznie zasypał dół i ruszył w drogę powrotną. W domu będzie miał czas na wyciągnięcie odpowiednich wniosków.

Był zadowolony.

## 7

**K**olejna fotografia. Miał wrażenie, jakby spłynęła gdzieś z przestworzy, przeslizgnęła się po blacie nad innymi i zatrzymała się, uderzając o leżącą na blacie dłoń.

Sonia uśmiechała się do niego filuternie. Nie kochał jej. Była jedną z ofiar jego zaburzeń psychicznych. Był egoistą skupionym tylko na samym sobie. Ona była jedynie elementem jego gry w zachowanie normalności. To dlatego się z nią związał, dlatego pozwolił jej u siebie zamieszkać. Szukał normalności pośród dręczących go paranoi i natręctw. Bo przecież normalnie jest kogoś mieć, z kimś mieszkać i sypiać, prawda? Być może ona się w nim zakochała, lecz dla niego nic nie znaczyła. I zapłaciła za to najwyższą cenę. Cenę życia. Ariel jednego był pewien. Nigdy sobie tego nie wybaczy, już do końca świata będą go dręczyły wyrzuty sumienia. Przez niego zaginęła młoda kobieta, która miała przed sobą całe życie. Gdyby nie on, pewnie poszłaby kiedyś do ślubu w białej sukni z welonem, byłaby szczęśliwą żoną, miała gromadkę dzieci, a kiedyś bawiłaby wnuki jako szczęśliwa babcia. I przez niego ta nić wiążąca ją z przyszłością została przerwana. I nie ma już przyszłości. Przepadła na wieki. Ariel Lesiecki był ateistą, jednak coś sobie obiecał. Gdyby się okazało, że po śmierci istnieje jednak inny świat, w którym otrzymuje się nagrodę za dobre życie, albo za to życie trzeba odpokutować, on przyjmie pokutę za Sonię. Z pokorą i ochotą. Za to, że przekreślił tak pięknie zapowiadający się cud życia.

Tylko że zdjęcie Soni nie było tym najgorszym. Najgorsze było to ostatnie, którego jeszcze mu nie pokazali. Ale pokażą. Za kilkadziesiąt sekund będzie musiał spojrzeć w twarz jeszcze jednej młodej kobiety.

Rozpacz ścisnęła jego piersi tak mocno, że stracił na moment oddech. Pochylił się niżej. Myślał, że nie ma już łez, wszystkie wypłynęły, gorące i żłobiące mu w policzkach głębokie bruzdy. Wieczne piętno złego człowieka. Niestety, jeszcze były. Niezmierzone źródła, bo przecież kiedy skończy się woda, z oczu może popłynąć krew.

Słowa Laury Wilk dobiegały go jakby zza grubej zasłony. Nie interesowały go. Czekał na ostatnią fotografię i nie chciał już żyć. Bo i po co?

– Nie wiem, po co zaaranżowałeś porwanie swojej dziewczyny. Czuliś się aż tak pewny siebie, że postanowiłeś zaryzykować? Może znowu chciałeś zakpić z policji? Może bardzo dobrze się bawiłeś na przesłuchaniach, wciskając nam te bajeczki o meblach, stolarzach i zaliczkach na meble? Tego stolarza nikt nie

widział, koleżanki Soni nie słyszały, jakoby chciała mieć nowe meble w kuchni. Co ty masz z tymi meblami i stolarzami, to jest jakaś kolejna twoja obsesja?

Zastanowiła się na moment, nie zważając na coraz bardziej niespokojnego i milczącego Sobocińskiego.

– A może w ten sposób znowu zakpiłeś ze mnie? – Nagle głos jej się zmienił, jakby zaczęła połykać łyżę. – Mówiłam ci wielokrotnie, że powinieneś ją zostawić, i ty ją zostawiłeś. Tylko na swój psychopatyczny sposób. Popatrz na mnie! Chciałeś ze mnie zakpić?!

Nie odpowiedział. Czekał na ostatnią fotografię. Nagle spojrział w piękne, ciemne oczy długowłosej brunetki. Spadał, jak astronauta, któremu odcepiła się lina i stracił na zawsze kontakt z macierzystym statkiem. To nawet nie było spadanie. To było pozbawione celu dryfowanie w pustce międzygwiazdnej z dala od wszystkiego, w miejscu, gdzie nie ma góry, dołu, prawa i lewa. Gdzie nie ma nic, tylko ból i śmierć.

– Kamila Kawęcka, twoja ostatnia ofiara – mówiła Laura zimno. – Wpadłeś dzięki jej spostrzegawczości. Zauważyła, że od kilku tygodni obserwujesz ją z samochodu zaparkowanego w pobliżu jej bloku. Mówiła o tym matce, ale ta zlekceważyła ostrzeżenia. Kamila zapisała numery rejestracyjne. Dlaczego ją zabiłeś? Mało ci było ofiar?

Głos Wilczycy dotarł do Ariela w odpowiednim momencie. Nagle szarpnął się wewnątrz i postanowił walczyć. Nie może wszystkiego chować w sobie. Musi to wywalić na zewnątrz. Niech świat wie. To czasem pomaga.

– Nie mógłbym jej zabić... – usłyszeli jego słaby głos.

Oboje z Sobocińskim znieruchomiali zaskoczeni.

– Co mówisz? – zapytała Laura twardo.

– Nie zabiłem Kamili. – Nagle podniósł na nią zażawione, przekrwione oczy i dodał: – Ona była moją córką.

Powietrze w pomieszczeniu zrobiło się nagle lepkie i gęste. Teraz wszyscy dryfowali w przestrzeni kosmicznej, kręcąc się jak bączki i nawet o tym nie wiedząc. Nic tylko ciemność, żadnego punktu zaczepienia.

Pierwszy ocknął się prokurator Sobociński. Wstał, podszedł do kamery i wyłączył nagrywanie. Stał przed Wilczycą, która trwała przy biurku z lekko otwartymi ustami, jakby była żoną Lota i właśnie zamieniła się w słup soli.

– Laura, przerywam to, rozumiesz? – powiedział ostro. – Nie powinienem był pozwolić na to przesłuchanie.

Popatrzyła najpierw na niego, potem na Lesieckiego, któremu po policzkach znowu płynęły łyżę. Miała nieprzytomne spojrzenie. Była w szoku.

Prokurator położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Przerywam to.

Sześć godzin później Laura Wilk wpatrywała się w ciemność za oknem swojego pokoju. Nie odzywała się, nie myślała, nic na razie nie czuła, chociaż zapewne powinna coś czuć. Po drugiej stronie jej biurka siedział prokurator Sobociński.

Młody inteligentny śledczy, który tak jej się spodobał na łące pod lasem w Wątlicy, siedział z otwartym notesem i robił podsumowanie pracy całego zespołu z ostatnich godzin. W drzwiach stał inspektor Frąszyk i patrzył na Laurę. Dokładnie od sześciu godzin była odsunięta od tematu Poltergeista i oficjalnie zawieszona. Kazał jej iść do domu, lecz go nie posłuchała. I od tamtej pory się nie odzywała.

– Mamy potwierzonego tego stolarza, który u Lesieckiego robił meble. Jednak była taka osoba. Mamy zeznania sąsiadki – raportował młodzieniec. – Za pierwszym razem nie zastaliśmy jej w domu, za drugim już była i ustaliliśmy nawet dokładne godziny i daty, kiedy ten stolarz odwiedzał mieszkanie Lesieckiego. Lesiecki naprawdę pobrał sześć tysięcy z bankomatu. Mamy też zeznanie innego sąsiada, który widział, jak Sonia Budka wsiada do auta z nieznanym mężczyzną. Niestety, nie znamy jego marki. Podobno czarne i duże.

– Co dalej? – Frąszyk nadal wpatrywał się tylko w Laurę Wilk, a ona błędziła wzrokiem za oknem, jakby jej tu wcale nie było.

– Wiemy, co Lesiecki robił w czasie, kiedy Poltergeist podszywał się pod pracownika stolarni Miłosza Sobczaka. Pracował w tym czasie jako wolontariusz w hospicjum na ulicy Poświęckiej. Umierała tam na raka jego stara nauczycielka polskiego z podstawówki z Wątlicy. Ludzie z hospicjum pamiętają Lesieckiego i dobrze go wspominają. Był codziennie, aż do śmierci tej kobiety.

Do Laury Wilk docierały te słowa i powodowały skurcz w przelyku, jednak się nie poruszyła.

– Znaleźliśmy taksówkarza, który wiozł Lesieckiego do domu po tym, jak wysiadł z radiowozu. Nie mógł być w tych ruinach fabryki okien i zastrzelić Żołnierza. Próbowaliśmy z kolegami ustalić harmonogram zdarzeń z ostatnich kilku dni. Mamy sporo dziur, ale nie ma takiej opcji, żeby Maciej Lesiecki porwał Budkę, więził ją w ruinach, uciekał z Laurą, porwał i zamordował Kawęcką. To jest, kurwa, fizycznie niemożliwe. Czasem musiałyby być w dwóch miejscach naraz, a to przecież nie jest jakiś złośliwy duch.

W pokoju zapadła cisza. Młody zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział.

– To znaczy, uważamy z kolegami, że Lesiecki nie jest Poltergeistem. Nie ma na to żadnych twardych dowodów. Odciski palców się nie zgadzają, mamy na to procent potwierdzone ślady biologiczne. Nie są jego. Nie ma żadnych jego śladów w piwnicy, gdzie umarła Sonia, prócz tych, o których sam nam powiedział. Nikt z klientów tego zakładu stolarskiego go nie rozpoznał. To nie on, nie ma takiej możliwości.

– To skąd tyle powiązań? – rzucił Frąszyk.

– Szefie, to tak wygląda, jakby ten Poltergeist wrabiał tego Lesieckiego – odpowiedział młody. – Od lat wokół niego krążył i mordował. Może to brzmi nieprawdopodobnie, ale on chyba jest nieźle zafiksowany na Lesieckim i być może to ma być jego pokręcona zemsta na nim.

Sobociński pokiwał tylko głową.

– Też tak uważam – powiedział.

– To co robimy? – zapytał młody.

Sobociński spojrział przeciągle na Wilczycę, która ciągle nie zwracała na nich uwagi, jakby w pokoju była sama i wokół niej nie było świata.

– Zwolnimy go – zdecydował. – Zaraz załatwię formalności.

– Porozmawiam z nim, żeby miał oczy wokół głowy i żeby nigdzie nie wyjeżdżał, nie informując nas. Dwóch naszych wywiadowców po cywilnemu będzie go non stop dyskretnie obserwować.

Nagle Laura Wilk zerwała się z fotela, chwyciła kurtkę i wybiegła na korytarz.

Dokładnie czterdzieści cztery minuty później Ariel Lesiecki wyszedł z bramy aresztu śledczego przy Podwalu i ruszył w kierunku Sądowej. Po kilku krokach zatrzymał się i obejrzał. Laura stała na chodniku z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki. Spojrzeli sobie w oczy, a potem Ariel poszedł dalej bez słowa.

– Maciej! – krzyknęła za nim.

Nie odwrócił się.

– Ariel!

To samo. Po następnych kilku krokach zniknął za rogiem.

Laura Wilk od dziewięciu dni żyła w zawieszaniu i były to straszne dni. Trzy razy składała obszernie wyjaśnienia we własnej sprawie, wracała do domu i wpadała w totalny marazm.

Przez pierwsze dwa dni próbowała skontaktować się z Lesieckim, lecz on nie odbierał telefonu. Raz była pod drzwiami jego mieszkania, ale nie otworzył. Naprawdę go nie było albo udawał, że go nie ma. Nie potrafiła tego ocenić. Nie sprawdzała, czy tajniacy ciągle stoją pod jego domem. Po prostu pogodziła się z tym, że wyrzucił ją ze swojego życia. Czy mogła mu się dziwić? Nie. Miał rację. Być może ona postąpiłaby tak samo na jego miejscu. Zawiodła go w momencie, kiedy najbardziej potrzebował jej pomocy i wsparcia. To ona go zdradziła, a nie on ją, to jego bardziej bolała dusza i to on potrzebował lekarstwa. Zawiodła go. Cholerna praca. Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Może tylko kumulację stresu i zmęczenia.

Do Frąszyka i Sobocińskiego też miała żal. Nie powstrzymali jej, kiedy popełniała ten błąd. Ale tu też była sobie winna. Jako Wilczyca musiała być twarda i wyrobiła sobie taką pozycję, że bali się jej sprzeciwić. Wszystko obróciło się przeciw niej.

Całymi dniami spała, potem w nocy kręciła się po domu jak wampir przy świetle księżycy. Codziennie odwiedzała ją siostra. Kochana młodsza siostrzyczka, Alicja. Namówiła ją w końcu na wino i serial na Netfliksie. Obejrzały razem, potem wypity jeszcze jedną butelkę wina i wspominały stare czasy. Było miło. Następnego dnia Alicja przywiozła jej książki. Kryminały polskich autorów i jedną komedię kryminalną Małgorzaty Starosty *Kto zabił mamusię?*. Tylko tę książkę przeczytała. Bawiła się przy niej bardzo dobrze, ale po zakończeniu czuła niedosyt. Za krótka. Laura by się nie obraziła, gdyby autorka napisała prawdziwą cegłę. Bo lubiła, jak książka ciąży jej w dłoniach podczas czytania.

Na koniec straciła rachubę dni i czas przeslizgiwał się jej niepostrzeżenie między palcami. Z drugiej strony dłużył się, jakby musiał pokonać dwa razy dłuższą drogę, zanim słońce wstawało nazajutrz. Straciła poczucie celu, sensu, nie wiedziała, co ma robić dalej. Zaczęła nawet poważnie myśleć, czy nie odejść z policji. Po tym, co się stało, nie chciało jej się tam wracać. Niech młodzi zajmą się Poltergeistem, może pójdzie im lepiej niż jej?

Chodziła po domu boso, w starych legginsach i powyciąganej koszulce z trasy koncertowej Porcupine Tree. O makijażu dawno zapomniała. Tego dnia wstała

kilka minut po południu, ciągle czując gorycz czerwonego wina, z którym przesadziła poprzedniego wieczoru. Poszła pod prysznic, wypila kawę i zastała ją czternasta. Zastanawiała się właśnie, co mogłaby zjeść, kiedy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

– Ki diabeł o tej porze? – mruknęła niezadowolona i powlekła się, żeby otworzyć.

Ale to nie była jej siostra, jak przypuszczała. Na progu stał przystojny mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, gładko ogolony, ze starannie ułożonymi włosami, w skórzanej kurtce zarzuconej na biały T-shirt. Prawdziwe ciacho. Nie poznała go od razu. A kiedy wreszcie to się stało, poczuła zbliżający się napad paniki. Chciała uciec, lecz było już za późno. Czowała się głupio w starych domowych ciuchach.

– Cześć – powiedział, jakby między nimi nigdy nic złego nie zaszło. – Pewnie nie jadłaś jeszcze obiadu. Zbieraj się, pojedziemy do mnie, zrobię coś dobrego.

Poczuła, jak z radości serce zerwało jej się do galopu.

– Ale... – nie dokończyła.

– Jeśli chcesz, mogę poczekać na zewnątrz.

– Nie, wejdź do środka.

Czekał na nią w fotelu w salonie, z nogą założoną na nogę. To już nie był ten Lesiecki, którego pamiętała z czasów, kiedy planował każdy swój dzień. Spoważniał, w jego oczach widać było skrywane cierpienie, nawet zachowywał się inaczej. Jakby nagle stał się kimś innym. Chyba domyślała się przyczyny tej zmiany. Był Arielem, Maciej prawdopodobnie zniknął na zawsze.

Kiedy jechali samochodem, przypatrywała mu się z ukosa, podczas gdy on był skupiony na drodze. Podobał jej się. Chyba jeszcze bardziej niż kiedyś.

Zrobił cukinię z mięsem mielonym zapiekaną w żaroodpornym naczyniu, do tego pili obłędnie dobre czerwone wino. Po obiedzie zaparzył doskonałą kawę. Z porcelanowych filiżanek smakowała wybornie. Mieszkanie było wysprzątane, ale nie tak jak kiedyś u Macieja. Nie było sterylne jak w szpitalu, teraz pokoje były urządzone ze smakiem i przytulne. Po kawie siedzieli obok siebie na sofie i Lesiecki patrzył na nią, a na jego ustach błędził uśmiešek.

– Nie ma już Macieja – powiedział. – Pożegnaliśmy się. Stał się niepotrzebny. Jestem i zawsze byłem Arielem. Tylko się oszukiwałem.

– Jak to się stało? – zapytała zdziwiona.

Popatrzył na nią poważnie.

– Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami, a jego spojrzenie pociemniało. – Zastanawiam się nad tym nieustannie. Mam wrażenie, że wtedy stało się coś strasznego, co pchnęło mnie do takiego drastycznego posunięcia. Tylko jeszcze nie wiem co. W psychologii to się nazywa syndromem wyparcia. Mój przypadek jest oczywiście ekstremalny.

Mówił to w taki sposób, jakby wszyscy mieli takie same problemy jak on. A tak nie było. Wciąż był inny i wyraźnie wyróżniał się na tle ludzkiej masy.

– Maciej mówił, że Ariel był zły – przypomniała Laura.

– Na pewno nic złego nie zrobiłem. – Pokręcił głową. – Nie bój się, nikogo nie zabiłem ani nie zgwałciłem. Miałem trudne dzieciństwo, później chciałem zostać policyjnym psychologiem i robiłem różne eksperymenty.

– Ariel. – Uśmiechnęła się do niego słabo i pociągnęła nosem.

Nawet pachniał inaczej. To były jakieś drogie perfumy, których nie potrafiła zidentyfikować.

– Maciej mnie trochę zmienił – wyszeptał, jakby zawstydzony. – Kiedyś byłem strasznym egoistą, na nikogo nie zwracałem uwagi. Liczyłem się tylko ja. Teraz jest inaczej. Zależy mi na ludziach.

Nagle nie wytrzymała i z jej oczu potoczyły się dwie wielkie łzy.

– Przepraszam, Ariel – szepnęła.

Objął ją ramieniem i spojrzał w oczy.

– Nie gniewam się – odpowiedział. – Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Może nawet jeszcze gorzej. Miałaś podstawy, żeby mnie oskarżać. Od początku nie miałem do ciebie żalu. Musiałem się tylko pozbierać i na nowo poukładać.

Pocałował ją, aż zakręciło jej się w głowie.

Potem siedzieli wtuleni, pili wino i rozmawiali.

– Z mamą Kamili Kawęckiej siedemnaście lat temu miałem krótki romans – mówił. – Potem ona wyjechała bez słowa i nie miałem pojęcia, że była w ciąży. Dowiedziałem się o tym niedawno, odnalazłem ją i obserwowałem Kamilę. Nie miałem odwagi, żeby się przedstawić, ciągle to odkładałem na potem. Bałem się, co powie na takiego ojca. Wiesz, jaki wtedy byłem. No i ostatecznie nie zdążyłem jej powiedzieć.

Kilka razy przełknął głośno ślinę, wstrzymując wzruszenie, napił się wina i mówił dalej:

– Dopiero teraz przejrzałem na oczy. Poltergeist pochodzi z mojej przeszłości. Być może jeszcze z czasów szkoły podstawowej w Wątlicy. Może był przy mnie od zawsze, na pewno od studiów, może go znam. Na pewno z nim rozmawiałem, na pewno go widziałem, tylko go nie rozpoznałem. Myślę, że to on zabił moją koleżankę ze studiów, wtedy w Karpaczu. To chyba największa ironia losu w moim życiu. To przez niego zaczęli nazywać mnie „Poszukiwaczem Zwłok”. On mnie stworzył, Poltergeist.

Milczał chwilę, wpatrzony gdzieś w dal ponad jej ramieniem. Laura czekała, wstrzymując oddech.

– On cały czas był ze mną i krzywdził ludzi wokoło mnie, a ja byłem egoistą zapatrzonym w siebie i niczego nie dostrzegłem. Więc zabił Sonię i Kamilę, żebym go nareszcie zauważył.

– Kiedy z nim rozmawiałaś? – zapytała.

– Przyszedł do mnie na konsultacje psychologiczne. Nawet ci o nim mówiłem. Udawał, że martwi się o córkę, która się usamodzielnia. Już wtedy porwał Sonię i śmiał mi się w twarz. Mówił o sobie, a tak naprawdę mówił wtedy o mnie, tylko ja tego też nie zauważyłem.

– Jasna cholera – jęknęła.



– Wcześniej widziałem go na pasach przed szkołą Kamili – mówił dalej ze ściśniętym gardłem. – Pokazał mi fucka. Może wtedy naprowadziłem go na Kamilę. No i był u mnie w domu jako stolarz. A ja znowu nie zwróciłem na niego uwagi, więc zabił Sonię. Laura? – Popatrzył jej w oczy. – Nie zauważyłem go w swoim życiu. Więc jestem tak samo winny jak on.

– Nie, Ariel... – próbowała protestować, ale położył jej palec na ustach.

– Tak, Laura. Jestem winny, ale nie zamierzam się zamykać w sobie, cierpieć i marnować życia na wyrzuty sumienia. Jest jeden sposób, żeby chociaż częściowo odkupić winy i stawić czoło koszmaram. Muszę znaleźć zabójcę. Tylko ja mogę to zrobić, ponieważ on wdarł się do mojego życia i stał się jego integralną częścią. Tylko ja mogę go złapać. Pomożesz mi?

– Jestem zawieszona. – Roześmiała się cierpko. – Jak mam ci pomóc?

– Nie musisz być policjantką, żeby mi pomagać. – Ariel pokręcił głową. – Ja chcę ciebie, Laurę Wilk.

– Pomogę ci. – Uśmiechnęła się. – Zapolujemy na złego ducha.

Ten dzień spędzili razem. Dużo rozmawiali, ale nie o zabójcy i nie planowali, jak go złapać. Na to było jeszcze za wcześnie. Rozmawiali o sobie, mieli dużo do nadrobienia. Dotąd spotykali się tylko na seks i nie zajmowały ich takie przyziemne sprawy jak rozmowy, wspólne spędzanie czasu i wzajemne poznawanie się. To nie było im wówczas potrzebne. Teraz było inaczej.

Około siedemnastej do drzwi zadzwonił kurier. Ariel odebrał przesyłkę, wrócił do pokoju do Laury z dziwną miną i usiadł obok niej. Na kolanach trzymał pękata kopertę z logo firmy kurierskiej, taką do zabezpieczenia przesyłek na czas transportu.

– Co to jest? – zainteresowała się Wilczyca.

Znowu spojrzął na nią dziwnie.

– Wiesz, że znalazłem Marię Cybulską? – zapytał.

Na jej twarzy odmalowało się wyraźnie zaskoczenie, więc opowiedział jej, czego dowiedział się na ostatnim spotkaniu z Igą Marek. Nie mogła uwierzyć. Pokręciła głową, po czym ostrożnie wzięła do rąk kopertę i obejrzała, jakby chciała przeświecić ją wzrokiem.

– To są te dokumenty – stwierdziła raczej, niż spytała.

– Tak. – Ariel skinął głową.

– Co z nimi zrobisz?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Masz jakiś pomysł?

Nie miała. Wstał, wyjął jej kopertę z dłoni, podszedł do półki i wcisnął ją między opasłe tomy dzieł zagranicznych autorów z dziedziny psychologii.

– Nie jesteś ciekawy, co jest w środku? – zapytała.

– Nie, a ty?

– Ja trochę tak.

– To może kiedyś otworzymy. Na razie należy nam się chyba kilka dni odpoczynku?

Nie mogła nie przyznać mu racji.

KONIEC

Wrocław – Szczepanów – sierpień 2022/styczeń 2023